

# Kafejka u Lunatyków

Laurell K. Hamilton



calibre 0.9.27



*Laurell K. Hamilton*  
*Cykl Anita Blake 04*

## *Kafejka u Lunatyków*

### *Rozdział pierwszy*

D

o Bo żego Narodzenia zostały już tylko dwa tygodnie. To sezon ogórkowy, jeżeli chodzi o ożywianie umarłych. Naprzeciw mnie siedział ostami tej nocy klient. Przy jego

nazwisku nie by ło żadnej adnotacji. Żadnego dopisku, czy chodzi o ożywienie trupa, czy unicestwienie wampira. Nic. Czyli najprawdopodobniej klient miał dla mnie zlecenie, którego nie będę mogła lub chciała przyjąć. Przed świętami w tym fachu panował zupełny zastój. Mój szef, Bert, łapał wówczas każde zlecenie, jakie tylko wpadło mu w ręce.

George Smitz by ł wysokim mężczyzną, mierzył grubo ponad metr osiemdziesiąt. Był barczysty i muskularny. Takich mięśni nie osiągało się dzięki wyciskaniu sztangi i uprawianiu joggingu. Był to efekt ciężkiej pracy fizycznej, wykonywanej przez całe lata. Mogłam się założyć, że pan Smitz był budowlańcem, farmerem lub kimś w tym rodzaju. Pod paznokciami miał warstewkę brudu, której nie mogło usunąć nawet mydło.

Siedzia ł przede mn , międląc w dłoniach ciepłą czapkę. Kawa, którą mu zaoferowa am, stygła na skraju biurka. Jak dotąd nie wysączył nawet łyżeczki.

Ja popija łam kawę ze świątecznego kubka, który przyniosłam do pracy na wyraźne polecenie mojego szefa. Zdaniem Berta miało to pomóc uczynić z miejsca pracy „drugi dom”. Mój kubek zdobiła podobizna renifera w szlafroku i papuciach, z rogami spletanymi wstęgami lampek choinkowych, wznoszącego toast kieliszkiem

# szampana i mówią *RS*cego: „Sewołych Wśiąt”.

Bertowi kubek si ę nie spodobał, ale odpuścił sobie komentarze, zapewne z obawy przed przyniesieniem przeze mnie czegoś znacznie gorszego. Dziś wieczorem mój strój z pewnością przypadłby mu do gustu. Bluzka ze stójką była tak czerwona, że — aby zatuszować bladość mego oblicza — musiałam nałożyć lekki makijaż. Spódnica i żakiet miały odcień ciemnej, leśnej zieleni. Nie ubrałam się tak dla Berta. Miałam randkę.

W klapie mego żakietu srebrzył się mały aniołek. Wyglądałam bardzo świątecznie. W przeciwieństwie do browninga kaliber 9 mm, ale ponieważ ten był ukryty pod żakiem, nie było o czym mówić. Pan Smitz może miałby w tej sprawie odmienne zdanie, jednak wydawał się nazbyt przejęty, aby mógł się tym przejmować. Przynajmniej do czasu, gdybym zechciała wpakować mu parę kulek.

— Słucham, panie Smitz, w czym mogę pomóc? — zapytałam.

Wpatrywał się w swoje dłonie, ale po chwili uniósł wzrok, kierując go na mnie. Zachowywał się jak mały chłopiec. Sprawiał wrażenie nieśmiałego i może odrobinę zaleknionego. To dziwne, zważywszy na jego gabaryty.

— Potrzebuję pomocy i nie wiedziałem, do kogo miałbym się z tym zwrócić, więc przyszedłem tutaj.

— O jaką pomoc chodzi, panie Smitz? Mógłby pan sprecyzować?

— Chodzi o moją żonę.

Czekałam, aż powie coś więcej, ale on tylko gapił się na swoje dłonie. Jego czapka zmieniła się w niedużą kulkę.

— Chce pan oż ę małżonkę? — dociekałam. Uniósł wzrok, w jego oczach pojawił się niepokój.

— Ona nie umar a. Jestem o tym przekonany. Ona żyje.

— Co wobec tego mog łąbym dla pana zrobić? Ożywiam zmarłych, panie Smitz, jestem też pełnoprawną zabój czynią wampirów. W jaki sposób mog łąbym w ramach moich kompetencji pomóc pańskiej żonie?

— Pan Vaughn mówił, że wie pani wszystko o lykantropii. — powiedział to tak, jakby wszystkie inne wyjaśnienia były zbędne.



# — *RS* Mój szef sporo mówi, panie Smitz. Ale co lykantropia ma

wspólnego z pana żoną? — Już po raz drugi pytałam o jego żonę. Facet zachowywał się tak, jakby nie rozumiał, co do niego mówię. A może to, co się stało, było zbyt przerażające, aby można to wyrazić słowami. W moim fachu często natykam się na takie przypadki.

Wychyli 1 się do przodu, nie odrywając wzroku od mojej twarzy. Ja też pochyliłam się do przodu, nie potrafiłam się powstrzymać. — Peggy, to znaczy moja żona, jest lykantropem. Zamrugałam powiekami.

— I?

— Gdyby to się wydało, straciłaby pracę.

Nie zaoponowałam. Z prawnego punktu widzenia nie wolno

dyskryminować lykantropów, ale takie przypadki zdarzały się nazbyt często.

— Jaki zawód wykonuje Peggy?

— Jest rzeźnikiem.

Lykantrop rzeźnik. To zbyt piękne. Nic dziwnego, że mogłaby stracić pracę. Osoba cierpiąca na potencjalnie zabójczą chorobę stykała się z żywnością. Miałam na ten temat swoje zdanie. Wiedziałam — podobnie jak pracownicy wydziału zdrowia — że lykantropia może być przenoszona wyłącznie podczas ataku przez osobę zarażoną, będącą w zmienionej, zwierzęcej postaci. Większość ludzi w to nie wierzy. W gruncie rzeczy wcale się im nie dziwię. Ja też nie chciałabym co miesiąc porastać sierścią.

— Prowadzi specjalistyczny zakład masarski. To dobry interes. Odziedziczyła go po ojcu.

— Czy on też by lykantropem? — zapytałam. Pokręcił głową.

— Nie, Peggy przed kilkoma laty padła ofiarą ataku. Przeżyła... — Wzruszył ramionami. — Ale wie pani.

Wiedziałam.

— A zatem pańska żona jest lykantropem i mogłaby stracić pracę, gdyby sprawa się wydała. Rozumiem. Tylko w jaki sposób mogłabym panu pomóc? — Z trudem powstrzymywałam się, by nie spojrzeć na zegarek. To ja miałam bilety. Richard nie wejdzie beze

# mnie. *RS* — Peggy zaginęła.

Aha.

— Nie jestem prywatnym detektywem, panie Smitz. Nie zajmuję się poszukiwaniem zaginionych osób.

— Ale ja nie mogę pójść z tym na policję. Mogliby poznać prawdę.

— Kiedy zaginęła?

— Przed dwoma dniami.

— Radzę panu zwrócić się z tą sprawą do policji.

Z uporem pokręcił głową.

— Nie. Westchnęłam.

— Nie znam się na poszukiwaniu zaginionych. Ożywiam umarłych, zabijam wampiry, oto, czym się zajmuję.

— Pan Vaughn zapewniał, że może mi pani pomóc.

— Wspomniał pan, na czym polega pański problem?

Przytaknął.

Cholera. Bert i ja już wkrótce odbędziemy długą i poważną rozmowę.

— Panie Smitz, policja zna się na swojej robocie. Proszę tylko zgłosić zaginięcie żony. Niech pan nie mówi, że jest lykantropem. Proszę dać im szansę. Zobaczymy, co z tego wyniknie. — Nie lubię nakłaniać klientów do zatajania ważnych informacji przed stróżami prawa, ale było to lepsze niż całkowita rezygnacja z pomocy policji.

— Pani Blake, proszę, tak się martwię. Mamy dwójkę dzieci.

Już miałam wymieni

pomóc, ale zmitygowa

— Nasza firma wspó

detektywistyczną

ć wszelkie powody, dlaczego nie mogę mu am się. Coś mi przyszło do głowy. Pracuje z pewną agencją

. Veronica Sims miała już do czynienia z tego typu zleceniami. Może ona zdoła panu pomóc.

— Czy mogę jej zaufać?

— Ja jej ufam.

# Patrzył na mnie przez dRS ługą chwilę, po czym skinął głową.

— W porządku, jak mogę się z nią skontaktować?

— Zadzwoń do niej i spytam, czy zechce się z panem spotkać. — Będę zobowiązany.

— Naprawdę chcę panu pomóc, panie Smitz. Pogoń za

zaginionymi małżonkami nie należy do moich specjalności. — Mówiąc to, wybrałam numer. Ten do Ronnie znałam na pamięć. Co najmniej dwa razy w tygodniu ćwiczyłyśmy razem w klubie, nie mówiąc już o wspólnych wypadach do kina, na kolację czy gdzie indziej, co także się nam zdarzało. Byłyśmy najlepszymi przyjaciółkami, kobiety tak czasem mają.

Spytajcie byle faceta, kto jest jego najlepszym przyjacielem, a zapewne będzie się musiał chwilę zastanowić. Nie powie wam tego, ot tak, z głowy. Kobiety są pod tym względem bardziej uporządkowane. Faceci nie. I nie pytajcie mnie dlaczego.

Włączyła się automatyczna sekretarka Ronnie.

— Ronnie, jeśli jesteś, odbierz, to ja, Anita.

Szczęknał telefon i po chwili nie słyszałam już głosu maszyny, lecz moją najlepszą przyjaciółkę.

— Cześć, Anita. Sądziłam, że masz dziś randkę z Richardem. Coś się stało?

Nie ma to jak dobra przyjaciółka, sami widzicie.

— Nie chodzi o randkę. Mam tu klienta, którego problem, jak sądzę, należy bardziej do twojej branży niż do mojej.

— Opowiedz o tym — rzuciła. Zrobiłam to.

— Zaproponowałaś mu, aby zgłosił sprawę na policję? — Taa.

— Nie chce?

# — Nie. WestchnRSa.

— Cóż, zajmowałam się już kiedyś zaginięciami, ale zazwyczaj dopiero gdy policja zrobiła wszystko, co w jej mocy. Głównie mają swoje źródła, do których ja nie mam dostępu.

— Zdaję sobie z tego sprawę — przyznałam.

— Nie da się przekonać?

— Raczej nie.

— Wobec tego albo ja... albo...

— Bert przyjął tę robotę, wiedząc, że chodzi o zaginięcie. Mógł wkręcić ją Jamisonowi.

— Jamison nie zna się na niczym prócz ożywiania truposzy. — To fakt, ale jest zawsze skory do poszerzania swego repertuaru.

— Spytałam faceta, czy może przyjść do mojego biura... —

przerwała, by przewertować notes, w którym zapisywała umawianych klientów. Interesy musiały iść całkiem nieźle. — ...

Jutro o dziewiątej rano.

— Do licha, ależ z ciebie ranny ptaszek.

— To jedna z moich nielicznych wad — przyznała. Spytałam George'a Smitza, czy odpowiada mu ta godzina. — Anie mogłaby spotkać się ze mną jeszcze dziś wieczorem? — On chce się z tobą zobaczyć jeszcze dziś. Zamyśliła się na chwilę.

— Czemu nie? W przeciwieństwie do niektórych nie mam dziś upojnej randki. Jasne, przyślij go do mnie. Zaczekam. Piątek z klientem jest, jak sądzę, lepszy niż samotny piątkowy wieczór. — Masz po prostu gorszą passę. To minie — zapewniłam. — A ty wygrałaś los na loterii.

— Aleś ty zabawna. Zaśmiała się.

— Nie mogę się doczekać wizyty pana Smitza. Miłych wrażeń podczas oglądania *Facetów i laleczek*.

— Dzięki. Do zobaczenia jutro rano na przebieżce. — Jesteś pewna, że chcesz, abym wpadła po ciebie rano? A jeśli

twój facet zechce zabawić nieco dłużej?

— Znasz mnie — ucięłam.

— Fakt. Tylko żartowałam. Do zobaczenia jutro. Rozłączyłyśmy się. Wręczyłam panu Smitzowi wizytówkę Ronnie i odesłałam do agencji detektywistycznej. Skierowanie go do Ronnie było najlepszą rzeczą, jaką mogłam dla niego zrobić. Wciąż mnie dręczyło, że nie chciałam pójść z tym na policję, ale cóż, nie chodziło o moją żonę. Powiedział, że ma dwoje dzieci. To nie moja sprawa. Serio. Craig, nasz nocny sekretarz, siedział za biurkiem, czyli musiało

# być już po osiemnastej. By<sup>RS</sup> łam spóźniona. Nie miałam czasu, aby

pokłócić się z Bertem o to, że przysłał do mnie Smitza, ale... Spojrzałam w stronę gabinetu Berta. Wewnątrz było ciemno. — Szef już się zmył?

Craig uniósł wzrok znad klawiatury. Miał krótkie, delikatne, brązowe włosy. I okrągłe okulary pasujące do jego okrągłej twarzy.

Był wyższy i szczuplejszy ode mnie, ale w sumie kto nie jest? Miał dwadzieścia kilka lat, żonę i dwójkę dzieci.

— Pan Vaughn wyszedł jakieś pół godziny temu.

— Tak myślałam — mruknęłam.

— Coś się stało? Pokręciłam głową.

— Wykrój mi jutro trochę czasu, abym mogła pogadać z szefem. — No, nie wiem, Anito. Szef ma na jutro bardzo napięty plan. — Znajdź wolną chwilę, Craig. W przeciwnym razie odwiedzę go podczas spotkania z którymś z klientów.

— Oszalałaś — stwierdził.

— No, jasne. Znajdź dla mnie te parę chwil. Gdyby cię za to zrukał, powiedz, że zagroziłam ci pistoletem.

— Anito — rzekł z uśmiechem, jakby sądził, że tylko się z nim przekomarzam.

Zostawiłam go, przepatrującego listę klientów na dzień następny i rozpaczliwie usiłującego znaleźć lukę, w którą mógłby mnie wcisnąć.

Nie żartowałam. Bertowi jutro się ode mnie dostanie. Będzie musiał

mi się wytłumaczyć. Grudzień był najgorszym miesiącem w roku, jeżeli chodziło o ożywianie zmarłych. Ludziom zdawało się, że tuż



# przed świętami Bożego Narodzenia nie jesteśmy w stanie tego zrobić,

zupełnie jakby chodziło o czarną magię czy coś w tym rodzaju. W tej sytuacji Bert — abyś my nie próżnowali — przyjmował wszelkie możliwe zlecenia. Miałam po dziurki w nosie klientów, którym nie byłam w stanie pomóc. Smitz nie był pierwszym takim klientem w tym miesiącu i z pewnością nie ostatnim.

Pokrzepiona tą radosną myślą, narzuciłam płaszcz i wyszłam. Richard na mnie czekał. Przy odrobinie szczęścia zdążę dojechać na czas i nie spóźnię się na początek. O ile nie będzie korków. Korki w piątkowy wieczór? Wykluczone.

## Rozdział drugi

N

W roku 1978 zginął smutną i tragiczną śmiercią. Obecnie jeździłam dżipem cherokee country. Wóz był ciemnozielony, tak ciemny, że nocą wydawał się czarny.

Miał niezbędny zimną napęd na cztery koła i dość miejsca z tyłu, by przewozić w nim kozy. Zwykle przy ożywianiu zombi używam kurcząt, ale od czasu do czasu potrzebne jest coś większego. Przewożenie kóz w moim poprzednim aucie było piekielnie uciążliwe.

Wstawiłam dżipa na ostatnie wolne miejsce parkingowe przy Grant. Długi, czarny płaszcz wydymał się wokół mnie, gdyż zapięłam tylko dwa dolne guziki. Tyle że gdybym zapięła wszystkie guziki, nie mogłabym sięgnąć po broń.

Dłoni wsunęłam do kieszeni, wtuliłam głowę w ramiona. Nie nosiłam rękawiczek. Nigdy podczas strzelania nie czułam się w nich pewnie. Broń stanowi część mojej dłoni. Materiał nie powinien jej izolować.

W botkach na obcasie przebiegłam przez ulicę, ostrożnie, by nie poślizgnąć się na oszronionym chodniku. Płyty popękały, brakowało w nich kawałków, jakby roztrzaskano je młotem kowalskim.

Budynki przy ulicy były

już prawie się spó

ły w równie złym stanie jak chodnik. Nie było ludzi, jak okiem

sięgnąć prócz mnie ani **RS**żywego ducha.

## Miałam przed sobą krótki

samotny spacer w grudniową noc. Ziemię pokrywały odłamki szkła, musiałam uważać, gdzie stąpać. I rozglądać się bacznie dokoła. W takiej okolicy nietrudno o kłopoty. Nie chciałam dostąpić wątpliwego zaszczytu spotkania z występującym dość licznie w tym zakątku miasta okazem oprycha pospolitego. Czujnie przepatrywałam wzrokiem ciemność. Nie dostrzegłam żadnego ruchu. Jako że miałam przy sobie browninga, nie przejmowałam się zbytnio, ale mimo wszystko... Nie trzeba być geniuszem, aby strzelić komuś w plecy.

Wiatr był tak zimny, że zapierał dech i z niemałą ulgą dotarłam do załomu ulicy, gdzie skręciwszy, poczułam się w miarę osłonięta przed lodowatymi podmuchami. Zwykle zimą ciepło się ubieram, ale dziś wieczorem musiałam się trochę odszykować i zmarzłam na kość, niemniej jednak miałam nadzieję, że Richardowi spodoba się czerwona bluzka.

Na rogu stały latarnie, samochody, a pośrodku ulicy policjant kierował ruchem. W tej części St. Louis policję widywało się tylko z okazji galowych przedstawień w Foksie. Zjeżdżało się tu sporo męż- czyzn z roleksami i obwieszonych brylantami kobiet w futrach. Nie byłoby mile widziane, gdyby osoba zaprzyjaźniona z szychami z ratusza padła ofiarą napaści. Gdy zjawił się tu Topol, by ponownie zagrać w *Skrzypku na dachu*, na sali zasiadła sama miejska śmietanka, a wokół teatru aż się niebieściło od glin. Dziś było podobnie. Większość glin krzątała się przed wejściem do teatru, głównie zawiadując ruchem ulicznym, ale zaglądali też w głąb ciemnych uliczek, na wypadek gdyby zapuścił się tam jakiś niefortunny nowobogacki.

Przez szklane drzwi weszłam do długiego, wąskiego foyer. Było jasno oświetlone, wytworne. Po prawej stronie znajdują się kasy. Nabywcy biletów pospiesznie zbieżali w stronę wewnętrznych przeszklonych drzwi. Nie spóźniłam się aż tak bardzo, skoro ludzie wciąż kupowali bilety. A może oni wszyscy także byli spóźnieni.

Dostrzegłam Richarda, stojącego nieopodal. Jako że mierzy ponad metr osiemdziesiąt, atwiej go dostrzec w tłumie niż mnie z moim nikczemnym wzrostem metr sześćdziesiąt. Stał spokojnie, przepatrując wzrokiem tłum. Nie wydawał się znudzony czy

# znecierpliwiony. Najwyra<sup>RS</sup> źniej dobrze się bawił, obserwując ludzi.

Ś ledził wzrokiem starszą parę, która właśnie weszła. Kobieta podpierała się laską. Oboje sunęli bardzo powoli. Richard niespiesznie odwracał głowę, podążając za nimi wzrokiem. Rozejrzałam się. Pozostali ludzie byli młodszy, szli szybkim, pewnym krokiem. Czy Richard szukał ofiar? Potencjalnych celów? Bądź co bądź, był wilkołakiem. Nabawił się tej przypadłości za sprawą wadliwej szczepionki. To jeden z powodów, dla których nie pozwalałam sobie robić zastrzyków. Co innego, gdy wadliwa okaże się szczepionka przeciw grypie, ale żeby raz na miesiąc porastać sierścią... Nie, dziękuję.

Czy zdawał sobie sprawę, że stał tam, lustrując tłum, jak lew gapiący się na stado gazeli? A może ci starsi ludzie przypominali mu jego dziadków. Niech to szlag, może powodujące nim motywy były jedynie wytworem mego przewrażliwionego umysłu? Miejmy nadzieję.

Miał brązowe włosy. W blasku słońca lśniły, nabierając cudnego, miedzianego odcienia. Wiedziałam, że ma włosy do ramion, ale coś z nimi zrobił, bo wydawały się bardzo krótkie i modnie przycięte. To niełatwe, gdy ma się tak falujące włosy jak on.

Nosił garnitur w odcieniu ciemnej zieleni. Większość facetów w zieleni wyglądałaby jak Piotruś Pan, jednak on prezentował się wręcz doskonale. Gdy podeszłam bliżej, zauważyłam, że włożył jasną, niemal złotą koszulę i krawat w odcieniu ciemniejszym niż garnitur, ozdobiony czerwonymi, delikatnymi choinkowymi motywami. Mogłam mu dociąć w kwestii tego krawatu, ale czy sama w czerwieni i zieleni, z motywem aniołka na piersi, miałam do tego prawo?

Zauważył mnie i się uśmiechnął. Śnieżnobiałe zęby stanowiły uderzający kontrast z mocno opaloną skórą. Nazwisko Zeeman wywodzi się z Holandii, ale któryś z jego dalszych przodków na pewno nie był Europejczykiem. Nie był jasnowłosa, nie miał jasnej cery ani niebieskich oczu. Oczy były ciemnobrązowe.

Ujął moje dłonie, delikatnie przyciągając mnie ku sobie. Jego

# wargi delikatnie dotknęły moich ust. Pocałunek był krótki, nieomal

trwożliwy.

Cofnęłam się, nabierając powietrza. Wciąż trzymał mnie za rękę, nie próbowałam się uwolnić. Jego skóra wydawała mi się nadzwyczaj ciepła w porównaniu z moim zmarzniętym ciałem. Już miałam zapytać, czy zamierza pożreć tę parę staruszków, skoro tak się im przyglądał, ale nie zrobiłam tego. Oskarżenie go o mordercze zamiary mogło zepsuć nastrój całego wieczoru. Poza tym większość lykantropów nie miała świadomości, że dokonuje nieludzkich czynów. Zwracając im na to uwagę, rani się ich uczucia. Nie chciałam tego zrobić.

Gdy weszliśmy do zatłoczonego holu, zapytałam:

— Gdzie masz płaszcz?

— W samochodzie. Nie chciało mi się go taszczyć, więc zostawiłem.

Pokiwałam głową. Typowy Richard. A może lykantropy się nie przeziebiają. Zauważyłam, że zaplótł włosy w ciasno upięty warkocz. Koniec warkocza dotykał kołnierzyka. Wołałam nawet nie myśleć, jak to zrobił. Jeżeli chodzi o włosy, ograniczam się do ich umycia, potraktowania odżywką i wysuszenia. Nie byłam zwolenniczką wymyślnych, modnych fryzur. Choć po spektaklu chętnie bliżej się przyjrzę fryzurze Richarda. Lubię poznawać nowe rzeczy.

Hol główny Foksa to coś pomiędzy chińską restauracją a hinduską świątynią, przyprawione odrobiną art deco. Barwy są tak rażące, jakby malarz wymieszał farby z tłuczonym szkłem i drobinami światła. Schodów na balkon teatru strzegą dwa — wielkie jak pitbulle — chińskie lwy o gorejących, czerwonych ślepiach. Na balkonie można zjeść wspaniały posiłek i za piętnaście tysięcy dolarów rocznie wykupić prywatną lożę. Dla nas, szaraczków stłoczonych w holu na dole, pozostawała prażona kukurydza, precle, pepsi i niekiedy także hot dogi. Nie do porównania z cordon bleu, czy co tam jeszcze serwowano na piętrze.

Fox z gracją balansuje na nikłej granicy między klasą a blichтром. Ten gmach spodobał mi się już na pierwszy rzut oka. Za każdym razem dostrzegam w nim coś nowego, co mnie urzeka. Jakiś barwny motyw, płaskorzeźbę lub posąg, którego wcześniej nie zauważyłam. Gdy uświadamiasz sobie, że budynek ten zbudowano, aby urządzić w nim kino, zdajesz sobie sprawę, jak wiele się tu zmieniło. Kina nie mają za grosz atmosfery. A Fox żyje, na tyle, na ile może żyć budynek.

Musiałam puścić dłoń Richarda, aby rozpiąć płaszcz, ale nie byliśmy przecież bliźniętami syjamskimi. Stałam blisko niego, wśród ludzi i choć go nie dotykałam, czułam na swoim ciele jego ciepło.

— Gdy zdejmę płaszcz, będziemy wyglądać jak Ken i Barbie. Uniósł pytająco brwi.

Rozchyliłam połę płaszcza, a Richard wybuchnął śmiechem. To

był szczery śmiech, ciepły i sycący jak świąteczny pudding. — Taka pora roku — stwierdził. Objął mnie jedną ręką, szybko,

jak przyjaciółkę, ale jego dłoń pozostała na moim ramieniu.

Spotykaliśmy się na tyle krótko, że wzajemny dotyk był wciąż niespodziewany i przynosił radość obojgu. Szukaliśmy wzajemnie pretekstu, by się dotykać. Staraliśmy się traktować to nonszalancko. Nie oszukiwaliśmy się. Chyba nam na tym nie zależało. Objęłam go

ramieniem w pasie i lekko się do niego przytuliłam. Objęłam go prawą ręką. Gdyby ktoś nas teraz zaatakował, nie zdążyłabym na czas wydobyć broni. Przez chwilę zastanawiałam się, czy warto było tak ryzykować. W końcu stanęłam przy nim z drugiej strony i objęłam go lewą ręką.

Nie wiem, czy dostrzegł pistolet, czy domyślił się, że go mam, ale jego oczy się rozszerzyły. Nachylił się do mnie.

— Zabrałaś splotkę do teatru? — wyszeptał. — Myślisz, że ochrona cię wpuści?



# — Ostatnio mnie wpuRS ścili.

Jego twarz przybra a dziwny wyraz.

— Nigdy nie rozstajesz się z bronią? Wzruszyłam ramionami. — Po zmroku nie.

Wydawał się zakłopotany, ale nie drążył tematu.

Nie dalej jak rok temu zdarzało mi się wychodzić po zmierzchu

bez broni, ale ostatnie dwanaście miesięcy okazało się dla mnie wyjątkowo ciężkie. Sporo różnych ludzi próbowało mnie zgładzić. Jestem niska, nawet jak na kobietę. Biegam, uprawiam kulturystykę, mam czarny pas w dżudo, mimo to większość typów spod ciemnej gwiazdy już na wstępie ma nade mną przewagę. Oni także ćwiczą na siłowniach, znają sztuki walki i w dodatku są ode mnie ciężsi o pięćdziesiąt, a nawet więcej kilogramów. W siłowaniu na rękę nie miałabym z nimi szans, zawsze wszak mogłam ich wystrzelać.

W minionym roku miałam kilka naprawdę ciężkich starć z wampirami i innymi nadnaturalnymi istotami. Takie typy mogą jedną ręką dźwignąć ciężarówkę. Srebrne kule nie zabiją wampira, ale mogą go w znacznym stopniu spowolnić. Na tyle, żebym zdołała uciec. Przeżyć. Ocaleć.

Richard zdawał sobie sprawę, czym się zajmuję.

Widział mnie nawet w akcji. To nie było przyjemne. Ale mimo wszystko wciąż liczyłam na to, że spuści z tonu. Że przestanie zgrywać macho, typowego samczego obrońcę i wściekać się na mnie, że nigdy nie rozstaję się z gnatem. Wiedziałam, że jeśli tego nie zrobi, będzie kiepsko. Dlatego stale czułam nieprzyjemny ucisk w żołądku, jakbym tylko czekała, aż Richard powie coś okropnego. Coś, co zniweczy nasz związek, unicestwi go, zrani mnie.

Jak dotąd szło nieźle.

Tłum zaczął przesuwać się w stronę schodów i dalej do korytarzy wiodących na salę. Ruszyliśmy w prądem, trzymając się za ręce, aby nas nie rozdzielono. No jasne.

Po wyjściu z holu tłum skierował się ku poszczególnym wejściom, jak woda szukająca najszybszego ujścia. Nawet najszybsze ujście okazało się wyjątkowo powolne. Z kieszeni żakietu wyjęłam bilety. Nie miałam torebki. W kieszeniach upchnęłam natomiast małą szczotkę do włosów, szminkę, kredkę do ust, cienie do powiek, dokument tożsamości i kluczyki do samochodu. Pager miałam wpięty z przodu spódnicy, przy biodrze. Gdy ubieram się luźniej, noszę saszetkę na pasku.

Bileterka, starsza kobieta w okularach, poświeciła małą latarką na

# nasze bilety. Wskaza *RSa* nam miejsca, po czym zajęła się kolejną

grupką zagubionych, bezradnych ludzi. Miejsca były dobre, pośrodku rzędu, w miarę blisko sceny. Dość blisko.

Richard bez pytania zajął miejsce po mojej lewicy. Szybko się uczył. Między innymi dlatego wciąż się spotykaliśmy. A poza tym piekielnie pożądałam jego ciała.

Rozłożyłam płaszcz na siedzeniu i wygładziłam, żeby się nie pomiały. Richard dyskretnie mnie objął. Z trudem zwalczyłam w sobie pragnienie położenia głowy na jego ramieniu. Co za dużo, to niezdrowo. Cholera. A w sumie, mam to gdzieś.

Wtuliłam głowę w zagłębienie szyi Richarda, wciągając w nozdrza zapach jego skóry. Zapach wody po goleniu był słodkawy i czysty, ale nie tuszował do końca silnego zapachu jego skóry, jego ciała. Woda po goleniu nigdy nie pachnie jednakowo.

Szczerze mówiąc, uwielbiałam zapach skóry Richarda, nawet bez aromatu wody po goleniu. Wyprostowałam się i nieznacznie się odsunęłam. Spojrzał na mnie pytająco.

— Co się stało?

— Ładnie pachnie ten twój płyn po goleniu — oświadczyłam. Nie było sensu tego ukrywać, zwłaszcza że teraz miałam przemożną ochotę na ponowne przytulenie się do niego. Trochę mnie to krępowało.

Światła przygasły, rozległa się muzyka. *Facetów i laleczki* widziałam tylko w wersji filmowej. No, wiecie, mam na myśli ten film z Marlonem Brando i Jean Simmons. Dla Richarda udaną randką była wyprawa speleologiczna, wymagająca starych, znoszonych ciuchów i mocnych butów na solidnym protektorze. Nie ma w tym nic złego. Lubię takie wycieczki, ale miałam ochotę na bardziej uroczyste wyjście. Chciałam zobaczyć Richarda w garniturze i żeby on ujrzał mnie w czymś wytworniejszym niż wytarte dzinsy. Bądź co bądź,

# byłam kobietą, choć *RS* zdarzało mi się o tym zapominać.

Gdy zaproponowałam randkę, pomyślałam o czymś innym niż wykwinna kolacja i kino. Dlatego też zadzwoniłam do Foksa z pytaniem, co grają, a następnie do Richarda, by dowiedzieć się, czy lubi musicale. Okazało się, że tak. Kolejny punkt na jego korzyść. Jako że pomysł wyszedł ode mnie, ja kupiłam bilety. Richard nie zaproponował, nie proponował nawet, że zapłaci połowę. Przecież ja nie kwapiłam się do zapłacenia połowy rachunku za naszą ostatnią kolację. Jakoś nie przyszło mi to w ogóle do głowy. Mogłam się założyć, że Richard o tym pomyślał, ale dał sobie spokój. I dobrze zrobił.

Kurtyna poszła w górę i na scenie ujrzałam barwną scenografię — dominowały jaskrawe kolory, głośna, rytmiczna muzyka, artystyczna doskonałość i radosna atmosfera, czyli to, czego mi było trzeba. Ze sceny popłynęły dźwięki pierwszej piosenki, wypełniając tonącą w ciemnościach widownię teatru. Wspaniała muzyka, humor, popis taneczne, bliskość Richarda i spluwa pod pachą. Czego kobieta mogłaby chcieć więcej?

## Rozdział trzeci

### G

arstka ludzi wyszła tuż przed końcem musicalu, aby uniknąć tłoku. Ja zawsze zostaję do samego końca. Wydaje mi się nieuczciwe opuszczać salę bez nagrodzenia

aktorów brawami. Poza tym chcę zobaczyć wszystko. Mam wrażenie, że w przeciwnym razie przeoczyłabym najlepszy fragment przedstawienia.

Entuzjastycznie przyłączyliśmy się do owacji na stojąco. W żadnym innym mieście nie przeżyłam tylu owacji na stojąco. Zwykle, tak jak dziś, przedstawienia są naprawdę wspaniałe, ale widywałam osoby stojące i oklaskujące produkcje, które na to nie zasłużyły. Ja wstaję tylko wtedy, kiedy uważam, że występ był tego wart.

Gdy zapaliły się światła, Richard ponownie usiadł.

— Jeśli nie masz nic przeciw temu, wolałbym poczekać, aż te tłumy trochę się przersedzą. W jego brązowych oczach krył się wyraz nadziei, że nie będę mieć nic przeciw temu. Nie miałam. Każde z nas przyjechało własnym autem. Gdy wyjdziemy z Foksa, nasze spotkanie dobiegnie końca. Najwyraźniej żadne nie miało ochoty na rozstanie. Ja na pewno nie. Oparłam się o fotel przede mną i spojrzałam na Richarda. Uśmiechnął się do mnie, a w jego oczach, jeśli nawet nie miłość, malowało się pożądanie. Ja także się uśmiechnęłam. Nie mogłam się powstrzymać.

# — *RS*Wiesz, to bardzo szowinistyczny musical — powiedział.

Zamy śliłam się przez chwilę, po czym skinęłam głową. — Taa.

— Ale podobał ci się? Pokiwałam głową. Leciutko przymrużył oczy.

— Myślałem, że może poczujesz się urażona.

— Mam większe zmartwienia na głowie, niż przejmować się przek łamanym obrazem stosunków męsko-damskich w byle musicalu.

Zaśmiał się — krótko, radośnie, szczerze.

— Świetnie. Już przez chwilę miałem wrażenie, że będę musiał pozbyć się mojej kolekcji Rodgersa i Hammersteina.

Obserwowałam jego twarz, próbując odgadnąć, czy się ze mną drażnił. Raczej nie.

— Naprawdę masz całą kolekcję Rodgersa i Hammersteina?

Pokiwał głową, a oczy pojaśniały mu z radości.

— Tylko Rodgersa i Hammersteina, czy w ogóle zbierasz musicale?

— Nie wszystkie, ale całkiem sporo. Pokręciłam głową.

— Co się stało? — dochodził.

— Romantyk z ciebie.

— W twoich ustach to zabrzmiało jak wada.

— Szczęśliwe zakończenia sprawdzają się na scenie, ale nie mają wiele wspólnego z normalnym życiem.

Tym razem on zlustrował moją twarz. Najwyraźniej nie spodobało mu się to, co ujrzał, bo nieoczekiwanie spochmurniał.

— Ta randka to by  
szczęśliwym zakoń

ł twój pomysł. Jeśli nie lubisz musicali ze czeniem, czemu mnie zaprosiłaś?

Wzruszyłam ramionami.

— Po naszym ostatnim spotkaniu nie bardzo wiedziałam, dokąd mogłabym cię zabrać. Chciałam, żeby to było coś wyjątkowego. Poza tym lubię musicale. Tyle tylko, że nijak mają się do rzeczywistości.

— Nie jesteś tak twarda, jak się wydajesz.

— Owszem, jestem — zaoponowałam.

— Nie wierzę. Mam wrażenie, że lubisz szczęśliwe zakończenia,



# podobnie jak ja. Tyle *RSe* ty w nie już nie wierzysz. Boisz się w nie

uwierzyć.

— Nie boję się. Jestem tylko ostrożna.

— Za dużo rozczarowań? — zabrzmiało jak pytanie. — Może. — Skrzyżowałam ręce na brzuchu.

Psycholog

określiłby ten gest jako symboliczne zamknięcie się, niechęć do dalszej dyskusji. Pieprzyć psychologów.

— O czym myślisz? Wzruszyłam ramionami.

— Powiedz mi, proszę.

Spojrzałam w jego szczere, brązowe oczy i zapragnęłam wrócić do

domu sama. Zamiast tego powiedziałam:

— Szczęśliwe życie to kłamstwo, Richardzie, wierutna bzdura, wiem o tym od ósmego roku życia.

— Wtedy umarła twoja matka — rzekł półgłosem. Patrzyłam na niego. Miałam dwadzieścia cztery lata, a ból tamtej

— odległej w czasie — pierwszej straty wciąż był świeży i dojmujący. Można się z nim uporać, można go znieść, lecz nie sposób przed nim uciec. Nigdy nie wierz całym sercem, że gdzieś tam istnieje prawdziwie dobre miejsce.

Nie wierz całym sercem, że coś złego nie nawiedzi nigdy twego domu, by odebrać wszystko, co kochasz. Wolałabym stawić czoło tuzinowi wampirów — to betka w porównaniu z jednym, bezsensownym wypadkiem.

Ujął moją dłoń.

— Nie dam się zabić, Anito — zapewnił. — Nie opuszczę cię.

Obiecuję.

Ktoś się za , ten cichy chichot przetoczył się po mojej skórze jak delikatne mu cie koniuszkami palców. Tylko jedna osoba miała tak namacalnie wyczuwalny śmiech — Jean-Claude.

Odwróciłam się, stał pośrodku przejścia, nieopodal. Nie słyszałam, jak nadszedł. Nie wyczułam najmniejszego poruszenia. Po prostu się pojawił, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Magia.

# — Nie sk *RS*adaj obietnic, których nie jesteś w stanie dotrzymać,

Richardzie.

*Rozdział czwarty*

O

dst apiłam od foteli i przesunęłam się krok naprzód, aby Richard mógł wstać. Czułam go za sobą i dodawałoby mi to otuchy, gdybym nie martwiła się o jego bezpieczeństwo bardziej niż o swoje własne.

Jean-Claude miał na sobie lśniący czarny frak. Na białą koszulę nałożył białą kamizelkę w czarne kropki. Kołnierzyk koszuli był wysoki i wykrochmalony, a wokół niego zawiązany był fular z miękkiego, czarnego materiału, zatknięty pod kamizelkę. W kamizelkę wpięto szpilkę ze srebrnoczarnego onyksu. Nosił staromodne kamasze, w takich mógł chodzić Fred Astaire, choć jak sądzę, cały jego strój był w znacznie starszym stylu.

W łosy miał modnie długie, prawie czarne kędziory spadały na śnieżnobiały kołnierzyk. Wiedziałam, jaką barwę mają jego oczy, ale nie spojrzałam w nie. Były ciemne jak nocne niebo albo szafiry. Nigdy nie należy spoglądać wampirowi w oczy. To podstawowa zasada.

Podczas gdy mistrz wampirów stał obok, czekając, uświadomiłam

# sobie, jak pusto zrobi*RS*o się w teatrze. Jednak odczekaliśmy, aż

wszyscy wyjdą. I bardzo dobrze. Byliśmy sami w cichym teatrze. Odległy gwar wychodzących widzów przypominał biały szum. Nic to dla nas nie znaczyło. Wlepiłam wzrok w lśniące, wykonane z masy perłowej guziki na kamizelce Jean-Claude'a. Trudno zgrywać twardą, gdy nie można spojrzeć komuś w oczy. Ale jakoś mi się to udaje.

— Boże, Jean-Claude, czy nie nosisz się inaczej niż na czarno i biało?

— Nie podoba ci się; *ma petite*? — Odwrócił się lekko, aby mi się zaprezentować. Wyglądał doskonale. Rzecz jasna, wszystko, co nosił, zawsze pasowało jak ulał.

— Nie sądziłam, że *Faceci i laleczki* to przedstawienie, które mogłoby ci się spodobać, Jean-Claude.

— I nawzajem, *ma petite*. — głos był miękki jak puch, słodki i ciepły, to efekt gniewu lub pożądania. Mogłam się założyć, że w grę nie wchodziło pożądanie.

Miałam pistolet i srebrne kule spowolniłyby go, ale nie zabiłyby. Oczywiście, Jean-Claude nie zaatakowałby nas otwarcie, w miejscu publicznym. Był na to zbyt cywilizowany. Był wampirem interesu, przedsiębiorcą. Tacy jak on, żywi czy martwi, nie rzucają się na ludzi na prawo i lewo, by rozszarpać im gardła. Zazwyczaj.

— Richardzie, jesteś nad wyraz milczący. — Spojrzał do tyłu, za mnie. Nie odwróciłam się, by spojrzeć, co porabia Richard. Nie wolno odrywać wzroku od wampira przed sobą, aby zerknąć na stojącego za twoimi plecami wilkołaka. Wszystko po kolei.

— Anita potrafi mówić za siebie — rzekł Richard.

Jean-Claude ponownie skupił całą uwagę na mnie.

— To prawda. Niemniej jednak przyszedłem tu, by zobaczyć, jak bawicie się na przedstawieniu.

— No jasne, a świnię potrafią latać — mruknęłam.

— Nie wierzysz mi?

— Ani trochę — odparłam.

— Daj spokój. Richardzie, jak podobało ci się przedstawienie?

W słowach Jean-Claude'a pobrzmiwało rozbawienie, ale całość była wciąż podszyta gniewem. Lepiej być jak najdalej od rozgniewanego mistrza wampirów.

— Było cudownie, dopóki się nie pojawiłeś. — w głosie Richarda, choć ciepłym, wyczułam złość. Nigdy nie widziałam go zezłoszczonego.

— Jakim cudem moja obecność mogła popsuć waszą... randkę? — wycedził Jean-Claude.

# — Czemu jesteś *RS* dziś taki wściekły? — zapytałam.

— Ależ, *ma petite*, ja nigdy nie bywam... wściekły.

— Gówno prawda.

— Jest zazdrosny o mnie — wtrącił Richard.

— Nie jestem zazdrosny.

— Zawsze powtarzasz Anicie, że czujesz, jak bardzo cię pożąda.

Ja czuję twoje pożądanie wobec niej. Pragniesz jej tak bardzo... — Richard się skrzywił. — ..  
że czuję smak twojej chuci.

— A pan, panie Zeeman, jej nie pożąda?

— Przestańcie rozmawiać, jakby mnie tu w ogóle nie było —  
rzuciłam.

— Anita zaprosiła mnie na randkę. Zgodziłem się. — Czy to prawda, *ma petite*? — mówił bardzo  
cicho. Ta cichość

była jeszcze bardziej przerażająca niż gniew.

Chciałam zaprzeczyć, ale wyczułby, że kłamię.

— Tak. I co z tego?

Cisza. Stał przede mną w kompletnym bezruchu. Gdybym go nie  
widziała!, nie wiedziałabym, że tam jest. Umarli nie czynią hałasu.

Rozległ się dźwięk mojego pagera. Richard i ja drgnęliśmy, jakby przeszył nas prąd. Jean-  
Claude był nadal nieruchomy.

Wcisnęłam guzik i na widok numeru, który się wyświetlił, jęknęłam w głos.

— Kto cię wzywa? — spytał Richard. Położył mi rękę na ramieniu.

— Policja. Muszę znaleźć aparat. — Oparłam się o tors Richarda. Ścisnął mnie lekko. Spojrzałam  
na stojącego przede mną wampira. Czy Jean-Claude mógł mu coś zrobić, gdy odejdę? Nie byłam  
pewna.

— Masz przy sobie krzyżyk? — nawet nie zniżyłam głosu do szeptu. Jean-Claude i tak by mnie  
usłyszał.

— Nie.

# Lekko się odwróciRSam.

— Nie?! Wychodzisz po zmierzchu bez krzyżyka? Wzruszył ramionami.

— Jestem zmiennokształtny. Potrafię o siebie zadbać. Pokręciłam głową.

— Czy rozdarte gardło niczego cię nie nauczyło?

— Nadal żyję — mruknął.

— Wiem, że potrafisz uleczyć niemal każdą ranę, ale na miłość

bosk ą, Richardzie, mimo wszystko nie każdą! — Zaczęłam wyjmować spod bluzki łańcuszek z krzyżykiem. — Pożyczę ci swój. — Z prawdziwego srebra? — spytał Richard.

— Tak.

— Nic z tego. Wiesz, że jestem uczulony na srebro. Ach, tak. Ależ ze mnie idiotka. Wielka specjalistka od istot

nadnaturalnych proponuje lykantropowi srebro. Schowałam krzyżyk pod bluzkę.

— Nie jest człowiekiem, podobnie jak ja, *ma petite* — odezwał się Jean-Claude.

— Przynajmniej żyję.

— Można temu jakoś zaradzić.

— Przestańcie obaj.

— Widziałeś jej sypialnię, Richardzie? Jej kolekcję pluszowych pingwinków?

Wzięłam głęboki oddech i powoli wypuściłam powietrze. Nie zamierzałam zostawać tu dłużej i tłumaczyć Richardowi, w jakich okolicznościach Jean-Claude miał okazję zwiedzić moją sypialnię. Czy naprawdę musiałam powiedzieć na głos, że nie śpiam z nieumarłym?

— Chcesz wzbudzi warknął Richard.

— Mimo wszystko zasia Richardzie. Jestem o tym przekonany. Jesteś podległą mi istotą, moim wilkiem i wiem, że masz względem niej pewne wątpliwości.

— Nie powątpiewam w Anitę. — w jego głosie pojawił się obronny ton, który ani trochę nie przypadł mi do gustu.

— Nie należę do ciebie, Jean-Claude — rzekł Richard. — Jestem drugi w kolejności do roli przywódcy stada. Robię to, co zechcę.



# Chodzę tam, gdzie zapragnę. Nasz alfa unieważnił swój edykt posłuszeństwa

— Twoje słowa wobec ciebie, po tym jak przez ciebie o mało nie zginąłem. — Twój przywódca był bardzo zmartwiony, że przeżyłeś —

odparł łagodnym tonem Jean-Claude.

— Dlaczego przywódca stada miałby pragnąć śmierci Richarda?

— zapytałam.

Jean-Claude przeniósł wzrok na mojego towarzysza.

— Nie mam we mnie zazdrość, ale to ci się nie uda —

— Nie widzę w tobie ziarno wątpliwości, — Nie powiedziałaś jej, że czeka cię bój o sukcesję? — Nie zamierzam walczyć z Marcusem.

— Wobec tego umrzesz — odparł z niezmaconym spokojem

Jean-Claude.

Mój pager znów się odezwał. Ten sam numer.

— Już idę, Dolph — burknęłam. Spojrzałam na Richarda. W jego

oczach pałał gniew. Dłonie zacisnęły się w pięści. Stałam tak blisko, że czułam napięcie bijące z niego silnymi falami.

— Co się dzieje, Richardzie? Potrząsnął energicznie głową.

— To moja sprawa. Nie mieszaj się.

— Jeżeli ktoś ci grozi, automatycznie staje się to moją sprawą.

Spojrzał na mnie.

— Nie jesteś jedną z nas. Nie chcę cię w to mieszać.

— Potrafię sobie radzić, Richardzie.

Pokręcił głową.

— Marcus chce, abyś została w to wmieszana, *ma petite* — wyjaśnił Jean-Claude. — Richard odmawia. To między nimi prawdziwa... kość niezgody. Jedna z wielu.

— Skąd o tym wiesz? — zapytałam.

— My, przywódcy nadnaturalnych społeczności, musimy stykać się ze sobą. Dla bezpieczeństwa wszystkich.

Richard stał tylko i patrzył na wampira. Dopiero teraz po raz pierwszy uświadomił sobie, że patrzył Jean-Claude'owi w oczy bez jakichkolwiek negatywnych skutków.

— Czy możesz patrzeć mu w oczy, Richardzie? Richard spojrzał na mnie, po czym znów przeniósł wzrok na Jean-Claude'a.

# — Tak. Ja równie *RS* jestem potworem. Mogę patrzeć mu w oczy.

Pokręciłam głową

— Irving nie może. To nie wynika jedynie z faktu, że jesteś wilkołakiem.

— Podobnie jak ja jestem mistrzem wampirów, twój przystojny przyjaciel jest mistrzem wilkołaków. Chociaż one nie używają tego określenia. Mówią o sobie „samce alfa”, czyż nie? Przywódcy stada.

— Wolę określenie „przywódca stada”.

— Nie wątpię — wtrąciłam.

Richard sprawił wrażenie urażonego, jego usta wygięły się nieomal w podkówkę.

— Złócisz się na mnie, dlaczego?

— Masz poważne problemy w swoim stadzie, na szczycie toczy się jakaś walka, ale ty nie jesteś łaskaw wspomnieć mi o tym choćby słowem. W dodatku Jean-Claude niedwuznacznie daje mi do zrozumienia, że twój przywódca pragnie twojej śmierci. Czy to prawda?

— Marcus mnie nie zabije — odparł Richard. Jean-Claude zaśmiał się. Ten dźwięk zawierał w sobie gorzki podtekst, jakby wampirowi wcale nie było do śmiechu.

— Jesteś głupcem, Richardzie.

Znów rozległ się mój pager. Sprawdziłam numer i wyłączyłam urządzenie. To niepodobne do Dolpha, dzwonić tyle razy i w tak krótkim czasie. Działo się coś złego. Musiałam lecieć. Ale...

— Nie mam teraz czasu, aby wysłuchać tej historii w całości. — Wymierzyłam palec w sam środek torsu Richarda. Odwróciłam się do Jean-Claude'a plecami. I tak już sporo narozrabiał.

— Ale gdy wrócę, opowiesz mi o wszystkim.

— Ja...

— Daruj sobie. Albo powiesz mi wszystko, albo przestaniemy się spotykać.

Wydawał się wstrząśnięty.

— Dlaczego?

— Albo próbujesz mnie w ten sposób ochronić, co wcale mi się nie podoba. Albo robisz to z jakiegoś innego powodu. Oby to była naprawdę ważna przyczyna, a nie jakaś szowinistyczna bzdura.

# Jean-Claude znowu si*RS* ę zaśmiał. Tym razem ten dźwięk otulił mnie

jak miękka, ciepła flanela, gruba i miło przylegająca do mojej skóry.

Pokręciłam głową. Już sam śmiech Jean-Claude'a był naruszeniem mojej prywatności. Odwróciłam się do niego i chyba mój wyraz twarzy zdradzał to, co czułam, bo śmiech ucichł jak ucięty nożem.

— A ty wynoś się stąd, i to raz-dwa! Dość się już zabawileś jak na jeden wieczór. Wystarczy tego dobrego.

— Co chcesz przez to powiedzieć, *ma petite*? — Jego urodziwe oblicze było puste i czyste jak maska.

Znowu pokręciłam głową i ruszyłam naprzód. Musiałam już iść. Czekala mnie praca. Dłoń Richarda zacisnęła się na moim ramieniu.

— Puść mnie, Richardzie. Jestem na ciebie zła. Nie spojrzałam na niego. Nie chciałam zobaczyć jego oblicza. Obawiałam się, że ujrzawszy zbolaty wyraz twarzy mężczyzny, mogłabym mu wszystko wybaczyć.

— Słyszałeś, co powiedziała, Richardzie. Ona nie chce, abyś jej dotykał. — Jean-Claude płynnie zrobił krok do przodu.

— Daj spokój, Jean-Claude.

Palce dłoni Richarda zacisnęły się leciutko.

— Ona cię nie chce, Jean-Claude. — w głosie Richarda słychać było gniew, silniejszy, niż można by się spodziewać. Zupełnie jakby bardziej niż Jean-Claude'a próbował przekonać o tym siebie.

Postąpiłam naprzód, uwalniając się od jego dłoni. Chciałam po nią sięgnąć, ale tego nie zrobiłam. Miał przede mną tajemnice. Wielkie tajemnice. Chodziło o coś poważnego i niebezpiecznego. Nie lubiłam takich sytuacji. Co gorsza, w jakiejś mrocznej głębi swego serca sądził, że mogłabym wybrać Jean-Claude'a zamiast niego. Ale bagno.

— Pieprzcie się obaj — wycedziłam.

# — A więc nie mia*RSeś* tej przyjemności? — spytał Jean-Claude.

— Na to pytanie mo że odpowie ci Anita, na pewno nie ja — odparł Richard.

— Wiedział bym, gdyby tak było.

— Kłamca — warknąłam.

— Nie, *ma petite*. Wyczułbym to na twojej skórze.

Miałam ochotę mu przywalić. Pragnienie rozwalenia w drobny mak tej urodziwej twarzy było niemal namacalne. Napięłam mięśnie tak, że rozboleły mnie ramiona i barki. Ale miałam trochę oleju w głowie. Do walki na pięści z wampirem mógłby stanąć jedynie skrajny desperat lub samobójca. Taka walka radykalnie skraca długość ludzkiego życia.

Podeszłam do Jean-Claude'a tak blisko, że nasze ciała niemal się zetknęły. Spojrzałam na jego nos, co w pewnym stopniu zniweczyło efekt, ale jego oczy miały hipnotyczną moc i nie chciałam jej ulec.

— Nienawidzę cię — syknęłam, z trudem kontrolując głos. Miałam ochotę krzyczeć. Ale powiedziałam to, co czułam. I wiedziałam, że Jean-Claude to wyczuje. Chciałam, aby wiedział.

— *Ma petite...*

— Nie, dość już dziś powiedziałaś! Teraz moja kolej. Jeśli Richardowi Zeemanowi spadnie choćby włos z głowy, zabiję cię.

— Aż tyle dla ciebie znaczy?

W jego głosie usłyszałam zdziwienie. Doskonale.

— Nie, to ty znaczysz dla mnie tak mało. — Odsunęłam się i ominęłam go. Odwróciwszy się plecami, odeszłam. Niech spróbuje w końcu przełknąć tę gorzką prawdę. Może połamie na niej zęby. Tego wieczoru mówiłam wprost, co myślę.

## Rozdział piąty

N

a moim pagerze wy świecił się numer samochodowego telefonu detektywa sierżanta Rudolfa Storra. Był to gwiazdkowy prezent, który otrzymał w zeszłym roku od

żony. Posłałam jej za to kartkę z podziękowaniem. Policyjne radio sprawia, że każdy głos brzmi obco i niezrozumiale. Dolph odebrał przy piątym sygnale. Wiedziałam, że tak będzie.

— Anita.

— A gdyby to dzwoniła twoja żona? — spytałam.

— Wie, że jestem w pracy.

Nie drażyłam tematu. Nie każda żona pogodziłaby się z faktem, że jej mąż, odbierając telefon, wypowiada imię innej kobiety. Może

Lucille by ła inna.

— Co jest, Dolph? Miałam mieć wolny wieczór.

— Przykro mi, że zabójca o tym nie wiedział. Jeśli jesteś zajęta, jako ś damy sobie rad sami.

— Co cię ugryz o?

W odpowiedzi usłyszałam stłumiony chichot.

— Nic takiego. Jedziemy właśnie 44 w stronę Six Flags. — Gdzie konkretnie jesteście na 44?

— W pobliżu Audubon Nature Center. Jak szybko mogłabyś tu dotrzeć?

# — Sęk w tym, że *RSe* nie wiem, gdzie dokładnie jesteś. Jak mam

dotrzeć do tego Audubon?

— To naprzeciwko klasztoru świętego Ambrożego. — Nie mam pojęcia, gdzie to jest — przyznałam. Westchnął.

— Cholera, jesteśmy na takim zadupiu, że nie wiem, jak ci to wytłumaczyć. Są tu tylko znaki drogowe.

— Spróbuj mną pokierować. Jakoś tam trafię. Podał mi wskazówki na drogę. Było ich zbyt wiele, a ja nie miałam długopisu ani kartki papieru.

— Zaczekaj, muszę to sobie zapisać. Odłożyłam telefon i zwinęłam serwetkę z bufetu w holu. Potem od pary staruszków wyprosiłam pióro. Mężczyzna miał na sobie kaszmirowy płaszcz. Kobieta nosiła prawdziwe brylanty. Pióro było grawerowane i mogło być wykonane ze szczerzego złota. Nie wymusił na mnie obietnicy, że mu je zwrócę. Albo mi ufał, albo nie zależało mu na odzyskaniu pióra. Chyba muszę zrobić przegląd moich własnych artykułów piśmiennych. To stawało się coraz bardziej żenujące.

— Już jestem, Dolph, mów.

Nie pytał, czemu to trwało tak długo. Dolph nie lubi za dużo gadać. Powtórzył wskazówki. Zapisałam je i dla pewności odczytałam na głos. Wszystko się zgadzało.

— Dolph, to co najmniej czterdzieści pięć minut jazdy. — Zazwyczaj jestem ostatnim ekspertem, którego wzywają na miejsce zbrodni. Już po tym, jak ofiara zostanie obfotografowana, sfilmowana, wyszturchana, wymacana i co tylko jeszcze. Po moim przyjeździe wszyscy wracają do domów, a przynajmniej opuszczają miejsce zbrodni. Ludzie nie lubią odmrażać sobie tyłków przez dwie godziny.

# — Zadzwoił *RSem* do ciebie, gdy tylko się zorientowałem, że nie

zrobił tego człowiek. Skończymy naszą robotę w czterdzieści pięć minut i czekamy na twój przyjazd.

Powinłam by ła si domyślić, że Dolph wszystko starannie zaplanował.

— W porządku, przyjadę jak najszybciej. Odłożył słuchawkę. Ja również. Dolph nigdy nie mówił „do widzenia”. Oddałam mężczyźnie pióro. Przyjął je z uśmiechem, jakby nigdy nie wątpił, że je odzyska. Stara szkoła.

Ruszyłam w stronę drzwi. Ani Jean-Claude'a, ani Richarda nie było w holu. Znajdowali się wśród ludzi, nie obawiałam się więc, że wezmą się za łby, może wymienią między sobą parę kąśliwych uwag, ale do rękoczynów nie dojdzie.

W tej sytuacji uznałam, że wampir i wilkołak potrafią sami o siebie zadbać. Poza tym skoro Richard miał nie martwić się o mnie podczas wykonywania obowiązków służbowych, jedyne, co mogłam zrobić, to odpłacić mu tym samym. Wątpiłam, aby Jean-Claude przekroczył pewną granicę. Nie chciał ryzykować. W przeciwnym razie jedno z nas musiałoby umrzeć i niekoniecznie musiałabym to być ja.



## Rozdział szósty

T

uż za drzwiami otoczył mnie chłód. Wtuliłam głowę w ramiona i postawiłam kołnierz. Przede mną maszerowała czwórka rozbawionych osób. Szli objęci, tuląc się do siebie

dla ochrony przed chłodem. Szpilki kobiet stukwały przeraźliwie głośno. Śmiech wydawał się zbyt wysoki, zbyt piskliwy. Pierwsza jak dotąd udana podwójna randka. A może byli zakochani, a ja czułam się fatalnie. Może.

Czwórka imprezowiczów rozstąpiła się jak woda opływająca głaz, ukazując przede mną kobietę. Minąwszy ją, towarzystwo ponownie się połączyło, śmiejąc się, jakby jej nie widzieli. I zapewne tak właśnie było.

Nagle to poczułam, słabe zawirowanie w chłodnym powietrzu. Odczucie nie miało nic wspólnego z wiatrem, a kobieta udawała niewidzialną

to, że jej nie zauważ

oznaczało, że był

Stanęła pod ostatni

. Dopóki nie została ujawniona przez dwie pary, przez y. Ja też nie zwróciłam na nią uwagi. Co a dobra. Naprawdę bardzo dobra.

latarnią. Jej falujące, gęste włosy miały

ma ślaną barwę. Były dłuższe niż moje, sięgały prawie do pasa. Płaszcz, który nosiła, zapięty aż po samą szyję, był czarny. Ten kolor był dla niej zbyt ponury. Podkreślał biel skóry, nawet mimo makijażu, jaki miała.

Stanęła pośrodku chodnika, dumna i arogancka. Była mniej więcej mojego wzrostu, nie imponowała posturą. Czemu więc stała tam, jakby nic na świecie nie było jej w stanie zranić. Taką pewnością siebie

# dawała *RSy* tylko trzy rzeczy — pistolet maszynowy, głupota albo fakt, że

była się wampirem. Nie zauważyłam rozpylacza, a na głupią ta kobieta raczej nie wyglądała. Teraz, gdy się jej baczniej przyjrzałam, stwierdziłam, że faktycznie wygląda jak wampirzyca. Miała dobry makijaż. Sprawiał, że nieomal wyglądała na żywą. Nieomal.

Przyłapała mnie na tym, że ją obserwuję. Odpowiedziała spojrzeniem, usiłując przechwycić mój wzrok, ale byłam za cwana, aby dać się złapać na taką starą sztuczkę. Gapienie się na czyjaś twarz bez patrzenia temu komuś w oczy to numer, który wymaga długotrwałej praktyki, ale z czasem można go opanować. Zmarszczyła brwi, łypiąc na mnie. Nie lubiła, gdy ktoś opierał się hipnotycznej mocy jej oczu.

Zatrzymałam się jakieś dwa metry od niej. Stałam na lekko rozstawionych nogach, choć w szpilkach utrzymanie równowagi nie należy do łatwości. Wyjęłam już ręce z kieszeni, by w razie potrzeby sięgnąć po pistolet.

Jej moc przepłynęła po mojej skórze jak palce dotykające to tu, to tam i usiłujące odnaleźć słabe punkty. Była naprawdę niezła, ale miała tylko trochę ponad sto lat. Sto lat to za mało, aby zamącić mi w głowie. Wszyscy animatorzy mają wrodzoną odporność na mentalne sztuczki wampirów. Ja byłam pod tym względem nieco bardziej uzdolniona od innych.

Jej niebrzydkie oblicze przepełniło wyraz głębokiego skupienia. Machnęła szeroko ręką, jakby czymś we mnie rzuciła. Skuliłam się, a jej moc uderzyła we mnie na podobieństwo niewidzialnej fali. Zachwiałam się.

Wyciągnęłam pistolet. Nie próbowała się na mnie rzucić. Starła się mentalnie mnie zniechęcić. Miała co najmniej dwieście lat. Szacując jej wiek, pomyliłam się o jakieś sto lat. Rzadko popełniam takie błędy. Jej moc uderzała w moje ciało jak niewidoczne, maleńkie maczugi, ale nie byłam w stanie dosięgnąć mego umysłu. Byłam niemal tak samo zdziwiona jak ona, gdy wymierzyłam w nią broń. To było zbyt proste.

# — Hej! — rozległ *RS* się za nami czyjś głos. — Rzuć broń, ale już!

Glina. Tylko tego mi by ło trzeba. Opuściłam pistolet.

— Połóż pistolet na chodniku, natychmiast — warknął i nawet nie odwracając się, wiedziałam, że policjant także wyjął swoją służbową broń. Gliny bardzo poważnie podchodziły do sytuacji, gdzie w grę wchodziła broń palna. Przełożyłam browninga do prawej ręki, lewą uniosłam w górę i przykucnęłam, by ostrożnie położyć broń na chodniku.

— Nie lubię, gdy ktoś mi przeszkadza — rzekła wampirzyca. Podnosząc się powoli, spojrzałam na nią, po czym złożyłam dłonie na potylicy. Może zarobię parę punktów za postępowanie zgodne z procedurą. Patrzyła poza mną na podchodzącego policjanta. To nie było przyjazne spojrzenie.

— Nie rób mu krzywdy — powiedziałam. Powróciła do mnie spojrzeniem.

— Nie wolno nam atakować stróżów prawa — oznajmiła drwiącym głosem. — Znam zasady. Chciałam zapytać: „Jakie zasady?” — ale nie zrobiłam tego. To była dobra zasada. Dzięki niej policjant mógł pozostać przy życiu. Naturalnie ja nie byłam policjantką i mogłam się założyć, że owa reguła nie odnosiła się także do mnie.

Kątem oka spostrzegłam podchodzącego glinę. Mierzył we mnie z pistoletu. Kopnięciem odtrącił moją broń, abym nie mogła jej dosięgnąć. Zauważyłam, że pistolet odbił się od ściany budynku. Silna dłoń wpiła mi się w plecy, koncentrując moją uwagę na bieżących wydarzeniach.

— Nie musisz wiedzieć, gdzie wylądowała twoja splota.

Miał rację, na razie. Obszukał mnie jedną ręką. Nie zrobił tego zbyt

# dokładnie i zastanawia **RS**łam się, gdzie był jego partner.

— Wystarczy — rzuciła wampirzyca. Poczulałam, że glina cofnął się ode mnie o krok.

— Co się tu dzieje?

Jej moc przepłynęła obok mnie niczym wielka bestia ocierająca się o mnie w mroku. Usłyszałam, że policjant głośno stęknął.

— Nic się tu nie dzieje — rzekła wampirzyca. Wychwyciłam w jej głosie silny akcent. Niemiecki albo może austriacki.

Zaraz potem rozległ się głos policjanta.

— Nic się tu nie dzieje.

— Teraz wróć do kierowania ruchem ulicznym — rozkazała.

Odwróciłam się, wciąż trzymając dłonie na potylicy. Glina stał tuż obok, twarz miał wypraną z wszelkich emocji. Celował w ziemię, jakby zapomniał, że trzyma w ręku pistolet.

— Odejdź — poleciła.

Stał jak wrośnięty w ziemię. Miał spinkę do krawata w kształcie krzyża. Mimo iż nosił przy mundurze poświęcony krzyżyk, nie na wiele mu się on przydał.

Cofnęłam się o kilka kroków. Chciałam odzyskać pistolet, zanim wampirzyca przestanie interesować się gliną.

Powoli, przez cały czas obserwując policjanta, opuściłam ręce. Gdyby gwałtownie uwolniła go spod swej kontroli, a ja nie znalazłabym się w miejscu, gdzie powinnam stać, mógłby mnie zastrzelić. Być może nie zrobiłby tego, ale wolałam nie ryzykować. Jeśliby ponownie ujrzał w mojej dłoni spluwę, rozwaliliby mnie na pewno.

— Pewnie nie zechcesz zdjąć mu krzyżyka, abym mogła nim ować?

Przeniosłam wzrok na wampirzycę. Patrzyła na mnie. Gliniarz poruszył się ospale, jak śniący, przeżywający nocny koszmar.

Znowu na niego spojrzała i natychmiast się uspokoiła.

— Raczej nie — odparłam. Uklękałam, usiłując mieć na oku oboje. Namacałam browninga i zacisnęłam dłoń na kolbie. Z zimna zeszywniały mi dłonie. Nie byłam pewna, jak szybko byłabym w stanie złożyć się do strzału i nacisnąć spust. Może powinnam poszukać dla siebie jakichś rękawiczek. Choćby takich bez palców.

Włożyłam pistolet do kieszeni płaszcza, przez cały czas trzymając go w dłoni. Ogrzeje mi się ręka, a w razie konieczności mogłam strzelić, nie wyjmując broni z kieszeni.

— Gdy nie będzie miał krzyżyka, będę go mogła zmusić, aby

# odszedł. Czemu tobą *RS* nie mogę tak pokierować?

— Chyba mam szczęście.

Zerknęła na mnie. Głowa drgnęła. Musiała przez cały czas na niego patrzeć, nawet gdy zwracała się do mnie. To ciekawe, ile skupienia ją to kosztowało. Miała dużą moc, ale nie nieograniczoną.

— Jesteś Egzekutorką — orzekła.

— I co z tego?

— Nie wierzyłam w te opowieści. Teraz wierzę przynajmniej w niektóre z nich.

— Punkt dla ciebie. Do rzeczy. Czego chcesz? Jej uszmiokowane wargi wykrzywiły się w lekkim uśmiechu.

— Chcę, abyś zostawiła Jean-Claude'a w spokoju.

Zamrugałam. Nie byłam pewna, czy się nie przesłyszałam.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Nie umawiaj się z nim. Nie flirtuj z nim. Nie rozmawiaj z nim. Daj mu spokój.

— Z przyjemnością — odparłam.

Odwróciła się do mnie zaskoczona. Nierzadko widuje się zaskoczenie na twarzy dwustuletniego wampira. Z wybałuszonymi oczami i otwartymi ustami wyglądała prawie jak człowiek. I zdziwienie było ludzkie.

Gliniarz parsknął i rozejrzał się dziko wokoło.

— Co u diabła? — Spojrzał na nas obie. Wyglądałyśmy jak dwie nieduże imprezowiczki. Zerknął na swój pistolet i zdumiał się. Nie pamiętał, dlaczego wyjął broń. Zażenowany schował pistolet, mamrocząc pod nosem słowa przeprosin, i czym prędzej się oddalił. Wampirzyca pozwoliła mi odejść.

— Mogłabyś dać Jean-Claude'owi spokój, ot tak, z dnia na dzień? — spytała.

— Jasne. Pokręć głową.

— Nie wierzę ci.

— Nie obchodzi mnie, czy wierzysz, czy nie. Jeśli masz ochotę na Jean-Claude'a, tym lepiej dla ciebie. Już od dawna usiłuję się od niego uwolnić.

# Znów energiczny ruch gRS łową, po którym żółte kosmyki włosów

przesłoniły jej twarz. Bardzo kobiecy gest. Gdyby nie to, że była nieumarłą, wyglądałaby całkiem atrakcyjnie.

— Łżesz. Pragniesz go. To takie typowe. Nie próbowałam oponować.

— Masz jakieś imię?

— Gretchen.

— W porządku, Gretchen. Życzę ci powodzenia w zdobywaniu mistrza. Gdybyś miała kłopoty z zatopieniem w nim kłów, daj mi znać. Z przyjemnością cię z nim skojarzę.

— Drwisz ze mnie. Wzruszyłam ramionami.

— Odrobinę, ale taką już mam naturę. Nie bierz tego do siebie. Powiedziałam, co myślę. Nie chcę Jean-Claude'a dla siebie.

— Nie uważasz, że jest piękny? — w jej miękkim głosie zabrzmiało wyraźne zdziwienie.

— No... jest, ale tygrysy także są piękne. A mimo to nie mam ochoty przespać się z jednym z nich.

— Żaden śmiertelnik nie mógłby mu się oprzeć.

— Ja mogę — odparłam.

— Trzymaj się od niego z daleka albo cię zabiję — zagroziła.

Gretchen w ogóle mnie nie słuchała. To znaczy słyszała słowa, ale nie pojmowała ich sensu. Przypominała mi pod tym względem Jean-Claude'a.

— Zrozum, to on próbuje mnie zdobyć. Gdyby tylko mi na to pozwolił, trzymałabym się jak najdalej od niego. Ale nie podoba mi się, że mi grozisz. Nie lubię grózb.

— On jest mój. Je eli ze mną zadrzesz, pożałujesz.

Tym razem ja pokr ciłam głową. Może nie wiedziała, że celuję do niej z pistoletu. Może e nie wiedziała, że mam w magazynku posrebrzane naboje. A mo że dwieście lat życia uczyniły ją butną i arogancką. Tak. Zapewne tak właśnie było.

— Posłuchaj. Nie mam czasu na tego typu dyskusje. Jean-Claude jest tutaj, świetnie, zgoda. Nie ma sprawy. Nawet nie wiesz, jak miło mi to słyszeć. Trzymaj go z dala ode mnie, a uczynisz mnie naj

# szczęśliwszą kobietą *RS*wiata. Będę ci za to wdzięczna do śmierci, a

może i dłużej.

Nie chciałam odwracać się do niej plecami, ale musiałam już iść. Jeżeli tylko teraz nie rzuci się na mnie, wypadaloby to jakoś zakończyć. Na miejscu zbrodni czekał na mnie Dolph. Musiałam już lecieć.

- Gretchen, o czym rozmawiacie z Anitą? — Jean-Claude podszedł do nas. Miał na sobie — wcale nie żartuję — czarną pelerynę. Była to peleryna w stylu wiktoriańskim, z kołnierzem.

Stroju dopełniał cylinder z białą, jedwabną wstążką.

Gretchen spojrzała na niego. Nie sposób opisać tego słowami.

Wyraz uwielbienia na jej twarzy był tak dogłębnie ludzki, że nieomal przyprawił mnie o mdłości.

— Chciałam poznać moją rywalkę.

Nie byłam jej rywalką, ale chyba i tak by mi nie uwierzyła. — Kazałem ci czekać na zewnątrz, abyście się nie spotkały.

Chyba wyraziłem się jasno — wycodził surowym tonem. Drgnęła trwożliwie.

— Nie zamierzałam dziś nikogo skrzywdzić.

Balansowała na granicy kłamstwa, jednak nie próbowałam zaprzeczać. Mogłabym powiedzieć Jean-Claude'owi, że mi groziła, ale może to dziwne, nie chciałam na nią donosić. Zadała sobie sporo trudu, by rozmówić się ze mną sam na sam. Aby mnie spławić. Jej miłość do niego była tak wyrazista. Nie chciałam jej zranić. Nie jego rękami. To głupie, ale prawdziwe. Poza tym nie miałam wobec Jean-Claude'a żadnych długów wdzięczności.

— Zostawię was teraz samych. Pogruchajcie sobie, zakochane gołąbki.

— Coś ty jej o nas naopowiadała? — jego słowa przepełniała gorejąca wściekłość. Niemal czułam ją w gardle. Dławiła jak mokra szmata. O rany.

Osunęła się na kolana, unosząc obie ręce do góry, nie po to, by osłonić się przed ciosem, lecz wyciągając je ku niemu w błagalnym geście.



# — Proszę, zamierza *RS* łam tylko się z nią spotkać. Ujrzeć

śmiertelniczkę, która może mi ciebie odebrać.

Nie chciałam tego oglądać, ale sytuacja była podobna do wypadku samochodowego. Nie mogłam tego przeoczyć.

— Niczego ci nie odbierze. Nigdy cię nie kochałem.

Jej oblicze przepęłniło się bólem i nawet mimo makijażu stało się niehumanitarne. Twarz wychudła, kości stały się bardziej wystające i wydatne, jakby skóra robiła się coraz cieńsza. Schwycił ją za rękę i brutalnie podźwignął z ziemi. Dłoń przyobleczona w białą rękawiczkę była niewzruszona, palce wpiły się w jej ciało. Gdyby była człowiekiem, pozostałyby jej spore sińce.

— Weź się w garść, kobieto. Tracisz nad sobą kontrolę.

Zwężające się usta rozchyliły się, ukazując kły. Zasyczała na niego i wyrwała rękę z uścisku. Przesłoniła twarz dłońmi wyglądającymi prawie jak szpony.

Widowałam wampiry ukazujące swą prawdziwą postać, ale nigdy przypadkiem, nigdy na ulicy, w miejscu publicznym, gdzie ktoś mógłby je zobaczyć.

— Kocham cię. — słowa wydawały się zduszone i zniekształcone, ale brzmiały prawdziwie. Bardzo... ludzko.

Podobnie jak zawarte w nich uczucie.

- Precz mi z oczu, zanim okryjesz hańbą nas wszystkich — rzekł Jean-Claude.

Uniosła do światła twarz, która już nie przypominała ludzkiej. Błada skóra lśniła wewnętrznym blaskiem. Tę gorejącą twarz zdobił silny makijaż. Podkład ponad barierą świat

ad, cienie, róż i szminka zdawały się unosić ci, jakby skóra już ich nie wchłaniała. Gdy odwróciła głowę, ujrzałam pod jej skórą cienie kości żuchwy.

— To jeszcze nie koniec, Anito Blake. Mamy jeszcze do

# pogadania — wycedzi*RS*a, szczerząc kły.

— Precz! — zasycza ł gniewnie Jean-Claude.

Wyprysn ęła w gór — nie podskoczyła ani nie zaczęła lewitować, po prostu uniosła si w powietrze. Zniknęła w ciemnościach pośród gwałtownego podmuchu wiatru.

— Boże święty — wyszeptałam.

— Wybacz, *ma petite*. Robiłem, co w mojej mocy, by nie doszło do waszego spotkania. —  
Podszedł do mnie, otulony peleryną.

Powiał silny wiatr i Jean-Claude musiał jedną ręką przytrzymać cylinder. Miło wiedzieć, że przynajmniej strój nie zawsze był mu posłuszny.

— Muszę już iść, Jean-Claude. Czeka na mnie policja.

— Nie chciałem, by do tego doszło.

— Ty nigdy niczego nie chcesz, Jean-Claude. A jednak to się dzieje.

Uniosłam dłoń, by uciszyć jego potencjalną ripostę. Nie chciałam usłyszeć, co miał jeszcze na ten temat do powiedzenia.

— Muszę iść. — Odwróciłam się i ruszyłam w stronę samochodu. Znalazłszy się bezpiecznie po drugiej stronie oblodzonej ulicy, przełożyłam pistolet z kieszeni do kabury.

— Wybacz, *ma petite*. Naprawdę bardzo mi przykro.

Odwróciłam się, chcąc powiedzieć, żeby z łaski swojej wreszcie się ode mnie odczepił. Ale jego już tam nie było. Uliczne latarnie oświetlały pusty chodnik. Chyba ani on, ani Gretchen nie potrzebowali samochodów.

## Rozdział siódmy

Z

anim skr ęcisz na autostradę 44, po prawej stronie możesz ujrzeć szereg majestatycznych, starych domów. Budynki te kryją się za ceglanymi murami i parkanami ze stalowych,

kutych pr ętów. Gdy je budowano, stanowiły szczyt elegancji, podobnie jak cała okolica. Obecnie domy te są samotną enklawą osaczaną ze wszystkich stron przez tanie czynszówki, po ulicach zaś snują się dzieciaki o tępym wzroku, gotowe zabijać się nawzajem za parę zdartych adidasów. A jednak te stare domy wciąż trwają i choć z wolna odchodzą w cień, umierają — jak dżentelmeni — z godnością.

W Fenton najwi ększym pracodawcą jest nadal fabryka Chryslera. Boczna droga ciągnie się obok barów szybkiej obsługi i niedużych firm. Autostrada omija to wszystko szerokim łukiem. Biegnie hen, w dal, nie oglądając się wstecz. Gmach Maritza wznosi się nad autostradą i rozpięt

nie wiem, czym zajmuj

nie wiem, czym zajmuj nad nią dużą, krytą kładką, w której mogłoby biur. Przykuwa wzrok jak krzykliwa reklama, ale

ają się tamtejsze firmy i niewiele mogą również powiedzieć o budynkach stojących wzdłuż autostrady 44. Czasami wystarcza sama krzykliwość.

Po obu stronach drogi wznoszą się góry Ozark. Są łagodne i zaokrąglone. Gładkie góry. W słoneczny, jesienny dzień, gdy korony

# drzew mienia się róRSnokolorowo, góry wręcz olśniewają swoim

pi ęknem. W zimną , grudniową noc, gdy za towarzystwo miałam jedynie latarkę, góry przywodziły na myśl śpiącego tuż przy drodze olbrzyma. Śniegu nie było wiele, ale wystarczyło, by jaśniał pośród nagich, posępnych drzew. Czarne kształty wiecznie zielonych krzewów wyglądały w blasku księżyca jak niewzruszone cienie. Wapienny klif lśnił bielą w miejscach, gdzie góry zostały naruszone, by wydobywać w nich żwir. U podnóża gór dostrzec można było niewielkie budynki. Zgrabne farmerskie domki z gankami, na których aż chciało się usiąść. Były też inne chaty, brzydsze, z niepomalowanego drewna, o zardzewiałych dachach z blachy cynkowej. Na pustych polach rozciągały się zagrody, choć — jak okiem sięgnąć — w pobliżu nie było żadnych chat. Na siarczystym mrozie stał samotny koń ze spuszczoneym łbem, poszukując źdźbeł nieunicestwionej przez zimę trawy. Za Eureką konie hodowało wielu ludzi, ludzi, których nie stać było, aby mieszkać w Ladue czy Chesterfield, gdzie za dom trzeba było wybulić ponad pół miliona, ale w skład gospodarstwa wchodziły stajnie, stodoły i zagrody. Tu miało się najwyżej stajnię, zagrodę i dobrych parę kilometrów do przejechania za każdym razem, by zobaczyć swego wierzchowca, ale lepsze to niż nic. Niemniej jednak wielu ludzi było skłonnych zadać sobie tyle trudu, po prostu kochali swoje konie.

W blasku reflektorów auta rozb łyśła bielą stojąca na poboczu tablica drogowa. Zwolniłam. Jakiś samochód rąbnął w tablicę i wygiął słupek. Trudno było odczytać napis na tablicy wykrzywionej pod kątem sześćdziesięciu stopni. Zapewne właśnie dlatego Dolph polecił mi wypatrywać raczej uszkodzonej tablicy niż widniejącego na niej napisu.

Zjecha łam w wąską drogę. W St. Louis spadło ostatnio jakieś siedem i pół centymetra śniegu. Tu co najmniej piętnaście. Droga nie była odśnieżona. Pięła się ostro pod górę, wiodąc na wzgórze. W śniegu widniały głę bokie bruzdy, ślady samochodowych opon. Ślady radiowozów, które przejechały tędy przede mną. Skoro one mogły przejechać, to i mój d ip też. W starym nova zakopałabym się pewnie na amen i musiałabym pójść dalej pieszo. Na szpilkach. Co prawda

# miałam w dżipie par *RS* nike, ale buty do biegania też nie są zbyt dobre

do chodzenia po śniegu. Może powinnam kupić buty traperskie.

W St. Louis nie ma takich opadów śniegu. Od czterech lat nie widziałam tak grubych pokładów białego puchu jak tutaj. Nie sądziłam, że mogłabym potrzebować traperek. Drzewa zwieszały się nad drogą, nagie konary kołysały się w świetle reflektorów. Wilgotne, pokryte lodem pnie nachylały się w stronę drogi. Latem drzewa tworzyłyby nad nią zielony, soczysty tunel, teraz wyglądały jak czarne kości wyłaniające się ze zwałów śniegu.

Na szczycie wzgórza dostrzegłam potężny, kamienny mur. Musiał mieć ponad trzy metry wysokości i skutecznie skrywał wszystko, co znajdowało się po lewej stronie drogi. Zapewne był tam klasztor.

Jakieś sto metrów dalej w murze, przy bramie z kutego żelaza, umieszczona była tablica. Wypukłe metalowe litery układały się w napis KLASZTOR ŚWIĘTEGO AMBROŻEGO. Podjazd ciągnął się łagodnym łukiem od wjazdu i znikał za niedużym wzniesieniem. Naprzeciwko wjazdu ujrzałam mniejszą, żwirową drogę. Ślady opon ciągnęły się w ciemność przede mną i znikwały za sąsiednim wzgórzem. Gdyby nie brama — miejsce, którego miałam wypatrywać — przeoczyłabym tę drogę. Dopiero gdy zakręciłam kierownicą dżipa, w świetle reflektorów spostrzegłam, że ślady opon skręcają w prawo.

Zastanawiam się, co mógł znaczyć tak duży ruch na tej drodze. To nie moja sprawa. Zjechałam na żwirowy trakt. Konary zahaczały o dżipa, zgrzytając o karoserię, jakby ktoś szorował paznokciami po tablicy. Pięknie, po prostu pięknie. Nowy lakier. Nowy wóz. I proszę.

Nigdy dotąd nie miałam fabrycznie nowego auta. Pierwsza stłuczka, kiedy przejechałam po ośnieżonym nagrobku, była najgorsza. Potem poszłam już z górki. No, jasne.

Po obu stronach drogi rozciągały się puste łąki. Porastały je sięgające do pasa, zmarznięte chwasty oprószone śniegiem. Krótkie czerwone i niebieskie białe

końcu drogi stał biały

łyśki rozpraszały mrok, przydając barwy

Łąka kończyła się nagle jak nożem uciął. Na wprost, z gankiem i siatkowymi drzwiami. Przed domem zaparkowano kilkanaście samochodów; wyglądały jak zabawki porzucane przez rozkapryszone dziecko. Miałam

# nadzieję, że droga zakręcała przy domu. Jeżeli nie, samochody

musiałyby stać na trawniku. Moja babcia nie znosiła, gdy ktoś parkował wóz na trawniku.

Większość wozów, w tym także karetka, miała włączone silniki. W autach siedzieli ludzie. Czekali. Tylko na co? Zwykle zanim dotarłam na miejsce zbrodni, było już po herbacie. Ktoś czekał tylko, aż skończę oględziny, aby można było zabrać zwłoki, ale technicy dawno już skończyli swoją robotę. Teraz coś było nie tak.

Zaparkowałam przy wozie szeryfa hrabstwa St. Gerard. Przy drzwiach od strony kierowcy stał policjant, opierając się o dach auta. Patrzył na grupę mężczyzn przy domu, ale natychmiast odwrócił się i przeniósł wzrok na mnie. Mój widok chyba go nie ucieszył.

Charakterystyczny kapelusz ocieniał mu twarz, ale pozostawiał uszy i potylicę odsłonięte, narażone na działanie mrozu. Facet był blady, piegowaty i miał co najmniej metr osiemdziesiąt pięć wzrostu. Wyglądał jak wielki facet, który zawsze był wielki i nabrał przekonania, że to czyni go twardym. Włosy miał na tyle jasne, że pochłaniały barwę mrugających bez przerwy kogutów, wskutek czego wydawały się na przemian czerwone lub niebieskie. Podobnie jak jego twarz, śnieg i wszystko inne.

Bardzo ostro żnie wysiadłam z samochodu. Śnieg nasypał mi się do butów, przemaczając rajstopy. Był zimny i mokry, a ja kurczowo trzymałam się drzwi auta. Buty na obcasie i śnieg nie idą z sobą w parze. Absolutnie nie miałam ochoty wylądować na tyłku przed szeryfem hrabstwa St. Gerard. Powinnam była wziąć niki z kufra dzipa i jeszcze w wozie zmienić buty. Teraz już było za późno.

Zastępca szeryfa szedł dumnym krokiem w moją stronę. Nosił wysokie boty na grubym protektorze i nie miał kłopotów z brnięciem przez śnieg.

# Zatrzymał się o wyciRSągnięcie ręki ode mnie.

## Zwykle nie pozwalałam

nieznajomym tak bardzo si ę do mnie zbliżyć, ale żeby się cofnąć, musiałabym puścić drzwi auta. Poza tym on był policjantem, a ja przecież nie powinnam ba ć się policji, prawda?

— To miejsce jest zamknięte dla osób cywilnych. Trwa tu postępowanie policyjne. Musi pani stąd odjechać.

— Jestem Anita Blake. Pracuję z sierżantem Rudolphem Storrem.

— Nie jest pani policjantką. — To było stwierdzenie. W dodatku bardzo posępne.

— Nie, nie jestem.

— Wobec tego musi pani stąd odjechać.

— Czy mógłby pan powiadomić sierżanta Storra, że tu jestem... bardzo proszę. — Nigdy nie zaszkodzi być uprzejmym.

— Dwa razy bardzo grzecznie poprosiłem panią o opuszczenie tego miejsca. Niech pani nie zmusza mnie, bym zrobił to po raz trzeci.

Wystarczyłoby, aby wyciągnął rękę, wepchnął mnie do dziapa i byłoby po sprawie. Nie zamierzałam wyciągać broni przeciwko gliniarzowi, gdy opodał wręcz roilo się od policjantów. Nie chciałam dziś zarobić kuli.

Co mogłam począć? Starannie zatrzęsnęłam drzwi auta i oparłam się o nie. Jeśli zachowam ostrożność i nie będę się kręcić, może się nie przewrócę. A gdyby nawet, zawsze będę mogła to zwalić na brutalność policji.

— Czemu to pani zrobiła?

— Jechałam czterdzieści pięć minut i zrezygnowałam z randki, aby tu dotrzeć — starałam się przemówić mu do rozsądku. — Niech pan pozwoli mi pomówić z sierżantem Storrem, jeśli on każe mi odjechać, zrobię to.

— Nie obchodzi mnie, skąd pani przyjechała. Jak dla mnie mogłaby pani nawet przylecieć z Europy. Powiedziałem, że ma pani stąd odjechać, i kropka. Natychmiast.

Facet nie miał za grosz rozsądku.

Wyciągnął rękę w moją stronę. Cofnęłam się, by mnie nie dosięgnął. Moja lewa stopa napotkała splachetek lodu i koniec końców wylądował am na tyłku w śniegu.

Zastępca szeryfa chyba trochę się zdziwił. Odruchowo, bez



# namysłu podał mi rękę *RS*. Podniosłam się, przytrzymując zderzaka

dżipa, odsuwając się równocześnie od posepnego gliniarza.

Spodziewałam się tego.

Zmarszczki na jego czole jeszcze bardziej się pogłębiły. Grudy śniegu przylepiły się do mego płaszcza i spływały mi

topniejącymi strużkami po nogach. Byłam coraz bardziej wkurzona. Gliniarz zaczął iść w moją stronę.

Cofnęłam się, przytrzymując się obiema dłońmi samochodu. — Możemy pobawić się w berka, jeśli pan chce, panie oficerze,

ale nie odjadę stąd, dopóki nie porozmawiam z Dolphem. — Sierżant tu nie rządzi. — Postąpił jeszcze jeden krok w moją stronę.

Cofnęłam się.

— Wobec tego chcę mówić z tym, kto tu rządzi.

— Nie musi pani rozmawiać z nikim oprócz mnie — burknął.

Zrobił trzy szybkie kroki w moim kierunku. Cofnęłam się jeszcze

szybciej. Gdyby sytuacja rozwinęła się jeszcze bardziej, mogłaby

zmienić się w jedną ze scen ze starych, ślapstickowych komedii,

gdzie wściekły gliniarz ścigał Charliego Chaplina albo braci Mara. — Ucieka pani przede mną.

— W tych butach? Chyba pan żartuje.

Prawie obeszłam dżipa dokoła. Wróciłam do punktu wyjścia.

Pośród szumu policyjnego radia słyszałam podniesione, gniewne

głosy. Wśród nich rozpoznałam głos Dolpha. A więc nie tylko ja miałam kłopoty z miejscową policją. Choć chyba tylko ja byłam ścigana

dokoła samochodu.

— Proszę się zatrzymać — warknął.

— A jak nie, to co?

Odpiął zatrzask przy kaburze broni. Jego dłoń spoczęła na kolbie

rewolweru. Wszelki komentarz stał się zbędny.

Facet był nienormalny.

# Może udałoby mi się *siRS* sięgnąć po broń, zanim tamten wyciągnie

swoją, ale on był głupcy. Powinien stać po stronie prawa i sprawiedliwości. Staram się do takich nie strzelać. Poza tym spróbuj potem wyjaśnić innemu głupcy, dlaczego posłałaś kulę jego koledze. Pod tym względem policjanci są bardzo drażliwi.

Nie mogłam wyciągnąć broni. Nie mogłam go prześcignąć. W walce wręcz też pewnie miałabym marne szanse. Zrobiłam jedyną rzecz, jaka mi przyszła do głowy. Zawołałam.

— Dolph! Zerbrowski! Chodźcie tu szybko!

Krzyki ucichły, jakby ktoś wyłączył dźwięk. Słysząc było tylko cichy szum policyjnego radia. Spojrzałam w stronę grupki policjantów. Dolph patrzył w moim kierunku. Dolph ze swoimi dwoma metrami wzrostu górował nad wszystkimi. Pomachałam do niego. Niezbyt gwałtownie, ale tak, by mieć pewność, że mnie zauważy.

Zastępca szeryfa wyciągnął broń. Z trudem powstrzymałam się, by nie zrobić tego samego. Ale ten frajer chyba tylko na to czekał. Nie zamierzałam dać mu satysfakcji. Gdyby mimo wszystko do mnie strzelił, będę nieleko wkurzona.

Jego rewolwer okazał się modelem magnum kaliber 357, taką spluwą można by kropnąć wieloryba. W przypadku istot dwunożnych użycie jej było grubą przesadą. Zwłaszcza wobec ludzi. Poczulałam się dość niepewnie, wpatrując się w czarny wylot lufy. Zatrzymałam wzrok na twarzy policjanta. Już nie był posępny. Wydawał się bardzo zdeterminowany i pewny siebie, jakby ewentualne pociągnięcie za spust i tak uszło mu na sucho.

Miałam ochotę znów zawołać Dolpha, ale nie zrobiłam tego. Ten debil mógłby nacisnąć spust. Z tej odległości, przy spluwie tego kalibru byłoby po mnie. Mogłam tylko stać w śniegu, podczas gdy moje stopy z wolna traciły czucie, a dłonie kurczowo trzymały się auta. Przynajmniej nie kazał mi podnieść rąk do góry. Chyba nie chciał, abym znów wylądowała na śniegu, dopóki mój mózg nie rozprysnie się po nowiutkim lakierze.

Podszedł do nas detektyw Clive Perry. Jego ciemna twarz odbijała światło jak heban. Był wysoki, choć nie aż tak jak piekielny zastępca szeryfa. Jego szczupłe ciało okrywał jasny płaszcz z wielbłądziej

# wełny. Na głowie mia**RS** gustownie dobrany kapelusz — elegancki,

wi ęc nie można go by o nasadzić na głowę, by osłonić uszy. Tak bywa z eleganckimi kapeluszami. Jeśli chcesz, aby było ci ciepło w uszy, musisz nosić czapkę uszanke albo dokerską wełniankę. Nic szykownego. Ja rzecz jasna miałam gołą głowę. Nie chciałam popsuć fryzury.

Dolph znów wydziera ł się na kogoś. Nie potrafiłam rozróżnić koloru munduru tego kogoś, a w grę wchodziły co najmniej dwa odcienie. Dostrzegłam machające dziko ramię, resztę ciała przesłaniał tłumek ludzi. Nigdy dotąd nie widziałam, by ktoś wymachiwał Dolphowi pięścią przed nosem. Gdy mierzysz dwa metry i masz posturę zapaśnika, wzbudzasz lęk w większości ludzi. Zwykle jest to uzasadnione.

— Panno Blake, nie jesteśmy jeszcze gotowi, by panią tu wpuścić — rzekł Perry. Zawsze zwracał się do ludzi bardzo uprzejmie i po nazwisku. Był jedną z najkulturalniejszych osób, jakie znałam. Łagodny, spokojny, ułożony. Czym sobie zasłużył, by trafić do Oddziału Duchów?

Formalnie by ła to Okręgowa Jednostka ds. Dochodzeń Paranormalnych. Zajmowała się wszystkimi sprawami, w których pojawiały się akcenty nadnaturalne. Taka grupa specjalna. Nie sądzę, by ktokolwiek zakładał, że jednostka faktycznie będzie prowadzić jakieś śledztwa. Miała jednak tak wysoki wskaźnik wykrywalności przestępstw, że Dolph został zaproszony na wykłady do Quantico. Wykłady dla speców od zjawisk nadnaturalnych z FBI to nie byle co.

Wci aż patrzyłam na zastępcę szeryfa i jego spluwę. Nie zamierzałam powtórnie odrywać od niego wzroku. Wątpiłam, aby faktycznie do mnie strzelił, ale pewności nie miałam. Coś w jego twarzy mówiło mi, że mógłby to zrobić, a kto wie, może nawet tego pragnął. Daj komuś broń — zmieni się w kowboja. Albo bandziora. Nawet mając blachę

— Witam, detektywie Perry. Jakoś nie mogę się dogadać z zastępcą szeryfa.

— Aikensen, wyj ął pan broń? — głos Peny'ego brzmiał spokojnie i łagodnie, takim tonem policyjni negocjatorzy przemawiali do potencjalnych skoczków stojących na gzymsie

# wieżowca albo szale<sup>RS</sup>ców przetrzymujących zakładników.

Aikensen odwrócił głowę i spojrzał na Peny'ego.

— Z rozkazu szeryfa żaden cywil nie może wejść na teren, gdzie prowadzone jest policyjne dochodzenie.

— Wątpię, aby szeryf Titus miał przez to na myśli strzelanie do cywili, Aikensen.

Zastępca łypnął na Peny'ego.

— Nabijasz się ze mnie?

Czasu było dość. Mogłam wyjąć broń. Miałam ochotę wkręcić mu lufę browninga między żebra. Chciałam go rozbroić, ale postanowiłam zachować się jak należy. Kosztowało mnie to sporo wysiłku, jednak nie wyciągnęłam spluwy. Nie wyjmujesz broni, chyba że jesteś gotowa rozwalić sukinsyna, który do ciebie mierzy. Gdy sięgasz po broń, zawsze istnieje szansa, że będziesz jej musiała użyć. Ale coś zakłuło mnie pod sercem, gdy zastępca ponownie skierował na mnie wzrok i magnum. Ucierpiało na tym moje ego, ale na razie żyłam, podobnie jak Aikensen.

— Szeryf zabronił wpuszczać kogokolwiek na teren, gdzie prowadzone są czynności śledcze.

Jak na idiotę, wyrażał się całkiem profesjonalnie. Facet wydawał się oschły, ale rzeczowy. Zapewne gdyby nie został gliną, zrobiłby karierę w wojsku.

— Zastępczo Aikensen, to nasza pani ekspert od spraw nadnaturalnych, Anita Blake.

Pokręcił głową.

— Żadnych cywilów, dopóki szeryf nie wyrazi zgody.

Perry spojrzał na Dolpha i kogoś, kto, jak sądziłam, był szeryfem.

— Zastępczo, on nawet nas nie chce dopuścić do ciała. Czy sądzi pan, że pozwoli, aby ogl

Aikensen uśmiechn

ędzin zwłok dokonał cywilny ekspert? ął się drapieźnie.

— Nie sądzę.

Wciąż we mnie celowa ł. I dobrze się przy tym bawił.

# — Proszę schowa*RS*ć broń, a panna Blake stąd odjedzie — rzekł

Perry.

Już miałam odparować: „Niedoczekanie twoje”, ale Peny tylko pokręcił głową. Nabrałam wody w usta. Perry miał plan. Nie to co ja. — Żaden czarnuch, nawet śledczy, nie będzie mi rozkazywał. — Zazdrośnik — mruknęłam.

— Że co?

— Zazdrościsz mi, że jest wielkim gliną z miasta, a ty nie. — Ciebie też nie mam ochoty słuchać, suko.

— Panno Blake, niech mi pani pozwoli zająć się tą sprawą. — Nie umiałbyś nawet zająć się samym sobą, tandeciarzu —

burknął Aikensen.

— Zarówno pan, jak i szeryf jesteście arogancy i nieuprzejmi.

Nie przejawiacie chęci współpracy z nami. Może mnie pan obrażać, jeśli poczuje się pan przez to lepiej, ale nie wolno panu celować do naszego człowieka.

Przez oblicze Aikensena przemknął drobny grymas. Facet zaczął wreszcie myśleć. Perry też był gliną. Zapewne miał broń, a Aikensen odwrócił się do niego plecami. Zastępca obrócił się gwałtownie, unosząc broń. Lekko rozluźnił rękę. Sięgnęłam po broń.

Perry trzymał ręce rozłożone, z dala od ciała, aby pokazać, że nie jest uzbrojony.

Aikensen ciężko oddychał. Uniósł rewolwer na wysokość głowy, obejmując kolbę dwiema rękami, powoli, bez pośpiechu złożył się do strzału.

Ktoś nas zauważył i zawołał:

— Co się tu, u diab ła, dzieje? Dobre pytanie.

Wycelowałam browninga w plecy Aikensena.

# — Nie ruszaj si*RS*, Aikensen, albo cię rozwalę.

— Nie masz broni.

Odciągnęłam am kurek. Przy broni dwutaktowej nie musisz tego robić przed oddaniem strzału, ale towarzyszący temu szczepek dodał dramatyzmu sytuacji.

— Nie obszuka mnie, dupku.

Ludzie biegli w naszą stronę, krzycząc. Ale i tak nie mogli zdążyć na czas. W grę wchodziła tylko nasza wyczekująca wśród śniegu trójka.

— Odłóż broń, Aikensen, ale już!

— Nie.

— Odłóż albo cię zabiję.

— Nie musisz strzelać, Anito. On mi nic nie zrobi — rzekł Perry.

Po raz pierwszy zwrócił się do mnie po imieniu.

— Nie potrzebuję, żeby bronił mnie jakiś czarnuch. — Jego barki naprężyły się. Nie widziałam rąk dość dobrze, nie miałam więc pewności, ale chyba zaczął odciągać spust. Ja też zaczęłam pociągać za cyngiel.

Nagle rozległo się głośne:

— Aikensen, opuść tego cholernego gnata!

Aikensen bez słowa uniósł rewolwer do góry. Jednak nie ściągał spustu. Był tylko dość nerwowy. Miałam ochotę się zaśmiać. Omal go nie rozwaliłam za tę jego arogancję. Stłumiłam śmiech i zdjęłam palec ze spustu. Czy debilowaty zastępca wiedział, że był o krok od śmierci? Ocalił go tylko cyngiel browninga. Był sztywny. Jest wiele pistoletów, które mają lekki spust. Wystarczy nacisnąć i już.

Odwrócił się do mnie, wciąż z rewolwerem w dłoni, ale teraz celował w niebo. Zaczął opuszczać broń, by ponownie we mnie wymierzyć.

— Jeśli lufa obniży się jeszcze o centymetr, zastrzelę cię.

— Aikensen, powiedziałem, schowaj tę cholerną spluwę. Zrób to, zanim ktoś tu zginie. — Mówiący te słowa miał jakieś metr

# siedemdziesiąt pięć *RS* wzrostu i ważył dobre sto kilogramów. Był

okrągłutki jak parówka z rękoma i nogami. Zimowa kurtka z trudem opinała jego pokaźny brzusek. Podwójny podbródek był pokryty świeżym, siwawym zarostem. Małe oczka prawie niknęły w nalanej twarzy. Na przodzie kurtki lśniła policyjna blacha. Nie ukrył jej pod kurtką. Przypiął odznakę na piersi, aby wielcy detektywi z miasta przez przypadek jej nie przeoczyli. To trochę jak chwalenie się przed kolegami wielkością swego wacka.

— Ten czarnuch...

— Nie lubimy tu takich określeń, Aikensen, i dobrze o tym wiesz.

Sądząc po wyrazie twarzy Aikensena, można by pomyśleć, że szeryf uświadomił mu właśnie, iż święty Mikołaj nie istnieje. Mogłam się założyć, że szeryf był „morowym chłopakiem”, w najgorszym tego słowa znaczeniu. Ale jego oczka, choć małe, pałały inteligencją; choćby pod tym względem szeryf przewyższał Aikensena.

— Schowaj broń, chłopcze, to rozkaz — warknął z coraz wyraźniejszym południowym akcentem, może się popisywał, a może faktycznie Aikensen zaczął mu działać na nerwy. W chwilach napięcia u wielu ludzi akcent staje się wyraźniejszy. To nie był akcent z Missouri, raczej z dalszego południa. Aikensen wreszcie z wahaniem schował broń. Ale nie zabezpieczył kabury na zatrask. Wciąż aż się prosił, by dać mu lekcję. Cieszyłam się, że to nie ja mu jej udzielę. Oczywiście gdybym pociągnęła za cyngiel, zanim Aikensen uniósł rewolwer, nie dowiedziałabym się, że zastępca wcale nie próbował pociągnąć za spust. Gdyby Aikensen był przestępcą, a my glinami, rozwalenie go zostałoby uznane za w pełni uzasadnione. Jezu.

Szeryf Titus włożył ręce do kieszeni kurtki i spojrzał na mnie.

— Teraz pani również może schować broń. Aikensen nikogo nie zastrzeli.

Z bronią uniesioną ku górze patrzyłam na niego. Już miałam schować pistolet, ale gdy szeryf się odezwał, zmieniłam zdanie. Nie lubię, gdy mi się rozkazuje. Tak więc stałam tylko w bezruchu.

Wciąż wyglądał przyjaźnie, ale jego oczy utraciły blask. Pojawił się w nich gniew. Nie znosił sprzeciwu. Świetnie. Daj mi szansę. Tylko na to czekam.

Za plecami Titusa przystanęła jeszcze trójka gliniarzy. Mieli



# posępne miny i wyglRSdali na gotowych wypełnić każde polecenie

szeryfa. Aikensen podszed ł do nich, wciąż trzymając dłoń blisko kabury z bronią . Niektórzy nigdy się nie nauczą.

— Anito, schowaj broń. — w miłym zazwyczaj głosie Dolpha pobrzmiwała wściekłość. Jakby chciał powiedzieć: „Rozwał sukinsyna”, tylko nie wiedział, jak miałby to potem wyjaśnić swoim przełożonym. Choć oficjalnie nie był moim szefem, usłuchałam go. Zasługiwał na to.

Schowa łam broń.

Dolph był toporny i kanciasty. Czarne włosy miał przycięte krótko i wygolone nad uszami. Dłonie wsunął w kieszenie długiego, czarnego trencza. Płaszcz wydawał się za cienki, jak na tę pogodę, ale może miał podpinkę. Chociaż nie, byłby wtedy grubszy.

Dolph przywołał do siebie mnie i Peny'ego, po czym rzucił półgłosem:

- Mówcie, co tu się stało.

Opowiedzieliśmy.

— Naprawdę sądzicie, że był gotów użyć broni? Perry przez chwilę wlepił wzrok w skotłowany śnieg, po czym spojrzał na Dolpha.

— Nie jestem pewien, szefie.

— Anito?

— Ja jestem pewna, Dolph.

— Nie mówisz tego z przekonaniem.

— Jestem pewna jedynie tego, że ten typ chciał go zastrzelić. Chciał pociągnąć za spust, Dolph. Co tu się dzieje, do cholery? Skoro byłam dziś tak bliska rąbnięcia gliniarza, to chciałabym przynajmniej wiedzieć dlaczego.

— Nie sądziłem, że ktokolwiek może być na tyle głupi, by wyciągnąć broń — rzekł Dolph. Wtulił głowę w ramiona.

— Nie patrz w tamtą stronę — powiedziałam. — Ale ręka Aikensena wciąż znajduje się niebezpiecznie blisko kabury z bronią. Ten facet ma cholern

Dolph wziął głę

obłoczek pary.

ochotę ponownie sięgnąć po spluwę. boki oddech przez nos i wypuścił ustami potężny

— Chodźmy porozmawiać z szeryfem Titusem.

— Rozmawialiśmy z szeryfem przez ponad godzinę — odparł Perry. — W ogóle nie chce nas słuchać.

— Wiem, detektywie, wiem. — Dolph wciąż szedł w stronę

# szeryfa i jego ludzi. Perry i ja pod **RS** ążyliśmy za nim. Co innego

możliśmy zrobić? Poza tym chciałam wiedzieć, dlaczego cała ekipa dochodzeniowośledcza stała na uboczu, zbijając bąki.

Perry i ja stan ęliśmy po obu stronach Dolpha jak ochroniarze. Zajęliśmy pozycje krok za nim. Bądź co bądź, był naszym zwierzchnikiem. To znaczy moim nie do końca. I ta myśl sprawiła, że kusiło mnie, aby zrobić krok naprzód. Chciałam to uczynić. Tyle że byłam cywilem. Choć współpracowałam z glinami, nie byłam jedną z nich. To wiele zmieniało.

D łoń Aikensena zacisnęła się na kolbie rewolweru. Czy naprawdę był gotów wydobyć broń przeciwko nam wszystkim? Przecież nawet on nie mógł być aż tak głupi. Łypnął na mnie, a w jego oczach malowała się jedynie wściekłość. Może jednak był aż tak głupi.

— Titusie, każ swojemu człowiekowi odsunąć rękę od rewolweru — rzekł Dolph. Titus spojrział na Aikensena. I westchnął.

— Aikensen, zabieraj łapę od spluwy — warknął.

— Ona jest cywilem. I wyciągnęła broń przeciwko policjantowi.

— Masz szczęście, że nie nafaszerowała ci tyłka ołowiem — rzekł Titus. — A teraz zapnij kaburę i spuść nieco z tonu albo odeślę cię do domu.

Aikensen sposepniał jeszcze bardziej. Zapiął jednak pasek przy kaburze i wsunął dłonie do kieszeni płaszcza. O ile nie miał w jednej z nich derringera, byliśmy bezpieczni. Rzecz jasna wyglądał mi na typa, który musiał mieć zapasowe kopyto. Ja też często noszę przy sobie dwa pistolety, ale tylko gdy sprawy przybierają naprawdę kiepski obrót. Gdy bez klamki ani rusz. Czasem tak bywa.

Z tyłu za nami na niegu rozległy się czyjeś kroki Odwróciłam się lekko, by mieć oko na Aikensena i przy okazji zobaczyć nowo przybyłych.

Naprzeciw nas stan ęło troje ludzi w niebieskich mundurach. Wysoki facet z przodu, z blachą na kapeluszu, był komendantem

# policji. Jeden z jego zastępców był wysoki, przeraźliwie chudy i

chyba tak młody, że jeszcze się nie golił. Drugim była kobieta. Co za niespodzianka. Zwykle jestem jedyną kobietą na miejscu zbrodni. Była niska, ciut wyższa ode mnie, szczupła, o krótko przyciętych włosach ukrytych pod kapeluszem. Jedyne, co rzuciło mi się w oczy, to jej niezwykła bladość, od oczu po włosy. Była piekielnie drobna i delikatna jak elf albo wróżka. Stała w lekkim rozkroku, opierając dłonie o szeroki, skórzany pas. Miała pistolet, który wydawał się jak dla niej odrobinę przyduży. Wyglądała na miłą i całkiem do rzeczy. Wątpiłam, aby moja opinia przypadła jej do gustu. Na pewno nie lubiła, gdy ktoś mówił, że była „do rzeczy”.

Albo oka że się pokrewną duszą, albo utrapieniem w rodzaju Aikensena. Szef policji był co najmniej dwadzieścia lat starszy od swoich zastępców. Był wysoki, choć nie tak jak Dolph, ale kto mógł mu dorównać? Miał szpakowate wąsy, jasne oczy i był całkiem przystojny. To jeden z tych facetów, którzy w młodości są atrakcyjni, wiek zaś dodaje im charakteru, osobliwej głębi. Jak Sean Connery, który mając sześćdziesiątkę, wyglądał lepiej niż jako dwudziestolatek.

— Titusie, dlaczego nie pozwalasz tym ludziom wykonywać ich obowiązków? Wszyscy jesteśmy zziębnięci, zmęczeni i chcemy już jechać do domu.

Małe oczka Titusa ożyły. Było w nich sporo gniewu.

— To sprawa miejscowa, Garroway, nie mieszaj się w to. Ty i twoi ludzie z miasta tu, na terenie hrabstwa jesteście poza swoim terytorium.

— Holmes i Lind jechali do pracy, gdy odebrali przez radio informację, że ktoś odnalazł tu zwłoki. Twój człowiek, Aikensen, powiedział, że jest zaj ty i nie dotrze do ciała wcześniej niż za godzinę. Holmes zaproponowała, że poczeka przy zwłokach i dopilnuje, aby miejsce zbrodni pozostało nietknięte. Moi zastępcy nic nie robili, niczego nie ruszali. Pilnowali miejsca zbrodni do przyjazdu twoich ludzi. Czy to coś złego? — spytał Garroway.

— Garroway, morderstwa dokonano na naszym terenie. To

# nasze ciało i my się *RS* nim zajmujemy. Nie potrzebujemy pomocy. A ty

nie miał prawa wzywać Oddziału Duchów bez wcześniejszego ustalenia tego ze mną — wycedził Titus.

Szef Garroway rozłożył ręce w uspokajającym geście.

— Holmes zauważyła ciało. To ona powiadomiła jednostkę specjalną. Uznała, że tego człowieka nie mogła zabić żadna istota ludzka. W takiej sytuacji zgodnie z przepisami zalecane jest natychmiastowe wezwanie Okręgowej Jednostki ds. Dochodzeń Paranormalnych.

— Aikensen i Troy nie sądzą, aby w śmierci tego człowieka mogła maczać palce jakaś nadludzka istota. Facet został zaatakowany i pożarty przez niedźwiedzia, a twoja panią jest wyraźnie przewrażliwiona.

Holmes chciała coś powiedzieć, jednak komendant nie dał jej dojść do słowa. - W porządku, Holmes.

Nie odezwała się, choć wyraźnie miała ochotę.

- Czemu nie mielibyśmy zapytać sierżanta Storra co jego zdaniem zabiło tego człowieka? — rzucił Garroway.

Byłam tak blisko, że usłyszałam westchnienie Dolpha.

— Bez naszego nadzoru nie miała prawa dopuszczać nikogo w pobliże ciała — rzekł Titus.

Przemówił Dolph.

— Panowie, mamy trupa w lesie. Potencjalne ślady pozostawione na miejscu zbrodni z każdą chwilą coraz bardziej „stygna”. Cenny materiał dowodowy może przepaść, podczas gdy my stoimy tu i marnujemy czas na kłótnie.

— W przypadku ataku niedźwiedzia nie powinniśmy używać określenia „miejsce zbrodni” — wtrącił Titus.

— Panna Blake jest naszym ekspertem do spraw

paranormalnych. Jeśli stwierdzi, że ten człowiek padł ofiarą ataku niedźwiedzia, wszyscy rozjedziemy się do domów. Jeżeli uzna, że w grę wchodzi jakaś istota nadnaturalna, pozwoli nam pan wykonywać obowiązki i potraktować ten obszar jako miejsce zbrodni. Zgoda?

— Panna Blake? Anita Blake? Dolph skinął głową.

Titus spojrzał na mnie, lekko mrużąc powieki, jakby chciał mi się

# lepiej przyjrzeć. *RS*

— Ta Egzekutorka to pani?

— Niektórzy tak mnie nazywają...

— Ta mała panienka ma mieć na koncie ponad tuzin unicestwionych wampirów? — rzucił z rozbawieniem, głosem pełnym niedowierzania.

Wzruszyłam ramionami. Obecnie stan mojego konta znacznie wzrósł, ale były to głównie egzekucje nieusankcjonowane przez prawo. Nie chciałam, aby dowiedziała się o nich policja. Wampiry mają swoje prawa i zabijanie ich bez nakazu jest morderstwem.

— Jestem legalną egzekutorką wampirów na tym terytorium.

Co się panu nie podoba?

— Anito — zmitygował mnie Dolph. Łypnęłam najpierw na niego, potem na szeryfa.

Nie zamierzałam powiedzieć nic więcej, naprawdę, ale on się nie zaniął.

— Jakoś nie mogę uwierzyć, że taka mała istotka mogła dokonać tych wszystkich rzeczy, o których słyszałem.

— Proszę posłuchać, jest zimno, późno, proszę pozwolić mi obejrzeć ciało i wszyscy będziemy mogli wrócić do domu. — Nie lubię, gdy cywil, w dodatku kobieta, mówi mi, co mam robić.

— Dość tego — warknęłam.

— Anito? — rzucił Dolph. To jedno słowo zawierało w sobie ostrzeżenie, abym nie mówiła ani nie robiła niczego, co zamierzałam

# właśnie powiedzieć *RS* lub zrobić.

— Dość lizania ty ków wsiowym glinom, jak na jedną noc, Dolph.

Pojawił się mężczyzna niosący tacę z kubkami pełnymi gorącego naparu. Aromat kawy zmieszał się z zapachem śniegu. Mężczyzna był wysoki. Tej nocy było ich tu sporo. Kosmyk jasnych włosów przesłaniał mu jedno oko. Nosił okrągłe okulary w drucianych oprawkach, przez co wyglądał na młodszego, niż był w rzeczywistości. Miał czapkę uszankę z opuszczonymi klapkami. Stroju dopełniały grube rękawice, wielobarwna parka, dzinsy i traperki. Nie wyglądał modnie, ale przynajmniej było mu ciepło. Mnie z zimna zdrętwiały stopy.

Z wdzięcznością przyjąłem od niego kubek z kawą. Jeśli mieliśmy postać tu dłużej, kłócąc się, gorąca kawa z pewnością dobrze mi zrobi.

— Dzięki. Mężczyzna uśmiechnął się.

— Nie ma za co.

Wszyscy wzięli kawę, ale nie wszyscy podziękowali. Co z ich manierami?

— Byłem szeryfem w tym hrabstwie, zanim jeszcze przyszła pani na świat, panno Blake. To moje hrabstwo. Nie potrzebuję pomocy od takich jak pani. — Zaczął sączyć kawę. I podziękował.

— Od takich jak ja? Co to niby ma znaczyć?

— Daj spokój, Anito.

Spojrzałem na Dolpha. Nie chciałem odpuścić. Upiłem łyk kawy. Sam jej aromat trochę mnie uspokoił, byłem mniej zagniewana, bardziej rozluźniona. Wejrzałem w małe, świńskie oczka Titusa i uśmiechnęłam się.

— Co panią tak śmieszy? — zapytał. Chciałem odpowiedzieć: „Pan”, ale facet, który przyniósł kawę, nie dopuścił mnie do głosu.

— Nazywam się Samuel Williams. Jestem tu dozorcą. Mieszkam w niedużym domku za centrum przyrodniczym. To ja znalazłem ciało.

Trzymał pustą już tacę opuszczoną przy boku.

— Jestem sierżant Storr. A to moi współpracownicy — detektyw Perry i panna Blake.

Williams uklonił się.

— Nas wszystkich znasz, Samuelu — rzekł Titus.

— Owszem — przyznał Williams. I chyba nie był z tego powodu zbyt szczęśliwy.

# Skinął głową *RS* do szefa Garrowaya i jego zastępców.

— Powiedział em policjantce Holmes, że moim zdaniem tego nie zrobiło żadne zwierze . Wciąż tak uważam, ale jeśli to robota niedźwiedzia, musia ła się strasznie pastwić nad tym człowiekiem. I jeśli to zwierzę zabiło raz, prędzej czy później zabije ponownie.

Wlepi ła wzrok w śnieg, po czym uniósł głowę jak ktoś, kto wyłania się z wody.

— To zwierzę częściowo pożarło tego człowieka. Dopadło go i potraktowało jak drapieżca ofiarę. Jeśli to faktycznie niedźwiedź, trzeba go pochwycić, zanim zabije jeszcze kogoś.

— Samuel jest magistrem biologii — wtrącił Ti-tus.

— Ja również — odparłam. Tyle że ja miałam dyplom z biologii nadnaturalnej, ale cóż, biologia to biologia, no nie?

— Pracuję nad doktoratem — oznajmił Williams.

— Taa, studiuje guano sów — wtrącił Aikensen.

Trudno to było stwierdzić, ale Williams chyba się zaczerwienił.

- Studiuje zwyczaje żerowania sów płomykówek.

Miałam dyplom z biologii. Wiedziałam, co to oznacza. Facet musiał w tym celu badać odchody sów i wyplute przez nie resztki pożywienia. A więc Aikensen miał rację. Poniekąd.

— Czy pański doktorat będzie z ornitologii, czy raczej ze strigiologii ? — zapytałam. Byłam dumna, że zdołałam przypomnieć sobie łacińską nazwę sów.

Williams spojrział na mnie z życzliwością.

— Z ornitologii.

Titus wyglądał, jakby połknął robaka.

— Nie muszę mieć dyplomu, aby rozpoznać ofiarę ataku niedźwiedzia.

— Ostatnia zarejestrowana obserwacja niedźwiedzia w hrabstwie St. Gerard miała miejsce w 1941 roku — rzekł Williams. — Nie sądzę, by jakiegokolwiek doniesienia wspominały kiedykolwiek, że niedźwiedź zaatakował tu człowieka. — sens jego słów wydawał się jasny. Titus nie miał pojęcia na temat ataków niedźwiedzi, a jako że te raczej się tu nie zdarzały, skąd mógł wiedzieć, jak wyglądają ich ofiary?



# Titus wylał swoją *RS* kawę na śnieg.

— Posłuchaj no, magistrze w ząbek czesany...

— A może to był niedźwiedź — odezwał się Dolph. Wszyscy spojrzeliśmy na niego. Titus pokiwał głową. — To właśnie próbuję wam uświadomić.

— Wobec tego niech pan lepiej ściągnie tu śmigłowiec i kilka psów.

— O czym pan mówi?

— Zwierzę, które tak zmasakrowało człowieka i posmakowało ludzkiego mięsa, może zacząć włamywać się do domów. Nie sposób stwierdzić, ilu ludzi mógł zabić ten niedźwiedź.

Oblicze Dolpha pozostawało nieodgadnione, mówił z takim przekonaniem, jakby naprawdę w to wierzył.

— Nie chcę ściągać tu psów. Gdyby ludzie dowiedzieli się, że w okolicy mógł pojawić się niedźwiedź ludojad, mogliby wpaść w panikę. Pamiętajcie, jak pięć lat temu wałęsał się tu zabłąkany kuguar? To dopiero było. Ludzie strzelali do każdego podejrzanego cienia.

Dolph tylko patrzył. Wszyscy na niego patrzyliśmy. Jeśli to był niedźwiedź, trzeba będzie go odpowiednio potraktować. Ale jeśli to było coś innego...

Titus zaczął nerwowo przestępować z nogi na nogę.

— Może panna Blake powinna rzucić okiem. — Potarł czubek zziębniętego nosa. — Nie chcielibyśmy niepotrzebnie wywołać paniki.

Nie chciał, aby ludzie myśleli, że w okolicy grasuje niedźwiedź ludojad. Ale nie miał wolności przebywać

groźnie przeciwko temu, aby ludzie sądzili, że na żne monstrum. A może szeryf Titus nie wierzył w istnienie potworów. Tak. Może.

Tak czy owak, szli my obejrzeć miejsce zbrodni. Rzekome miejsce zbrodni. Kazałam wszystkim zaczekać, podczas gdy wyjęłam z bagażnika nike i kombinezon, który noszę, odwiedzając miejsca zbrodni i kołując wampiry. Nie znoszę brudzić ubrań krwią. Poza tym w kombinezonie było mi cieplej niż w rajstopach.

Titus kazał Aikensenowi zaczekać przy samochodach. Miałam

# nadzieję, że gdy stamt*RSd* odejdziemy, narwany zastępca nikogo nie

zastrzeli.

## *Rozdział ósmy*

**W**

pierwszej chwili nie spostrzegłam ciała. Zobaczyłam jedynie śnieg. Biały puch wypełnił do cna jedną z głębokich niecek, od jakich roi się w lasach. Wiosną

zagłębienia są pełne kałuż i błota. Jesienią zasypują je liście. Zimą śnieg. Blask księżyca tworzył z każdego odcisku stopy i śladu walki wysrebrzony relief. Każdy ślad wypełniały błękitne cienie.

Stanęłam na skraju polany, wpatrując się w gmatwaninę śladów. Gdzieś tam znajdowały się ślady zabójcy lub tropy niedźwiedzia, ale jeśli wśród nich nie było ewidentnych śladów zwierzęcia, jak niby miałabym rozróżnić wśród nich te najistotniejsze. Może na każdym miejscu zbrodni panował taki mizmasz tropów, tyle że na śniegu stawał się on szczególnie wyrazisty. A może tylko tutaj tak spieprzono sprawę. Taa.

Każdy ślad, zarówno zostawiony przez policję, jak i wszystkie inne, wiodły do jednego — do ciała. Dolph powiedział, że facet został rozszarpany i pożarty. Nie chciałam tego oglądać. Wolałabym teraz miło spędzać czas z Richardem. Miałabym przyjemny wieczór. Szkoda, że tak się skończyło. To nieuczciwe. Miłych wieczorów nie powinno się kończyć oglądaniem na wpół pożartych ciał. Naturalnie ten człowiek zapewne również nie uważał tego, co z nim zrobiono, za zabawne.

# Zaczerpnęłam głę**RS**boki haust chłodnego powietrza. Wypuściłam

powietrze, z ust wypłynął biały obłoczek pary. Nie czułam woni ciała. Gdyby to stało się latem, facet na pewno okropnie by cuchnął. Niech żyje zima.

— Chce pani dokonać oględzin zwłok z tego miejsca? — zapytał

Titus.

— Nie — odparłam.

— Wygląda na to, że pańska ekspertka traci ikrę, sierżancie. Odwróciłam się do Titusa. Jego okrągłe oblicze o dwóch

podbródkach przepełniał wyraz nieskrywanego zadowolenia, faceta cieszyło moje niezdecydowanie. Nie chciałam oglądać ciała, ale nigdy, ale to nigdy nie traciłam ikry.

— Oby to nie było miejsce zbrodni, szeryfie... bo widzi mi się, że pozacierano tu cholernie dużo śladów.

— Anito, nie ułatwiasz nam wszystkim sytuacji, która i tak jest trudna — powiedział półgłosem Dolph.

Miał rację, ale było mi to akurat obojętne.

— Ma pan jakieś sugestie, jak należy zabezpieczyć to miejsce, czy mogę tam po prostu wparować jak milion osób przede mną?

— Gdy rozkazałam wszystkim opuścić to miejsce, były tam zaledwie cztery pary śladów — rzekła policjantka Holmes.

Titus łypnął na nią spode łba.

— Kiedy ustaliłem, że to ofiara ataku zwierzęcia, nie było podstaw, aby zabezpieczać cały obszar — jego południowy akcent stał się teraz wyraźniejszy.

— No jasne — mruknęłam. Spojrzałam na Dolpha. — Jakieś sugestie?

— Idź tam i już. Nie ma już sensu zabezpieczać całego terenu.

— Krytykuje pan moich ludzi? — rzucił Titus.

— Nie — odpar Dolph. — Jedyne pana. Odwróciłam się, aby Titus nie dostrzegł mojego uśmiechu. Dolph nie znosi głupców. Toleruje ich nieco lepiej niż ja, ale gdy jego cierpliwość się wyczerpie, nie ma zmiłuj. Nie przepuści żadnemu.

Weszłam do niecki. Dolph nie potrzebował mojej pomocy, by rozprawić się z Titusem. Na skraju zagłębienia śnieg zapadł się. Moje stopy zaczęły się ślizgać na zalegającej pod śniegiem warstwie liści. W rezultacie po raz drugi tej nocy wylądowałam na tyłku. Ale byłam

# teraz na zboczu. Zjechałam na sam dół, zatrzymując się prawie tuż

przy ciele. Za moimi plecami ktoś się zaśmiał.

Usiadłam na śniegu. Blask księżyca rozświetlał ciało, skrzył się na śniegu i rozjaśniał wszystko dookoła. W jednej kieszeni kombinezonu miałam ołówkową latarkę, ale nie była mi potrzebna. A może nie chciałam jej użyć. Jak na razie widziałam bardzo dobrze.

Prawą stronę twarzy denata przecinały głębokie, strzępiaste rany. Jeden z pazurów zahaczył o oko, dlatego na policzku — oprócz krwi — ujrzałam wiszącą na wywleczonych nerwach gałkę oczną. Żuchwa została zmiażdżona, jakby schwyciła ją i zgruchotała czyjaś silna ręka. Twarz wyglądała na niedokończoną, na w pół gotową. Musiało boleć jak cholera, ale to go nie zabiło. Tym gorzej.

Rozszarpano mu gardło i zapewne to było przyczyną zgonu. Brakowało sporych fragmentów tkanek. Z otworu wзираł biały kręgosłup, jakby facet połknął ducha, ale nie był go w stanie przełknąć. Kombinezon w panterkę, który miał na sobie mężczyzna, był rozdarty na wysokości brzucha. Za sprawą jakiejś sztuczki księżycowego blasku wewnątrz poszarpanego otworu zalegały głębokie cienie. Nie mogłam dostrzec dalszych obrażeń, jakich doznał ten człowiek.

A musiałam je zobaczyć.

Wolę oglądać ofiarę nocą. Mrok zaciera barwy. Jakimś sposobem ofiary nocami wydają się mniej realne. Wystarczy poświecić na nie latarką i eksplodują feerią barw — krew jest szkarłatna, błyszczą kości, płyny nie są ciemne, lecz zielone, żółte i brązowe. Światło pozwala je rozróżni

Nałożyłam gumowe r

. Czasami to dobrze. Zwykle nie.

ękawiczki chirurgiczne. Były jak chłodna druga skóra. Nawet trzymane w kieszeni, rękawiczki były chłodniejsze od mojej skóry. Włączyłam ołówkową latarkę. Jej wąski, żółtawy promień by rozcinał cienie. Ubranie m

przyćmiony w blasku księżyca, ale jak nóż

ęczyzny zostało zdjęte płatanami jak warstwy cebuli: kombinezon, spodnie, koszula, ciepła bielizna. Ciało

# rozdarło. Światło rozb<sup>R</sup>Sysło na zamarznętej krwi i strzępach

zmarzni ętego na kość ciała. Brakowało większości organów wewnętrznych. Oświetliłam latarką śnieg dokoła, jednak niczego nie dostrzegłam. Ciało, organy wewnętrzne zniknęły.

Z jelit do jamy żołądka wyciekł płyn, który jednak zamarzył na mrozie. Gdy się nachyliłam, nie poczułam żadnej woni. Nie ma jak mróz. Brzegi rany były postrzępione. Nie zrobiono tego nożem. A jeżeli nawet, nigdy dotąd nie widziałam noża o takim ostrzu. Patolog to potwierdzi. Jedno żebro było złamane. Sterczało w górę jak wykrzyknik. Oświetliłam kość latarką. Żebro było nadgryzione. Tych śladów nie mogły zostawić pazury ani ręce, jedynie zęby. Mogłam się założyć o tygodniową wypłatę, że oglądałam ślady zębów.

Rana na szyi wype łniła się zamrzniętym śniegiem. Do twarzy mężczyzny przylepiły się czerwone kryształki lodu. Nietknięte oko zalepiła na amen czerwona od krwi skorupa lodu. Po obu stronach rany na szyi nie było śladu pazurów, ale dostrzegłam ślady zębów. Widniały także na zmiażdżonej żuchwie. To z pewnością nie były zęby ludzkie. Innymi słowy, sprawcą nie były ghule, wampiry, zombi ani żaden inny ludzki nieumarły. Sięgnęłam do kieszeni kombinezonu po taśmę mierniczą i aby tego dokonać, podkasałam połę płaszcza. Byłoby lepiej, gdybym rozpięła płaszcza, ale — cholera — było piekielnie zimno.

Ślady na twarzy, głębokie, szarpane wyłobienia były bez wątpienia dziełem potężnych pazurów. Rozstaw był szerszy niż w przypadku pazurów niedźwiedzia czy jakiegokolwiek zwykłego zwierzęcia. Były potwornie duże. Po obu stronach żuchwy natknęłam się na wyra źne ślady zębów. Jakby ta istota wgryzła się mocno w ciało, nie na tyle silnie jednak, aby wyrwać ofierze żuchwę. Wgryzła się, aby mia żyć, aby... uciszyć krzyki. Nie sposób krzyczeć ze zgruchotaną żuchw ą. W tym ugryzieniu było coś diabelnie

# przemysłnego. GardRSO zostało rozdarte, nie na tyle wszak, jak można

by si ę spodziewać . Tylko tak, aby zabić. Dopiero przy brzuchu ofiary istota straciła nad sob panowanie. Facet był martwy, zanim rozpruto mu brzuch. Mog łem się o to założyć. A jednak istota rozszarpała mu brzuch. Aby się pożywić? Po co?

Przy ciełe, na śniegu dostrzegłam ślady. Ślady klękających przy ciełe ludzi, w tym także moje, ale również drobne smugi krwi wsiąkniętej w śnieg. Facet początkowo leżał twarzą do dołu, ale ktoś go odwrócił.

Doko ła na śniegu było pełno śladów, z wyjątkiem tego czerwonego od krwi miejsca. Ludzie, mając możliwość wyboru, starają się omijać kałuże krwi. Zarówno na miejscu zbrodni, jak i wszędzie indziej. Krwi nie było tyle, ile można się było spodziewać. Poderżnięcie gardła to paskudna sprawa. Jest przy tym sporo krwi. Ale facetowi nie poderżnięto gardła. Rozerwano je zębami. Krew wpływała do ust, nie wylewała się na śnieg.

Musia ła też zachlapać ubranie. Jeśli znajdziemy tę istotę, ona także na pewno będzie cała we krwi. Jak na tak potworną zbrodnię, śnieg dokoła był zdumiewająco czysty. Z boku, o jakiś metr od ciała dostrzegłam sporą kałużę krwi, tuż obok wyraźnego zagłębienia wielkości człowieka.

Facet le żał przy tej kałuży dostatecznie długo, by wypłynęło zeń sporo krwi, po czym przewrócono go na brzuch, a jego skóra przymarzła do śniegu. Gdy spoczywał twarzą do dołu, większość krwi znalazła się pod ciałem. Teraz zwłoki leżały na wznak, ale świeżej krwi już nie było. Ostatni raz ciało odwrócono długo po jego śmierci. Od tamtej pory nic się nie zmieniło.

— Kto odwrócił ciało? — zapytałam głośno.

— Tak już leżało, gdy się tu zjawiłem — odparł Titus. — Holmes? — rzucił szef Garroway.

— Jak tu dotarli śmy, leżał na wznak.

— Czy Williams dotykał ciała?

— Nie pytałam — odparła. Pięknie.

— Ktoś go odwrócił. Dobrze byłoby wiedzieć, czy to robota Williamsa.

— Zapytam go — odezwała się Holmes.

# — Patterson, id*RS* z nią — rozkazał Titus.

— Nie potrzebuj ...

— Idź, Holmes — warknął Garroway. Dwójka policjantów oddaliła się. Powróciłam do oględzin ciała. Myślałam o nim jak o ciele, nie jak o człowieku. W przeciwnym razie zaczęłabym zastanawiać się, czy miał żonę, dzieci. Nie chciałam wiedzieć. To było tylko ciało, mięso.

Akurat.

Oświetliłam latarką skotłowany śnieg. Klęczałam i poruszałam się wokół ciała na czworakach. Prawdziwy ze mnie Sherlock Holmes. Jeżeli istota rzuciła się na faceta od tyłu, na śniegu powinny zostać jakieś ślady. Może niepełne, ale jednak. Napotykałam jedynie ślady obutych stóp. Ten, kto to zrobił, nie nosił butów. Nawet tabun kręcących się tu gliniarzy nie powinien był zatrzeć wszystkich śladów stóp i zębów zwierzęcia. A jednak nie mogłam ich znaleźć. Może technikom bardziej się poszczęści. Miałam taką nadzieję.

Skoro nie było śladów stóp, może stwór był latający? Dajmy na to gargulec? To jedyny duży, skrzydlaty drapieżca atakujący ludzi. Jeśli nie liczyć smoków, ale w tym kraju należały one do rzadkości i ofiara byłaby w znacznie gorszym stanie. Albo w lepszym. Smok po prostu połknąłby faceta w całości.

Gargulcom zdarza się atakować ludzi, lecz dzieje się to nader rzadko. Poza tym najbliższe ich stado gnieździ się w Kelly w Kentucky. Gargulce z Kelly to nieduża rodzina, znana z ataków na ludzi, ale jak dotąd nie zdarzyło jej się zabić człowieka. Są w znacznej mierze padlinożercami. We Francji istniały trzy gatunki gargulców dorównujących, a nawet przewyższających człowieka wielkością. Takie stwory mogłyby cię pożreć. W Ameryce jednak nie zdarzały się tak wielkie osobniki.

Co jeszcze mogłoby to być? W górach Ozark żyły nieliczne pomniejsze wschodnie trolle, ale nie zapuszczają się aż do St. Louis. Poza tym widziałam zdjęcie ofiar trolli, ten człowiek ani trochę jej nie przypominał. Pazury były zbyt długie i nazbyt zakrzywione. Jama



# żołądka wydawała si*RS* opróżniona przez istotę o długim pysku.

Trolle, choć wyglądały przeraźliwie ludzko, zaliczały się do naczelnych.

Pomniejszy troll, mając możliwość wyboru, nie zaatakowałby człowieka.

Większy troll górski mógłby to zrobić, ale ich gatunek od dwudziestu lat uważa się za wymarły. Poza tym one miały raczej tendencję do wyrywania drzew z korzeniami i tą właśnie bronią tłukły na śmierć swoje ofiary, które następnie pożerały.

Nie sądziłam, aby to mogło być coś tak egzotycznego jak trolle czy gargulce. Gdybym przy ciebie natknęła się na jakieś tropy, mogłabym się upewnić, że zabójstwa dokonał lykantrop. Powszechnie wiadomo, że trolle noszą starą odzież. Tak więc troll mógłby przyjść tu w butach, a gargulec zaatakować ofiarę z powietrza, ale lykantrop... musiałby zostawić ślady bosych stóp przypominających łapy zwierzęcia. No to jak?

Omam nie klepnęłam się w czoło, ale w porę się powstrzymałam. Gdy robisz coś takiego na miejscu zbrodni, zwykle brudzisz sobie włosy krwią. Miliony lat ewolucji uwarunkowały nas, aby nie patrzeć w niebo. Nic nie było na tyle duże, by mogło nas stamtąd zaatakować czy unieść w górę. Ale to nie oznacza, że coś nie może na nas z góry skoczyć.

Nad niecką zwieszał się gruby konar. Na czarnej korze w świetle latarki ujrzałam świeże, białe zadrapania. Zmiennokształtny zaczął się na drzewie, czekając, aż mężczyzna stanie poniżej. Zasadzka, morderstwo z premedytacją.

— Dolph, czy mógłbyś przyjść tu na chwilę? Dolph zszedł ostrożnie po ośnieżonym zboczu.

Chyba nie chciał powtórzyć mego wyczynu.

— Wiesz, czyja to robota?

— Zmiennokształtnego — odparłam.

— Wyjaśnij. — Wyjął swój nieodłączny notes, uniósł w dłoni pióro.

Wyjaśniłam mu, co odkryłam. Co podejrzewałam.

— Nie mieliśmy wilkołaka odszczepieńca, odkąd założono nasz oddział. Jesteś tego pewna?

# — Jestem pewna, *RS*ze jest zmiennokształtnym, ale nie

powiedzia łem, że to lykantrop.

— Uściślij.

— Wszystkie lykantropy to z definicji zmiennokształtni, ale nie wszyscy zmiennokształtni to lykantropy. Lykantropia jest chorobą, której można nabawić się, wychodząc cało z ataku lub wskutek otrzymania wadliwego zastrzyku wilkołaczego serum.

Spojrza łem na mnie.

— Można nabawić się tego od zastrzyku?

— To się zdarza.

— Dobrze wiedzieć — mruknął. — Jak można być zmiennokształtnym, nie będąc zarazem lykantropem?

— W większości odziedzicza się tę przypadłość po przodkach.

Rodzinny pies stróżujący, wielki kot czy inne zwierzę. Głównie w Europie. Jedna osoba na pokolenie ma takie geny i podlega przemianie.

— Czy to jest związane z fazami księżyca, jak typowa lykantropia?

— Nie. Strażnik rodziny pojawia się, gdy jest potrzebny.

Podczas wojny lub w wypadku jakiegoś innego, nagłego zagrożenia.

Są na przykład łabędziogrzywe. One także podlegają fazom księżyca, ale ich stan to przypadłość dziedziczna.

— Doprawdy?

— Możesz zostać przeklęty, ale zdarza się to bardzo rzadko. — Dlaczego? Wzruszyłam ramionami.

— Musiałbyś znaleźć czarownicę lub maga na tyle potężnego, by rzucił na ciebie klątwę zmiennokształtności. Czytałam zaklęcia dotyczące ludzkiej zmiennokształtności. Wywary są przesycone narkotykami do tego stopnia, że mógłbyś uwierzyć, iż stajesz się zwierzęciem. Równie dobrze możesz się uważać za budynek Chryslera albo zwyczajnie umrzeć. Prawdziwe zaklęcia służące do tego celu są znacznie bardziej złożone i zwykle wymagają ludzkiej ofiary. Klątwa to coś więcej niż czar. Nie polega jedynie na rzuceniu zaklęcia.

# Zastanawiałam si~~RS~~, jak mu to wyjaśnić. Pod tym względem Dolph

by ł kompletnie zielony. Nie zna ł terminologii, i w ogóle. — Klątwa to ostateczny akt woli. Zbierasz całą swą moc, magię, jak to tam zwać, i kierujesz przeciwko jednej konkretnej osobie. Sprawiasz, by za sprawą twojej woli stała się przeklęta. Zawsze robi się to osobiście, aby przeklęta osoba miała świadomość tego, co ją spotkało. Zgodnie z niektórymi teoriami, konieczne jest, aby ofiara uwierzyła w działanie klątwy. Ja chyba się z tym nie zgadzam. — Czy czarownice i czarownicy to jedyne osoby, które mogą rzucać na ludzi klątwy?

— Od czasu do czasu zdarza się, że ktoś rozzłości elfa, przedstawiciela starego ludu *daoine sidhe*, ale coś takiego mogłoby cię spotkać w Anglii, Irlandii lub w Szkocji. W tym kraju to musi być wiedźma lub mag.

— A zatem zmiennokształtny, ale nie wiemy jakiego gatunku, ani nawet w jaki sposób stał się tym, kim jest obecnie.

— Nie sposób tego określić jedynie na podstawie kilku tropów i śladów.

— Czy spotkawszy się ze zmienniakiem twarzą w twarz, mogłabyś określić, do jakiego należy gatunku?

— Jakim jest zwierzęciem? — spytałam.

— Tak.

— Nie.

— A mogłabyś określić, czy został przeklęty lub czy jego stan to wynik choroby?

— Nie.

Tylko na mnie patrzył.

— Zwykle idzie ci znacznie lepiej.

— Znam się bardziej na umarlakach, Dolph. Daj mi wampira albo zombi, a podam ci numer jego ubezpieczenia. To po części wrodzony talent, ale także lata praktyki. Nie mam aż takiego doświadczenia ze zmiennokształtnymi.

— Na jakie pytania możesz teraz odpowiedzieć?

# — Zadaj je, to siRS okaże — odparłam.

— Uważasz, że to nowy zmiennokształtny? — zapytał Dolph. — Nie.

— Dlaczego nie?

— Po raz pierwszy zmieniają się podczas pełni księżyca. Do

pełni zostało jeszcze parę dni, więc to nie może być nowy zmiennokształtny. Co prawda mógł zmienić się pierwszy raz dwa albo trzy miesiące temu, ale...

— Ale co?

— Gdybyśmy mieli do czynienia z lykantropem, który nie potrafi nad sobą zapanować i zabija dla samej przyjemności zabijania, ten stwór wciąż jeszcze powinien tu być. I na nas polować.

Dolph spojrział w ciemność. Ujął w jedną rękę notes i pióro, drugą sięgnął po broń. Ruch był automatyczny.

— Bez nerwów, Dolph. Gdyby to coś chciało się jeszcze pożywić, zaatakowałoby Williamsa albo któregoś z zastępców.

Przepatrywał wzrokiem ciemność, po czym znów spojrział na mnie.

— A więc ten zmiennokształtny umie jednak nad sobą panować?

— Tak mi się zdaje.

— Czemu więc zabił tego człowieka? Wzruszyłam ramionami.

— A dlaczego w ogóle giną ludzie? Czemu popełniane są zbrodnie? Z pożądania, chciwości lub w przypływie gniewu.

— Zatem powinniśmy przyjąć, że formę zwierzęcą wykorzystano tu jako narzędzie zbrodni — mruknął Dolph.

— No tak.

— Czy on wciąż

— Zabójstwa dokona człowiek-wilk.

— Wilkołak. Pokr

— Nie mogę określić, jakiego gatunku jest to zwierzę. Człowiek-wilk to tylko podany przeze mnie przykład. Ale może to być właściwie każdy ssak.

— Ssak?

# — Wskazują *RS* na to rany. Wiem, że istnieją rozmaite ptakołaki,

ale one nie dokona ły yby takich spustoszeń u ofiary.

— Istnieje coś takiego jak ptakołaki?

— Tak, ale tym razem mamy do czynienia z czymś innym. — Jakieś przypuszczenia, sugestie?

Przykucnęłam przy ciele i spojrzałam na nie. Chciałam, by

wyjawi ło mi swoje sekrety. Za trzy noce, gdy dusza już odejdzie, mogłabym spróbować ożywić tego człowieka i zapytać, kto go zabił. Tyle że gość miał wielką dziurę w gardle. Nawet umarli nie mogą pozostać w swojej zwierzęcej formie?

ł, będąc w formie przejściowej, jako

ęciłam głową. mówić bez strun głosowych.

— Dlaczego Titus uważa, że to dzieło niedźwiedzia? — zapytałam.

Dolph zamyślił się przez chwilę.

— Nie wiem.

— Zapytajmy go. Dolph pokiwał głową.

— Proszę bardzo. — w jego głosie wyczuwało się nutę sarkazmu. Gdybym dłużej użerała się z szeryfem, pewnie też byłabym równie sarkastyczna.

— Chodź, Dolph. Wiemy niewiele, ale gorzej już być nie może.

— Mogłoby, gdyby Titus miał tu coś do powiedzenia.

— To jak? Mam go zapytać czy nie?

— Pytaj.

Podeszłam do czekających.

— Szeryfie?

Spojrzał na mnie z góry. Wyjął papierosa, ale jeszcze go nie zapalił. Zatrzymał dłoń z zapalniczką w pół drogi do ust.

— Chce pani czegoś, panno Blake? — Papieros zakołysał się w jego ustach, kiedy to mówił.

# — Dlaczego paRS skim zdaniem mamy do czynienia z atakiem

niedźwiedzia?

Zaniknął zapalniczkę i tą samą ręką wyjął z ust niezapalonego papierosa.

— Czemu chce pani to wiedzieć?

Miałam ochotę odburknąć: „Odpowiedz mi na pytanie, do cholery” — ale nie zrobiłam tego. Punkt dla mnie.

— Z ciekawości.

— To nie był lew górski. Kuguar bardziej poszarpałby ofiarę pazurami. Byłaby mocniej pokiereszowana.

— Czemu nie wilk?

— Jest zwierzęciem stadnym. Wydaje mi się, że to robota tylko jednego drapieżnika.

Nie mogłam się z tym nie zgodzić.

— Myślę, że coś pan przed nami ukrywa, szeryfie. Na mój gust sporo pan wie o zwierzętach, które nie występują powszechnie w tym regionie.

— Trochę poluję, panno Blake. Trzeba znać zwyczaje zwierząt, które chce się upolować.

— I dlatego drogą eliminacji stawia pan na niedźwiedzia? — spytałam.

— Można tak powiedzieć. — Włożył papierosa do ust. Błysnął płomyk, rozświetlając jego twarz. Gdy przybliżył zapalniczkę do papierosa, ciemność wokoło jakby zgęstniała.

— A pani zdaniem, pani ekspert, co to było? — W chłodnym powietrzu rozeszła się woń dymu papierosowego.

— Zmiennokształtny.

Nawet w ciemnościach poczułam na sobie jego wzrok. Wydmuchnął kłęb dymu ku niebu.

— Tak pani przypuszcza.

— Ja to wiem. Burknął w głos.

— Jest pani bardzo pewna siebie, nieprawdaż?

— Niech pan tu do mnie zejdzie, szeryfie. Pokażę panu, co odkryłam.

Zawahał się, po czym wzruszył ramionami.

— Czemu nie?

Zszedł po zboczu jak buldożer, jego ciężkie buty żłobiły w śniegu głębokie bruzdy.

# — W porzą *RS*dku, pani ekspert, proszę mnie oświecić.

— Jesteś upierdliwy, Titusie.

Dolph westchnął, z jego ust wypłynął obłoczek pary. Titus, któremu to wydało się szczególnie zabawne, zgiął się wpół i

wybuchnął śmiechem, klepiąc się po nodze.

— Jest pani wyjątkowo zabawna, panno Blake. A teraz słucham, co ma mi pani do powiedzenia.

Wyjaśniłam mu wszystko.

Zaciągnął się dymem. Koniuszek papierosa rozżarzył się w ciemnościach.

— Cóż, to chyba jednak nie był niedźwiedź. Nie zamierzał oponować. Cudownie.

— Na pewno nie — zgodziłam się.

— Kuguar? — zapytał z nadzieją w głosie. Wyprostowałam się powoli.

— Wie pan dobrze, że nie.

— Zmiennokształtny — bąknął.

— Tak.

— W tym hrabstwie od dziesięciu lat nie mieliśmy zmiennokształtnego odszczepieńca.

— Ilu ludzi zabił? — spytałam. Zaciągnął się dymem i wypuścił go powoli.

— Pięcioro. Skinęłam głową.

— Nie znam tej sprawy. To było, jeszcze zanim zaczęłam współpracować z policją.

— Musiała pani być jeszcze wtedy w gimnazjum.

— Tak.

Cisnął papierosa w śnieg i zdusił pod butem.

— Chciałem, aby to był niedźwiedź.

— Ja również — przyznałam.



## Rozdział dziewiąty

N

oc by ła przepelniona bezwzględna, zimna ciemnością. Druga w nocy to bezbożna godzina, niezależnie od pory roku. W połowie grudnia druga w nocy to lodowate jądro

wiecznej nocy. A mo że tylko ja miałam na ten temat takie zdanie. Lampa nad schodami wiodącymi do mego mieszkania wyglądała jak uwiązany księżyc. Wszystkie lampy sprawiały wrażenie oszronionych i falujących. Trochę nierzeczywistych. W powietrzu unosiła się osobliwa mgiełka.

Titus poprosi ł, abym jeszcze została, na wypadek gdyby natknęli się na kogoś w okolicy. Chcieli, abym ja rozstrzygała, czy napotkana osoba jest lykantropem, czy bogu ducha winnym człowiekiem. Lepsze to, niż gdyby mieli odcinać temu komuś rękę, by przekonać się, czy ma skórę porośniętą od wewnątrz sierścią. Co by było, gdyby się pomylili. Przeprasiliby tego kogoś?

Do miejsca zbrodni prowadzi ły tropy wilkołaka. Wykonano gipsowe odlewy, a kopie, zgodnie z moją sugestią, przesłano na wydział biologii uniwersytetu w Waszyngtonie. Niewiele brakowało, a zaadresowałabym przesyłkę do doktora Louisa Fane'a. Wykładał biologię na Uniwersytecie Waszyngtońskim. Był jednym z najlepszych przyjaciół Richarda. Miłym facetem. I szcurołakiem. Jego wielka i starannie skrywana tajemnica mogłaby wyjść na jaw,

# gdybym zaczęła wysy<sup>RS</sup>ać do niego odciski łapy lykantropa.

Adresując przesyłkę bezosobowo na wydział biologii, byłam niemal pewna, że prędzej czy później trafi do rąk Louiego.

To było moje największe tej nocy osiągnięcie. Poszukiwania trwały jeszcze, gdy stamtąd odjechałam. Miałam włączony pager. Gdyby znaleźli leżącego gdzieś w śnieżnej zaspie nagiego mężczyznę, natychmiast mieli mnie powiadomić. Choć gdyby pager odezwał się, kiedy już się położę, wyrwana brutalnie ze snu będę nielecho wkurzona.

Zamknęłam drzwi auta i ten dźwięk wrócił do mnie z wielokrotnionym echem. Trzasnęły drzwi drugiego samochodu. Byłam zmęczona, ale automatycznie przepatrzyłam nieduży parking w poszukiwaniu źródła odgłosu. Irving Griswold stał cztery samochody dalej, w jaskrawej, pomarańczowej parce i z pasiastym szalikiem na szyi. Brązowe, zmierzwiłone włosy jak aureola otaczały łysinę. Na perkaty, mały nos nasadzone były nieduże, okrągłe okulary. Irving wydawał się jowialnym, niegroźnym facetem, ale był także wilkołakiem. To chyba moja noc na spotkania z lykantropami.

Irving był reporterem pracującym dla „St. Louis Post-Dispatch”. Zwykle to on pisywał artykuły dotyczące mojej skromnej osoby i firmy, w której byłam zatrudniona — Animatorzy sp. z o.o.

Uśmiechnął się i podszedł do mnie. Ot, miły znajomy reporter. No jasne.

— Czego chcesz, Irving?

— Tak witasz kogoś, kto czekał na ciebie w aucie bite trzy godziny?

— Czego chcesz, Irving? — Może jeśli będę powtarzać pytanie dostatecznie długo, da mi wreszcie spokój.

Jego okrągłe, drobne oblicze spochmurniało. Wydawał się zasmucony i zatroskany.

— Musimy porozmawiać, Anito.

— Czy to długo potrwa?

Zamyślił się chwilę, po czym skinął głową.

— Bardzo możliwe.

— Wobec tego wejdź na górę. Zaparzę dla nas prawdziwą kawę.

— Prawdziwą w odróżnieniu od lipnej? — zapytał.

# Zaczęłam wchodzi*RS* po schodach.

— Zrobię ci tak kawę, po wypiciu której zaczną ci rosnać włosy na torsie.

Zaśmiała się.

Uświadomiłam sobie, że niechcący popełniłam drobne faux pas. Wiem, że Irving jest zmiennokształtnym. Widziałam go nawet w wilczej postaci. Ale zapomniałam o tym. Jest moim przyjacielem i w ludzkiej postaci nie ma w sobie nic z lykantropa.

Usiedliśmy przy stole w kuchni, sącząc waniliowo-orzechową kawę. Przerzuciłam żakiet przez oparcie krzesła. Tym samym odsłoniłam szelki z kaburą podramienną.

— Myślałem, że masz dziś randkę, Blake.

— Miałam.

— Niezła randka.

— Ostrożności nigdy za wiele.

Irving podmuchał, aby ostudzić kawę, i spróbował odrobinę. Strzelał oczami z boku na bok, usiłując ogarnąć wszystko. Kiedyś będzie w stanie dostrzec najdrobniejsze szczegóły, po kolor skarpetek i butów stojących przy łóżku.

— Co jest grane, Irving?

— Wyśmienita kawa. — Unikał mojego wzroku. To zły znak.

— Co się dzieje?

— Czy Richard mówił ci o Marcusie?

— O waszym przywódcy stada, zgadza się? Irving sprawiał wrażenie zaskoczonego.

— Powiedział ci?

— Dziś wieczorem dowiedziałam się, że wasz alfa ma na imię Marcus. Trwa walka o sukcesję. Marcus chce śmierci Richarda. Richard twierdzi, że nie będzie z nim walczył.

— Ale przecież *RS* go pokonał — rzekł Irving.

Tym razem to na

mojej twarzy odmalowała się zaskoczenie.

— Czemu więc c Richard nie jest przywódcą stada? — Richard nie okazał się dość twardy. Krótko mówiąc, spękał.

Miał go, Blake, miał pazury przy gardle Marcusa. — Irving pokręcił głową. — Sądził, że gdy Marcus dojdzie do siebie, zdołają się dogadać, osiągnąć jakiś kompromis. — Prychnął drwiąco. — Twój chłopak to idealista.

Idealista. Czytaj — g łupiec. Jean-Claude i Irving byli tego samego zdania. A rzadko się im to zdarzało.

— Wyjaśnij.

— W stadzie osiąga się wyższą pozycję dzięki walce. Jeśli zwyciężysz, wspinasz się na kolejny szczebel. Gdy przegrasz, pozostajesz na obecnej pozycji. — Upił łyk kawy i zmrużył oczy, jakby chłonał ciepło. — Dopóki nie staniesz do walki o przywództwo.

— Pozwól, że zgadnę. To walka na śmierć i życie.

— Nie zabijesz starego, nie zostaniesz nowym przywódcą.

Pokręciłam głową, pozostawiając przed sobą nietkniętą kawę.

— Czemu mówisz mi to wszystko, Irving? Dlaczego właśnie teraz?

— Marcus chce się z tobą spotkać.

— Dlaczego Richard nie powiedział mi tego osobiście?

— Richard nie chce cię w to mieszać.

— A czemu?

Irving co prawda odpowiadał na kolejne moje pytania, ale niewiele mi to pomagało. Teraz wzruszył ramionami.

— Richard sprzeciwia się Marcusowi pod każdym względem. Jeśli tamten mówi, że coś jest czarne, Richard powie, że jest białe.

— Dlaczego Marcus chce się ze mną spotkać?

— Nie wiem — odparł Irving.

— No jasne. Pewno.

— Mówię szczerze, Blake. Nie mam pojęcia, co się dzieje. Kroi

# się coś naprawdę du**RS**ego, ale nikt nie puszcza farby. Nie chcą ze mną

gadać.

— Jak to? Przecie jesteś zmiennokształtnym.

— Ale także reporterem. Parę lat temu popełniłem błąd,

drukując pewien artykuł. Lykantrop, z którym rozmawiałem, skłamał, stwierdził, że nigdy nie zezwolił, bym go zacytował. Stracił pracę. Byli też tacy, którzy chcieli się na mnie odegrać, doprowadzić do tego, abym i ja wyleciał z roboty. — Otulił dłońmi kubek z kawą. Wzrok miał zamyślony, wspominał. — Marcus powiedział... nie, stwierdził, że jako reporter jestem dla nich o wiele cenniejszy. Tyle że odtąd nikt mi już nie ufa.

— Te typy nie znają przebaczenia — skomentowałam. Upiłam łyk kawy i stwierdziłam, że prawie wystygła. Jeśli wypiję ją dość szybko, będzie całkiem, całkiem.

— Oni nigdy nie wybaczą ani nie zapominają — rzekł Irving. To cecha przypisywana głównie łotrom i innym typom spod

ciemnej gwiazdy, ale ja również ją podzielałam, więc nie potępiałam tego w czambuł.

— Dlatego Marcus przysłał ciebie. Aby powiedzieć za twoim pośrednictwem, że chce ze mną porozmawiać. Na jaki temat?

— Chce się spotkać. I pogadać o jakichś interesach.

Wstałam i ponownie napełniłam swój kubek. Tym razem trochę mniej cukru. Zaczęłam wreszcie otrząsać się z frustracji.

— Niech się umówi na spotkanie w moim biurze, w firmie.

Irving potrząsnął głową.

— Marcus to ceniony chirurg. Wiesz, co by się stało, gdyby wyszło na jaw, kim jest?

To akurat byłam w stanie zrozumieć. Zmienno-kształtni są tolerowani przy wykonywaniu pewnych zawodów. Ale nie jako lekarze. Pewien dentysta z Teksasu wciąż jest ciągnany po sądach przez swoją pacjentkę. Kobieta twierdzi, że zaraziła się od niego lykantropią. To bzdura. Nie można się zarazić od dotyku lykantropa w jego ludzkiej postaci. Ale sprawa trafiła przed sąd i dotąd się

# ciągnie. Ludzie nie lubiRSą, gdy jakiś kudłacz gmera przy zębach ich

ukochanym pociechom.

— W porządku, niech przyśle do mojego biura kogoś innego.

Marcus na pewno ma jakąś zaufaną osobę.

— Richard zabronił komukolwiek kontaktowania się z tobą. Spojrzałam na niego.

— Zabronił? Irving przytaknął.

— Każdy niż szego szczebla, kto próbowałby się z tobą skontaktować, robił by to na własne ryzyko.

Zaczęłam się uśmiechać, ale natychmiast przestałam. Mówił serio. — Nie żartujesz.

Uniósł trzy palce w salucie.

— Słowo skauta.

— Wobec tego, jakim cudem tu jesteś? Chcesz poprawić swoją pozycję w stadzie?

Poblądł. Słowo daję, że poblądł.

— Ja? Miałbym sprzeciwiać się Richardowi? Wchodzić z nim w spór? Za cholere, nie!

— A zatem Richard nie będzie miał nic przeciw temu, że ze mną rozmawiasz?

— Oczywiście, że będzie miał... Zmarszczyłam brwi. — Czy Marcus cię ochroni?

— Richard wydał konkretne zalecenie. Marcusowi nie wolno ingerować.

— Ale rozkazał ci, abyś przyszedł i spotkał się ze mną — rzekłam.

— Ta.

— Co ma powstrzymać Richarda przed rzuceniem ci się do gardła za to, że sprzeciwiłaś się jego rozkazom?

Irving się uśmiechnął.

— Pomyślałem, że ty mnie ochronisz. Zaśmiałam się. — Ty sukinsynu.

— Może nim jestem, ale znam cię, Blake. Nie podoba ci się, że

Richard próbował co

wściekła, że starał si

przyjaciółmi. Wątpi

przed tobą ukrywać. I z całą pewnością jesteś ciebie chronić. Poza tym od lat jesteśmy

, abyś mogła stać z boku i patrzeć spokojnie, jak twój chłopak wyżywa się na mnie.

Irving znał mnie lepiej niż Richard. To nie była pocieszająca myśl. Czy dałam się zwieść przystojnemu obliczu i miłemu poczuciu humoru? Czyżbym nie dostrzegła prawdziwego Richarda?

# Pokręciłam głową *RS*. Mógłby oszukać mnie aż do tego stopnia?

Miałam nadzieję, że nie.

— Zechcesz objąć mnie swoją ochroną? Wciąż się uśmiechał, ale miał coś w oczach. Może strach.

— Muszę powiedzieć to na głos, aby zaczęło oficjalnie obowiązywać?

— Tak.

— To zasada w podziemiu lykantropów?

— Jedna z nich — przyznał.

— Możesz liczyć na moją ochronę, ale w zamian żądam informacji.

— Już mówiłem, że o niczym nie wiem, Blake.

— Powiedz mi, jak to jest być lykantropem, Irving. Richard trzyma mnie wciąż w nieświadomości. To dla mnie bardzo krępujące. Nie znoszę tego.

Irving uśmiechnął się.

— Słyszałem.

— Jeśli będziesz moim przewodnikiem w świecie kudłaczy, możesz być pewien, że ze strony Richarda nic ci nie grozi. — Zgoda.

— Kiedy Marcus chce się ze mną widzieć?

— Jeszcze tej nocy. — Irving miał dość przyzwoitości, aby udąć zażenowanie.

Pokręciłam głową.

— Nic z tego. Idę do łóżka. Spotkam się z Marcusem jutro. Dziś nie ma mowy. To w ogóle nie wchodzi w rachubę.

Wejrzał w głąb swego kubka, dotykając go koniuszkami palców. — On chce, aby to stało się jeszcze dziś. — Uniósł wzrok i

spojrzał na mnie. — Jak sądzisz, dlaczego czekałem na ciebie tak długo?

— Nie jestem na skinienie każdego potwora w tym mieście. Nie wiem nawet, po co kudłata gęba chce się ze mną widzieć. —

Rozparłam się wygodnie na krześle i skrzyżowałam ramiona. — Nic z tego, nie zamierzam dzisiejszej nocy użerać się ze zmiennokształtnymi. Nikt ani nic nie skłoni mnie do zmiany decyzji.



# Irving zaczął wierci*RS* się na krześle i powoli przesunął kubek po

stole. Wyraźnie unika mego wzroku.

— No, co jest? — zaciekawiałam się.

— Marcus kazał mi nakłonić cię do spotkania z nim. W razie

gdybyś odmówiła... mam zostać ukarany. Za to, że tu przyszedłem, narobię sobie kłopotów u Richarda. Jestem w kropce. Uwiązany pomiędzy dwoma samcami alfa jak między młotem a kowadłem. Nie wiem, co mam zrobić, jak wydostać się z tej kabały.

— Czy prosisz mnie, abym ochroniła cię także przed Marcusem? — Nie — odparł, kręcąc głową. —

Nie. Jesteś dobra, Blake, ale

Marcus to nie twoja liga.

— Miło to słyszeć — uznałam.

— Czy spotkasz się jeszcze tej nocy z Marcusem?

— Jeżeli odmówię, napytam cię biedy? Spojrzał do swego kubka. — Uwierzysz, jeśli powiem, że nie?

— Nie.

Popatrzył na mnie z powagą ciepłymi, brązowymi oczami. — Wkurzy się, jednak jakoś to przeżyję.

— Ale ukarze cię, a co za tym idzie, sprawi ci wiele bólu i

cierpienia. — To nie było pytanie.

— Ta — zgodził się nieśmiało, jakby z wahaniem. To nie było w stylu Irvinga.

— Zobaczę się z nim pod jednym warunkiem. Że będziesz obecny podczas tego spotkania.

Uśmiechnął się od ucha do ucha.

— Jesteś prawdziwą przyjaciółką, Blake. — Cały smutek

prysnął, zmyty przez promienny uśmiech. Nie ulegało wątpliwości,

że on też miał nieprzepartą ochotę dowiedzieć się, o co właściwie

chodziło Marcusowi. By

po uszy w kłopotach. Liczy

ł reporterem z krwi i kości. Nawet gdy tonął ła się dlań przede wszystkim możliwość zdobycia

kolejnego bombowego materiału. Był przede wszystkim reporterem, dopiero potem lykantropem.

Sam jego uśmiech był wart wyrażenia przeze mnie zgody na spotkanie. Poza tym chciałam wiedzieć,

czy Richard naprawdę był w niebezpieczeństwie. Spotkanie z człowiekiem, który mu groził, mogło

wiele wyjaśnić. Może dzięki temu poznam prawdę. Poza tym nie cierpię, gdy ktoś grozi moim

przyjacio

łom.

Posrebrzane kule jedynie spowolni ą wampira, chyba że trafisz go w głowę i w serce, ale wilkołaka są w stanie uśmiercić w mgnieniu oka i nawet przyspieszony metabolizm oraz zdolność gojenia ran nie będą go w stanie ocalić.

Oby Marcus o tym nie zapomniał. W przeciwnym razie nie omieszkać mu tego przypomnieć.

## Rozdział dziesiąty

### I

ring zadzwonił do Marcusa z mojego mieszkania. Reporter znów nie wiedział dlaczego, ale Marcus polecił mi, aby zatelefonowałam, zanim się zjawimy. Poszłam do sypialni.

Rozwiesiłam mój elegancki kostium i przebrałam się. Czarne dżinsy, czerwona koszulka, czarne niki z niebieskimi paskami i skarpety frotte.

Sięgnęłam po obszerny, zielony sweter, który zostawiłam na łóżku. Zawahałam się. Nie dlatego, że zdobił go wizerunek choinki i mógł okazać się — delikatnie mówiąc — niezbyt elegancki. Nie przejmowałam się takimi drobiazgami. Zastanawiałam się, czy wziąć ze sobą drugi pistolet. To, czy jestem ubrana modnie, schodziło zwykle na drugi plan, grunt, abym była bezpieczna.

Jak dotąd żaden lykantrop mi nie groził, ale pamiętałam pogróżki wampirzycy Gretchen. Może nie była mistrzynią, lecz niewiele jej brakowało

mi browninga. Miał

szwendać się po mie

wpinaną kaburę wewn

o. Poza tym wciąż świeżo pamiętałam glinę odbierającego

am zbyt wielu nadnaturalnych wrogów, aby cie bez broni. Zdecydowałam się na wysłużoną, ętrzną. Była prawie niewidoczna, żeby ją dostrzec, trzeba się naprawdę mocno starać.

Moją drugą splot jest dziewięćmilimetrowy firestar. Nieduży, lekki, niebrzydki, a w dodatku mogłam go nosić przy pasku i bez przeszkód usiąść. Sweter sięgał mi do połowy ud. Broń będzie niewi

# doczna, chyba że ktoRS spróbuje mnie obszukać. Umieściłam pistolet z

przodu, by łatwiej po niego sięgnąć. Zapewne to nie będzie konieczne. Zapewne.

Sweter trochę ę się wybrzuszał przy paskach upręży kabury podramiennej. Widziałam ludzi noszących taką uprząż pod obszernymi swetrami lub bluzami od dresu, ale sięgając pod ubranie, zwykle tracisz parę sekund. Wolałam wyglądać nieco mniej modnie, jeśli dzięki temu mogłam dłużej pożyć.

Sweter by ł za długi, aby nałożyć nań skórzaną kurtkę, zdecydowałam się więc na czarny trencz. Styl a la Phillip Marlowe. Nie wzięłam zapasowej amunicji. Stwierdziłam, że dwadzieścia jeden naboii to dość jak na jedną noc. Nawet noże zostawiłam w domu. Omal nie zrezygnowałam z firestara. Zazwyczaj nie noszę przy sobie dwóch pistoletów, dopóki ktoś nie próbuje mnie zabić. Wzruszyłam ramionami. Po co kusić licho? Jeśli broń okaże się niepotrzebna, tylko się nadźwigam. Gdybym jej jednak potrzebowała, może się okazać, że nie targałam żelastwa na próżno.

Irving czeka ł na mnie. Siedział na kanapie niczym grzeczny chłopiec. Wyglądał jak uczeń odesłany przez nauczycielkę do kąta.

— Co się stało?

— Marcus polecił, abym przekazał ci niezbędne wskazówki, jak masz dojechać na miejsce. Nie chce, żebym był obecny na spotkaniu. Powiedziałem, że beze mnie nie przyjedziesz. Że mu nie ufasz. — Uniósł wzrok i spojrzał na mnie. — Jest nielicho wkurzony.

— Ale postawiłeś na swoim — mruknęłam.

— Tak.

— Czemu to nie poprawiło ci humoru? Wzruszył ramionami.

— Niezadowolony Marcus bywa nieprzewidywalny, Blake.

# — Ja poprowadz*RS*, ty mów tylko, jak mam jechać.

— Marcus powiedzia ł, że powinniśmy przyjechać dwoma samochodami. Stwierdzi ł, że po spotkaniu będę musiał zostać, aby uciąć sobie z nim ma pogawędkę.

— Daj spokój, Irving. Ja prowadzę, ty mną kierujesz. I kiedy ja wychodzę, ty także.

— Doceniam twoj ą ofertę, Blake, ale nie chcę, aby Marcus wściekł się na ciebie.

— Skoro chroni cię przed Richardem, równie dobrze mogę ochronić cię przed Marcusem.

Pokręcił głową.

— Nie, jedź za moim samochodem. — Uniósł dłoń do góry. — Nie kłóć się ze mną, Blake. Jestem wilkołakiem. Muszę żyć w naszej wspólnocie. Nie mogę sobie pozwolić, aby wystąpić przeciwko Marcusowi, zwłaszcza gdy chodzi o taką bła hostkę.

Chciałam jeszcze trochę się z nim pokłócić, ale zrezygnowałam. Irving wiedział lepiej ode mnie, na co się naraża. Skoro kłótnia z Marcusem mogła jedynie pogorszyć sprawę, należało jej uniknąć. Opuściłam. Choć wcale nie byłam zadowolona z takiego obrotu spraw.

Kafejka U Lunatyków mieściła się w miasteczku uniwersyteckim. Nad wejściem świecił się niebieski neon w kształcie ozdobionego napisem półksiężycy. Pomijając nazwę i rzucający się w oczy neon, miejsce to przypominało wiele innych kafejek w okolicy.

Był piątkowy wieczór, na parkingu żadnych wolnych miejsc. Zaczęłam już wierzyć, że Marcus będzie musiał wyjść po mnie, gdy nieopodal zwolniło się miejsce po ciemnoczerwonej impali. Mój dziup zgrabnie się tam wpasował.

Irving czekał przed restauracją. Ręce włożył do kieszeni. Jego kretyński szalik zwisał prawie do ziemi. Irving sprawiał wrażenie zdenerwowanego i zdeprymowanego.

Podeszłam do niego, a poły płaszcza powiewały za mną jak peleryna. Nawet teraz większość ludzi nie dostrzegłaby, że noszę broń. Ujrzeliby tylko niedużą kobietę w jasnym, świątecznym sweterku. Zwykle ludzie widzą jedynie to, co chcą zobaczyć. Tacy jak ja spojrzeliby tylko jeden raz i od razu zorientowaliby się, że noszę gnata.

Irving bez słowa pchnął drzwi. Irving milczący? Nie podobało mi się, gdy był taki jak teraz — przybity, smętny, jak skopany pies. Wzbudzało to we mnie niechęć do Marcusa, a przecież nawet go nie znałam.

# Gdy tylko przestą*RS*piliśmy próg, zalała nas fala dźwięków. Gwar

głosów przywodzący na myśl szum oceanu. Brzęczały sztućce, ktoś się zaśmiał, ale dźwięk ten urwał się nagle jak ucięty nożem. Pod ścianą był kontuar barowy z polerowanego, ciemnego drewna, stary, ale starannie utrzymany. W sali stały nieduże, okrągłe stoliki, przy każdym z powodzeniem mogły siedzieć cztery osoby. Wszystkie miejsca były zajęte. W sali znajdowały się trzy wejścia, jedno za barem, jedno po prawej i jedno pośrodku. W mniejszych salach także ustawiono okrągłe stoliki.

W kafejce było przytulnie jak w domu. Znaleźliśmy się w głównej sali, czyli mówiąc w przenośni, w salonie. Do sąsiednich pomieszczeń prowadziły przejścia o łukowatych sklepieniach, jakby ktoś usunął kilka ścian. Mimo to wnętrze kafejki wzbudzało uczucie klaustrofobii. Przy barze kłębił się tabun gości czekających na zwolnienie się jakiegoś stolika. W lokalu roiło się od uśmiechniętych, szczęśliwych ludzi.

Jedna z barmanek podeszła do nas, wycierając dłonie w ręcznik zatknięty za fartuch. Uśmiechnęła się szeroko na powitanie. W dłoni trzymała dwie karty dań.

Już miałam powiedzieć: „Nie potrzebujemy...”, gdy Irving schwycił mnie. Jego dłoń pulsowała napięciem. Złapał mnie za prawą rękę. Odwróciłam się, by powiedzieć: „Puść mnie”, ale umilkłam na widok jego twarzy. Patrzył na uśmiechniętą kobietę, jakby miała dwie głowy. Odwróciłam się i też na nią spojrzałam. Przyjrzałam się z uwagą.

# Była wysoka, szczupła, o długich, prostych włosach. Miały

rudawokasztanowy odcień, który w tym świetle stawał się jeszcze wyraźniejszy. Trójką twarz, o może ciut za ostrym podbródku, ogólnie wyglądała atrakcyjnie. Oczy w dziwnym bursztynowo-brązowym odcieniu wspaniale współgrały z włosami.

Jej uśmiech poszerzył się, dokonało tego lekkie rozchylenie warg. Wiedziała, kogo mam przed sobą. Lykantropa. Takiego, który mógł udawać człowieka. I to z powodzeniem. Jak Richard.

Rozejrzałam się po sali i uświadomiłam sobie, czemu odniosłam wrażenie, że panuje tu taki ścisk. Nie chodziło tylko o tłumy klientów. Większość tych uśmiechniętych, radosnych ludzi stanowili zmiennokształtni. Ich energia unosiła się w powietrzu jak burzowa chmura. Moc przepełniała całą salę i — chcąc nie chcąc — ja także ją poczułam. Gdy tak stałam w drzwiach, zauważyłam, że niektórzy z gości popatrują w moją stronę. Oczy, które na mnie zerkały, były ludzkie, w przeciwieństwie do spojrzeń.

Spojrzenia były taksujące, bezwzględne. Czy byłam twarda? Jakbym smakowała? Przypomniało mi się, że w ten sam sposób Richard przyglądał się ludziom w Foksie. Poczułam się niczym kura pośrodku stada kojotów. Nagle ucieszyłam się, że wzięłam z sobą drugi pistolet.

— Witamy U Lunatyków, panno Blake — rzekła kobieta. — Jestem Raina Wallis, właścicielka lokalu. Proszę za mną. Już na panią czekają. — powiedziała to wszystkim z uśmiechem i ciepłym spojrzeniem. Dłoń Irvinga zacisnęła się na moim ręku jeszcze mocniej, niemal sprawiając mi ból.

Nachyliłam się w jego stronę i wyszeptałam:

— To moja prawa ręka.

Zamrugał. Spojrzał na browninga i puścił mnie.

— Przepraszam — wymamrotał.

Raina przybliżyła się do nas. Irving drgnął i skulił się w sobie. — Nie ugryzę cię, Irving. Jeszcze nie.

— Zaśmiała się półgłosem.

To był szczery, niepohamowany śmiech. Taki śmiech słychać zwykle wśród przyjaciół lub w sypialni kochanków. Ten dźwięk nadał jej ciału i oczom inny wygląd. Nagle wydała mi się bardziej zmysłowa i lubieżna niż dotychczas. Co dziwne, w pozytywnym tego słowa znaczeniu.

# — Nie każ *RS*my Marcusowi czekać. —

## Odwróciła się i zaczęła

przeciskać się między stolikami.

Spojrzałam na Irvinga.

— Chcesz mi coś powiedzieć?

— Raina to nasza samica alfa. Jeśli kogoś ma spotkać sroga kara, zwykle to właśnie ona ją wymierza. Jest bardziej wyrafinowana niż Marcus.

Raina przywołała nas do łukowato sklepionego przejścia przy barze. Jej cudne oblicze sponiewała, tracąc trochę na atrakcyjności i wydając się przez to nieco groźniejsze.

Poklepałam go po ramieniu.

— Nie pozwolę, aby cię skrzywdziła.

— Nie zdołasz temu zapobiec.

— To się okaże — mruknęłam.

Skinął głową, ale chyba mi nie uwierzył. Ruszył pomiędzy stolikami. Pospieszyłam za nim. Jakaś kobieta dotknęła jego ręki, gdy ją mijał. Posłała mu uśmiech. Była mojego wzrostu, filigranowa, o prostych, krótko przyciętych, czarnych włosach, które okalały jej twarz jak czarna koronka. Irving ścisnął jej palce i pomaszerował dalej. Duże, czarne oczy kobiety odnalazły moje spojrzenie. Nie zdołałam nic z nich wyczytać. Uśmiechały się do Irvinga, wobec mnie były obojętne. Jak ślepia wilka, którego spotkałam kiedyś w Kalifornii. Wyszłam zza drzewa i zobaczyłam go. Aż do tej chwili nie wiedziałam, co naprawdę oznacza obojętność. Białe ślepia spojrzały na mnie wyczekująco. Gdybym okazała się dla drapieżnika zagrożeniem, zaatakowałby mnie. Jeśli dam mu spokój — odejdzie. Wybór należał do mnie. Wilkowi było obojętne, co wybiorę.

Szłam dalej, ale poczułam na plecach nieprzyjemne ciarki. Wiedziałam, że wszyscy na nas patrzyli. Czulałam na sobie ich świdrujący wzrok.

Miałam ochotę odwrócić się na pięcie i krzyknąć: „Uuu!”, jednak przezwyciężyłam pokusę. Odnosiłam wrażenie, że ci ludzie przyglądali się nam obojętnym wzrokiem i nie chciałam, by moje przypuszczenia się potwierdziły. Nie chciałam tego zobaczyć.

Raina doprowadzi

Otworzyła jej pchnię

środką. Irving bez sł

a nas do zamkniętych drzwi na tyłach sali. ciemnym i teatralnym gestem zaprosiła nas do owa przestąpił próg. Ja również, ale nie

odrywałam wzroku od kobiety. Mimo to była tak blisko, że obdarzona nadludzkim refleksem na pewno poradziłaby sobie ze mną bez trudu.



# Lykantropy są *RS* szybsze od ludzi. To nie ma nic wspólnego z

mentalnymi sztuczkami wampirów. Po prostu są od nas lepsze. Nie wiedziałam, w jakim stopniu były od nas lepsze w ludzkiej postaci. Wpatrując się w uśmiechnięte oblicze Rainy, nie miałam pewności, czy chcę się tego dowiedzieć.

Znaleźliśmy się w wąskim korytarzu. W obu jego końcach znajdowały się drzwi, na szybę w jednych z nich napierał mrok nocy, drugie były zamknięte, znak zapytania.

Raina zamknęła za nami drzwi i ciężko się o nie oparła. Opuściła głowę tak, że włosy opadły jej na twarz.

— Nic ci nie jest? — spytałam.

Wzięła głęboki, drżący oddech i spojrzała na mnie.

Westchnęłam mimowolnie. Nie mogłam się powstrzymać. Była piękna. Miała wysokie, wydatne kości policzkowe i wyraziste rysy. Oczy rozstawione nieco szerzej podkreślały walory oblicza. Wyglądała jak własna siostra, była podobna do kobiety, którą widziałam przed chwilą, ale nie była tą samą osobą.

— Co zrobiłaś? Znów się roześmiała.

— Jestem alfą, panno Blake. Potrafię wiele rzeczy, których nie może dokonać większość zmiennokształtnych.

Musiałam przyznać jej rację.

— Poprzestawiałaś nieznacznie kości twarzy, zrobiłaś to celowo, jak przy operacji plastycznej. Tyle że zrobiłaś to sobie sama.

— Doskonale, panno Blake, naprawdę bardzo dobrze. — Spojrzała bursztynowobrazowymi oczami na Irvinga. Uśmiech zniknął z jej twarzy. — Czy naprawdę należy pani na jego obecność podczas spotkania?

— Tak. Nalegam. Wyd

— Marcus kaza

Wzruszyła ramionami i odsunęła się od drzwi. Była wyższa o ponad siedem centymetrów. Szkoda, że nie zwróciłam większej uwagi na jej ręce. Czy one także się zmieniły?

# — Po co to rzeźRSbienie ciała? — spytałam.

— Poprzednia postać to moja dzienna forma. Ta jest prawdziwa.

— W jakim celu ten kamuflaż?

— Na wypadek gdybym musiała zrobić coś niegodziwego.

Niegodziwego?

Podeszła do drugich, zamkniętych drzwi. Miała płynne, miękkie ruchy wielkiego kota. A może wielkiego wilka?

Zapukała do drzwi. Nie usłyszałam odpowiedzi, ale otworzyła je. Stała w progu, splatając ręce na brzuchu, poniżej piersi i ęła wargi z niesmakiem.

mi zapytać, a potem was do niego wprowadzić. uśmiechnęła się do nas. Uśmiechy Rainy coraz mniej mi się podobały.

Za drzwiami znajdowała się sala bankietowa z ustawionymi w podkowę stołami nakrytymi obrusami. U zwieńczenia odnog podkowy wznosiło się podium z czterema krzesłami i pulpitem. Na platformie stało dwóch mężczyzn. Jeden miał co najmniej metr osiemdziesiąt wzrostu i — choć szczupły — był umięśniony jak zawodowy koszykarz. Włosy miał czarne, przycięte krótko, oraz cienki jak palec wąsik i kocią brodkę.

Stał, ujmując jedną ręką nadgarstek drugiej. Postawa wyczekująca. Postawa ochroniarza.

Nosił obcisłe, czarne dżinsy i czarny sweter z czarnym wzorem, opinający szerokie ramiona, eleganckie kowbojki i duży, kanciasty zegarek dopełniały wyglądu twardziela.

Drugi mężczyzna mierzył nie więcej niż metr siedemdziesiąt. Jego włosy miały ten osobliwy odcień blond, który w świetle wydaje się brązowy, ale wciąż pozostaje kolorem blond. Włosy miał krótkie, starannie ułożone i gdyby były odrobinę dłuższe, wyglądałyby całkiem miło. Gładko ogolony, miał kanciastą szczękę i dołeczek w brodzie. Dołeczek powinien nadać jego obliczu zabawny wygląd, ale tak nie było. To była twarz przywódcy. Cienkie wargi zdawały się stworzone do wypowiedzania sentencji w rodzaju: „Będzie po mojemu albo wcale”.

Nosił czarne spodnie i jasnoniebieską lnianą marynarkę. Stroju dopełniał jasnoniebieski golf Buty miał czarne i wyglansowane.

To musiał być Marcus.

# — Alfredzie — pad*RS* ło jedno słowo-rozkaz.

Wy ższy męz czyzna ni to zszedł, ni zeskokczył z podestu. Zrobił to jednym, płynnym ruchem. Otaczała go chmura jego własnej witalności. Otaczała go, wirując i kłębiąc się niczym fale żaru bijące z chodnika w upalny dzień. Nie było tego widać gołym okiem, ale czuło się bardzo wyraźnie.

Alfred podszed ł do mnie pewnym krokiem. Stańłam plecami do ściany, mając w zasięgu wzroku Rainę i resztę. Irving zrobił to samo. Stańł w pewnym oddaleniu od pozostałych, ale w sumie niedaleko ode mnie.

Odchyli łam połę płaszcz, by pokazać pistolet.

— Obyś nie miał złych zamiarów, Alfredzie.

— Alfredzie — rzucił drugi męzczyzna. Jedno słowo, ten sam

ton, ale tym razem Alfie stańł jak wryty. Wlepił we mnie wzrok. Miał w oczach wrogość. Zwykle ludzie nie są do mnie źle nastawieni.

- Nie użyjemy wobec pani przemocy, panno Blake — rzekł

Marcus.

- Jasne. Alfie zdaje się wręcz kipieć przemocą.

Chcę wiedzieć, co zamierza, zanim pozwolę mu podejść bliżej. Marcus spojrział na mnie, jakbym zrobiła coś ciekawego.

- Bardzo trafne spostrzeżenie, panno Blake. Czy widzi pani

nasz ą aureę?

— Można to tak nazwać — przyznałam.

— Alfred nie ma złych zamiarów. Chce tylko panią obszukać.

Rozumie pani, broń. To standardowa procedura wobec niezmiennych. To nic osobistego, zapewniam panią.

Już sam fakt, że chcieli pozbawić mnie broni, sprawił, że

# postanowiłam w najbliższej przyszłości nie rozstawać się z moimi

pistoletami. Może jestem uparta, a może mam silną wolę przetrwania.

— Ewentualnie zgodzę się poddać przeszukaniu, jeśli wyjaśnisz mi, po co mnie tu sprowadziłeś. — Graj na czas, dopóki nie postanowisz co dalej.

— Nie rozmawiamy o interesach w obecności dziennikarzy, panno Blake.

— Bez niego nie ma mowy o żadnej rozmowie.

— Nie zamierzam narażać nas wszystkich tylko po to, by zadowolić czyjąś ciekawość. — Wciąż stał na podwyższeniu jak generał podczas przeglądu wojsk.

— Przyszłam jedynie dlatego, że Irving jest moim przyjacielem. Obrażając go, nie zyskasz mojej sympatii.

— Nie zależy mi na pani sympatii, panno Blake. Potrzebuję pani pomocy.

— Potrzebujesz mojej pomocy? — Staralam się ukryć zaskoczenie w głosie.

Lekko skinął głową.

— O jaką pomoc chodzi?

— On musi wyjść.

— Nie — rzuciłam stanowczo.

Raina odsunęła się od ściany i zaczęła krążyć wokół nas jak rekin.

— Równie dobrze Irving może zacząć odbywanie kary już teraz — mówiła cichym, mrużącym głosem.

— Nie wiedziałam, że wilki umieją mrużać. Zaśmiała się.

— Wilki sporo potrafią, o czym zapewne zdołałaś się już przekonać.

— Nie wiem, co masz na myśli.

— Och, daj spokój. Jak kobieta z kobietą. — Oparła bark o ścianę, skrzyżowała ramiona, miała przyjazny wyraz twarzy. Mogłam się założyć, że z tym samym szerokim uśmiechem mogłaby mi odgryźć palec.

Nachyliła się do mnie, jakby zamierzała mi zdradzić jakiś sekret.

— Richard jest tak dobry, na jakiego wygląda? Utkwiłam wzrok w jej rozbawionych oczach.

# — Nie plotkuję *RS* o moich partnerach.

— Chętnie zdradzę ci parę swoich sekretów, jeśli ty wyjawisz mi swoje.

— Raina, dość. — Marcus przystanął na skraju sceny. Nie wyglądał na uszcześliwionego. Uśmiechnęła się z rozleniwieniem. Drażniła się z nim bardziej niż ze mną i to ją bawiło.

— Irving musi wyjść, a Alfred musi panią obszukać. Te dwie sprawy nie podlegają negocjacji.

— Ubijmy interes — zaproponowałam. — Irving wyjdzie już teraz, ale pojedzie prosto do domu. Żadnych kar.

Marcus pokręcił głową.

— Już zadecydowałem, że zostanie ukarany. Moje słowo jest prawem.

— Kto umarł i uczynił cię królem?

— Simon — odparła Raina. Zamrugalam.

— Stoczył walkę z Simonem i zabił go. Jego śmierć uczyniła Marcusa przywódcą stada.

To było głupie pytanie.

— Chcesz mojej pomocy, wobec tego Irvingowi nie może spaść włos z głowy. Żadnych kar.

— Przestań — ostrzegł Irving. — Tylko pogorszysz sprawę.

Raina stanęła obok mnie. Wyglądała, jakby miała ochotę na babskie pogaduchy.

— On ma rację. Teraz Irving należy do mnie, ale jeśli rozdrażnisz Marcusa, może się zdarzyć, że odda go Alfredowi. Ja poddam torturom jego umysł i ciało. Alfred go złamie.

— Irving ma odejść wolno. Żadnych kar. Ja zostanę i pozwolę się obszukać Alfredowi. W razie odmowy odejdziemy stąd oboje.

— Nie oboje, panno Blake. Pani może stąd odejść, ale Irving należy do mnie. Zostanie tu i czy pani tego chce, czy nie, otrzyma należną mu lekcję.

— Co przeszkoba? — spytałam.

— To nie pani sprawa, lecz nasza.

— Wobec tego nici z mojej pomocy.

— W takim razie jest pani wolna. — Zeskoczył z wdziękiem ze sceny i ruszył w naszą stronę. — Ale Irving zostanie — dodał. — Pani jest wśród nas tylko dzisiaj. On musi z nami żyć. Nie może sobie pozwolić na taką zuchwałość jak pani. — To rzekłszy, zatrzymał się tuż za Alfredem. Z bliska dostrzegłam drobne zmarszczki wokół jego

# oczu i ust oraz obwisła fałda skóry na szyi i żuchwie. Dorzuciłam

dziesięć lat do jego przypuszczalnego wieku. Musiał być po pięćdziesiątce.

— Nie mogę zostawić tu Irvinga, wiedząc, co chcesz z nim zrobić.

— Och, nie masz bladego pojęcia, co z nim zrobimy — rzekła Raina. — Tak szybko wracamy do zdrowia. — Odsunęła się od ściany i podeszła do Irvinga. Krążyła wokół niego, zataczając ciasne kręgi, ocierała się o niego to biodrem, to ramieniem.

— Nawet najslabsi spośród nas są w stanie tak wiele wytrzymać.

— A co mogłoby zagwarantować Irvingowi bezpieczeństwo? — zapytałam.

Marcus spojrział na mnie z obojętną miną.

— Proszę obiecać, że nam pani pomoże i pozwoli się przeszukać Alfredowi. Jest moim ochroniarzem. Musi pani pozwolić mu wypełnić obowiązki.

— Nie mogę obiecać, że wam pomogę, dopóki nie dowiem się, o co chodzi.

— Wobec tego nie dogadamy się.

— Anito, zniosę wszystko, cokolwiek dla mnie przygotowają. Wytrzymam. To już nie pierwszy raz.

— Poprosiłeś, abym ochroniła cię przed Richardem, przyjmij, że to wchodzi w zakres naszej umowy — rzekłam.

— Poprosiłeś ją o ochronę? — Raina odstąpiła od niego, na jej twarzy malowało się zaskoczenie.

— Tylko przed Richardem — odparł Irving.

— Sprytne — mruknęła Raina. — Ale pociąga za sobą pewne implikacje.

# — Ona nie nale<sup>RS</sup>sy do stada. Richard toleruje ten układ tylko

dlatego, że się z nią spotyka — rzekł Irving. Wydawał się nieco zatroskany.

— Jakże znowu implikacje? — spytałam. Odpowiedzi udzielił Marcus.

— Prosząc członków stada o ochronę, przyznajesz tym samym, że stoją od ciebie wyżej w hierarchii i w ten sposób unikasz walki z nimi. Jeśli przyznają ci ochronę, musisz zgodzić się pomagać im w ich walkach. W razie gdyby rzucono im wyzwanie, honor nakazywałby ci stanąć po ich stronie.

Spojrzałam na Irvinga. Wydawał się zbity z tropu.

— Ona nie jest jedną z nas. Nie podlega prawu.

— Jakiemu prawu? — dociekałam.

— Prawu stada — wyjaśnił Marcus.

— Rezygnuję z jej ochrony — zadeklarował Irving. — Za późno — ucięła Raina.

— Postawiła nas pani w trudnej sytuacji, panno Blake. Członek stada uznał panią za stojącą w hierarchii wyżej od niego. Określił panią jako dominantkę. Zgodnie z naszym prawem musimy to uznać za wiążące.

— Nie mogę zostać członkinią stada — burknęłam. — Nie, ale może być pani dominantką. Wiedziałam, co oznacza

to słowo w prawdziwym

świecie. Marcus nadał mu jednak nowe znaczenie.

— Co znaczy być dominantką?

— Musi pani chronić Irvinga przed wszystkimi, którzy chcieliby go skrzywdzić.

— Nie — rzekł Irving. Minął Rainę i stanął przed Marcusem.

Wyprężywszy się jak struna, spojrzał mu prosto w oczy. To nie był przejaw poddania i s łuzalczności. — Nie pozwolę tak się

wykorzystywać. O to ci właśnie chodziło. Wiedziałeś, że poproszę ją o ochronę przed Richardem. Liczyłeś na to, prawda, zakłamany, dwulicowy łajdaku?

# Spomiędzy idealnie bia *RS* łych zębów Marcusa wypląnął cichy

warkot.

— Na twoim miejscu liczy łbym się ze słowami, szczeniaku.

Powinieneś trzymać zyk za zębami.

— Jeśli cię urazi , wytnę mu go. — Pierwsze słowa Alfreda nie brzmiały pocieszająco.

Sprawy wymykały się spod kontroli.

— Irving jest pod moją ochroną, Alfredzie. Nie wiem, czy dobrze rozumiem prawo. Aby skrzywdzić Irvinga, musiałbyś najpierw zmierzyć się ze mną zgadza się?

Alfred przeszył mnie spojrzeniem zimnych, ciemnych oczu.

Pokiwał głową.

— Jeżeli mnie zabijesz, nie będę mogła pomóc Marcusowi. To zbiło ochroniarza z tropu. Pięknie.

Nie ma jak wprawić

przeciwnika w zakłopotanie. Marcus uśmiechnął się.

— Odnalazła pani lukę w moim rozumowaniu, panno Blake.

Jeśli naprawdę zamierza pani otoczyć Irvinga ochroną, jak każe prawo, zapłaci pani za to życiem. Nawet najslabszy spośród nas zabije panią bez trudu.

Puściłam ten komentarz mimo uszu. Po co wdawać się w dyskusje, skoro zwycięstwo miałam w kieszeni?

— Jako że nie może pani podjąć wyzwania, a nie pozwoli nam pani skrzywdzić Irvinga, nic mu się nie stanie. Będzie bezpieczny. — Doskonale. I co teraz?

— Irving może odejść i naprawdę nic mu nie grozi. Pani zostanie i wysłucha, o co chcemy prosić. Niezależnie, czy zechce nam pani pomóc, czy nie, Irvingowi nie spadnie włos z głowy. — Bardzo wielkoduszne.

— Owszem, panno Blake. — Coś w jego oczach mówiło, że traktuje sprawę niezwykle poważnie. Raina mogła grać w swoje sadystyczne gierki, Alfred w napadzie szału mógł zrobić krzywdę. Marcus jednak był rozważny i opanowany. Jak szef mafii, tyle że porastał sierścią.

— Wyjdź, Irving.



# — Nie zostawię *RS* jej samej. Marcus warknął na niego.

— Moja cierpliwość ma swoje granice!

Irving osunął się na kolana, wyprężył grzbiet i pochylił głowę. To był pokaz służalczej uniżoności. Schwyciłam Irvinga za rękę i podźwignęłam na nogi.

— Wstawaj, Irving. Ten miły wilkołak nie zrobi ci krzywdy. — A to czemu, panno Blake?

— Bo Irving jest pod moją opieką. A skoro Alfred nie może ze mną walczyć, to z całą pewnością ty także.

Marcus odchylił głowę do tyłu i zaśmiał się, krótko i ochryple. — Jest pani odważna i bystra. Podziwiamy te cechy. Uśmiech zniknął z jego twarzy, pozostając nieco dłużej w głębi oczu, jak miłe, ulotne wspomnienie.

— Niech pani nie przeciwstawia mi się nazbyt otwarcie, panno Blake. Mogłoby to zostać poczytane za wyzwanie. A coś takiego bywa raczej szkodliwe dla zdrowia.

Iskierki rozbawienia umknęły z jego oczu, które wciąż wydawały się ludzkie, ale teraz były zimne i puste. Marcus, choć wyglądał i mówił jak człowiek, nie był nim.

Wpiłam palce w ramię Irvinga.

— Idź już, Irving. Wynocha stąd. Dotknął mojej ręki. — Nie zostawię cię w tym miejscu. Nie ma mowy.

— Mnie nic tu nie grozi. Z tobą jest inaczej. Naprawdę idź już, Irving, proszę cię.

Widziałam po jego twarzy, że toczył ze sobą gwałtowną, wewnętrzną walkę. W końcu jednak, po kolejnym srogim spojrzeniu Marcusa, opuścił salę. Drzwi zamknęły się za nim, a ja zostałam sama na samą trójką wilkołaków. Były cztery. O jednego mniej. Noc zapowiadała się obiecująco.

— Teraz Alfred musi panią przeszukać.

To tyle, jeżeli chodzi o miłe perspektywy.

— Wobec tego do dzieła — rzekłam. I znieruchomiałam. Nie uniosłam rąk. Nie oparłam się o ścianę. Nie zamierzałam mu w żaden sposób pomagać, chyba że mnie o to poprosi.

Odebrał mi browninga, po czym wprawnymi ruchami obmacał moje plecy, ręce i nogi. Nie sprawdził mnie z przodu. Może był

# dżentelmenem, a moRSe był po prostu nieostrożny. Tak czy owak,

przeoczył fire-stara. Mia łaam osiem powlekanych srebrem kul, a oni o tym nie wiedzieli. Noc naprawd ę zapowiadała się obiecująco.

## Rozdział jedenasty

M

arcus zajął miejsce na podwyższeniu. Alfred stanął tuż za nim, jak na dobrego ochroniarza przystało. — Proszę do nas, panno Blake. Spotkanie może trochę potrwać. Po co ma pani stać?

Nie chcia łaam usiąść, mając za plecami Alfreda, toteż wybrałam ostatni fotel. Puste krzesło pomiędzy nami wyglądało na opuszczone, ale przynajmniej znalazłam się poza zasięgiem Alfreda. Grunt to bezpieczeństwo. Dobre maniery schodziły na drugie miejsce.

Raina usiad ła po prawicy Marcusa, kładąc dłoń na jego kolanie. Marcus siedział sztywno, jakby połknął kij — cały czas się tak zachowywał. Ciocia Mattie byłaby wniebowzięta, widząc jego postawę. Mimo to nie odsunął dłoni Rainy. Nawet położył na jej dłoni swoją. Miłość

W drzwiach pojawi  
wymodelowane i na

? Solidarno ść? Nie wyglądali mi na zgraną parę. a się jakaś kobieta. Krótkie, jasne włosy miała elowane. Czerwony, wpadający w róż kostium

przywodzi ł na myśl płatek róży. Do białej bluzki nałożyła też jeden z cienkich krawatów, które sprawiają, że kostium wydaje się bardziej kobiecy i trochę krety

— Christine, dobrze,

Kobieta skinęła g

ski.

że przyszłaś — rzekł Marcus. ową i zajęła miejsce przy samym końcu

# ustawionych w podkow<sup>RS</sup> ę stolików, najbliżej sceny.

— A miałam jaki wybór? Czy dałeś wybór komukolwiek z nas? — spytała.

— Musimy być zjednoczeni, Christine.

— Dopóki ty nami rządysz?

Marcus chciał powiedzieć coś jeszcze, ale zaczęło się robić coraz tłoczniej. Pojawiały się kolejne osoby. Przychodzili pojedynczo, dwójkami, trójkami. Odpuścił. Na spory będzie czas później i nie wątpił, że dojdzie do konfrontacji. Skarga w głosie kobiety zdawała się dość zadawniona.

Rozpoznałam jedną z osób. Rafaela — Króla Szczurów. Był wysoki, śniady i przystojny, o krótko ściętych włosach, silnych, meksykańskich rysach i aroganckim wyrazie twarzy. Wyglądałby równie srogo jak Marcus, gdyby nie usta. Delikatne i zmysłowe, co psuło ogólny efekt.

Rafael skinął głową do mnie. Ja się odkloniłam. Towarzyszyły mu dwa szczurołaki w ludzkiej postaci. Nie rozpoznałam ich.

Przy stolikach zasiadło około tuzina osób, kiedy Marcus wstał i podszedł do podium.

— Przyjaciele, zaprosiłem was dziś tutaj, abyście poznali Anitę Blake. Wampiry nazywają ją Egzeku-torką. Sądzę, że może nam pomóc.

— Co może dla nas zrobić pogromczyni wampirów? — zapytał wysoki mężczyzna, siedzący samotnie, otoczony z obu stron pustymi krzesłami. Miał krótkie, siwe włosy przycięte a la fryzura Mii Farrow z końca lat sześćdziesiątych, choć nieco delikatniej. Nosił białą koszulę, jasnoróżowy krawat, białą wiatrówkę i kremowe spodnie. Wyglądał jak nowobogacki prostak. Ale miał rację.

— Nie potrzebujemy pomocy ze strony śmiertelników. — te słowa wypowiedział

stoliku. Włosy sięga

kędzierzawe, że wygl

jeden z dwóch mężczyzn przy sąsiednim y mu prawie do kołnierzyka i były tak dały jak futro albo...

Nie. Miał gęste, ciemne brwi, prawie czarne oczy i wyraziste, zmysłowe rysy. Usta Króla Szczurów nieomal prosiły się o pocałunki, ale tego faceta stworzono, by dawał najbardziej wyuzdane rozkosze w najmroczniejszych z możliwych miejsc.

# Strój pasował *RS* do jego wyglądu. Buty, które oparł o blat stołu,

uszyto z mi ękkiej, aksamitnej skóry. Spodnie, równie gładkie i skórzane, były atramentowoczarne. Nosił obcisły, kusy podkoszulek odsłaniający większą część torsu. Na prawym przedramieniu miał grubą, nabijaną ćwiekami pieszczochę. Na części przesłaniającej wierzch dłoni znajdowały się ostre kolce. Włosy na klatce piersiowej były grube, gęste i czarne. Na blacie stołu obok niego leżał rzucony niedbale długi płaszcz.

Kobieta po jego prawicy jak kot potarła policzkiem jego ramię.

Długie, ciemne włosy opadały falami na jej ramiona. O ile mogłam się przyjrzeć, miała na sobie obcisły, czarny skórzany strój.

— My tu wszyscy jesteśmy śmiertelnikami, Gabrielu — rzekł Marcus.

Gabriel parsknął w głos.

— Możesz wierzyć w to, co chcesz, Marcusie. Ale my wiemy, czym jesteśmy i czym ona nie jest.

Skinął na mnie urękawiczoną dłonią. To raczej nie był przyjemny gest.

Rafael wstał. I tym zakończył coraz bardziej kłopotliwą wymianę zdań. Było coś w sposobie, w jaki stał... choć miał na sobie zwyczajne ciuchy, sprawiał wrażenie, jakby skronie zdobiła mu szczerozłota korona. Jego obecność okazała się bardziej władcza niż tona czarnej skóry. Marcus warknął cichutko. W tym pomieszczeniu było zbyt wielu królów.

— Czy Marcus przemawia w imieniu Anity Blake, tak jak odnosi się to do wilków?

# — Tak — odpar *RS* Marcus. — Przemawiam w imieniu panny

Blake.

Wstałam.

— Nie wiem, co si ę tu dzieje, ale potrafię mówić sama za siebie. Marcus odwrócił si do mnie jak małe blond tornado. — Ja jestem przywódc ą stada. Ja stanowię prawo.

Alfred podszedł i stanął przede mn ą, rozprostowując ramiona. — Wyluzuj, kudłata mordo. Nie jesteś moim przywódc ą, a ja nie jestem członkini ą stada.

Alfred post ąpił naprzód. Zeskoczyłam ze sceny. Miałam pistolet, ale być może będ ę potrzebować go później. Gdybym wyjęła broń ju ż teraz, mogłoby mi jej potem zabraknąć. Alfred zeskoczył ze sceny, wybijając si ę wysoko w gór ę jak na trampolinie. Rzuciłam si ę na podłog ę i przeturlałam. Poczułam podmuch powietrza, gdy przeleciał nade mn ą. Zatrzymałam si ę pod scen ą. Sięgnęłam po firestara; w tej samej chwili Alfred rzucił si ę na mnie. Był szybszy ni ż wystrzelony pocisk, szybszy ni ż wszystko, z czym si ę do tej pory zetknęłam.

Schwyciwszy mnie jedn ą r ęk ą za gardło, ścisnął. Rozchylił wargi, ukazując zaciśnięte zęby, i zawarczał groźnie jak rozjuszony rottweiler.

Mia łam ju ż firestara w r ęku, ale musiałam go jeszcze wydobyć, wymierzyć i pociągnąć za spust. Brakowało mi na to czasu. Nie mogło si ę udać. Alfred rozszarpie mi gardło, zanim zdąż ę wpakować mu kulkę.

Pod żwignął mnie na nogi, przez cały czas ściskając za szyję. Jego palce wpiły si ę na tyle głąboko w moje ciało, abym poczuła siłę, jak ą dysponował. Wystarczyło, by zacisnął dłoń w pięść, i rozerwałby mi gardło. Trzymałam firestara w r ęce. Nie puszcż ę pistoletu. Po moim trupie.

— Czy teraz Alfred walczy zamiast ciebie? — To Christine, ta z krawatem. — Przywódcy stada muszą bezwarunkowo stawić osobiście czoło wyzwaniu, w przeciwnym razie utrac ą pozycję. To jedno z twoich praw, Marcusie.

— Nie cytuj mi moich własnych praw, kobieto.

— Ona zanegowa a twoj ą pozycję, nie status Alfreda. Je żeli ją zabije, czy tym samym zostanie nowym przywódc ą?

W jej głosie zabrzmia ła nuta drwiny.

— Puść ją, Alfredzie.

Alfred zerknął na Marcusa, po czym przeniósł wzrok na mnie. Jego palce wbiły si ę jeszcze głąbiej w moje ciało, dźwigając mnie w gór ę tak, że musiałam stan ąć na palcach.

— Powiedziałem, puść ją!

# Puścił. Zatoczyłam siRSę na ścianę podwyższenia i jednym płynnym

ruchem unios łam firestara do strzału. Nie zrobiłam tego elegancko, ale przynajmniej wyjęłam pistolet i wycelowałam w Alfreda. Gdy znów się na mnie rzuci, z przyjemnością go rozwalę.

— Myślałem, że ją przeszukałeś. — Marcus był zawiedziony.

— Przeszukałem — odparł Alfred, cofając się i trzymając obie ręce przed sobą, jakby osłaniał się przed potencjalnym ciosem.

Prze ślizgnęłam się wzdłuż sceny i stanęłam tak, by mieć Marcusa na oku. Dostrzegłam Rainę, wciąż siedziała na fotelu i wyglądała na rozbawioną.

Wycofa łam się pod samą ścianę. Jeśli Marcus był szybszy od Alfreda, chciałam znaleźć się jak najdalej od niego, najlepiej o jakieś dwieście kilometrów, ale w tej sytuacji musiało mi wystarczyć znalezienie się pod przeciwległą ścianą.

— Niech odbierze jej broń — rzekła Raina. Siedziała w bezruchu, ze skrzyżowanymi nogami i dłońmi złożonymi na kolanach. Uśmiechała się. — To przeoczenie ze strony Alfreda. Musi je naprawić.

Marcus skinął głową.

Alfred znów na mnie spojrzał.

Przywarłam plecami do ściany tak mocno, że gdybym napierała

dostatecznie d ługo, zapewne przebiłabym się przez nią na wylot. Alfred ruszył w moją stronę powolnym, niemal leniwym krokiem, jak seryjny zabójca z któregoś ze znanych kinowych horrorów. Wycelowałam w jego pierś.

— Zabiję go — zagroziłam.

— Twoje kule nic mi nie zrobią — zapewnił Alfred. — Mam w magazynku naboje typu glaser, powlekane srebrem

— odpar łam. — Jedna taka kula może wyrwać ci w klatce piersiowej dziurę wielkości pięści. Zawahał się.

— Potrafię zaleczyć każdą ranę, nawet po srebrnej kuli.

# — Nie, jeśli rana bRSędzie dostatecznie poważna —

odparowałam. — Gdy trafi ę cię w serce, kula zrobi z niego papkę i będzie po tobie.

Odwróci ł głowę i łypnął na Marcusa. Na twarzy tamtego malował się gniewny grymas.

— Pozwoliłeś, aby wniosła tu broń palną.

— Jeżeli tak obawiasz się broni, sam odbierz jej pistolet. — Znowu Christine. Tym razem nie byłam pewna, czy chciała mi pomóc.

— Nie chcemy pani skrzywdzić, panno Blake. Niemniej jednak obiecałem pozostałym, że nie będzie pani uzbrojona. Dałem słowo. Jeżeli tylko odda pani pistolet Alfredowi, będzie po sprawie.

— Nic z tego.

— Sprzeciwia się pani mojej woli, panno Blake. Nie mogę pozwolić, by kwestionowała pani moją pozycję i moje prawa.

Podszedł do skraju sceny, zbliżając się do mnie na tyle, na ile był w stanie, nie schodząc z podwyższenia. Był teraz bliżej mnie niż Alfred. Nie miałam pewności, czy powinnam się z tego cieszyć. To raczej nie polepszało mojej sytuacji.

— Jeżeli zejdziesz z tej sceny, strzełę.

— Alfredzie. — wymówił tylko jego imię, ale to wystarczyło. Alfred znalazł się tuż przy Marcusie, wlepiając wzrok w jego twarz.

— Panie?

— Odbierz jej pistolet, Alfredzie. Nie może się nam sprzeciwiać.

— Posyłasz go na pewną śmierć, Marcusie.

— Nie sądzę.

# Alfred postąpił *RS* krok naprzód, zatrzymując się przed Marcusem.

Oblicze miał beznamienne, wzrok nieodgadniony.

— To głupie tak dać się zabić, Alfie.

— On rozkazuje. Ja słucham. Takie są zasady.

— Nie rób tego — poprosiłam. Alfred zrobił krok naprzód. Wzięłam głębszy oddech. Powoli, aby się przygotować na to, co

miało nadejść. Kątem oka obserwowałam pozostałych, jednak patrzyłam tylko na Alfreda. Na punkt pośrodku jego klatki piersiowej.

— Ja nie blefuję.

Poczułam, jak napręża mięśnie, wiedziałam, że to robi. Był święcie przekonany, że rozbroi mnie szybciej, niż zdążę nacisnąć

spust. Był pewien, że jest ode mnie szybszy. Ale nic nie było równie szybkie. Taką w każdym razie miałam nadzieję.

Wyskoczyłam w górę szerokim, płynnym łukiem, jak poprzednio. Przyklękłam na jedno kolano i opadając w dół, złożyłam się do strzału. Kula trafiła go w locie. Targnął konwulsyjnie ciałem i ciężko runął na podłogę.

Huk wystrzału rozplynął się. Zapadła głęboka cisza. Poderwałam się na nogi, przez cały czas mierząc do Alfreda. Zbliżyłam się do niego. Podchodziłam wolno, ostrożnie. Nie poruszył się. Jeżeli oddychał, to ja tego nie zauważyłam. Uklękłam, wpijając lufę pistoletu w jego kręgosłup. Zero ruchu. Dotknęłam jego szyi, usiłując wyczuć puls. Nic. Lewą ręką wyjęłam browninga, którego miał za pasem. Firestara skierowałam w stronę pozostałych. Nie jestem aż tak dobra w strzelaniu z lewej ręki, a nie miałam czasu na ewentualne przełożenie broni.

Marcus zszedł ze sceny.

— Ani kroku! — ostrzegłam. Zastygł w bezruchu, spojrzał na mnie. Wydawał się wstrząśnięty, jakby nie spodziewał się, że to zrobię.

Pomiędzy stolikami zaczął przeciskać się Rafael.

— Mogę na niego spojrzeć?

— Jasne. — Ale i tak się cofnęłam. Teoretycznie znalazłam się poza jego zasięgiem.



# Rafael odwrócił *RS* Alfreda. Z otworu w klatce piersiowej spływała

krw, rozlewając się na podłodze w coraz większą kałużę. Jasnoczerwone strugi wypływające z ust zlepiły brodę w strąki. A więc mimo wszystko nie był szybszy od wystrzelonego pocisku.

Marcus ponad ciałem spojrzał na mnie. Spodziewałam się wściekłości, ale dostrzegłam jedynie ból. Opłakiwał śmierć Alfreda. Może faktycznie ja pociągnęłam za spust, ale on sam posłał Alfreda na śmierć. Zrobił to z premedytacją. Wiedział, co się stanie. Podobnie jak ja. Wszyscy wiedzieliśmy.

— Nie musiałaś go zabijać — rzekł półgłosem.

— Nie pozostawiłeś mi wyboru — odparłam.

Spojrzał na zwłoki Alfreda, po czym przeniósł wzrok na mnie. — Chyba tak. Zabiliśmy go wspólnie, ty i ja.

— Mam nadzieję, że podobna sytuacja już się nie powtórzy.

Chciałabym, abyśmy zawsze dobrze się rozumieli. Ja nigdy nie rzucam słów na wiatr. I nie mam w zwyczaju blefować. — Tak też powiedziałaś.

— Ale mi nie uwierzyłeś.

Patrzył na kałużę krwi rozlewającą się powoli na podłodze. — Teraz ci wierzę.

## Rozdział dwunasty

M

— Ieli śmy w domu trupa. Stare jak świat pytanie brzmiało — co mamy zrobić z ciałem. Wybrałam tradycyjne rozwiązanie.

— Zawiadomię gliny — powiedziałam.

— Nie — zaproponował Marcus. To jedno słowo miało w sobie więcej mocy niż wszystko, co powiedział od śmierci Alfreda.

— On nie żyje, chłopaki. Gdyby zarobił zwykłą kulę, wylizałby się, ale wpakowałam mu srebrną. Musimy zawiadomić policję.

— Tak ci spieszno do paki? — odezwał się Rafael.

— Nie chcę iść za kratki, ale fakt faktem, że go zabiłam.

— Myślę, że nie ponosisz za to pełnej odpowiedzialności. — Christine podeszła, by zatrzymać się obok nas. Stała w swoim różowym kostiumie i zmysłowych, czarnych szpilkach, wpatrując się w ciało. Strużka krwi zaczęła sączyć się w stronę jej butów. Musiała ją zauważyć. A jednak nie odsunęła się. Krew rozlała się wokół noska jej buta i popłynęła dalej.

Raina podeszła z tyłu do Marcusa. Objęła go ramionami i wtuliła twarz w jego szyję, jakby chciała wyszeptać mu coś do ucha. Jej wargi nie poruszyły się, ale to przecież jej słowa sprowokowały ten dramat. Jedna drobna uwaga.

Marcus potarł dłonią ramię kobiety i nachylił się, by pocałować jej nadgarstek.

# Rozejrzałam się *RS* wokół. Rafael wciąż klęczał przy ciele. Strużka

krwi plynęła w jego stronę. Jeszcze chwila i ubrudzi mu spodnie. Rafael podniósł się szybko, koniuszkami palców muskając krew rozlewającą się po podłodze. Uniósł palce do ust. Chciałam powiedzieć: „Nie!”, ale tego nie zrobiłam. Włożył palce do ust i oblizał do czysta.

Spojrzał na mnie błyszczącymi, czarnymi oczami. Opuścił rękę, jakby z zażenowaniem, jakbym przyłapała go na czymś wstydlwym. Może faktycznie tak było.

Dwójka odzianych w skóry zmiennokształtnych wyszła zza stołów, jakby chciała mnie zająć z dwóch stron. Cofnęłam się. Wciąż trzymałam w rękach pistolety. Ten z pieszczochami na rękach spojrzał na mnie, a kąciki ust wykrzywiły się w uśmiechu. Jego oczy miały dziwny, wodnisty odcień szarości. Kręcone, czarne włosy wpadały mu do oczu. Spod tych kędzierzawych kosmyków wyzierały osobliwie błyszczące oczy. Nie zrobił nic, aby odgarnąć włosy. Ja chyba dostałabym szału. A może po prostu nie przywykłam do patrzenia przez sierść.

Podszedł do ciała, zbliżając się tym samym do mnie. Uniosłam brwi. Z tej odległości właściwie nie musiałam celować. Nie czułam się wcale pewniej, mimo dwóch ściskanych w dłoniach pistoletów. Szczerze mówiąc, czułam się głupio, ale nie chciałam tracić czasu na włożenie jednego z nich do kabury. Aby schować firestara, musiałabym podciągnąć sweter i w ten sposób dosięgnąć wewnętrznego olstra. Przypuszczalnie mogłabym to zrobić, nie opuszczając wzroku, ale nie miałam takiej pewności. Przyzwyczajenie mogło wziąć nade mną górę. Jak przy prowadzeniu auta. Nie zdajesz sobie sprawy, e nie patrzysz na szosę, aż nagle dostrzegasz przed maską swego samochodu półciężarówkę. Jeśli Gabriel był równie szybki jak Alfred, wystarczyłby ułamek sekundy. Jego uśmiech poszerzył się, koniuszkiem języka oblizał pełne wargi. W oczach płonął żar. Nic magicznego, jedynie żar gorejący w

# oczach większości mRSczyn. Takie spojrzenie zdradza, że taksują cię

wzrokiem, wyobraź sobie ciebie nagą i zastanawiają się, czy dobrze obciążasz. Brutalne, lecz prawdziwe. To spojrzenie nie miało nic wspólnego z ciepłymi i głębszymi uczuciami. Raczej z brutalnym rżnięciem. Nawet seks był tu zbyt łagodnym określeniem.

Zwalczyłam w sobie chęć odwrócenia wzroku. Nie odważyłam się spuścić go z oczu. Jego spojrzenie sprawiało, że cierpła mi skóra. Poczułam na plecach lodowate ciarki. I równocześnie zaczerwieniłam się. Byłam zażenowana. Tak mnie wychowano. To zasługa taty.

Postąpił krok naprzód — nieznaczny ruch, ale dzięki niemu znalazł się prawie na wyciągnięcie ręki ode mnie. Igrał ze mną, podczas gdy ciało Alfreda jeszcze nie ostygło. Uniosłam pistolety nieco bardziej zdecydowanym gestem i wymierzyłam w niego.

— Nie chciałabym, aby to się powtórzyło — oznajmiłam. — Gabrieli, daj jej spokój — rzuciła Christine.

Spojrzał na nią.

— *Tygrysie, błysku w gąszczach mroku, jakiemuż niezemiemu*

*oku przy śniło się, że noc rozświetlił, skupioną grozą twej symetrii?* — Przestań, Gabrieli — warknęła. Zaczerwieniła się. Fragment

wiersza Blake'a wprowadził ją w zażenowanie. Czemu akurat ten wiersz? Może miałam do czynienia z tygrysołakiem. Ale które z nich nim było? Może oboje. Jakiś perwersyjny odruch nakazał mu zrobić kolejny krok.

— Żadnych numerów albo skończysz na podłodze obok swojego kołosa — zagroziłam.

Zaśmiał się, rozdziawiając usta i błyskając ostrymi kłami jak u

kota. Nie były takie jak u wampira, ale nie były też ludzkie. — Panna Blake jest pod moją ochroną — rzekł Marcus. — Nie

skrzywdzisz jej. — Pozwoliłeś

go, by mnie zaatakował

ochronie, Marcusie. Chyba jednak poradzę sobie sama. — Bez pistoletów nie byłabyś taka twarda — rzuciła brunetka

w skórach.

Zuchwałymi słowami, ale stała nieco z boku.

— Nie zamierzam stawać z tobą do walki wręcz. Wiem, że bez splotów nie miałabym z wami większych szans. I właśnie dlatego je noszę.

# — *RS* Rezygnujesz z mojej ochrony? — spytał Marcus.

— Taa — mruknełam.

— Jesteś głupia — skwitowała moją decyzję Raina. — Może, ale mimo to nadal mam broń. Gabriel znów się za śmiał.

— Ona nie wierzy, że możesz ją ochronić, Marcusie, i ma rację. — Kwestionujesz moją wyższość? , by Alfred prawie mnie udusił, a potem nakłoniłeś

ł. Nie świadczy to najlepiej o tej tak zwanej

Gabriel odwrócił się do mnie plecami i spojrzawszy na Marcusa, wycedził:

— Jak zawsze.

Marcus postąpił naprzód, ale Raina schwyciła go za rękę.

— Upraliśmy już dość brudów przy panie Blake, jak na jeden wieczór. Nieprawdaż?

Zawahał się. Gabriel tylko na niego spojrzał. Wreszcie Marcus pokiwał głową.

Gabriel zaśmiał się mruczaco i ukląkł przy ciele. Umazał palce krwią.

— Tak szybko stygnie. — Wytarł dłoń w sweter Alfreda i dotknął ziejącej rany w klatce piersiowej.

Przesunął dłonią wzdłuż brzegów, jakby wybierał krem z miski. Gdy wyjął rękę, była cała czerwona.

Uniósł ją do ust, krew ściekała mu po przedramieniu. Obliznął językiem okrwawione palce.

— Przestań — rzucił Marcus.

Kobieta uklękła z drugiej strony ciała, opuszczając górną część ciała i wypinając pośladki, jak lwica przy wodopoju. Zaczęła chleptać

# kręć rozlaną na podRSodze szybkimi, miarowymi ruchami języka.

— Jezu — wyszeptałam.

Przez salę przeszłam o poruszenie, jak gwałtowny podmuch wiatru pośród łanów pszenicy. Wszyscy wstali z miejsc. I ruszyli w stronę ciała.

Cofnęłam się, opierając się plecami o ścianę, i zaczęłam przesuwać się w stronę drzwi. Je li miała się tu rozpętać gorączka żerowania, nie chciałam być jedyną niezmienną w tym pomieszczeniu. To mogło okazać się szkodliwe dla zdrowia.

— Nie! — w sali rozbrzmiał głos Marcusa. Podszedł do ciała, a wszyscy natychmiast się cofnęli. Nawet Gabriel przesunął się na lewy bok i usiadł w kałuży krwi. Kobieta odpełzła w tył, by znaleźć się poza zasięgiem Marcusa. Gabriel nie zrejterował przed zbliżającym się ku niemu mistrzem wilkołaków. Wlepił wzrok w Marcusa, ale na jego obliczu nie było strachu.

— Nie jesteśmy zwierzętami, by żywić się naszymi zmarłymi. — Jesteśmy zwierzętami — zaoponował Gabriel. Uniósł ociekającą krwią dłoń w stronę Marcusa. — Poczuj krew i powiedz, że jej nie pragniesz.

Marcus odchylił głowę do tyłu i przełknął ślinę tak głośno, że to usłyszałam. Gabriel dźwignął się na klęczki i wyciągnął rękę jeszcze dalej w stronę Marcusa.

Ten odbił jego dłoń w bok, ale odstał od ciała.

— Czuję krew — wychrypiął; każde słowo brzmiało jak warknięcie. — Ale jestem człowiekiem. To znaczy, że nie muszę poddawać się swoim żądzom. — Odwrócił się do ciała plecami, precyzyjnie przesunął się przez tłum i wrócił na podium. Oddychał szybko i z trudem, jak po długim, wyczerpującym biegu.

Byłam już w połowie drogi za podestem. Widziałam jego twarz. Na skórze perliły mu się kropelki potu. Musiałam wyjść.

Białowłosa mężczyzna, który odezwał się pierwszy, zastanawiając się, w jaki sposób miałyby im pomóc zabójcy wampirów, stał w pewnym oddaleniu od reszty. Opierał się o stół skrzyżowanymi ramionami. Patrzył na mnie. Z drugiego końca sali mógł obserwować wszystko, na co miał ochotę. Trzymałam w dłoniach pistolety i mierzyłam do wszystkich. W tym pokoju nie było nikogo, w którym towarzystwie chciałabym się znaleźć, nie mając przy sobie pistoletu.

Prawie dotarłam do drzwi. Aby je otworzyć, musiałam mieć wolną jedną rękę. Od wilkołaków dzieliła mnie niemal cała długość sali.

Dotarłam najdalej, jak mogłam. Schowałam firestara do olstra. Przełożyłam browninga do prawej ręki. Przesunęłam lewą ręką po ścianie za sobą, aż namacałam klamkę. Przekręciłam ją i lekko

# uchyliłam drzwi. ByRSam dostatecznie daleko od wilkołaków, więc

odwróciłam się do nich plecami i otworzyłam drzwi szerzej. A potem zastygłam w bezruchu.

W korytarzu było aż gęsto od wilkołaków. Patrzyły na mnie rozszerzonymi dziko ślepiami. Wbiłam lufę browninga w pierś tego, który stał najbliżej.

— Cofnij się.

Ale on tylko na mnie patrzył, jakby nie rozumiał, co powiedziałam. Oczy miał wciąż ludzkie, brązowe, wszak jego wzrok pozostawiał wiele do życzenia. Przywodził mi na myśl spojrzenie psa usiłującego pojąć, co mówi doń jego pani. I choć bardzo się stara, jakoś mu to nie wychodzi.

Z tyłu za mną coś się poruszyło. Oparłam się plecami o drzwi, dociskając je do ściany, i skierowałam pistolet w głąb sali. Gdyby zmiennokształtni w korytarzu rzucili się naprzód, byłoby po mnie. Mogłam rozwalić kilku z nich, ale nie wszystkich. Zbliżył się do mnie mężczyzna, który wcześniej opierał się o stół. Uniósł ręce do góry, by pokazać, że jest nieuzbrojony, ale to niewiele dało. Pomógł mu natomiast fakt, że nie miał czoła zroszonego potem. Ani szklistych oczu, jak tamci, w korytarzu. Wydawał się bardzo... ludzki.

— Nazywam się Kaspar Gunderson. Potrzebuje pani pomocy?

Spojrzałam na czekającą w przejściu gromadę i ponownie przeniosłam wzrok na niego.

— Jasne.

Kaspar uśmiechnął się.

— Moją pomoc jest pani gotowa przyjąć, ale z pomocy Marcusa pani zrezygnowała.

Wydawał się rozbawiony.

— Marcus nie oferuje pomocy. On tylko wydaje rozkazy.

— Fakt.

Tuż przy nim pojawił się Rafael.

— Żaden z nas nie przyjmuje rozkazów od Marcusa. Choć on bardzo by tego chciał.

# Z korytarza dobieg<sup>RS</sup> dźwięk przypominający ni to jęk, ni to skowyt.

Przywarłam do ściany, kierując pistolet w stronę tłumu. Zagrożenie czyhało z tyłu stron, że musiałam wybrać kogoś, komu mogłam zaufać. Rafael i ten drugi wydawali mi się bardziej godni zaufania niż reszta towarzystwa.

Z wnętrza sali doszedł wysoki, urywany wrzask. Wciąż stojąc przy ścianie, zajrzałam do środka. Co się tam działo?

Wśród stłoczonych lykantropów dostrzegłam wymachujące dziko kończyny. Ciemnowłosa kobieta odchyliła głowę do tyłu i zawyła przeciągle.

— Walczy z tym — rzekł blady mężczyzna.

— Tak, ale nie wygra, jeśli nie pomoże jej jakiś dominant — dodał Rafael.

— Gabriel jej nie pomoże.

— Nie — odparł Rafael. — To go bawi.

— Jeszcze nie ma pełni, co się dzieje, u licha? — spytałam.

— Zainicjowała to woń krwi. Gabriel podsycił nastrój. On i Elizabeth. Teraz, chyba że Marcus przejmie nad nimi kontrolę, wszyscy będą mogli się zmienić i pożywić — wyjaśnił Rafael.

— Czy to coś złego? — zaciekawiałam się. Rafael tylko na nas spojrział. Tak mocno ścisnął dłońmi przedramiona, że pobieleła mu skóra. Krótko przycięte paznokcie wpiły się w skórę pod palcami, pojawiły się małe półksiężycy krwi. Wziął głęboki, oczyszczający oddech i pokiwał głową. Puścił przedramiona. Zadrapania wypełniły się krwią, ale nie pocięło jej wiele. Drobnie skaleczenia, drobny ból. Niekiedy ból pomaga zapobiec przejściu kontroli nad umysłem przez wampira.

Mówił z trudem, ale wyraźnie, wypowiadając starannie każde słowo, jakby mówienie sprawiało mu ból.

— Jeden z mitów, który jest prawdziwy, głosi, że po zmianie kształtu lykantrop musi się pożywić.

- Jego oczy wpatrywały się we mnie i były nieomal

bezdenne. Czerń pochłonęła całe białka. Oczy błyszczały jak czarne guziki.

— A teraz zaczniesz si

— Bestia nie ma nade mn



# Drugi z mężczyzna staRS

ę zmieniać? Pokręcił głową. ą władzy. Panuję nad sobą. ł obok zupełnie spokojnie.

— Dlaczego ty nie masz żadnych problemów?

— Nie jestem drapieżnikiem. Krew mnie nie wzrusza. Z korytarza dobyło się skomlenie. Młody, niespełna

dwudziestoletni mężczyzna wpełzł na czworakach do sali. Z jego gardła jak mantra płynęło zawodzące skomlenie. Uniósł głowę i zaczął energicznie węszyć.

Odwrócił gwałtownie głowę, wlepił we mnie wzrok. Zaczął pełznąć w moim kierunku. Jego oczy miały barwę wiosennego nieba, niewinnego jak kwietniowy poranek. Ze spojrzeniem było znacznie gorzej. Patrzył na mnie, jakby zastanawiał się, jak smakuję. Gdybym miała do czynienia z człowiekiem, pomyślałabym, że chodzi o seks, teraz jednak... może chodziło mu wyłącznie o jedzenie.

Wycelowałam broń w jego czoło. Nie zwracając uwagi na pistolet, spojrzał na mnie. Dotknął mojej nogi. Nie strzeliłam do niego. Nie próbował mnie zranić. Nie byłam pewna, co się działo, ale nie mogłam go zastrzelić tylko dlatego, że mnie dotknął. Wstrzymałam się z tym. Na razie. Na kulę w łeb trzeba sobie zasłużyć. Nawet u mnie.

Powoli przesunęłam pistoletem przed jego oczami, z boku na bok. Nie podążył za nim wzrokiem. Schwycił mnie za dzinsy i uklęknął. Jego głowa znajdowała się nieco powyżej mojej talii, niebieskie oczy świdrowały moją twarz. Objął mnie ramionami w pasie. Wtulił twarz w mój brzuch i zaczął się o niego ocierać.

# Postukałam go w gRSowę lufą pistoletu.

— Nie znamy si na tyle, abym mogła ci na to pozwolić, stary. Wstawaj.

Wsunął głowę pod mój sweter. Delikatnie wgrzył się w mój bok. Zesztywniał, napręż mięśnie rąk. Oddychał z trudem.

A ja nagle zaczęłam się bać. To, co dla jednego jest grą wstępną, dla innego może się okazać przekąską.

— Zabierz go ode mnie, zanim zrobię mu krzywdę.

Rafael krzyknął, jego głos przedarł się przez narastający chaos.

— Marcusie! — jedno słowo i nagle zapadła cisza.

Twarze wszystkich zwróciły się ku niemu. Twarze umazane we krwi. Nigdzie nie było widać ciemnowłosej Elizabeth. Jedynie Marcus pozostał czysty. Stał na scenie wyprężony jak struna, ale zdawał się drgać niczym kamerton. Na jego twarzy malował się wielki wysiłek. Spojrzał na nas jak tonący, który usiłuje nie krzyknąć, pogrążając się w głębinie.

— Jason ma kłopoty z opanowaniem odruchów — rzekł Rafael. — To twój wilk. Odwołaj go.

Gabriel podniósł się, twarz miał całą we krwi. Obnażył spiczaste zęby i zaśmiał się.

— Dziwię się, że panna Blake jeszcze go nie zabiła.

Raina odstąpiła od ofiary, miała krew na podbródku.

- Panna Blake zrezygnowała z ochrony Marcusa. Jest dominantką. Niech się przekona, co oznacza rezygnacja z naszej pomocy.

Jason wciąż przytulał się do mnie. Z całych sił obejmował mnie ramionami, twarzą przywierał do mego brzucha. Czułam przez bluzkę jego oddech, zbyt gorący i ciężki jak na to, co się działo.

— Zaprosiłeś mnie tu, bo chciałeś mnie prosić o pomoc, Marcusie. Nie wydajesz się zbyt gościnnie.

Łypnął na mnie spode łba. Ale nawet z daleka dostrzegłam na jego twarzy nerwowy tik. Drżenie, jakby coś próbowało wydostać się spod skóry.

— Dziś jest już za późno na robienie interesów, panno Blake.

# Sprawy wymknęły si~~R~~S spod kontroli.

— Nie żartuję . Zabierz go ode mnie, Marcusie. Jeden trup dzisiaj w zupełności wystarczy.

Raina podeszł a do niego i uniosła okrwawioną dłoń w jego stronę.

— Niech uzna twój ą wyższość. Niech przyzna, że potrzebuje twojej pomocy.

Marcus spojrział na mnie.

— Uznaj moją wyższość, a odwołam Jasona.

— Jeśli zaczniesz się zmieniać, zastrzelę go. Wiesz, że to zrobię, Marcusie. Odwołaj go.

— Jeśli mam otoczyć cię opieką, musisz uznać moją wyższość.

— Pieprz się. Nie proszę cię, abys mnie ochronił. Chcę, abys ocalił jego. A może nie zależy ci na członkach stada?

— Rafael jest królem — rzekła Raina. — Niech on cię uratuje.

Ciałem mężczyzny wstrząsnął dreszcz. Jego uścisk wzmógł się. Poczulałam ból. Mężczyzna wstał, wciąż obejmując mnie ramionami. Gdyby zrobił to trochę mocniej, pogruchołałby mi kości. Był mojego wzrostu, nasze twarze dzieliła odległość zaledwie kilku centymetrów. Oczy miał dzikie, wygłodniałe. Pochylił głowę, jakby chciał mnie pocałować, i wtedy znów zadygotał. Wtulił twarz w moje włosy, wargami dotknął mojej szyi.

Wbiłam lufę browninga w jego pierś. Gdyby spróbował mnie ugryźć, byłby trupem. Jednak w przeciwieństwie do brutalnego, aroganckiego Alfreda, Jason po prostu nie był się w stanie opanować, targwały nim nieopohamowane emocje. Gdybym zwlekała zbyt długo, ja także bym zginęła. Tyle że dopóki nie zrobił mi nic złego, nie chciałam go skrzywdzić. Poza tym i tak trochę już dziś przesadziłam, rozwalając Alfreda. Niewiele, tylko trochę. Tym samym Jason zyskał u mnie pewne fory.

Przesunął zębami po mojej szyi, skubnął lekko skórę. Moja cierpliwość wyczerpywała się, mimo iż wciąż pozostawał w ludzkiej postaci.

Niski, grzmiący warkot wprawił moją skórę w wibrację. Serce podeszło mi do gardła. Zaczęłam ściągać spust. Nie chciałam czekać, aż rozszarpie mi gardło.

Usłyszałam głos Kaspara.

— Nie, Rafaelu!

Jason uniósł głowę, miał szalony wzrok. Rafael stanął obok nas, trzymając rękę przed twarzą Jasona.

Z głębokich zadrapań na ręce płynęła krew.

— Świeża krew, mój wilku — rzekł Rafael.

# Jason odsunął się *RS* ode mnie tak szybko, że cisnął mnie na ścianę.

Waln ęłam w nią najpierw plecami, a dopiero potem głową i tylko dlatego nie straciłam przytomności. Wylądowałam na tyłku, ale instynkt nie pozwolił mi wypuścić broni z ręki. Siła, z jaką mnie popchnął, sprawiła, że mimo pistoletu poczułam się nieswojo. Pozwoliłam, by dotykał mojej szyi, jak człowiek. A on przecież mógł rozerwać mnie na strzępy gołymi rękami. Co prawda, zapewne zdążyłabym posłać mu parę kul, jednak to nie uchroniłoby mnie przed śmiercią.

Jason przykucnął przed Rafaelem. Jego plecy zafalowały niczym powierzchnia wody, wzburzona podmuchem wiatru. Jason skulił się w sobie, jego grzbiet pod koszulą pulsował coraz intensywniej. Rafael stał nad nim, krew ze zranionej ręki ściekała na podłogę.

— Mam nadzieję, że rozumiesz, co dla ciebie zrobiłem — powiedział.

Nabrałam dość powietrza, by znowu się odezwać.

— Chcesz, abym go zastrzeliła?

Na jego twarzy pojawił się dziwny grymas, który sprawił, że czarne jak guziki oczy wydały się martwe.

— Proponujesz ochronę.

— Ochronę — prychnęłam. — Ty pomogłeś mnie, ja pomogę tobie.

— Dziękuję, ale ja to zacząłem i ja muszę to zakończyć. Ty natomiast lepiej już idź, zanim zabraknie ci srebrnych kul.

Kaspar podał mi rękę, pomagając wstać. Przyjęłam ją. Skórę miał nadzwyczaj ciepłą, ale nic poza tym. Nie przejawiał ochoty do obmacywania mnie lub pożarcia. Miła odmiana.

Do sali wchodzili coraz to nowi zmiennokształtni. przybywali dwójkami, trójkami i wi ększymi grupkami. Niektórzy szli wolnym, lunatycznym krokiem w stronę ciała po drugiej stronie sali. Nie miałam nic przeciw temu. Inni skierowali się ku Rafaelowi i rozdygotanemu Jasonowi. Powiedział, że da sobie radę. Tyle że

# następna szóstka ruszy **RS**ła w kierunku mnie i Kaspara.

Spojrzeni na nas wygłodniałym wzrokiem. Młoda dziewczyna przykucnęła i zaczęła pełznąć w moją stronę.

— Możesz coś z nią zrobić? — spytałam.

— Jestem łabędziem. Oni mają mnie za potencjalny posiłek.

Uczyniłam wszystko, co w mojej mocy, by na niego nie spojrzeć. Utkwiłam wzrok w sunącej ku mnie dziewczynie i warknęłam:

— Łabędź. To ci dopiero. Może chociaż jakieś sugestie?

— Spróbuj zranić któregoś z nich. Żywią respekt dla bólu.

Dziewczyna sięgnęła w moją stronę. Spojrzałam na jej szczupłe ramię, ale nie strzeliłam. Kula typu glaser mogłaby urwać jej rękę. Nie byłam pewna, czy lykantropy są w stanie uleczyć się po amputacji kończyny. Wymierzyłam ponad nią, w potężnego, barczystego samca. Wpakowałam mu kulę w brzuch. Runął na podłogę, wyjąc z bólu, między palcami sączyła mu się krew. Dziewczyna rzuciła się na niego, przywierając twarzą do jego brzucha.

Odtrącił ją machnięciem ręki. Jej miejsce zajęli inni.

— Wynośmy się stąd, póki możemy — rzucił Kaspar. Wskazał ręką drzwi.

Nie musiał mnie dwa razy nakłaniać. Nagle pojawił się Marcus. Nie zauważyłam, jak się zbliżał, byłam zbyt skupiona na bezpośrednich zagrożeniach. Zwlókł dwóch mężczyzn z rannego, odrzucając ich na bok jak szmaciane lalki. Wyjął spod niebieskiej marynarki manilową teczkę i mi ją podał. Następnie głosem brzmiącym jak warkot oznajmił:

— Kaspar może odpowiedzieć na pani pytania. Odwrócił się, szczerząc zęby, i rzucił się w tłum lykantropów, by ochronić rannego. Kaspar popchnął mnie ku drzwiom. Nie stawiałam oporu.

Raz jeszcze ujrzałam Jasona. Był jedną wielką masą napływającej sierści i nagich, wilgotnych kości. Rafael znów stał się smukłym, czarnym szczurołakiem, którego widziałam parę miesięcy temu. Na przedramieniu było wyraźne znamię w kształcie korony, symbol władzy u szczurów. Ju nie krwawił. Zmiana go uleczyła.

Drzwi się zamknęły. Nie byłam pewna, kto to zrobił. Kaspar i ja staliśmy sami w korytarzu. Zza drzwi nie dochodziły żadne dźwięki. Cisza była tak donośna, aż rozbrzmiewała w mojej głowie.

— Dlaczego ich nie słyszę? — spytałam.

— Pomieszczenie dźwiękochłonne. Logiczne. Spojrzałam na

# teczkę. Widniał na niej *RS*

krwawy odcisk d łoni. Ujęłam teczkę za brzeg, czekając, aż krew przeschnie.

— A teraz co, usiądziemy gdzieś i porozmawiamy?

— Znając Marcusa, informacje będą kompletne. To prawdziwy biurokrata.

— Ale kiepski z niego przywódca stada. Spojrzał w stronę drzwi.

— Na twoim miejscu nie mówiłbym tego tutaj.

Miał rację. Spojrzałam na niego. Włosy miał delikatne, puszyste, prawie białe. Jak puch. Pokręciłam głową. Nie. To niemożliwe.

Uśmiechnął się do mnie.

— Śmiało. Proszę dotknąć.

Zrobiłam to. Palcami przeczesalam jego włosy i faktycznie okazały się miękkie i delikatne jak ptasi puch. Z jego czaszki bił potworny żar.

— Jezu.

Coś ciężkiego walnęło w drzwi. Poczulałam wibracje w podłodze. Cofnęłam się i zawahałam, czy schować Browninga do kabury. Ostatecznie poprzestałam na włożeniu ręki do kieszeni trencza. To był jedyny płaszcz z dostatecznie głębokimi kieszeniami, by pomieścić tę broń.

Kaspar otworzył drzwi do sali jadalnej. Przy stolikach wciąż siedzieli klienci. Ludzie, którzy wpadli na późną przekąskę. Kroili steki, zajadali warzywa i nie mieli pojęcia, że nieopodal rozgrywają się dantejskie sceny.

Miałam wielką ochotę wrzasnąć: „Ludzie, wiejcie stąd, uciekajcie póki czas!”. Ale nie zrozumieliby mnie. Poza tym ta kafejka istnieje już od paru lat. Nigdy nie słyszałam, by miały w niej miejsce jakieś incydenty. Co prawda przed chwilą osobiście rąbnęłam tu człowieka — a może raczej wilka, nieważne. Wątpię, czy zostało po nim dostatecznie dużo, by nadawało się na materiał dowodowy dla policji. Może parę ogryzionych do czysta kości.

Kto wie, jakie potworności tuszowano na zapleczu tego lokalu?

# Kaspar Gunderson poda *RS* ł mi wizytówkę. Była biała, błyszcząca,

ozdobiona gotyckimi literami układającymi się w napis: KASPAR GUNDERSON, ANTYKI I CIEKAWOSTKI.

— Jeśli miałaby pani jakiegokolwiek pytania, postaram się na nie odpowiedzieć.

— Nawet gdyby pytanie brzmiało: „Czym ty w ogóle jesteś, u licha?”.

— Nawet w takim przypadku. Rozmawialiśmy, idąc. Gdy znaleźliśmy się przy barze, przed wejściem do głównej sali podał mi rękę. W zasięgu wzroku miałam drzwi wyjściowe, a szczerze mówiąc, byłam już trochę zmęczona. Dzięki Bogu, że to koniec na dzisiaj.

Uśmiech zastygł na moich ustach. Rozpoznałam jednego z mężczyzn przy barze. Siedział tam Edward, popijając drinka z lodem. Nawet na mnie nie spojrzał, ale wiedziałam, że mnie zauważył. Kaspar przekrzywił głowę w bok.

— Coś się stało?

— Nie — odparłam. — Nie. — powiedziałam to zbyt szybko, zbyt nerwowo. Sama sobie nie uwierzyłam. Wysiłałam się na najlepszy zawodowy uśmiech. — Po prostu ta noc jest już trochę za długa.

Nie uwierzył, ale było mi to obojętne. Kaspar odpuścił, jednak wychodząc, bacznie przepatrywał tłum gości w poszukiwaniu kogoś lub czegoś, co mnie zaniepokoiło.

Edward wyglądał całkiem zwyczajnie. Miał metr siedemdziesiąt

# wzrostu, był szczup*RSy*, jasnowłosy. Nosił zwykłą, czarną zimową

kurtkę, dzinsy i buty na mi ękkiej podeszwie. Wyglądał trochę jak Marcus, a na swój sposób by 1 równie niebezpieczny.

Zignorowa 1 mnie bez trudu, co oznaczało, że nie chciał być zauważony. Minę 1 am go i choć korci 1o mnie, by zapyta 1: „Co tu robisz, do diaska?”, nie zrobi 1am tego. Nie chcia 1am zepsu 1 jego kamufla 1u. Edward by zabójcą specjalizującym si 1e w likwidowaniu wampirów, lykantropów i innych nadnaturalnych humanoidów. Zaczą 1 od usuwania ludzi, ale zabijanie ich przychodzi 1o mu zbyt 1atwo. Edward uwielbia 1 wyzwania.

Stan ę 1am w chłodnym mroku, zastanawiając si 1e, co robi 1 dalej. W jednej r 1ce trzyma 1am zakrwawioną teczkę. Drugą wciąż zaciska 1am na kolbie browninga. Adrenalina powoli ust 1ępowa 1a i poczu 1am, że cierpną mi palce. Zbyt d 1ugo trzyma 1am broń w r 1ku, nie oddając strza 1u. Wcisnę 1am teczkę pod pachę i schowa 1am broń. Wszyscy zmiennokształtni byli zaj 1eci po 1eraniem siebie nawzajem. Przypuszczalnie mog 1am wróci 1 do samochodu, nie trzymając pistoletu w r 1ku.

Edward nie wyszed 1 z kafejki. W gruncie rzeczy spodziewa 1am si 1e, że si 1e pojawi. Najwyraźniej na kogoś polowa 1, tylko na kogo? Po tym, co dziś ujrza 1am, nie by 1am pewna, czy tropienie lykantropów to dobry pomys 1.

Rzecz jasna jednym z nich by 1 Richard. Nie chcia 1am, by ktokolwiek zaczą 1 na niego polowa 1. Będę musia 1a zapyta 1 Edwarda, co kombinowa 1, ale jeszcze nie tej nocy. Richarda nie by 1o w srodku. Pozostali jak dla mnie mogli si 1e wymordowa 1 nawzajem.

Przez chwil 1 pomyśla 1am o Rafaelu, zaraz jednak skupi 1am si 1e na czymś innym. Zna 1 Edwarda z widzenia, nie mia 1o wszak pojęcia, czym si 1e zajmowa 1.

Przystan ę 1am. Czy powinnam ostrzec Edwarda, że Rafael mo 1e go rozpozna 1 i powiedzie 1 o nim innym? Bola 1a mnie g 1owa. Niech tej nocy Śmier 1 zatroszczy si 1e o siebie sama. Wampiry nazywa 1y mnie Egzekutorką, ale Edward by 1 dla nich samą Śmiercią. Bądź co bądź, ja nigdy przy ich likwidacji nie korzysta 1am z miotacza ognia.

Sz 1am dalej. Edward by 1 du 1y, budzi 1 strach i umia 1o o siebie zadba 1. Wszyscy inni na zapleczu z pewnością nie potrzebowali mojej pomocy.

A gdyby nawet, nie by 1am pewna, czy chcia 1am im go wyda 1. Tym samym powróci 1am myś 1ami do trzymanej pod pachą teczki. W czym mia 1abym im pomóc? Co mog 1am zrobi 1, z czym oni nie byli w stanie sobie poradzi 1? Mimo to nie wyrzuci 1am teczki do najbli 1szego kosza na śmieci. Prawd mówiąc, gdybym nie zajrza 1a do srodka, nie da 1oby mi to spokoju. Taka ju 1 ze mnie ciekawska istota. Ciekawość



# to pierwszy stopie *RS* do piekła. Ciekawe, czy odnosiło się to również

do animatorów.

## *Rozdział trzynasty*

O

wpó 1 do szóstej rano wylądowałam w łóżku z teczką akt. Obok mnie siedział mój ulubiony pluszowy pingwinek, Zygmus. Zgodnie z utartym zwyczajem Zygmus był tuż obok po każdej kolejnej próbie zamachu na mnie. Ostatnio sypiałam z nim niemal bez przerwy. To był ciężki rok.

Browning hipower tkwi 1 na swoim drugim z kolei, tradycyjnym miejscu, w kaburze przy wezłowie łóżka. Zdarza mi się sypiać bez pingwinka, ale bez broni nigdy.

W teczce znajdowa 1o się sześć kartek. Wszystkie starannie zapisane na maszynie, z podwójną spacją. Pierwsza zawierała listę ośmiu nazwisk, którym odpowiadały zwierzęce oznaczenia. Na dwóch ostatnich zawarto wyjaśnienia dotyczące nazwisk. Zniknęło ośmioro lykantropów. Jakby rozplynęły się w powietrzu. Żadnych ciał ani śladów przemocy. Nic. Ich rodziny nie miały pojęcia, co mogło się wydarzyć aden z lykantropów nic nie wiedzia 1.

Ponownie przeczyta 1am nazwiska. Margaret Smitz miała numer siódmy. Przypis — wilk. Czy to mogła być żona George'a Smitz? Peggy to zdrobnienie od Margaret. Nie pytajcie mnie dlaczego, tak po prostu jest i już.

Ostatnie strony zawiera 1y sugestie, z kim — zdaniem Marcusa —

# powinnam porozmawiać. Ten mały skurwiel uwielbiał mieć nad

wszystkim kontrolę. Wyjaśnił, dlaczego poprosił mnie o pomoc. Uważał, że inni zmienność okazują się bardziej chętni do rozmowy ze mną niż z nim czy którymkolwiek z jego wilków. To nie żart. Stanowiłam swego rodzaju kompromis. Wilkołaki nie ufały policji. A do kogo mogli się zwrócić w krytycznej sytuacji z prośbą o pomoc? Jak to? Oczywiście że do zaprzyjaźnionej animatorki z sąsiedztwa.

Nie byłam pewna, co mogę dla nich zrobić. Nie bez powodu wysłałam George'a Smitza do Ronnie. Nie byłam detektywem. Nigdy dotąd nie miałam do czynienia z przypadkiem zaginięcia. Kiedy spotkam się z Ronnie jutro — wróc — dziś rano, przekażę jej niezbędne informacje. Zniknięcie żony George'a to jedno, ale osiem zaginionych wilkołaków daje już pewien schemat. Powinni byli pójść z tym na policję. Tyle tylko, że oni nie wierzyli ludziom. Ani ludzkiemu prawu. Nie dalej jak w latach sześćdziesiątych lykantropy wciąż jeszcze padały ofiarami linczu i były palone na stosie. Nic dziwnego, że prezentowały dość podejrzliwą postawę.

Włożyłam teczkę do szuflady nocnego stolika. Wyjęłam z niej niedużą, białą wizytówkę. Był na niej tylko numer telefonu i nic więcej. Edward dał mi tę wizytówkę zaledwie dwa miesiące temu. Po raz pierwszy mogłam się z nim skontaktować, kiedy ja tego chciałam, a nie kiedy on zechciał się łaskawie pojawić. Miał tendencję do pojawiania się w najmniej oczekiwanych momentach. Zwykle gdy nie miałam ochoty go widzieć.

Numer połączył mnie z działającym dwadzieścia cztery godziny na dobę biurem automatycznego przekierowywania wiadomości. Głos z taśmy powiedział: „Zostaw wiadomość po sygnale”. Rozległ się buczący dźwięk.

— Mówi Anita. Co ty, u licha, robisz w mieście? Oddzwoń jak najszybciej. — Zwykle nie zostawiam tak oschłych wiadomości, ale przecież dzwoniłam do Edwarda. On mnie znał. A poza tym nie przepadał za zbędną kurtuazją. Nastawiłam budzik, zgasłam światło i wpełzłam pod koc z wiernym pingwinkiem u boku. Telefon zadzwonił, zanim zdążyłam

# się rozgrzać. Odczeka*RS* am, aż włączy się automatyczna sekretarka, po

ósmym sygnale spasowa łam. Zapomniałam ją włączyć. Świetnie. — Mam nadzieję że to coś ważnego — powiedziałam. — Chciałaś, żebym oddzwonił jak najszybciej — rzekł Edward. Wślizgnęłam się ze słuchawką pod koc.

— Cześć, Edwardzie.

— Cześć.

— Co cię sprowadza do miasta? I czemu zjawiłeś się w kafejce U Lunatyków?

— A ty?

— Dochodzi szósta rano, jak dotąd ani na chwilę nie zmrużyłam oka. Nie mam ochoty ani czasu na gierki słowne.

— Co było w tej teczce? Widziałem na niej ślady świeżej krwi. Czyjej?

Westchnęłam. Nie bardzo wiedziałam, co mogę mu powiedzieć. Mógł okazać się wielce pomocny lub równie dobrze pozabijać tych, którym obiecałam pomoc. Czasami trudno jest dokonać właściwego wyboru.

— Nic ci nie powiem, dopóki nie będę mieć pewności, że nie narażę w ten sposób życia pewnych osób.

— Przecież wiesz, że już nie poluję na ludzi.

— A więc jednak... polujesz.

— Tak.

— Na kogo tym razem?

— Na zmiennokształtnych. Tak myślałam.

— Na kogo?

— Nie znam jeszcze konkretnych imion.

— Wobec tego skąd wiesz, kogo masz zabić?

— Mam film.

— Film?

# — Przyjdź *RS* jutro do mojego pokoju w hotelu, to ci go pokażę. I

powiem wszystko, co wiem.

— Zwykle nie jesteś tak skory do współpracy. Nie oferujesz nic za darmo. Gdzie tkwi haczyk?

— Nie ma haczyka. Mam jedynie nadzieję, że będziesz ich w stanie zidentyfikować, to wszystko.

— Nie znam wielu zmiennokształtnych — odparłam. — W porządku, po prostu przyjdź i zobacz, co udało mi się zdobyć.

Wydawał się bardzo pewny siebie, jak zawsze zresztą. — Niech będzie, gdzie się zatrzymałeś?

— W Adams Mark. Trafisz?

— Tak. Kiedy?

— Pracujesz jutro?

— Taa.

— W takim razie wpadnij, kiedy zechcesz. To zależy tylko od ciebie.

Był nazbyt uprzejmy.

— Jak długo potrwa twoja mała prezentacja?

— Dwie godziny, może krócej.

Pokręciłam głową, zorientowałam się, że nie mógł tego zobaczyć, i powiedziałam:

— Mogę przyjechać dopiero po spotkaniu z ostatnim klientem.

Wcześniej nie dam rady się wyrwać.

— A więc o której?

— Powiedzmy, że pomiędzy wpół do pierwszej a pierwszą w nocy. — Na samo brzmienie tych słów poczułam, jak ogarnia mnie zmęczenie. Znów się nie wyśpię.

— Będę czekał.

— Chwileczkę. Pod jakim nazwiskiem jesteś zameldowany? — Pokój 212, wystarczy zapukać.

— Masz jakieś nazwisko, prawda?

— Oczywiście. Dobranoc, Anito. — Połączenie zostało przerwane, słycać było tylko cichy szum, jakby gniewny pomruk niespokojnego ducha. Odłożyłam słuchawkę i włączyłam automatyczną sekretarkę. Przyciszyłam dźwięk, najbardziej jak się

# dało, po czym wróci*RS*am do łóżka.

Edward nigdy nie dzielił się informacjami, chyba że musiał. Był zbyt uczynny. Coś si kroiło. Jak znałam Edwarda, było to coś naprawdę paskudnego. Lykantropy zniknęły bez śladu. Wyglądało na grę, która mogłaby przypaść Edwardowi do gustu. A jednak coś mówiło mi, że to nie jego sprawa. Lubił przyznawać się do dokonanych przez siebie zabójstw, o ile tylko policja nie była go w stanie z nimi powiązać.

Tyle tylko, że ktoś musiał być za to odpowiedzialny. Byli łowcy nagród specjalizujący się w lykantropach odszczepieńcach. Edward mógł ich znać i wiedzieć, czy któryś z nich miał na koncie te morderstwa. Jeżeli bowiem cała ósemka zmiennokształtnych była martwa, mieliśmy do czynienia z morderstwami. O ile się nie myliłam, żaden z zaginionych nie był poszukiwany przez policję. Gliny mogły oświecić mnie w tej kwestii, ale nie chciałam ich w to mieszać. Dolph powinien wiedzieć, czy na jego terytorium zniknęły jakieś lykantropy.

Poczułam, że zapadam się w objęcia Morfeusza. Przed moimi oczami pojawił się przebłysk z miejsca zbrodni. Zobaczyłam twarz ofiary, zamarznąłą na śniegu, z jedną gałąką oczną rozdartą niczym dojrzałe winogrono. Zmiażdżona żuchwa poruszyła się, jakby ofiara starała się coś powiedzieć. Ze zmasakrowanych ust dobyło się jedno słowo: „Anita”. Moje imię. Rozbrzmiewało bez końca, jak echo. Przebudziłam się, obróciłam na drugi bok i sen zalał mnie od stóp do głów niczym gigantyczna, czarna fala. Jeżeli nawet przyśniło mi się coś jeszcze, to już tego nie zapamiętałam.

**Rozdział czternasty****C**

o roku zastanawiam się, co kupić na Gwiazdkę Judith, mojej macosze. Można by pomyśleć, że po czternastu latach powinnam mieć już pewną wprawę. Oczywiście sędzicie, że

ona wie doskonale, co ma mi sprezentować. Koniec jest zawsze taki sam — stajemy naprzeciw siebie, na dwóch brzegach przepaści kompletnego niezrozumienia. Ona pragnie, abym była doskonale kobiecą córką, a ja chciałabym, aby stała się moją nieżyjącą matką. Ponieważ nie mogę urzeczywistnić mego pragnienia, robię, co tylko mogę, aby życzenie Judith także się nie spełniło. Poza tym ma Andrieu, uosobienie doskonałości. Jedno genialne dziecko w rodzinie w zupełności wystarczy.

Ronnie i ja wybrałyśmy się na świąteczne zakupy. O dziewiątej tego ranka urządziłyśmy sobie jogging. Przespałam w sumie trzy godziny. Po biegu poczułam się znacznie lepiej. Jeszcze bardziej orzeźwił mnie lodowaty wiatr. Gdy dotarłyśmy do centrum handlowego, byłam już całkiem rozbudzona, choć moje włosy po myciu wciąż były wilgotne.

Ronnie ma metr siedemdziesiąt dwa wzrostu i krótkie, jasne, ostrzyżone na pazia w osy. Strzyże się tak, odkąd pamiętam, ale ja też przez te wszystkie lata nie zmieniłam fryzury. Tego dnia miała na sobie dżinsy, kowbojki z fioletowymi wstawkami, jasny sweter i krótką, ocieplaną kurtkę. Nie była uzbrojona. Nie sądziłam, aby

# sklepowe elfy dały siRS nam na tyle we znaki, że trzeba będzie sięgać

po broń. Ja ubrałam si jak do pracy, gdyż właśnie tam wybierałam się zaraz po zakupach. Granatowa spódniczka z czarnym paskiem, aby było do czego podpiąć kaburę podramienną. Spódnica była jak na mój gust o pięć centymetrów za krótka, ale Ronnie się uparła. Zna się na modzie nieco lepiej ode mnie. Jak wszyscy zresztą. Do tego granatowy żakiet w kolorze oczu Jean-Claude'a. Materiał był drukowany w nieco ciemniejsze, prawie czarne, orientalne wzory. Do żakietu włożyłam bluzkę na guziki i czarne botki na obcasach, w których wyglądałam całkiem atrakcyjnie. Żakiet też wybrała mi Ronnie. Jedyne jego minus — słabo maskuje kaburę z pistoletem. Gdy idę, czasami można dostrzec wystającą spod materiału kolbę browninga.

Jak dotąd nikt nie wpadał w panikę i nie wzywał sklepowych gliniarzy. Gdyby ludzie wokół mnie wiedzieli, że mam na przedramionach pochewki z nożami, zapewne tak by właśnie zrobili.

Ronnie oglądała biżuterię w gablotach Krigle'a, a ja patrzyłam jej w oczy. Były szare. W tym samym odcieniu, co oczy Gabriela wczorajszej nocy, ale różnica była zasadnicza. Jej oczy były ludzkie. Nawet gdy Gabriel był w ludzkiej postaci, jego oczy nie przypominały ludzkich.

— Co się stało? Pokręciłam głową.

— Myślałam o zeszłej nocy.

— Co po wczorajszej nocy myślisz o swoim chłopaku? — W

salonie jubilerskim były tłumy ludzi. Przebiłyśmy się do lady, ale ponieważ wiedziałam, że i tak nic tu nie kupimy, stałam tylko obok Ronnie, przypatrując wrocie, choć nie był

o się ludziom. Wszystkie twarze wydawały mi się

a to wrogóść skierowana bezpośrednio do mnie. Ci ludzie robili zakupy na dwa tygodnie przed wielkim dniem. Niech żyją święta.

# Ludzie zbici w zwart *RS*ą ciżbę przepychali się i rozpychali łokciami.

Zaczęło mnie ogarniać uczucie klaustrofobii.

— Kupujesz coś? Ronnie spojrzała na mnie.

— Nie odpowiedziałam na moje pytanie.

— Wyjdźmy stąd, to może odpowiem. Wyprostowała się i

popchnęła mnie w kierunku drzwi. Wyszliśmy do pasażu. Jestem niska i w tym stroju raczej nie wyglądam groźnie, a jednak ludzie ustępowali mi z drogi. Może zauważali broń.

Gdy znalazłyśmy się w głównym pasażu, wzięłam głęboki oddech. Tu też roiło się od ludzi, ale nie było tak tłoczno jak u jubilera. I tu przynajmniej nikt nie ocierał się o mnie. Gdyby ktoś mnie popchnął, mogłabym chociaż odpysknąć.

— Chcesz usiąść? — Na ławce jakimś cudem były dwa wolne miejsca. Ronnie zaproponowała odpoczynek, bo — jako że ubrana do pracy — nosiłam buty na obcasach. Ona w butach do biegania nie musiała ulżyć stopom. Nogi jeszcze mnie nie bolały. Może przyzwyczyłam się do obcasów. O rany.

Pokręciłam głową.

— Zajrzyjmy do Nature Company. Może znajdzie tam coś dla

Josh.

— Ile on już ma lat? Trzydzieści? — spytała Ronnie. — Piętnaście — odparłam. — W zeszłym roku młodszy brat był

mojego wzrostu. Przez rok z pewnością się mnie przerósł. Robi się z niego prawdziwy olbrzym. Judith mówi, że wyrasta z dżinsów tak szybko, iż nie nadąża z kupowaniem nowych.

— Czy to sugestia, aby kupić mu dżinsy? — dociekała Ronnie.

— Jeżeli nawet, to i tak ją zignoruję. Zamierzam kupić Joshowi coś fajnego, nie ciuchy.

— Wielu nastolatków wolałoby właśnie ciuchy — wtrąciła Ronnie.

— Nie Josh, w ka mnie.

— Co zamierzasz zrobić

— Nie odpusć

— Nie ma mowy.

— Jeszcze nie wiem, co zrobię. Po tym, co widziałam wczorajszej nocy. Po tym, co usłyszałam od Jean-Claude'a. Po prostu nie wiem.



# — Wiesz, że *RSe* Jean-Claude zrobił to celowo — stwierdziła. — Aby

was poró znić.

— Wiem, i to mu się udało. Mam wrażenie, jakbym nie znała Richarda. Jakbym ca łowała się z nieznajomym.

— Nie pozwól, aby długozęby rozbił wasz związek. Uśmiechnęłam się. Jean-Claude'owi na pewno spodobałoby się, że ktoś nazywa go długozębym.

— Nie dopuszczę do tego. Lekko szturchnęła mnie w ramię. — Nie wierzę ci.

żdym razie jeszcze nie teraz. Chyba ma to poć z Richardem? — zapytała. cisz, prawda?

— To nie Jean-Claude rozbija nasz związek, Ronnie. Skoro Richard od dłuższego czasu mnie okłamywał. .. — Nie dokończyłam. Nie musiałam.

Znalaz łyśmy się przed Nature Company. Wewnątrz było pełno ludzi. Krzatali się to tu, to tam jak pracowite mrówki, choć akurat z ich aktywności pożytek był niewielki.

— Co miałaś na myśli, mówiąc, że Richard cię okłamywał? — Nie powiedział mi, że będzie musiał stanąć do pojedynku z

Marcusem.

— A ty mówisz mu wszystko?

— No, nie...

— On cię nie okłamał, Anito. Po prostu nie powiedział ci wszystkiego. Daj mu szansę, by się wytłumaczył. Może miał jakiś powód.

Odwróci łam się i spojrzałam na nią. Na jej obliczu malował się wyraz głębokiego zatroskania. Spuściłam wzrok.

— Od miesięcy groziło mu śmiertelne niebezpieczeństwo, a on nawet o tym nie wspomniał. Powinnam była o tym wiedzieć.

— Może nie móg. Nie dowiesz się, dopóki go nie zapytasz.

— Ronnie, wczorajszej nocy widziałam wilkołaki. — Pokręciłam głową. — I ujrzałam istoty, które nie są ludźmi. W żadnym razie.

— A więc on nie jest człowiekiem. Nikt nie jest doskonały.

# Znów na nią zerknRSam. Uśmiechała się do mnie. Odpowiedziałam

tym samym.

— Pomówię z nim.

— Zadzwon do niego, zanim wyjdziemy z centrum, i umów się z nim na kolację.

— Czy nie za bardzo naciskasz? Wzruszyła ramionami. — Miałam dobrą nauczycielkę.

— Dzięki — mruknęłam. — A czego dowiedziałaś się od George'a Smitza?

— Niewiele poza tym, co zawierały akta, które mi pokazałaś.

Najwyraźniej nie wiedział, że jego żona jest jedną z ośmiorga zaginionych zmiennokształtnych. Sądził, że zniknęła tylko ona. Mam jej zdjęcie. Potrzebne ci są fotografie pozostałych. To pierwsza rzecz, jeżeli chodzi o zaginięcia. Nie mając zdjęcia, mogłabyś minąć tę osobę na ulicy i nawet nie poznałabyś, że to ona.

— Poproszę Kaspara o zdjęcia.

— Nie Richarda?

— Jestem na niego zła. Nie chcę go prosić o pomoc. — Chyba trochę przesadzasz.

— Ja tak nie uważam.

— Rozpocznę rutynowe czynności, jak w przypadku zaginięć, ale skoro to lykantropy, założę się, że nie chodzi o zwykłe zniknięcie. — Uważasz, że oni nie żyją?

— A ty nie?

— Ja też.

— Tylko kto mógł być aż tak dobry, że załatwił ósemkę zmiennokształtnych? — ciągnęła Ronnie. — Bądź co bądź, wszyscy zniknęli bez śladu.

— Mnie też to martwi. — Dotknęłam jej ramienia. — Od tej pory lepiej stale miej przy sobie broń.

Uśmiechnęła się.

— Obiecuję, mamusi. Pokręciłam głową.

— Zajrzymy do jeszcze jednego sklepu? Jeżeli kupię prezent dla Josha, będę miała po owę sprawunków z głowy.

# — Dla Richarda te*RS* ż powinnaś coś kupić, wiesz o tym?

— Co?

— Powinnaś kupić swemu chłopakowi jakiś prezent. To taka tradycja.

— Cholera. — Wprawdzie byłam na niego zła, ale Ronnie miała rację. Niezależnie, czy byliśmy skłóceni, czy też nie, powinnam mu coś kupić. A gdyby on dał mi jakiś prezent, a sam nic nie dostał? Miałabym wyrzuty sumienia. Gdybym to ja coś mu kupiła, a on mnie nic, poczułabym się wygrana, albo bym się wkurzyła. Nieomal chciałam, żeby nic mi nie kupił.

Czyżbym szukała sposobności do porzucenia Richarda? Może. Rzecz jasna może podczas lub po naszej rozmowie sam podsunie mi doskonały pretekst, dając mi go na srebrnej, pardon, złotej tacy. Byłam gotowa zmierzyć się z nim i wiedziałam, że walka będzie krwawa, ale wcale się tym nie przejmowałam. To nie mogło wróżyć nic dobrego.

## Rozdział piętnasty

O

pierwszej by łaam umówiona na spotkanie z Elvirą Drew. Sączyła kawę, trzymając kubek starannie

wymanikiurowanymi palcami. Paznokcie pomalowała przezroczystym lakierem, który sprawiał, że w świetle błyszcząły jak skorupka ślimaka.

Na pierwszy rzut oka by ło widać, że to kobieta z gustem. Sukienkę miała w ciekawym kolorze, który w jednej chwili wydawał się niebieski, a w następnej zielony. Taki odcień. Ale ogólnie kiecka wydawała się zielona. Materiał jakby się skrzył, nieomal żył własnym życiem, niczym prawdziwe futro, a zatem musiał być drogi. Ten fatalaszek zapewne kosztował więcej niż cała zawartość mojej szafy.

D ługie blond włosy miała proste i rozpuszczone. To jakoś do niej nie pasowało. Ta suknia, manikiur, markowe buty, prawie niewidoczny makijaż prosiło się, by towarzyszyła temu wykwinna i elegancka koafiura. Choć jeżeli o mnie chodzi, ta jej prosta fryzura bardzo przypadła mi do gustu. Gdy uniosła wzrok, zrozumiałam, dlaczego wydała tyle pieniędzy na tę sukienkę. Jej oczy miały ten sam błękitnozielony odcień.

# Połączenie zapierał *RSO* dech w piersiach.

Usiadłam naprzeciw, sącząc kawę, zadowolona, że i ja nieźle się dziś odstawiłam. Zwykle nie zawracam sobie głowy ubiorem. Dziś się postarałam. I był o warto.

— Czym mogę pani służyć, pani Drew? Uśmiechnęła się perfekcyjnie. W tym uśmiechu zawarło się wszystko, czego można było po nim oczekiwać. Uśmiechnęła się tak, wiedząc, jaki efekt wywiera w ten sposób na większości osób. Niemal obawiałam się ujrzeć ją w obecności mężczyzny. Skoro tak się rozpromieniała dla mnie, jak mogłaby wyglądać dla Jamisona czy Manny'ego? Ta myśl mocno mnie zaniepokoiła.

— Jestem pisarką. Pracuję nad książką o zmiennokształtnych. Mój uśmiech nieznacznie przygasł.  
— Doprawdy? A co panią sprowadza do naszej firmy

Animatorzy sp. z o.o.?

— Książka została pomyślana tak, że każdemu rozdziałowi przyporządkowana jest inna zwierzęca postać. Przedstawiam w nich, poczynając od źródeł historycznych, różne odmiany zmiennokształtnych od czasów zamierzchłych po dzień dzisiejszy. Rozbolały mnie mięśnie twarzy i wiedziałam, że z mojego uśmiechu pozostał już tylko pusty grymas.

— Zapowiada się, że będzie to ciekawa książka. Ale w czym konkretnie miałabym pani pomóc?

Zamrugnęła tymi urzekającymi oczami i najwyraźniej się zmieszała. Była w tym dobra. Jeszcze przed chwilą dostrzegłam w jej oczach przebłysk inteligencji. Teraz zaczęła zgrywać przede mną głupią blondynkę. Czy gdybym była facetem, nabrałabym się na ten numer?

Miałam nadzieję, że nie.

— Brakuje mi jednego wywiadu. Muszę znaleźć jakiegoś szczurołaka. Rzecz jasna, wywiad może być w stu procentach poufny.

Głupia blondynka znikn. Czyżby zorientowała

Może być poufny. Nie zapewniła, że będzie.

Westchnęłam i przestałam się sztucznie uśmiechać.

— Skąd pani przyszło do głowy, że jestem w stanie znaleźć dla

# pani jakiegoś szczuro*RS*aka?

— Pan Vaughn zapewni ł, że jeśli ktoś w tej okolicy może mi pomóc, to właśnie pani.

— Doprawdy?

Uśmiechnęła się, jej oczy błyszcząły.

— Sprawiał wrażenie niezłomnie przekonanego, że będzie pani w stanie mi pomóc.

— Mój szef obiecuje wiele rzeczy, panno Drew. Zwykle w imieniu kogoś innego. — Wstałam. — Zechce pani chwilkę zaczekać, ęła równie szybko, jak się pojawiła. a się, że nie dałam nabrać się na jej gierki? chciałabym zamienić dwa słowa z panem Vaughnem.

— Oczywiście, że zaczekam. — Jej uśmiech był równie uroczy jak dotychczas, ale coś w oczach kobiety zdradzało, iż wiedziała, jakiego rodzaju rozmowę mam zamiar przeprowadzić z moim szefem.

Zewnętrzne biuro utrzymane jest w tonie jasnej zieleni, począwszy od tapet z delikatnym, orientalnym motywem aż po wykładzinę podłogową. Wszędzie, gdzie to tylko możliwe, królują rośliny doniczkowe. Bert sądził, że dzięki roślinom klienci naszego biura pocują się swobodniej. Mnie gabinet kojarzył się z miniaturową dżunglą.

Mary, nasza dzienna sekretarka, uniosła wzrok znad klawiatury komputera i uśmiechnęła się. Mary ma ponad pięćdziesiąt lat i blond włosy, ciut za jasne, aby mogły być naturalne.

— Potrzebujesz czegoś, Anito? — Miała miły uśmiech. Chyba nigdy nie widziałam jej w złym humorze. Idealny materiał na sekretarkę.

— Tak, chciałabym zobaczyć się z szefem. Przekrzywiła głowę w bok, jej wzrok nagle stał się czujny.

— Po co?

— I tak miałam się z nim dzisiaj widzieć. Poleciałam Craigowi, aby umieścił mnie w grafiku.

Przejrzała księgę spotkań.

— Craig cię zapisał, ale Bert wykreślił spotkanie. — Przestała się uśmiechać. — Naprawdę jest dziś bardzo zajęty.

To mi wystarczył o. Ruszyłam w stronę drzwi gabinetu Berta.

— Ma teraz klienta — rzuciła Mary.

# — I pecha — odpar*RS* łam. Zapukawszy, otworzyłam drzwi, nie

czekając na zaproszenie.

Biurowo Berta zajmowała większość urządzonego na niebiesko gabinetu. Było to najmniejsze z trzech pomieszczeń, ale należało wyłącznie do niego. Wszyscy inni musieli się podmieniać. Bert był w college'u futbolistą i wciąż było to po nim widać. Szerokie bary, silne ręce, ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu i świadomość własnej postury. Prawie stracił już resztki letniej opalenizny. Krótko obcięte włosy nie wyglądały tak efektownie na tle jasnej skóry. Oczy miały szarawy odcień brudnych szyb. Te właśnie oczy spjrzały teraz na mnie.

— Mam klienta, Anito.

Przeniósł wzrok na mężczyznę siedzącego naprzeciw niego. Był to Kaspar Gunderson. Dziś od stóp do głów ubrany na biało, przez co podkreślał pewne uderzające szczegóły swego wyglądu.

Nie pojmowałam, jak mogłam kiedyś spojrzeć na niego i wziąć go za człowieka. Uśmiechnął się.

— Panna Blake, jak przypuszczam. — Wyciągnął rękę.

Uścisnęłam ją.

— Gdyby był pan łaskaw na chwilę opuścić gabinet, panie...

— Gunderson — dokończył.

— Panie Gunderson, chciałabym zamienić na osobności parę słów z panem Vaughnem.

— Wydaje mi się, że to może poczekać, Anito — powiedział Bert.

— Nie — zaproponowałam. — Nie może.

— Owszem, może.

— Chcesz, abym powiedziała to, co mam ci do powiedzenia, w obecności klienta, Bert?

Spojrział na mnie, mrużąc lekko powieki, przez co jego nieduże oczy wydały się jeszcze mniejsze. To w jego wykonaniu było piorunujące spojrzenie. Nigdy na mnie nie działało.

Wysilił się na wymuszony uśmiech.

— Upierasz się

# — Tak. *RS*

Wziął głęboki oddech i powoli wypuścił powietrze, jakby w myślach liczył do dziesięciu. Następnie posłał Kasparowi swój najlepszy profesjonalny uśmiech.

— Zechciałby pan zostawić nas na chwilę samych, panie Gunderson. To nie potrwa długo.

Kaspar wstał, skinął głową w moją stronę i wyszedł.

Zamknęłam za nim drzwi.

— Co cię ugryzło, żeby wparowywać tu jak burza, kiedy rozmawiam z klientem? — Wstał, jego ramiona niemal dotykały przeciwległych ścian.

Myślałam, że zna mnie dostatecznie dobrze, by wiedzieć, że swoją posturą i wzrostem nie zdoła mnie zastraszyć. Odkąd sięgam pamięcią, byłam najmniejszym dzieciakiem na naszej ulicy. Już od dłuższego czasu gabaryty nie robiły na mnie wrażenia.

— Uprzedzałam cię, abyś nie przysyłał do mnie klientów, którzy chcą czegoś więcej prócz ożywiania zmarłych. Zajmuję się tym i niczym więcej.

— To ja decyduję, co robisz w tej firmie. Przypominam ci, kto tu jest szefem. — Nachylił się nad stołem, opierając dłonie o blat biurka.

Nachyliłam się nad biurkiem z przeciwnej strony.

— Wczorajszej nocy przysłałeś do mnie klienta, któremu zaginęła żona. Czy twoim zdaniem jestem specjalistką od tajemniczych zaginiń ?

— Żona tego faceta jest lykantropem.



# — I to oznacza, *RSe* powinniśmy przyjąć od niego pieniądze?

— Jeżeli możesz mu pomóc, to tak.

— No cóż, przekazałam sprawę Ronnie. Bert odchylił się do tyłu.

— Widzisz, jednak mu pomogłam. Bez ciebie nie trafiłby do panny Sims.

Znow stał się rzeczowy i konkretny. Nie tego chciałam.

— W moim gabinecie czeka teraz Elvira Drew. Co mam z nią zrobić, u licha?

— Znasz jakieś szczurołaki? — Usiadł, splatając dłonie na swym coraz bardziej zaokrąglonym brzuszku.

— Co to ma do rzeczy?

— Znasz, prawda?

— A jeśli powiem, że tak?

— Umów ją z tym kimś. Niech przeprowadzi wywiad. A pewno znasz jakiegoś szczurołaka, który chciałby stać się sławny.

— Większość lykantropów zadaje sobie sporo trudu, aby ukryć, kim są. Ujawnienie grozi im utratą pracy, rozpadem małżeństw i tym podobnym. W zeszłym roku w Indianie facetowi po pięciu latach od rozvodu odebrano dzieci i przyznano jego byłej, gdy wyszło na jaw, że jest zmiennokształtnym. Nikt nie chce ryzykować wyjścia z cienia. Cena jest zbyt wysoka.

— Widziałem wywiady na żywo ze zmiennokształtnymi — wtrącił Bert.

— To wyjątki potwierdzające regułę, Bert.

— A więc nie pomożesz panie Drew?

— Niestety, nie.

— Nie zamierzam przemawiać do twojej zachłanności, choć panna Drew zaproponowała nam sporą sumkę. Pomyśl jednak, jak bardzo obiektywna książka o lykantropach mogłaby pomóc twoim zmiennokształtnym przyjacielom. Nie ma to jak dobra prasa. Zanim ją splawisz, pogadaj ze swoimi znajomymi. Poznaj ich opinię.

— Nic cię nie obchodzi los pokrzywdzonych i prześladowanych lykantropów. Zależy ci tylko na forsie.

— To fakt.

Bert był łajdakiem bez skrupułów i nie przejmował się opinią innych na swój temat. Trudno kogoś obrazić, gdy ten ktoś nie przejmuje się, co o nim myślisz. Usiadłam naprzeciwko. Wydawał się zadowolony z siebie, jakby już wiedział, że wygrał tę walkę. Myślałam, że zna mnie lepiej.

— Nie podoba mi się, że przysyłasz do mnie klientów, którzy

# pragną ode mnie czego**RS**ś innego niż to, co zwykle oferuje nasza firma.

Mam do ść niespodzianek. Od tej pory chcę, abyś uprzednio dogadywał ze mną klientów, których do mnie przysyłasz. — Jak sobie życzysz.

— Za bardzo jesteś ugodowy. Co się stało? Jego uśmiech poszerzył się, a małe oczka rozbłysły.

— Pan Gunderson zaoferował niemałą kwotę za twoje usługi. Zaproponował podwójną stawkę.

— To sporo. Czego konkretnie chce?

— Ożywić swojego przodka. Cięży na nim rodzinna klątwa. Czarownica powiedziała mu, że jeśli zdoła porozmawiać z przodkiem, który pierwszy został obłożony tą klątwą, będzie go w stanie od niej uwolnić.

— Czemu podwójna stawka?

— Klątwa zaczęła się od jednego z dwóch braci. Nie wiadomo, od którego konkretnie.

— A zatem muszę ożywić obu.

— Jeśli się nam poszczęści, wystarczy tylko jeden.

— Ale podwójną stawkę i tak zatrzymasz — dorzuciłam.

Bert energicznie pokiwał głową; wyglądał na szczęśliwego, jakby ktoś mu napluł w kapelusz.

— To zlecenie w sam raz dla ciebie, zgodne z działalnością naszej firmy, a poza tym chyba nie odmówiłabyś pomocy facetowi, który wskutek rodzinnej klątwy ma na głowie pióra zamiast włosów, prawda?

— Ty parszywa ajzo — wycedziłam, ale bez większego przekonania.

Bert tylko się uśmiechnął. Wiedział już, że wygrał.

— Czy będziesz odtąd łaskaw konsultować ze mną klientów pragnących czegoś innego prócz ożywienia zombi lub zakołkowania wampirów? — spyta am.

— Jeśli znajdziesz czas, aby przeczytać raport o każdym przyjętym przeze mnie kliencie, postaram się sporządzać je bardziej regularnie niż dotychczas.

— Nie muszę czytać raportów o wszystkich klientach, tylko o

tych, których kierujesz do mnie.

— Ależ Anito, przecież wiesz, że to, kogo do ciebie kieruję, jest wyłącznie kwestią przypadku. I zależy tylko od tego, kto ma akurat zmianę danego dnia.

— Niech cię diabli, Bert.

— Czy nie uważasz, że już dostatecznie długo kazałaś czekać pannie Drew?

Wstałam. To na nic. Ten piskorz znów mi się wymknął. Zmanipulował mnie. Wiedział o tym. Równie dobrze jak ja. Pozostało mi jedynie wycofać się z honorem.

— Twój klient z godziny drugiej został anulowany — oznajmił. — Polecę Mary, aby przysłała do ciebie Gundersona.

— Czy jest ktoś, kogo nie potraktowałbyś jak klienta, Bert?

Zamyślił się przez chwilę, po czym pokręcił głową.

— Nie, jeśli tylko byłby wypłacamy.

— Chciwy sukinsyn. Jesteś beznadziejny, wiesz?

— Wiem.

Dalsza dyskusja mijała się z celem. Nie mogłam z nim wygrać. Skierowałam się ku drzwiom.

— Masz przy sobie broń — warknął gniewnie, jakby z wyrzutem.

— Tak. I co z tego?

— Wydaje mi się, że spotykając się z klientami za dnia, nie musisz nosić pistoletu.

— Mam na ten temat odmienne zdanie.

— Włóż broń do szuflady, jak dawniej.

— Nic z tego. — Otworzyłam drzwi.

— Nie życzę sobie, abyś spotykała się z klientami uzbrojona po zęby, Anito.

— To twój problem, nie mój.

— Mogę sprawi że stanie się także twoim — mruknął. Na jego policzkach pojawiły się rumieńce, a w głosie dał się słyszeć gniew. Może się jednak mimo wszystko pokłócimy.

# Zamknęłam drzwi. *RS*

— Chcesz powiedzieć, że mnie wylejesz?

— Jestem twoim szefem.

— Możemy spierać się o klientów, ale w kwestii broni zdania nie zmienię.

— Widok pistoletu wzbudza niepokój u klientów.

— Tych bardziej strachliwych skieruj do Jamisona — poradziłam.

— Anito. — Podniósł się jak na sprężynie, pałając wściekłością.

— Nie życzę sobie, abyś będąc w pracy, nosiła przy sobie broń. Uśmiechnęłam się słabo.

— Pieprz się, Bert. — To tyle, jeśli chodzi o eleganckie wyjście z twarzą.

## Rozdział szesnasty

Z

amkn ęłam drzwi i uświadomiłam sobie, że poza wkurzeniem Berta nie właściwie nie osiągnęłam. Poszło mi całkiem szybko, ale w sumie to nie była wielka sprawa.

Zamierza łąm powiedzieć pannie Drew, że być może jestem w stanie jej pomóc. Bert miał rację, mówiąc o dobrej prasie. Mijając Gundersona, skinęłam głową. Uśmiechnął się do mnie. Jakoś nie chciało mi się wierzyć, że naprawdę miałam kogoś dla niego ożywić. Wkrótce dowiem się, o co mu chodzi.

Panna Drew siedzia ła z nogą założoną na nogę i splecionymi dłońmi. Uosobienie cierpliwości i elegancji.

— Być może mogłabym pani pomóc, panno Drew. Nie jestem pewna, ale chyba znam kogoś odpowiedniego.

Wstała, podając mi wymanikiowaną dłoń.

— Byłoby cudownie, panno Blake. Naprawdę doceniam to, co pani dla mnie robi.

— Czy Mary ma numer, pod którym mogłabym panią zastać?

— Tak. — Uśmiechnęła się.

Ja również. Otworzy łąm drzwi, a ona wyszła, otoczona zapachem drogich perfum.

— Panie Gunderson, zapraszam.

# Wstał, odkładając *RSc* pismo, które wertował, na stolik obok figowca

Benamina. Nie porusza ł się z płynną, taneczną gracją jak inni zmiennokształtni. No có ż, na łądzie wszystkie łabędzie tracą sporo uroku i wdzięku.

— Proszę spocz ąć, panie Gunderson.

— Proszę mi mówić Kaspar.

Oparłam się o skraj burka i spojrzałam na niego.

— Co tutaj robisz, Kasparze? Uśmiechnął się.

— Marcus pragnie przeprosić za zeszłą noc.

— Wobec tego powinien pofatygować się osobiście. Jego uśmiech poszerzył się.

— Uznał, że oferta rekompensaty w gotówce będzie właściwym zado ścuczynieniem za nasze niegościnnie zachowanie.

— Pomylił się.

— Nie zamierza pani spasować?

— Bynajmniej.

— Nie pomoże nam pani? Westchnęłam.

— Pracuję nad tym. Jednak nie bardzo wiem, jak się do tego zabrać. Kto lub co mogło pojmać bez walki ósemkę zmiennokształtnych?

— Nie mam pojęcia. Nikt z nas tego nie wie. I dlatego przyszliśmy z tym do pani.

Świetnie. Wiedzieli jeszcze mniej ode mnie. To niezbyt pocieszające.

— Marcus dał mi listę osób, z którymi powinnam porozmawiać. — Podałam mu ją. — Jakieś refleksje, a może chciałbyś coś dodać?

Zasepił się, łuki jego brwi niemal się połączyły. Białe brwi nie były utworzone z włosów. Zamrugałam, usiłując się skoncentrować. To, że miał pióra, niepokoi ło mnie bardziej, niż powinno.

— Wszyscy oni s rywalami Marcusa, jeżeli chodzi o władzę, przywództwo. Większość z nich spotkała pani w kafejce.

— Czy naprawdę uważasz, że on ich podejrzewa, czy po prostu stara się rzucić rywalom kłody pod nogi? — zapytałam.

— Nie wiem.

# — Marcus zapewni*RS* ł, że odpowiesz na wszystkie moje pytania.

Czy naprawdę wiesz coś, czego ja nie wiem?

— Powiedziałbym, że o społeczności zmiennokształtnych wiem dużo więcej niż pani — odparł. Sprawiał wrażenie urażonego. — Przepraszam, wydaje mi się, że podejrzania Marcusa, iż w sprawę zamieszani są jego rywale, to tylko jego pobożne życzenia. Nie jego wina, że prowadzi z innymi swoje prywatne gierki. — Marcus stara się trzymać pieczę nad wszystkim. Zresztą, sama pani wczoraj widziała.

— Jego zdolności przywódcze nie wywarły na mnie piorunującego wrażenia.

— Uważa, że gdyby wszystkimi zmiennokształtnymi rządziła tylko jedna osoba, mogłyby stanowić siłę zdolną rywalizować z wampirami.

Tu mógł mieć rację.

— I on chce być tym przywódcą — wtrąciłam.

— Oczywiście.

Rozległ się sygnał interkomu.

— Proszę wybaczyć na chwilę. — Wcisnęłam przycisk. — O co chodzi, Mary?

— Richard Zeeman na drugiej linii. Mówi, że miał się z panią jak najszybciej skontaktować.

Zawahałam się przez chwilę, po czym rzuciłam:

— Odbiorę. — I podniosłam słuchawkę, mając pełną świadomość, że Kaspar siedzi tuż obok i słyszy każde moje słowo.

Mogłam poprosić, aby wyszedł na korytarz, ale byłam zbyt zmęczona tańczeniem tak, jak mi zagraj ą klienci.

— Cześć, Richardzie.

— Odebrałem wiadomość, którą mi nagrałaś — stwierdził.

Mówił bardzo wolno, z rozważą, jakby balansował z trzymaną w dłoni szklanką pełną wody.

— Myślę, że musimy porozmawiać — stwierdziłam. — Zgadzam się

No, no, ależ on by dziś zgodny.

— To ja powinnam być zła. Czemu masz taki dziwny głos? — Dowiedziałem się o zeszłej nocy. Czekałam, aż powie coś

# więcej, ale cisza przed *RS* Sużala się w nieskończoność. Wypełniłam ją.

- Posł uchaj, mam teraz klienta. Chcesz się spotkać i pogadać?
- I to bardzo — powiedział to tak, jakby wcale nie było mu do tego spieszno.
- Około osiemnastej mam przerwę na kolację. Może spotkamy się w chińskiej restauracji przy Olive?
- To nie miejsce na poważne rozmowy we dwoje.
- A co masz na myśli?
- Może u mnie?
- Mam tylko godzinę, Richardzie. Za mało, aby pojechać do ciebie i z powrotem.
- Wobec tego u ciebie.
- Nie.
- Dlaczego nie?
- Tak po prostu.
- Nie chciałbym publicznie poruszać naszych prywatnych spraw. Po co ktoś ma o tym słyszeć. Ani ty tego nie chcesz, ani ja.
- To prawda. Cholera.
- W porządku, u mnie, parę minut po osiemnastej. Mam coś kupić po drodze?
- Jesteś w pracy. Ja się tym zajmę. Chcesz wieprzowinę na ostro i zupę z krabów?
- Tak. — Umawialiśmy się dostatecznie długo, aby mógł zamawiać posiłki, nie pytając mnie o zdanie. A mimo to zapytał.
- Punkt dla niego.
- Wobec tego będe u ciebie kwadrans po szóstej — stwierdził.
- Na razie.
- Pa, Anito.
- Pa. — Rozłączyliśmy się. W żołądku załęgła mi się lodowata



# gula strachu. Jeżeli miało dojść do kłótni, kłótni prowadzącej do

rozstania, nie chciałam, aby stało się to w moim mieszkaniu, ale

Richard miał rację. Nie mogliśmy wrzeszczeć na siebie w restauracji, do której przychodzi sporo ludzi. Po co postronne osoby mają

wysłuchiwać upiornych opowieści o wilkołakach i morderstwach. — Czy Richard gniewa się za zeszłą noc? — spytał Kaspar. — Tak.

— Mógłbym jakoś pomóc?

— Potrzeba mi bliższych informacji na temat tych zaginięć, pełnych charakterystyk zaginionych osób, z kim miały na pieńku, kto widział je ostatni i w ogóle.

— Marcus powiedział, że na wszelkie pytania dotyczące zaginięć może odpowiedzieć wyłącznie on.

— Zawsze robisz to, co on każe?

— Nie zawsze, ale w tej kwestii, Anito, Marcus jest nieprzejednany. Nie jestem drapieżcą. Nie obroniłbym się przed Marcusem, gdyby przyszło co do czego.

— Czy naprawdę zabiłby cię, gdybyś postąpił wbrew jego woli? — Może nie tyle by mnie zabił, ile na pewno sprawiłby mi mnóstwo bólu. I moje cierpienia trwałyby naprawdę długo. Pokręciłam głową.

— Nie prezentuje się lepiej niż większość mistrzów wampirów, których miałam okazję poznać.

— Jeżeli o mnie chodzi, nie znam żadnego mistrza wampirów. Przyjmuję, że jest tak, jak mówisz.

Mimowolnie się uśmiechnęłam. Znałam więcej potworów niż same potwory.

— Czy Richard może coś wiedzieć?

— To prawdopodobne, a jeżeli nie, może pomóc ci coś znaleźć. Miałam ochotę zapytać go, czy Richard był równie wredny jak Marcus. Chciałam wiedzieć, czy mój ukochany w głębi serca skrywał prawdziwą bestię. Nie zapytałam. Gdybym chciała dowiedzieć się prawdy o Richardzie, powinnam zapytać o to jego samego. — Wybacz, Kasparze, ale jeśli nie mogę się od ciebie dowiedzieć

# niczego więcej, chcia<sup>RS</sup>abym wziąć się do roboty, mam mnóstwo

pracy. — nawet mnie te słowa wydały się dość obcesowe. Uśmiechnęłam się, aby trochę złagodzić efekt, ale bezskutecznie. Nie odpowiedział uśmiechem. Chciałam uporać się jakoś z tym całym bałaganem, a on wci mi o nim przypominał.

Wstał.

— Gdybym był potrzebny i mógłbym jakoś pomóc, proszę się nie wahać, tylko dzwonić.

— Ale pomożesz mi tylko na tyle, na ile pozwoli ci Marcus, prawda?

Na jego bladej skórze pojawiły się słabe rumieńce, lekki róż, jak zabarwiony cukier.

— Obawiam się, że tak.

— Wobec tego raczej nie zadzwonię — odparłam.

— Nie ufasz Marcusowi? Zaśmiałam się oschle, bez cienia radości.

— A ty?

Uśmiechnął się i leciutko skinął głową.

— Chyba nie. — Ruszył w stronę drzwi. Położyłam już dłoń na klamce, gdy nagle odwróciłam się i zapytałam:

— Czy to naprawdę rodzinna klątwa?

— Moja przypadłość?

— Taa.

— Nie rodzinna, ale tak, naprawdę klątwa. — Jak w tej bajce? — spytałam.

— Bajka przywodzi na myśl coś miłego, magicznego, ze szczęśliwym zakończeniem. Prawdziwe historie są zwykle bardziej okrutne i mroczne.

— Czytałam wiele z nich.

— A zna pani oryginalną, skandynawską wersję *Księżniczki łabędzi*?

— Chyba nie.

— Jest jeszcze gorsza niż ta, którą mogła pani czytać.

# — Przykro mi to s*RS* łyszeć.

— Mnie równie . — Podszedł do drzwi, a ja je otworzyłam, aby go wypuścić. Bardzo chciałam usłyszeć tę historię, ale ból, jaki malował się w oczach mężczyzny, był tak dojmujący, że byłaby to niewyobrażalna tortura zarówno dla niego, jak i dla mnie. Nie mogłam mu tego zrobić. Nie chciałam sprawić mu bólu. I tak już swoje wycierpiał.

Minął mnie, a ja go przepuściłam. W głębi duszy obiecałam sobie, że w wolnej chwili sięgnę po zapomniany od lat tom baśni i legend z opracowaniami krytycznymi. Sporo wody upłynęło, odkąd ostatni raz czytałam *Księżniczkę łabędzi*.

## Rozdział siedemnasty

B

Było już prawie wpół do siódmej, gdy dotarłam do drzwi mego mieszkania. Spodziewałam się ujrzeć w korytarzu Richarda, ale nie było żywego ducha. Ucisk w żołądku nieznacznie zelżał. Ulga, choćby krótkotrwała, jest mimo wszystko ulgą.

Włożyłam klucz do zamka, kiedy otworzyły się drzwi za mną. Puściłam klucze, pozostawiając je zwieszające się z zamka. Prawą ręką sięgnęłam po browninga. Instynktownie, zrobiłam to bez namysłu. Dotknęłam dłonią kolby, gdy w drzwiach pojawiła się pani Pringle. Odsunęłam rękę od pistoletu i uśmiechnęłam się. Chyba nie zdawała sobie sprawy, co zrobiłam, bo także i ona się uśmiechała.

Była wysoka, stara i chuda. Siwe włosy upinała w kok. Pani Pringle nigdy się nie malowała i nie przejmowała się tym, że miała już ponad sześćdziesiąt lat. Niektórzy chyba naprawdę uważają, że wesołe jest życie staruszka.

— Późno dziś wracasz, Anito — rzekła. Kremik, jej szpic, zaczął ujadać jak zacinająca się płyta. Zmarszczyłam brwi i spojrzałam na nią. Wpół do siódmej to wcześniej jak dla mnie. Rzadko wracałam do domu o tej porze. Zanim zdążyłam powiedzieć coś jeszcze, za kobietą, w drzwiach pojawił się Richard.

# Gęste włosy okala**RSy** jego twarz brązowymi falami. Miał na sobie

jeden z moich ulubionych swetrów. Był ciemnozielony, gruby i bardzo miękki w dotyku. Kremik czekał na niego, stając tuż przy jego nodze, jakby zbierał się na odwagę, aby go ugryźć.

— Przestań, Kremik — rzuciła pani Pringle. Uniosła wzrok i spojrzała na Richarda. — Nigdy nie widziałam, aby zachowywał się przy kimś w ten sposób. Anita może zaświadczyć, że on przepada niemal za wszystkimi. — Zerknęła na mnie, poszukując u mnie wsparcia, zakłopotana, że jej pies okazał się tak nieuprzejmy względem gościa.

Skinęłam głową.

— To prawda. Nigdy go takim nie widziałam. — Patrzyłam na

Richarda. Jego oblicze pozostawało spokojne i nieodgadnione. — Czasami jest taki przy innych psach, próbuje nad nimi

dominować — dodała. — Czy ma pan psa, panie Zeeman? Może Kremik wyczuł na panu jego zapach.

— Nie — odparł Richard. — Nie mam psa.

— Zastałam pani absztyfikanta siedzącego w korytarzu, z torbą zjedzeniem. Pomyślałam, że równie dobrze może zaczekać u mnie.

Przykro mi, że Kremik uprzykrzył panu wizytę.

— Nie ma to jak miła rozmowa z koleżanką po fachu — odparł Richard.

— Bardzo pan uprzejmy — rzekła. Na jej ustach wykwitł szeroki uśmiech. Spotkała Richarda tylko raz czy dwa w korytarzu, ale go polubiła. I to jeszcze zanim się dowiedziała, że jest nauczycielem. Niektórzy znają się na ludziach.

Richard wyminął kobietę i wyszedł na korytarz. Kremik pognał za nim, ujadając jak szalony. Psiak wyglądał jak cierpiący na przerost ambicji dmuchawiec. W dodatku wkurzony dmuchawiec. Podskakiwał na maleńkich nóżkach, szczekając i warcząc gniewnie. — Kremik, wracaj!

Przytrzymałam dla Richarda otwarte drzwi. Przez ramię miał przerzucony płaszcz, w dłoni torbę z posiłkami na wynos. Zwierzak rzucił się naprzód i próbował chapnąć go w kostkę.

Richard zmierzył psa wzrokiem. Kremik przystanął z nosem tuż przy nogawce jego spodni. Spojrzał w górę i muszę przyznać, że jeszcze nigdy nie widziałam takiego wyrazu psych oczu. Zupełnie

# jakby szpic zastanawiaRSI się, czy Richard naprawdę chce go pożreć.

Richard przestąpił próg, a Kremik został w korytarzu. Nagle zrobił się cichutki, spokojny.

— Dziękuję, że zajęła się pani Richardem, pani Pringle.

— Cała przyjemność po mojej stronie. To bardzo miły młody człowiek — odparła. Ton jej głosu mówił więcej niż słowa. „Miły młody człowiek” znaczyło: „Powinnaś go poślubić”. Moja macocha Judith na pewno by się z nią zgodziła. Tyle że Judith powiedziałaby to głośno, bez owijania w bawełnę.

Uśmiechnęłam się i zamknęłam drzwi. Kremik zaczął ujadać pod drzwiami. Z przyzwyczajenia przekręciłam zasuwkę i odwróciłam się do Richarda.

Przewiesił skórzany płaszcz przez oparcie kanapy. Torba z jedzeniem stała na stole w kuchni. Wyjął z niej tekturowe pudełko. Położyłam swój płaszcz obok jego i zdjęłam szpilki. Straciłam przez to pięć centymetrów i od razu poczułam się lepiej.

— Ładny płaszcz — powiedział. Głos miał wciąż beznamiętny.

— Dzięki. — Miałam ochotę zdjąć także żakiet, ale ponieważ Richard go lubił, nie zrobiłam tego. Głupie, ale prawdziwe. Oboje byliśmy tacy zachowawczy. Napięcie wiszące w pokoju niemal dławilo w gardle.

Wyjęłam z kredensu talerze. Następnie z lodówki wyciągnęłam schłodzoną colę dla siebie i nalałam szklankę wody dla Richarda. Nie lubił napojów gazowanych. Dlatego — głównie ze względu na niego — zawsze miałam w lodówce dzbanek z zimną wodą. Coś ścisnęło mnie w gardle, gdy postawiłam napoje na stole.

Wyjął sztucce. Poruszaliśmy się w niedużej kuchni jak para tancerzy i nie dotykali my się wzajemnie, chyba że oboje tego chcieliśmy. Tego wieczoru utrzymywaliśmy dystans. Nie zapalaliśmy światła. Jedyne napływało z pokoju, tak słabe, że w kuchni było ciemno jak we wnętrzu jaskini. Zupełnie jakbyśmy nie chcieli widzieć jedno drugiego.

# Wreszcie usiedliś*RS*my do stołu. Spojrzeliśmy na siebie nad

talerzami potraw — dla mnie wieprzowina na ostro, dla Richarda kurczak z orzechami. Zapach gorącego, chińskiego jedzenia wypełnił całe mieszkanie. Zwykle taka woń jest miła i uspokajająca. Dziś zapierała mi dech w piersiach. Na talerzu między nami leżały dwie porcje ragoon z krabów. Richard nalał na talerz trochę sosu słodko-kwaśnego.

Zawsze tak jedli śmy chińszczyznę, używając sosu z jednego dzbanka.

Cholera.

Spojrzał na mnie czekoladowobrązowymi oczami. To ja pierwsza odwróciłam wzrok. Nie chciałam tego.

— Jak to jest? Czy wszystkie psy tak na ciebie reagują? — Nie, tylko te dominujące. Uniosłam wzrok.

— Kremik jest twoim dominantem?

— On tak uważa.

— To może być niezdrowe — przyznałam. Uśmiechnął się. — Nie jadam psów.

— Nie myślałam.. o, cholera. — Skoro mieliśmy odbyć poważną rozmowę, to trzeba od czegoś zacząć. — Dlaczego nie powiedziałeś mi o Marcusie?

— Nie chciałem cię angażować.

— Dlaczego?

— Jean-Claude wmieszał cię w swoją rozgrywkę z Nikolaos. Tyle razy mówiłaś, jak niezręcznie się wtedy czułaś. Że było okropnie, i w ogóle. Czy gdybym nakłonił cię, abyś pomogła mi w konfrontacji z Marcusem, nie byłoby podobnie?

— Nie.

# — Jak to? Przecie*RS* wykorzystałbym cię jak Jean-Claude. Nie

móg łbym tego zrobi

— Nie wykorzysta łbyś mnie, gdybym sama zaproponowała ci pomoc.

— Co byś zrobi a? Zabiłabyś go? — w jego głosie słysząc było rozgoryczenie i gniew.

— Co to miało znaczyć?

— Możesz zdjąć żakiet. Widziałem pistolet. Otworzyłam usta, aby zaprotestować, ale zaraz je zamknęłam. Tłumaczenie Richardowi w środku kłótni, że chciałam wyglądać dla niego atrakcyjnie, zabrzmiałoby nedorzecznie. Wstałam i zdjęłam żakiet. Rozwiesiłam go starannie na oparciu krzesła. Nie spieszyłam się z tym.

— Już. Zadowolony?

— Czy pistolet jest dla ciebie odpowiedzią na wszystko? — Odkąd to przejmujesz się tym, że noszę broń?

— Alfred był moim przyjacielem. Zamurowało mnie. Nie przyszłoby mi do głowy, że Richard mógł lubić Alfreda.

— Nie wiedziałam, że był twoim przyjacielem.

— Czy to by coś zmieniło? Zamyśliłam się na chwilę. — Może.

— Nie musiałaś go zabijać.

— Zeszłej nocy poszłam na spotkanie z Marcusem. Nie dali mi wyboru, Richardzie. Ostrzegałam go. I to nie raz.

— Słyszałem. W stadzie aż huczy od plotek. O tym, jak nie chciałaś ustąpić. Jaka byłaś harda. Że odrzuciłaś ochronę Marcusa. I że postrzeliłaś jeszcze jednego z naszych. — Pokręcił głową. —

Wszyscy są pod wrażeniem.

— Nie miałam takiego zamiaru. Wziął głęboki oddech. — Wiem i to mnie właśnie przeraża.

— Boisz się mnie?

— O ciebie — odparł. Gniew w jego oczach powoli ustępował miejsca strachowi.

— Potrafię o siebie zadbać, Richardzie.

— Nie rozumiesz, co wczoraj zrobiłaś.

# — Przykro mi, je *RS*eli Alfred był twoim przyjacielem. Szczerze

mówi ąc, nie sprawia wrazenia kogoś, z kim mógłbyś się kumplować. — Wiem, że by zabijaką i psem łańcuchowym Marcusa, ale należał do osób obję tych moją ochroną.

— Wczorajszej nocy Marcus nie popisał się, jeżeli chodzi o ochronę kogokolwiek. Bardziej niż na bezpieczeństwie Alfreda zależało mu na swojej małej walce o władzę.

— Zajrzałem dziś rano do Irvinga — oświadczył, nie wdając się w bliższe wyjaśnienia.

Tym razem to ja się rozzłościłam.

— Zrobiłeś mu krzywdę?

— Gdyby nawet, miałem do tego prawo jako samiec beta. Wstałam, opierając dłonie o blat.

— Jeśli coś mu zrobiłeś, pogadamy inaczej.

— Mnie również zastrzelisz?

Spojrzałam na niego, na te cudowne włosy, sweter i pokiwałam głową.

— Jeżeli będę musiała.

— Mogłabyś mnie zabić ot tak, bez mrugnięcia okiem? — Zabić nie, ale zranić owszem.

— Użyłabyś przeciwko mnie broni, aby ochronić Irvinga. —

Odchylił się na krzesło, splótł ramiona na piersiach. Wydawał się zaskoczony i rozwścieczony zarazem.

— Irving poprosił mnie o ochronę. Udzieliłam mu jej. — To samo powiedział mi dziś rano.

— Czy coś mu zrobiłeś?

Patrzył na mnie przez dłuższą chwilę, po czym odparł: — Nie. Nie skrzywdziłem go.

Wypuściłam powietrze. Nie wiedziałam nawet, że wstrzymałam oddech i ponownie usiadłam.

— Naprawdę mogłabyś wystąpić przeciwko mnie, aby go ochronić. Byłaś gotowa to zrobić.

— Nie dziw się tak. Irving znalazł się pomiędzy wami, jak między młotem a kowadłem. Marcus skrzywdziłby go, gdyby Irving nie skontaktował się ze mną, czyniąc zaś to, narażał się tobie.

Niezbyt uczciwe. I niesprawiedliwe.

— W stadzie jest wiele niesprawiedliwości, Anito. — Tak jak w życiu, Richardzie. Czyż nie? Co dalej? — Kiedy Irving powiedział, że znajduje się pod twoją ochroną, nic mu nie zrobiłem, ale w gruncie rzeczy nie wierzyłem, że mogłabyś mnie skrzywdzić.



# — Irvinga znam dRSłużej niż ciebie.

Wychyli ł się do przodu, dłonie złożył na blacie stołu. — Ale to nie z nim się spotykasz. Wzruszyłam ramionami. Nie wiedziałam, co powiedzieć. Nic m ądręgo nie przychodziło mi do głowy.

— Czy wciąż pozostaję twoim ukochanym, czy może chrzest bojowy, jaki przeszedł wczorajszej nocy, sprawił, że nie zechcesz się już ze mną umawiać?

— Toczysz walkę na śmierć i życie i ukrywasz to przede mną.

Jak nasz związek ma się rozwijać, skoro masz przede mną tajemnice? — Marcus mnie nie zabije — odparł. Obserwowałam go.

Wyglądało na to, że mówił szczerze. Cholera.

— Naprawdę w to wierzysz?

— Tak. Miałam ochotę nazwać go głupcem, ale zmitygowałam się. Nic mi nie przychodziło na myśl.

— Poznałam Marcusa. I Rainę. — Pokręciłam głową. — Jeśli naprawdę wierzysz, że Marcus nie pragnie twojej śmierci, to się mylisz.

— Jedna noc i stałaś się ekspertem.

— Pod tym względem tak.

— Właśnie dlatego zataiłem sprawę przed tobą. Zabiłabyś go, prawda? Tak po prostu.

— Gdyby próbował mnie zabić, tak.

— Muszę sam to załatwić, Anito.

— A więc zrób to, Richardzie. Załatw tego łajdaka.

— Albo zrobisz to za mnie. Usiadłam wygodnie na krześle. — Cholera, Richardzie, czego ty właściwie ode mnie chcesz? — Chcę wiedzieć, czy uważasz mnie za potwora.

Jak dla mnie, rozmowa miała zbyt szybki przebieg.

— Oskarżasz mnie, że jestem morderczynią? Czy nie ja powinnam zadać to pytanie?

— Wiedziałem, kim jesteś, odkąd się poznaliśmy. Ale ty

uważałaś mnie za cz owieka. Czy według ciebie nadal nim jestem? Spojrzałam na niego. Wydawał się taki zagubiony. W głębi serca

# wiedziałam, że nie by<sup>RS</sup> człowiekiem. Ale jak dotąd nie widziałam, aby

robił coś niezwykłego czy nieludzkiego. Gdy tak na niego patrzyłam, nie wydawał się wcale niebezpieczny. W jego brązowych oczach malowała się niezmacona szczerłość. Wierzył, że Marcus go nie zabije. Tej naiwności nie sposób ująć w słowa. Chciałam go ochronić. W jakiś sposób zapewnić mu bezpieczeństwo.

— Nie jesteś potworem, Richardzie.

— Dlaczego więc dziś tak mnie omijałaś, żadnych czułości, nawet całusa na przywitanie.

— Sądziłam, że się kłócimy — odparłam. — Nie całuję się z ludźmi, z którymi jestem skłócona.

— A my jesteśmy skłóceni? — spytał pełnym wahania, łagodnym głosem.

— Nie wiem. Obiecuj mi coś.

— Co?

— Niczego przede mną nie ukrywaj. Nie okłamuj mnie, nie zatajaj. Mów prawdę, a odwzajemnię ci się tym samym.

— Zgoda, jeżeli tylko obiecasz, że nie zabijesz Marcusa.

Zerknęłam na niego. Jak to możliwe, aby ktoś był mistrzem wilkołaków i pierwszym naiwnym zaradem? Byłoby niewybaczalne, gdybym spełniając jego prośbę, zezwoliła na jego śmierć.

— Nie mogę tego obiecać.

— Anito...

Uniosłam prawą dłoń w górę.

— Mogę obiecać, że go nie zabiję, chyba że zaatakuje mnie, ciebie lub jakąś Bogu ducha winną osobę postronną.

Tym razem to Richard popatrzył na mnie.

— Mogłabyś go zabić, ot tak?

— Mogłabym. Pokręcił głową.

— Nie pojmuję

— Jak to możliwe, że jesteś lykantropem i nigdy nikogo nie zabiłeś?

— Jestem ostro ny.

— A ja nie?

# — Dla ciebie to jak splun*RS* ąc. Nic nie wskazuje, abyś miała

wyrzuty sumienia z powodu zabicia Alfreda.

— A powinnam mieć?

— Ja bym miał.

Wzruszyłam ramionami. Prawdę mówiąc, trochę mnie to

poruszy ło. Może istniało jakieś inne wyjście z tej kabały, dzięki któremu Alfred nie skończyłby w plastikowym worku. Albo w żołądkach swoich przyjaciół. Ale zabiłam go. Po sprawie. Już nie było odwrotu. Nie mogłam tego cofnąć. I nie zamierzałam przeproszać za to, co zrobiłam.

— Taka już jestem, Richardzie. Możesz to przyjąć albo nie. Ja się nie zmienię.

— Chciałem się z tobą umówić między innymi dlatego, że umiesz o siebie zadbać. Teraz już ich widziałas. Jeżeli o mnie chodzi, myślę, że potrafię wyjść z tego cało, ale czy zwykły człowiek — przeciętny zjadacz chleba — miałby choć cień szansy?

Przeniosłam na niego wzrok. Wyobraziłam go sobie z rozszarpanym gardłem. Martwego. Ale nie. On by tak łatwo nie umarł. Już raz widziałam go takim. I wyzdrowiał. Przeżył. Wylizał się. Jednak był kiedyś pewien mężczyzna. Inny facet, który nie wywinął się z podobnej sytuacji. Nie chciałam obdarzyć kogoś miłością, a potem go utracić. Nie w ten sposób. W żaden sposób. Nigdy.

— Wobec tego masz, czego chciałeś. W czym problem?

— Wciąż cię pragnę. Nadal chcę cię przytulać. Dotykać. Czy ty mogłabyś mnie dotykać po tym, co ujrzałaś zeszłej nocy?

Unikał mojego wzroku. Włosy przesłoniły mu twarz.

Wstałam i postąpiłam naprzód, dzięki czemu zmuszona byłam spojrzeć na niego z góry. Uniósł głowę, a w jego oczach zakreśliły się łzy. Na twarzy malował się nieskrywany strach. Sądziłam, że po tym, co zobaczyłam wczoraj, stosunki między nami zmienią się diametralnie. Przypomniałam sobie nadludzką siłę Jasona, pot na twarzy Marcusa i okrwawione usta Gabriela. Jednak wpatrując się w oblicze Richarda, znajdującego się na wyciągnięcie ręki ode mnie, to

# wszystko nie wydawa**RS**o mi się realne. Ufałam Richardowi. Poza tym

byłam uzbrojona.

Nachyliłam się nad nim, aby go pocałować. Pierwszy pocałunek był skromny, delikatny. Nie próbował mnie dotknąć, dłonie trzymał na kolanach. Cmoknęłam go w czoło, przeczesując dłońmi jego długie włosy, aby poczuć pod palcami jego ciepło. Ucałowałam brwi Richarda, czubek nosa, oba policzki i na koniec ponownie wargi. Westchnął, jego oddech wpłynął mi do ust i wpiłam się w nie z taką mocą jakbym go chciała pożreć.

Objął mnie ramionami, dłonie zastygły na wysokości mojej talii, palce nieco niżej. Opuścił dłonie do moich ud, omijając newralgiczne miejsca. Stałam nad nim okrakiem i przekonałam się, że krótka spódniczka ma swoje plusy. Usiadłam na Richardzie i nawet nie musiałam podkasać spódnicy. Aż stęknął ze zdziwienia. Spojrzał na mnie głębokimi, ciemnymi oczami.

Zadarłam mu sweter na brzuchu, przesunęłam dłońmi po gołej skórze.

— Zdejmij — rzuciłam. Jednym płynnym ruchem zdarł z siebie sweter i cisnął na podłogę. Siedziałam na jego kolanach, gapiąc się na nagi tors. Powinnam na tym poprzestać, ale tego nie zrobiłam. Nie chciałam.

Przylgnęłam twarzą do zagłębienia jego szyi, wdychając zapach skóry, a jego włosy zakryły moją twarz jak woal. Przesunęłam językiem mu po szyi i wzdłuż obojczyka, pozostawiając wilgotny ślad.

Zaczął pieścić dło mi moje plecy, przesuwając się coraz niżej. Palce powędrowały aż do moich pośladków, po czym uniosły się wyżej. Punkt dla niego. Nie zaczął mnie obmacywać.

— Czy możesz od ożyć pistolet? — zapytał z twarzą wtuloną w moje włosy.

Skinęłam głową, zdejmując uprząż kabury podramiennie. Nie

# mogłam pozbyć się *RS* reszty, nie rozpinając paska spódnicy. Dłonie

jakoś dziwnie odmawia ły mi posłuszeństwa.

Richard ujął moje ręce i rozsunął delikatnie na boki. Następnie rozpiął mi pasek i zaczął wysuwać go ze szlufek. Każde pociągnięcie sprawiało, że lekko się wzdrygałam. Podczas gdy zdejmował mi pasek, mocno zaciskałam w dłoni kaburę.

Upuścił pasek na podłogę. Złożyłam oplecioną paskami kaburę na stole za nami. Odwróciłam się ponownie ku niemu. Jego twarz była tak blisko. Usta miał delikatne i pełne. Polizałam kąciki jego ust. Pocałunek był pospieszny i nerwowy. Miałam ochotę rozgnieść jego usta swoimi. Wycalować tors. Nigdy dotąd nie posunęliśmy się tak daleko. Nie byliśmy aż tak odważni. Wyjął mi bluzkę ze spódnicy i zaczął przesuwać dłońmi po moich gołych plecach. Jego dotyk wzbudzał we mnie silne dreszcze.

— Musimy zastopować — wyszeptałam z ustami przy jego szyi, przez co chyba nie zabrzmiało to zbyt przekonująco.

— Co?

— Przestań. — Odsunęłam się lekko od niego, aby spojrzeć na jego twarz. Tak, bym mogła swobodniej oddychać. Dłońmi wciąż gładziłam go po włosach, dotykałam jego barków. Opuściłam ręce. Musiałam to przerwać. Był taki ciepły. Uniosłam dłonie do twarzy i poczułam na swojej skórze jego zapach. Nie chciałam przestać. Sądząc po wyrazie jego twarzy i reakcjach jego ciała, on także tego nie chciał.

— Powinniśmy to przerwać. I to zaraz. Teraz.

— Dlaczego? — jego głos zabrzmiał jak szept.

— Bo jeśli teraz tego nie zrobimy, później możemy już się nie powstrzymać.

— Czy to byłoby takie złe?

Wpatrując się z odległości paru centymetrów w jego brązowe oczy, prawie odparłam: „Nie”.

— Może tak — powiedziałam jednak.

— Dlaczego?

— Bo jedna noc to zawsze za mało. Albo decydujesz się na stałą dietę, albo lepiej wybierz post.

# — Możesz tego doRSwiadczać każdej nocy — mruknał.

— Czy to oś wiadczyzny? — spytałam.

Zamruga ł i wyprężył się lekko. Musiał się zastanowić. Widziałam, jak się męczy; mnie także nie było lekko. Ciężko mi się myślało, siedząc u niego na kolanach.

Wsta łaam. Wciąż trzymał ręce pod moją bluzką, dotykając nagiej skóry.

— Co się stało, Anito?

Spojrzałam na niego z góry. Oparłam się o jego ramiona, aby utrzymać równowagę, ale wciąż miałam w głowie mętlik.

Cofnęłam się. Nie próbował mnie zatrzymać. Oparłam się o kuchenny blat i spróbowałam choć trochę pozbierać myśli.

Zastanawiałam się, jakimi słowami wyrazić nagromadzony przez lata ból.

— Zawsze byłam porządną dziewczyną. Nie sypiałam po kątach z chłopakami. W college'u spotkałam kogoś, zaręczyliśmy się, spotykaliśmy się i sypialiśmy ze sobą. Rzucił mnie.

— Zrobił to wszystko tylko po to, by się z tobą przespać?

Pokręciłam głową i odwróciłam się, by na niego popatrzeć. Wciąż siedział, bez koszuli, i wyglądał niesamowicie ponętnie.

— Jego rodzina mnie nie akceptowała.

— Dlaczego?

— Jego matce nie podobało się, że moja matka była Meksykanką.

Oparłam się plecami o szafkę, skrzyżowałam ramiona i zacisnęłam dłonie na łokciach.

— Nie kochał mnie dostatecznie mocno, by przeciwstawić się rodzinie. Bardzo za nim tęskniłam, moje ciało także. Obiecałam sobie, że nie dopuszczę, aby coś takiego przydarzyło mi się ponownie.

— I czekasz na tego jednego jedyne go, żeby go poślubić — rzekł Richard.

Skinęłam głową.

# — Pragnę cię *RS*, Richardzie, i to bardzo, ale nie mogę. Nie chcę

znowu tego przeżywać. Nie chcę ponownie cierpieć.

Wstał z krzesła i stanął przede mną. Blisko, ale nie na tyle, aby mógł mnie dotknąć.

— Więc wyjdź za mnie. Spojrzałam na niego.

— No jasne. Akurat.

— Naprawdę. Mówię serio. — Położył mi delikatnie dłonie na ramionach. — Miałem poprosić cię o rękę już wcześniej, ale nie starczyło mi odwagi. Nie widziałas, czym są naprawdę lykantropy, do czego jesteśmy zdolni. Wiedziałem, że zanim ci się oświadczę, powinnaś to najpierw zobaczyć, ale bałem się ci to zaproponować.

— Wciąż nie widziałam, jak się zmieniasz — przypomniałam.

— A musisz?

— Gdy tak stoisz, powiedziałabym, że nie, ale — dla jasności — jeśli mamy sprawę traktować poważnie, to raczej tak.

— Teraz?

Zerknęłam na niego w półmroku i objęłam go ramionami. Przytuliłam się do niego i pokręciłam głową, przesuwając policzkiem po jego nagim torsie.

— Nie, nie teraz.

Pocałował mnie w czubek głowy.

— Czy to ma oznaczać „tak”? Uniosłam głowę, aby na niego popatrzeć.

— Powinnam powiedzieć „nie”.

— Dlaczego?

— Bo życie jest zbyt skomplikowane.

— Życie zawsze jest skomplikowane, Anito. Powiedz „tak”.

— Tak.

Ledwie to powiedziałam, już chciałam cofnąć słowo. Pożądałam Richarda. Pragnęłam go. Bardzo. Chyba nawet trochę kochałam. No, może bardziej niż trochę. Czy podejrzewałam go, że mógł pożreć Czerwonego Kapturka? Akurat. Ten facet nie był nawet w stanie zabić wielkiego złego wilka. Z nas dwojga to ja miałam więcej do czynienia z zabijaniem. I muszę przyznać, że zabijanie przychodziło mi z dużą łatwością

# Pocałował mnie, obj<sup>RS</sup>ął i dotknął dłońmi moich pleców. Cofnęłam

si ę, aby nabrać powietrza, i powiedziałam:

— Dziś nici z seksu. Zasada wciąż obowiązuje. Nachylił się lekko i wyszeptał mi wprost do ucha.

— Wiem.

## *Rozdział osiemnasty*

P

rzyjechałam na spotkanie z moim pierwszym klientem spóźniona. To dopiero niespodzianka. Skoro spóźniłam się na pierwsze, to i na dwa kolejne również. Było trzy po drugiej, gdy dotarłam do pokoju Edwarda.

Zapukałam. Otworzył drzwi i przesunął się w bok.

— Spóźniłaś się.

— Taa — mruknęłam. Pokój był miły, acz standardowy. Jedno

du że łóżko, stolik nocny, dwie lampy i biurko pod ścianą. Zasłony przy zajmujących całą ścianę oknach były zaciągnięte. Światło w łazience zapalone, a drzwi otwarte. Drzwi szafy pozostały uchylone, dzięki czemu mogłam dostrzec, że powiesił w niej swoje ubrania. Zamierzał pozostać tu przez jakiś czas.

Telewizor był włączony, ale bez dźwięku. Zdziwiło mnie to. Edward nie oglądał telewizji. Na odbiorniku stał magnetowid. Nie należał do standardowego hotelowego wyposażenia.



# — Chcesz zamówić coś z room service'u, zanim zaczniemy?

— Może colę. Umiechnął się.

— Zawsze miał wyszukany gust, Anito.

Podszedł do telefonu i złożył zamówienie. Poprosił o słabo wysmażony stek i butelkę burgunda.

Zdjęłam płaszcz i przewiesiłam przez oparcie krzesła. — Ja nie piję — rzekłam.

— Wiem — odparł. — Chcesz się odświeżyć w oczekiwaniu na posiłek?

Uniosłam wzrok i w łazienkowym lustrze dostrzegłam swoje odbicie. Kurza krew zastygła na mojej twarzy, tworząc brunatne smugi.

— Tak. Chyba powinnam.

Zamknęłam drzwi do łazienki i przejrzałam się.

Światło było silne, białe, jak w większości hotelowych łazienek. W takim świetle nawet Miss America nie wyglądałaby najlepiej.

Krew odcinała się na mojej skórze jak ślady czerwonej kredy. Miałam na sobie biały, odświeżony dres z wizerunkiem Maxine z Shoebox Hallmark, popijającej kawę i zjadającej lukrecję. Towarzyszył temu podpis: „To cała radość, na jaką mnie stać”. Bert nalegał, abyśmy ubierali się stosownie do świąt. Może nie miał na myśli dresów, ale to było lepsze niż niektóre z rzeczy, jakie miałam w domu.

Krew na białym materiale. Typowe.

Zdjęłam bluzę i przewiesiłam przez wannę. Nad sercem miałam rozmazaną smugę krwi. Nawet mój srebrny krzyżyk się uwałął. Pomazałam go brudnymi rękoma. Zabiłam dziś trzy kurczaki. Ożywianie trupów to brudna robota.

Wzięłam mały, biały ręcznik z wieszaka. Zastanawiałam się, jak Edward wyjaśni pokojówce ślady krwi. Nie moja sprawa, ale i tak wydało mi się to zabawne.

Napuściłam wody do wanny i zaczęłam się myć. Ujrzałam w lustrze swoje odbicie i krew spływającą strużkami po twarzy.

# Wyprostowałam się *RS* i spojrzałam ponownie. Twarz miałam już

czystą i przepelnion zdumieniem.

Czy Richard naprawdę mi się oświadczył? Czy naprawdę powiedział am „tak”? Na pewno nie. Powiedziałam „tak”. Cholera. Wytarłam krew z piersi. Stale tylko igrałam z potworami. A teraz w dodatku zaręczyłam się z jednym z nich. Zdębiałam. Usiadłam na opuszczonej klapie sedesu, ściskając w dłoni okrwawiony ręcznik.

Byłam zaręczona. Znowu.

Pierwszy był tak idealny, że nawet Judith go polubiła. Typowy biały Amerykanin, dla jego rodziny nie byłam dość dobra. Najbardziej mnie zraniło, że nie kochał mnie dostatecznie mocno. Nie tak, jak ja jego. Oddałabym dla niego wszystko. Nie popełnię tego błędu drugi raz.

Richard nie był taki. Wiedziałam o tym. A jednak miałam wątpliwości. Bałam się, że się wycofa. Albo że się nie wycofa. I tak źle, i tak niedobrze.

Spuściłam wzrok i stwierdziłam, że czerwona od krwi woda ścieka ze mnie na linoleum. Uklęłam i wytarłam podłogę. Trochę doprowadziłam się do porządku, resztę załatwię w domu, biorąc prysznic. Gdybym miała ze sobą ubranie na zmianę, zrobiłabym to tutaj, ale nie pomyślałam o tym.

Edward zapukał do drzwi.

— Posiłek podano.

Ubrałam się, wrzuciłam ręcznik do zlewu i puściłam zimną wodę. Upewniłam się, że ręcznik nie zatyka odpływu, i otworzyłam drzwi. Zapach steku pobudził moje nozdrza. Był cudowny. Od ponad ośmiu godzin nic nie miałam w ustach, a i wcześniej zjadłam niewiele. Richard mnie rozproszył.

— Czy uważasz, że room service nas zastrzeli, jeśli poprosimy jeszcze raz o to samo?

Wskazał ręką na wózek obsługi. Na blacie stały dwa zestawy naczyń.

— Skąd wiedziałeś, że będę głodna?

— Zawsze zapominasz o jedzeniu — stwierdził.

— Jesteś taki troskliwy.

— Przynajmniej o to mogę zadbać, jeśli chodzi o ciebie. To w sumie drobiazg.

Spojrzałam na niego.

— Co jest grane, Edwardzie? Jesteś nad wyraz delikatny.

— Znam cię na tyle dobrze, by wiedzieć, że to ci się nie spodoba. Nazwij ten posiłek propozycją zawarcia pokoju.

— Co ma mi się nie spodobać?

— Zjedzmy, obejrzyjmy film i wszystko się wyjaśni.

Był tajemniczy. To nie w jego stylu, mógłby wpakować ci kulkę,

# ale nie próbował *RS*by tego przed tobą ukrywać.

— Co ty kombinujesz, Edwardzie?

— Pytania dopiero po filmie.

— Dlaczego?

— Bo wtedy będą bardziej konkretne. — to rzekłszy, usiadł na brzegu łóżka i nalał sobie kieliszek czerwonego wina. Zaczął kroić mięso, na tyle niedopieczone, że gdy to robił, na talerzu pojawiła się krew.

— Nie mów tylko, że mój stek jest krwisty.

— Nie jest. Lubisz, gdy mięso jest naprawdę martwe. — Ha, ha. — Usiadłam. Poczułam się dziwnie, siedząc w

hotelowym pokoju i spożywając posiłek z Edwardem, niczym dwójka współpracowników. Stek był dopieczony. Grubo krojone frytki dobrze doprawione, podobnie jak mięso. Na talerzu znajdowały się też brokuły, ale mogłam je po prostu odsunąć na bok i zwyczajnie sobie darować. Colę podano w schłodzonym kieliszku do wina, co wydało mi się lekką przesadą, ale w sumie było miłe.

— Z filmu mam w zasadzie tylko końcówkę. Wątpię, abyś miała kłopoty ze zorientowaniem się w akcji. — Wcisnął guzik pilota i ekran telewizora rozbłysł, pojawił się na nim widok wnętrza sypialni. Na okrągłym łóżku na wznak leżała kobieta. Była naga, w każdym razie tak mi się zdawało. Poniżej pasa zasłaniały ją poruszające się dziko pośladki ciemnowłosego mężczyzny.

— To porno. — Nawet nie próbowałam ukrywać niedowierzania w głosie.

— Bez wątpienia.

Spojrzałam na Edwarda. Kroił stek precyzyjnymi, krótkimi, zdecydowanymi ruchami. Wziął do ust kawałek mięsa, upił łyk wina i przeniósł wzrok na ekran.

Powróciłam do „filmu”. Do pary na łóżku dołączył drugi mężczyzna. Był wyższy niż pierwszy, miał krótsze włosy, ale poza tym niewiele mogłam o nim powiedzieć, bo starałam mu się nie przyglądać.

# Usiadłam na skraju *RS*óźka, mając przed sobą naszą kolację, i po raz

pierwszy poczułam si przy Edwardzie niezręcznie. Nigdy nie było między nami napięć natury seksualnej. Któregoś dnia może się wzajemnie pozabijamy, ale o pocałunkach nie było mowy. A mimo to byłam w hotelowym pokoju, u faceta, oglądając porno. Dobrze wychowane dziewczęta tak nie robią.

— Co się, u licha, dzieje, Edwardzie? Wcisnął przycisk pilota. — Zobacz na stop-klatce.

Spojrzałam na ekran. Widniała na nim twarz drugiego mężczyzny. To był Alfred.

— O Boże — jęknęłam.

— Znasz go? — spytał Edward.

— Taa. — Nie było sensu zaprzeczać. Alfred nie żył. Edward nie mógł go już dopaść.

— Jak się nazywa?

— Alfred. Nie znam nazwiska.

Włączył przewijanie. Postacie na ekranie poruszały się z oszałamiającą szybkością, robiąc rzeczy, które nawet w normalnym tempie musiały być obsceniczne. Na przewijaniu wydawało się to smutniejsze. Żałosne i absurdalne.

Znów włączył pauzę. Kobieta, zwrócona twarzą do kamery, otwarte usta, powieki ociężałe od seksualnego rozleniwienia. Włosy sztucznie rozrzucone na jedwabnej poduszce. Miało to wyglądać prowokująco. Ale tak nie było.

— Znasz ją? Pokręciłam głową.

— Nie.

Znów wcisnął guzik.

— Zbliżamy się do końca.

— A tamten drugi facet?

— Przez cały czas nosi maskę.

Mężczyzna w masce wszedł na kobietę od tyłu. Biodrami przywarł do jej pośladków, ich uda złączyły się. Nachylił górną część ciała nad nagim torsem kobiety, dłońmi masując jej ramiona. Wydawało się, że po prostu na nią wchodzi, nic więcej. Nie miało to wiele wspólnego z seksem.

# Cały ciężar jego ciała *RSa* spoczywał na jej dłoniach i kolanach.

Oddycha ła ciężko. W pokoju rozległ się cichy warkot. Kamera zrobiła zbliżenie pleców mężczyzny. Skóra zafalowała, jakby coś się pod nią przesunęło, ale to zaraz ustało. Wkrótce jednak pojawiły się kolejne zmarszczki, jakby coś próbowało wydostać się na zewnątrz.

Inne ujęcie ukazało go wciąż wtulonego w kobietę. Falowanie na jego plecach przybierało na sile. Widać było, jak coś napiera na skórę, ruchy były bardzo wyraźne. To samo ujrzałam u Jasona ubiegłej nocy.

Musia łam przyznać, że ten fragment wydał mi się fascynujący. Widziałam zmiennokształtnych w akcji, ale nigdy czegoś takiego. Nie tak szczegółowo i wyraziście jak teraz przed kamerą.

Skóra na jego plecach pękła, a on odchylił się do tyłu z wrzaskiem, obejmując kobietę w pasie. Przezroczysty płyn zalał strugami łóżko i kobietę, którą ściszał.

Kobieta, być może dla zachęty, zaczęła ocierać się o niego pośladkami i schyliła głowę. Z pleców mężczyzny zaczęła wyrastać czarna sierść. Ręce w spazmatycznym skurczu przywarły do tułowia. Znow się nad nią nachylił, wbijając dłonie w łóżko. Najpierw wyglądały całkiem zwyczajnie, ale teraz palce zagłębiły się w materacu, żłobiąc w nim głębokie, szarpane bruzdy.

Mężczyzna jakby się skurczył. Sierść coraz szybciej i płynniej pokrywała jego ciało. Maski opadła. Twarz mężczyzny przybrała teraz inny kształt. Nie mogła już utrzymać maski. Kamera pokazała jej ujęcie. Odrobina artyzmu w tym całym... a niech to szlag. Nie potrafiłam tego nazwać.

Mężczyzny już nie było. Nad kobietą górował, najwyraźniej bardzo zadowolony z takiego obrotu spraw, czarny lampart. Zwierz nachylił się nad kobietę, szczerząc błyszczące kły. Lampart skubnął ją lekko w kark, rozcinając skórę do krwi. Jęknęła cichutko, jej ciałem wstrząsnął dreszcz.

W polu widzenia kamery znow pojawił się Alfred. Wciąż był w swej ludzkiej postaci. Podpełzł do łóżka i pocałował kobietę. To był czuły, gorący pocałunek z języczkiem. Alfred podźwignął się na kolana, wci

aż

ca

ł

uj

ą

c kobietę i kołysząc się w rytm ruchów jej ciała. I najwyraźniej bardzo ucieszył go jej widok.

Jego grzbiet zafalowa ł, dłonie kurczowo zacisnęły się na prześcieradle. W tym przypadku zmiana zachodziła szybciej. Kamera zrobiła zbliżenie rąk. Kości wysunęły się ze skóry przy wtórze wilgotnych, młaszczących odgłosów. Mięśnie i ścięgna przesuwały się i zmieniały położenie. Skóra pękła i wypłynął spod niej ten sam przezroczysty płyn. Dłoń zmieniła się w szpony, zanim pokryła je gęsta, ciemna sierść.

Podniós ł się na ugiętych nogach, pół człowiek, pół wilk, ale bez wątpienia samiec. Odchylił łeb i zawył.

Głęboki, przeciągły skowyt przepełnił pomieszczenie.

Kobieta spojrzała na niego, jej oczy rozszerzyły się. Lampart zeskoczył z niej i miękko przeturlał się po łóżku jak wielki kot. Zakutał się w jedwabną narzutę, tak że wystawał z niej tylko jego wielki, porośnięty sierścią łeb.

Kobieta leżała na wznak, z szeroko rozłożonymi nogami. Wyciągnęła ręce do człowieka-wilka, przesuając językiem po ustach, jakby naprawdę dobrze się bawiła. Może faktycznie tak było.

Wilkołak wbił się w nią i nie zrobił tego delikatnie. Jęknęła przeciągle, jakby sprawiło jej to olbrzymią rozkosz.

Kobieta jęczała coraz głośniej. Albo była dobrą aktorką, albo zaczęła szczytować. Trudno było odgadnąć prawdę. Chyba jednak dobrze grała.

Osiągnęła orgazm z okrzykiem będącym na wpół odgłosem rozkoszy, na poły za wrzaskiem. Zległa zdyszana na łóżku, błyszcząca od płynów. Wilkołak dźgnął ją raz jeszcze, powoli, przeciągle, po czym chlasnął ją pazurami z góry na dół.

Krzyknęła, i tym razem już nie musiała udawać. Krew spłynęła po jej ciele szkarłatnymi strużkami. Lampart warknął, jakby ze zdziwieniem, i zeskoczył z łóżka. Kobieta uniosła dłonie na wysokość twarzy, ale cios pazurami odtrącił jej ręce w bok. Buchnęła krew,

# przez ziejącą szarpan**RS** ranę w jednym ramieniu dostrzegłam błysk

białej kości.

Jej przera żliwe krzyki zdawały się nie mieć końca, zlewały się w jeden wrzask, raz za razem, w miarę jak łapczywie chwyciła powietrze.

Spiczasty pysk wilka nachylił się nad twarzą kobiety. Oczami wyobraźni ujrzałam zmiażdżoną szczękę zamordowanego mężczyzny. Ale wilk rzucił się jej do gardła. Wgryzł się w nie i rozszarpał, rozbryzgując dokoła strugi krwi.

Niewidzące oczy kobiety tępo wpatrywały się w kamerę, były rozszerzone i lśniące, zmatowione przez śmierć. Jakimś sposobem krew nie skalała jej twarzy. Wilkołak odchylił się do tyłu, z jego szczęk ściekała krew. Wielka kropla skapnęła na martwe oblicze, rozplywając się między oczami.

Na łóżko wskoczył lampartolak. Wylizał jej twarz do czysta długimi, pewnymi ruchami języka. Wilkołak lizał jej ciało coraz niżej i niżej, zatrzymując się na wysokości brzucha. Znieruchomiał, jedno żółte ślepie gapiło się w kamerę. Zaczął się pożywiać. Lampart przyłączył się do uczt.

Zamknęłam oczy, ale dźwięki były aż nadto wymowne. Pokój wypełniły donośne, wilgotne odgłosy szarpania i darcia. Usłyszałam swój własny głos mówiący:

— Wyłącz to.

Dźwięki ucichły i uznałam, że Edward wyłączył taśmę, ale nie uniosłam wzroku, aby to potwierdzić. Nie spojrzałam, dopóki nie usłyszałam odgłosu przewijania taśmy.

Edward odkroił kolejny kawałek steku.

— Jeśli go zjesz, zwymiotuję na ciebie. Uśmiechnął się, ale odłożył sztucce. Spojrzał na mnie. Jego oblicze pozostało, jak zazwyczaj, beznami

mu się, czy raczej mierzi

ne. Nie potrafiłam stwierdzić, czy film podobał mu się.

— Teraz możesz zacząć zadawać pytania — stwierdził.

Jego głos był taki jak zawsze, przyjemny, niepodatny na zewnętrzne bodźce.

# — Jezu, skąd *RSd* wytrzasnąłeś tę taśmę?

— Od klienta.

— Czemu ci ją dał?

— Ta kobieta była jego córką.

— Boże, błagam, nie mów mi, że on to oglądał.

— Wiesz, że oglądał. Wiesz, że obejrzał to nagranie od początku do końca, w przeciwnym razie czemu miałby mnie wynająć?

Większość ojców nie wynajmuje zabójcy, aby sprzątnął kochanków ich córki.

— Wynajął cię, żebyś zabił tych dwóch z nagrania? Edward pokiwał głową.

— Czemu pokazałeś mi ten film?

— Bo wiedziałem, że mi pomożesz.

— Nie jestem płatną zabójczynią, Edwardzie.

— Chcę tylko, abyś pomogła mi ich zidentyfikować. Ja zajmę się resztą. Mogę napić się wina?

Skinęłam głowę.

Upił łyk. Ciemny trunek w kieliszku wydał mi się znacznie

czerniejszy niż przed obejrzeniem filmu. Przełknęłam ślinę i odwróciłam wzrok. Nie wymiotuję. Nie wymiotuję.

— Gdzie mógłbym znaleźć Alfreda?

— Nigdzie — odparłam. Ostrożnie odstawił kieliszek na tacę.

— Rozczarowujesz mnie, Anito. Sądziłem, że gdy zobaczysz, co ci dwaj zrobili z tą dziewczyną, zechcesz mi pomóc.

— Nie, żeby nie chciała ci pomóc. Ten film to jedna z najokropniejszych rzeczy, jakie widziałam, a wiesz, że widziałam sporo. Jeżeli chodzi o Alfreda, po prostu się spóźniłeś.

— W jakim sensie?



# — Zabiłam go zesz *RS*łej nocy.

- Na jego twarzy pojawił się rzadki gość — promienny uśmiech. — Zawsze uł atwiasz mi robotę.
- Nie zrobił am tego celowo. Wzruszył ramionami. — Chcesz połow wynagrodzenia? Odwaliłaś połowę mojej roboty.
- Pokręciłam głową.
- Nie zrobiłam tego dla forsy.
- Opowiedz, co się stało.
- Nie.
- Dlaczego nie? Spojrzałam na niego.
- Bo ty polujesz na lykantropy, a ja nie chcę nawet przypadkiem oddać kogoś w twoje ręce.
- Lampartolak zasłużył na śmierć.
- Nie przeczę. Choć w gruncie rzeczy to nie on zabił dziewczynę.
- Ojciec chce śmierci ich obu. Dziwisz mu się?
- Nie. Chyba nie.
- To jak, pomożesz mi zidentyfikować tego drugiego?
- Może. — Wstałam. — Muszę zadzwonić. Chciałabym, aby ktoś jeszcze obejrzał ten film. Może on pomoże ci bardziej niż ja.
- Kto taki?
- Pokręciłam głową.
- Przekonajmy się najpierw, czy zechce tu przyjść.
- Edward pokiwał głową, mocno, zdecydowanie.
- Jak sobie życzysz.
- Wybrałam numer Richarda z pamięci. Włączyła się sekretarka.
- Mówi Anita, odbierz, jeśli tam jesteś, Richardzie, podnieś słuchawkę. To bardzo ważne. — Nikt się nie zgłosił.
- Cholera — mruknęłam.
- Nie ma go w domu? — spytał Edward.
- Masz numer kafejki U Lunatyków?
- Tak.
- Podaj.

# Powoli przekazywa<sup>RS</sup> cyfry. Telefon odebrała kobieta. To nie była

Raina. I Bogu dzi ęki.

— Kafejka U Lunatyków. Mówi Polly. W czym mogę pomóc? — Muszę mówi z Richardem.

— Przykro mi, nie ma u nas kelnera o tym imieniu. — Wczorajszej nocy by łem gościem Marcusa.

Muszę rozmawiać

z Richardem. To bardzo wa żna i pilna sprawa.

— No, nie wiem. Oni na zapleczu są, o ile wiem, bardzo zajęci. — Posłuchaj, daj mi do telefonu Richarda, i to już.

— Marcus nie lubi, gdy mu się przeszkadza.

— Mówisz, że masz na imię Polly, tak? Jestem na nogach od

ponad trzynastu godzin. Je śli nie połączysz mnie natychmiast z Richardem, pofatyguję się tam i osobiście skopię ci tyłek. Czy wyraziłam się jasno?

— A kto mówi? — spytała nieco speszona, choć bez cienia lęku. — Anita Blake.

— Och — rzekła. — Już cię łączę z Richardem, Anito, w tej

chwili. — W jej g łosie nagle pojawiła się nuta paniki. Spróbowała mnie przełączyć. Muzykę wypełniającą czas oczekiwania dobierał ktoś obdarzony chorym poczuciem humoru — *Moonlight and Roses, Blue Moon, Moonlight Sonata*. Wszystkie utwory miały w tytule księżyc. Byłam w połowie *Moon over Miami*, gdy telefon znów ożył.

— To ja, Anito. Co się stało?

— Mnie nic, ale musisz coś zobaczyć.

— Możesz powiedzieć coś bardziej konkretnego?

— Wiem, że nie lubisz, gdy tak mówię, ale to nie jest rozmowa na telefon.

— Na pewno nie szukasz wymówki, aby mnie znowu zobaczyć?

— spytał kuszącym tonem.

Ta noc była jak dla mnie zbyt długa.

— Możesz się ze mną spotkać?

— Oczywiście. Ale co się stało? Masz dziwny głos.

— Pragnę, żeby ktoś mnie przytulił, i chciałabym wymazać z mego życia ostatnią godzinę. Pierwszym będziesz mógł się zająć, gdy tutaj dotrzesz, z drugim muszę poradzić sobie sama.

— Jesteś w domu?

# — Nie. — Spojrza*RS*am na Edwarda i zakryłam dłonią mikrofon

w s łuchawce. — Mog podać mu adres hotelu i numer twojego pokoju?

Skinął głową.

Podalam Richardowi niezbędne informacje i wskazówki, jak ma tu dotrzeć.

— Będę jak najszybciej. — Zamilkł na chwilę, po czym dodał: — Co powiedziałaś Polly? Jest bliska hysterii.

— Nie chciała mnie z tobą połączyć.

— Groziłaś jej — mruknął.

— Taa.

— Bez powodu?

— W zasadzie tak.

— Dominujące osobniki w stadzie nie grożą bez powodu stojącym niżej w hierarchii.

— Nie jestem członkiem stada.

— Po ubiegłej nocy stałaś się dominantką, wilkołaki uważają cię odtąd za odszczepieńczą dominantkę-lykantropa.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Każdą twoją pogrózkę traktują śmiertelnie serio. I gdy mówisz komuś, że mu nakopiesz, ten ktoś ma prawo bać się, że to zrobisz.

— No... to bardzo mi przykro.

— Nie przepraszaj mnie, tylko Polly. Dotrę na miejsce, zanim skończysz ją uspokajać.

— Nie oddawaj jej słuchawki, Richardzie.

— Tak to jest, gdy nie potrafisz w odpowiednim momencie ugryźć się w język. Ludzie się ciebie boją.

— Richardzie.

Usłyszałam zapłakany kobiecy głos. Przez następne piętnaście minut przekonywa am szlochającą lykantropkę, że nie zamierzam jej zrobić krzywdy. Moje życie, nawet jak dla mnie, stawało się coraz

# dziwniejsze. *RS*

## *Rozdział dziewiętnasty*

R

Richard si ę pomylił. Nie zapukał do drzwi w trakcie mojego telefonicznego uspokajania Polly. Była tak wdzięczna, że wybaczyłam jej niegrzeczne zachowanie, aż poczułam się za żenowana. Ze słuchawki płynął niekończący się strumień przeprosin, podziękowań i unizonych słów.

Przerwałam połączenie.

Edward uśmiechał się do mnie. Zajął miejsce na jednym z foteli.

— Czy przez ostatnie dwadzieścia minut przekonywałaś pewną wilkołaczkę, że nie zrobisz jej nic złego, czy tylko mi się zdawało?

— Tak.

Zaśmiał się, oschle, gwałtownie. Uśmiech zniknął, pozostawiając jednak jego oblicze rozpromienionym. W oczach Edwarda błyszczały mroczne iskierki. Nie byłam pewna, o czym myślał, ale na pewno o niczym przyjemnym.

Rozsiadł się w fotelu, wtulając potylicę w miękkie oparcie, splatając dłonie na brzuchu i krzyżując nogi w kostkach. Czuł się bardzo swobodnie.

— Jakim cudem gdziekolwiek się zjawisz, stajesz się postrachem dla wszystkich wilkołaków, zarówno tych groźnych, jak i tych łagodniutkich?

# — Chyba nie przywyk<sup>RS</sup> ły do tego, że ludzie strzelają do nich i je

zabijaj ą. A w każdym razie nie podczas pierwszego spotkania. — Oczywiście cię musisz mi uwierzyć na słowo. Możesz sprawdzić w rejestrze, ale rzecz jasna mogłem przecież mieszkać wcześniej w innym hotelu.

— Dlaczego miałbyś mnie okłamać?

— Bo mnie to bawi — odparł.

— Okłamywanie mnie w takiej sprawie raczej by cię nie bawiło. — A co by mnie bawiło?

— Świadomość, że wiesz coś, o czym ja nie wiem.

Wzruszył lekko ramionami, takie gesty nie przychodziły mu z łatwością, po czym osunął się na fotel. Zrobił to z gracją. — Jesteś bardzo pewna siebie.

— Nie o to chodzi. Wiem, że lubisz utrzymywać pewne rzeczy w sekrecie tylko po to, by mieć nad innymi przewagę.

Uśmiechnął się, powoli, szeroko, leniwie.

— Dobrze mnie znasz.

Już chciałam powiedzieć: „Przecież jesteśmy przyjaciółmi”, ale

powstrzymałam mnie wyraz jego oczu. Patrzył zbyt intensywnie.

Zdawał się świdrować mnie wzrokiem, jakby nigdy wcześniej mnie nie widział.

— O czym myślisz, Edwardzie?

— Że dzięki tobie mogę zarobić na swojej zapłacie.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Wiesz, jak lubię wyzwania. Spojrzałam na niego. — Masz na myśli możliwość sprawdzenia się, przekonania się,

kto z nas dwojga jest lepszy? — Chciałam, by zabrzmiało to jak

pytanie. Nie udzielił mi odpowiedzi, jakiej oczekiwałam. — Tak.

— Dlaczego?

— Bo nie chcę. Znasz mnie — nie ma forsy, nie ma zabijania...

ale to byłoby... interesujące.

— Nie strasz mnie, Edwardzie.

— Po raz pierwszy zastanawiam się, czy aby na pewno to ty wysłałabyś z pojedynku zwycięsko.

# Przerazał mnie. MiaRSam broń, a on chyba nie, ale Edward tak

naprawdę zawsze by uzbrojony.

— Nie rób tego, Edwardzie.

Usiadł jednym płynnym ruchem. Sięgnęłam po broń. Prawie

wydobyłam pistolet z kabury, gdy uświadomiłam sobie, że Edward tylko się wyprostował.

Odetchnęłam z ulgą i na powrót wsunęłam browninga do kabury.

— Nie igraj ze mną, Edwardzie. W przeciwnym razie jedno z nas może ucierpieć.

Rozłożył szeroko ręce.

— Koniec gier. Bardzo chciałbym przekonać się, kto z nas dwojga jest lepszy, Anito, ale nie zależy mi na tym aż tak, bym był gotów cię zabić.

Rozluźniłam rękę. Skoro Edward powiedział, że dziś mnie nie zabije, to znaczy, że nie musiałam się go na razie obawiać. Gdybyśmy któregoś dnia mieli stanąć do prawdziwego pojedynku, Edward by mnie o tym uprzedził. Pod tym względem był jak sportowiec. Wyznawał zasadę fair play. Zaskoczona ofiara jest zbyt łatwym celem.

Rozległo się pukanie do drzwi. Drgnęłam gwałtownie. Ja — zdenerwowana?

Edward siedział w bezruchu, jakby tego nie usłyszał, i wciąż gapił się na mnie niesamowitymi, beznamiętnymi oczami. Podeszłam do drzwi. To był Richard. Objął mnie, a ja się nie broniłam. Przytuliłam się do niego i uświadomiłam sobie, że w tej pozycji nie miałabym szans sięgnąć po broń, gdyby to okazało się konieczne.

Cofnąwszy się, pociągnęłam go za sobą do pokoju. Richard spojrzał na mnie pytająco. Pokręciłam głową.

— Pamiętasz Edwarda?

# — Anito, nie mów *RS*łaś, że wciąż umawiasz się z Richardem. —

głos Edwarda był miły i spokojny, nic nie wskazywało, że ów człowiek jeszcze przed chwilą zastanawiał się nad możliwością usunięcia mnie z tego świata. Jego usta wykrzywił przyjazny uśmiech.

Edward podszedł do Richarda, wyciągając rękę na powitanie. Był doskonałym aktorem. Richard uścisnął mu dłoń, miał lekko zdziwioną minę. Spojrzał na mnie.

— Co się dzieje, Anito?

— Możesz puścić ten film? — spytałam Edwarda.

— O ile pozwolisz mi zjeść podczas projekcji. Stek mi stygnie — rzekł.

Przełknęłam ślinę.

— Widziałeś wcześniej ten film, a mimo to zamówiłeś steki. Dlaczego?

— Może chciałem się przekonać, czy po obejrzeniu filmu będziesz w stanie cokolwiek przełknąć.

— Ty lubiący się w rywalizacji łajdaku. Tylko się uśmiechnął.

— O jakim filmie mowa? — spytał Richard.

— Zjedz swój stek, Edwardzie. Obejrzymy film, kiedy skończysz.

— Aż tak bardzo cię to poruszyło?

— Zamknij się i jedz.

Usiadł na brzegu łóżka i zaczął kroić mięso. Było prawie surowe. Wyciekała zeń krew. Ruszyłam w stronę łazienki. Nie po to, by zwymiotować, ale gdybym musiała patrzeć, jak je, nie zdołałabym powstrzymać torsji.

— Idę do łazienki. Chcesz wyjaśnień, chodź ze mną — rzekłam.

Richard spojrzał na Edwarda, po czym przeniósł wzrok na mnie.

— Co się dzieje?

Wciągnęłam go do łazienki i zamknęłam za nami drzwi. Puściłam do zlewu zimną wodę i opryskałam sobie twarz.

Richard zaczął rozmasowywać moje ramiona.

— Nic ci nie jest?

Pokręciłam głową. Woda ściekała mi po twarzy. Sięgnęłam po ręcznik i przytknąwszy do skóry, przytrzymałam przez chwilę. Edward nie ostrzegł mnie, bo lubił szokować ludzi. Ostrzeżenie osłabiłoby efekt. W jakim stopniu pragnęłam oszczędzić tego samego Richardowi?

# Odwróciłam się *RS* do niego, wciąż trzymając w dłoniach ręcznik.

Richard wydawał ę zatroskany i przejęty. Nie chciałam, aby tak wyglądał. Czy naprawdę ę zaledwie osiem godzin temu przyjął jego oświadczenie? Jakoś nie mogłam uwierzyć.

— To film porno — oznajmiłam. Wydawał się zaskoczony. To dobrze.

— Porno? Mówisz poważnie?

— Śmiertelnie — mruknęłam.

— Dlaczego muszę go oglądać? — I nagle coś mu przyszło na myśl. — Czemu oglądałaś ten film z nim?

W jego głosie wyczułam nutę gniewu.

Wybuchnęłam śmiechem. Śmiałam się, aż łzy pociekły mi po twarzy i z braku tchu nie mogłam wydusić z siebie słowa.

— Co cię tak rozbawiło? — spytał trochę zbyt obcesowo.

Gdy w końcu odzyskałam głos, odparłam:

— Możesz obawiać się Edwarda, ale nie powinieneś być o niego zazdrosny.

Śmiech pomógł. Poczułam się lepsza, nie tak brudna, mniej zażenowana i nieco mniej przerażona.

Spojrzałam na niego. Wciąż nosił zielony sweter, który wcześniej skończył na podłodze w kuchni.

Wyglądał wspaniale. W przeciwieństwie do mnie. Dopiero teraz to sobie uświadomiłam.

W przydużej, pokrwawionej bluzie od dresu, džinsach i trampkach straciłam parę punktów atrakcyjności. Pokręciłam głową. Czy to ważne? Nie, odwlekałam tylko nieuchronne. Nie chciałam tam wracać. Nie chciałam znów oglądać filmu. I z całą pewnością nie chciałam siedzieć w jednym pokoju z facetem, którego mogłam poślubić, patrząc, jak ogląda pornosa. Czy powinnam zdradzić mu zakończenie?

Czy film podnieci go, zanim wzbudzi inne doznania? W zamyśleniu spojrzałam na jego jakże ludzkie oblicze.



# — To film z lud*RS*mi i lykantropami.

— S ą już w sprzeda ży? — zapytał. Tym razem to ja się zdumiałam.

— Wiesz o filmie? U żyłeś liczby mnogiej. To znaczy, że jest ich więcej?

— Niestety — mrukn ął. Oparł się o drzwi i usiadł po turecku na podłodze. Gdyby wyprostował nogi, w łazience nie byłoby dość miejsca dla nas dwojga.

— Wyjaśnij mi to, Richardzie.

— To był pomysł Rainy — powiedział. — Przekonała Marcusa, aby rozkazał niektórym z nas wziąć w nich udział.

— Czy ty... — Nie byłam w stanie dokończyć. Pokręcił głową. Kamień spadł mi z serca.

— Raina próbowała zmusić mnie do wzięcia udziału w jednym z filmów. Ci, którzy pragną zachować anonimowość, noszą maski. Ja się nie zgodziłem.

— Czy Marcus rozkazał ci wystąpić przed kamerą?

— Tak. Te cholerne filmy to jedna z przyczyn, dla której moja pozycja w stadzie zaczęła rosnać. Wszyscy stojący wyżej w strukturze stada mogli mi rozkazywać. Mając przyzwolenie Marcusa, mogli rozkazać mi, abym zrobił wszystko, co miało choćby pozory legalności.

— Chwileczkę. Zatem te filmy nie są nielegalne?

— Bestialstwo jest zakazane w niektórych stanach, ale jakoś udaje się nam prześlizgiwać przez luki prawne.

— W tych filmach nie dzieje się nic nielegalnego? — spytałam.

Spojrzał na mnie.

— Co w tym filmie tak cię przerażyło?

— Na taśmie zarejestrowano czyjąś śmierć.

Richard patrzył na mnie, wyraz jego twarzy pozostał

niezmieniony, jakby czekał, aż powiem coś więcej. Nie doczekawszy się, rzucił:

— Chyba nie mówisz poważnie.

— Chciałabym, aby tak było. Pokręcił głową.

— Nawet Raina nie zdecydowałaby się na coś takiego.

— Nie widziałam Rainy w tym filmie.

— Ale Marcus nie zaaprobowałby tego, nie poszedłby na to. Na pewno.

# Wstał, opierając si<sup>RS</sup> o ścianę. Przeszedł do wanny i z powrotem.

Minął mnie, lekko si o mnie ocierając, walnął ręką w ścianę. Rozległo się głucho upnięcie. Odwrócił się, nigdy jeszcze nie widziałam go tak wściekłego. — W tym kraju są jeszcze inne stada. To nie musiał być nikt z naszych.

— Brał w tym udział Alfred.

Oparł się plecami o ścianę i znów trzasnął w nią otwartą dłonią. — Nie mogę uwierzyć. Do drzwi zapukał Edward.

— Film jest gotowy.

Richard szarpnięciem otworzył drzwi i wparował jak burza do pokoju. Po raz pierwszy poczułam emanującą zeń obcą energię. Oczy Edwarda się rozszerzyły.

— Wprowadziłaś go? Skinęłam głową.

W pokoju było ciemno, nie licząc światła płynącego z włączonego telewizora.

— Siadźcie sobie na łóżku, gołąbeczki. Ja wybieram fotel. Zajął poprzednie miejsce, obserwując nas z uwagą.

— Gdyby przyszła wam ochota, nie krępujcie się.

— Zamknij się i włącz film — powiedziałam.

Richard usiadł ciężko na skraju łóżka. Wózek obsługi zniknął wraz z bulwersującym mnie mięsem. Świetnie, jeden powód do puszczenia pawia mniej. Richard trochę się uspokoił. Wyglądał całkiem normalnie, gdy tam siedział. Fala energii rozproszyła się do tego stopnia, że zaczęłam zastanawiać się, czy to wszystko nie było jedynie wytworem mojej wyobraźni. Spojrzałam na Edwarda.

Zimnooki zabójca obserwował Richarda, jakby robił coś naprawdę zajmującego. Jednak to nie była tylko moja wyobraźnia. Zastanawiałam się, czy nie zapalić światła, ale nie zrobiłam tego.

Ciemność wydawała się bardziej adekwatna.

— Edwardzie.

# — Pora zaczyna *RS* — rzucił. Wcisnął guzik, ponownie włączając

taśmę.

Gdy na ekranie pojawił się obraz, Richard zeszywniał. Czy rozpoznał tamtego mężczyznę? Nie zapytałam, jeszcze nie teraz. Najpierw niech obejrzy, na pytania przyjdzie czas później.

Nie chciałam siedzieć na łóżku z ukochanym podczas tego plugawego nagrania. Może tak naprawdę nigdy nie zastanawiałam się, czym był seks dla Richarda. Czy oznaczało to zmianę kształtu? Bestialstwo? Miałam nadzieję, że nie, i nie bardzo wiedziałam, jak mam się tego dowiedzieć, nie pytając wprost, a przed pytaniem jednak się wzbraniałam. Gdyby okazało się, że w grę wchodzi bestialstwo, że ślubu nici.

Przeszłam przed telewizorem i usiadłam na drugim fotelu, obok Edwarda. Nie chciałam znów oglądać tego filmu. Najwyraźniej Edward też nie. Oboje patrzyliśmy na Richarda oglądającego film. Nie bardzo wiedziałam, co spodziewałam się ujrzeć, ani nawet co chciałam zobaczyć. Oblicze Edwarda pozostawało nieodgadnione. Powieki miał półprzymknięte. Znów osunął się miękko w fotelu. Wyglądał, jakby spał, ale ja wiedziałam swoje. Nic mu nie mogło umknąć. Wiedział o wszystkim, co działo się w tym pokoju. Nie byłam pewna, czy Edward w ogóle kiedykolwiek sypiał.

Richard samotnie oglądał film. Siedział na skraju łóżka, zgarbiony, ze splecionymi dłońmi. Oczy mu błyszczały, skąpane w blasku płynącym z ekranu. Niemal widziałam na jego twarzy sceny rozgrywające się na ekranie. Na górnej wardze perlił mu się pot. Otarł go wierzchem dłoni i zauważył, że go obserwowałam. Wyglądał na zażenowanego, ale zmieszanie wkrótce zastąpił gniew.

— Nie patrz na mnie, Anito — wykrztusił zduszonym z emocji głosem.

Nie mogłam, tak jak Edward, udawać, że śpię. Co miałam robić, u licha? Wstałam i poszłam do łazienki.

Starłam się nie patrzeć na łóżko minąwszy telewizor. Przechodząc obok, czułam na sobie świdrujący wzrok Richarda. Był tak silny, że zaczęła mnie świerzbieć skóra. Otarłam nagle spotniałe dłonie o nogawki dzinsów. I odwróciłam się powoli, by na niego zerknąć.

Nie patrzył na ekran, lecz na mnie. Miał na twarzy odmalowaną

# wściekłość — gniew byRSŁ zbyt łagodnym określeniem emocji, które

nim targa ły — oraz nienawi

Wobec tego na kogo? Na Rain

Krzyk kobiety sprawi

ść. Chyba nie wściekał się na mnie. ę, Marcusa... czy samego siebie?

ł , że ponownie przeniósł wzrok na ekran. Obserwowałam twarz Richarda, podczas gdy jego przyjaciel mordował kobietę. Wściekłość narastała w nim coraz bardziej, z ust dobył się nieartykułowany krzyk. Zsunął się z łóżka i ukląkł, kryjąc twarz w dłoniach.

Edward wsta ł. Kątem oka dostrzegłam ruch i ujrzałam, że w jego dłoni jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki pojawił się pistolet. Browning. Patrzyliśmy na siebie nawzajem ponad klęczącym Richardem.

Richard skuli ł się, przybierając nieomal pozycję płodową i kołysząc się na kolanach w tył oraz w przód. Z ekranu dobiegły odgłosy rozrywanego mięsa. Uniósł wzrok i spojrzał — by przeżyć szok, wystarczył mu jeden rzut oka na ekran — i popęzł w moją stronę. Zeszłam z drogi i o to mu właśnie chodziło. Kierował się do łazienki.

Zatrzasnął za sobą drzwi, a po chwili dobiegły zza nich odgłosy gwałtownych torsji.

Edward i ja wciąż mierzyliśmy się wzajemnie wzrokiem. I wciąż trzymaliśmy w dłoniach pistolety.

— Dobyłaś broni równie szybko jak ja. Dwa lata temu byłem od ciebie szybszy.

— Te dwa lata były dla mnie dość ciężkie — przyznałam.

Uśmiechnął się.

— Większość ludzi nie dostrzegłaby w ciemnościach mojego ruchu.

— Po ciemku widz ę jak kot — stwierdziłam.

— Zapamiętam sobie.

# — Zawrzyjmy na tRSę noc rozejm, Edwardzie.

## Jestem zbyt

zmęczona, by dłużej tak pogrywać.

Skinął głowę i wsunął pistolet z tyłu, za pasek spodni. — Nie wyciągnę go stamtąd — zauważyłam. — Rzeczywiście cię — przytaknął.

Włożyłam browninga do kabury i zapukałam do drzwi łazienki.

Przyznaję, nie odwróciłam się całkiem plecami do Edwarda. Nie odważyłam się na to. Wciąż mnie przerażał.

— Wszystko w porządku, Richardzie?

— Nie bardzo. — jego głos brzmiał niezdrowo, ochryple.

— Mogę wejść?

Po dłuższej chwili padła odpowiedź.

— Możesz.

Ostrożnie otworzyłam drzwi, aby go nimi nie uderzyć. Z pochyloną głową klęczał przy sedesie. Długie włosy przesłoniły mu twarz. W dłoni trzymał długi, zmięty pas papieru toaletowego. W powietrzu wisiał ostry, słodkawy odór wymiocin.

Zamknęłam drzwi i oparłam się o nie.

— Mogę ci jakoś pomóc? Pokręcił głową.

Odgarnęłam mu włosy na bok. Odsunął się ode mnie jak oparzony. Skulił się w kącie przy wannie.

Miał dziki wzrok i wyraz paniki na twarzy.

Uklękałam przed nim.

— Nie dotykaj mnie, proszę!

— W porządku, nie dotknę cię. Ale co się właściwie stało?

Nie chciał na mnie spojrzeć. Błądził wzrokiem po pomieszczeniu, wyraźnie mnie unikając.

— Mów do mnie, Richardzie.

— Nie wierzę, że Marcus o tym wie. Nie może o tym wiedzieć. Nie pozwoliłby na to.

— Czy Raina mogłaby zrobić coś takiego bez jego wiedzy?

Skinął głową.

— To prawdziwa suka.

— Zauważyłam.

# — Muszę powiedzieć *RS* ć o tym Marcusowi. Nie uwierzy mi. Zechce

obejrze ć ten film — mówi ł prawie normalnie, ale głos wciąż miał słaby i przerażony. Je li się nie uspokoi, zacznie hiperwentylować. — Oddychaj powoli i g łęboko, Richardzie. Już wszystko dobrze.

Pokręcił głową.

— Nieprawda. S dziłem, że widziałaś najgorsze, na co nas stać. — Wybuchnął głos nym, gorzkim śmiechem. — O Boże. Teraz już to wiesz.

Wyciągnęłam do niego ręce, aby go przytulić, pocieszyć, objąć. Cokolwiek.

— Nie dotykaj mnie! — wrzasnął.

Cofnęłam się i ostatecznie usiadłam oparta plecami o przeciwległą ścianę. Dalej już nie mogłam się cofnąć.

— Co się z tobą dzieje, u licha?

— Chcę cię, tu i teraz, po tym, co ujrzałem.

— To cię podnieciło? — zapytałam.

— Boże, wybac mi — wychrypiał.

— Czy to właśnie oznacza dla ciebie seks, nie zabijanie, ale to, co miało miejsce wcześniej?

— Może tak być, ale to niebezpieczne. W formie zwierzęcej możemy zarażać. Wiesz o tym.

— Niemniej kuszące — odpowiedziałam.

— Tak. — Podpełził w moją stronę, a ja drgnęłam gwałtownie. Przykucnął i wlepił we mnie wzrok.

— Nie jestem tylko mężczyzną, Anito. Jestem, czym jestem. Nie proszę, abys bezkrytycznie przyjęła moją drugą połowę, ale pogódź się z jej istnieniem. Musisz wiedzieć, jaki jestem, w przeciwnym razie nie uda się nam.

Przyglądał mi się z uwagą.

— A może zmieniłaś zdanie?

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Jego oczy nie wydawały się już dzikie. Stały się ciemne i głębokie. Był w nich żar, który nie miał nic wspólnego z trwogą. Stanął na czworakach i tym sposobem jeszcze bardziej się do mnie zbliżył. Jego twarz dzieliło od mojej zaledwie kilkanaście centymetrów. Westchnął przeciągle i poczułam na skórze falę silnej energii. Wrażenie było tak zaskakujące, że zaparło mi dech. Ta obcość atakowała moją skórę jak rozszalałe fale. I pchnęła mnie na ścianę niczym niewidzialna ręka.

Nachylił się w moją stronę, nasze usta niemal się zetknęły, ale zaraz się cofnął. Jego gorący oddech omiół mój policzek.

— Pomyśl, jak by to mogło być. Kochać się tak, czując fale mocy

# przetaczające się *RS* po twojej skórze, podczas gdy byłbym w tobie.

Chciałam go dotknąć, ale bałam się tego.

Odsunął się na tyle, że mógł mi się przyjrzeć z dystansu, ale zarazem był dostatecznie blisko, by mnie pocałować.

— To byłoby takie cudowne. — Poczułam muśnięcie jego warg. W chwilę potem wyszeptał cicho, jakby zdradzał mi wielką tajemnicę. — I cała ta żądza wzięła się we mnie na widok jej krwi, śmierci i wyobrażeń strachu, jaki musiała wtedy odczuwać.

Wstał, jakby ktoś pociągnął za niewidzialne sznurki.

Niewiarygodnie szybko. W porównaniu z nim Alfred ubiegłej nocy był piekielnie ślamazarny i powolny.

— Oto czym jestem, Anito. Mogę udawać człowieka. Jestem w tym lepszy niż Marcus, ale to mimo wszystko nadal tylko gra.

— Nie. — mój głos zabrzmiał jak szept. Przełknął ślinę tak głośno, że to usłyszałam.

— Muszę już iść.

Podał mi rękę. Zorientowałam się, że dopóki siedziałam, nie mógł otworzyć drzwi, aby mnie nimi nie uderzyć.

Wiedziałam, że jeśli nie przyjmę jego pomocnej dłoni, będzie po wszystkim. On już nigdy nie poprosi, a ja nie powiem „tak”.

Przyjęłam jego rękę. Odetchnął z ulgą. Skóra Richarda była ciepła, nieomal parząca. Poczułam lekkie ciarki przeszywające moją rękę aż do łokcia. Jego dotyk, podczas gdy w pomieszczeniu przetaczały się fale energii, po prostu zapierał dech w piersiach.

Uniósł moją dłoń do ust. Nie tyle ją ucałował, ile zaczął jej dotykać, potarł nią o swój policzek i polizał językiem. Puścił moją rękę tak gwałtownie, aż zaskoczona cofnęłam się o krok.

— Muszę stąd wyjść, i to zaraz. — Znów miał pot na twarzy.

Wyszedł z łazienki. Tym razem światło w pokoju było zapalone. Edward siedział na fotelu, z dłońmi złożonymi na brzuchu. Nie zauważyłam broni. Stałam w drzwiach łazienki, czując, jak moc Richarda wypływa do pokoju, wypełniając pomieszczenie. Edward okazał stalowe nerwy, nie sięgnął po broń.

# Richard podszedł *RS* do drzwi, niemal czuło się każdy jego krok,

bijące zeń fale energii mąciły powietrze. Przystanął z dłonią na klamce.

— Powiem o tym Marcusowi, o ile będę mógł pogadać z nim na osobności. Gdyby Raina się wtrąciła, spróbuję wymyślić coś innego. — Rzucił mi ostatnie pożegnalne spojrzenie i już go nie było. Prawie spodziewałam się, że pobiegnie co sił korytarzem, ale nie zrobił tego. Nie ma to jak opanowanie i silna wola.

Edward i ja stanęliśmy w drzwiach, odprowadzając go wzrokiem aż do załomu korytarza. Gdy Richard zniknął nam z oczu, Edward odezwał się do mnie.

— Umawiasz się z tym czymś.

Jeszcze kilka minut temu obrazi łąbym się za takie słowa, ale moja skóra wciąż wibrowała wspomnieniem przepływających po niej fal energii Richarda. Nie mogłam dłużej udawać. Poprosił mnie o rękę, a ja przyjąłam jego oświadczenia. Tyle że nie w pełni rozumiałam, z czym to się wiąże. Nie był człowiekiem. Mimo najszczęśliwszych chęci nie był nim. Już nie.

Pytanie brzmiało: Jak wielkie ma to dla mnie znaczenie i czy to coś zmienia. Odpowiedź brzmiała: Nie mam zielonego pojęcia.



## Rozdział dwudziesty

P

Przespałam niedzielny poranek i nie byłam w kościele. Do domu wróciłam po siódmej. Nie miałam szans, aby wstać na dziesiątą. Bóg na pewno rozumiał potrzebę snu, nawet jeśli sam jej nie podlegał.

Późne popołudnie zastało mnie na uniwersytecie waszyngtońskim. Znalazłam się w gabinecie doktora Louisa Fane'a, dla przyjaciół Louiego. Wczesny zimowy wieczór wypełniał niebo delikatnymi, fioletowymi chmurami. Przez jedyne okno w gabinecie widać było nieprzesłonięte chmurami skrawki nieba. Louie miał gabinet z oknem. Większość wykładowców z doktoratami ich nie miała. W kampusie takich jest na pęczki.

Louie siedział plecami do okna. Zapalił lampkę stojącą na blacie biurka. Światło lampy tworzyło złocisty, ciepły przyciółek stawiający odpór nadciągającej nocy. Siedzieliśmy w kręgu jasności w bardziej intymnej atmosferze, niż mogłabym tego oczekiwać.

# Ostatni szaniec świat*RS*ści. Boże, ależ miałam dziś melancholijny

nastrój.

Gabinet Louiego by nielecho zagracony. Na jednej ze ścian od podłogi po sufit wznosił się regał, którego półki wypełniono książkami z dziedziny biologii, esejami przyrodniczymi oraz kompletem dzieł Jamesa Herriota. Za szkłem obok dyplomu wisiał szkielet nocka dużego. Na drzwiach wisiał plakat z tymże nietoperzem. Doktorat Louiego traktował o przystosowaniu nocka dużego do życia w środowisku człowieka.

Na półkach wałało się mnóstwo rozmaitych pamiątek — muszle morskie, fragment skamieniałego drewna, szyszki, kawałek kory z zaschniętym porostem. Takie tam drobiazgi, które zwykle zbierają absolwenci biologii.

Louie miał jakieś metr sześćdziesiąt siedem wzrostu i oczy równie ciemne jak moje. Włosy zaś proste i gęste, sięgające tuż poniżej ramion. To nie był przejaw modnych tendencji, jak w przypadku Richarda. Chyba Louie od dłuższego czasu nie miał okazji, by wybrać się do fryzjera. Twarz miał kanciastą, szczupłą budowę ciała i ogólnie wyglądał niegroźnie. Ale mięśnie jego ramion zagrały pod skórą, gdy złączył koniuszki palców i spojrzał na mnie. Nawet gdyby nie był szczurołakiem, nie próbowałabym siłować się z nim na rękę.

Przyszedł dziś, czyli w niedzielę, specjalnie, aby się ze mną spotkać. Niedziela była wolnym dniem także dla mnie. Pierwsza niedziela od paru miesięcy, gdy nie spotkałam się ani nawet nie rozmawiałam z Richardem. Richard zadzwonił do mnie i odwołał spotkanie z jakichś bliżej nieokreślonych przyczyn związanych z jego stadem. Nie mogłam go o to podpytać, bo z nagraniem na automatycznej sekretarce raczej ciężko się rozmawia. Nie oddzwoniłam. Nie byłam gotowa z nim rozmawiać. Nie po ostatniej nocy.

Dziś rano czułam się jak idiotka. Zgodziłabym się pójść na całość nawet z kimś kompletnie mi nieznanym. Wiedziałam, co pokazał mi Richard, ujawnił swą prawdziwą twarz i odsłonił rąbek świata, który dopiero zaczynałam poznawać.

— Co ty i reszta profesorów sądzicie o odciskach, które przysłała wam policja?

# — Uwazamy, *zRS* e to wilk.

— Wilk? Jak to?

— Z całą pewno cię wielki psowaty. Nie pies, ale i nie zwyczajny wilk.

— Nawet biorą c pod uwagę fakt, że odcisk zwierzęcej stopy nakłada się z odciskiem stopy ludzkiej?

— Nawet.

— Czy to może być Peggy Smitz?

— Peggy nieźle potrafi nad sobą panować. Czemu miałyby kogoś zabijać?

— Nie wiem. A czemu nie miałyby kogoś zabić? Odchylił się do tyłu w fotelu. Mebel zaskrzypiał pod jego ciężarem.

— Dobrze pytanie. Peggy była pacyfistką, na tyle, na ile pozwalała na to polityka stada.

— Nie walczyła?

— Tylko jeśli musiała.

— Czy stała wysoko w strukturze stada?

— A nie powinnaś zapytać o to Richarda? Bądź co bądź jest drugim w hierarchii ważności pretendentem do tronu, najogólniej mówiąc.

Spojrzałam na niego. Nie odwróciłam wzroku. Nie chciałam, aby cokolwiek wyczuł.

— Kłopoty w raj, jak mniemam — stwierdził. Zignorowałam ten komentarz. Mieliśmy do omówienia konkretne sprawy. Najwyższy czas przejść do rzeczy.

— Odwiedził mnie mąż Peggy. Chciał, abym ją odnalazła. Nic nie wiedział o innych zaginionych lykantropach. Czemu Peggy nie miałyby mu o tym wspomnieć?

— Wielu z nas utrzymuje swoje związki, udając, najlepiej jak potrafią, że nie są tym, kim są. Założę się, że Peggy nie rozmawiała z mężem o sprawach dotyczących jej stada.

— Czy trudno jest tak udawać?

— Im lepiej nad sobą panujesz, tym jest łatwiej.

— A więc to mo liwe.

— Czy chciałaby przez resztę życia udawać, że nie ożywasz zombi? Nigdy z nikim o tym nie rozmawiać? Nie dzielić się swoimi sukcesami i problemami? Nie wtajemniczać w to swego męża, aby —

# broń Boże — nie poczu<sup>RS</sup>ł się zażenowany, nie zaczął patrzeć na ciebie

krzywo albo cię nie znienawidził?

Poczułam, że moja twarz płonie. Chciałam wyprzeć się wszystkiego. Powiedzieć, że Richard nie wprowadził mnie w zażenowanie, że nie zaczęłam patrzeć na niego krzywo ani go nie znienawidziłam, jednak nie mogłam się na to zdobyć. Nie byłam w stanie zaprotestować.

— Nie wydaje mi się, aby mogło to być łatwe i spokojne życie — stwierdziłam.

— Bo nie jest.

W pokoju zapadła grobowa cisza. Jeżeli liczył, że się rozkleję i wszystko powiem, to się pomylił. Gdy wszystko inne bierze w łeb, należy skoncentrować się na najważniejszych, zawodowych sprawach.

— Gliny przeszukały cały obszar, gdzie znaleziono dziś to ciało. Sierżant Storr stwierdził, że nie mają niczego prócz paru kolejnych odcisków stóp i śladów krwi.

Prawdę mówiąc, wykryto też kilka świeżych kul karabinowych w pniach drzew, w pobliżu miejsca zbrodni, ale nie byłam pewna, czy mogłam powiedzieć o tym osobie mającej związek ze wspólnotą lykantropów. To była sprawa policji. Kłamałam na dwie strony. Nie wydawało mi się, aby to był dobry sposób na prowadzenie śledztwa w sprawie morderstwa czy tajemniczego zaginięcia pewnej kobiety.

— Gdyby policja i stado zechcieli wymienić między sobą informacje, może bylibyśmy w stanie rozwikłać tę sprawę.

Wzruszył ramionami.

— To nie moja działka, Anito. Jestem zwykłym, podrzędnym członkiem stada, nie szefem.

— Richard jest szefem — stwierdziłam.

— Nie, dopóki są Marcus i Raina.

— Nie wiedziałam, że Richard miałby także z nią walczyć o

# dominację. Wydawa*RSo* mi się, że ma przeciwnika wyłącznie w

Marcusie.

Louie zaśmiał się

— Jeżeli sądzisz, e Raina dopuści do przegranej Marcusa i nie zechce mu pomóc w razie konieczności, to chyba jej nie znasz. — Poznałam ją . Ale myślałam, iż pomagając Marcusowi, złamałaby prawo stada.

Ponownie wzruszy ramionami.

— Nie znam prawa stada, ale znam Rainę. Gdyby Richard umiejętnie z nią pograł, podejrzewam, że pomogłaby mu pokonać Marcusa, ale on jasno dał jej do zrozumienia, że za nią nie przepada. — Richard mówił, że to ona wpadła na pomysł kręcenia tych pornosów.

Oczy Louiego rozszerzyły się.

— Richard mówił ci o tym? Skinęłam głową.

— Szczerze mówiąc, dziwię się. To wszystko bardzo go zdeprymowało. Rainie bardzo zależało, aby uczynić z niego czołową gwiazdę swoich filmów. Chyba próbowała go uwieść, ale źle go oceniła. Richard jest zbyt pruderyjny, żeby uprawiać seks przed kamerą.

— Raina grywała w niektórych z tych filmów?

— Tak mi mówiono.

— Czy brały w nich także udział szczurołaki? Pokręcił przecząco głową.

— Rafael tego zabronił. Jesteśmy jedną z grup, która stanowczo się temu sprzeciwiała.

— Rafael to prawy człowiek.

— I prawy szczur — dodał Louie. Uśmiechnęłam się. — Taa.

— Co zaszło między tobą a Richardem?

— To znaczy?

— Zostawił mi wiadomość nagrałą na sekretarce. Powiedział, że to coś ważnego i dotyczy ciebie. Kiedy się z nim spotkałem, stwierdził, że właściwie nic takiego. Co się stało?

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Jeszcze się z tym nie uporałam. — Chyba powinieneś spytać Richarda.

# — Stwierdził, że *RSE* wybór należy do ciebie i on nie będzie o tym

rozmawiać. Ty twierdzisz, że to jego sprawa i nie możesz o tym mówić. Chciał bym, aby jedno z was zdecydowało się wreszcie puścić farbę i powiedzieć mi, o co chodzi.

Otworzyłam usta, zamknęłam je i westchnęłam. Miałam wiele pytań wymagających odpowiedzi, ale Louie poza tym, że go znałam, był przede wszystkim przyjacielem Richarda. No wiecie, lojalność i takie tam. Tylko kogo innego mogłabym w tej sytuacji zapytać? Irvinga? On i tak miał już dość kłopotów z Richardem.

— Słyszałam, jak Richard i Rafael mówili o kontrolowaniu swoich bestii. Czy chodzi o przemianę?

Skinął głową.

— Tak. — Spojrzał na mnie, mrużąc lekko powieki. — Jeśli słyszałaś, jak Richard mówi o swojej bestii, to znaczy, że musiałaś go widzieć tuż przed przemianą. Co się wydarzyło ubiegłej nocy?

— Louie, jeśli Richard ci o tym nie powiedział, to ja się tego nie podejmuję.

— Plotki głoszą, że zabiłaś Alfreda. To prawda?

— Tak.

Spojrzał na mnie, jakby liczył na coś więcej, po czym wzruszył ramionami.

— Rainie to się nie spodoba.

— Marcus też nie był zachwycony.

— Ale on nie próbowałby załatwić cię w jakiejś ciemnej uliczce. Ona jest do tego zdolna.

— Czemu Richard nie powiedział mi o tym?

— Richard jest jednym z moich najlepszych przyjaciół. Lojalny, uczciwy, troskliwy i dobry do szpiku kości. Prawdziwy harcerzyk, choć nieco kudłaty. Jedyna jego wada polega na tym, że on uważa, iż wszyscy inni są podobnie jak on uczciwi, lojalni i troskliwi.

— Chyba po tym, czego doświadczył ze strony Marcusa i Rainy, nie ma co do nich żadnych złudzeń?

— Wie, że to para skończonych łajdaków, ale nie postrzega ich jako złych ludzi. Bądź co bądź Marcus jest samcem alfa i pozostanie nim. Richard szanuje autorytety. Od wielu miesięcy stara się dojść z Marcusem do porozumienia. Zależy mu na kompromisie. Nie chce go zabić. Marcus nie ma takich dylematów i zlikwidowałby Richarda bez mrugnięcia okiem.

# — Irving powiedzia**RS** ł, że Richard pokonał Marcusa, mógł go

zabi ć, lecz tego nie zrobi ł. Czy to prawda?

— Obawiam się, że tak.

— Cholera.

— Taa, mówiłem Richardowi, że powinien był to uczynić, ale on

nigdy nikogo nie zabi ł. Uważa, że każde życie jest bezcenne. — Bo każde życie jest bezcenne — przyznałam.

— Ale niektóre istnienia są cenniejsze od innych — dodał Louie. Skinęłam głową.

— Jasne.

— Czy Richard zmienił się wczoraj na twoich oczach? — Boże, ale jesteś upierdliwy.

— Mówiłaś, że to jedna z moich największych zalet. — Zazwyczaj tak. — Miałam wrażenie, że rozmawiam z Ronnie.

Ona te że była nieustępliwa.

— Czy w twojej obecności się zmienił?

— Poniekąd — odparłam wymijająco.

— I to okazało się dla ciebie zbyt wstrząsające — stwierdził. —

Nie mo żeś tego znieść.

— Sama nie wiem, Louie. Naprawdę.

— To lepiej się dowiedz.

— Postaram się.

— Kochasz go?

— Nie twoja sprawa.

— Kocham Richarda jak brata. Chciałbym wiedzieć, jeżeli masz

zamiar z łamać mu serce. Gdybyś odeszła, to ja będę musiał pomóc mu się pozbierać.

— Nie chcę zrani Richarda — oświadczyłam.

— Wierzę ci. — Spojrzał na mnie. Miał niezwykle spokojny wyraz twarzy, jakby mógł czekać całą noc, aż odpowiem na jego pytanie. Nigdy nie by am tak cierpliwa jak Louie.

— Tak. Kocham go. Zadowolony?

— Czy kochasz na tyle, by zaakceptować jego wilczą połowę?

Wpatrywał się we mnie świdrującym wzrokiem.

— Nie wiem. Gdyby był człowiekiem... cholera.

# — Gdyby był czRSowiekiem, może mogłabyś go poślubić?

Miał w sobie dość kurtuazji, aby zabrzmiało to jak pytanie. — Może — odparłam. Ale w głębi duszy nie miałam wątpliwości. Nie było żadnego „może”. Gdyby Richard był człowiekiem, byłabym już szczęśliwie zaręczona. Rzecz jasna od pewnego czasu próbował umawiać się ze mną pewien przystojny nieumarły. Jean-Claude stwierdził, że Richard — podobnie jak on — także nie jest już człowiekiem. Nie wierzyłam. Aż do teraz. Chyba byłam winna Jean-Claude'owi przeprosiny. Ale nigdy bym się na to nie zdobyła.

— Wczoraj odwiedziła mnie w mojej firmie pewna pisarka, Elvira Drew. Pisze książkę o zmiennokształtnych. Sprawa wydaje się czysta i może przynieść nam i wam dobrą prasę.

Wyjaśniłam, o czym miała traktować książka.

— Faktycznie brzmi ciekawie — przyznał. — Ale co ja mam z tym wspólnego?

— Zgadnij.

— Nie przeprowadziła dotąd wywiadu ze szczu-rołakiem.

— Otóż to.

— Nie mogę ryzykować, że zostanę zdemaskowany, Anito. Przecież wiesz.

— To nie musisz być ty. Nie ma wśród was kogoś, kto zechciałby z nią porozmawiać?

— Popytam — obiecał.

— Dzięki, Louie. — Wstałam.

On również wstał i podał mi rękę. Miał pewny uchwyt, nie za silny, ale i nie słaby, w sam raz. Zastanawiałam się, czy był szybki i z



# jaka łatwością mógł *RS* by zmiażdżyć mi dłoń. Chyba było po mnie

widąc, o czym myślałam, bo powiedział:

— Musisz przestać umawiać się z Richardem. Dopóki jakoś się z tym oboje nie uporacie.

Pokiwałam głową

— Tak, może.

Przez chwilę staliśmy my w milczeniu. Ponieważ nie zostało już nic do

powiedzenia, wyszłam. Nagle zabrakło mi celnych ripost czy

żarcików słownych. Zapadł już zmierzch i byłam zmęczona. Miałam ochotę wrócić do domu i położyć się do łóżka, by się w nim ukryć.

Ale ruszyłam do kafejki U Lunatyków. Zamierzałam spotkać się z

Marcusem i przekonać go, by pozwolił mi posiadanymi informacjami

podzielić się z policją. Ośmioro zaginionych, jeden zabity człowiek.

Te dwie sprawy nie musiały być ze sobą powiązane. Jeśli jednak sprawcą zabójstwa był wilkołak,

Marcus lub Raina powinni wiedzieć, kto tego dokonał. Czy zechcą wyjawić mi jego tożsamość?

Może nie, może tak, nie zaszkodzi zapytać. Na pewno będą bardziej skłonni do rozmowy ze mną niż z

glinami. Rodziło się pytanie, dlaczego potwory czuły się w mojej obecności swobodniej niż wobec

stróżów

prawa.

Ożywiałam nieboszczyków i zabijałam wampiry. Czyż mogłam

osądzać, kto spośród nas był okrutniejszym i bardziej bezlitosnym

potworem? Na pewno ja nie rzuciłabym pierwsza kamieniem.

**Rozdział dwudziesty pierwszy****S**

z łam przez uczelniany kampus w stronę mego auta. Przechodziłam od jednego kręgu światła do drugiego. Z ust przy każdym wydechu wypływał obłoczek pary. Miałam

wolną noc, więc byłam ubrana od stóp do głów na czarno. Bert nie pozwalał mi ubierać się na czarno do pracy. Twierdził, że to nie wywiera dobrego wrażenia, jest zbyt posępne i nazbyt kojarzy się z czarną magią. Gdyby poszperał tu i tam, dowiedziałby się, że rytuałom złej magii często towarzyszyła czerwień, biel i parę jeszcze innych kolorów. To bardzo anglosaskie, że jego zakaz dotyczył tylko czerni.

Czarne dżinsy, czarne niki z niebieskimi paskami, czarny sweter i czarny trenecz. Nawet moje pistolety i olstra były czarne. Tego wieczoru byłam jednobarwna jak cholera. Miałam też coś srebrnego, ale to akurat było ukryte pod swetrem — krzyżyk i dwa noże na przedramionach. Zmierzałam do kafejki U Lunatyków. Zaginione lykantropy, nawet te, które jak Peggy Smitz nie chciały, aby ich tajemnica wyszła na jaw, nie musiały już martwić się o złą prasę, szykany czy prześladowania. Były martwe. Musiały być. Nie sposób tak długo przetrzymywać ośmiorga zmiennokształtnych wbrew ich woli. A w każdym razie nie sposób przetrzymywać ich żywych.

W tej sytuacji powiadomienie policji nie zaszkodziłoby im, a mogło ocalić skórę innym zmiennokształtnym. Musiałam pogadać z ludźmi, którzy ostatni widzieli zaginionych. Dlaczego żaden

# próbował się bronić *RS*? To na pewno jakiś ślad. Ronnie była w tych

sprawach lepsza ode mnie. Może jutro wspólnie zabierzemy się za rozgryzanie tej sprawy.

Czy Richard tam będzie? A jeżeli tak, co powinnam mu powiedzieć?

Przystanęłam na chwilę. Stałam w chłodnym mroku pomiędzy dwiema latarniami. Nie byłam gotowa na ponowne spotkanie z Richardem. Ale mieliśmy co najmniej jednego trupa, może nawet więcej. Nie mogłam spękać tylko dlatego że nie chciałam zobaczyć się z Richardem.

To byłoby czyste tchórzostwo.

Prawdę mówiąc, wolałam stawić czoło całej gromadzie wampirów niż jednemu niedoszłemu narzeczonemu.

Podmuch wiatru uderzył mnie od tyłu, jakby zbierało się na burzę. Kosmyki włosów omiotły mi twarz. Gałęzie drzew trwały w absolutnym bezruchu, wcale nie było wiatru. Odwróciłam się, w mojej dłoni pojawił się browning. Coś rąbnęło mnie w plecy z taką siłą, że wylądowałam na chodniku. Próbowałam złagodzić upadek, wysuwając do przodu ręce. Wylądowałam na przedramionach. Ręce mi zdrętwiały. Przeszywały mnie lodowate ciarki. Nie czułam dłoni. Głowa opadła mi do dołu.

Po porządnym ciosie w głowę zawsze jest taka chwila, kiedy nie jesteś zdolna do jakiegokolwiek reakcji. Chwila zawieszenia, gdy zastanawiasz się, czy jeszcze kiedyś będziesz w stanie się poruszyć.

Ktoś usiadł mi na plecach. Dłonie szarpnęły mój płaszcz z lewej strony. Usłyszałam trzask dartego materiału. Zaczęłam odzyskiwać czucie w dłoniach. Straciłam browninga.

Spróbowałam przetoczyć się na bok i sięgnąć po firestara. Silna ręka znów walnęła moją głowę o chodnik. Pod czaszką eksplodowała

# zorza białego światła *RSa*. Pociemniało mi w oczach, a gdy odzyskałam

zdolność widzenia, ujrzałam nad sobą wyszczerzone oblicze Gretchen.

Trzymała mnie za włosy i boleśnie przekrzywiła moją głowę. Mój sweter został rozdarty na ramieniu. Gretchen rozdziawiła szeroko usta, w mroku załśniły kły. Krzyknęłam. Firestara przygniatała własnym ciałem. Sięgnęłam po jeden z noży, ale uniemożliwiały mi to rękawy płaszcza i swetra. Nie zdążę wyjąć noża na czas.

Rozległ się przeraźliwy krzyk. Nie wypłynął z moich ust. Na drugim końcu chodnika stała jakaś para. Kobieta darła się wniebogłosy. Gretchen uniosła głowę i zasyczała groźnie. Mężczyzna towarzyszący kobiecie objął ją, obrócił i pociągnął za sobą. Oboje rzucili się do ucieczki. Mądra decyzja.

Wbiłam nóż w gardło Gretchen. To nie było zabójcze pchnięcie i zdawałam sobie z tego sprawę, ale liczyłam na to, że przynajmniej się ze mnie zwlecze. Dzięki temu miałabym szansę sięgnąć po firestara. Tak się nie stało. Nie uskoczyła do tyłu. Wbiłam nóż aż po rękojeść w jej szyję — buchnęła krew, obryzgując moją rękę i twarz. Gretchen runęła na mnie, zamierzając wgrzyźć mi się w gardło. Nóż wypełnił swoje zadanie, rzecz jasna na tyle, na ile to możliwe. Nie miałam co liczyć, że uda mi się wyjąć drugie ostrze. Pistolet wciąż leżał pode mną. Gdy patrzyłam na jej rozwarte szczęki, zbliżające się ku mojej szyi, odnosiłam wrażenie, że czas stanął w miejscu. Wiedziałam, że umrę. Moje chwile były policzone.

Coś ciemnego wyrznęło w nią z ogromną siłą zwalając ją ze mnie impetem zderzenia. Pozostałam w bezruchu na chodniku i mrugając, usiłowałam odzyskać oddech. W mojej dłoni pojawił się firestar. Nie pamiętam, kiedy go wyjęłam. Nie ma to jak praktyka. Ćwiczenie czyni mistrza.

Na Gretchen okraciem siedział szczurołak. Czarny pysk opadł jak błyskawica, błysnęły siekacze. Gretchen pochwyciła kudłaty pysk, zatrzymując kłapiące szczęki tuż nad swoim gardłem. Kosmata łapa smagnęła na odlew, siłując bladego oblicza. Popłynęła krew. Gretchen krzyknęła i z całej siły wyrznęła napastnika pięścią w brzuch. Cios był tak silny, że szczurołaka wybiło w górę, a wampirzyca wykorzystała tę chwilę, by podkulić nogi do piersi. Następnie silnym wyprostowaniem nóg trafiła szczurołaka w klatkę piersiową i odrzuciła go do tyłu. Napastnik pofrunął w mrok jak wystrzelony z armaty. Gretchen w mgnieniu oka znów była na nogach.

# Wycelowałam w niRS, nie podnosząc się z ziemi. Ona jednak

zniknęła wśród krzewów, podążając za szczurołakiem.

Zmarnowałam szansę.

Po chwili z ciemno ści dobiegł głośny warkot i trzask łamanych gałęzi. To musiał być Louie. Nie znałam więcej szczurołaków, które byłyby skłonne przyjść mi z pomocą.

Wstałam, a cały świat zawirował. Zachwiałam się na nogach i musiałam naprawdę dać z siebie wszystko, aby nie upaść. Dopiero teraz zaczęłam na serio zastanawiać się, jak bardzo ucierpiałam. Wiedziałam, że mam parę zadrapań, bo czułam typowy dla utraty wierzchniej warstwy skóry piekący, dokuczliwy ból. Uniosłam dłoń, a gdy dotknęłam głowy, ujrzałam na palcach krew. Także własną.

Spróbowałam zrobić krok naprzód. Udało się. Może po prostu za szybko wstałam. Miałam taką nadzieję. Nie wiedziałam, czy szczurołak jest w stanie pokonać wampirzycę. Mimo to nie zamierzałam stać z boku i czekać na dalszy rozwój wypadków.

Dotarłam do skraju drzew, gdy wytoczyli się z ciemności i przewrócili mnie. Po raz drugi wylądowałam na chodniku, ale nie miałam dość czasu, by odzyskać oddech. Przeturlałam się na prawy bok i wycelowałam w stronę źródła upiornego hałasu. Ten ruch okazał się zbyt szybki, pociemniało mi w oczach. Gdy odzyskałam ostrość widzenia, Gret-chen zatopiła kły w szyi Louiego. Szczurołak wydał z siebie przejmujący, dziki, wysoki pisk. Nie mogłam posłać jej kulki, leżąc plackiem na ziemi, widziałam stąd bowiem tylko ciało szczurołaka oraz ręce i nogi siedzącej na nim okraciem wampirzycy. Aby ją zabić, musiał

ważyć się spróbować

Nawet gdybym odzyska

ryzykowny.

aby trafić w tę śliczną blond główkę. Nie odć. Mogłabym przez przypadek zabić Louiego.

ła pełnię sił, taki strzał byłby wielce

Podniosłam się na klęczki. Świat zawirował, mdłości podeszły mi do gardła. Gdy świat ponownie stanął w miejscu, nie miałam już do czego strzelać. W świetle płynącym z odległej latarni dostrzegłam krew płynącą z jego szyi. Gdyby miała takie siekacze jak on, Louie byłby już trupem.

# Strzeliłam w ziemi*RS* obok nich w nadziei, że to ją spłoszy. Nic z

tego. Wycelowałam w drzewo nad jej głową. Bliżej Louiego nie odważyłabym się strzelać. Kula trafiła w drzewo. Łypnęła na mnie jednym okiem, przez cały czas się pożywiając. Nawet nie przestała ssać. Zamierzała zabić go na moich oczach.

— Zastrzel ją. — Choć zniekształcony przez układ szczęk, to był głos Louiego. Jego oczy zaszklily się i zamknęły, gdy na niego spojrzałam. Ostatnie słowa.

Powoli złożyłam się do strzału, ujęłam pistolet oburącz, zaciskając jedną dłoń na kolbie broni i od dołu przytrzymując ją drugą. Wycelowałam w to jedno jedyne widoczne, niebieskie ślepie. Zrobiło mi się ciemno przed oczami. Poczekalam, nie podnosząc się z klęczek, aż odzyskam wzrok, nie odważyłam się ściągnąć spustu po omacku. Mogłabym trafić Louiego. Nie miałam wyboru.

Chociaż kto wie?

— Richard oświadczył mi się, a ja przyjąłam jego oświadczenia. Przecież wyczułabyś kłamstwo. Zgodziłam się poślubić innego. Nie musimy tego dłużej ciągnąć.

Zawahała się. Spojrzałam w jej oko. Odzyskałam wzrok. Po czym powoli zaczęłam zaciskać palec na spuście.

Puściła Louiego, wtulając głowę w jego kosmatą szyję. Próbowwała się nim osłaniać. Usłyszałam jej stłumiony, lecz dostatecznie wyraźny głos.

— Odłóż tę małą pukawkę, to go puszczę. Wzięłam głęboki oddech i skierowałam broń w górę.

— Puść go.

— Najpierw broń.

Nie chciałam odrzucać mego jedyne pistoletu. To na pewno nie był dobry pomysł. Czy jednak miałam wybór? Na miejscu Gretchen wolałabym, aby przeciwnik pozbył się wszelkiej broni palnej. Miałam, co prawda, jeszcze jeden nóż, ale przy tej odległości był on raczej bezużyteczny. Nawet gdyby udało mi się cisnąć nim na tyle

# celnie, że trafiłabym jRS w serce, musiałabym rzucić prawdę

mocno, by przebić je na wylot. Była za stara, żeby unicestwiła ją powierzchowna rana. Przecież wbiłam nóż w gardło Gretchen po rękojęść, a to nawet jej nie spowolniło. Nie ma co, byłam pod wrażeniem.

Odłożyłam firestara na chodnik i uniosłam ręce, by pokazać, że nie jestem uzbrojona. Gretchen podniosła się powoli zza bezwładnego ciała Louiego. Gdy go przestała podpierać, szczurołak osunął się ciężko na wznak. Wiotkość tego ruchu mocno mnie zdenerwowała. Czy było już za późno? Czy ukąszenie wampira mogło zabijać równie skutecznie jak srebro?

Wampirzyca i ja spojrzaliśmy na siebie nawzajem. Mój nóż sterczał z jej szyi jak wykrzyknik. Nawet nie pokwapiła się, aby go wyjąć. Jezu. Chyba nie trafiłam w struny głosowe, w przeciwnym razie nie mogłaby mówić. Nawet wampiry miały swoje ograniczenia. Odnalazłam jej spojrzenie. Żadnej reakcji. Zupełnie jakbym patrzyła w oczy zwykłej śmiertelniczki. Nie powinno tak być. Może utrzymywała swoją moc w ryzach? Nie.

— Czy on jeszcze żyje?

— Podejdź bliżej i sama się przekonaj.

— Dzięki, ale nie. — Jeśli Louie nie żył, moja śmierć i tak w niczym by mu nie pomogła.

Uśmiechnęła się.

— Powtórz jeszcze raz to, co powiedziałaś przed chwilą. — Richard poprosił mnie o rękę, a ja się zgodziłam. — Kochasz tego Richarda?

— Tak. — Nie mogłam się zawahać. Przyjęła moje stwierdzenie skinieniem głowy. A więc to chyba prawda. Coś podobnego! Kto by pomyślał?

— Powiedz to samo Jean-Claude'owi, a będę zadowolona.

— Zamierzam tak zrobić.

— Jeszcze tej nocy.

— W porządku. Dzisiejszej nocy.

— Kłamiesz, gdy odejdę, zajmiesz się swoimi i jego ranami i nie wyznasz Jean-Claude'owi tego, co miałaś mu powiedzieć.

Myślałam, że uda mi się ją oszukać. Oszukałam tylko siebie.

# — Czego właś *RS*ciwie ode mnie chcesz?

- Tej nocy będzie w Drapieżnych Żądzach. Przyjdź tam i oświeć go. Będę na ciebie czekać.
- Najpierw muszę zaopiekować się nim. — Wskazałam na szczurołaka.
- W porządku. Opatrz go, ale zjaw się w Drapieżnych Żądzach przed wschodem słońca, w przeciwnym razie nasz rozejm zostanie zerwany.
- Czemu sama nie powiesz o tym Jean-Claude'owi?
- Nie uwierzyłby mi.
- Wyczułby, że mówisz prawdę — skonstatowałam.
- To, w co wierzę, niekoniecznie musi być prawdą. Musi ją wyczuć od ciebie. Gdyby mnie tam nie było, zaczekaj na mnie. Chcę być przy tym, kiedy powiesz mu, że kochasz innego. I ujrzeć wyraz jego twarzy. Jego porażkę.
- W porządku. Przyjdę. Przed wschodem słońca.
- Odstąpiła od ciała Louiego. W prawej dłoni trzymała browninga, ujmowała go za lufę i zamek, nie po to, by zeń strzelać, lecz abym ja nie mogła go użyć. Podeszła do mnie i ani na chwilę nie spuszczając mnie z oka, podniosła firestara.
- Krew spływała z rękojeści noża wbitego w jej gardło. Czerwone, duże krople rozpryskiwały się po chodniku. Uśmiechnęła się, a ja aż wybałuszyłam oczy. Wiedziałam, że nie zadałam śmiertelnej rany, ale sądziłam, że przynajmniej będzie ją bolało. Może wampiry tylko z przyzwyczajenia wyjmowały wbite w ich ciała noże i inne ostrza. Gretchen mój nóż najwyraźniej wcale nie przeszkadzał.
- Odzyskasz je, gdy powiesz mu wiesz co — oznajmiła.



# — Masz nadzieję *RS* że on mnie zabije — odparowałam.

— Nie zmartwi abym się.

Pięknie. Gretchen cofnęła się o krok. Jeden. Drugi. Przystanęła na skraju zagajnika, blady kształt rysujący się w ciemnościach.

— Będę na ciebie czekać, Anito. Nie zawieź mnie. Masz czas do świtu.

— Przyjdę — zapewniłam.

Uśmiechnęła się, błyskając okrwawionymi zębami, zrobiła jeszcze jeden krok do tyłu i zniknęła. Pomyślałam, że to może kolejna mentalna sztuczka, ale znów omiótł mnie podmuch powietrza. Korony drzew zakołysały się, jakby pod wpływem silnej wichury. Uniosłam wzrok i ujrzałam... coś. To nie był nietoperz, nie zauważyłam błoniastych skrzydeł... po prostu coś. Nie zdołałam tego rozpoznać, zidentyfikować ani nawet zarejestrować wzrokiem. Widziałam to tylko przez mgnienie oka.

Wiatr ucichł, dokoła znów zapanowała grobowa cisza i lodowaty jak dotknięcie śmierci spokój zimowej, mrocznej nocy. Z oddali dobiegł jęk syren. Chyba ktoś z kampusu wezwał gliny. W gruncie rzeczy nie miałam im tego za złe.

## Rozdział dwudziesty drugi

W

stałam ostrożnie. Świat nie zawirował. To dobrze. Podeszłam do Louiego. Szczurołak w bezruchu leżał na trawie. Uklęłam i zakręciło mi się w głowie.

Odczekałam na czworakach chwilę, aż mi przejdzie. Gdy świat ponownie znieruchomiał, położyłam dłoń na kosmatej piersi. Odetchnęłam z ulgą, gdy pierś Louiego uniosła się i opadła pod moją ręką. Żył. Oddychał. Doskonale.

Gdyby był w ludzkiej postaci, dotknęłabym jego zranionej szyi. Byłam prawie pewna, że przez zetknięcie z krwią, nawet gdy był w zwierzęcej postaci, nie mogłam zarazić się lykantropią, ale nie miałam stuprocentowej pewności. Nie chciałam raz w miesiącu obrastać futrem. Miałam dość kłopotów. Poza tym, gdybym miała wybrać dla siebie zwierzę, na pewno nie byłby nim szczur.

Syreny zbliżały się. Nie byłam pewna, co robić. Louie był w kiepskim stanie, ale widziałam Richarda w znacznie gorszym, a

# mimo to się wylizał **RS**. Czy jednak potrzebował pomocy lekarskiej, aby

wydzowieć? Nie miałam pojęcia. Mogłam ukryć Louiego w krzakach, ale może pozostawiając go tam, skazywałam go na śmierć. Gdyby gliny ujrzały go takim, jego sekret zostałby ujawniony. Straciłby wszystko.

Jego życie runęło oby w gruzy tylko dlatego, że spróbował mi pomóc. To nieuczciwe. Ze szurzego pyska dobyło się westchnienie. Całym ciałem wstrząsnął dreszcz. Sierść zaczęła zanikać jak cofające się fale odpływu. Niezdarne szurze kończyny powoli się prostowały. Zarówno ręce, jak i nogi. Patrzyłam, jak spód sierści wyłania się jego ludzka postać, niczym ciało zatopione w lodzie.

Po chwili na ciemnej trawie leżał Louie, blady, nagi i w ludzkiej postaci. Nigdy dotąd nie widziałam odwrotnego procesu. Był równie widowiskowy, jak przemiana w zwierzę, ale być może z uwagi na produkt finalny nie tak przerażający.

Rana na szyi wyglądała jak dzieło zwierzęcia, a nie ukąszenie wampira, skóra została rozdarta, lecz można było dostrzec dwa głębokie ślady kłów. Dotąd nie krwawił. Dopiero teraz popłynęły szkarłatne strużki. W ciemnościach trudno mi się było zorientować, ale odniosłam wrażenie, że ugryzienie zaczęło się już goić. Sprawdziłam puls. Regularny i silny, jednak co ja mogłam o tym wiedzieć? Przecież nie byłam lekarzem.

Syrena ucichła, ale blask kogutów rozświetlał mrok jak kolorowe błyskawice. Nadciągały gliny. Musiałam zdecydować się, co zrobić. Ból głowy ustępował. Widziałam prawie normalnie. Nie kręciło mi się już w głowie. Ale przecież jeszcze nie próbowałam wstać. Mogłam przerzucić Louiego przez własne barki, w tak zwanym strażackim uchwycie. Nie będę z nim mogła iść zbyt szybko ani za daleko, ale powinnam sobie poradzić. Ślady zębów zniknęły. Do rana będzie zdrow jak ryba. Nie chciałam pozwolić, aby gliny go zobaczyły i nie mogłam go tu zostawić. Nie wiedziałam, czy lykantropy mogą zamarznąć na śmierć, tej nocy jednak wolałam nie ryzykować.

# Okryłam go swoim p*R*Słaszczem i powoli podniosłam. Lepiej, żeby

nie poodmrażał sobie tego i owego. Szkoda by było, gdyby mieli mu amputować chociaż by palec.

Wzi ęłam głę boki oddech i podniosłam się, z Louiem przerzuconym przez barki. Moje kolana zaprotestowały głośnym skrzypnięciem. Ale jako ś wstałam. Nagle zakręciło mi się w głowie. Zaparłam się w miejscu, podczas gdy cały świat zaczął wyczyniać wokół mnie dziwne harce. Nie zdołałam ustać. Osunęłam się na kolana. Dodatkowe obciążenie sprawiło, że upadek był bolesny.

Zbli żała się policja. Jeśli zaraz się stąd nie wyniosę, równie dobrze mogę tu zostać. A nie lubiłam się poddawać. Podniosłam się na jedno kolano i dźwignęłam w górę. Kolana odpowiedziały dojmującym bólem, mimo wszystko wstałam. Przed oczami zawirowały mi czarne plamy. Oczekałam, aż zawroty głowy ustaną. Tym razem nie było aż tak źle. Gorzej z mdłościami. Pawia puszcze potem.

Stan ęłam na chodniku. Nie czułam się pewnie na śniegu. Poza tym na nim nawet miejskie gliny mogłyby dostrzec moje ślady i dotrzeć po nich do mnie. Szpaler drzew osłonił nas przed nadjeżdżającymi radiowozami. Chodnik ciągnął się dokoła budynku, jeśli go obejdę, dotrę do auta. Na myśl, że miałabym prowadzić, gdy raz po raz robiło mi się ciemno przed oczami, poczułam się nieswojo. Jeśli jednak nie zdołam zniknąć, zanim dotrą tu gliny, cały wysiłek pójdzie na marne. Musiałam dostać się do samochodu. I ukryć Louiego.

Nie obejrza łam się za siebie, aby sprawdzić, czy światła kogutów nadal się zbliżały. To niewiele by mi dało, a z Louiem na ramionach obrócenie głowy wymagało nie lada wysiłku. Zrobiłam jeden krok, potem drugi i znalazłam się za rogiem budynku. Nawet gdyby radiowozy wyjechały już zza drzew, gliny i tak nie mogłyby nas dostrzec. Jakiś postęp. Świetnie.

Po mojej lewej stronie rozci ągała się, niczym ciemny monolit, ściana budynku. Miałam wrażenie, że obejście go będzie w miarę proste, ale odległość, jaką miałam do przejścia, zdawała się powiększać.

# Szłam noga za nogą *RS*. Jeśli tylko skoncentruję się na marszu, dam

radę. Louie stawał si coraz lżejszy. To mi się nie podobało. Może byłam bliska omdlenia, cho ć nie zdawałam sobie z tego sprawy.

Unios łam wzrok i stwierdzi łam, że dotarłam do skraju budynku. Straciłam tam troch czasu. Zły znak. Chyba miałam wstrząśnienie mózgu. Ale pewnie niegro źne, w przeciwnym razie zemdlałabym, prawda? Czemu w to nie wierzy łam?

Wyjrza łam zza rogu, starając się nie grzmotnąć nogami Louiego w mur. Wymagało to większej koncentracji, niż mogłam z siebie wykrzesać.

Ciemno ść przeszły dwubarwne błyski. Przy budynku stał radiowóz z otwartymi drzwiami. Z radia płynął głośny, niezrozumiały bełkot. Wóz wydawał się pusty. Gdy zmrużyłam lekko powieki, aby lepiej dojrzeć cokolwiek w oddali, znów zrobiło mi się ciemno przed oczami. Jak miałam prowadzić w tym stanie? Wszystko w swoim czasie. Po kolei. Teraz musiałam donieść Louiego do dżipa. Ukryć go.

Wysz łam zza węgła. To było moje ostatnie schronienie. Gdyby gliny zaskoczyły mnie podczas przejścia przez parking, byłoby po herbacie.

W niedzielną noc na parkingu dla gości nie było dużo aut. Mój dżip stał pod jedną z latarni. O ile to możliwe, zawsze zostawiam wóz pod latarnią. To pierwsza zasada bezpieczeństwa dla kobiet podróżujących samotnie po zmroku. Dżip zdawał się znajdować na scenie, w świetle jupiterów. Podejrzewam, że światło wcale nie było aż tak jasne. Odnosiłam takie wrażenie, bo próbowałam jak najmniej rzucać się w oczy.

W po łowie drogi do dżipa uświadomiłam sobie, że obrażenia głowy nie są moim jedynym problemem. Z całą pewnością mogłam podnieść Louiego, ale nie byłam w stanie dźwigać go w nieskończoność. Moje kolana drżały. Każdy kolejny krok był wolniejszy i kosztował mnie więcej wysiłku. Jeśli znów upadnę, nie dam już rady podnieść Louiego. Nie byłam nawet pewna, czy sama zdołałabym wstać.

Noga za nogą, noga za nogą. Skupiałam się na własnych stopach, aż w zasięgu wzroku dostrzegłam opony dżipa.

No i proszę, to nie by ło wcale takie trudne.

Kluczyki od auta mia łam naturalnie w kieszeni płaszcza. Wcisnęłam na pilocie przycisk, który odblokowywał drzwi. Towarzyszący temu przenikliwy dźwięk mógłby obudzić nawet umarłego.

# Otworzyłam ś *RS*rodkowe drzwi, jedną ręką przytrzymując Louiego.

Opuściłam go na tylne siedzenie. Płaszcz rozchylił się, odsłaniając nagie ciało. Chyba poczułam się lepiej, bo starannie zakryłam tors i krocze Louiego połami płaszcza. Jedna jego ręka zwisała bezwładnie, ale to mi nie przeszkadzało. Nie raził mnie widok gołej ręki.

Zatrzasnąłam drzwi i przejrzałam się w bocznym lusterku. Jedna strona mojej twarzy przypominała I krwawą maskę. Na w miarę czystej skórze widniały czerwone zadrapania. Wślizgnęłam się do wozu i wyjęłam ze schowka pudełko z chusteczkami higienicznymi. Zaczęłam wozić je ze sobą, aby chociaż z grubszą doprowadzać się do porządku po ożywianiu zmarłych. Wilgotne chusteczki były skuteczniejsze niż mydło i woda. Oczyszczyłam się z krwi na tyle, by nie zatrzymał mnie pierwszy napotkany policjant, po czym usiadłam za kółkiem.

Spojrzałam we wsteczne lusterko. Radiowóz wciąż stał opodal, jak pies czekający na swego pana. Uruchomiłam silnik. Wrzuciłam bieg i wcisnęłam gaz. Dżip ruszył zakosami w stronę latarni, jakby przyciągany przez magnes. Dałam po hamulcach i ucieszyłam się, że miałam zapięte pasy.

No dobrze, byłam trochę zdezorientowana. Wcisnęłam przycisk podsufitowej lampki i przejrzałam się w lusterku. Miałam jednakowe źrenice. Gdyby któraś była rozszerzona, mogło to oznaczać krwotok wewnątrzczaszkowy. Od czegoś takiego można umrzeć. Oddałabym się wraz z Louiem w ręce glin i pojechałabym do szpitala. Ale nie było ze mną tak źle. Przynajmniej taką miałam nadzieję.

Zgasiłam lampkę i ruszyłam naprzód. Prowadziłam bardzo wolno, nie chciałam, aby dżip zahaczył o latarnię. Doskonale.

Wyjechałam z parkingu, spodziewając się usłyszeć za sobą krzyki. Nic podobnego. Ulica była ciemna, po obu stronach stały samochody. Sunęłam przed siebie z zapierającą dech prędkością dwudziestu kilometrów na godzinę, ale bałam się przyspieszyć. Miałam wrażenie, jakbym przedzierała się przez potok aut. Złudzenie, jednak wkurzające jak cholera.

Blask światła dużego skrzyżowania poraził moje oczy. Przesłoniłam je dłonią i omal nie wpakowałam się w parkujący przy chodniku samochód. Cholera. Musiałam gdzieś stanąć, zanim wjadę

# komuś w kufer. *RS*

Cztery przecznice dalej natknęłam się na stację bezszynową z automatami telefonicznymi. Nie byłam pewna, jak bardzo kiepsko wyglądałam. Nie chciałam, aby jakiś przewrażliwiony pracownik obsługi wezwał policję po tylu trudach, jakie sobie zadałam, żeby ukradkiem tu dotrzeć.

Wprowadziłam dżipa na parking. Jeśli zboczę z kursu i walnę w dystrybutor, i tak ktoś zadzwoni po gliny. Zatrzymałam wóz przed telefonem. Przełączyłam automatyczną skrzynię biegów na parkowanie i ucieszyłam się, gdy wóz wreszcie stanął.

Wyjść z popielniczki ćwierćdolarówkę. Nigdy nie mam przy sobie innych pieniędzy prócz bilonu. Dopiero gdy wysiadłam z dżipa, poczułam, jak było zimno, bo przecież nie miałam na sobie płaszcza. Chłód pełził po moich plecach coraz niżej i niżej, aż do rozdarcia w swetrze. Bez namysłu wybrałam numer Richarda. Do kogo innego miałabym zadzwonić?

Włączyła się automatyczna sekretarka.

— Richardzie, mam nadzieję, że jesteś w domu. Odbierz telefon, do cholery.

Rozległ się brzęczyk.

— Richardzie, mówi Anita. Louie jest ranny. Odbierz, jeśli jesteś. Richard, cholera, Richard. Odbierz! Podnieś słuchawkę. — Oparłam się czołem o chłodny metal budki telefonicznej. — Odbierz, cholera, odbierz, Richardzie!

Niech to szlag.

# Podniósł słuchawkę *RS*. Był zdyszany.

— To ja, Anito. Co ci się stało?

— Louie jest ranny. Ale jego rana się goi. Jak miałabym wytłumaczyć taki fenomen na ostrym dyżurze w szpitalu?

— To nie wchodzi w rachubę — odparł. — Mamy lekarzy, którzy się nim zajmą. Podam ci adres, dokąd masz pojechać.

— Nie mogę prowadzić.

— Ty też jesteś ranna?

— Tak.

— Czy to coś poważnego?

— Na tyle, że nie chcę prowadzić.

— Co się wam przytrafiło?

Podaliśmy mu okrojony wariant niedawnych wypadków. Miał miejsce atak wampira, bez żadnych konkretnych przyczyn. Nie byłam gotowa wyznać, że musiałam opowiedzieć Jean-Claude'owi o naszych zaręczynach, bo nie wiedziałam, czy wciąż byliśmy zaręczeni. Poprosił mnie o rękę, ja się zgodziłam, ale teraz nie miałam już pewności. Richard chyba też nie.

— Podaj mi adres. — Zrobiłam to.

— Wiem, która to stacja — stwierdził. — Zatrzymuję się tam czasami, gdy odwiedzam Louiego.

— Świetnie. Za ile będziesz?

— Zaczekasz na mnie?

— Jasne.

— W przeciwnym razie dzwoń na policję. Nie ryzykuj życia, aby uchronić sekret Louiego. On by tego nie chciał.

— Zapamiętam to.

— Nie zgrywaj przede mną twardej baby, Anito. Nie chcę, aby coś ci się stało.

Uśmiechnęłam się, z czołem przyciśniętym do obudowy aparatu.

— Twarda baba potrzebuje pomocy. Przyjedź jak najszybciej, Richardzie. Będę czekać. — Odłożyłam słuchawkę, zanim zdążył powiedzieć coś więcej. Nie czułam się dobrze, by znieść kolejne dowody jego współczucia.

Wróciłam do dżipa. W aucie było chłodno. Zapomniałam włączyć ogrzewanie. Odkręciłam je na całość. Uklękałam na fotelu i sprawdziłam, co z Louiem. Nie poruszył się. Dotknęłam skóry jego nadgarstka, aby wyczuć

i opuściłam jego rękę

sumie wcale jej nie oczekiwa

ć puls. Był silny i regularny. Mimo to uniosłam. Opadła miękko, bezwładnie. Zero reakcji. Włam.

Zwykle lykantrop pozostaje w zwierzęcej postaci przez osiem do dziesięciu godzin. Przemiana wymaga ogromnego nakładu energii.



# Nawet gdyby nie by<sup>RS</sup> ranny, Louie przespałby resztę nocy. Tyle że

sen to trochę zbyt łagodne określenie jego obecnego stanu. Nie sposób go z tego snu wybudzić. To przypadłość, która może okazać się zabójcza dla każdego lykantropa, choć zwykle tak bardzo dbają o przetrwanie.

Podobnie bezbronni są przesypiające całe dni wampiry. To sposób ewolucji, abyśmy my, biedni śmiertelnicy, mieli względem nich w miarę równe szanse. No, może „równe” to trochę za dużo powiedziane, ale zawsze.

Osunęłam się na fotel. Nie byłam pewna, ile zajmie Richardowi dotarcie tutaj. Spojrzałam na budynek stacji benzynowej. Facet za kontuarem czytał jakieś pismo. Nie zwracał na nas uwagi. Nie chciałam, aby zaczął się zastanawiać, dlaczego tu stoję, ale póki się nami nie interesował, byłam w miarę spokojna.

Rozsiadłam się na fotelu, opierając potylicę o zagłówek. Chciałam zamknąć oczy, jednak nie zrobiłam tego. Byłam prawie pewna, że mam wstrząśnienie mózgu. W tym stanie wołałam nie zasypiać. Tylko raz oberwałam po głowie mocniej, wtedy uleczył mnie Jean-Claude. Tyle że wampirzy znak to trochę zbyt radykalna kuracja jak na łagodny wstrząs.

Po raz pierwszy byłam tak poważnie ranna od czasu utraty wampirzych znaków. Piętna Jean-Claude'a czyniły mnie trudniejszą do zranienia i przyspieszały gojenie ran. W sumie niezły efekt uboczny. Jednym z nich było, że mogłam spojrzeć wampirowi w oczy, nie poddając się ich hipnotycznemu wpływowi. Właśnie tak patrzyłam w oczy Gretchen. Nie zdołała mną ovladnąć.

Jakim cudem tego uniknęłam? Czyżby Jean-Claude mnie okłamał? Nałożył na mnie znak o przedłużonym działaniu? Muszę go o to zapytać przy pierwszej lepszej okazji. Oczywiście kiedy opowiem mu o ostatnich wydarzeniach, rozpęta się piekło i nie będę już miała okazji o nic go zapytać. No dobrze, zadam jedno pytanie. Czy Jean-Claude może próbować zabić Richarda? Podejrzewam, że tak.

Westchnęłam i zamknęłam oczy. Nagle poczułam się zmęczona, do tego stopnia, że nie byłam w stanie unieść powiek. Zaczynał mnie

# morzyć sen. Otworzy<sup>RS</sup>am oczy i podniosłam się na siedzeniu. Może to

tylko napię cie, spadek adrenaliny albo efekt wstrząśnienia mózgu. Zapaliłam podsufitową lampkę i ponownie sprawdziłam stan Louiego. Tętno i oddech były w normie. Głowa Louiego była przekrzywiona, szyja wyprężona tak, że wyraźnie było widać ranę. Ślady ukąszenia goiły się. Nie na tyle, abym to mogła zaobserwować, ale za każdym razem ślad wyglądał lepiej. To tak, jakbym chciała zobaczyć, jak rozkwita kwiat. Efekt jest widoczny, choć kolejne fazy trudno uchwycić.

Louie się wylize. A czy Richardowi nic nie będzie? Byłam gotowa powiedzieć tak, bo w tej chwili naprawdę w to wierzyłam. Mogłam spędzić z nim całe życie. Zanim Bert mnie odkrył i pokazał, jak mogę wykorzystać mój talent, miałam własne życie. Wyjeżdżałam na wycieczki, na piesze rajdy, zrobiłam dyplom z biologii, myślałam o magisterium oraz doktoracie i o tym, że chcę zajmować się istotami nadnaturalnymi. Byłam jak nadnaturalna Jane Goodall. Richard przypomniał mi to wszystko i moje dawne wyobrażenia o dalszym życiu. Nie planowałam, że będzie ono pełne krwi, przemocy i śmierci. Naprawdę.

Gdybym uległa Jean-Claude'owi, niejako przyznałabym, że nie ma niczego prócz śmierci, niczego prócz przemocy. Byłoby to zmysłowe, atrakcyjne, ale nad wszystkim unosiłoby się widmo śmierci. Sądziłam, że przy Richardzie mam szansę na normalność. Na coś lepszego. Po ostatniej nocy nie byłam już tego taka pewna. Czy prosząc o kogoś, kto byłby człowiekiem, prosiłam o zbyt wiele? A niech to, znałam wiele kobiet w moim przedziale wiekowym, które w ogóle nie chodzą na randki. Dopóki nie poznałam Richarda, ja także się do nich zaliczałam. No dobrze, od czasu do czasu wychodziłam z Jean-Claude'em, ale starałam się go unikać.

Nie wyobrażałam sobie, abym się spotykała z Jean-Claude'em jak z pierwszym lepszym facetem. Mogłam wyobrazić sobie uprawianie z nim seksu, ale randki nie wchodziły w rachubę. Niepodobna, żeby zjawiał się po mnie o dwudziestej, a potem odwoził do domu,

# zadowalając się pocaRSunkiem na do widzenia. To niedorzeczne.

Wci aż klęczałam na fotelu, wpatrując się w Louiego. Bałam się odwrócić i poczuć si swobodnie, czułam strach, że zasnę i już się nie obudzę. No, nie tyle strach, ile raczej martwiłam się tym. Może powinnam się przebadać w szpitalu, ale najpierw musiałam powiedzieć Jean-Claude'owi o Richardzie. I dopilnować, aby wampir nie spróbował uśmiercić wilkołaka.

Oparłam głowę o przedramiona i od mojego czoła zaczął promieniować pulsujący, tępy ból. To dobrze. Po takim łomocie, jaki mi spuszczone, powinna mnie boleć głowa. Trochę się martwiłam, że nic mi nie dolega. Z bólem głowy da się żyć.

Jak miałam utrzymać Richarda przy życiu? Uśmiechnęłam się. Richard był samcem alfa. Skąd przypuszczenie, że nie potrafi o siebie zadbać? Widziałam, co potrafi Jean-Claude. Widziałam go, gdy odrzucał wszelkie pozory człowieczeństwa. Może gdy ujrzę przemianę Richarda, też będę myśleć o nim inaczej. Może nie będę wobec niego tak opiekuńcza. Tak. A piekło zamarźnie.

Kochałam Richarda. Naprawdę. Mówiąc tak, nie żartowałam. Jeszcze wczoraj rzeczywiście tak myślałam. Zanim poczułam jego moc przetaczającą się po mojej skórze. Jean-Claude miał rację co do jednego. Richard nie był człowiekiem. Film z zarejestrowanym zabójstwem zwyczajnie go podniecił. Czy Jean-Claude pojmował seks w jeszcze dziwniejszy sposób? Nigdy się nie dowiem. Nie dopuszczę do tego.

Ktoś zapukał w szybę. Obróciłam się gwałtownie. Zrobiło mi się ciemno przed oczami. Gdy odzyskałam zdolność widzenia, ujrzałam twarz Richarda.

Odblokowałam drzwi, a Richard otworzył jedno z nich. Już miał wyciągnąć do mnie rękę, gdy nagle znieruchomiał. Wyraz niepewności na jego twarzy był niemal bolesny. Nie był pewien, czy pozwolę mu się dotknąć. Odwróciłam się. Nie chciałam oglądać jego nieszczęśliwej miny. Kochałam go, ale miłość to za mało. Te wszystkie baśnie, opery mydlane i romanse to jeden wielki stek kłamstw. Miłość nie przewycięża wszystkiego.

Starał się nawet mnie nie musnąć. Miał beznamiętny głos. — Wszystko w porządku, Anito? Wyglądasz okropnie.

# — Miło wiedzie*RS*ze wyglądam tak, jak się czuję — odparłam.

Dotknął mojego policzka, przesuwając palcami po skórze tak lekko, że ów widmowy kontakt przyprawił mnie o gwałtowny dreszcz. Musnął brzeg zadrapania. Zabolało. Cofnęłam się raptownie. Na koniuszkach jego palców dostrzegłam krew. Zalśniła w świetle lampki. Obserwowałam jego reakcję na widok krwi. I w szczyrych, brązowych oczach ujrzałam zadumę. Niewiele brakowało, aby — tak jak Rafael — oblizał palce do czysta. Wylał palce w kurtkę, ale wychwyciłam jego zawahanie. Wiedział, że to dostrzegłam.

— Anito...

Tylne drzwi otworzyły się, a ja obróciłam się jak fryga, sięgając po ostatni nóż, jaki mi jeszcze pozostał. Świat zawirował w falach mdłości i czerni. Ruch był zbyt gwałtowny. W uchylonych drzwiach stał, gapiąc się na mnie, wilkołak — Stephen. Zastygł w bezruchu, wybałuszając niebieskie oczy. Patrzył na srebrny nóż w moim ręku. Jakoś nie zwracał uwagi na to, że prawie nic nie widzę i targają mną mdłości. Może sprawił to fakt, że klęczałam, przesuwając się w jego stronę. Byłam skłonna dźgnąć nożem na oślep, nie zważając na to, że ktokolwiek tam się znalazł, mógł być przyjacielem.

— Nie mówiłeś, że zabierzesz kogoś ze sobą — mruknęłam.

— Powiniennem był wspomnieć. Rozluźniłam się i klęcząc, oparłam się ciężko o oparcie fotela.

— Owszem, powinieneś... — Nóż rozbłysnął w świetle sufitowej lampki. Wyglądał na bardzo ostry i dobrze utrzymany.

Tak było.

— Sprawdź , co z Louiem — powiedział Stephen. Miał drżący głos. Nosił czarną kurtkę ze srebrnymi ćwiekami, zapiętą aż pod szyję. Długie, kręcone, jasne włosy opadały aż na kurtkę. Wyglądał jak zniewieściały motocyklista.

— Jest dobrze — oznajmił.

Skupił wzrok na Richardzie. Bardziej poczułam, niż zobaczyłam, że Richard kiwnął głową.

— W porządku, Stephenie. — w jego głosie było coś, co skłoniło mnie, abym powoli odwróciła głowę i spojrzała na niego.

# Miał dziwny wyraz twarzy. *RS*

— Może faktycznie jesteś tak niebezpieczna, jaką udajesz. — Ja nie udaję, Richardzie. Skinął głową.

— Może nie.

— Masz z tym jakiś problem?

— Chyba nie, dopóki nie zaczniesz strzelać do mnie albo do członków mego stada.

— Nie mogę ci nic obiecać, jeżeli chodzi o stado.

— Oni są pod moją ochroną.

— Wobec tego dopilnuj, aby zostawili mnie w spokoju. — Mogłabyś stanąć ze mną do walki za coś takiego? — A ty?

Uśmiechnął się, ale nie był zadowolony.

— Nie mógłbym z tobą walczyć, Anito. Nie skrzywdziłbym cię.

Nigdy.

— I tu się różnimy, Richardzie.

Nachylił się, jakby chciał mnie pocałować. Coś, co spostrzegł, zapewne wyraz mojej twarzy, sprawi ło, że tego nie zrobił. — Wierzę ci.

— To dobrze — odparłam. Wsunęłam nóż na powrót do pochwy.

Ca ły czas patrzyłam mu prosto w oczy. Nie musiałam spoglądać na nóż, chowając go. Miałam wprawę.

— Nigdy mnie nie lekceważ, Richardzie, i tego, co jestem w stanie zrobić, aby pozostać przy życiu.

A także by zachować przy życiu innych. Nie chcia

do zadrażnień, ale je

am, żeby między nami kiedykolwiek doszło li nie będziesz w stanie zapanować nad stadem, prędzej czy później to nastąpi.

Odstąpił ode mnie. Na jego twarzy malował się słabo skrywany gniew.

— Grozisz mi?

# — Sprawy wymykaj *RS* ą się spod kontroli i wiesz o tym doskonale.

Nie obiecuję, że ich nie skrzywdzę, o ile ty nie będziesz mi w stanie przyrzec, że będą się zachowywać jak należy.

— Nie. Tego nie mogę zagwarantować. Powiedział to z żalem.

— Wobec tego nie proszę mnie o obietnicę, że z mojej strony nie spotka ich nic złego.

— Czy mogłabyś przynajmniej rozważyć opcję, że nie będziesz próbowała ich tak od razu pozabijać? Zamyśliłam się przez chwilę.

— Nie wiem. Może.

— Nie mogłabyś powiedzieć po prostu: „Tak, Richardzie, nie pozabijam twoich przyjaciół”?

— Wolałabym nie kłamać. Skinął głową.

— Jasne. Rozumiem.

Z tylnego siedzenia dobiegło mnie skrzywienie skóry, gdy Stephen kręcił się w tę i z powrotem.

— Louie jest nieprzytomny, ale wyliże się.

— Jak go wpakowałaś do tego džipa? — zapytał Richard.

Wystarczyło, że na niego spojrzałam. Miał w sobie dość przyzwoitości, aby udąć zażenowanie.

— Donosiłaś go tutaj. Wiedziałem. — Delikatnie dotknął skaleczenia na moim czole. Nadal bolało.

— Mimo tych obrażeń dotaszczyłaś go do samochodu.

— Miałam do wyboru — przydzwigać go tu albo zostawić, żeby znalazła go policja. Co by się stało, gdyby wpakowali go do karetki, a jego rany ot tak, zaczęły goić się same?

— Zorientowaliby się, czym jest — odparł Richard.

Stephen oparł się o fotel, podbródek złożył na ugiętych przedramionach. Chyba zapomniał już, że prawie pchnęłam go nożem, albo przywyk do tego, że mu grożono. Kto wie? Z bliska jego oczy były błękitne jak chabry. Z jasnymi, długimi włosami wyglądał niczym jedna z porcelanowych lalek, które można kupić w ekskluzywnych sklepach i którymi nigdy nie wolno bawić się dzieciom.

# — Mogę zabrać *RS* Louiego do siebie — powiedział.

— Nie.

Obaj spojrzeli na mnie zaskoczeni. Nie byłam pewna, co powinnam powiedzieć, ale wiedziałam, że Richard nie może udać się ze mną do Drapieżnych; Żądz.

Jeżeli chciałam zachować nas oboje przy życiu, Richard nie mógł być obecny podczas ogłaszania przeze mnie nowin Jean-Claude'owi.

— Pomyślałem, że odwiozę cię do domu — rzekł Richard. — Albo do najbliższego szpitala, gdyby to było konieczne.

Może powinnam na to przystać, ale nie mogłam. Nie teraz. Nie tej nocy.

— Louie to twój najlepszy przyjaciel. Pomyślałam, że chcesz się nim zająć.

Popatrzył na mnie podejrzliwie spod półprzymkniętych powiek.

— Próbujesz się mnie pozbyć. Dlaczego?

Bolała mnie głowa. Nie byłam w stanie wymyślić przekonującego kłamstwa. A kiepskiego raczej by nie kupił.

— W jakim stopniu ufasz Stephenowi? Pytanie najwyraźniej zbiło go z tropu.

— Ufam mu.

W pierwszym odruchu chciał powiedzieć: „Tak, ufam mu”, ale nie poddał się impulsowi. Po prostu nigdy się nad tym nie zastanawiał.

— Nie, Richardzie, chodzi mi o to, czy jesteś pewien, że potrafi trzymać język za zębami, zarówno jeżeli chodzi o Marcusa, jak i Jean-Claude'a.

— Nie powiedziałbym Marcusowi nic, czego byś sobie nie życzył — odparł Stephen.

— A Jean-Claude'owi? — zapytałam. Stephen miał niewyraźną minę, jednak odrzekł

— Gdyby zadał konkretnej odpowiedzi.

— Jak to możliwe, że jesteś bardziej oddany Mistrzowi Miasta niż przywódcy twego własnego stada?

— Popieram Richarda, nie Marcusa. Zerknęłam na Richarda.

— Mały przewrót pałacowy?

— Raina chciałRSa, aby brał udział w filmach.

## Wkroczyłem i

położyłem temu kres.

— Marcus musi ci ę naprawdę nienawidzić — stwierdziłam. — Boi się mnie — stwierdził Richard.

— Tym gorzej — mruknęłam.

Richard milczał. Znał sytuację lepiej ode mnie, nawet jeśli nie miał ochoty dokonać ostatecznych posunięć.

— W porządku. Postanowiłam powiedzieć Jean-Claude'owi o twoich oświadczeniach.

mi konkretne pytanie, musiałbym udzielić — Oświadczyłeś się? — wtrącił Stephen. W jego głosie pobrzmiwała nuta zdumienia. — I co, powiedziała „tak”? Richard skinął głową. Stephen rozpromienił się.

— Ale odjazd! — Nagle się zasmucił. Jakbym oglądała smagane wiatrem pole, na jego twarzy było widać każdą emocję, dosłownie wszystko. — Jean-Claude się wścieknie.

— Sama nie ujęłabym tego lepiej.

— Czemu więc chcesz mu to wyjawić już dziś? — zapytał

Richard. — Dlaczego z tym nie zaczekasz? Przecież nie masz wcale pewności, czy na prawdę chcesz za mnie wyjść. A może się mylę? — Nie — oznajmiłam. Nie chciałam tego powiedzieć, ale taka

była prawda. Kochałam go, jednak pewnych rzeczy nie mogłam dłużej ukrywać. Jeżeli miałam jakiegokolwiek wątpliwości, musiałam uporać się z nimi już teraz. Gdy tak patrzyłam na jego oblicze, chłonąc słodkawy aromat płynu po goleniu, miałam chęć zrezygnować ze swych przyzwyczajzeń i odrzucić precz ostrzeżenia, które podpowiadał mi zdrowy rozsądek. Chciałam rzucić mu się w ramiona. Ale nie mogłam. Po prostu nie mogłam, dopóki nie zyskam absolutnej pewności.

— W takim razie po co chcesz mu o tym powiedzieć? O ile nie zamierzasz uciec bez sowa z jakimś gachem, nie musimy się spieszyć z ogłaszaniem komukolwiek wieści o naszych zaręczynach. Westchnęłam. I wyznałam mu, dlaczego muszę to zrobić tej nocy.



# — Nie możesz pój*RS*ć tam ze mną.

— Nie puszczę samej — odparł.

— Richardzie, je li będziesz obecny przy tym, jak opowiem Mistrzowi o tym, co nas łączy, na pewno spróbuje cię zabić; wówczas ja, aby ochronić cię, postaram się zabić jego. — Pokręciłam głowę.

— Gdyby coś poszło nie tak, cała sprawa mogłaby się skończyć jak w Szekspirowskim *Hamlecie*.

— To znaczy jak? — wtrącił Stephen.

— Że wszyscy giną — wyjaśniłam.

— Aha.

— Zabiłabyś Jean-Claude'a, aby mnie ochronić, nawet po tym, co ujrzałaś wczorajszej nocy?

Zerknęłam na niego. Spróbowałam wejrzeć w jego oczy i przekonać się, czy kryje się w nich jakaś inteligencja, ktoś, z kim mogłabym rozsądnie pogadać.

Wciąż był Richardem. Tym Richardem, który kochał przyrodę i aktywny wypoczynek, polegający głównie na taplaniu się w błocie oraz szwendaniu się po jaskiniach, i który uśmiechał się tak, że rozpalał mnie w jednej chwili od stóp do głów. Nie byłam pewna, czy mogłabym go poślubić, ale z całą pewnością nie pozwoliłabym, aby ktoś go zabił.

— Tak.

— Nie jesteś gotowa wyjść za mnie, choć mogłabyś z mojego powodu posunąć się do zabójstwa. Nie rozumiem.

— Zapytaj mnie, czy wciąż cię kocham, Richardzie. Odpowiedź nadal brzmi „tak”.

— Jak mógłbym pozwolić, abyś zmierzyła się z nim w pojedynku?

— I bez ciebie świetnie sobie radziłam. Dotknął mojego czoła. Skrzywiłam się.

— Nie wyglądasz dobrze — zmartwił się.

— Jean-Claude nic mi nie zrobi.

— Nie masz pewności — odparł. Miał rację.

— Nie jesteś w stanie mnie ochronić, Richardzie. Jeśli pójdiesz ze mną, zginiemy oboje.

— Nie pozwolę ci iść tam samej.

— Nie zgrywaj przede mną macho, Richardzie. Nie możemy

# sobie na to pozwolić *RS*śli przyjęcie przeze mnie twoich oświadczyn

ma sprawi ć, że zaczniesz si ę zachowywać jak idiota, chyba powinnam je odrzucić.

— A więc mówisz „nie”.

— Nie powiedziałam tego — odparłam.

— Odrzucasz mnie tylko dlatego, że próbuję cię chronić?

— Nie potrzebuję twojej ochrony Richardzie. I wcale jej nie chcę.

Oparł głowę o zagłówek i zamknął oczy.

— Gdy spróbuję odgrywać przed tobą rycerza w lśniącej zbroi, odejdiesz.

— Jeżeli uważasz, że musisz odgrywać rycerza to znaczy, że w ogóle mnie nie znasz.

Otworzył oczy i odwrócił głowę, aby na mnie spojrzeć.

— Może ja chcę być twoim rycerzem w lśniącej zbroi?

— To twój problem. Uśmiechnął się.

— Chyba tak.

— Jeśli odprowadzisz dżipa pod mój dom, złapie taksówkę.

— Stephen może cię podwieźć — odparł. Zgłosił go na ochotnika, nie zastanawiając się nawet, co o tym mógł sądzić Stephen. To było takie aroganckie.

— Nie. Pojadę taksówką.

— Nie mam nic przeciwko temu — odezwał się Stephen. — I tak muszę jeszcze tej nocy wrócić do Drapieżnych Żądź.

Spojrzałam na niego.

— Czym ty się właściwie zajmujesz, Stephanie? Oparł policzek na przedramieniu i uśmiechnął się do mnie. Wyglądał ujmująco i seksownie zarazem.

- Jestem striptizerem — wyznał. Oczywiście. Chciałam zapytać, jak to możliwe, że odmówił udziału w filmie

pornograficznym, a mimo to rozbierał się na scenie. Tyle że zrzucanie ciuchów, aby pozostać w zmysłowych gątkach, nie jest tym samym co uprawianie seksu przed kamerą. Ani trochę.

## Rozdział dwudziesty trzeci

L

illian była niedużą kobietą po pięćdziesiątce. Szpakowate włosy miała przycięte krótko i elegancko. Jej palce były równie szybkie i pewne, jak cała reszta. Ostatnim razem, gdy opatrywała moje rany, miała pazury i była porośnięta siwą sierścią.

Siedziałam na łóżku w podziemiach apartamentowca. W budynku tym gnieździły się lykantropy, a sama budowla należała do zmiennokształtnego. W piwnicy założono prowizoryczną klinikę dla lykantropów z okolicy. Byłam pierwszą śmiertelniczką, której pozwolono ujrzeć to miejsce. Powinno mi to schlebiać, ale starałam się nie pokazywać tego po sobie.

— Cóż, wedle wyników prześwietlenia nie masz pękniętej czaszki.

— Miło mi to słyszeć — odparłam.

— Możesz mieć lekkie wstrząśnienie mózgu, ale nasze testy takich nie wykazują, a w każdym razie nie sposób go stwierdzić przy użyciu dostępnej tutaj aparatury.

— A więc mogę już iść? — Spuściłam nogi, zamierzając wstać z łóżka.

Powstrzymała mnie, kładąc mi rękę na ramieniu.

— Tego nie powiedziałam.

Wróciłam na łóżko.

— Słucham.

# — Nie spodoba ci si*RS* ę to.

— Lillian, nie spodziewaj się z mojej strony gromkiego aplauzu. Nie jestem z tych, co uzalają się nad sobą i byle drobnostka sprawia, że wypadają z obiegu.

— Coś wiem na ten temat — odparła. — Oczyszczałam zadrapania i założyłam ci na czoło opatrunek. Miałaś dużo szczęścia, że obyło się bez szwów.

Nie cierpi ę szwów, więc byłam równie zadowolona jak Lillian. — Chcę, abyś budziła się co godzinę przez następną dobę. Chyba miałam nietęgą minę, bo dodała:

— Wiem, że to nic przyjemnego i zapewne okaże się zbędne, ale

zastosuj si ę do moich zaleceń. Gdybyś zasnęła, a obrażenia okazałyby się poważniejsze, niż przypuszczam, mogłabyś się już nigdy nie obudzić. Wobec tego choć raz zrób to, o co cię prosi stara szcurzyca. Nastaw sobie budzik albo niech ktoś budzi cię co godzinę przez następną dobę.

— Przez dwadzieścia cztery godziny od odniesienia obrażeń? — spytałam z nadzieją.

Zaśmiała się.

— Zazwyczaj powiedziałabym, że od teraz, ale w twoim przypadku może być, że odkąd odniosłaś te obrażenia. Zachowajmy niezbędną ostrożność.

— Lubię zachowywać ostrożność. — Richard odstąpił od ściany. Podszedł i stanął obok nas. — Zgłaszam się na ochotnika do budzenia cię przez kolejne dwadzieścia cztery godziny.

— Nie możesz i ść ze mną — zaproponowałam.

— Zaczekam na ciebie w twoim mieszkaniu.

— A, jeszcze jedno, dzisiejszej nocy nie prowadź auta — zastrzegła Lillian. — Tak dla bezpieczeństwa.

Koniuszki palców Richarda dotknęły wierzchu mojej dłoni. Nie próbował wziąć mnie za rękę, po prostu leciutko ją musnął. To pocieszające. Nie wiedziałam, co zrobić. Gdybym zaproponowała, cały ten flirt z Richardem nie miałby sensu. Ale jego dotyk, lekkie dotknięcie palców sprawiło, że fala ciepła przeniknęła moje ramię.

# Pożądanie, to tylko poRSządanie. Boże, po co mi to było?

— Jeśli się zgodzisz, odprowadzę twojego dżipa. Stephen może zawieźć cię do Drapieżnych Żądź.

— Wezmę taksówkę.

— Wolałbym jednak, żeby Stephen cię odwiózł. Proszę. Zgódź się — powiedział.

Na dźwięk słowa „proszę” uśmiechnęłam się.

— Dobrze. Stephen mnie odwiezie.

— Dziękuję — rzekł Richard.

— Nie ma za co.

— Zalecałabym, abyś pojechała prosto do domu i odpoczęła — wtrąciła Lillian.

— Nie mogę — odparłam. Spojrzała srogo.

— No dobrze, ale postaraj się załatwić, co masz do załatwienia, możliwie jak najszybciej. Teraz potrzebujesz przede wszystkim odpoczynku. Jeśli masz lekkie wstrząśnienie mózgu i przeforsujesz się, twój stan znacznie się pogorszy. A jeśli nawet nie masz wstrząsu, odpoczynek i tak dobrze ci zrobi.

— Dziękuję, pani doktor — powiedziałam.

Zachnęła się.

— Wiem, że i tak nie będziesz zważać na moje zalecenia. Ale ja naprawdę dobrze radzę wam obojgu. Jeśli nie będziesz postępować zgodnie ze zdrowym rozsądkiem, przejedziesz się na tym. I to mocno.

Ześlizgnęłam się z łóżka. Richard nie zaoferował mi pomocy. Nie bez powodu spotykali śmy się od tak dawna. Parę chwil na uporanie się z zawrotami głowy i byłam gotowa do wyjścia.

Lillian nie wyglądała na zadowoloną.

— Powiedz, że te zwroty głowy nie były bardzo silne.

— Słowo skautki. Skinęła głową.

— Niech ci będzie. — Nie wierzyła moim zapewnieniom, ale poklepała mnie po ramieniu i wyszła. Nie sporządziła żadnych notatek. Nie było karty, w którą mogłaby zerknąć. Żadnych śladów

# świadczących, że tu by *RS*am, jeśli nie liczyć paru kłębków

przesiąkniętej krwią waty. Taki układ w zupełności mi pasował. Miłe miejsce. Naprawdę.

W drodze tutaj, w aucie trochę ę się uspokoiłam i wyciszyłam. Sam fakt, że nie musiałam przebywać w towarzystwie nagich facetów ani prowadzić, okazał się bardzo pomocny. Naprawdę poczułam się lepiej i było mi w to graj, zwłaszcza że niezależnie od samopoczucia musiałam jeszcze tej nocy spotkać się z Jean-Claude'em. Zastanawiałam się, czy Gretchen dałaby jedną noc spokoju, gdyby posłała mnie do szpitala. Zapewne nie.

Nie mogłam odwlekać tego dłużej. Pora ruszać w drogę.

— Muszę już iść, Richardzie. Położył mi ręce na ramionach. Nie odsunęłam się.

Odwrócił mnie, abym na niego spojrzała. Nie opierałam się. Miał poważną minę.

— Chciałbym być tam z tobą.

— Już to przerabialiśmy — przypomniałam. Opuścił wzrok.

— To fakt.

Dotknęłam jego podbródka i spojrzałam mu w oczy.

— Tylko bez bohaterstczyzny, Richardzie. Obiecaj mi.

W jego oczach malowała się niezmierna niewinność.

— Nie wiem, o co ci chodzi.

— Bzdura. Nie możesz zaczekać na zewnątrz. Musisz zostać tutaj. Obiecaj mi to.

Opuścił ręce i odsunął się ode mnie. Oparł się dłońmi o drugie łóżko.

— Nie podoba mi się, że idziesz tam sama.

— Obiecaj, że zaczekasz tutaj albo w moim mieszkaniu. W grę wchodzą tylko te dwie możliwości, Richardzie.

Unikał mego wzroku. Podeszłam i dotknęłam jego ramienia. Niemal pulsowało od nagromadzonego napięcia. Nie wyczuwałam tej osobliwej, paranormalnej energii, ale nie miałam złudzeń, że była gdzieś tam, skryta pod powierzchnią, czekając na odpowiedni moment.

— Richardzie, spójrz na mnie.

Nie uniósł głowy. Jego długie włosy były jak dzielący nas parawan.

# Przesunęłam dłoń *RS*mi po tych falujących włosach i ujęłam ich pęk tuż

przy samej czaszce. Następnie zmusiłam go, aby uniósł głowę i spojrzał na mnie. Jego oczy wydawały się ciemniejsze niż zwykle, jakby jakiś obcy czynnik mącił ich normalną barwę.

Pojawiło się w nich coś jeszcze. Coś, co po raz pierwszy dostrzegłam ubiegłej nocy. Bestia wyłaniała się z głębi jego oczu niczym potwór morski, wypływający z mrocznej otchłani.

Ścisnęłam pęk jego włosów w dłoni, nie, aby zrobić mu krzywdę, lecz by zwrócić jego uwagę. Z gardła Richarda dobył się cichy dźwięk.

— Jeśli to spieprzysz, dając się ponieść błędnie rozumianemu męskiemu ego, zapłacę za twoją pomyłkę życiem.

Nie puszczając jego włosów, przyciągnęłam twarz Richarda ku swojej. Gdy dzieliła nas odległość zaledwie kilku centymetrów, tak łatwa do pokonania jednym pocałunkiem, dodałam:

— Jeśli się wmieszasz, zabijesz mnie. Czy to jest dla ciebie jasne?

Mrok w jego oczach zdawał się mówić „nie”. Dostrzegłam na jego twarzy oznaki intensywnej wewnętrznej walki.

— Tak — odrzekł po chwili. — Oczywiście, że tak.

— Zaczekasz na mnie w domu?

Pokiwał głową, niemal uwalniając się z mojego uścisku. Miałam ochotę przyciągnąć go do siebie. Pocałować. Staliśmy tak w zupełnym bezruchu, przepełnieni wahaniem. To on zbliżył się do mnie.

Nasze usta zetkn

warg. Z odległość

nawzajem. Jego oczy wygl

ęły się. To było lekkie, delikatne muśnięcie ci kilku centymetrów spojrzeliśmy na siebie

adały jak bezdenne otchłanie, a zaraz potem poczułam, jakby przeszedł mnie prąd. To wrażenie przeniknęło mnie na wskroś.

Odsunęłam się od niego.

— Nie, jeszcze nie. Sama nie wiem, co właściwie do ciebie czuję. — Twoje ciało wie — odparł.

# — Gdyby chodzi*RS*o tylko o pożądanie, byłabym z

Jean-Claude'em.

Sposepniał, jakbym go spoliczkowała.

— Jeśli naprawdę nie zamierzasz więcej się ze mną umawiać,  
nie mów o tym Jean-Claude'owi. Nie warto. Nie musi o tym wiedzieć.

Wyglądał na przybitego. Sprawiał wrażenie, jakbym złamała mu serce. A ja wcale tego nie  
chciałam.

Położyłam dłoń na jego ramieniu. Skórę miał gładką, ciepłą, realną.

— Jeżeli zdołam tego uniknąć, nie wspomnę mu o tym ani słowem, ale nie wiem, co będzie z  
Gretchen. Ona może mnie do tego przymusić. Poza tym Jean-Claude potrafi wyczuć, kiedy ktoś  
kłamie. Oświadczyłeś się, a ja powiedziałam „tak”.

— Wyjaśnij mi, że zmieniłaś zdanie, Anito. I dlaczego. To mu się spodoba. Ucieszy się, gdy usłyszysz,  
że nie jestem dla ciebie dość ludzki. — Odsunął się przed moją dłońią.

— Jean-Claude będzie się napawał twoimi słowami.

W jego głosie wyczuwało się rozgoryczenie i gniew. To rozzalenie rozdzierało serce. Nigdy tak do  
mnie nie mówił. Pierwszy raz usłyszałam w tonie jego głosu coś takiego. Nie mogłam dłużej tego  
znieść. Podeszłam i z tyłu objęłam go ramionami w pasie. Wtuliłam twarz w jego plecy. Oparłam się  
policzkiem o zagłębienie pomiędzy barkami Richarda. Chciał się odwrócić, ale tylko wzmogłam  
uścisk. Znieruchomiał w moich ramionach. Jego dłonie, zrazu nieśmiało, dotknęły moich ramion, po  
czym zacisnęły się na nich. Jego ciałem wstrząsnął dreszcz. Spomiędzy rozchylonych warg dobyło się  
zduszone westchnienie.

Odwróciłam go ku sobie. Na jego policzkach błyszczały łzy. Jezu, nie potrafię sobie radzi  
gotowa jestem obieca

ć z płaczącymi facetami. W takiej sytuacji mężczyźni wszystko, byle tylko przestał płakać.

— Już dobrze — powiedziałam. Koniuszkiem palca dotknęłam jednej łzy. Przywarła, drżąca, do  
mojej skóry.

— Proszę, Richardzie, nie pozwól, aby to cię załamało. Błagam.

— Nie mogę sta się znowu człowiekiem, Anito. — jego głos zabrzmiał całkiem normalnie. Gdyby nie  
łzy, nie zorientowałabym



# się, że płakał *RS*. — Gdybym tylko mógł, stałbym się nim, dla ciebie.

— Może ja wcale nie pragnę zwykłego człowieka, Richardzie. Sama nie wiem. Daj mi trochę czasu. Jeżeli nie potrafię pogodzić się z faktem, że porastasz sierścią, lepiej, abym uświadomiła to sobie już teraz.

Poczułam się fatalnie. Odniosłam wrażenie, że jestem małośtkowa i podła. Był taki cudowny. Kochałam go. Chciał, abym za niego wyszła. Był nauczycielem. Uwielbiał wędrówki po górach, wyprawy speleologiczne i wypady na biwak. I, na Boga kolekcjonował musicale. Nie mówiąc już o tym, że był następnym w kolejności pretendencją do miana przywódcy stada. Wilkołak alfa. Cholera.

— Potrzebuję czasu; Richardzie. Przykro mi, ale taka jest prawda. Czułam się paskudnie, wypowiadając te słowa. Nigdy dotąd nie wydawałam się równie niezdecydowana.

Pokiwał głową, ale to chyba go nie przekonało.

— Boisz się być ze mną, lecz jesteś gotowa ryzykować życie, stawiając czoło Jean-Claude'owi. To bez sensu.

Musiałam mu przyznać rację.

— Richardzie, zrozum, muszę z nim dziś porozmawiać. Nie chcę kolejnej konfrontacji z Gretchen. O ile mogę temu zapobiec, zrobię wszystko, aby taka sytuacja już się nie powtórzyła.

Richard powiódł dłońmi po twarzy. Przeczesał palcami włosy.

— Tylko nie daj się zabić.

— Postaram się — odparłam.

— Obiecuj — poprosił.

ó: „Obiecuję”, ale nie zrobiłam tego. adać obietnic, których być może nie będę w Chciałam powiedzieć

— Nie mogę sk stanie dotrzymać.

— Czy nie mog mojego samopoczucia?

Pokręciłam głową

# — Nie. Westchn*RS*.

— Jesteś uczciwa do bólu.

— Muszę już iść. — Wyszłam, zanim zdołał powiedzieć coś więcej. Nie mogłam pozwolić, aby znów wciągnął mnie w dyskusję. Odnosiłam coraz silniejsze wrażenie, że robił to celowo. Że próbował mnie zatrzymać. Oczywiście sama mu na to pozwoliłam.

— Anito.

Byłam już prawie przy drzwiach. Odwróciłam się. Ujrzałam go stojącego w silnym świetle, z rękoma opuszczonymi wzdłuż boków. abyś po prostu skłamać? Ot tak, dla poprawy Wyglądał tak... bezradnie.

— Pocałowaliśmy się na do widzenia. Prosiłeś, abym na siebie uważała. Ja ostrzegłam cię, żebyś nie zgrywał bohatera. To wszystko, Richardzie. Nic już więcej nie zostało do powiedzenia.

— Kocham cię — rzucił.

A więc jednak można było coś dodać.

— Ja też cię kocham.

Cholera, to była prawda, gdybym tylko potrafiła pogodzić się z faktem, że porastał sierścią, mogłabym go poślubić. Jak zareagowałby na tę nowinę Jean-Claude? Cóż, tego można było dowiedzieć się tylko w jeden sposób.

## Rozdział dwudziesty czwarty

D

rapie źne Żądze mieszczą się w dzielnicy wampirów. Połyskujący krwawo neon lśnił pośród nocy, przepełniając czerń karmazynowa poświatą niczym luną

po żaru. Już od dawna nie zjawiałam się w tej okolicy po zmierzchu nieuzbrojona. No dobrze, miałam nóż i lepsze to niż ewentualna walka wręcz, ale w przypadku konfrontacji z wampirem, nie zdałby mi się na wiele.

Stephen by ł przy mnie. Wilkołak to niezły materiał na ochroniarza, ale jakimś dziwnym trafem Stephen nie wyglądał dostatecznie groźnie. Był tylko jakieś cztery, pięć centymetrów wyższy ode mnie i w dodatku tak szczupły, że gdyby nie szersze ramiona, miałby prawie kobiecą sylwetkę. Stwierdzenie, że nosił obcisłe spodnie, nie oddawało w pełni tego fenomenu. Były ze skóry i wyglądały, jakby zostały namalowane na jego ciele. Trudno było nie dostrzec, że miał jędrny, ponętny tyłek. Skórzana kurtka sięgała mu do pasa, więc nic nie przesłaniało ciekawszego widoku.

Ja znów mia łam na sobie czarny trencz. Trochę ubrudził się krwią, ale gdybym spróbowa a go doczyścić, byłby wilgotny. Gdy coś jest wilgotne, nie jest mnie w stanie ogrzać. Mój sweter, jeden z ulubionych, był rozdarty od barku aż do piersi. Bez płaszcza zmarzłabym. Gretchen była mi winna sweter. Może kiedy odzyskam swoje pistolety, porozmawiamy na ten temat.

Do zamkniętych drzwi wiodły trzy szerokie stopnie. Warował

# **RS** przy nich wampir Buzz. To najgorsze wampirze imię, jakie

poznałam. Fatalne nawet jak dla człowieka, a w dodatku Buzz wcale nie wyglądał jak rasowy wampir. Było to natomiast idealne imię dla wykidajły. Wysoki, muskularny, o czarnych, krótko przyciętych włosach. Miałam wrażenie, że nosi tę samą koszulkę, w której widziałam go w lipcu.

Wiedziałam, że wampiry nie mogą zamarznąć na śmierć, ale nie miałam pojęcia, że się nie przeziębiamy. Większość wampirów stara się naśladować ludzi. Zimą noszą płaszcze. Może nie muszą ich nosić, tak jak Gretchen nie musiała wyjmować noża tkwiącego w szyi. Może to wszystko jest jednym wielkim oszustwem.

Uśmiechnął się, błyskając kłami. Moja reakcja chyba go rozczarowała.

— Ominął cię jeden występ, Stephenie. Szef jest wściekły.

Stephen jakby skulił się w sobie. Buzz tymczasem wyprężył się jeszcze bardziej, zadowolony.

— Stephen mi pomagał. Wątpię, aby Jean-Claude miał coś przeciwko temu.

Buzz łypnął na mnie spode łba, dopiero teraz po raz pierwszy zobaczył moją twarz.

— Cholera, co ci się stało?

— Jeśli Jean-Claude będzie chciał, abyś to wiedział, powie ci — odparłam. Minęłam go. Na drzwiach wisiała wielka tablica z napisem: „Wnoszenie krzyżyków, krucyfiksów i innych relikwii wzbronione”.

Pchnięciem otworzyłam drzwi i ruszyłam dalej z krzyżykiem na szyi. Jeżeli będą chcieli dziś mi go odebrać, to tylko po moim trupie.

Stephen szedł tuż za mną, zupełnie jakby bał się Buzza. Buzz nie był starym wampirem, miał jakie dwadzieścia lat. Wciąż sprawiał wrażenie „żywego”. Nie potrafił, jak starsi krwio pijcy, stanąć w całkowitym bezruchu. Czemu więc wilkołak lękał się młodego wampira? Dobre pytanie.

Była niedzielna noc, w lokalu panował tłok. Czy ludzie nie musieli nazajutrz iść do pracy? Gwar omiół nas niczym fala niemal namacalnego hałasu. Te dźwięki zdawały się świadczyć, że

# przebywający wewn**R**Strz tłum ludzi naprawdę doskonale się bawił.

Światła w lokalu były zapalone. Scena świeciła pustkami. Trafiliśmy na przerwę między występami.

Przy drzwiach powitała nas blondynka.

— Czy ma pani przy sobie jakąś relikwię? — spytała z uśmiechem. Hostessa od relikwii.

— Nie — odparłam i także się uśmiechnęłam. Nie podała mojej odpowiedzi w wątpliwość, tylko uśmiechnęła się i odeszła.

Nagle odezwał się męski głos.

— Chwileczkę, Sheila.

Wysoki wampir, który zbliżył się do nas, był naprawdę przystojny. Miał wydatne, mocno zarysowane kości policzkowe i krótkie blond włosy ułożone wręcz doskonale. Zbyt męski, by być pięknym, i zbyt doskonały, aby być prawdziwym. Gdy zjawiłam się ostatnio, Robert pracował jako striptizer. Wyglądało na to, że robił szybką karierę. Sheila stała, popatrując niepewnie to na Roberta, to na mnie.

— Skłamała? Robert pokiwał głową.

— Witaj, Anito.

— Czołem. Teraz ty jesteś tu kierownikiem? Przytaknął.

Nie spodobało mi się, że został tu kierownikiem. Już raz mnie zawiódł, a raczej nie dopełnił wykonania poleceń Jean-Claude'a. I ktoś przez to zginął. Robert nawet nie próbował przeciwstawić się tamtym potworom. A powinien. Choćby miał zostać przy tym ranny. Nie domagałam się, aby wypełniał swe powinności za cenę własnego życia, ale powinien by łą bardziej się postarać. Nigdy mu w pełni nie zaufam ani nie przebaczę tej zdrady.

— Nosisz święty symbol, Anito. O ile nie jesteś tu służbowo, z polecenia policji, musisz przekazać ten przedmiot Sheili.

Zmierzyłam go wzrokiem. Miał niebieskie oczy. Otaksowałam go

# wzrokiem i stwierdzi<sup>RS</sup> am, że jestem w stanie wytrzymać jego

spojrzenie. Mia łem ponad sto lat, nie był tak potężny jak Gretchen, ale nie powinnam móc spojrzeć mu w oczy bezkarnie.

Zdziwił się.

— Musisz oddać rzecz. Takie są zasady.

Może fakt, że potrafi łaam wytrzymać jego spojrzenie, dodał mi odwagi, a może miałam już dość jak na tę noc.

— Czy jest tu Gretchen?

Zdziwił się jeszcze bardziej.

— Tak. Na zapleczu. Z Jean-Claude'em.

— Wobec tego nie oddam krzyżyka.

— A ja nie będę mógł cię wypuścić. Jean-Claude wydał w tej kwestii bardzo konkretne zalecenia.

W jego głosie pojawiła się nuta niepewności może nawet lęku. To dobrze.

— Przyjrzyj mi się uważnie, Robciu. To robota Gretchen. Jeżeli ona tu jest, zatrzymam krzyżyk.

Jego doskonałe czoło przecięty głębokie zmarszczki.

— Jean-Claude powiedział: żadnych wyjątków. — Postąpił krok w moją stronę.

Nie cofnęłam się. Zniżył głos, na tyle jednak, bym mogła go usłyszeć pośród hałasu panującego w lokalu.

— Powiedział, że jeśli jeszcze raz go zawiodę, niezależnie, w jaki sposób, ukarze mnie.

Zwykle uznałabym podobne pogrożki za przejaw okrucieństwa i zrobiłoby mi się żal potencjalnej ofiary. Ale Roberta nie żałowałam.

— Idź do Jean-Claude'a i zapytaj go — zaproponowałam.

Pokręcił głową.

— Nie mogę ci zaufać, że zechcesz tu zaczekać. Jeśli prześlizgniesz się z krzyżykiem obok mnie, będę skończony. Znow zawiodę Mistrza.

To zaczęło być ęczące.

— Czy Stephen może pójść go zapytać? Robert skinął głową.

Stephen wciąż warował tuż przy mnie. Nadal nie mógł się otrząsnąć po tym, co usłyszał od Buzza.

- Czy Jean-Claude jest na mnie zły, że zawałam jeden występ?

# — Gdy z jakiego*RS* powodu nie możesz wystąpić, powinieneś

zadzwoń i powiadomić o tym — odparł Robert. — Musiałem cię zastąpić.

— Miło być już ytecznym — wtrąciłam. Robert spojrział na mnie z ukosa.

— Stephen powinien był zadzwonić.

— Zawiózł mnie do lekarza. Co w tym złego?

— Jean-Claude'owi to może się nie spodobać.

— Wobec tego sprowadź go tu i niech sam nam to powie. Mam już dość sterczenia w drzwiach.

— Anito, jakże mi miło, że zaszczyciłaś nas swoją obecnością — zamruczała Gretchen, wyraźnie zniecierpliwiona.

— Robert nie chce mnie wpuścić.

Spojrziała na niego. Cofnął się o krok. Nawet nie zaczęła stosować wobec niego bardziej wymyślnych, magicznych sztuczek. Jak na stuletniego trupa, Robert był dość strachliwy.

— Czekaliśmy na nią, Robercie. Jean-Claude bardzo chce ją zobaczyć.

Przełknął ślinę.

— Zgodnie z zaleceniem nie wolno mi wpuścić do środka nikogo, kto nie jest z policji, a ma przy sobie jakąś relikwię. W tej kwestii nie ma żadnych ulg ani wyjątków. Sprawa jasna.

— Nawet w przypadku ukochanej mistrza. — powiedziała to z przekąsem.

Robert nie wychwycił ironii, albo może ją zignorował.

— Dopóki Jean-Claude nie wyda mi innego polecenia, nie wpuszczę jej z krzyżykiem.

Gretchen krążyła wokół nas. Nie byłam pewna które z nich wyglądało na bardziej przejęte.

— Zdejmij ten krzyżyk i miejmy to już za sobą Pokręciłam głową.

— Ani myślę.

— Wcześniej jakoś ci nie pomógł — warknęła. Miała rację. Dopiero teraz uświadomiłam sobie, że wcześniej nawet nie przyszło mi do głowy, aby wykorzystać do obrony krzyżyk. Korzystałam z broni palnej, a wierze nie chciałam zaufać. To smutne.

Przesunęłam palcami po chłodnym srebrze łańcuszka.

# — Krzyżyk zostaje. *RS*

— Oboje psujecie mi zabawę — rzekła. Nie podobał mi się ton jej głosu. Nie wróżył nic dobrego.

— Oddam ci jeden z twoich pistoletów — kusila.

Jeszcze przed chwilą przystałabym na propozycję, ale nie teraz. Czułam się zakłopotana, że wcześniej nie sięgnęłam po krzyżyk. To z pewnością zatrzymałoby ją na dystans. Może nie do tego stopnia, żeby nie próbowała mnie zaatakować, ale trochę na pewno. Była zbyt potężna. Jednak krzyżyk mógłby odegnać ją od Louiego. Postanowiłam, że odtąd nie opuszczę ani jednej mszy, nawet gdybym miała nie zmrużyć oka.

— Nie.

— Czy w ten sposób próbujesz wyłgać się z naszej umowy?

W jej cichym, ciepłym głosie po raz pierwszy pojawiła się nuta gniewu.

— Dotrzymam słowa — zapewniłam.

- Będę jej towarzyszyć, Robercie. — Uniosła

dłoń, by uciszyć jego protesty. — Jeśli Jean-Claude będzie miał do ciebie o to pretensje, powiedz, że zagroziłam, iż rozerwę ci gardło. — Podeszła do niego na odległość oddechu. Dopiero gdy stanęli blisko siebie, zauważyłam, że Robert był od niej wyższy o półtorej głowy. Gretchen wydawała się od niego większa.

— To nie jest kłamstwo, Robercie. Uważam, że jesteś słaby i nieprzydatny. Gdyby nie to, że mistrz potrzebuje nas obojga, zabiłabym cię już teraz. Jeśli nadal obawiasz się Jean-Claude'a, pamiętaj, że on chce, abyś żył. Ja nie.

Robert przełknął linę tak gwałtownie, że musiało go zabołec. Nie cofnął się. Punkt dla niego. Zbliżyła się doń jeszcze bardziej, a on odskoczył jak oparzony.

— Dobrze, już dobrze, wprowadź ją. Gretchen skrzywiła się z odrazą. Zgadzałyśmy się pod jednym względem — obie nie lubiłyśmy Roberta. Skoro miałyśmy ze sobą coś wspólnego, może



# było tego więcej. Mo *RSe* mogłybyśmy się zaprzyjaźnić. No jasne.

Ha łas w tle ucichł . Wszyscy zaczęli gapić się w naszą stronę. Robiliśmy małe widowisko.

— Czy teraz powinien się zacząć występ? — spytałam.

Robert pokiwał głową.

— Tak. Muszę go zapowiedzieć.

— Wracaj do swoich obowiązków, Robercie — wycedziła z pogardą.

Była w tym dobra.

Robert opuścił nas, najwyraźniej z ogromną ulgą.

— Mięczak — mruknełam pod nosem.

— Chodź, Anito. Jean-Claude na nas czeka. -Ruszyła przed siebie, długi, jasny płaszcz falował z tyłu.

Stephen i ja wymieniliśmy spojrzenia. Wzruszył ramionami. Pospieszyłam za nią, a Stephen za mną, jakby bał się, że mogę mu się zgubić.

Wnętrze gabinetu Jean-Claude'a wyglądało jak domino. Białe ściany, biały dywan, czarne, lakierowane biurko, czarny fotel biurowy, czarna, skórzana kanapa pod ścianą i dwa proste krzesła po drugiej stronie biurka. Zarówno biurko, jak i krzesła były w stylu orientalnym, ozdobione emaliowanymi wizerunkami żurawi i Azjatek w powłóczystych szatach. Zawsze podobało mi się to biurko, choć nigdy otwarcie nie przyznałabym się do tego.

W kącie stał czarny, lakierowany parawan. Nigdy wcześniej go nie widziałam. Był duży, zasłaniał cały róg pokoju. Parawan zdobiła podobizna pomarańczowo-czerwonego smoka z wyłupiastymi ślepiami. Stanowił miły dodatek do wystroju wnętrza. Pokój może nie był komfortowy, ale na pewno stylowy. Jak Jean-Claude.

Siedział na skórzanej kanapie, ubrany od stóp do głów na czarno. Koszula miała wysoki, sztywny kołnierzyk, który dotykał jego twarzy. Trudno było określić, gdzie kończyły się włosy, a zaczynała koszula. Pod szyją kołnierzyk był spięty wisiosem z rubinem wielkości kciuka. Koszula była rozpięta do pasa, odsłaniając trójkąt bardzo białej skóry. Jedyne wisior nie pozwalał, by koszula rozchyliła się do końca.

Mankiety były równie szerokie i sztywne jak kołnierzyk prawie

# całkiem zasłaniały d*R*Sonie. Uniósł jedną rękę i zobaczyłam, że

mankiety były po bokach rozcięte, by nie krępowały ruchów. Stroju dopełniały czarne dzinsy i aksamitnie czarne, wysokie buty. Widziałam już wcześniej ten wisior, ale koszula była całkiem nowa.

— Eleganckie wdzianko — pochwaliłam. Uśmiechnął się.

— Podoba ci się? — Poprawił mankiety, jakby to było konieczne.

— Miła odmiana po bieli — odparłam.

— Stephenie, spodziewaliśmy się ciebie znacznie wcześniej. — głos miał łagodny, ale w tle dało się wyczuć coś mrocznego i nieprzyjemnego.

— Stephen zawiózł mnie do lekarza. Ciemnogrnatowe oczy spoczęły na mnie.

— Czyżby twoje ostatnie śledztwo okazało się trudniejsze i niebezpieczniejsze, niż sądziłaś?

— Nie — odparłam. Zerknęłam na Gretchen. Patrzyła na Jean-Claude'a.

— Powiedz mu — rzuciła.

Nie sądziłam, aby chodziło o incydent z jej udziałem, wskutek którego omal nie rozstałam się z tym światem. Nadszedł czas wyłożyć karty, rozegrać uczciwą partię, choć niepozbawioną swoistego dramatyizmu. Byłam pewna, że Jean-Claude nas nie zawiedzie.

— Stephen musi już nas opuścić — powiedziałam. Nie chciałam, aby zginął, usiłując mnie chronić. Był mięsem armatnim. Nie nadawał się na nic innego. Zwłaszcza w konfrontacji z Jean-Claude'em.

# — Dlaczego? — zapyta *RS* ł podejrzliwym tonem.

— No, dalej — ponagli ła Gretchen. Pokręciłam głową. — Stephen nie musi tu by ć.  
— Wyjdź , Stephenie — rzucił Jean-Claude. Nie gniewam się, że  
opu ściłeś jeden wyst p. Ani-ta jest dla mnie ważniejsza niż twoja punktualność i obecno ść w  
pracy.

Miło było to słysze .

Stephen pokłonił się raz i drugi przed Jean-Claude'em, spojrział na mnie i zawahał się.

— Idź, Stephenie — poleciłam. — Poradzę sobie.

Nie musiałam powtarzać. Po chwili już go nie było.

— Co się dzieje, *ma petite*?

Spojrzałam na Gretchen. Nie odrywała od niego wzroku. Miała głodne spojrzenie, jakby od dawna  
czekała na tę chwilę. Wejrzałam w jego ciemnogrnatowe oczy i zorientowałam się, że nawet bez  
wampirzych znaków jestem w stanie to zrobić. Mogłam mu spojrzeć w oczy.

Jean-Claude także to zauważył. I chyba trochę się zdziwił.

— *Ma petite*, jesteś dziś pełna niespodzianek. Wątpiłam, by ta przypadła mu do gustu. Wzięłam  
głęboki oddech i wyrzuciłam z siebie potok słów, jakbym chciała mieć tę chwilę jak najszybciej za  
sobą.

— Richard poprosił mnie o rękę, a ja się zgodziłam.

Mogłam dodać: „Choć mam teraz w związku z tym pewne wątpliwości”. Nie zrobiłam tego. Byłam  
zbyt oszołomiona, by zakomunikować mu coś więcej prócz suchych faktów. Może gdyby spróbował  
mnie zabić, podałabym mu szczegóły. A na razie... postanowiłam czekać.

Jean-Claude tylko siedział i ani drgnął. Szczęknał grzejnik. Na ten dźwięk aż podskoczyłam. Przewód  
znajdował się nad kanapą. Powietrze igrało z jego włosami i materiałem koszuli, ale równie dobrze  
mogłam obserwować manekina. Włosy oraz ubranie falowały, reszta pozostawała niewzruszona jak  
głaz.

Cisza przedłużała się, wypełniając pokój. Grzejnik ucichł i w ciszy,

# jaka zapadła, usłysza*RS*am szum własnej krwi w uszach. To była cisza

przed burzą. Nieomal czuło się, że zbliża się coś gwałtownego, ale nie sposób było domyślić się co. Pozwoliłam, by ta cisza mnie otoczyła. Nie chciałam jej przerwać, bo nie wiedziałam, co mogło nastąpić. Ten niezwykły spokój wstrząsnął mną bardziej niż najstraszliwszy wybuch gniewu. Nie wiedziałam, co mam zrobić, więc nie zrobiłam nic. To reakcja, której rzadko żałuję.

Ciszę przerwała wreszcie Gretchen.

— Słyszałeś ją, Jean-Claude? Ma poślubić innego. Kocha innego. Mrugnął jeden raz, trzepocząc rzęsami.

— Spytaj ją teraz, czy mnie kocha, Gretchen. Stała przede mną, zasłaniając sobą Jean-Claude'a.

— A co to ma za znaczenie? Ma poślubić innego.

— Zapytaj ją — padł rozkaz.

Gretchen odwróciła się w moją stronę. Kości jej twarzy zarysowały się pod skórą, usta wykrzywił gniew.

— Nie kochasz go.

To w zasadzie nie było pytanie, więc nie odpowiedziałam. Głos Jean-Claude'a wydawał się leniwy i pełen mrocznych znaczeń, które były dla mnie niejasne.

— Kochasz mnie, *ma petite*?

Spojrzałam w wykrzywione wściekłością oblicze Gretchen.

— Pewnie mi nie uwierzysz, jeśli powiem, że nie — odparłam.

— Czy nie możesz po prostu powiedzieć: „tak”?

— Tak, jakaś pokrecona, mroczna cząstka mnie darzy cię miłością. Zadowolony?

Uśmiechnął się.

— Jak możesz go poślubić, skoro kochasz mnie?

— Jego również kocham, Jean-Claude.

— W ten sam sposób?

— Nie — odrzekłam.

— Jak możesz kochać każdego z nas inaczej? Pytania zaczynały być podchwytliwe.

— Jak mam to wyjaśnić ci, skoro sama tego nie pojmuję.

— Spróbuj.

— To, co łączy mnie z tobą, przypomina trochę którąś z szekspirowskich tragedii. Gdyby Romeo i Julia nie popełnili samobójstwa, po roku wzajemnie by się znienawidzili. Namiętność to odmiana miłości, ale nie jest prawdziwa. Nie zdoła przetrwać.

— Co czujesz do Richarda? — w jego głosie pobrzmiwały silne emocje. Powinnam odnaleźć wśród nich gniew, ale miałam z tym spore trudności. Jakby to były emocje, których nie umiałam nazwać.

—

Ja nie tylko kocham Richarda. Także go lubię. I przepadam za jego towarzystwem. A poza tym... — Nie musiałam tłumaczyć się komukolwiek. — Cholera, Jean-Claude, nie umiem wyrazić tego słowami. potrafię wyobrazić sobie, że spędzam resztę mego życia u boku Richarda, a obok ciebie jakoś siebie nie widzę.

— Ustaliliście już datę?

— Nie.

Przekrzywił głowę w bok, przyglądając mi się.

— To prawda, jednak wyczuwam też jakieś kłamstwo. Co przede mną ukrywasz, *ma petite*?

Zmarszczyłam brwi.

— Powiedziałam prawdę.

— Ale nie całą.

Nie chciałam mu tego wyjawić. Za bardzo go to bawiło. Czułam, że

zachowuję się niełojalnie wobec Richarda. Nie mogłam dopuścić, aby nabrał jakichś podejrzeń.

— Przeraził mnie. Poczułam jego... moc.

— I?

— I teraz nie mam już pewności — wyznałam.

— On także nie jest dla ciebie w dostatecznym stopniu człowiekiem. — Odchylił głowę i zaśmiał się. Ten słodki dźwięk oblepił mnie od stóp do głów jak czekolada. Był ciężki, gęsty, słodki i dławiący.

— Ona kocha innego — rzekła Gretchen. — Czy to ważne, że ma wątpliwości? Co do ciebie także je ma. Odrzuca cię, Jean-Claude. To ci nie wystarczy?

# — Czy to ty tak **jRS** urządziłaś? Krążyła w koło jak tygrysica w

klatce.

— Ona nie kocha cię tak jak ja. — Ukłękła przed nim, dotykając dłońmi jego nóg i wpatrując się w jego oblicze. — Proszę, ja tak cię kocham. Zawsze cię kochałam. Zabij ją albo pozwól, aby wyszła za tamtego. Nie zasługuje na twoje uwielbienie. Zignorował ją. — Nic ci nie jest, *ma petite*?  
— W porządku.

Gretchen wpiła palce w jego dzinsy, zaciskając dłonie z całej siły. — Błagam! Błagam! Nie lubiłam jej, ale ten ból, beznadziejna rozpacz w jej głosie były nie do zniesienia. Próbowала mnie zabić, a mimo to było mi jej żal. — Zostaw nas, Gretchen.  
— Nie! — Przywarła do niego.

— Zabroniłem ci podnosić na nią rękę. Nie usłuchałaś. Powinienem cię zabić.

Wciąż klęczała, wpatrując się w niego. Nie widziałam wyrazu jej twarzy, i bardzo dobrze. Nie przepadam za przejawami uwielbienia. — Jean-Claude, błagam, błagam. Zrobiłam to tylko dla ciebie.

Ona cię nie kocha.

Jego ręka nagle oplotła jej szyję. Nie dostrzegłam tego ruchu.

Magia.

Cokolwiek sprawiło, że mogłam mu patrzeć w oczy, nie zapobiegło jego mentalnym sztuczkom. A może po prostu był aż tak szybki. Nie.

Próbowала coś mówić. Zacisnął palce i odtąd mogła jedynie wydawać z siebie krótkie, zduszone odgłosy. Wstał, zmuszając ją, aby też się podniosła. Objęła rękami jego nadgarstek, aby jej nie udusił. A on dźwignął ją w górę tak, że prawie nie dotykała stopami podłogi. Wiedziałam, że mogłaby z nim powalczyć. Czułam moc drżącą w tych — zdawałoby się — delikatnych rękach. Ale pomijając zaciśnięcie dłoni na jego nadgarstku, prawie nie stawiała oporu. Czy pozwolił

powinnam patrzeć

aby, aby ją zabił? Czy mógł to zrobić? Czy ja na to bezczynnie?

Stał tak w cudownej, czarnej koszuli, elegancki i ponętny, trzymając Gretchen jedną ręką prawie pionowo w górze. Dźwigając ją w ten sposób, podszedł do biurka. Bez trudu utrzymywał równowagę. Nawet lykantrop miałby z tym kłopoty. Obserwowałam, jak miękko sunie po dywanie i wiedziałam, że niezależnie od tego, jak dobrze udawał, nie mógł być człowiekiem. Już od dawna nim nie był.

# Postawił ją *RS* na dywanie po drugiej stronie biurka. Rozluźnił uścisk

na jej szyi, ale nie puścił.

— Jean-Claude, błagam. Kimże ona jest, że Mistrz Miasta tak usilnie zabiega o jej względy?

Wciąż obejmował dłonią jej szyję, ale już nie zaciskał palców.

Wolną ręką odsunął parawan. Ten złożył się lekko, odsłaniając trumnę. Stała na przykrytym kirem piedestale. Drewno było prawie czarne i lśniło jak lustro.

Gretchen wybałuszyła oczy.

— Jean-Claude, Jean-Claude, wybacz mi. Nie zabiłam jej. A przecież mogłam. Spytaj ją. Mogłam zabić, ale tego nie zrobiłam.

Spytaj ją! Spytaj! — w jej głosie pobrzmiwała panika. — Anito? — to jedno słowo prześlizgnęło się po mojej skórze

jak wąż. Cieszyłam się, że w gniewie nie wykorzystał tego głosu przeciwko mnie.

— Mogła zabić mnie za pierwszym podejściem — odparłam. — Jak sądzisz, czemu tego nie zrobiła?

— Myślę, że starała się wszystko przeciągnąć możliwie jak najdłużej. Aby móc się napawać.

— Nie. Nie. Ja jej tylko groziłam. Próbowалаm ją od ciebie odstręczyć. Wiedziałam, że nie życzysz sobie, abym ją zabiła. W przeciwnym razie już by nie żyła.

— Nigdy nie potrafiłaś kłamać, Gretel. Gretel?

Jedną ręką podniósł wieko trumny, przyciągając równocześnie kobietę do siebie. Gretchen wyrwał

bruzdy na jej szyi. Stan

sobą, jakby taka pozycja mog — Nie zmuszaj mnie, abym użył siły, Gretel.

— Mam na imię Gretchen i noszę je od ponad stu lat. — po raz pierwszy otwarcie sprzeciwiła się Jean-Claude'owi. Omal nie

# zaczęłam jej oklaskiwa*RS*ć. Powstrzymałam się jednak. Przyszło mi to

bez trudu.

— Byłaś Gretel, kiedy ci ę odnalazłem, i wciąż nią jesteś. Nie zmuszaj mnie, abym ci przypomniiał, kim i czym jesteś, Gretel. — Nie wejdę z własnej woli do tej skrzyni. Nie zrobię tego. — Naprawdę chcesz pokazać Anicie, na co cię naprawdę stać? Sądziłam, że już to widziałam.

— Nie wejdę do środka — twierdziła z uporem. Wierzyła w to. Jean-Claude znieruchomiał. Łagodnym ruchem uniósł jedną rękę.

Nie umiem tego inaczej określić.

a mu się. Jego paznokcie wy-orały krwawe ęła za fotelem, ustawiając go pomiędzy nim a ła jej pomoc. Krew spłynęła po jej szyi. W owym ruchu była osobliwa gracia. Gretchen zachwiała się i przytrzymała fotela. Jej twarz jakby się zapadła. To nie było odwołanie do mocy, którą ukazała mi wcześniej. To nie był eteryczny truposz, mogący wyrwać ci gardło i zatańczyć w kałuży twojej krwi. Sprasowane ciało ciasno opinające kości. Ona wiedła. Nie tyle się starzała, ile raczej dogorywała. Umierała.

Otworzyła usta i krzyknęła.

— Boże, co się z nią dzieje?

Gretchen stała z dłońmi na oparciu fotela — jej ręce były chude jak patyki. Wyglądała niczym zmumifikowany trup. Jaskrawa szminka odcinała się rażąco na tle wychudłego, poszarzałego oblicza. Nawet jej żółte włosy się przerzedziły, wyschły i stały się kruche jak słoma.

Jean-Claude podszedł do niej, wciąż pełen gracji, wciąż atrakcyjny i nadal potworny.

— Dałem ci wieczne życie i mogę je odebrać, nie zapominaj o tym.

Zaskomlała cichutko. Błagalnym ruchem wyciągnęła do niego drżącą rękę.

— Do skrzyni — rozkazał. Komenda zabrzmiała złowieszczo i posępnie, jakby odsy

Odebrał jej wolę

ukradł. Nigdy dotąd

wampirza zdolność

ł ją do piekła, i może faktycznie tak było. walki lub może raczej powinnam powiedzieć — d nie widziałam czegoś podobnego. Nowa , o której nigdy nie słyszałam, nie spotkałam się z tym nawet w podaniach ludowych. Cholera.

Gretchen zrobiła pierwszy, niepewny krok w stronę trumny. Dwa



# kolejne wymęczone, ciRSężkie kroki i musiała puścić oparcie fotela.

Run ęła, przyjmując ca y impet upadku na cienkie jak patyki ręce, prawie go nie amortyzując. W ten sposób łatwo o złamanie. Gretchen najwyraźniej nie przejmowała się potencjalnymi urazami. Wcale się jej nie dziwiłam.

Ukl ęła na podłodze, zwieszając nisko głowę, jakby nie miała siły wstać. Jean-Claude stał opodal patrząc na nią. Nie próbował jej pomóc. Gdyby to nie była Gretchen, zapewne sama bym udzieliła pomocy.

Chyba musiałam zrobić krok w jej stronę, bo Jean-Claude powstrzymał mnie ruchem ręki. — Gdyby teraz pożywiła się od jakiegoś śmiertelnika, w mig odzyskałaby siły. Jest przerażona. Na twoim miejscu nie kusiłabym jej, *ma petite*.

Znieruchomiałam. Nie zamierzałam jej pomagać, ale nie chciałam też dłużej na to patrzeć.

— Czołgaj się — rozkazał. Zaczęła pełznąć. Miałam dość.

— Dopiąłeś swego, Jean-Claude. Jeśli chcesz zamknąć ją w trumnie, zwyczajnie podnieś ją i włóż do środka.

Spojrzał na mnie. Na jego twarzy malowało się coś jakby rozbawienie.

— Żal ci jej, *ma petite*. A przecież chciała cię zabić. Dobrze o tym wiesz.

— Nie miałabym wyrzutów sumienia, pakując w nią parę kul, ale żeby traktować ją w taki sposób...

— Nie umiałam tego nazwać. Nie chodziło wyłącznie o upokorzenie. On odzierał ją z osobowości.

Pokręciłam głową.

- Dręczysz ją. Jeśli torturujesz ją za mnie albo

dla mnie, to wystarczy. Dość się naoglądałam. A jeśli robisz to dla siebie, także powiniene

- Robię to dla niej,

ś przestać.

*ma petite*. Zapomniała, kto jest jej mistrzem. Po miesiącu lub dwóch w trumnie przypomni sobie.

Gretchen dotarła do podwyższenia. Zacisnęła dłonie na przykrywającym je materiale, ale nie była w stanie się podnieść.

— Chyba dość jej już uzmysłowiłeś.

— Jesteś taka surowa, *ma petite*, taka pragmatyczna i nagle ni

st

ą

d, ni zow

ą

d odzywa się w tobie współczucie. A jest równie silne jak twoja nienawiść.

— Ale nie tak zabawne — zauważyłam.

Uśmiechnąwszy się, uniósł wieko trumny. Wnętrze naturalnie

wyłożono białym jedwabiem. Ukląkł i podniósł Gretchen. Jej kończyny ułożyły się niezdarnie w jego ramionach, jakby nie były w pełni sprawne. Gdy wkładał ją do trumny, poła jej płaszcz przesunęła się po drewnie. Coś w jej kieszeni stuknęło, głucho i ciężko.

Omam nie znieawidziłam siebie za to, co wówczas powiedziałam. Omam. Nie całkiem.

— Jeżeli ma w kieszeni mój pistolet, chciałabym go odzyskać.

Prawie z czułością ułożył ją w trumnie, po czym przeszukał kieszenie. Ująwszy browninga w jedną rękę, drugą zaczął zamykać trumnę. Kościste ręce Gretchen uniosły się, próbując mu w tym przeszkodzić.

Gdy tak patrzyłam, jak jej chude ręce chłuszczą powietrze, mało brakowało, a darowałabym sobie odzyskanie reszty moich rzeczy.

— Powinna mieć jeszcze jeden mój pistolet. I nóż.

Spojrzał na mnie z przejęciem, po czym skinął głową. Podał mi browninga. Podeszłam i odebrałam od niego pistolet. Z tej odległości mogłam zobaczyć jej oczy. Były blade, zamglone jak oczy staruszki, ale wyraźnie dostrzegłam w nich przerażenie i zgrozę.

Wywróciła oczami, spoglądając na mnie.

W jej dzikim wzroku kryło się przeraźliwe błaganie. Rozpacz była zbyt łagodnym określeniem na to, co ujrzałam w jej oczach. Spojrzała na mnie, nie na Jean-Claude'a, jakby wiedziała, że w tym pomieszczeniu byłam jedyną osobą, którą choć trochę mógł interesować jej los. S

Gretchen obchodził

dząc po wyrazie twarzy Jean-Claude'a, a go tyle co zeszłoroczny śnieg.

Wcisnęłam browninga pod pachę. Dobrze było znów mieć go przy

# sobie. Jean-Claude poda **RS**ł mi firestara.

— Nie mogę znaleźć żułka noża. Jeśli chcesz ją przeszukać sama, to śmiało, nie krępuj się. Spojrzałam na suchą, pomarszczoną skórę i bezwargie oblicze. Szyję miała chudą jak u kurczęcia. Pokręciłam głową.

— Aż tak bardzo mi na nim nie zależy.

Zaśmiał się i nawet teraz wywołało to u mnie lodowate ciarki. Zachowywał się jak wesoły socjopata.

Zamknął wieko trumny, a Gretchen zaczęła wydawać przeraźliwe dźwięki, jakby usiłowała krzyczeć, ale nie potrafiła wydobyć z siebie głosu. Jej małe, chude ręce tłukły w wieko skrzyni.

Jean-Claude pozamykał kłódki przy trumnie i nachylił się nad nią.

— Zaśnij — wyszeptał. Niemal natychmiast dźwięki poczęły cichnąć. Powtórzył słowo raz jeszcze i ucichły zupełnie.

— Jak to zrobiłeś?

— Jak ją uciszyłem? Pokręciłam głową.

— Nie tylko. Chodzi mi w ogóle o wszystko.

— Jestem jej mistrzem.

— Nie. Nikolaos była twoją mistrzynią, a mimo to nie umiała robić takich rzeczy. Wiesz, że gdyby tylko mogła, zrobiłaby to.

— Jesteś bardzo spostrzegawcza, bystra i masz rację. Stworzyłem Gretchen. Nikolaos mnie nie stworzyła. Będąc mistrzem wampirów, zyskujesz pewnego rodzaju władzę nad tymi, których stworzyłeś. O czym sama miałaś okazję się przekonać.

— Nikolaos stworzyła większość wampirów ze swojej świty, zgadza się?

Pokiwał głową.

— Gdyby mogła zrobić to samo co ty przed chwilą, na pewno

# pochwaliłaby mi się *RS* umiejętnością. Uwielbiała się popisywać.

Uśmiechnął się pod nosem.

— Kolejne trafne spostrzeżenie. Istnieje wiele rodzajów mocy, które może posiadać mistrz wampirów. Przywoływanie zwierząt, lewitacja, odporność na srebro.

— Czy dlatego mój nó ż nie wyrządził Gretchen większej szkody?

— Tak.

— Ale każdy mistrz posiada swój własny, imienny arsenał mocy i właściwości.

— Arsenał to właściwe słowo. Ale, ale... na to skończyliśmy, *ma petite*? Ach, tak. Mógłbym bić Richarda.

Znów się zaczyna.

## *Rozdział dwudziesty piąty*

**S**

— Iyszalaś, *ma petite*? Mógłbym zabić twojego Richarda. — Przesunął parawan na miejsce. Trumna wraz z jej przerażającą zawartością zniknęły.

— Nie chcesz tego zrobić.

— Ależ chcę, *ma petite*. Jak najbardziej. Z dziką rozkoszą wyrwałbym mu serce i patrzył, jak umiera.

— Minał mnie. Poły

czarnej koszuli rozchyliły się, odsłaniając nagi brzuch.

— Już mówiłam, wcale nie mam pewności, czy chcę za niego wyjść. Nie wiem nawet, czy jeszcze się z nim kiedyś umówię. To nie wystarczy?

— Nie, *ma petite*. Kochasz go. Czuję jego zapach na twojej skórze. Całowałaś go dzisiejszej nocy. Pomimo trapiących cię wątpliwości pozwoliłaś, aby się do ciebie zbliżył.

— Jeżeli coś mu zrobisz, zabiję cię — stwierdziłam bez mrugnięcia okiem.

# — Możesz próbowa**RS** ć, ale nie tak łatwo mnie zabić.

Znów usiadł na łóżku, rozpościerając wokół siebie koszulę tak, że tors miał całkiem odsłonięty. Blizna w kształcie krzyża stanowiła jedyną widoczną szkodę na jego doskonałej skórze.

Nie usiadłam. Zresztą i tak mi tego nie zaproponował. — Może pozabijamy się nawzajem. To ty dobierasz muzykę, Jean-Claude, ale gdy już zaczniemy tańczyć, nie przestaniemy, dopóki jedno z nas nie umrze.

— Mnie nie wolno skrzywdzić Richarda. A czy on może skrzywdzić mnie?

Dobre pytanie.

— Nie sądzę, aby do tego doszło.

— Umawiasz się z nim od paru miesięcy, a ja przyjmowałem to ze spokojem. Zanim go poślubisz, domagam się takiego samego czasu.

Spojrzałam na niego.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Umów się ze mną, Anito, daj mi szansę, bym cię oczarował. — Oczarował?

— Tak.

Patrzyłam na niego bez słowa. Nie wiedziałam, co mam powiedzieć.

— Od miesięcy staram się ciebie unikać — wydusiłam wreszcie. — Nie zamierzam tego zmieniać.

— Wobec tego wybiorę muzykę i ruszymy w tan. Nawet gdybyśmy mieli umrzeć oboje. Richard zginie pierwszy, masz na to moje słowo. Z całą pewnością randka ze mną nie jawi się gorzej.

Miał rację, a mimo to... nie pozwolę się zastraszyć.

— Wobec tego pozwól, że przemówię do twego poczucia sprawiedliwości, *ma petite* — ciągnął. — Pozwoliłaś, by Richard zawładnął twym sercem. Czy gdybyś zaczęła od umawiania się ze mną, gościłbym teraz w twoim sercu? Czy gdybyś nie musiała borykać się z umizgami ze strony nas obu, w ogóle zainteresowałabyś się Richardem?

Nie mogłam szczerze odpowiedzieć, że tak. Nie byłam pewna. Odprawiłam Jean-Claude'a z kwitkiem, ponieważ nie był człowiekiem. Był potworem, a ja nie umawiam się z potworami. Jednak ubiegłej nocy ujrzałam zapowiedź tego, kim mógł być Richard. Poczułam na własnej skórze moc dorównującą potędze Jean-Claude'a. Coraz trudniej było mi odróżnić ludzi od potworów. Zaczęłam nawet zastanawiać się nad sobą. Istnieje więcej sposobów, by stać się potworem, niż człowiek może sobie wyobrazić.

# — Nie jestem zwolenniczk<sup>RS</sup> ą przygodnego seksu. Nie sypiam z

Richardem.

— Nie próbuję nakłonić cię do seksu, *ma petite*. Chcę tylko tyle samo czasu, ile dałaś jemu.

— A jeżeli się zgodzę, co wtedy?

— Jak to co? Zobaczymy się w piątkowy wieczór.

— Zobaczymy się? Masz na myśli randkę? Pokiwał głową. — Może nawet odkryjemy, dlaczego jesteś w stanie tak

bezkarnie patrzeć mi prosto w oczy.

— Pozostańmy przy tradycyjnej randce. Żadnych udziwnień. — Jak sobie życzysz.

Spojrzałam na niego. On na mnie. Zobaczymy się w piątek

wieczorem. Byliśmy umówieni. Zastanawiałam się, jak to przyjmie

Richard.

— Nie mogę w nieskończoność umawiać się z wami dwoma. — Daj mi tylko parę miesięcy, jak Richardowi.

Jeśli nie zdołam mu cię odbić, wycofam się z pola walki. — Zostawisz mnie w spokoju i nic nie zrobisz Richardowi? Pokiwał głową.

— Dajesz słowo?

— Słowo honoru.

Przyjęłam je. Nie mogłam liczyć na nic lepszego. Nie byłam pewna, ile jest warte jego słowo honoru, ale przynajmniej zyskałam na czasie. Miałam czas, aby wymyślić sposób na wypłatanie się z tej kabały. Na pewno coś wymyślę. Coś lepszego niż umawianie się na randki z Mistrzem Miasta.

## Rozdział dwudziesty szósty

R

ozleg ło się pukanie do drzwi. Otworzyły się, zanim Jean-Claude zdążył powiedzieć „wejść”. Komuś bardzo się spieszyło. Do środka weszła Raina. Nie tylko się jej spieszyło. Była także natarczywa.

Miała na sobie rdzawy trenz z ciasno zawiązanym w talii paskiem. Sprzączka zwisała luźno i kołysała się, gdy Raina wpłynęła do pokoju. Rozwiązała wielobarwną przepaskę i potrząsnawszy głową, rozpuściła kasztanowe włosy. Zaskrzyły się w świetle.

Pod ązał za nią Gabriel, ubrany w czarny trenz. Typowy strój i typowy kolor. Ze swymi włosami i szarymi oczami prezentował się w płaszczu równie dobrze jak Raina. Kolczyki zdobiły jego małżowinę uszną od góry do dołu. Wszystkie były srebrne.

Z ty łu, za nimi szedł Kaspar Gunderson. Nosił tweedowy, jasny płaszcz i kapelusik z piórkiem przy otoku. Wyglądał jak wzorcowy model eleganckiego ojca z lat pięćdziesiątych dwudziestego wieku. Nie wydawał się zachwycony swoją obecnością tutaj.

Robert przystanął niepewnie w progu.

— Mówiłem im, e jesteś zajęty, Jean-Claude. I że nie życzysz sobie, aby ci przeszkadzano.

Był tak zestresowany, że przez cały czas załamywał ręce. Po tym, co spotkało Gretchen, wcale się nie dziwiłam, że się bał.

— Wejdz, Robercie, i zamknij za sobą drzwi -rzucił Jean-Claude.

— Naprawdę muszę nadzorować kolejny występ. I...

# — Wejdź *RS* i zamknij drzwi, Robercie.

Stuletni wampir pos łusznie wykonał polecenie. Zamknął drzwi i oparł się o nie, jedną ręką przytrzymując się klamki, jakby to miało mu gwarantować! bezpieczeństwo. Prawy rękaw jego białej koszuli był rozplątany, ze świeżych ran po pazurach spływała krew. Rozmazane ślady krwi zdobiły także szyję, jakby szponiasta łapa schwyciła go za gardło. Tak jak Jean-Claude zrobił z Gretchen, tyle że tu dłoń była szponiasta.

— Mówiłem wyraźnie, co się stanie, jeśli znów mnie zawiedziesz, Robercie. Niezależnie, czy będzie to duże przewinienie, czy zwykła drobnostka. — głos Jean-Claude'a brzmiał jak szept, który niczym szum wiatru przepłynął przez pokój.

Robert upadł na kolana.

— Mistrzu, proszę cię, błagam. — Wyciągnął obie ręce do Jean-Claude'a.

Duża kropla krwi skapnęła z jego ramienia.

Na białym dywanie czerwień krwi wydawała się wyjątkowo rażąca.

Raina uśmiechnęła się. Mogłam się założyć, że wiem, czyje ślady zdobiły ręce Roberta. Kaspar podszedł, by usiąść na kanapie, dystansując się od przedstawienia. Gabriel patrzył na mnie.

— Ładny płaszcz — stwierdził.

Oboje nosiliśmy czarne trencze. Coś podobnego.

— Dzięki — odparłam.

Uśmiechnął się, błyskając spiczastymi zębami.



# Chciałam zapytać *RS* , czy srebrne kolczyki sprawiały u ból, ale Robert

w tej samej chwili zaskomla ł cichutko i odwróciłam się, by obserwować dalszy ciąg wydarzeń.

— Podejdz , Robercie. — Głos Jean-Claude'a zdawał się palić niczym ogień.

Robert niemal rozci ągnął się plackiem na dywanie, przybierając poddańczą pozę u stóp Mistrza.

— Proszę, Mistrzu. Błagam, nie... Jean-Claude podszedł do niego tak szybko, że poły czarnej koszuli zafalowały za nim jak krótka peleryna. Błada skóra stanowiła ostry kontrast w zestawieniu z czernią materiału. Przystanął przy korzącym się wampirze. Koszula Jean-Claude'a otuliła jego znieruchomiałe nagle ciało. Jean-Claude stanął w absolutnym bezruchu. W tej krótkiej chwili koszula zdawała się mieć w sobie więcej życia niż on. Jezu.

— On się starał, Jean-Claude — powiedziałam. — Daj mu spokój.

Jean-Claude spojrzał na mnie, a jego oczy zdawały się być ciemnymi, bezdennymi otchłaniami. Odwróciłam wzrok. Może i byłam w stanie wytrzymać jego spojrzenie, ale z drugiej strony...

Jean-Claude zawsze miał jakiegoś asa w rękawie.

— *Ma petite*, odniosłem niejasne wrażenie, że nie darzysz Roberta sympatią.

— Istotnie, ale naoglądałam się już dziś wystarczająco dużo kar. Zranili go do krwi tylko dlatego, że nie chciał wpuścić ich do twojego gabinetu kilka minut wcześniej. Dlaczego się o to nie wściekasz?

Raina podeszła do Jean-Claude'a. Wysokie obcasy, jakie nosiła, pozostawiały wyraźne wgłębienie w dywanie. Wyglądały jak rany od noża.

Jean-Claude obserwował podchodzącą Raine. Miał beznamiętny wyraz twarzy, ale w jego zachowaniu wychwyciłam coś dziwnego. Czyżby się jej bał? Możliwe. Tak czy owak, w jego ruchach i gestach dostrzegłam wyraźną rezerwę i niepokój. Nie był zadowolony. Sprawa stawała się coraz dziwniejsza.

— Mieliśmy umówione spotkanie z Jean-Claude'em. Byłabym wielce zawiedziona, gdyby odprawiono mnie z kwitkiem sprzed jego gabinetu. — Przestą a Roberta, ukazując długie, smukłe nogi. Nie byłam pewna, czy pod trenczem nosiła cokolwiek. Robert nie próbował jej podejrze . Zastygł w bezruchu i skulił się jeszcze bardziej, gdy poła p aszcza przesunęła mu się po plecach.

Raina zatrzymała się, a jej zgrabne łydki prawie dotykały Roberta. Nie odsunął się. Z trwogą przywierał do podłogi, jakby rozpaczliwie udawał, że w ogóle go tam nie ma, w nadziei, że wszyscy o nim

# zapomną. Akurat. PoboRSzne życzenia.

Raina stała tak blisko Jean-Claude'a, że ich ciała nieomal się stykały. Jednego wampira miała przed, drugiego zaś za sobą.

Spodziewałam się, że Jean-Claude się cofnie, aby zrobić jej trochę miejsca. Nie uczynił tego. Wsunęła palce pod jego koszulę, opierając dłonie po obu stronach jego nagiej talii. Jej uszminkowane wargi rozchyliły się. Nachyliła się ku niemu. Pocałowała go, a on stał, obejmowany przez nią, w całkowitym bezruchu. Jak posąg. Nie odesłał jej do wszystkich diabłów.

Co się tu działo, u licha?

Raina uniosła głowę i odezwała się.

- Jean-Claude nie chce urazić Marcusa. Potrzebuje wsparcia stada, aby utrzymać władzę nad miastem. Prawda, ukochany?

Położył ręce na jej szczupłej talii i cofnął się. Wodziła dłońmi po jego nagiej skórze, dopóki nie znalazł się poza zasięgiem jej rąk. Obserwowała go, jak wąż patrzy na małe ptaki. Głodnym spojrzeniem. Nie trzeba było być wampirem, aby czuć jej pożądanie. To delikatnie powiedziane.

— Marcus i ja mamy pewien układ — stwierdził Jean-Claude.

— Jaki układ? — spytałam.

— Czemu to cię obchodzi, *ma petite*? Ty zamierzasz spotykać się z *monsieur* Zeemanem. Czy ja nie mogę widywać się z innymi ludźmi? zaproponowałam ci monogamiczny związek, ale odrzuciłaś moją propozycję.

Nie zastanawiałam się nad tym. Aż do teraz. I mocno mnie to poruszyło. Cholera.

— Nie chodzi o to,  
mnie sprawa podzia

Raina podeszł

# przesuwały się *RS* że jest was dwóch, Jean-Claude. Nie rusza

u uczu ć.

a do niego z tyłu, długie, pomalowane paznokcie po jego skórze. Dłonie oparła o jego piersi, wsparła podbródek na ramieniu Jean-Claude'a. Tym razem rozluźnił się w jej ramionach. Oparł się o nią plecami, blade dłonie pieściły jej ramiona.

Ca ły czas patrzył na mnie.

— Co cię tak poruszyło, *ma petite*?

— Twój dobór partnerek.

— Zazdrosna? — spytała Raina.

— Nie.

— Kłamiesz — warknęła.

Co miałam powiedzieć? Że nie podoba mi się, gdy się do niego

tuli? Tak w łaśnie było. To poruszyło mnie bardziej niż fakt, że go obmacywała.

Pokręciłam głową.

— Zastanawiałam się tylko, jak daleko możesz się posunąć dla  
dobra stada.

— Och, jestem gotowa pójść na całość — odparła Raina. Przesunęła się i stanęła przed nim. Na  
obcasach była od niego

wy ższa.

— Zapraszam cię do wspólnej zabawy. Pocałowała go,  
zdecydowanym, szybkim ruchem.

Osunęła się przed nim na kolana, spoglądając w górę. Jean-Claude pogładził ją po włosach. Jego  
blade, smukłe ręce

uniosły jej głowę do góry. Nachylił się, jakby chciał ją pocałować, ale  
czyniąc to, przez cały czas patrzył na mnie.

Czy czekał, aż powiem: „Nie, nie rób tego”? Z początku sprawiał  
wrażenie, jakby się jej bał. Teraz bawił się w najlepsze. Wiedziałam,  
że drażnił się ze mną. Starał się wzbudzić we mnie zazdrość. I to z  
powodzeniem.

Pocałował ją, długo i namiętnie. Uniósł wzrok, na ustach miał  
ślady szminki.

— O czym myślisz, *ma petite*?

Nie mógł już czyta w moich myślach, to plus wynikający z  
nieposiadania wampirzych znaków.

— Że kochając się z Rainą, tracisz w moich oczach. Gabriel zaśmiał si w głos.

— Och, ależ on jeszcze się z nią nie kochał. — Podszedł do mnie  
szybkim, zdecydowanym krokiem.

Odchyliłam połę trencza, aby pokazać pistolet.

— Żadnych głupstw.

# Rozpiął pas przy swoim p*RS* łaszczu i uniósł ręce w geście poddania.

Nie nosi ł koszuli. Miał srebrne kolczyki w lewym sutku i pępku. Na ten widok aż się skrzywiłam.

— Wydawało mi się, że lykantropy są uczulone na srebro i nawet drobny z nim kontakt sprawia im ból.

— Parzy — sprecyzował. Miał zmysłowy głos.

— I to sprawia ci przyjemność? — spytałam. Gabriel powoli opuścił ręce i zrzucił płaszcz z ramion. Odwrócił się powoli, gdy trenz opadł, jak podczas striptizu. Nie zauważyłam żadnych innych srebrnych kolczyków. Zakręcił się jak fryga i zataczając szeroki łuk, cisnął we mnie płaszczem.

Machnąłam ręką, odtrącając trenz. To był błąd.

Gabriel rzucił się na mnie, całym ciałem przyszpilił do podłogi. Ręce miałam przyciśnięte do piersi, uwięzione pod jego płaszczem. Dostęp do firestara blokowało mi jego ciało. Sięgnęłam po browninga, a ręka Gabriela przebiła się przez materiał jak przez papier i wyrwała mi broń z kabury. Zrobił to tak brutalnie, że omal nie oderwał całej kabury, a wraz z nią mojej ręki. Przez chwilę czułam lewe ramię jak jedno wielkie ognisko dojmującego bólu. Gdy odzyskałam czucie w ręce, browninga już nie było, a Gabriel pochylał się groźnie nade mną.

Zatoczył biodrami, boleśnie wbijając mi firestara w miednicę. To musiało zboleć go bardziej niż mnie.

— Nie bolało? — spytałam zdumiewająco spokojnym głosem.

— Lubię ból — odparł. Dotknął mojego podbródka językiem i przejechał nim aż do ust. Zaśmiał się.

— Walcz. Pokaż, na co cię stać. Dołóż mi tymi drobnymi piąstkami.

— Lubisz ból? — wycedziłam.

— Tak.

— Wobec tego to ci si *RS* ę spodoba. —

## Wbiłam mu nóż w brzuch.

Gabriel ni to stęknął, ni to westchnął. Ciałem mężczyzny wstrząsnął silny dreszcz. Uniósł się nade mną, wciąż

unieruchamiając mnie od pasa w dół, wyglądał, jakby robił pompki.

Pod żwignęłam się wraz z nim, wbijając nóż głębiej i kierując ostrze ku górze, w głębi ciała. Gabriel rozdarł płaszcz na strzępy, ale nie próbował pochwycić noża. Wsparty na rękach, gapił się na nóż i moje okrwawione dłonie.

Wtulił mi twarz we włosy i lekko się na mnie osunął.

Pomyślałam, że zemdłał. Ale on wyszeptał tylko:

— Głębiej.

— O Jezu. — Ostrze nieomal dotykało jego mostka. Jeszcze jedno pchnięcie w górę, zdecydowany ruch i dosięgnie serca.

Położyłam się na wznak na podłodze, by mieć lepszy kąt do zadania śmiertelnego ciosu.

— Nie zabijaj go — rzuciła Raina. — Jest nam potrzebny.

Nam? Nóż przesunął się coraz bardziej w stronę serca Gabriela, gdy ten stoczył się ze mnie z nadludzką, niewiarygodną szybkością. Ostatecznie wylądował na wznak na podłodze nieopodal. Oddychał szybko, jego pierś wznosiła się i opadała nerwowo, po gołej skórze spływała krew. Oczy miał zamknięte, usta wykrzywiono w półuśmiechu.

Gdyby był człowiekiem, nie przeżyłby tej nocy. Zamiast tego leżał na dywanie i cynicznie się uśmiechał. Przekrzywiwszy głowę w bok, otworzył oczy. Spojrzał na mnie dziwnymi, szarymi oczami.

— To było cudowne — wyszeptał.

— Chryste Panie — mruknęłam. Wstałam, przytrzymując się kanapy. Cała byłam umazana krwią Gabriela. Nóż aż lepił się od posoki.

Kaspar siedział na brzegu kanapy, spoglądając na mnie. Otulił się szczelniej płaszczem, miał przerażony wzrok. Wcale mu się nie dziwiłam.

# Otarłam ręce i nóRS w obicie czarnej kanapy.

— Dziękuję ci za pomoc, Jean-Claude.

— Powiedziano mi, że jesteś teraz dominantką, *ma petite*. Nie wolno mi uczestniczyć w wewnętrznych rozgrywkach o dominację. — Uśmiechnął się. — Poza tym nie potrzebowałam mojej pomocy.

Raina uklękła a obok Gabriela. Pochyliła głowę nad jego krwawiącym brzuchem i zaczęła zlizywać posokę. Jej język wykonywał długie, zdecydowane ruchy. Przełykała łapczywie.

Nie zwymiotuję. Nie zwymiotuję. Spojrzałam na Kaspara.

— Co robisz w towarzystwie tych dwojga? Raina uniosła okrwawioną twarz.

— Kaspar to nasz tester.

— Czyli?

— Jest w stanie przekształcać się w obie strony tak często, jak mu się spodoba. Nie traci przy tym przytomności. Używamy go do testowania potencjalnych gwiazd naszych kolejnych produkcji. Sprawdzamy, jak reagują, gdy ktoś zmienia kształt w samym środku wydarzeń.

Chyba jednak zwymiotuję.

— Proszę, powiedz mi, że nie oznacza to, iż on się zmienia w trakcie stosunku i w ten sposób sprawdza dla was nowych „aktorów”.

Raina przekrzywiła głowę. Językiem łapczywie oblizwała okrwawione wargi.

— Wiesz o naszych małych filmikach?

— Tak.

— Dziwię się, że Richard powiedział ci o nich. On nie przepada za tego typu rozrywką.

— Grywacie w tych filmach?

— Kaspar nie — odparła Raina. Wstała i podeszła do kanapy. — Marcus nie zmusza nikogo do udziału w nagraniach. Niemniej jednak Kaspar pomaga nam przy przesłuchaniach i naborze aktorów.

Prawda, Kasparze?

Skinął głową. Wlepił ją nie patrząc.

— Czemu się tu dziś wszyscy zjawiliście? — zapytałam.

— Jean-Claude obiecał nam kilka wampirów do nowego filmu.

— To prawda? — spytałam.

Oblicze Jean-Claude'a było beznamiętne, piękne, lecz nieodgadnione.

# — Roberta trzeba ukara<sup>RS</sup> ć. Zmarszczyłam brwi, słysząc, że

zmieni ł temat.

— Trumna jest zajęta — stwierdziłam.

— Jest więcej niż jedna trumna, Anito. Robert podpełzł do przodu.

— Przepraszam, Mistrzu. Wybacz mi.

Nie dotknął Jean-Claude'a, ale zbliżył się do niego.

— Nie wytrzymam ponownego zamknięcia w skrzyni, Mistrzu. wzrok w dywan. Robił, co tylko mógł, aby na

B łagam, nie rób mi tego.

— Boisz się Rainy, Jean-Claude. Jak twoim zdaniem Robert miał sobie z nią poradzić?

— Nie boję się Rainy.

— No i dobrze, ale Robert nie miał z nimi szans. Wiesz o tym równie dobrze jak ja.

— Być może masz rację, *ma petite*.

Robert uniósł wzrok. Na przystojnej twarzy pojawił się grymas nadziei.

— Dziękuję, Mistrzu. — Spojrzał na mnie. — Dziękuję, Anito. Wzruszyłam ramionami.

— Możesz wziąć Roberta do swojego następnego filmu — rzekł Jean-Claude.

Robert schwycił go za nogę.

— Mistrzu, ja...

— Daj spokój, Jean-Claude, nie oddawaj go jej — zaprotestowałam.

Raina przysiadła na kanapie między mną a Kasparem. Wstałam.

Objęła Kaspara. Ten skulił się w sobie.

— Jest całkiem przystojny. Każdy wampir potrafi znieść sporo bólu. I wiele wycierpie ć. Większość z nich z radością przyjmuje kary

— wycodziła.

— **Widziałeś *RS* ich dzisiaj w akcji** — rzekłam.

**- Naprawdę chcesz,**

aby coś takiego spotka o jednego z twoich?

— Niech Robert zadecyduje — oznajmił Jean-Claude. —

Skrzynia czy Raina.

Robert uniósł wzrok i spojrzał na Rainę. Uśmiechnęła się do niego, wykrzywiając okrwawione usta. Pochylił głowę, po czym lekko nią skinął.

— Tylko nie skrzynia. Wszystko, byle nie to.

— Wychodzę — rzuciłam. Jak na jedną noc miałam dość odgrywania roli mediatorki międzygatunkowej.

— Nie zostaniesz, aby obejrzeć widowisko? — spytała Raina. — Wydawało mi się, że już jedno dziś widziałam — odparłam. Cisnęła kapelusz Kaspara w drugi koniec pokoju.

— Rozbieraj się — rozkazała.

Wsunęłam nóż do pochewki i podniosłam browninga z dywanu, gdzie rzucił go Gabriel. Byłam uzbrojona. Choć nie wiem, w czym miałyby mi to pomóc.

Kaspar siedział na kanapie. Jego biała skóra zaróżowiła się. Oczy rozbliły. Był wściekły i zażenowany zarazem.

— Byłem księciem, zanim wasi przodkowie odkryli ten kraj. Raina oparła podbródek na jego ramieniu. Wciąż go obejmowała. — Wiemy, że masz w żyłach błękitną krew. Byłeś księciem, a na dodatek wielkim, złym myśliwym i tak paskudnym, zepsutym chłopakiem, że pewna czarownica rzuciła na ciebie klątwę.

Przemieniła cię w istotę tyleż piękną, co niegroźną. Miała nadzieję, że to nauczy cię dobroci i łagodności.

Polizała jego ucho, przeczesła dłońmi pióra na głowie. — Ale ty nie jesteś ani dobry, ani łagodny. Serce masz równie

zimne i jesteś równie pyszny jak przed wiekami. A teraz ściągaj te łachy i zmieniaj się w łabędzia.

— Nie muszę tego robić dla wampira — mruknął.

— Zrób więc to dla mnie. Zrób to, aby Anita mogła zobaczyć.

Zrób. Jeśli nie chcesz, abyśmy z Gabrielem wyrządzili ci krzywdę. Mówiła coraz ciszej, powoli cedząc słowa.

— Nie możesz mnie zabić, nawet srebro się mnie nie ima — burknął.

— Ale możemy sprawić, że zapragniesz być martwy, Kasparze. Wydał z siebie urywany, żalony jęk frustracji. Wstał gwałtownie i szarpnął poły płaszcza. Guziki urywały się i spadały na dywan.



# Cisnął płaszcz w twarz Rainy. *RS* Zaśmiała się.

Ruszyłam w stronę drzwi.

— Nie wychodź jeszcze, Anito. Kaspar bywa wkurzający, ale jest naprawdę piękny.

Obejrzałam się przez ramię.

Na dywanie leżała marynarka i krawat Kaspara. Szybkimi, gniewnymi ruchami rozpinał guziki białej koszuli. Jego pierś pokrywały białe pióra. Miękkie i delikatne jak puch.

Pokręciwszy głową, ponownie skierowałam się ku drzwiom. Równym, zdecydowanym krokiem Nie biegłam. Nie szłam szybciej niż normalnie. To była najodważniejsza rzecz, jaką zrobiłam tej nocy.

## Rozdział dwudziesty siódmy

P

ojechałam do domu taksówką. Stephen został, aby zrobić striptiz albo do czysta wylizać Jean-Claude'owi buty. Nie byłam pewna, co go czekało, i chyba było mi to obojętne. Stephenowi z pewnością nic nie groziło. Także dzięki mnie. To było najlepsze, co mogłam zrobić. Był podległy Jean-Claude'owi, a jak na tę noc miałam powyżej uszu Mistrza Miasta.

Zabicie Gretchen to jedno, ale dręczenie jej jest całkiem czymś innym. Wciąż słyszałam odgłos jej walących dziko rąk. Chciałam uwierzyć, że Jean-Claude będzie ją utrzymywał w stanie uśpienia, ale za dobrze go znałam. Był mistrzem wampirów. Ich władza opiera się po części na strachu. Przykład Gretchen mógł podziałać na innych. Zawiedziecie mnie, a skończycie jak ona. Na mnie podziałało. Dopiero stojąc przed drzwiami mieszkania, uświadomiłam sobie, że nie mam kluczy. Oddałam Richardowi kluczyki od auta, do których przypięte były klucze do mieszkania. Głupio się czułam, stojąc w korytarzu i szykując się, aby zapukać do własnego mieszkania. Zanim zdążyłam to zrobić, drzwi się otworzyły. Stał w nich Richard. Uśmiechnął się.

# — Cześć — powitaRSł mnie.

Odpowiedzia łam u miechem.

— Cześć.

Odstąpił na bok, aby zrobić mi miejsce. Nie próbował pocałować

mnie w drzwiach jak dobry m ąż powracającą z pracy małżonkę. To zbyt intymny rytuał. Gdybyśmy kiedyś naprawdę zdecydowali się być razem, mógłby molestować mnie już od progu, ale nie dziś. Jeszcze nie.

Zamkn ął za mną drzwi i spodziewałam się, że zechce wziąć ode mnie kurtkę. Nie zrobił tego. Całe szczęście.

Zdjęłam kurtkę i przerzuciłam przez oparcie kanapy.

W mieszkaniu czuć było aromat czegoś pysznego.

— Upichciłeś coś — zauważyłam, mile zaskoczona.

— Pomyślałem, że możesz być głodna. No i poza czekaniem nic nie miałem do roboty. To pomogło mi zabić czas.

Byłam w stanie to zrozumieć. Choć — jeżeli o mnie chodzi — za gotowanie brałam się wyłącznie w ostateczności.

Światło paliło się tylko w kuchni. Jej wnętrze z perspektywy mrocznego salonu przywodziło na myśl oświetloną jaskinię. O ile mogłam stwierdzić, na stole stały świece.

— To świece?

Zaśmiał się jakby z zażenowaniem.

— Nie w twoim guście?

— To stolik dla dwóch osób. Nie da się na nim urządzić wykwintnej kolacji.

— Pomyślałem, że wykorzystamy łącznik jako bufet, a na stoliku postawimy tylko talerze. O ile nie będziemy się zanadto rozpychać, powinniśmy się jakoś pomieścić. — Minał mnie i stanął w świetle.

Zaczął energicznie poruszać rondlem, wewnątrz którego coś się przelewało.

Rozejrzałam się po kuchni, obserwując, jak mój potencjalny narzeczony szykuje dla nas kolację. Zaczęła mnie świerzbić skóra. Nie mogłam nabrać tchu. Chciałam stąd wyjść. To było jeszcze bardziej intymne niż pocałunek w progu.

Wprowadził się, czuł się jak u siebie.

Nie wyszłam. To by a najodważniejsza rzecz, jaką zrobiłam tej nocy. Odruchowo sprawdziłam zamki w drzwiach. Nie przekreśliłam

# zasuwki. Stawałam siRS nieostrożna. Nie wiedziałam, co mam robić.

Moje mieszkanie by ło o moim azylem. Tu czułam się swobodnie. Mogłam pobyć sama i odreagować. Lubiłam samotność. Potrzebowałam trochę czasu, aby się rozkręcić, zmienić nastawienie, wymyślić sposób, by powiedzieć mu, że umówiłam się na randkę z Jean-Claude'em.

— Czy przed kolacją mogłabym się jeszcze odświeżyć?

— Szykuj się, a ja wszystko odgrzeję. Zaplanowałam taki posiłek, aby nic się nie zepsuło, nawet gdybyś wróciła bardzo późno. Doskonale.

— To lecę się odświeżyć.

Odwrócił się do mnie, stając w świetle. Choć związał włosy z tyłu,

kilka niesfornych kosmyków wci ąż opadało mu na czoło i policzki. Pomarańczowy sweter nadawał jego skórze złocisty odcień. Nosił fartuch, z napisem PASZTECIKI PANI LOVETT. Nie miałam fartucha i z całą pewnością nie wybrałabym takiego z napisem nawiązującym do *Sweeneya Todda*. Musical o kanibalizmie nie jest dobrą inspiracją do zdobienia fartuchów. Wyglądał w nim apetycznie, ale...

— Idę się odświeżyć.

— Już mówiłaś.

Odwróciłam się na pięcie i weszłam do sypialni. Nie pobiegłam, choć miałam taką ochotę. Zamknęłam drzwi i oparłam się o nie. Moja sypialnia pozostała nietknięta. Żadnych oznak inwazji.

Pod jedynym oknem w pokoju sta ła mała sofa. Zajmowały ją pluszowe pingwinki. Te, dla których nie starczyło tam miejsca, rozlokowały się na podłodze. Moja kolekcja powiększała się w zastraszającym tempie, zajmując coraz więcej miejsca. Schwyciłam pingwinka stojącego najbliżej i usiadłam w rogu łóżka. Objęłam go mocno, wtulając górną połowę twarzy w jego mechaty łebek. Zgodziłam się wyj za Richarda, czemu więc tak mnie poruszyło, że się zadomowił? Przeszliśmy z „tak” na „może”, ale nawet gdyby

# moja odpowiedź wci *RS* brzmiała „tak”, byłabym równie zakłopotana.

Ma łożnistwo. Nie zdawa ła mi się sprawa, co tak naprawdę oznacza. To nieuczciwe zdrę czać się wątpliwościami, gdy obok ciebie jest facet, którego pragniesz i który półnago wygląda tak ponętnie, że miałabyś go ochotę schrupać. Czy gdyby uklęknął przede mną w jakiejś eleganckiej restauracji, odpowiedź brzmiałaby inaczej? Może. Ale nigdy się tego nie dowiemy, prawda?

Gdybym by ła sama, nic już bym nie zjadła. Wzięłabym prysznic, nałożyła przyduży podkoszulek i poszła do łóżka w towarzystwie paru pluszowych pingwinków.

Teraz jednak czeka ła mnie wytworna kolacja przy świecach. Czy obraziłby się, gdybym powiedziała, że nie jestem głodna? Czy zacząłby się dąsać? Czy skwitowałby moje słowa, mówiąc, że zmarnuje się tyle dobrego jedzenia, a gdzieś tam, w Azji głodują tysiące ludzi?

— Cholera — mruknełam z przejęciem. Cóż, jeśli mamy być razem, powinien poznać prawdę. Byłam aspołeczna, a wrzucałam coś na ząb tylko dlatego, by nie umrzeć.

Postanowi ła, że zrobię to, co zrobiłabym, gdyby go tu nie było. No, mniej więcej. Zaczynałam czuć się nieswojo we własnym domu. Gdybym wiedziała, że tak będzie, poprosiłabym Ronnie, aby mnie budziła co godzinę. Czułam się niezłe. Nie potrzebowałam pomocy, ale Ronnie poprawiłaby mi nastrój i nie czułabym się przy niej zagrożona. Oczywiście gdyby Gretchen wydostała się ze skrzyni, Richard miał większe niż Ronnie szanse na przeżycie jej ataku. Punkt na korzyść Richarda. Ciężko go było zabić.

Umie ściłam browninga w specjalnym olstrze wmontowanym w łóżko. Zdjęłam sweter i rzuciłam na podłogę. Był w kiepskim stanie, a poza tym swetry si ę nie gniotą. Firestara położyłam na opuszczonej klapie sedesu. Następnie rozebrałam się i wzięłam prysznic. Nie zamkn am drzwi łazienki na zasuwkę. To było niestosowne. Równie niestosowne byłoby, gdybym po wyjściu z łazienki zastała go w  
Zamknęłam drzwi do  
żku, nagiego, z różą w zębach.

łazienki na zasuwkę. Robiłam to nawet,

b ędąc w moim domu z ojcem. Teraz robiłam to, aby opóźnić potencjalnego zamachowca i — podczas gdy on będzie wyważał drzwi — zdążyć sięgnąć po broń.

# Odkręciłam gorącą *RS* wodę i stałam pod silną strugą, aż zaczęła mi

się marszczyć skóra na palcach. Byłam odświeżona i nie mogłam dłużej odwlekać powrotu do kuchni.

Ręcznikiem wytarłam zaparowane lustro. Z prawego policzka zdarto mi wierzchnią warstwę skóry. Zagoi się, ale do tego czasu zadrapania będą bolały jak cholera. Miałam także drobne skaleczenia na podbródku i z boku nosa. Na czole urósł mi pokaźny guz we wszystkich kolorach tęczy. Wyglądałam, jakbym zderzyła się z pociągiem. Zdumiewające, że ktokolwiek mógł chcieć się ze mną całować.

Wyjrzałam przez drzwi do sypialni. Nikt na mnie nie czekał. Pokój był pusty, przepelniony jedynie szumem grzejnika. Było cicho, spokojnie, z kuchni nie dochodziły żadne dźwięki. Westchnęłam przeciągle. Mogłam się cieszyć chwilą samotności.

Byłam do tego stopnia próżna, że nie chciałam, aby Richard ujrzał mnie w moim normalnym stroju do snu. Miałam czarny szlafroczek pasujący do cienkiego, czarnego, skąpego body. Otrzymałam je od mego byłego, nadmiernie optymistycznego chłopaka. Nigdy mnie w nim nie zobaczył. Coś podobnego. Szlafrok skończył smętną śmiercią, pokryty krwią i innymi płynami ustrojowymi.

Na łożenie body raczej mijało się z celem, gdyż nie zamierzałam kochać się z Richardem. Stałam przy otwartej szafie i nie bardzo miałam co na siebie włożyć. Jako że ubranie to dla mnie coś, czego używam, by nie chodzić nago, było to raczej smutne.

Nałożyłam przyduży podkoszulek z karykaturą Mary Shelley i szare spodnie od dresu, ściągane w pasie sznurkiem. Takie powinny być skarpety frotte, substytut kapci, i byłam byc dresy. Do tego była gotowa do prezentacji.

Przejrzałam się zobaczyłam. Czułam się w miarę swobodnie, ale nie wyglądałam atrakcyjnie. Grunt, że było mi w tym dobrze. Szczerść to podstawa. Nigdy nie zrozumieję kobiet, które przed ślubem robią doskonały makijaż, mają ekstrafrizury i ekstraciuchy, a potem przestają o siebie dbać. Jeżeli mamy się pobrać, powinien wiedzieć, przy kim

**przyjdzie mu zasypia***RS* **każdego wieczoru.**

## **Wzruszyłam ramionami i**

wyszłam.

Rozpuścił włosy. Okalały jego oblicze miękkimi, puszystymi falami. Świece zniknęły. Podobnie jak fartuch. Richard stał w przejściu między pokojem a kuchnią. Ramiona splótł na piersiach, oparł się plecami o framugę. Uśmiechnął się. Wyglądał tak ponętnie, że miałam ochotę wrócić i przebrać się, ale tego nie zrobiłam.

— Przepraszam — powiedział.

w lustrze i nie byłam zbyt zadowolona z tego, co — Za co?

— Nie jestem pewien, ale chyba nie powinienem tak się szarogęsić w twojej kuchni.

— To chyba pierwszy porządny posiłek, jaki w niej upichcono.

Uśmiechnął się szerzej i odsunął od ściany. Podszedł do mnie. Otaczał go krąg jego własnej energii. Nie nadnaturalnej, lecz zwykłej energii Richarda A może jednak nadludzkiej? Może czerpał ze swojej bestii więcej, niż przypuszczałam.

Wciąż na mnie patrzył i choć stał blisko, nie próbował mnie dotknąć.

— Dostawałem świra od tego czekania. I wpadłem na pomysł, żeby coś upitrasić. To głupie. Nie musisz jeść, ale przynajmniej dzięki temu powstrzymałem się od odwiedzenia Drapieżnych Żądź i wystąpienia w obronie twojego honoru.

Uśmiechnęłam się, słysząc te słowa.

— A niech cię, nawet nie umiem się na ciebie gniewać. Zawsze potrafisz mnie rozbawić.

— Czy to coś złego? Zaśmiałam się.

— Tak. Lubię depresje i paskudne nastroje. Przesunął dłońmi po moich ramionach, rozmasowując mięśnie.

Odsunęłam się.

— Proszę, nie. — W ten sposób sielanka została, bezpowrotnie zniszczona.

I to wyłącznie z mojej winy. Opuścił ręce.

— Przepraszam. — Chyba nie chodziło mu o jedzenie. Wziął głęboki oddech i pokiwał głową. — Nie musisz nawet próbować. — Chyba oboje postanowiliśmy udawać, że chodziło o jedzenie. Jak dla mnie, może być.

—

Czy gniewa

ł

byś

# **RS** się, gdybym powiedziała, że w ogóle nie

jestem głodna?

— Przyrządziłem ten posiłek, aby poczuć się lepiej. Jeśli nie chcesz, nie musisz jeść.

- Wypiję kawę i popatrzę, jak jesz.

Uśmiechnął się.

— Umowa stoi.

Wciąż mi się przyglądał. Wydawał się zasmucony, Zagubiony.

Jeżeli kogoś kochasz, nie powinieneś mu sprawić przykrości. To istotna zasada, a w każdym razie powinna taka być.

— Rozpuściłeś włosy.

— Lubisz, gdy mam je rozpuszczone.

— A to jeden z moich ulubionych swetrów — dopalam. — Naprawdę? — spytał przekornym tonem.

Może jednak będę

umiała przywrócić mu dobry humor i pogodny nastrój. I spędzimy

razem miły wieczór. Teraz wszystko zależało ode mnie. Spojrzałam w jego wielkie, brązowe oczy i stwierdziłam, że

naprawdę tego chcę. Ale nie mogłam go okłamywać. To byłoby nazbyt okrutne.

— Czuję się niezręcznie.

— Wiem. Przepraszam.

— Przestań przeproszać. To nie twoja wina, lecz moja. Pokręcił głową.

— Nie zmienisz tego, co czujesz.

— Przede wszystkim mam ochotę uciec gdzie pieprz rośnie. To podpowiada mi instynkt. Abym przestała się z tobą spotykać. Koniec



# z długimi rozmowami. *RS*Żadnych pieszczot.

Nic.

— Jeżeli tego w nie chcesz — rzekł zduszonym głosem, jakby słowa nie chciały przejść mu przez gardło.

— Prawda jest taka, że chcę ciebie. Tylko nie wiem, czy jestem w stanie przyjąć cię ego.

— Nie powinienem by 1 ci się oświadczyć, dopóki nie ujrzałaś mnie przemienionego.

— Widziałam Marcusa i innych.

— To nie to samo, co widok mnie zmieniającego się na tobie, prawda?

Wzięłam głęboki oddech i powoli wypuściłam powietrze.

— Nie — odparłam. — Nie to samo.

— Jeżeli jest ktoś, kto mógłby dziś przy tobie posiedzieć, pójdę do domu. Mówisz, że potrzeba ci czasu, a ja właściwie się tu wprowadzam. Osaczam cię.

— Prawda.

— Bałem się, że mogę cię utracić — wytłumaczył.

— Osaczanie mnie nic ci nie da — zauważyłam.

— Chyba nie.

Stałam, patrząc na niego. W mieszkaniu było ciemno. Jedyne światło płynęło z kuchni. Powinno zapewnić nam miłą, intymną atmosferę. Mówiłam wszystkim, że lykantropia to tylko choroba. Dyskryminowanie jej ofiar było niemoralne i zabronione przez prawo. Nie miałam podobnych uprzedzeń, a w każdym razie zawsze tak sobie powtarzałam. Patrząc na przystojną twarz Richarda, rozumiałam, że to nieprawda. Byłam uprzedzona. Miałam uprzedzenie do potworów w ogóle. To znaczy mogłam uważać je za swoich przyjaciół, ale nawet moje najbliższe przyjaciółki — Ronnie i Catherine — były istotami ludzkimi. Potwory mogły być moimi przyjaciółmi, jednak nie byłam ich w stanie pokochać. Ani iść z którymś do łóżka. Czy naprawdę tak uważałam? Czy naprawdę taka byłam? Nie chciałam być tym, kim byłam. Ożywiałam trupy i zabijałam wampiry. Nie mogłam nikogo oceniać, nie byłam tego godna.

Zbliżyłam się do niego.

— Obejmij mnie, Richardzie. Po prostu mnie przytul.

Wziął mnie w ramiona. Oplotłam go rękoma w pasie, wtuliłam twarz w jego tors. Słyszałam szybkie, mocne bicie jego serca. Przytuliłam się do niego, wsłuchując się w ten rytm, napawając się jego ciepłem. Przez chwilę czułam się bezpieczna. Tak właśnie się

# czułam, zanim zginęła **RSa** moja matka. Przepelniała mnie owa osobliwa,

dzieci ęca wiara, że dopóki tato i mama są blisko, nie może się stać nic złego. Dogłębna wiara, że oni dopilnują, aby wszystko było w porządku.

W ramionach Richarda przez krótki czas odnajdywałam w sobie tę ufność. Mimo iż wiedziałam, że to wszystko jest kłamstwem. Nawet wtedy, przed laty. Dowodem była śmierć mojej matki.

Odstąpiłam od niego pierwsza. Nie próbował mnie przytrzymać. Nic nie powiedział. Gdyby starał się jakoś mnie pocieszyć, rozpłakałabym się. Nie mogłam sobie na to pozwolić. Do rzeczy.

— Nie zapytałeś, jak mi poszło z Jean-Claude'em.

— Gdy wróciłaś, byłaś na mnie wściekła. Pomyślałem, że odłożę ewentualne pytania na później. Nie chciałem, abyś zaczęła na mnie krzyczeć.

Zaparzył kawę. Tym samym zarobił u mnie dwa punkty.

— Nie byłam na ciebie wściekła. — Nalałam kawy do kubka z małym pingwinkiem. Niezależnie od tego, co zabieram do pracy, to mój ulubiony bek.

— Owszem, byłaś — zaproponował.

— Chcesz kawy?

— Wiesz, że nie lubię kawy. Jak można ufać facetowi, który nie lubi kawy?

— Wciąż miałam nadzieję, że cię jakoś przekonam.

Zaczął nakładać potrawę na talerz.

— Na pewno nie chcesz spróbować?

— Nie, dziękuję. — To było drobno pokrojone mięso w brązowym sosie. Na sam widok zaczęło zbierać mi się na mdłości. Jadłam już trochę od czasu tamtego seansu z Edwardem, ale dziś naprawdę zabrakło mi apetytu. Może miał na to jakiś wpływ fakt, że walnięto moją głowę o beton.

Usiadłam na jednym z krzeseł, podciągając kolana do piersi. Kawa była po wiedeńsku, z cynamonem, jedna z moich ulubionych. Cukier, prawdziwa śmietanka; była wręcz idealna.

Richard usiadł naprzeciw mnie. Pochylił głowę i zmówił krótką

# modlitwę przed posiRSkiem. Czy wspomniałam, że jest baptystą?

Pomijając fakt, że porasta sierścią, wydaje się dla mnie idealną partią.

— Opowiedz, jak było u Jean-Claude'a — poprosił.

Upiłam łyk kawy i spróbowałam obmyślić skróconą wersję. A raczej na tyle skróconą, żeby Richard mógł jej wysłuchać. Oby tylko była prawdziwa.

— Przyjął tę wiadomość lepiej, niż się spodziewałam — odparłam.

Richard, trzymając sztucę w dłoniach, uniósł wzrok znad talerza.

— Przyjął to ze spokojem?

— Tego nie powiedziałam. Ale nie przebił ściany i nie ruszył natychmiast, aby cię zabić. Powiedziałabym, że zniósł to całkiem nieźle.

Richard pokiwał głową. Upił łyk wody i rzekł:

— Czy groził, że mnie zabije?

— O tak. Ale mogło się wydawać, że przewidział taki rozwój wydarzeń. Nie jest zadowolony, ale też nie do końca go to zaskoczyło.

— Będzie próbował mnie zabić? — zadał to pytanie bardzo spokojnie, zajadając mięso z brązowym sosem.

— Nie.

— Dlaczego nie?

Dobre pytanie. Zastanawiałam się, jak mam odpowiedzieć.

— Chce się ze mną spotykać.

Richard przestał jeść. Spojrzał na mnie. I gdy znów był w stanie mówić, zapytał:

— Czego on chce?

# — Chce spróbowa*RS*ć mnie uwieść. Twierdzi, że jeśli nie uda mu

si ę to w ciągu kilku miesięcy, da sobie ze mną spokój. Pozwoli nam być razem i nie będę się mieszał w losy naszego związku. Richard wyprostował się na krześle.

— A ty mu uwierzyłaś?

— Tak. Jean-Claude sądzi, że nikt i nic nie może mu się oprzeć. Wydaje mu się, że jeśli wykorzysta przeciwko mnie całą swoją moc oraz wampirzy urok, zmienię zdanie i porzucę cię dla niego.

— Mogłabyś to zrobić? — zapytał bardzo cicho.

— Nie. Chyba nie — powiedziałam bez większego przekonania.

— Wiem, że go pragniesz, Anito. Kochasz go? Rozmowa zaczęła przybierać niebezpieczny obrót.

— Jakaś mroczna część mnie na pewno go kocha. Ale nie darzę go takim uczuciem jak ciebie.

— W jakim sensie te uczucia się różnią?

— Posłuchaj, odbyłam właśnie poważną rozmowę z Jean-Claude'em. Kocham cię. Czy wyobrażasz mi siebie u boku Mistrza Miasta?

— A czy mogłabyś ułożyć sobie życie z wilkołakiem alfa?

Cholera. Spojrzałam na niego i westchnęłam. Był natarczywy, ale wcale mu się nie dziwiłam. Na jego miejscu zakończyłabym ten związek. Jeżeli nie kochałam go na tyle, by zaakceptować w pełni, kim i czym był, to po co mu taka partnerka? Nie chciałam, aby mnie rzucił. Nie chciałam go utracić. To trochę jak mieć ciastko i zjeść ciastko.

Oparłam się o stół i wyciągnęłam do niego ręce. Po chwili ujął moje dłonie.

— Nie chcę cię stracić — wyznał.

— Nie stracisz mnie. Jesteś o niebo bardziej tolerancyjny ode mnie. Ja nigdy taka nie będę.

Nie uśmiechnął się.

— Wiem.

# Mogłam zaproponować, ale nie zrobiłam tego.

## Nie sposób

zaprzeczając prawdzie.

— Gdybym tylko mogła, przewalczyłabym to w sobie. Na razie nie potrafię.

— Rozumiem, że masz opory i wątpliwości, jeżeli chodzi o poślubienie wilkołaka. W sumie trudno ci się dziwić. Każdy podzielałby twoje obawy. Ale Jean-Claude...

Ścisnęłam jego dłoń.

— Daj spokój, Richardzie. To najlepsze, na co możemy obecnie liczyć. Jean-Claude nie zamierza uśmiercać któregokolwiek z nas. Wciąż będziemy się spotykać i chodzić na randki.

— Nie podoba mi się, że zmusił cię, abyś zaczęła się z nim spotykać. — Pieszczotliwie potarł palcami moje kłykcie. — Nie podoba mi się to tym bardziej, że mam wrażenie, iż nie jesteś temu szczególnie przeciwna. Boli mnie, że jakaś mroczna cząstka twojej duszy może się przy tym dobrze bawić.

Pragnęłam zaprzeczyć, ale nie chciałam skłamać.

— Potrafiłbyś wyczuć, że kłamię?

— Tak — odparł.

— Wobec tego uważam, że to intrygujące i przerażające zarazem.

— Chcę, abyś była bezpieczna, i twoje przerażenie mnie martwi, ale jeszcze bardziej przejmuję się stwierdzeniem, że ta sytuacja cię intryguje.

— Zazdrosny?

— Zatraskany.

Cóż mogłam powiedzieć? Podzielałam jego obawy.

## Rozdział dwudziesty ósmy

Z

adzwonił telefon. Wyciągnęłam rękę, ale nic nie schwyciłam. Uniosłam głowę i stwierdziłam, że stolik nocny jest pusty. Telefon zniknął. Nawet przestał dzwonić. Ale

zegar w radiu wci aż świecił się na czerwono. Wskazywał 1.03. Podparta na łokciu, zamrugałam oczkami, wpatrując się w pustkę. Czyżby to mi się przyśniło? Dlaczego miałabym śnić, że ktoś mi ukradł telefon?

Drzwi do sypialni otworzyły się. W świetle płynącym z drugiego pomieszczenia ujrzałam Richarda. Ach, tak. Teraz sobie przypomniałam. Przeniósł telefon do pokoju, żeby mnie nie obudził. Skoro musiał budzić mnie co godzinę, pozwoliłam mu na to. Gdy śpisz tylko przez godzinę, nawet krótki telefon może wszystko schrzanić.

— Kto dzwoni?

— Sierżant Rudolf Storr. Poprosiłem, aby poczekał, aż będę cię musiał obudzić, ale on się uparł. Mogłam to sobie wyobrazić.

— W porządku.

— Czy piętnaś cie minut by go zbawiło? — zapytał Richard.

Wysunęłam nogi spod narzuty.

— Richardzie, Dolph prowadzi śledztwo w sprawie

# morderstwa. Cierpliwosc nie jest jego mocną stroną.

Richard splótł ramiona na piersiach i oparł się plecami o framugę. Na jego twarzy kładły się mroczne cienie. Tworzyły też osobliwą mozaikę na jego pomarańczowym swetrze. Richard emanował niezadowoleniem. Gdy to wyczułam, odruchowo się uśmiechnęłam. Przechodząc, poklepałam go po ramieniu. Richard spojrzał na mnie spode łba. „Nie wywołuj wilka z lasu” — pomyślałam.

Telefon stał tuż za progiem, podłączony do gniazdka w ścianie.

Usiadłam na podłodze, oparłam się plecami o ścianę i podniosłam słuchawkę.

— To ja, Dolph. Co jest?

— Kim jest Richard Zeeman, który w środku nocy odbiera u ciebie telefony?

Zamknęłam oczy. Bolała mnie głowa. I twarz. Niewiele spałam. — Nie jesteś moim ojcem, Dolph. Czego chcesz?

Chwila ciszy.

— Skąd ta defensywna postawa?

— A co, nie podoba ci się?

— Nie bardzo.

— Dzwonisz tylko po to, by poznać szczegóły z mego

prywatnego życia, czy masz konkretny powód, aby mnie budzić? — Wiedziałam, że chodzi o kolejne morderstwo. Miał zbyt dobry nastrój i właśnie dlatego zaczęłam zastanawiać się, czemu nie zechciał poczekać z tym jeszcze parę godzin.

— Znaleźliśmy coś.

— Co konkretnie?

— Wolałbym, żebyś przyjechała i sama to zobaczyła. — Nie rób mi tego, Dolph. Po prostu powiedz, co to takiego, do cholery.

Znów cisza. Jeźli spodziewał się, że go przeproszę, to sobie poczeka. Wreszcie odparł:

— Znaleźliśmy skórę.

— Jakiego rodzaju?

— Gdybyśmy wiedzieli, czy dzwoniłbym do ciebie o pierwszej

# w nocy? — Wydawa*RS*ę zagniewany. W sumie wcale mu się nie

dziwi łąm.

— Przepraszam, Dolph. Przykro mi, że tak cię potraktowałam. — Nie ma sprawy.

Nie do końca go udobruchałam. Nieważne.

— Czy to może mieć jakiś związek z morderstwem? — Nie sędzę, ale to nie ja jestem słynnym ekspertem od zjawisk

nadnaturalnych. — Wciąż wydawał się wkurzony. Może on też ostatnio się nie wysypiał. Ale mogłam się założyć, że jego głową nikt nie walnął niedawno o chodnik.

— Gdzie jesteś?

Podał adres. W hrabstwie Jefferson, daleko od miejsca zbrodni. — Za ile tu dotrzesz? — spytał.

— Nie mogę prowadzić — odparłam.

— Co?

— Zalecenie lekarza. Dziś w nocy nie wolno mi siadać za kółkiem.

— Czy to coś poważnego?

— Nie bardzo, ale lekarz kazał, aby budzono mnie co godzinę, i nie wolno mi prowadzić auta.

— Dlatego jest u ciebie pan Zeeman.

— Taa.

— Jeżeli jesteś w tak kiepskim stanie, że nie możesz tu dziś przyjechać, trudno, to może poczekać.

— Czy skóra jest w miejscu, gdzie ją znaleziono? Niczego nie ruszano?

— Tak.

— Przyjadę. Kto wie? Może to jakiś ślad. Nie skomentował tego. — Jak tu dotrzesz?

Spojrzałam na Richarda. Mógł mnie zawieźć, ale nie wiedzieć czemu, ten pomysł nie wydał mi się trafiony. Po pierwsze, był cywilem. Po drugie, by lykantropem. Podlegał Marcusowi i do pewnego stopnia Jean-Claude'owi. Niemądrze jest ściągać kogoś takiego na miejsce dochodzenia, gdzie działa jednostka do spraw nadnaturalnych. Poza tym, nawet gdyby był człowiekiem, odpowiedź brzmiałaby — nic z tego.



# — O ile nie przyRSiesz radiowozu, pewnie wezmę taksówkę.

— Zerbrowski nie odpowiedział na pierwszy sygnał na pager. Mieszka w St. Peters. Będzie musiał przejechać koło twojego domu. Może cię zabrać.

— Nie będzie miał nic przeciwko temu? — zapytałam. — Na pewno nie — odparł Dolph. Świetnie. Groziło mi uwięzienie w jednym aucie z Zerbrowskim. — Dobrze. Ubiorę się i zaczekam na niego.

— Ubierzesz się?

— Nie zaczynaj, Dolph.

— Aleś ty drażliwa.

— Przestań.

Zaśmiał się. Miło było to słyszeć. Czyli że tym razem nie zginęło wielu ludzi. Gdy w grę wchodziło więcej ofiar, Dolph raczej nie miał humoru. Odłożył słuchawkę. Ja również.

— Musisz wyjść? — domyślił się Richard.

— Taa.

— Czujesz się na siłach?

— Tak.

— Anito...

Oparłam głowę o ścianę i zamknęłam oczy.

— Nie, Richardzie. Muszę tam pojechać.

— Bez dyskusji?

— Bez — odparłam. Otworzyłam oczy i spojrzałam na niego.

# Stał z założonymi rękami i patrzył na mnie.

- Co jest? — spytałam. Pokręcił głową.
- Gdybym ja powiedzia ła, że chcę coś zrobić i że to nie podlega dyskusji, wkurzyłaby się.
- Wcale nie.
- Anito. — wymówi ła moje imię tak, jak robił to mój ojciec.
- Nie wkurzył abym się, o ile miałbyś ważne powody.
- Anito, wściek abyś się i wiesz o tym doskonale.
- Chciałam zaprzeczy ć, ale nie mogłam.
- No dobrze, masz rację. To wcale by mi się nie spodobało.
- Spojrzałam na niego. Wyjaśnię mu, dlaczego muszę wyjść i zrobić, co do mnie należy. Nie było mi to na rękę.
- Wstałam. Miałam ochotę powiedzieć: „Nie muszę się przed nikim tłumaczyć”, ale jeśli faktycznie mieliśmy myśleć o ślubie, musiałam zmienić niektóre z przyzwyczajęń. Wcale mi się to nie podobało. Fakt, że mój luby był wilkołakiem, stanowi tylko jeden z minusów naszej potencjalnej przyszłej sielanki.
- To sprawa policji, Richardzie. Jeśli nie wykonam swoich obowiązków, mogą zginąć ludzie.
- Sądziłem, że twoim zadaniem jest ożywanie zombi i likwidowanie wampirów.
- Mówisz jak Bert.
- Powiedziałaś mi o Bercie dość, by wiedzieć, że w twoich ustach to obelga.
- Jeśli nie chcesz, abym cię z nim porównywała, nie używaj jednego z jego ulubionych zwrotów. —
- Minęłam go i pomaszero wałam do sypialni. — Muszę się ubrać.
- Poszedł za mną.
- Wiem, że wspomaganie policji jest dla ciebie bardzo ważne.
- Odwrociłam się do niego.
- Ja nie tylko pomagam policji, Richardzie. Oddział Duchów ma nieco ponad dwa lata. Gliny, które w nim służą, nie mają pojęcia o istotach nadnaturalnych. Trafiali tam za karę. Wystarczyło podpaść szefowi i miałeś przeniesienie w kieszeni.
- W gazetach pisano, że to niezależny oddział specjalny. W telewizji też tak mówiono. Podobno służba w tej jednostce jest zaszczytem.

# — Jasne. Oddzia<sup>RS</sup> prawie nie ma pieniędzy. Żadnych szkoleń w

zakresie postępowania z istotami czy wydarzeniami nadnaturalnymi. Dolph, sierżant Storr, zobaczył moje zdjęcie w gazecie i skontaktował się z Bertem. W tym kraju funkcjonariusze policji nie przechodzili specjalnego szkolenia dotyczącego nadnaturalnych zbrodni. Dolph uznał, że przydałabym się im jako doradca.

— Jesteś kimś więcej niż doradcą.

— Istotnie. — Mogłabym mu powiedzieć, że wcześniej tego lata Dolph starał się nie wzywać mnie od razu. Sprawa wydawała się w miarę prosta. Wyglądało na to, że gromada ghuli zebrała się na odwagę i zaatakowała parę spragnioną intymnego zbliżenia. Ghule są tchórzliwe i zwykle nie atakują ludzi w pełni sił, ale jak sami wiecie, zdarzają się wyjątki od reguł. Zanim Dolph mnie powiadomił, było już sześć trupów. I to nie były ghule. Między innymi dlatego Dolph ostatnio kontaktował się ze mną od razu — aby uniknąć dalszych potencjalnych ofiar. Czasami udaje mi się rozwikłać sprawę, zanim problem wymknie się spod kontroli.

Ale nie mogłam powiedzieć o tym Richardowi. Ofiar mogło być mniej, gdyby zawiadomiono mnie wcześniej, ale to sprawa wyłącznie między Dolphem a mną. Rozmawialiśmy o tym tylko raz i w zupełności wystarczyło. Richard, pomimo iż był wilkołakiem, był przede wszystkim cywilem. I nie mogłam wplątywać go w tę sprawę.

— Posłuchaj, nie wiem, czy zdołam ci to wytłumaczyć na tyle jasno, abyś zrozumiał, ale muszę tam pojechać. To może popchnąć do przodu pewne śledztwo. Kto wie, może dzięki temu nie będę musiała odwiedzać kolejnego miejsca zbrodni. Rozumiesz?

Wyglądał na zbitego z tropu, ale powiedziane przez niego słowa świadczyły o czymś zupełnie innym.

— Niezupełnie, ale pewnie wcale nie muszę. Może powinno mi wystarczyć, że twoim zdaniem to coś bardzo ważnego, i tyle.

Odetchnęłam z ulgą.

— Świetnie. A teraz muszę się przygotować. Lada chwila może się tu zjawić Zerbrowski. To detektyw, który ma mnie podwieźć.

Richard tylko pokiwał głową. Jednak był rozsądny.

Weszłam do sypialni i zamknęłam drzwi. Ulżyło mi. Czy po ślubie też będzie nam szło tak gładko? A może stale będę musiała mu się z czegoś tłumaczyć. Bo e. Mam nadzieję, że nie.

Jeszcze jedna para czarnych dżinsów i czerwony sweter, tak

# miękki i delikatny, z*RSe* samo nałożenie go sprawiało mi przyjemność.

Na tle karmazynowego swetra podramienna kabura z browningiem wyglądała bardzo czarno i dramatycznie. Poza tym kolor swetra podkreślał czerwień zadrapań na mojej twarzy. Już byłam gotowa przebrać się w coś innego, gdy rozległ się dzwonek do drzwi. Zerbrowski. Richard poszedł otworzyć, a ja tymczasem przejrzałam się w lustrze. Wystarczył mi jeden rzut oka. Ruszyłam w stronę drzwi.

Zerbrowski stał w progu z rękami w kieszeniach płaszcza. Niedawno skrócił czarne, kręcone, przyprószone lekko siwizną

w łosy. Nawet odrobinę je nażelował. Zwykle rzadkością było ujrzeć go uczesanego. Pod płaszczem miał elegancki czarny garnitur. Do tego gustowny, starannie zawiązany krawat. Spuściłam wzrok. Buty też miał wypastowane i lśniące. Zwykle, gdy go widziałam, miał na ubraniu ślady po ostatnim posiłku.

— Czemu tak się odstawiłeś? Jakaś okazja? — spytałam.

— A ty co dziś taka roznegliżowana? — odparował z uśmiechem.

Zaczerwieniłam się i ogarnęła mnie złość. Nie lubię się rumienić. Zwłaszcza bez powodu.

— Doskonale, jedziemy.

Zgarnęłam z oparcia kanapy swój czarny trencz i dotknęłam zaschniętej krwi. Cholera.

— Muszę wziąć czyste ubranie. Zaraz wracam.

— Zamienię tymczasem kilka słów z panem Zeemanem — odparł Zerbrowski.

# Obawiałam się *RS* tego, ale i tak poszłam po skórzaną kurtkę. Jeśli się

zaręczymy, Richard i tak, prędzej czy później, będzie musiał poznać Zerbrowskiego. Jeżeli o mnie chodzi, wolałabym, aby stało się to później.

— Czym się pan zajmuje, panie Zeeman?

— Jestem nauczycielem.

— Coś takiego.

Reszty dialogu nie usłyszałam. Wyjęłam z szafy kurtkę i ruszyłam do wyjścia. Richard i Zerbrowski gawędzili w najlepsze jak starzy kumple.

— Tak, Anita to nasz ekspert od spraw nadnaturalnych. Co my byśmy bez niej zrobili.

— Jestem gotowa. Możemy jechać. — Minęłam ich i otworzyłam drzwi. Przytrzymałam je Zerbrowskiemu.

Uśmiechnął się do mnie.

— Od dawna się spotykacie?

Richard spojrzał na mnie. Całkiem nieźle wyłapywał, gdy coś było mi nie w smak. Postanowił mnie pozostawić odpowiedź na to pytanie. To dobrze. Zbyt dobrze. Kolejny punkt dla niego. Gdyby jeszcze zachował się jak skończony kretyń i dał mi powód, abym mogła powiedzieć „nie”. To nie jest tego warte. Ale trzeba przyznać, że robił, co mógł, by mnie uszczęśliwić. A to niełatwe.

— Od listopada — odparłam.

— Dwa miesiące. Nieźle. Katie i ja byliśmy zaręczeni w dwa miesiące po naszej pierwszej randce.

— Jego oczy rozblęły, na wargach pojawił się drwiący uśmiešek. Drażnił się ze mną, ale nie wiedział, że porusza drażliwy temat.

Richard spojrzał na mnie. Spojrzenie było głębokie i poważne.

— Dwa miesiące to w sumie nie tak długo. Wyręczył mnie. Nie zasługiwałam na niego.

— Dostatecznie długo, jeśli to ten jedyny, właściwy — stwierdził Zerbrowski.

Starłam się przepchnąć Zerbrowskiego za próg. Uśmiechał się. Nie spieszyło mu się. Miałam nadzieję, że Dolph znów pośle mu sygnał na pager. Stanowiłby dla niego wystarczające ponaglenie.

Dolph nie zadzwoni

na mnie. W jego głę

. Zerbrowski uśmiechnął się. Richard spojrzał bokich, brązowych oczach dostrzegłam ból. Chciałam go objąć i zetrzeć ten wyraz bólu. Niech to diabli.

Był tym właściwym — najprawdopodobniej.

— Muszę już lecieć.

# — Wiem — odpar *RS* Richard. Zerknęłam na Zerbrowskiego.

Szczerzy ł się do

nas, ta scena najwyraźniej bardzo mu się podobała.

Czy powinnam pocałować Richarda na do widzenia? Nie byliśmy

już zaręczeni. Najkrótsze zaręczyny w historii. Ale wciąż się spotykaliśmy. Nadal go kochałam.

Zasługiwał przynajmniej na pocałunek, jeśli nawet na nic innego.

Z łapałam go z przodu za sweter i przyciągnęłam do siebie. Chyba się zdziwił.

— Nie musisz tego robić na pokaz — wyszeptał.

— Zamknij się i pocałuj mnie.

Posłał mi za to szeroki uśmiech. Każdy pocałunek wciąż wywoływał miły szok. Żadne usta nie były równie miękkie. Nikt tak dobrze nie smakował.

Włosy opadły mu do przodu, schwyciłam ich kosmyk i wpiłam się w jego usta. Dłonie Richarda sięgnęły pod moją kurtkę, palce ugniatały sweter.

Odsunęłam się od niego bez tchu. Nie chciałam wychodzić. Skoro zostawał na noc, może mój dzisiejszy nagły wyjazd nie był głupim pomysłem. Nie miałam na myśli seksu przedmałżeńskiego, to nie wchodziło w rachubę, nawet gdyby nie był lykantropem, ale serce nie sługa. Nie byłam pewna, czy moje ciało oparłoby się pokusie.

Miałam wrażenie, że tonę w bezdennej głębi oczu Richarda. Próbowałam ukryć rozanielony uśmiech, ale było już za późno. Wiedziałam, że zapłacę za to podczas mojej przejażdżki z Zerbrowskim. Nie da mi spokoju. Będzie mnie tym dręczył przez całą drogę.

Gdy jednak wpatrywałam się w oblicze Richarda, było mi to obojętne. Jakoś się nam ułoży. Damy radę. Na pewno.

— Poczekaj, aż powiem Dolphowi, że się spóźniliśmy, bo obściskowałaś się z jakimś facetem.

Nie dałam się wci gnąć w dysputę.

— Kto wie, ile potrwa, zanim wrócę do domu. Może zamiast czekać tu na mnie, po prostu wrócisz do siebie?

# — PrzyprowdziRSem twego dżipa, pamiętasz? Nie mam czym

wróci ć.

Och.

— Dobrze. Wróc jak najszybciej. Pokiwał głową.

— Będę tu.

Wysłałam na korytarz. Już się nie uśmiechałam. Nie byłam pewna,

co czu łam, mając świadomość, że po powrocie do domu zastanę w nim Richarda. Jak mam kiedykolwiek podjąć racjonalną decyzję, skoro w jego obecności dostaję małego rozumu i burzą mi się hormony?

Zerbrowski zachichotał.

— Teraz, Blake, widziałem już wszystko. Wielka, niewzruszona zabójczym wampirów jest zakochana.

Pokręciłam głową.

— Przypuszczam, że nie ma sensu prosić, abyś zatrzymał to dla siebie?

Uśmiechnął się.

— Dzięki temu drażnienie się z tobą jest jeszcze zabawniejsze. — Niech cię szlag, Zerbrowski.

— Kochaś wydawał się trochę spięty, więc wcześniej nic mu nie

mówi łem, ale teraz, gdy jesteśmy sami, może wyjaśnisz mi, co się z tobą stało? Wyglądasz, jakby ktoś dał ci w twarz tłuczkiem do mięsa. Przesadził. Widziałam kiedyś kogoś, kto tak zarobił po głowie i

wygl ądał znacznie gorzej.

— To długa historia. Znasz mój sekret. A teraz ty powiedz, z jakiej okazji tak się dziś odstawiłeś.

— Mamy dzisiaj dziesiątą rocznicę ślubu — odparł. — Żartujesz? Pokręcił głową.

— Gratulacje. — Zeszliśmy po schodach.

— Dzięki. Wynaj liśmy opiekunkę do dziecka i w ogóle. Moja kazała mi zostawić pager w domu.

Chłód wgrzył się w świeże rany na mojej twarzy i to sprawiło, że

ból głowy jeszcze mocniej zaczął dawać mi się we znaki. — Drzwi nie są zamknięte — wyjaśnił Zerbrow-ski. — Jesteś gliną. Jak możesz zostawiać na ulicy otwarty samochód?

# Otworzyłam drzwi i zd**RS** ębiałam. Fotel pasażera i cała podłoga były

zawalone torbami po arciu z McDonalda oraz gazetami. Na desce rozdzielczej przyklejony był kawałek skamieniałej pizzy i zgniecione puszki po coli.

— Jezu, Zerbrowski, czy ekolodzy wiedzą, że poruszasz się po mieście zbiornikiem na odpady toksyczne?

— Teraz wiesz, dlaczego nie zamykam auta. Kto miałby je ukraść? — Uklęknął na przednim fotelu i zaczął przerzucać sterty śmieci na tylne siedzenie. Wyglądało, że nie robi tego po raz pierwszy.

Strząsnęłam okruchy z pustego fotela na oczyszczoną co nieco podłogę. Następnie usadowiłam się na siedzeniu.

Zerbrowski zajął miejsce za kółkiem i uruchomił samochód. Silnik zakasłał i zaskoczył. Zapięłam pas bezpieczeństwa i wóz wyjechał z parkingu.

— Co Katie myśli o twojej pracy? — spytałam. Zerbrowski zerknął na mnie.

— Nie ma przeciwwskazań.

— Czy byłaś gliną, kiedy cię poznała?

— Tak. Wiedziała, czego może oczekiwać. Kochaś nie chciał, abyś dziś wychodziła z domu?

— Uważa, że jestem w zbyt kiepskim stanie, żeby ruszać się z mieszkania.

— Wyglądasz fatalnie.

— Dzięki.

— Nasi ukochani dbają o nas, nie chcą, by coś się nam stało. Richard uczy w gimnazjum. Co on może wiedzieć o przemocy?

— Więcej, niżby sobie tego życzył.

— Wiem, wiem. Szkoły są dziś bardzo niebezpiecznymi miejscami. Ale to nie to samo, Anito. My nosimy broń. Poza tym ty, Blake, zabijasz wampiry i ożywasz zmarłych. Czy można sobie wyobrazić coś okropniejszego? Raczej nie.

— No tak. Słusznie. — Ale w głębi duszy wiedziałam, że nie miał



# racji. Okropniejsze by*RS*o bycie lykantropem.

## Chyba się ze mną

zgodzicie, no nie?

— Wątpię, aby w pełni to rozumiała. Trudno kochać kogoś, kto na co dzień ma styczność z przemocą. Cud, że w ogóle kogoś mamy.

Nie strać tego. Szkoda by było.

— A wyglądam, jakbym chciała to utracić? Czy powiedziałam coś takiego?

— Nie na głos. Cholera.

— Daruj sobie, Zerbrowski.

— Jak chcesz. Dolph się ucieszy, gdy się dowie że postanowiłaś wreszcie zawiązać pęt... ee... węzeł małżeński.

Rozsiadłam się możliwie jak najwygodniej w fotelu, starając się znaleźć możliwie najdalej od Zerbrowskiego.

— Nie zamierzam wychodzić za mąż.

— Może jeszcze nie teraz, ale znam to spojrzenie, Blake. Jesteś jak tonąca kobieta, a jedyne wyjście dla ciebie wiedzie wprost do ołtarza.

Miałam ochotę zaoponować, jednak byłam zbyt zakłopotana. Po części wierzyłam Zerbrowskiemu. Jakaś częśćka mnie chciała, abym przestała umawiać się z Richardem i znów była bezpieczna. No dobrze, już dobrze, wcześniej też nie byłam całkiem bezpieczna, bo wokół mnie kręcił się Jean-Claude, ale przynajmniej się z nim nie zaręczyłam.

W porządku, przyznaję, nadal nie byłam zaręczona.

— Wszystko gra, Blake? Westchnęłam.

— Długo byłam sama. Człowiek nabiera wówczas pewnych przyzwyczajzeń.

# A poza tym on jest wilko**RS** łakiem. Nie powiedziałam tego głośno,

choć miałam ochotę. Potrzebowałam niezależnej opinii, ale glina, w dodatku Zerbroński, nie był osobą, na zdaniu której mogłam polegać.

- Osacza cię? — Taa.

— Chce cię poślubić, mieć z tobą dzieci, i w ogóle?

Dzieci. Żadne z nas słowem nie wspomniało o dzieciach. Czy

Richard wyobrażał sobie nasz związek jako sielankę, z małym domkiem i gromadką dzieciaków? Richard w kuchni, ja w pracy, a dzieci biegają po domu? Cholera, będziemy musieli odbyć na ten temat poważną rozmowę. A skoro zaręczyny poszły nam tak gładko, czy to coś oznaczało? Czy Richard chciał mieć dzieci? Ja na pewno nie. Gdzie mielibyśmy mieszkać? Moje mieszkanie było za małe. W jego domu? Jakoś nie byłam przekonana. To był jego dom. Czy nie powinniśmy mieć naszego domu? Cholera. Ja i dzieci? Ja w ciąży? Nie w tym życiu. Sądziłam, że naszym największym problemem jest to, że Richard porasta sierścią. Ale może się myliłam. Może problem był o wiele poważniejszy, niż sądziłam?

## Rozdział dwudziesty dziewiąty

R

rzeka leniwie toczy ła czarne, zimne wody. Wystające z nurtu kamienie wyglądały jak zęby olbrzymów. Brzeg z tyłu, za mną był stromy i gęsto porośnięty drzewami. Śnieg pomiędzy nimi stratowano tak, że widać było zalegające pod nim liście. Przy przeciwległym brzegu z rzeki wyłaniała się skała. Nie sposób było z niej zejść, co najwyżej skoczyć. Pośrodku rzeka miała zaledwie półtora metra. Skok z dziesięciu metrów nie był dobrym pomysłem.

Sta łam ostrożnie na osuwającym się zboczu. Czarna woda przepływała o centymetry od moich stóp. Z gleby na brzegu sterczały korzenie drzew. Połączenie śniegu, liści i niemal pionowego zbocza zdawało się idealną kombinacją, aby posłać mnie do rzeki, ale postanowiłam opierać się możliwie jak najdłużej.

Ska ły tworzyły niski, pogruchotany mur wdzierający się w nurt. Niektóre z kamieni ledwie wystawały nad powierzchnię rzeki, ale jeden, pośrodku niej, sięgał całkiem wysoko. Właśnie na tym gładzie znajdowała się skóra. Dolph w dalszym ciągu był mistrzem niedopowiedzeń. Czy skóra nie powinna być mniejsza od pudełka śniadaniowego, a nie większa niż toyota? Głowa zwieszała się na

# wielkim głazie, jakby jRS na nim udrapowano.

## Między innymi dlatego

skóra wci aż tkwiła po rodku rzeki. Dolph chciał, abym się jej przyjrzał a, na wypadek gdyby umiejscowienie miało jakieś znaczenie rytualne.

Na brzegu, w suchych kombinezonach czeka ła już drużyna nurków. Kombinezony suche są bardziej niewygodne niż pianki mokre, a w zimnej wodzie pomagają lepiej utrzymać ciepło. Obok Dolpha stanął wysoki nurek z naciągniętym już na głowę kapturem, przedstawiono mi go jako MacAdama.

— Czy możemy już pójść po tę skórę?

— Anito? — zapytał Dolph.

— Lepiej, żeby oni popływali w tej wodzie, nie ja — odparłam. — Czy to bezpieczne? — dociekał Dolph.

To całkiem co innego. Co miałam powiedzieć? Prawdę. — Nie jestem pewna. MacAdam spojrział na mnie.

— A co tam może być? To tylko skóra, prawda? Wzruszyłam ramionami.

— Nie jestem pewna, czyja skóra.

— I co z tego? — mruknął.

— Pamiętacie Szalonego Maga w latach siedemdziesiątych? — Nie sądziłem, że może go pani pamiętać — odparł MacAdam. — Studiowałam ten przypadek w college'u. Terroryzm

Magiczny, na drugim roku. Mag specjalizowa ła się w pozostawianiu magicznych zasadzek w różnych niezwykłych miejscach. Jedną z jego ulubionych pułapek stanowiła skóra zwierzęca przywierająca do pierwszej osoby, która jej dotknęła. Potrzeba było czarownika, aby ją później zdjąć.

— Czy to niebezpieczne? — zapytał MacAdam.

— Pewien człowiek udusił się, gdy skóra przywarła do jego twarzy.

# — Jak to się staRSze dotknął jej właśnie twarzą?

— Ciężko zapyta o to trupa. W latach siedemdziesiątych nie było jeszcze animatorów.

MacAdam powiód wzrokiem nad wodą.

— W porządku, w jaki sposób może pani stwierdzić, czy ten przedmiot jest niebezpieczny?

— Czy ktoś już wchodził do wody? Wskazał kciukiem Dolpha.

— Nie pozwoli nam, a szeryf Titus kazał wstrzymać się ze wszystkim aż do przyjazdu jakiegoś narwanego eksperta od potworów. — Otaksował mnie wzrokiem. — To pani?

— To ja.

— Wobec tego proszę wszystko wyjaśnić, jak na eksperta przystało, abyśmy ja i moi ludzie mogli po to pójść.

— Włączyć reflektor? — spytał Dolph. Całe miejsce było oświetlone jak Teatr Chiński. Kazałam pogasić światła, gdy tylko z grubszą przyjrzałam się skórze. Do pewnych rzeczy potrzeba światła, inne widać jedynie w ciemnościach.

— Jeszcze nie. Chcę najpierw przyjrzeć się temu w półmroku.

— Dlaczego bez światła? — dociekał Dolph.

— Pewne istoty chowają się przed światłem, Dolph'a mimo to mogłyby napocząć któregoś z twoich nurków.

— Traktuje to pani bardzo poważnie, prawda? — wtrącił MacAdam.

— Tak, nie cieszy to pana? Patrzył na mnie przez chwilę, po czym skinął głową.

— Tak. Ale jak chce się pani temu przyjrzeć?

Ochłodziło się w ciągu ostatnich kilku dni, więc woda powinna mieć około czterech stopni, bez kombinezonu będzie bardzo zimna.

— Przejdę po skałach. Może zanurzę dłoń w wodzie, aby się przekonać, czy coś w ten sposób przywabię, postaram się jednak nie zamoczyć.

— Traktuje pani potwory serio — dodał. — Ja tak samo traktuję wodę. Jest tak zimna, że po pięciu minutach przebywania w niej nabawi się pani hipotermii. Proszę postarać się nie wpaść do wody.

— Dzięki za rad

# — A jednak się *RS* zamoczysz — rzekł Aikensen. Staął tuż nade

mną, opierając się o drzewo. Kapelusz miał głęboko nasadzony na głowę, postawiony gruby, wełniany kołnierz osłaniał jego szyję. Ale uszy i nos wciąż był y odkryte. Miałam nadzieję, że nabawi się odmrożeń.

Włożył pod brodę zapaloną latarkę, jak podczas robienia żartów w Halloween. Uśmiechał się. — Tylko proszę niczego nie ruszać, pani Blake. Niech pani zostawi wszystko tak, jak było. Nie poprawiłam go, gdy zwrócił się do mnie per „pani”. Chciał mnie w ten sposób zirytować. Ignorując go, ja irytowałam jego. Świetnie.

Halloweenowy uśmiech przygasł, na twarzy pojawił się posępny wyraz.

— Co jest, Aikensen? Nie chcesz zamoczyć sobie stópek?

Odstąpił od drzewa. Zrobił to zbyt gwałtowne. Ześlizgnął się po zboczu, wymachując rękami i próbując złagodzić upadek. Wylądował na tyłku i poszusował dalej. Zmierzał wprost na mnie.

Przesunęłam się w bok i nasyp osunął się podemną. Dałam susa, po czym wylądowałam na najbliższym kamieniu sterczącym z rzeki. Przycupnęłam na nim, opadając prawie na czworaka, aby nie ześlizgnąć się do wody. Kamień był mokry, śliski i przeraźliwie zimny.

Aikensen z krzykiem wpadł do rzeki. Usiadł na tyłku, lodowata woda sięgnęła mu prawie do piersi. Zaczął tłuc w fale dłońmi w rękawicach, jakby chciał je w ten sposób ukarać. Ale tylko przemoczył rękawice.

Skóra nie ześlizgnęła się ze skały i nie przywarła do niego. Nic go nie pochwyciło. Nie czułam w powietrzu zawirowań magii. Nic, tylko chłód i szum fal.

— Chyba nic go nie poźre — mruknął MacAdam.

— Chyba nie. — Staralam się ukryć rozczarowanie.

— Na miłość boską, Aikensen, wylaż z tej wody. — ze szczytu wzgórza dobiegł grmiący głos Titusa. Szeryf i reszta policjantów stali na szczycie nasypu, przy zwirowej drodze. Stały tam także dwie karetki. Odkąd trzy lata temu wprowadzono Prawo Gai, przy akcji tego rodzaju zawsze musiała być karetka, na wypadek gdyby szczątki należały do humanoida. Przywoływano karetkę nawet do usunięcia szczątków kojotów, jakby to były martwe wilkołaki. Prawo zaczęło funkcjonować, ale w całym kraju nie podreperowano systemu stosownymi funduszami. Waszyngton lubił wszystko komplikować.

# Znajdowaliśmy si<sup>RS</sup> na tyłach czyjegoś letniego domku. Przy

niektórych daczach dostrzegłam mola, a nawet hangary dla łodzi. Tyle że jedyną łodzią, jaka mogłaby przedrzeć się przez ten kamienisty kanał, było kanu. W przeciwieństwie do innych domów, nie było tu przystani, jedynie stromy brzeg, lodowaty, czarny nurt i jeden przemoknięty do suchej nitki policjant.

— Aikensen, wgramol się na któryś z tych głazów. Pomóż pannie Blake, skoro i tak już jesteś mokry.

— Nie potrzebuję jego pomocy — odkrzyknęłam do Tirusa. — Ale to nasze hrabstwo, panno Blake. Nie chciałyby pani

chyba, aby pożarła ją jakaś paskudna bestia, podczas gdy my będziemy stać bezpiecznie na brzegu.

Aikensen podniósł się i o mało znowu nie upadł, poślizgnąwszy się na piaszczystym dnie. Odwrócił się, by spiorunować mnie wzrokiem, jakby to była moja wina, ale wspiął się na skałę po drugiej stronie skóry. Zgubił latarkę. Ociekał wodą w ciemnościach i tylko jego kapelusz wciąż jakimś cudem pozostawał suchy. Facet wyglądał jak przytopiony szczur.

— Jakoś już nie jest ci do śmiechu — powiedziałam.

Titus zaczął schodzić po zboczu. Szło mu to lepiej niż mnie. Ja zataczałam się jak pijana, lawirując od jednego drzewa do drugiego. Titus szedł z rozłożonymi na boki rękami dla równowagi, jednak dotarł na brzeg rzeki właściwie bez trudu. Przystanął obok Dolpha.

— Nie pisałem się do tej roboty. Zostałem do tego wyznaczony. Ó?

lisz, Aikensen? — spytałam pewnym głosem.

Z czego mam się cieszyć — Co o tym my Spojrzał na mnie. — Szef zawsze ma rację ale najwyraźniej w to wierzył.

— Do dzieła, Anito — rzucił Dolph. Innymi słowy: „Przestań drażnić się ze wszystkimi”. Chcieli jak najszybciej stąd odejść. Wcale się im nie dziwiłam. Podzielałam ich pragnienia.

Stałam ostrożnie na śliskim głazie. Światło mojej latarki odbijało się na wzburzonej toni jak w tafli czarnego zwierciadła,

# nieprzezroczyściej i nieust*RS* ępliwej.

O świetliłam promieniem pierwszy głaz. Był jasny, lśniący od wody i zapewne od lodu. Stałam na nim niepewnie. Następny kamień, wciąż szło nieźle. Kto by pomyślał, że w niki da się chodzić po oblodzonych głazach?

Przypomniałam sobie ostrzeżenie MacAdama dotyczące hipotermii. Tylko tego mi brakowało, trafić do szpitala wskutek ę. — Nie był z tego powodu zachwycony, wyziębienia organizmu. Czy nie miałam dosyć problemów, że musiałam jeszcze borykać się z potęgą żywiołów?

Pomiędzy dwoma następnymi kamieniami była luka. Nieduży prześwit. Na długość kroku, ale wzbudzała we mnie niepokój. Kamień, na którym stałam, był płaski, prawie suchy i solidny. Następny był z jednej strony zaokrąglony, z drugiej zakończony ostrym szpicem.

- Boisz się, że się zamoczysz? — Aikensen wy-szczerzył się do mnie, jego zęby zabłyśły w ciemnościach.

— Zazdrosny, że ty jesteś mokry, a ja nie?

- Ty też mogłabyś być mokra — wycedził.

- Tylko w moich koszmarach — odparłam. Musiałam skoczyć i mieć nadzieję, że jakimś cudem zdołam utrzymać równowagę. Obejrzałam się w stronę brzegu.

Zastanawiałam się, czy nie poprosić któregoś z nurków o kombinezon — może mieli jeden zapasowy — ale byłoby to nie fair wobec trzęsącego się z zimna Aikensena. Poza tym zapewne uda mi się doskoczyć do sąsiedniego głazu i utrzymać się na nim. Zapewne.

Wycofałam się na skraj głazu, na którym stałam, i dałam susa. Przez chwilę unosiłam się w powietrzu, po czym moje stopy dotknęły skały. Zaczam ześlizgiwać się w bok. Upadłam na głaz, przywierając doń obiema rękami i jedną nogą. Druga po udo zanurzyła się w lodowatej wodzie. Wstrząs był tak silny, że zakląłam.

Zacząłam wdrapywać się z powrotem na skałę, a z nogawki dzinsów wylewała mi się woda. Sądząc po tym, co zaprezentował Aikensen, woda przy tym głazie sięgnęłaby mi do pasa. A zresztą przy moim szczęściu zapewne trafiłabym na obniżenie, w którym zanurzyłabym się po szyję. Dobrze, że skończyło się na jednej nodze.

Aikensen

ś

mia

ł

si



ę ze mnie. Gdyby to był ktoś inny, śmialibyśmy się z tej sytuacji oboje, ale to był on i wyśmiewał się ze mnie. — Przynajmniej nie zgubiłam latarki — mruknęłam. Zabrzmiało dość dziecinnie, jednak Aikensen przestał się śmiać.

Niekiedy nawet tak dziecinnymi metodami możesz osiągnąć pożądaný skutek.

Byłam tuż przy skórze. Z bliska robiła większe! wrażenie. Jeszcze będąc na brzegu, wiedziałam, że to gadzia skóra. Z bliska mogłam stwierdzić, że należała do węża. Największe łuski miały wielkość mojej dłoni. Puste oczodoły zaś rozmiary piłki golfowej. Wyciągnęłam rękę, aby jej dotknąć. Gdy to zrobiłam, coś otarło się o moją dłoń. Krzyknęłam, zanim jeszcze uświadomiłam sobie, że to skóra rozpościerana przez fale na wodzie.

Dotknęłam skóry, gdy tylko odzyskałam oddech. Spodziewałam się, że będzie to lekka, cienka wylinka. Ale była ciężka. Mięsista.

Poświeciłam na nią. To nie była wylinka. Wąż został oskórowany. Nieistotne, czy oskórowano go żywcem, czy nie. Tak czy owak, był teraz martwy. Niewiele jest istot, które mogą przeżyć odarcie ze skóry.

W łuskach i kształcie głowy było coś, co przywodziło na myśl kobrę, ale łuski w świetle latarki wydawały się opalizujące. Wąż nie był jednokolorowy, lecz mienił się jak tęcza lub plama ropy. Kolory pogłębiały się w zależności od kąta padania światła.

— Będiesz się z tym bawić czy można już przysłać po to nurków? — warknął Aikensen.

Przez chwilę ignorowałam go. Na czole węża, prawie dokładnie pomiędzy oczami co było. Coś gładkiego, białego i okrągłego. Przesunęłam palcami. To była perła. Perła wielkości piłki golfowej. Co, u licha, robiła wielka perła w czole wielkiego węża? I czemu ten, kto oskórował węża, nie zabrał jej z sobą?

# Aikensen przechylił się do przodu, wodząc palcami po skórze.

— Bł. Co to takiego?

— Wielki wąż — odparłam.

Odskoczył do tyłu z wrzaskiem. Zaczął wycierać ręce o ubranie,

jakby chciał pozbyć się wrażenia kontaktu z czymś, czego nie znosił. — Boisz się węży, Aikensen? Łypnął na mnie spode łba. — Nie.

Kłamał i oboje o tym wiedzieliśmy.

— Dobrze wam tam, na skale? — spytał Titus.

— Pospieszcie się.

— Czy umiejscowienie skóry ma jakieś rytualne znaczenie,

Anito? — wtrącił Dolph.

— Raczej nie. Skóra musiała zaczepić się na skałach. Nie sądzę, by pozostawiono ją tu celowo.

— Możemy ją zatem zabrać? Skinęłam głową.

— Tak, nurkowie mogą robić swoje. Aikensen już sprawdził, że w wodzie nie ma drapieżników.

Aikensen spojrzał na mnie.

— Co to niby miało znaczyć?

— To znaczy, że choć w wodzie mogą kryć się jakieś istoty,

żadna nie próbowała cię pożreć, więc w rzece jest bezpiecznie. — Wykorzystałaś mnie jako przynętę.

— Sam wpadłeś do wody.

— Panno Blake, czy możemy już zabrać skórę? — niecierpliwił się Titus.

— Tak — odparł Dolph.

— Do dzieła, chłopcy. Nurkowie wymienili spojrzenia. — Możemy teraz włączyć reflektory? — rzekł MacAdam. — Jasne — przytaknęłam.

Uderzył we mnie promień światła. Uniosłam ręce by osłonić oczy, i omal nie ześlizgnęłam się ze skały. Jezu, ale to światło było silne.

Woda wciąż była nieprzejrzysta, czarna i pofalowana, ale kamienie lśniły a ja i Aikensen znaleźliśmy się nagle w blasku jupiterów. Silne światło odarło węzową skórę z wszelkich kolorów.

MacAdam nałożył maskę, włożył do ust regulator. Za nim do wody wszedł jeszcze jeden nurek. Chyba nie musieli fatygować się po skórę we czwórce.

# — Po co noszą *RS* butle, skoro nie muszą nurkować? — spytał

Aikensen.

— To zabezpieczenie, na wypadek gdyby porwał ich prąd albo wpadli w szczelinę w dnie.

— Prąd nie jest aż tak silny.

— Na tyle silny, że gdyby porwał skórę, już byśmy jej nie odzyskali. Mając butlę, możesz popłynąć za skórą, choćby wir rzucił ją na samo dno.

— Mówisz, jakbyś to już kiedyś robiła.

— Mam patent nurka.

— I całe mnóstwo różnych talentów — mruknął.

Nurkowie byli już prawie przy nas. Ich butle wystawały z wody niczym grzbiety wielorybów. MacAdam uniósł głowę ponad wodę i oparł urękawiczoną dłoń na kamieniach, wyjął z ust regulator, obejmując skałę i poruszając nogami, by uwolnić się od wpływu prądu. Drugi nurek podpłynął do Aikensena.

— Czy coś by się stało, gdybyśmy przypadkiem zdarli skórę? — spytał MacAdam.

- Zdejmę ją ze skały. Pomogę wam.

- Zamoczy sobie pani rękę.

- Ale przeżyję, prawda?

Nie widziałam za dobrze jego twarzy, bo wciąż nosił maskę, ale mogłabym się założyć, że miał posępną minę.

— Tak. Przeżyje pani.

Przesunęłam dłonią przed skórą i zanurzyłam ją w wodzie. Zimno sprawiło, że się zawahałam, ale nie trwało to dłużej niż jedno uderzenie serca. Się ęłam w głąb, zanurzając rękę aż po bark, aby

# odczepić skórę. Moja dRSon dotknęła czegoś śliskiego i twardego, co

nie by ło skórą. Krzykn ęłam i odskoczyłam w tył, omal nie spadając ze skały. Zdołał am jednak utrzymać równowagę i sięgnęłam po broń. Zdażyłam tylko powiedzieć ć:

— Coś tam jest. — I wtedy to się wynurzyło. Okrągła twarz z rozwartymi do krzyku bezwargimi ustami wyłoniła się spod wody, długie ramiona wyciągnęły się w stronę MacAdama. Dostrzegłam jeszcze błysk czarnych oczu, zanim to coś pogrążyło się na powrót w rzece.

Nurkowie w te pędy zawrócili do brzegu. Byli przerażeni. Wcale się im nie dziwiłam.

Aikensen zatoczył się do tyłu i wpadł do wody. Po chwili wyłonił się, parszając, z rewolwerem w dłoni.

— Nie strzelaj — powiedziałam. Istota znów wypłynęła na powierzchnię. Ześlizgnęłam się do wody i wylądowałam tuż obok tego czegoś.

Stwór zawył, wyciągając do mnie dłoń przypominającą ludzką. Schwycił mnie za kurtkę i przyciągnął do siebie.

Miałam w dłoni pistolet, ale nie strzeliłam.

Aikensen celował w stwora. Od brzegu dobiegły mnie głośne okrzyki. Nadciągali inni gliniarze, ale nie było już czasu. W rzece byłam tylko ja i Aikensen.

To zwróciło jego uwagę. Zamrugał, skupiając wzrok na mnie.

— Co ty wyprawiasz, u diabła?

— Skieruj gnata w inną stronę, Aikensen.

— Mam już dość wpatrywania się w wylot lufy twojej spluwy, suko.

— Nawzajem — odparłam.

Krzyki i zamieszanie na brzegu, nadchodzili ludzie, byli już niedaleko. Za parę sekund ktoś się tu zjawi. Ktoś nas ocali. Ale nie miałam tych paru sekund. Przybędą za późno.

Obok Aikensena przeleciała kula. Pogrążyła się w falach rzeki, opryskując go wodą . Gliniarz drgnął gwałtownie i wypalił. Stwór zaczął się miotać, lecz ja już płynęłam w stronę brzegu. Istota przywarła do mnie, jakby była moim syjamskim bratem. Minęliśmy wielki głaz, przy którym unosiła się na falach węzowa skóra, jednak udało mi się wymierzy ć do Aikensena. Huk jego magnum rozbrzmiewał w powietrzu, echo wibracji przeniknęło mnie aż do szpiku kości. Gdyby Aikensen wycelował w nas, strzeliłabym.

— Do licha, Aikensen, schowaj tę spluwę! — Rozległ się głośny plusk, to zapewne Titus wszedł do wody, ja zaś nie mogłam oderwać

# wzroku od Aikensena. *RS*

Aikensen spojrział w stronę, skąd dobiegł plusk' Dolph okazał się szybszy. Górował nad Aikensenem jak Anioł Zemsty.

Rewolwer Aikensena zaczął przesuwać się w jego kierunku, jakby gliniarz wyczuł niebezpieczeństwo.

— Jeśli we mnie wycelujesz, wpakuję ci do gardła to żelastwo — wycedził Dolph. Jego cichy głos doszedł mnie, nawet pomimo uporczywego dzwonienia w uszach.

— Jeżeli w ciebie wymierzy, zastrzelę go — ostrzegłam.

— Nikomu prócz mnie nie wolno do niego strzelić. — Titus podszedł bliżej. Był wyższy tylko ode mnie, więc brnięcie przez wodę sprawiało mu spore trudności. Schwycił Aikensena za pas i zwłókł z głazu, wyłuskując mu równocześnie z ręki rewolwer.

Aikensen wpadł do wody i po chwili pojawił się na powierzchni, plując i parszcząc.

— A to za co?

— Zapytaj pannę Blake, dlaczego to zrobiłem. Zapytaj ją, no już, zapytaj! — Chociaż niski i przemoczony, bez trudu radził sobie z Aikensenem.

— Za co? — wychrypiał Aikensen. Opuściłam pistolet, ale go nie schowałam.

— Kłopot z tą wielką spluwą polega na tym, Aikensen, że kula z niego robi wielkie dziury i potrafi sporo przebić.

— Że co?

Titus popchnął go, aż tamten zachwiał się na nogach. Utrzymał jednak równowagę.

— Gdybyś poci gnął za spust, chłopcze, kiedy ten stwór

# przywierał do niej caRSym ciałem, rozwalił byś i jego, i ją.

— Myślałem, że ona chce go ochronić. Zabronili mi strzelać do tego czegoś. A spójrzcie tylko, co to za bestia!

Wszyscy odwrócili się w moją stronę. Stwór wydawał się bezwładny, jakby wyzionął ducha, wczepiony w moją kurtkę. Miałam większy kłopot ze schowaniem niż z wydobyciem broni. Zimno, adrenalina i dłoń mężczyzny wczepiona w moją kurtkę na wysokości kabury.

Bo to był mężczyzna. Odarty ze skóry, ale jakimś cudem wciąż żywy. No dobrze, to na pewno nie mógł być człowiek.

— To człowiek, Aikensen — rzekł Titus. — Ranny człowiek. Gdybyś tak nie machał na wszystkie strony splaną, może zauważyłbyś to, co znajduje się tuż obok ciebie.

— To nag — powiedziałam. Titus jakby mnie nie usłyszał. — Co powiedziałaś? — spytał Dolph.

— To nag.

— Znaczący kto? — wtrącił Titus.

— Ten mężczyzna.

— Kim są nagowie, do cholery?

— Wyjdźcie wszyscy z wody — dobiegło od brzegu. Stał tam lekarz z naręczem koców.

— No jazda, nie chciałyby, żebyście wszyscy trafili dziś do szpitala.

Nie byłam pewna, ale wydawało mi się, że lekarz burknął pod nosem: „Cholerni głupcy”.

— Kim są nagowie? — powtórzył Titus.

— Wyjaśnię, jeśli pomoże mi pan przenieść go na brzeg. Odmrażam tu sobie tyłek.

— Odmrozi pani sobie nie tylko tyłek — ostrzegł lekarz. — Wszyscy na brzeg, ale już! Ruszać się!

— Pomóżcie jej — rozkazał Titus. Dwóch mundurowych weszło z pluskiem do wody. Podnieśli mężczyznę, jednak on przez cały czas wczepiał się kurczowo w moją kurtkę. Nie chciał rozluźnić uścisku. Sprawdziłam mu puls. Był słaby, lecz wyczuwalny.

Gdy wróciliśmy na brzeg, lekarz okrył każdego z nas kocem. Jego partnerka, szczupła blondynka o jasnych włosach, wpatrywała się w

# naga błyszczącego w *RS* świetle reflektora jak otwarta rana.

— Co się z nim stało? — spytał jeden z gliniarzy.

— Został oskórowany — odparłam.

— Jezu Chryste — jęknął policjant.

— Myśl wlaś ciwa, ale nie ta religia — poprawiłam. — Co takiego?

— Nic. Czy może pan rozewrzeć mu palce? — Nie było to takie

proste, jak sądziłam. Ostatecznie dźwignęli go, stając po obu stronach. Pomaszerowałam ciężko ku brzegowi, czując palce naga wciąż zaciśnięte na mojej kurtce. Ale nie przewróciliśmy się. To chyba cud. Już drugi. Pierwszy był taki, że Aikensen wciąż pozostawał przy życiu. Gdy patrzyłam na odarte ze skóry, posiniąte ciało mężczyzny, byłam gotowa uwierzyć, że tej nocy zdarzyło się tu więcej cudów.

Jasnowłosa lekarka uklękła przy nagu. Gwałtownie wypuściła powietrze. Drugi lekarz otulił kocami mnie i dwóch gliniarzy.

— Gdy już go od pani uwolnią, proszę natychmiast udać się do ambulansu. Musi się pani przebrać. Wy dwaj też. Tylko migiem.

Już miałam coś powiedzieć, ale wymierzył we mnie palec.

— Zrzuci pani te mokre łachy i posiedzi w ciepłej karetce albo przewieziemy panią do szpitala. Proszę wybierać.

— Tak jest, kapitanie — rzuciłam.

— Wykonać — wycedził lekarz. I odszedł, by rozdać koce i wydać rozkazy pozostałym policjantom.

— A co ze skórą? — zapytał Titus. Był owinięty kocem.

— Wyciągnijcie ją na brzeg — powiedziałam.

— Jest pani pewna, że w wodzie nie ma już innych podobnych niespodzianek? — spytał MacAdam.

— Myślę, że nie spotkamy już dziś więcej nagów.

Skinął głową i z drugim nurkiem wrócił do wody. Miło było dla odmiany ujrzeć kogo, kto bez szemrania wykonuje polecenia. Może sprawił to widok nagiego, okaleczonego ciała naga.

Lekarze rozwarli jeden po drugim palce dłoni naga, wczepione w moją kurtkę. Sam nie chciał mnie puścić. Palce były zakrzywione, jak pod wpływem stężenia pośmiertnego.

— Wie pani, co to za istota? — spytała jasnowłosa lekarka.

— Nag.

# Dwójka lekarzy wymieniła spojrzenia. Mężczyzna pokręcił głową.

— A co to jest, u licha?

— Istota z hinduskich legend. Zwykle są przedstawiane pod postacią węża.

— Pięknie — mruknął. — Czy mamy go traktować jak gada, czy raczej ssaka?

— Nie wiem.

Obsługa drugiego ambulansu szykowała wyciągarki i kierowała wszystkich do ciepłych karetek. Potrzebowaliśmy więcej lekarzy. Lekarze pokryli jedno z miękkich prześcieradeł ciepłym roztworem soli i owinęli w nie ciało naga. Jego ciało było jedną wielką raną. Groziła mu infekcja. Czy nieśmiertelni mogą nabawić się infekcji? Któż to wie? Znałam się na istotach nadnaturalnych, ale udzielanie pierwszej pomocy nieśmiertelnym nie należało do moich specjalności.

Otulili go kocami. Spojrzałam na srogiego lekarza-zupaka.

— Nawet jeśli to gad, koce mu nie zaszkodzą. Miał rację.

— Puls słaby, lecz regularny — stwierdziła kobieta. — Czy powinniśmy zaryzykować podanie mu kroplówki, czy...

— Nie wiem — odrzekł jej partner. — On w ogóle nie powinien żyć. Po prostu zabierzmy go stąd.

Postarajmy się utrzymać go przy życiu i dowieźć do szpitala.

Z oddali dobiegło zawrozczenie kolejnych karetek. Nadjeżdżały posiłki. Lekarze ułożyli naga na specjalnych noszach, podpiętych do liny wyciągarki umieszczonej na szczycie nasypu.

— Czy mogłaby pani nam podpowiedzieć, jak mamy się nim zaopiekować? — spytał lekarz. Wydał się bardzo przejęty.

— Niestety, nie.

— Wobec tego jazda na górę, do ambulansu. Nie oponowałam. Było mi zimno i nawet pomimo koca czułam chłód spowodowany przemoczonym ubraniem.

Ostatecznie znalazłam się w ciepłym wnętrzu karetki, naga, owinięta tylko w koc, podczas gdy lekarze i pielęgniarki ambulansu ogrzewali mnie ciepłym powietrzem. Obok w karetkce byli też Dolph i Zerbrowski. Wolałam ich niż Aikensena i Titusa.

Czekając, aż lekarze poinformują nas, że jakoś to przeżyjemy,



# Dolph postanowił **zajRSać** się bardziej istotnymi sprawami.

— Opowiedz mi o nagach — poprosił.

— Jak już mówiłam, to istoty z hinduskich legend. Zwykle przedstawiane jako węże, głównie kobry. Mogą przyjąć również ludzką postać lub pojawiać się jako węże z ludzkimi głowami. Są strażnikami kropel deszczu i pereł.

— Możesz powtórzyć? — wtrącił Zerbrowski. Z jego nienaganej fryzury zostały mokre strąki. Wskoczył do rzeki, aby mnie ratować, a przecież sam, biedak, nie umiał pływać.

Powtórzyłam.

— W skórze na głowie mają umieszczoną perłę. Myślę, że to skóra naga. Ktoś go oskórował, ale nag nie umarł. Nie wiem, w jaki sposób skóra znalazła się w rzece ani jak on się w niej znalazł.

— Chcesz powiedzieć, że ten mężczyzna to wąż i został oskórowany, ale to go nie zabiło? — zapytał Dolph.

— Na to wygląda.

— Czemu jest teraz w ludzkiej postaci?

— Nie wiem.

— Dlaczego nie umarł? — dociekał Dolph.

— Nagowie są nieśmiertelni.

— Czy nie powinnaś powiedzieć o tym lekarzom? — wtrącił Zerbrowski.

— Został oskórowany i nadal żyje. Mam nadzieję, że sami się domyślą.

— Racja.

— Który z was strzelił do Aikensena?

— Titus — odpar Dolph.

— Obsobaczył go aż miło i odebrał gnata — dodał Zerbrowski.

— Mam nadzieję że mu go nie odda. Jeśli ktokolwiek w tym kraju nie powinien nosić broni, to właśnie Aikensen.

— Masz ubranie na zmianę, Blake? — zapytał Zerbrowski.

— Nie.

# — Mam w bagażniku dwie pary dresów. Chciałbym jeszcze choć

trochę nacieszyć się uroczystością rocznicową z moją ślubną.

Na my śl, że miałabym nałożyć czyjeś dresy, które w dodatku walały się w bagażniku auta Zerbrowskiego, poczułam się niezręcznie.

— Chyba jednak sobie daruję, Zerbrowski. Naprawdę, dzięki. Uśmiechnął się do mnie.

— To czysty dres. Katie i ja mieliśmy dziś razem potrenować, ale jakoś się nam nie złożyło.

— Jak zwykle, nieprawdaż? — mruknęłam. Nie lubimy trenować.

— No wiesz. — Zacerwienił się. Musiałam po-trącić czułą strunę, w przeciwnym razie nie zarumieniłby się tak szybko.

— Co wy w ogóle ćwiczyacie we dwoje? — zapytałam.

— Facet potrzebuje treningu — rzekł z powagą Dolph.

Zerbrowski spojrzał na mnie, unosząc brwi.

— A ten twój kochaś zapewnia ci odpowiednio wyteżony trening? — Odwrócił się do Dolpha. — Mówiłem ci już, że Blake znalazła sobie chłopaka? Pomieszkuje u niej.

— Pan Zeeman odebrał telefon — odrzekł Dolph.

— Czy nie trzymasz telefonu tuż przy swoim łóżku, Blake? — zapytał Zerbrowski. Spojrzał na mnie niewinnymi, brązowymi oczami.

— Dawaj ten dres i zabierz mnie stąd — mruknęłam.

Zerbrowski zaśmiał się. Dolph mu zawtórował.

— To dres Katie, więc postaraj się go nie uświnić.

— Jeśli naprawdę chcesz potrenować, ćwicz na golasa.

Pokazałam mu środkowy palec.

— Och, zrób to jeszcze raz — poprosił Dolph. — Tak ładnie przy tym rozchylił ci się kocyk.

Najwyraźniej wszyscy mieli dziś ze mnie niezły ubaw.

## Rozdział trzydziesty

O

czwartej nad ranem stałam w korytarzu pod moim mieszkaniem. Miałam na sobie przeraźliwie różowy dres. Swoje mokre ubranie trzymałam zawinięte w tobołek pod

pachą. Nawet w nowym dresie było mi zimno. Lekarze wypuścili mnie do domu, gdy obiecałam, że będę pić ciepłe płyny i wezmę gorącą kąpiel. Wbiegłam po schodach w grubych skarpetach frotte. Mogłam nałożyć dres Katie, ale nie jej buty.

Byłam zziębnięta, zmęczona i bolała mnie twarz. Na szczęście ból głowy minął. Może przez kąpiel w lodowatej wodzie. A może sprawił to dotyk naga. Nie przypominałam sobie żadnych historii traktujących o ich samoistnym leczeniu ran, ale muszę przyznać, że sporo wody upłynęło, odkąd ostatni raz czytałam o nagach. Pytania na ich temat były na egzaminie końcowym z biologii nadnaturalnej.

Istotny trop stanowiła perła i skóra kobry. Powinnam znów sięgnąć do podręcznika i poczytać na ten temat. Choć lekarz dyżurny w szpitalu, dokąd go zabrali, będzie musiał doksztąpić się w tej

# kwestii szybciej niż *RS* ja. Czy w swoich komputerach mieli informacje o

nagach? Miejmy nadzieję, że tak. Dla ich własnego dobra. Czy nag miał kogoś, kto mógłby pozwać szpital do sądu, gdyby okazało się inaczej?

A mo że sam ich pozwie, gdy — i jeżeli — wyliże z tych ciężkich ran.

Po raz drugi w ciągu sześciu godzin stałam przed drzwiami własnego mieszkania i nie miałam kluczy. Oparłam głowę o drzwi; postąłam tak przez chwilę, użalając się nad sobą. Nie chciałam znów ujrzeć dziś Richarda. Mieliśmy sporo do omówienia i bynajmniej nie w związku z jego zmiennokształtnością. Nie miałam ochoty myśleć o dzieciach. Ani dziś o nich rozmawiać. Nie chciałam dziś dyskutować o niczym. Pragnęłam jedynie walnąć się do łóżka i zostać sama.

Wzięłam głęboki oddech i wyprostowałam się. Nie musiałam prezentować się tak kiepsko, jak się czułam. Nacisnęłam dzwonek i obiecałam sobie, że jak najszybciej dorobię zapasowe klucze do mieszkania. Nie dla Richarda. Oba będą dla mnie.

Richard otworzył drzwi. Miał zmierzwione włosy, które okalały jego twarz gęstymi falami. Był bosy i bez koszuli. Miał też rozpięty górny guzik dżinsów. Nagle ucieszyłam się na jego widok. Nie ma to jak pożądanie.

Złapałam go za brzeg dżinsów i przyciągnęłam do siebie. Drgnął, gdy moje wilgotne ciuchy dotknęły jego nagiego torsu, ale nie odsunął się. Jego ciało było niemal rozpalone.

Oplotłam Richarda ramionami, ogrzewając je o jego skórę, a on, choć wyraźnie zadrżał, nie próbował się uwolnić. Upuściłam mokre rzeczy na podłogę.

Pocałowaliśmy się. Był taki delikatny. Moje palce muskały brzeg jego dżinsów, błędząc niebezpiecznie nisko. Richard zaszeptał mi wprost do ucha. Spodziewałam się słodkich banałów albo sprośności, ale usłyszałam:

— Mamy towarzystwo.

Zamarłam w bezruchu. Wyobraziłam sobie Ronnie albo, co gorsza, Irvinga, siedzących na kanapie, podczas gdy my obłapialiśmy się w progu.

# — Cholera — rzuci<sup>RS</sup> łam półgłosem i z uczuciem.

— Nareszcie w domu, *ma petite*. — To było gorsze niż Irving. Spojrzał am na Richarda, rozdziawiając usta.

— Co się dzieje?

— Zjawił się, gdy spałem. Obudziłem się, jak otworzyły się drzwi.

Nagle znów zrobi ło mi się zimno. Lodowaty dreszcz przeszył mnie od stóp do głów.

— Nic ci nie jest?

— Czy naprawdę chcesz rozmawiać o tym w korytarzu, *ma petite*? — Głos Jean-Claude'a brzmiał rzeczowo.

Jemu na przekór chciałam zostać w korytarzu, ale to byłoby dziecinne. Poza tym to było moje mieszkanie.

Przestąpiłam próg, z Richardem u boku. Jego obecność dodawała mi otuchy. Wkopałam mokre rzeczy do pokoju, aby mieć wolne ręce. Kaburę podramienną miałam nałożoną na bluzę dresu. Kabura zwisała luźno, bo nie miałam paska, aby ją przypiąć, ale w razie potrzeby szybko wyjęłabym pistolet. To zapewne nie będzie konieczne, jednak widok broni powinien przypomnieć mistrzowi wampirów, czym się na co dzień zajmowałam.

Richard zamknął drzwi i oparł się o nie, chowając dłonie za plecami. Włosy niemal całkiem przesłaniały mu twarz. Mięśnie brzucha były wydatne i kuszące, zapewne pieściłabym je teraz, gdyby nie obecność w moim salonie pewnego natarczywego wampira.

Jean-Claude siedział na kanapie. Na sobie miał rozpiętą czarną koszulę, spod której wyzierał nagi tors. Ręce rozłożył na oparciu, rozchylając koszulę i odsłaniając sutki o dwa odcienie ciemniejsze o bladej skóry. Usta wykrzywił mu lekki uśmieszek. Siedząc na białej kanapie, wyglądał dramatycznie i perfekcyjnie zarazem. Pasował do wystroju. Cholera. Będę musiała kupić nowe meble, które nie będą, ani białe, ani czarne.

— Co tutaj robisz, Jean-Claude?

— Czy tak witasz swego nowego zalotnika?

— Nie zawracaj mi dzisiaj głowy. Jestem zbyt zmęczona i obolała, aby grać w twoje gierki. Powiedz, po co przyszedłeś i czego chcesz, a potem się wynoś.

Wstał, jakby ktoś pociągnął za niewidzialne sznurki, miękko i swobodnie. Wydawa o się, że nie ma w sobie kości. Ale przynajmniej koszula zasłoniła jego doskonały tors. To już coś.

# — Przyszedł *RSem*, aby spotkać się z tobą i Richardem.

— Po co?

Za śmiał się, a ten dźwięk przetoczył się po mnie jak przyjemna, ciepła fala, delikatna, pobudzająca i martwa. Wzięłam głęboki oddech i zdjęłam uprząż kabury podramiennej. Nie przyszedł tu we wrogich zamiarach. Zjawił się, aby poflirtować. Minęłam obu i przewiesiłam kaburę przez oparcie krzesła kuchennego. Idąc, czułam na sobie wzrok mężczyzn. To było zarazem pochlebne, ale i piekielnie deprymujące.

Spojrzałam na nich. Richard wciąż był przy drzwiach; wyglądał kusząco w tym skąpym stroju. Jean-Claude stał w bezruchu obok kanapy jak trójwymiarowy obraz wymarzonego kochanka ze snów. Potencjał seksualny w moim mieszkaniu urósł do niezwykle dużych rozmiarów.

To, że nic z tego nie wyniknie, było nieomal smutne. W dzbanku wciąż była kawa. Jeśli wypiję dość dużo gorącej kawy i wezmę naprawdę gorącą kąpiel, może odtaję. Wolalabym gorący prysznic, szybszy i wygodniejszy o czwartej nad ranem. Ale obiecałam lekarzom. Chodziło o temperaturę mego ciała.

— Czemu chciałeś zobaczyć się z Richardem i ze mną? — Nalałam kawy do świeżo umytego kubka z pingwinkami. Richard umiał dbać o porządek.

— Doniesiono mi, że *monsieur* Zeeman planuje tu spędzić noc.

— A jeśli nawet, to co?

— Kto ci o tym powiedział? — zapytał Richard. Odstąpił od drzwi. Zapiał nawet górny guzik przy spodniach. Szkoda.

— Stephen.

— Nie zrobił by tego z własnej woli — rzekł Richard. Stał blisko Jean-Claude'a. Fizycznie nawet trochę nad nim górował. Mimo iż był na wpół ubrany. Powinien sprawiać wrażenie niepewnego, dezorientowanego. A jednak czuł się pewnie i swobodnie. Gdy spotkałam Richarda po raz pierwszy, leżał nagi w łóżku. Wtedy też nie czuł się skrępowany.

— I nie zrobił — przyznał Jean-Claude.

# — Stephen jest pod moją *RS* ą ochroną — odparował Richard.

— Nie jesteś jeszcze przywódcą stada, Richardzie. Możesz chronić Stephena w obrębie stada, ale nadal przewodzi mu Marcus. Oddał mi Stephena, po-dobnie jak ciebie.

Richard stał w bezruchu. A jednak powietrze wokół niego zafalowało. Wystarczyło mrugnąć i można to było przeoczyć. Fala mocy delikatnie musnęła moją skórę. Cholera.

— Nie należę do nikogo.

Jean-Claude odwrócił się do niego. Wydawał się pogodny, rozpromieniony, rozmowny.

— Kwestionujesz przywództwo Marcusa? Podchwytliwe pytanie, wszyscy to wiedzieliśmy.

— A jeśli powie, że tak? — zapytałam. Jean-Claude odwrócił się do mnie. Twarz miał! - odartą z wszelkich uczuć.

— To powie, i już.

— A ty doniesiesz o tym Marcusowi i co wtedy? Uśmiechnął się, w jego ciemnoniebieskich oczach rozbłysły iskierki.

— Marcus potraktuje to jak rzucone mu bezpośrednio wyzwanie.

Odstawiłam kubek z kawą i obeszlłam stolik.

Gdy stanęłam pomiędzy nimi, energia Richarda przepływała po mojej skórze jak armia niewidzialnych mrówek. Ze strony.

Jean-Claude'a — nic. Nie-umarli nie czynią hałasu.

— Jeśli choćby nawet pośrednio przyczynisz się do śmierci Richarda, nici z naszej umowy.

— Nie musisz mnie chronić — rzekł Richard. — Jeśli dasz się zabić, walcząc z Marcusem, to jedno, ale jeśli zginiesz, bo Jean-Claude jest o ciebie zazdrosny, wina za twoją śmierć spadłaby na mnie.

Richard dotknął mego ramienia. I jakby przeszedł mnie prąd, gdy

poczułam jego moc. Wzdrygnęłam się, a on opuścił rękę. — Mógłbym ukorzyć się przed Marcusem, oficjalnie uznać jego

przywództwo i byłbym bezpieczny.

Pokręciłam głową

# — Widział *RS*am, do czego jest zdolny Marcus.

## To na pewno nie

zapewni łoby ci bezpieczeństwa.

— Marcus nie wie, że filmowano dwa zakończenia — rzekł Richard.

— A więc rozmawiałeś z nim o tym?

— Masz na myśli te cudne filmiki wykoncypowane przez Rainę?

— zapytał Jean-Claude.

Oboje na niego spojrzeliśmy. Fala mocy rozeszła się wokoło, przybierając na sile. Stojąc przy nim, trudno było oddychać, jakby chciało się przełknąć tornado.

Pokręciłam głowę. Wszystko w swoim czasie.

— Co wiesz o tych filmach?

Jean-Claude spojrział na nas po kolei. Popatrzył mi w oczy. — Twój głos sugeruje, że sprawa jest istotniejsza, niż być

powinna. Co zrobiła ostatnio Raina?

— Skąd wiesz o tych filmach? — dociekał Richard. Zrobił krok naprzód. Dotknął torsem moich pleców, aż sapnęłam. Po plecach przeszły mi ciarki, ale nie było to bolesne doznanie. Raczej dogłębne. Przyjemne, choć miałam

świadomość, że jeśli wkrótce nie minie, zacznie mi sprawiać ból.

Odstąpiłam od niego, stając pomiędzy nimi, lecz nie odwracając się do żadnego tyłem. Obaj na mnie spojrzeli. Na ich twarzach widniał prawie identyczny wyraz. Obcy, jakby myśleli o czymś, co nigdy nie przyszłoby mi do głowy, albo słuchali nieuchwytej dla

mnie muzyki. Byłam w tym pokoju jedyną istotą ludzką. — Jean-Claude, gadaj zaraz, co wiesz o filmach Rainy. Tylko

żadnych gierek, jasne?

Patrzył na mnie tyle, ile trwa jedno uderzenie serca, po czym wzruszył ramionami.

— Dobrze. Wasza samica alfa zaprosiła mnie do udziału w jednym z jej brudnych filmów. Miałem zagrać główną rolę. Wiedziałam, że odmówił. Był ekshibicjonistą, ale miał klasę.

Brudne filmy to poniżej jego godności.

— Bawił cię seks z nią na planie? — zapytał Richard. Mówił cicho, a pokój wypełnił się jego energią. Jean-Claude



# odwrócił się do niego z wRS ściekłością w oczach.

— Ona wciąż błaga, abys wrócił, kudłaty przyjacielu. Twierdzi, że byłeś wspaniały.

— Tani chwyt, Jean-Claude — mruknęłam.

— Nie wierzysz mi. Czy aż tak ufasz jemu?

— Co do tego, że nie uprawiał seksu z Rainą, tak.

Na twarzy Richarda pojawił się dziwny grymas. Spojrzałam na niego.

— Chyba tego nie zrobiłeś?

Jean-Claude zaśmiał się.

— Miałem dziewiętnaście lat — tłumaczył Richard. — Była moją samicą alfa. Sądziłem, że nie mam wyboru.

— No jasne.

— Ona sama wybiera sobie nowych samców. To jedna z rzeczy, które chcę zmienić.

— Nadal z nią sypiasz? — spytałam.

— Nie. Odkąd miałem wybór, już nie — odrzekł Richard.

— Raina bardzo czule cię wspomina, Richardzie. Z cudownymi szczegółami. To nie mogło być tak dawno.

— Siedem lat temu.

— Naprawdę? — w tym słowie zawarł się bezmiar powątpiewania.

— Nie okłamuję cię, Anito — oświadczył Richard.

I postąpił krok naprzód, Jean-Claude odwrócił się do niego. Poziom testosteronu i nadnaturalnych mocy narastał. Groziło nam, że wszyscy w nim utoniemy.

Stanełam między nimi, brutalnie ich rozdzielając. Z chwilą gdy moja dłoń spoczęła na nagiej skórze torsu Richarda, moc przepłynęła przez moje ramię jak prąd elektryczny. W chwilę potem dotknęłam Jean-Claude'a. Jakimś dziwnym trafem moja dłoń u niego także dotknęła gołej skóry. Była chłodna i miękka, a zaraz potem

# **moc Richarda przenikn***RS***ęła przez moje ciało, by rozbić się o tę**

doskonałą skórę.

W momencie wyładowania z wampira także wypłynęła fala energii. Dwie moce nie walczyły ze sobą nawzajem, zmieszały się we mnie i powrotną falą

399sk ąpały ich obu. Moc Jean-Claude'a była jak chłodny, rześki wiatr. Richard emanował elektryzującym żarem. Podsycali się nawzajem niczym drewno, i ogień. A pomiędzy nimi tkwiłam ja, czułam siebie to coś we mnie, co sprawiało, że umiałam ożywiać zmarłych. Magię, z braku lepszego określenia. Trzy moce stopiły się w jeden potężny, rozbuchany, rozedrgany, przenikający do szpiku kości wir.

Kolana ugi ęły się pode mną i bez tchu wylądowałam na czworakach. Miałam wrażenie, że skóra usiłuje zejść z mojego ciała. Czułam serce w gardle, przez to nie mogłam oddychać. Wszystko wokoło było na obrzeżach rozłożone, przed oczami miałam tańczące powidoki. Groziło mi, że stracę przytomność.

— Co to było, u licha? — to Richard. Jego głos zdawał się dochodzić z daleka. I nigdy dotąd nie słyszałam, aby się tak uniósł.

Jean-Claude uklęknął przy mnie. Nie próbował mnie dotykać. Spojrzał mi z bliska w oczy. Nie miał źrenic, jego oczy były całe granatowe. Tak wyglądały, gdy próbował wobec mnie swoich wampirzych numerów. Nie sądziłam, by tym razem zrobił to celowo.

Richard uklęknął z drugiej strony. Zaczął wyciągać do mnie rękę, aby mnie dotknąć. Gdy jego dłoń znalazła się o kilka centymetrów ode mnie, pomiędzy naszymi ciałami, jak wyładowanie elektrostatyczne, nastąpiło drobne przeniesienie mocy. Natychmiast cofnął rękę.

— Co to był

Podobnie jak ja.

— Możesz mówić

Skinęłam głową. Czułam się jak na adrenalinowym haju. Cienie na torsie Jean-Claude'a wydawały się wyraziste i namacalne. Koszula miała niemal metaliczny odcień czerni, niczym pancerzyk chrabąszcza.

# — Powiedz coś *RS* *ma petite*.

— Nic ci nie jest, Anito?

Jak w zwolnionym tempie odwróciłam się do Richarda. Włosy przesłoniły mu jedno oko. Każde pasemko było grube i doskonałe, jak nakreślona ołówkiem kreska. Widziałam wyraźnie poszczególne rzęsy okalające jego cudne, brązowe oczy.

— Nic mi nie jest. — Ale czy na pewno?

— Co się stało? — zapytał Richard. Nie byłam pewna, do kogo się zwracał. Miałam nadzieję, że nie do mnie, bo nie wiedziałam. o? — Wydawał się odrobinę przerażony. *, ma petite?*

Jean-Claude usiadł przy mnie na podłodze, opierając się o stolik. Zamknąwszy oczy, wziął długi, urywany oddech. Następnie wypuścił powietrze i otworzył oczy. Wciąż były granatowe i bezdenne, jakby zamierzał się czymś nasycić. Ale głos miał normalny, na tyle, na ile to możliwe.

— Nigdy dotąd nie doświadczyłem tak gwałtownego wyładowania mocy, nie przelewając uprzednio krwi.

— Ty jak coś powiesz, to już powiesz — mruknęłam.

Richard stał nade mną, jakby chciał mi pomóc, ale bał się mnie dotknąć. Łypnęłam na Jean-Claude'a.

— Coś ty nam zrobił?

— Ja? — Mięśnie twarzy Jean-Claude'a prawie zwiotczały, powieki przymknęły się, usta rozchyliły — Nic nie zrobiłem.

— To kłamstwo — rzucił Richard. Usiadł opodal mnie po turecku, na tyle daleko, by nawet przypadkiem mnie nie dotknąć, i dostatecznie blisko, abym wciąż czuła przepływ mocy między nami. Odsunęłam się trochę, ale tym samym zbliżyłam się do Jean-Claude'a i wcale nie poczułam się przez to lepiej. Cokolwiek się stało, nie było jednorazowym przypadkiem. Moc wciąż wisiała w

# powietrzu i czaiła si*RS* w nas samych.

Spojrzałam na Richarda.

— Wydajesz się więc przekonany, że to jego sprawka. Jestem skłonna w to uwierzy . Ale co wiesz, o czym ja nie mam pojęcia?

— Ja tego nie zrobi łem. Ani ty. Potrafię zwietrzyć magię, gdy mam z nią do czynienia. Wobec tego to musiał być on.

Zwietrzyć? Odwróci łam się do Jean-Claude'a.

— No...?

Zaśmiał się. Ten d więk przepłynął po moich plecach niczym muśnięcie futra, miękkie, śliskie, zaskakujące. To stało się zbyt szybko po ostatnim incydencie. Wciąż czułam efekt działania mocy.

Wzdrygnęłam się, a on zaśmiał się donośniej. Jego śmiech zawsze był rozkosznie groźny, jak nasączony trucizną cukierek.

— Przysięgam, na co tylko zechcesz, że nie zrobiłem niczego celowo.

— A co zrobiłeś przypadkiem? — zapytałam.

— Zadaj sobie to samo pytanie, *ma petite*. Nie jestem jedynym mistrzem istot nadnaturalnych w tym pokoju.

Tu mnie miał.

— Chcesz powiedzieć, że to robota kóregoś z nas? — dociekałam.

— Chcę powiedzieć, że nie wiem, kto to zrobił, ani nie wiem, co właściwie zaszło. Ale *monsieur* Zeeman ma rację, że była to magia. Nieujarzmiona moc, od której każdemu wilkowi zjeżyłaby się sierść.

— Co to miało znaczyć? — spytał Richard.

— Gdybyś mógł ujarzmić taką moc, mój wilczku, nawet Marcus zapewne ugiąłby się przed nią.

Richard przyciągnął kolana do piersi i objął je ramionami.

Wzrok miał odległy, zamyślony. Ta myśl wyraźnie go zaintrygowała.

— Czy jestem jedyną osobą w tym pomieszczeniu, która nie próbuje skonsolidować swego królestwa?

Richard spojrzał na mnie przepaszającym wzrokiem.

— Nie chcę zabi Marcusa. Gdybym zaprezentował mu odpowiednio wystawny pokaz mocy, może by się wreszcie wycofał.

Jean-Claude uśmiechnął się do mnie. To był szczery uśmiech zadowolenia.

— Musisz przyzna

żąda potęgi i mocy, aby obj

# Omal nie wybuchn<sup>RS</sup>że on nie jest człowiekiem, a teraz w dodatku

ać przywództwo w stadzie.  
śmiechem, mówiąc te słowa.

— Nie wiedziałam, że jesteś miłośnikiem piosenek z lat sześćdziesiątych — mruknęłam.  
— Jeszcze wielu rzeczy o mnie nie wiesz, *ma petite*.

Patrzyłam na niego bez słowa. Wizja Jean-Claude'a jako dziecka kwiatu wydała mi się dziwniej-sza niż wszystko, czego dziś doświadczyłam. I chociaż uwierzyłam w nagów, jakoś nie mogłam uwierzyć że Jean-Claude kiedykolwiek miał jakieś hobby.

## Rozdział trzydziesty pierwszy

G

or ąca kąpiel. I znów przy duży podkoszulek, spodnie od dresu i grube skarpety. Zapowiadało się, że będę najgorzej ubraną osobą w tym pokoju. Zamierzałam przy pierwszej okazji pozbyć się czarnego szlafroka.

Siedzieli na kanapie, jeden od drugiego najdalej, jak to by ło możliwe. Jean-Claude siedział jak manekin, z jedną ręką na tylnym oparciu, z drugą zaś na podłokietniku. Założył nogę na nogę, prezentując doskonałe trzewiki. Richard skulił się na drugim końcu kanapy, jedno kolano przyciągając do nagiej piersi, drugie opierając bokiem na kanapie.

Richard sprawia ł wrażenie, że było mu wygodnie. Jean-Claude wyglądał, jakby czekał na przygodnego fotografa. Dwaj mężczyźni mojego życia. Z trudem to znosiłam.

— Zamierzam si przespać, więc wszyscy, którzy nie zostają, wynocha.

— Jeśli mówisz do mnie, *ma petite*, nie zamierzam wyjść. Chyba że razem z Richardem.

— Stephen wyja nił ci, dlaczego tu jestem — odezwał się Richard. — Ona jest ranna i nie powinna być teraz sama.

— Spójrz na nią, Richardzie, czy wygląda, jakby coś jej dolegało?

— Jean-Claude uniós *RS* smukłą dłoń. —

## Przyznaję, że doznała

pewnego, skądinąd nie-znacznego uszczerbku na zdrowiu. Niemniej jednak nie potrzebuje twojej pomocy. Być może nie wymaga nawet mojej.

— Zaprosiłam Richarda i pozwoliłam mu tutaj zostać. Ciebie nie zapraszałam.

— Ależ przecież mnie zaprosiłaś, *ma petite*.

— Po pierwsze, przestań mnie tak nazywać. Po drugie, kiedy cię zaprosiłam?

— Ostatnim razem, gdy tu byłam. W sierpniu o ile dobrze pamiętam.

Cholera. Zapomniałam. Nie chodziło o nieostrożność. W grę wchodziło życie Richarda. Sprawy jakoś się układały, ale nie wiedziałam, że pozostawiając Richarda samego w moim mieszkaniu, zostawiam go w miejscu, do którego Jean-Claude ma zawsze wolny wstęp i może zjawiać się, kiedy tylko zapragnie.

— Mogę temu zaradzić — oznajmiłam.

— Jeśli zadowolili cię dramatyczny gest, proszę bardzo. Niemniej jednak Richard nie może zostać tu na noc.

— Dlaczego nie?

— Uważam, że jesteś jedną z tych kobiet, które oddając ciało, oddają również duszę. Jeśli prześpisz się z tu obecnym monsieur Zeemanem, możesz przekroczyć granicę, zza której nie będzie już powrotu.

— Seks nie oznacza zaangażowania.

— Dla większości ludzi nie, ale dla ciebie chyba tak.

Znał mnie tak dobrze, aż się zaczerwieniłam. Niech go wszyscy diabli.

- Nie zamierzam si ę z nim przespać.

— Wierzę, *ma petite*, ale widzę też, jak wodzisz za nim

# wzrokiem. Siedzi tu *RS* obok tak ponętny, gorący i żywy. Czy gdyby

— mnie tu nie by ło, mog abyś mu się oprzeć?

— Tak. Wzruszy ramionami.

— Być może. Dysponujesz potężną siłą woli, ale mimo wszystko wolę nie ryzykować

— Nie ufasz mi? Sądysz, że mogłabym na niego polecieć? Znow wzruszenie ramion, które mogło oznaczać wszystko.

Uśmiech Jean-Claude'a był zapraszający i protekcyjny zarazem. — Czyżbyś sam miał na niego ochotę?

Pytanie zbiło go z tropu. Zdumienie na jego twarzy było warte

widoku w ściekłości malującej się na obliczu Richarda. Jean-Claude spojrzał na niego. Poświęcił mu całą uwagę. Patrzył na Richarda, taksując go powoli wzrokiem. Nie koncentrował się na torsie czy kroczu, lecz na szyi.

— To prawda, że krew zmiennokształtnych bywa słodsza od krwi śmiertelników. Może być prawdziwą ambrozją, jeśli tylko zdołasz uniknąć rozdarcia na strzępy.

— Powiedziałeś to jak gwałciciel — wtrąciłam. Uśmiechnął się nagle, błyskając kłami.

— Całkiem trafne porównanie.

— Ale miało zabrzmieć jak obelga; mam nadzieję, że zdajesz sobie z tego sprawę.

— Owszem.

— Wydawało mi się, że mamy umowę — rzucił Richard.

— Bo mamy — odparł Jean-Claude.

— Możesz siedzieć tu do wieczora, gawędząc o tym, że chętnie utoczyłbyś mi krwi, ale mimo wszystko umowa to umowa.

— Przyznaję, że z przyjemnością wbiłbym zęby w twoją szyję, ale cóż, umowa jest umową i nie zamierzam się z niej wycofywać.

— O jakiej umowie mówicie? — spytałam.

— Badamy wzajemnie nasze moce — wyjaśnił Jean-Claude.

— To znaczy?

— Właściwie nie wiemy jeszcze nic konkretnego — odrzekł Richard. — Jak na razie, nie ustaliliśmy szczegółów.

— Zgodnie z umową, nie możemy próbować się wzajemnie pozabijać, *ma petite*. Daj nam trochę czasu na ustalenie czegoś więcej.

— Doskonale. Wobec tego wynoście się obaj. Richard wyprężył się na kanapie.

# — Anito, słysza*RS* Lillian. Na wszelki wypadek trzeba cię budzić

co godzinę.

— Nastawię budzik. Posłuchaj, Richardzie, nic mi nie jest.

Ubierz się i wyjdź.

Sprawiał wrażenie zakłopotanego i odrobinę urażonego. — Anito.

Jean-Claude nie wyglądał na zranionego ani zakłopotanego.

Uśmiechał się triumfalnie.

— Richard nie zostanie na noc — zakomunikowałam. —

Zadowolony?

— Tak.

— Ty też tu nie zostaniesz.

— Wcale nie zamierzałem. Wstał i odwrócił się do mnie. — Wyjdę, gdy tylko dostanę buziaka na dobranoc. — Że co?

— Buziaka. — Podszedł do mnie. — Przyznam, że wyobrażałem

sobie siebie w czymś bardziej... — pociągnął mnie za rękaw —

zmysłowym, ale jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma. Wyszarpnęłam rękaw z jego palców.

— Jak na razie, nie masz nic.

— Istotnie, ale nie tracę nadziei.

— Nadzieja matką głupich — ucięłam.

— Umowa między mną a Richardem opiera się na założeniu, że

spotykamy się wszyscy troje. Umawiasz się z Richardem i ze mną.

Obaj walczymy o twoje względy. Tworzymy jedną zgodną rodzinę. — Możemy to jakoś przyspieszyć? Chciałabym się położyć. Na jego czole pojawi

— Anito, nie uł

ły się zmarszczki zatroskania.

atwiasz mi tego.

— Jezu, jak się cieszę — mruknęłam. Zmarszczki zniknęły.

Westchnął.

— Mam wrażenie, że cały twój urok polega na tym, że jesteś taka niedostępna.



# — No jasne — odpar *RS* łam.

— Buzi na dobranoc, *ma...* Anito. Jeśli naprawdę zamierzasz się ze mną spotykać, na pewno nie będzie to ostatni pocałunek.

Łypnęłam na niego gniewnie. Miałam ochotę posłać go do wszystkich diabłów, ale w postawie i wyglądzie mężczyzny było coś, co mnie zniechęciło.

— A jeśli się nie zgodzę?

— Odejdę. Tej nocy. — Postąpił krok naprzód. Był tak blisko, że nasze ciała niemal się stykały. Jego koszula prawie dotykała mojego podkoszulka. — Jeśli jednak Richard cię pocałuje, a mnie odmawisz tego przywileju, umowa zostanie zerwana. Byłoby nieuczciwością, gdyby on mógł cię dotykać a ja nie.

Przystałam na spotkania z nim, bo wtedy uważałam to za rozsądne rozwiązanie, ale teraz... nie zdawałam sobie sprawy z wynikających z tego tytułu niezliczonych implikacji. Randki, pocałunki, uwodzenie. Rany!

— Nie całuję się przed pierwszą randką — wypaliłam.

— Ale przecież już się całowaliśmy, Anito.

— Bez mojej zgody.

— Powiedz, że to ci się nie podobało, *ma petite*. Miałam ochotę skłamać, ale żaden z nich nie dałby się nabrać.

— Natrętny z ciebie łajdak.

— Nie tak natrętny, jakim chciałbym być.

— Nie musisz robić niczego, na co nie masz ochoty — wtrącił Richard. Klęczał na kanapie, wczepiony oburącz w oparcie.

Pokręciłam głową. Nie bardzo wiedziałam, jak to wyrazić, ale jeśli naprawdę mieliśmy przystać na warunki, Jean-Claude miał rację. Nie mogłam trzymać Richarda za rękę, odrzucając równocześnie dłoń Jean-Claude'a. Tym samym jednak musiałabym zrezygnować z pójścia z Richardem na całość. Coś za coś. Nie ma lekko.

— Na prawdziwy pocałunek możesz liczyć dopiero po naszej pierwszej randce, nie wcześniej — rzuciłam. Zamierzałam wykorzystać każdą znaną mi jeszcze z czasów szkolnych sztuczkę. Pokręcił głową.

— Nie, Anito. Sama mówiłaś, że choć nie kochasz Richarda, naprawdę bardzo go lubisz. I że mogłabyś spędzić z nim resztę życia. Z nim, ale nie ze mną. Może jest miłszy ode mnie. Nie mogę z tym konkurować.

# — Nie da się ukry<sup>RSĆ</sup> — wtrąciłam.

Przeszy ł mnie spojrzeniem granatowych oczu. Nie poczułam fali mocy, ale jego wzrok wciąż miał sporą siłę. Nie widziałam w nim magii, jednak mimo wszystko nadal był niebezpieczny.

— Mogę z nim konkurować tylko pod jednym względem. — Niemal namacalnie poczułam na sobie jego wzrok. Wzdrygnęłam się. — Przestań.

— Nie. — jedno słowo, miękkie, delikatne, pieszczotliwe. Miał niesamowity głos. — Jeden pocałunek, Anito, i na dziś koniec. Nie poddam się bez walki. Nie zrezygnuję z ciebie.

— Mógłbyś zmierzyć się dziś z Richardem tylko dlatego, że odmówiłam ci pocałunku. — Nie chodzi o pocałunek, *ma petite*. Ale o to, co dziś ujrzałem, gdy spotkałem go przy drzwiach. Zobaczyłem tworzącą się parę. Muszę interweniować albo wszystko przepadnie.

— Chcesz omamić ją głosem — warknął Richard.

— Obiecuję, dzisiaj żadnych sztuczek.

Skoro tak mówił, to znaczy, że tak właśnie będzie. Jean-Claude zawsze dotrzymywał słowa. Co oznaczało, że faktycznie starłby się dziś z Richardem, gdybym odmówiła mu pocałunku. Zostawiłam oba pistolety w sypialni. Sądziłam, że dziś nic mi nie groziło. Byłam zbyt zmęczona.

— W porządku — zgodziłam się.

— Nie musisz robić nic, na co nie masz ochoty Anito — powtórzył Richard.

— Jeśli mieliby my walczyć, to raczej o coś bar-dziej istotnego niż o zwykły pocałunek.

— **Chcesz to zrobić***RSĆ* — **odezwał się Richard.**

**- Chcesz go**

poca łąwać. — Nie wydawa ła się z tego powodu szczęśliwy. Co miałam powiedzie ć?

— Tak naprawd teraz mam ochotę jedynie na pójšcie do łożka.

Sama. Chc ę się przespa ć.

Powiedziałam szczer ą prawdę. Może nie całą, ale na tyle przekonując ą, by wywo łała wyraz zakłopotania na twarzy Richarda i rozdrażnione westchnienie z ust Jean-Claude'a.

— Skoro więc tak bardzo cię to mierzi, zróbmy to szybko i miejmy już za sobą — rzekł Jean-Claude.

Staliśmy tak blisko siebie, że nawet nie musiał zrobić kolejnego kroku, aby przywrzeć do mnie całym ciałem. Uniosłam dłonie, chcąc trochę go od siebie odsunąć. Dotknęłam nagiej skóry jego brzucha. Odkoczyłam jak oparzona, zaciskając dłonie w pięści.

Czułam na skórze dotyk jego ciała.

— O co chodzi, *ma petite*? Co się stało?

— Zostaw ją — rzucił Richard. Stał przy kanapie z dłońmi luźno zwiniętymi w pięści. Poczułam na skórze falę mocy. Jego moc była jak podmuchy przybierającego na sile wiatru. Włosy przesłoniły mu pół twarzy. Nie było widać jednego oka. Oblicze mężczyzny spowił cień. Światło błyszczało na jego nagiej skórze, malując je odcieniami szarości, złota i czerni. Stał tam, groźny, pierwotny i dziki. Pokój przepełnił jego narastający, groźny warkot.

— Przestań, Richardzie — poprosiłam.

— Wykorzystuje przeciwko tobie swoją moc. — Nie rozpoznałam jego głosu. Niski, gardłowy bas brzmiał dziwnie niehumanie. Cieszyłam się, że jego ciało tonęło w cieniach. Cieszyłam się, że w mroku nie dostrzegałam wyraźnie jego twarzy. Tak bardzo obawiałam się bójki wszczętej przez Jean-Claude'a, że nie przyszło mi nawet do głowy, iż może ją rozpętać także Richard. — Nie wykorzystuje wobec mnie mocy. Po prostu dotknęłam jego nagiej skóry. To wszystko.

# Richard stanął w *RS*wietle, jego twarz wyglądała normalnie. Co się

działo wewnątrz tej gładkiej szyi, za tymi ponętymi ustami, co czyniło jego głos tak groźnym i potwornym?

— Ubieraj się i wynocha.

— Co?

Jego usta poruszyły się, ale znowu wypłynął spomiędzy nich ten przeraźliwy głos. Czułam się, jakbym oglądała kiepsko dubbingowany film.

— Jeśli Jean-Claude nie może cię atakować, tobie także nie wolno atakować jego. Sądziłam, że on jest jedynym potworem, z którym muszę się użerać. Jeśli nie potrafisz się zachować jak człowiek, Richardzie, to żegnam.

— A co z moim buziakiem, *ma petite*?

— Obaj dzisiaj mocno przegięliście — stwierdziłam. — Jazda stąd.

Śmiech Jean-Claude'a wypełnił gęstniej mrok.

— Jak sobie życzysz, Anito. Nie wiem czemu ale nagle przestałem się obawiać o dalszy rozwój wypadków między tobą a *monsieur* Zeemanem.

— Zanim zaczniesz gratulować sobie zwycięstwa, Jean-Claude, chciałam powiedzieć, że cofam moje zaproszenie.

Rozległ się cichy trzask. Zaraz potem pokój wypełnił się dzikim rykiem. Drzwi otwały się na oścież z taką siłą, że grzmotnęły w ścianę. Powiał silny wiatr, porywisty, nieujarzmiony, szarpiąc nasze ubrania i wciskając włosy do oczu.

— Nie musisz tego robić — rzekł Jean-Claude.

— Owszem — odparłam. — Muszę. I nagle jakby niewidzialna dłoń wypchnęła go za drzwi. Zaraz potem zatrzasnęły się za nim z hukiem.

— Przepraszam — powiedział Richard. Jego głos stopniowo wracał do normy. — Nie mogę się tak mocno denerwować, niedługo pełnia.

— Nie chcę tego słyszeć — ucięłam. — Idź już.

— Przepraszam, Anito. Zwykle nie pozwalam sobie na taką utratę kontroli. Nawet gdy do pełni pozostało niewiele dni.

— Czemu dziś miałoby być inaczej?

— Nigdy dotąd nie byłem zakochany. To mnie rozkojarzyło. Zdekoncentrowało.

# — To wina zazdro*RS*ści — stwierdziłam.

— Powiedz, że nie mam powodu do zazdrości, Anito. Spraw, bym w to uwierzył.

Westchnęłam.

— Idź już, Richardzie. Naprawdę. Zanim się położę, muszę jeszcze przeczyścić moje pistolety i nóż.

Uśmiechnął się i pokręcił głową.

— Chyba dziś nie zdołam upewnić cię, że wbrew pozorom nie utraciłem do cna mojej ludzkiej natury.

Podszedł do kanapy i podniósł swój sweter, który starannie złożony leżał na podłodze.

Włożył sweter przez głowę. Wyjął z kieszeni dzinsów frotkę i związał nią włosy. Nawet przez sweter widziałam, jak płynnie poruszają się mięśnie jego ramion. Wzwał buty, po czym pochylił się, by zawiązać sznurowadła.

Miał długi, sięgający kostek płaszcz. W słabym świetle wyglądał jak peleryna.

— Ja chyba też nie dostanę dziś całusa.

— Dobranoc, Richardzie.

Wzjął głęboki oddech i powoli wypuścił powietrze.

— Dobranoc, Anito.

Wyszedł. Przekręciłam zasuwkę w drzwiach. Wyczyściłam broń i położyłam się do łóżka. Po tym, co zaprezentowali dziś przede mną Richard i Jean-Claude, chciałam wziąć ze sobą do łóżka jedynie browninga. No dobrze, pistolet i pewnego wysłużonego pluszowego pingwinka.

## *Rozdział trzydziesty drugi*

D

zwoni ł telefon. Miałam wrażenie, że dzwonił długo. Leżałam w łóżku, wsłuchując się w ten dźwięk i zastanawiając, kiedy — u licha — włączy się wreszcie automatyczna sekretarka. Przetoczyłam się na bok, wyciągając rękę po aparat. Nie było go.

D żwięk dobiegał z sąsiedniego pokoju. Cholera. Zapomniałam go przynieść poprzedniego wieczoru.

Wygramoliłam się z ciepłej pościeli i poczłapałam do salonu. Musiało wybrzmieć z piętnaście sygnałów, zanim dotarłam do aparatu. Osunęłam się na podłogę ze słuchawką przy uchu.

— Kto mówi?

— Anita?

— Ronnie?

# — Masz okropny gRSłos.

— Wyglą dam jeszcze gorzej — odparłam.

— Co się stało?

— Póź niej, dlaczego dzwonicz o... — spojrzałam na zegarek na przegubie — siódmej rano. To ż to barbarzyńska godzina. Oby to było coś ważnego, Ronnie.

— To jest waż ne. Nawet bardzo. Pomyślałam, że powinnyśmy dopaść George'a Smitza, zanim pójdzie do pracy.

— Dlaczego? — Czułam, jak pulsuje mi twarz. Położyłam się na dywanie, przyciskając słuchawkę do ucha. Dywan był bardzo miękki.

— Anito, jesteś tam, Anito? Zamrugałam i zorientowałam się, że przysnęłam.

Usiadłam i oparłam się o ścianę.

— Jestem, ale nie usłyszałam ani słowa po tym, jak powiedziałaś, że musimy pogadać ze Smitzem, zanim pójdzie do roboty.

— Wiem, że nie jesteś rannym ptaszkiem, Anito, ale nigdy dotąd nie zasypiałaś podczas rozmowy ze mną. Ile spałaś ubiegłej nocy?

— Z godzinę.

— Boże, przepraszam. Ale byłam pewna, że chcesz to wiedzieć. Znalazłam gorące dowody. Gorące jak diabli.

— O czym ty mówisz, do licha?

— Mam zdjęcie George'a Smitza z inną kobietą. — Milczała przez chwilę. — Jesteś tam, Anito?

— Jestem. Myślę. — To ostatnie okazało się trudniejsze, niż przypuszczałam. Rano jestem nie do życia. Zawsze. A co dopiero po godzinie snu. — Dlaczego te zdjęcia mają być aż tak gorące?

— Często się zdarza, że małżonek zgłasza zaginięcie żony, aby odwrócić od siebie podejrzenia.

— Myślisz, że Smitz sprzątnął żonę?

— Zgrabnie to ujęłaś, ale tak właśnie uważam.

— Dlaczego? Wielu facetów zdradza żony, ale rzadko który decyduje się na morderstwo.

— Mam coś ciekawszego. Jak już zrobiłam to zdjęcie, popytałam w sklepach rusznikarskich w okolicy. Otóż okazało się, że Smitz kupił ostatnio paczkę srebrnych naboí w sklepie obok rzeźnika.

- Niezbyt rozs

— Jak w przypadku wi

Zorientowałam się,

dne — wtrąciłam.

ększości zabójców. Pokiwałam głową. e nie mogła tego zobaczyć, ale odpuściłam.

— No dobrze, przyjmijmy, że pan Smitz nie jest pogrążonym w rozpacz wdowcem, za którego uchodził. Co miałybyśmy z tym zrobić?

— Przeprowadzimy konfrontację w jego domu.

— Dlaczego nie pójdziemy z tym na policję?

# — *RS* Sprzedawca w sklepie nie do końca miał pewność, że to był

George.

Zamknęłam oczy.

— Pięknie, po prostu pięknie. Myślisz, że się nam przyzna? — Mógłby. Dzielił z nią łożę przez piętnaście lat. Była matką jego dzieci. Powinien mieć spore wyrzuty sumienia. Po godzinie snu mój umysł naprawdę nie funkcjonuje najlepiej. — Mimo to powinniśmy powiadomić policję. Tak dla pewności.

Niech czekaj ą w odwodzie.

— Anito, to mój klient. Nie mam w zwyczaju wydawać klientów glinom, chyba że w ostateczności. Jeśli się przyzna, powiem glinom, co wiem. Najpierw jednak chcę rozegrać partię po swojemu. — Świetnie, a więc zadzwonisz do niego i powiesz, że przyjedziemy, czy ja mam to zrobić?

— Ja się tym zajmę. Pomyślałam, że chciałabyś przy tym być. — Jasne. Powiedz tylko kiedy.

— Jeszcze nie poszedł do pracy. Zadzwonię do niego i wpadnę po ciebie.

Chciałam powiedzieć: „Nie, muszę się jeszcze przespać”, ale dręczyło mnie pytanie — a jeśli on naprawdę ją zabił? Jeżeli to on stał za pozostałymi zaginięciami? George nie wydawał się na tyle groźny, aby likwidować zmiennokształtnych, ale przecież byłam przekonana, że faktycznie cierpi po stracie żony. I że martwi się o jej los. Czyżbym się pomyliła? Oto, jak znałam się na ludziach. — Będę gotowa — stwierdziłam. Odłożyłam słuchawkę bez pożegnania. Zaczynam nabierać manier Dolpha. Przepraszę Ronnie, gdy tu przyjedzie.



# Telefon zadzwoni *RS*, zanim zdążyłam się podnieść.

— O co chodzi, Ronnie?

— Anito, to ja, Richard.

— Przepraszam, Richardzie, co się stało?

— Masz ochryp y głos.

— A ty nie. Przecież nie spałeś dłużej ode mnie. Jak to możliwe, że e jesteś w tak zdumiewającej formie. Błagam, nie mów tylko, że jesteś rannym ptaszkiem. Zaśmiał się.

— Niestety. Rozszyfrowałaś mnie.

Mogłam wybaczyć, że porastał sierścią, ale nad rannym wstawaniem musiałam się zastanowić.

— Richardzie, nie obraż się, ale czego właściwie chcesz?

— Jason zniknął.

— Kto to jest Jason?

— Młody blondyn, który kleił się do ciebie U Lunatyków. — Ach, już pamiętam. Zniknął?

— Tak. Jest nowy w naszym stadzie. Tej nocy będzie pełnia. Nie zaryzykowałby samotnego wypadu w miasto. Jego patron był u niego w domu, ale nie zastał Jasona.

— Patron, jak u AA?

— Coś w tym rodzaju.

— Jakież ślady walki?

— Nie.

Wstałam ze słuchawką w dłoni. Próbowałam zmusić się do myślenia, co przy tak potwornym zmęczeniu wcale nie było proste. I w dodatku dobijał mnie dobry humor Richarda.

— Mąż Peggy Smitz... Ronnie przyłapała go z inną kobietą. Możliwe, że kupił u rusznikarza paczkę srebrnych naboí.

Po drugiej stronie łącza zapanowała cisza. Słyszałam tylko cichy oddech Richarda. I nic więcej. Oddech był ciut przyspieszony.

# — Powiedz coś *RS* — ponagliłam.

- Jeżeli zabił Peggy, zajmiemy się tym.
- Czy przyszedł o ci do głowy, że to on może stać za tymi wszystkimi zaginięciami? — spytałam.
- Nie rozumiem, jak mogłoby to być możliwe.
- Czemu nie? Srebrną kulą zabijesz każdego zmiennokształtnego. Nie potrzeba do tego większej wprawy ani zręczności. Wystarczy ktoś, komu zmiennokształtni ufają.
- Znów chwila ciszy.
- W porządku, i co chcesz zrobić? — zaniepokoił się Richard.
- Ronnie i ja zamierzamy urządzić mu dziś rano konfrontację. Po zniknięciu Jasona nie będziemy dłużej bawić się w dyplomację. Mógłbyś przysłać mi z jednego lub dwóch zmiennokształtnych, aby pomogli odrobinę zmiękczyć Smitza? Niech zacznie się bać. Strach zwykle skłania ludzi do mówienia.
- Mam dziś lekcje, poza tym nie mogę się przed nim zdemaskować. Nie chcę, żeby dowiedział się, kim jestem.
- Nie proszę, abyś to ty mi towarzyszył. Chcę tylko, żebyś kogoś przysłał. Tylko niech ten ktoś wygląda naprawdę groźnie. Irving może i jest wilkołakiem, ale raczej nie wzbudza przerażenia.
- Przyślę kogoś. Dokąd? Do ciebie?
- Taa.
- Kiedy?
- Najszybciej jak to możliwe. I jeszcze jedno...
- Tak?
- Nie mów nikomu o naszych podejrzeniach co do George'a Smitza. Nie chcę, żebyśmy po dotarciu na miejsce znaleźli go w kawałkach.
- Nie zrobiłbym tego.
- Ty nie, ale Marcus mógłby, a Raina na pewno by się nie zawahała.
- Powiem tylko, że masz podejrzanego i potrzebujesz wsparcia. Nie zdradzę, o kogo chodzi.
- Świetnie. Dziękuję.
- Będę wdzięczny, jeśli znajdziesz Jasona, zanim go zabiją.

# — Chętnie przyjmę zapłatę w naturze — odparłam. I zaraz

po żałowałam moich słów. Poniekąd to, co powiedziałam, było prawdą, ale po ubiegłej nocy wolałam o tym nie myśleć. Zaśmiał się.

— Nie ma sprawy. Muszę lecieć do pracy. Kocham cię.

Zawahałam się przez chwilę.

— Ja też cię kocham. Obyś dobrze cudze dzieci uczył.

Milczał przez kilka sekund. Wychwycił moje wahanie.

— Na pewno. Pa.

— Pa. — Odłożyłam słuchawkę i przez chwilę stałam w całkowitym bezruchu. Jeżeli ktoś faktycznie polował na zmiennokształtnych, strzelając do nich jak do kaczek, należało przyjąć, że Jason już nie żyje. W tej sytuacji mogłam jedynie odnaleźć jego ciało. To lepsze niż nic, ale nie wydawało mi się nazbyt pocieszające.

## *Rozdział trzydziesty trzeci*

P

Parę minut po dziewiątej tego ranka podjechaliśmy pod dom George'a Smitza. Prowadziła Ronnie. Ja siedziałam na fotelu obok. Gabriel i Raina z tyłu. Gdyby spytano mnie o zdanie,

wybrałabym inną dwójkę. Na pewno nie zdecydowałabym się, aby ubezpieczała mnie była kochanka mego chłopaka. Co Richardowi przyszło do głowy? A może to Raina nie dała mu wyboru. W kwestii przyjazdu tutaj, nie seksu. Wciąż nie bardzo wiedziałam, co mam o tym myśleć. Wiedziałam tylko, co czuję. Byłam nielicho wkurzona. Ale jednak wolałabym sypiać z kimś innym.

Szklarnie i takie tam. Richard na pewno dał mi to, czego chciałam, przerażających, budzących trwogę zmiennokształtnych. Nie przywykłam, że dostaję to, o co proszę. Następnym razem będę bardziej precyzyjna i konkretna.

Gabriel znów był ubrany w czarne skóry. Możliwe, że miał na sobie ten sam strój, w którym widziałam go za pierwszym razem, co mogła sugerować na

może miał w szafie wy

wiekowana rękawica na jego prawej dłoni. A łącznie tego typu skórzane ciuchy. Zdjął

kolczyki. Dziurki po nich, nawet te w twardszych chrząstkach uszu, już się zagoiły. Raina była ubrana normalnie. No, prawie. Nosila długie do kostek futro. Z lisa. Kanibalizm to jedno, ale żeby nosić

# skóry swoich zmarłRSych? Wydawała mi się nazbyt perwersyjna i

chora, nawet jak na szajbuskę z piekła rodem. No dobrze, nie była lisicą, lecz waderą, ale ja na przykład z przekonania nie noszę futer. To się kłóci z moim morale. Ona natomiast wręcz obnosiła się z tym strojem. Wychyliła się w moją stronę.

— Co robimy przed domem Peggy? Nadeszła pora wyłożyć kawę na ławę. Czemu nie chciałam tego zrobić? Wypięłam pas i odwróciłam się do niej. Patrzyła na mnie z dość pogodną miną. Miała niebrzydką twarz. Wysoko osadzone kości policzkowe i zmysłowe, pełne usta. Wyglądała urzekająco. Może miała na dziś jakieś diabelskie plany. Gabriel rozparł się na tylnym siedzeniu. Urękawiczona dłoń musnęła ramię Ronnie. Nawet mimo zamszowej kurtki, którą miała na sobie, przeszył ją dreszcz.

— Dotknij mnie jeszcze raz, a nakarmię cię twoją własną ręką. — Odsunęła się od niego na tyle, na ile pozwalała jej na to kierownica, czyli nie za bardzo.

Gabriel dotknął jej kilkakrotnie podczas jazdy. Tylko się z nią drażnił, ale i tak było to krępujące.

— Dłonie są bardzo kościste. Wolę delikatniejsze mięso. Udo lub pierś — rzekł Gabriel. Jego szare oczy nawet w blasku słońca wyglądały niesamowicie, a może i bardziej niż zazwyczaj. Światło sprawia, że szarość wydaje się nieomal błyszcząca.

Widziałam już takie oczy, ale nie potrafiłam przypomnieć sobie gdzie i kiedy.

— Gabrielu, wiem, że prawdziwe z ciebie utrapienie. I że bawi cię drażnienie się z Ronnie, ale jeśli zaraz nie przestaniesz, przekonamy się, jak skuteczny jest twój system gojenia ran.

Przysunął się do mnie. Nie poczułam się przez to lepiej.

. Kiedy tylko zechcesz. Jestem do twojej — Bardzo prosz dyspozycji.

— Czy igranie ze — Dopóki łączy się z bólem — odrzekł Gabriel. Ronnie spojrzała na nas rozszerzonymi oczyma.

— Musisz opowiedzieć mi o swoim wieczorze.

— Nie chcesz tego wiedzieć — zapewniłam.

# — Po co tu przyjechali *RS* śmy? — spytała Raina. Skórzany książę

ani trochę jej nie zdekoncentrował. I bardzo dobrze. Dla niej. Dla mnie gorzej. Patrzyła przenikliwie, jakby moja twarz była dla niej całym światem. Czy to właśnie widział w niej Marcus? Wielu mężczyznom pochlebia, gdy poświęca się im całą uwagę. Ale czyż nie jest tak z nami wszystkimi?

— Ronnie?

miercią to twój pomysł na seks? — spytałam.

Wyjęła z torebki zdjęcia. Były to fotografie, które nie wymagały dodatkowego komentarza ani wyjaśnień. George nie zaciągnął zasłon, to bardzo nieostrożne.

Gabriel znów rozparł się na siedzeniu, z szerokim uśmiechem na twarzy przeglądając fotki. Powrócił do jednego ze zdjęć, które go zafrapowało, i wybuchnął śmiechem.

— Imponujące.

Reakcja Rainy była całkiem inna. Nie wyglądała na rozbawioną.

Raczej na wściekłą.

— Sprowadziłaś nas tu, abyśmy ukarali go za to że zdradza

Peggy?

— Niezupełnie — odparłam. — Uważamy, że jest odpowiedzialny za jej zniknięcie. A jeśli odpowiedzialny za jedno, być może ma na sumieniu również inne.

Raina spojrzała na mnie. Poczułam się nieswojo, gdy mierzyła mnie wzrokiem. Czułam jej gniew. Czysty, prosty, niepohamowany. George skrzywdził kogoś z ich stada. I zapłaci za to. W jej oczach nie było niepewności, jedynie gwałtowna wściekłość.

— Ronnie i ja porozmawiamy z nim. Waszym zadaniem będzie napędzić mu stracha, jeśli to okaże się konieczne.

— Jeżeli istnieje szansa, że on ma Jasona, nie starczy czasu na zabawę w subtelności — rzuciła Raina.

Zgadzałam się z nią, ale nie powiedziałam tego głośno. — My mówimy, wy trzymacie się z tyłu i robicie groźne miny.

Wchodźcie do akcji dopiero, gdy wam powiemy. Jasne? — Przyjechałam tu, bo poprosił mnie o to Richard — rzekła

Raina. — Jest samcem alfa. Wykonuję tylko jego polecenia.

# — Jakoś nie potrafi*RS* ę wyobrazić sobie siebie pod

porz ądkowującej się komukolwiek — mruknęłam.

Posłała mi bardzo perfidny uśmiech.

— Wykonuję tylko te polecenia, które chcę wykonać. I podporz ądkowuję się temu, komu chcę.

W to akurat mogłam uwierzyć. Skinęłam na Gabriela. — Kto go tu ściągnął?

Ja go wybra łam. Gabriel potrafi wyglądać groźnie. Był wielki, przyobleczony w skóry, błyszczący od wieków i miał ostre, spiczaste zęby. Tak, faktycznie wyglądał groźnie.

- Dajcie słowo, że będziecie trzymać się z tyłu nie wejdziecie do akcji, zanim wam każę.

- Richard powiedział, że mamy cię słuchać tak jak jego i wykonywać twoje polecenia, jakby pochodziły od niego — rzekła Raina.

— Doskonale. A skoro słuchasz Richarda wtedy, gdy ci to odpowiada, jak będzie między nami?

Raina wybuchnęła śmiechem. Pobrmiewała w nim mroczna, surowa nuta. Te dźwięki przywodziły na myśl szalonych naukowców i ludzi, którzy zbyt długo przebywali w zamkniętych na klucz izolatkach.

— Pozwolę ci robić swoje, Anito Blake, dopóki sytuacja nie zacznie wymykać ci się spod kontroli. Jason należy do mojego stada. Nie dopuszczę, abyś przez swoją delikatność naraziła na szwank jego życie.

Coraz mniej mi si to podobało.

— Nie jestem taka delikatna. Uśmiechnęła się.

— Co racja, to racja. Wybacz.

— Nie jesteś wilkiem — mruknęłam. — Co ci z tego przyjdzie?

Gabriel uśmiechn się, błyskając spiczastymi, ostrymi kłami.

# Wciąż przeglądał zdjęRScia.

— Marcus i Richard będą mi winni przysługę. Całe stado będzie mi dłużne.

Skinęłam głową. Ten motyw wydał mi się przekonujący.

— Oddaj zdjęcie ci Ronnie. Tylko bez cwanych komentarzy.

Wydał wargi. Gdyby nie kły, poszłoby mu to znacznie lepiej. Ale oddał fotografie Ronnie.

Koniuszkami palców leciutko musnął wierzch jej dłoni, nie mówiąc przy tym ani słowa. I o to go właśnie prosiłam. Czy wszyscy zmiennokształtni byli tak cholernie dosłowni?

Spojrzał na mnie swymi dziwnymi oczami. I wtedy

niespodziewanie przypomniałam sobie, gdzie widziałam te oczy. Wyzierały spod maski na filmie, którego wołałabym nigdy nie ujrzeć. To Gabriel był drugim mężczyzną na filmie, na którym zarejestrowano zabójstwo. Byłam zbyt niewyspana, aby ukryć szok. Poczułam, że mięśnie twarzy napinają mi się, ale nie potrafiłam temu zapobiec.

Gabriel przekrzywił głowę, jak pies.

— Czemu tak na mnie patrzysz, urosła mi druga głowa czy jak?

Co mogłam powiedzieć?

— Twoje oczy. Przypomniałam sobie, gdzie je wcześniej widziałam.

— Tak? — Przyniósł się do mnie, opierając podbródek o fotel, abym mogła lepiej zobaczyć jego lśniące oczy. — Gdzie?

— W zoo. Jesteś lampartem. — Oj, nieładnie tak kłamać, ale nic lepszego nie zdołałam naprędce wymyślić.

Zamrugnął, wpatrując się we mnie.

— Miau, ale myślałaś o czymś innym.

Wydawał się bardzo pewny siebie.

— Możesz wierzyć lub nie, nic mnie to nie obchodzi. Innej odpowiedzi nie będzie.

Znieruchomiał z podbródkiem zagłębionym w tapicerce. Nie było widać jego ramion, tylko samą głowę pozbawioną ciała, niczym

# czerep zatknięty na wRSóczni. Całkiem trafne skojarzenie, zwłaszcza

gdyby Edward si ę o nim dowiedział. A Edward się dowie. Powiem mu o nim, i to z przyjemnością, jeśli tylko w ten sposób zdołam powstrzymać powstawanie takich filmów. Nie byłam pewna, czy to zahamował oby proceder. Owe filmy stanowiły oczko w głowie Rainy. Najwyraź niej nie wiedziała, że mogło istnieć inne zakończenie. No jasne, i pewnie wciąż wierzyła w świętego Mikołaja.

Ronnie patrzy ła na mnie. Za dobrze się znałyśmy. Nie powiedziałam jej o „zabójczym” filmie. A teraz przedstawiłam ją dwójce „artystów”. Cholera. Wysiedliśmy z auta w jasny, chłodny zimowy poranek. Ruszyliśmy w stronę domu, a za nami podążała dwójka zmiennokształtnych, w tym jeden, którego widziałam ostatnio na filmie, zabijającego i zjadającego młodą kobietę. Boże, dopomóż George'owi Smitzowi, jeżeli był winny. Boże, miej w opiece nas wszystkich, jeżeli nie był. Jason zniknął. Jeden z nowych członków stada, tak go określił Richard. Jeżeli nie George Smitz go dopadł, to w takim razie kto?



## Rozdział trzydziesty czwarty

R

aina schwyci ła mnie za nadgarstek, zanim zdążyłam wcisnąć dzwonek. Była szybka i silna. Nawet nie zauważyłam jej ruchu. Nie zdążyłam zareagować. Paznokcie miała pomalowane lakierem w kolorze sma żonej dyni. Te pomarańczowobrazowe paznokcie wpiły się w mój nadgarstek na tyle mocno, by pozostawić na skórze ślady. Dała mi odczuć moc kryjącą się w delikatnej dłoni. Była silna, lecz nie była wampirzycą. Mogłam się założyć, że wyjęłabym broń, zanim zgruchotałaby mi nadgarstek. Nie zgruchotała nadgarstka. Puściła mnie.

— Może Gabriel i ja powinniśmy wejść od tyłu. Sama mówiłaś, że wolałabyś, żebyśmy tworzyli odpowiednie tło.

Uśmiechała się i wyglądała tak rezolutnie. Ślady jej paznokci na mojej skórze jeszcze nie zniknęły. — To znaczy proszę na nas spojrzeć, panno Blake — dodała. — Nawet jeśli będziemy milczeć, nie potrafi nas zignorować.

Miała rację.

# — A jak wejdziecie do *RS* środka, jeśli tylne drzwi będą zamknięte?

Raina rzuciła mi spojrzenie godne Edwarda, jakbym zadała jakieś idiotyczne pytanie. Czy tylko ja nie umiałam otworzyć zamka wytrychem?

— Dobrze, zróbcie to.

Uśmiechnęła się i pomaszerowała przez śnieg. Kasztanowe włosy lśniły na tle futra z lisów. Botki na obcasie zostawiały ostre, drobne ślady w topniejącym śniegu. Gabriel pospieszył za nią. Łańcuchy na skórzanej kurtce pobrzękiwały przy każdym kroku. Podkute kowbojki z metalowymi czubami jakby celowo niszczyły ślady stóp Rainy.

— Nikt nie mógłby pomylić ich z parą domokrażców — rzuciła Ronnie.

Spojrzałam na nasze dżinsy, moje nike, jej śniegowce, moją skórzaną kurtkę i jej długi, zamszowy płaszcz.

— Nas też nie — oznajmiłam.

— Racja.

Wcisnęłam guzik dzwonka.

Stałyśmy na niedużym, frontowym ganku, wsłuchując się w odgłos topniejących sopli. Trwała jedna z tych osobliwych odwilży, z jakich słynie Missouri. Śnieg topniał w oczach, jak bałwan pod wpływem promieni słońca. Ale ten stan nie potrwa długo. Już taka ilość śniegu w grudniu była rzeczą niezwykłą samą w sobie. Zwykle biało robi się tu dopiero na przełomie stycznia i lutego.

Po dłuższej chwili pan Smitz pofatygował się do drzwi. Usłyszałam jakieś poruszenie. Coś ciężkiego, jakby człowiek przyczłapał do drzwi. George Smitz otworzył, ubrany w okrwawiony fartuch narzucony na dżinsy i jasnoniebieski podkoszulek.

Miał na ramieniu plamę krwi, jakby prznosił na nim poleć wołowiny i trochę si ę przy tym ubrudził. Wytarł dłonie w fartuch, energicznie, kilka razy, jak-by nie był ich w stanie doczyścić. Może nie przywykł do babrania się we krwi.

A może pociły mu si ę dłonie.

# Uśmiechnęłam si~~RS~~ i podałam mu rękę. Uścisnął

— Ją. Miał spoconą dłoń. Był zdenerwowany. Świetnie.

— Co słyszeć, panie Smitz?

Uścisnął dłoń Ronnie, po czym wpuścił nas do środka. Stanęliśmy w niedużym przejściu. Z boku stała szafa, naprzeciwko niej mały stolik, nad nim zaś na ścianie wisiało lustro. Na stoliku stał wazon z żółtymi, jedwabnymi kwiatami. Ściany miały jasnożółty kolor i doskonale komponowały się z kwiatami.

— Czy mogę prosić panie o płaszcze? Jeżeli był mordercą, to najbardziej uprzejmym spośród tych, których miałam okazję spotkać.

— Nie, dziękuję, nie będziemy się rozbierać.

— Peggy zawsze wścieka się na mnie, jeśli nie poproszę gości o ubrania. „George — mówi — zachowuj się kulturalnie i zajmij się gośćmi. Poproś ich o okrycia wierzchnie”. — Dobrze naśladował żonę.

Weszliśmy do pokoju. Ściany wyklejono jasnożółtą tapetą w delikatne, brązowe kwiatki. Kanapa i fotele także były utrzymane w jasnożółtym tonie. Na stole z jasnego drewna stał wazon z jedwabnymi kwiatami. Żółtymi.

Obrazy na ścianach, bibeloty na półkach, nawet dywan, wszystko było żółte. Czułam się, jakby uwięziono mnie w cytrynie.

Może odmalowało się to na mojej twarzy, a może George przywykł do takich reakcji.

— Żółty był ulubionym kolorem Peggy.

— Był?

— To znaczy jest. O Boże. — Osunął się na cytrynową kanapę, ukrywając twarz w ogromnych dłoniach.

On jednak nie pasował do tego żółtego pokoju z delikatnymi żółtymi firankami.

— Ta niepewność jest taka... porażająca. — Uniósł wzrok i spojrzał na nas. W oczach miał łzy. Facet jak dla mnie zasługiwał na Oscara.

— Panna Sims powiedziała, że ma jakieś wieści na temat Peggy. Czy udało się ją odnaleźć? Nic jej nie jest? — Wzrok miał tak szczery, że nie byłam w stanie spojrzeć mu w oczy.

W dalszym ciągu nie miałam stuprocentowej pewności, że kłamał.

# Gdybym nie widział *RS*a jego zdjęć z inną kobietą, nie uwierzyłabym w

to. Rzecz jasna, niewierność nie równa się morderstwu. Mógł być winny jednego, ale nie oznacza to, że popełnił tę drugą zbrodnię. Jasne.

Ronnie usiadła na kanapie możliwie jak najdalej, ale tak, by czuć się wygodnie. Była wyluzowana, choć wiedziała, z jakim gagatkiem ma do czynienia. Gdybym wyszła za męża i mój ślubny spróbował mnie zdradzić, to nie ja zaginęłabym bez śladu.

— Proszę spocząć, panno Blake. Tak mi przykro, marny ze mnie gospodarz.

Przysiadłam na żółtym rozkładanym fotelu.

— Sądziłam, że jest pan budowlańcem, panie Smitz. Czemu nosi pan ten fartuch?

— Ojciec Peggy nie jest w stanie sam prowadzić sklepu. Wiele lat temu przepisał go na córkę. Być może będę musiał rzucić pracę na budowie. Ale rozumiecie panie, to przecież mój teść. Nie mogę zostawić go na pastwę losu. Większość prac wykonywała Peggy. Teść ma prawie dziewięćdziesiąt dwa lata. Nie jest w stanie zajmować się wszystkim.

— Odziedziczył pan sklep mięsny? — spytałam. Automatycznie weszliśmy w tryb postępowania określany w żargonie policyjnym „dobry i zły glina”. Zgadnijcie, kogo odgrywałam.

Zamrugął, spoglądając na mnie.

— N-no tak. Chyba tak.

Tym razem nie zapytał, czy nic jej nie jest. Patrzył tylko na mnie z trwogą i przejęciem.

— Kocha pan żonę?

— Tak, oczywiście. Co to w ogóle za pytanie? — Z każdą chwilą jego smutek coraz bardziej się rozpraszał, zastępowany przez

# narastającą wściekłą *RS* ?

— Ronnie — rzekłam półgłosem.

Wyjęła z torebki zdjęcie i podała mu. Na pierwszym widać było

Smitza obejmującego tego ciemnowłosą kobietę. Peggy była blondynką. Zaczął nabierać kolorów.

Nie tyle się zaczerwienił, ile raczej

spurpurowiał. Cisnął fotografię na stół, nawet nie spojrzawszy na następne. Rozsypały się po całym stole, ukazując Smitza i kobietę w coraz bardziej posuniętym neglizżu. Całujących się, pieszczących wzajemnie i nieomal uprawiających seks na stojąco.

Jego twarz stała się buraczkowa. Oczy wyszły mu z orbit. Wstał, oddychał szybko, nerwowo, spazmatycznie.

— Co to ma znaczyć, u licha?

— Myślę, że zdjęcia mówią same za siebie — odparłam. — Wynajęłam panią do odnalezienia mojej żony, a nie do

szpiegowania mnie. — Odwrócił się do Ronnie i stanął nad nią jak kat nad grzeszną duszą. Zaciśnął wielkie łapska w jeszcze większe

pięści. Mięśnie ramion napięły się, żyły wystąpiły spod skóry. Ronnie wstała, wykorzystując najlepiej, jak umiała, swoje metr

siedemdziesiąt dwa wzrostu. Była spokojna. Jeśli nawet

przejmowała się, że miała przed sobą cięższego o pięćdziesiąt kilogramów faceta, nie dawała tego po sobie poznać.

— George, gdzie jest Peggy?

Łypnął na mnie, po czym przeniósł wzrok na Ronnie. Uniósł rękę, jakby chciał ją uderzyć.

— Gdzie ukryłeś ciało?

Odwrócił się do mnie. Patrzyłam na niego, nie podnosząc się z miejsca. Aby mnie dopaść, musiałby najpierw przeskoczyć lub ominąć stół do kawy. Wiedziałam, gdzie usiąść, by znaleźć się poza jego zasięgiem. Choćby na tyle, abym zdążyła sięgnąć po broń. Albo wywalić faceta przez okno. Druga możliwość coraz bardziej przypadła mi do gustu.

— Precz z mego domu.

Ronnie cofnęła się, stając dalej od niego. Kołysał się między nami jak spurpurowiały na twarzy człowiek-góra.

— Precz z mego domu.

— To niemożliwe, George. Wiemy, że ją zabiłeś. — Może „wiemy” to zbyt mocne słowo, ale „jesteśmy raczej przekonane” nie zabrzmiałoby dość dobitnie.

— Na twoim miejscu usiadłabym, George, chyba że zamierzasz naprawdę narobić sobie i nam kłopotów.

# — Tak, tak, usi *RS*, George. — Nie popatrzył przez ramię, by

upewnić się, gdzie stała Raina. Wątpię, aby George był w stanie naprawdę zrobić krzywdę, ale ostrożności nigdy za wiele. Wołałam nie odrywać wzroku od ważącego ponad sto kilogramów faceta. To mogłoby okazać się szkodliwe dla zdrowia.

Spojrzał na Rainę. Wydawał się zbity z tropu.

— Co to ma znaczyć, u licha?

— O Boże — jęknęła Ronnie. Patrzyła za mnie z rozdziawionymi ustami.

Coś działo się z tyłu za mną, ale co? Wstała: nie odrywając wzroku od George'a, jednak on już mnie nie patrzył.

Mimo to dla pewności odstąpiłam od niego. Znalazłszy się w bezpiecznej odległości, stanęłam w miejscu, skąd mogłam zobaczyć wejście.

Raina miała na sobie brązowe, jedwabne body, szpilki i to wszystko. Poły futra były rozchylone, krwistoczerwona podszewka dramatycznie podkreślała kontury jej ciała.

— Wydawało mi się, że mieliście się nie ujawniać, dopóki was nie zawołam.

Cisnęła futro w kałużę topniejącego śniegu na podłodze. Weszła do pokoju miękkim, kołyszącym się krokiem.

Ronnie i ja wymieniliśmy spojrzenia.

— Co jest grane? — wyszeptała Ronnie. Wzruszyłam ramionami. Nie miałam pojęcia.

Raina nachyliła się nad jedwabnymi kwiatami na stoliku do kawy, bezceremonialnie ukazując George'owi Smitzowi szczupłe pośladki.

Kolory zniknęły z jego twarzy. Palce dłoni rozdarły się powoli. Wyglądał na zbitego z tropu. Cóż. Nie on jeden.

Raina uśmiechnęła się do niego. Podniosła się wolno, bardzo wolno, prezentując George'owi prężne, dumnie sterczące piersi. Nie

**był w stanie oderwa***RS* **wzroku od jej dekoltu.**

**Wyprostowała się,**

przesunęła dłoń mi po body, wygładzając je i leciutko muskając krocze.

George miał wyraźne kłopoty z przełknięciem śliny-

Raina podeszła do mężczyzny na odległość wyprostowanego palca, spojrzała na niego i spomiędzy jej pełnych, zmysłowych ust popłynął szept.

— Gdzie jest Jason? Uniósł brwi.

— Kim jest Jason?

Powiodła paznokciami po jego policzku. Paznokcie wysuwały się coraz dalej i dalej spod skóry, aż stały się zakrzywionymi jak haki pazurami. Końce wciąż miały kolor smażonej dyni. Wsunęła te pazury pod jego podbródek, ostrożnie, by nie rozciąć skóry.

— Jedno skaleczenie i będziesz raz na miesiąc wyl smętnie do księżyca.

To było kłamstwo. Wciąż pozostawała w ludzkiej postaci. Nie mogła go zarazić. George zbladł jak płótno. Jego twarz była biała jak papier.

— Gdzie jest ciało pańskiej żony, panie Smitz? — zapytałam.

Takiej pogroźki nie warto było marnować na tylko jedno pytanie.

— Ja... nie rozumiem, o co chodzi. Ja nic nie wiem.

— Nie okłamuj mnie, George, nie lubię tego. Uniosła drugą dłoń przed jego twarzą i pazury wysunęły się spod skóry jak zakrzywione sztylety. Zaskomlał żałośnie.

— George, gdzie jest Peggy? — wyszeptała. Jego głos wciąż brzmiał ponętnie i kusząco. Zamiast pogroźki równie dobrze mogłaby szeptać miłosne wyznanie.

Nie odrywając dłoni od jego podbródka, powoli opuściła drugą rękę. Podążył za nią wzrokiem. Spróbował opuścić głowę, ale uniemożliwiły to pazury Rainy. Sapnął cicho.

Raina rozdarła okrwawiony fartuch. Dwa szybkie, zamaszyste cięcia. Ubranie pod spodem pozostało nietknięte. Talent.

— Ja... ją zabiłem. Zabiłem Peggy. O Boże. Zastrzeliłem ją.

— Gdzie ciało? — spytałam. Raina najwyraźniej zbyt dobrze się bawiła, by zwracać uwagę na szczegóły.

— W szopie za domem. Zakopałem ją tam.

— Gdzie Jason? — warknęła Raina. Dotknęła pazurami krocza dżinsów George'a.

# — Boże, nie mam poj<sup>RS</sup>ęcia, kim jest Jason. Błagam, nie wiem.

Naprawdę nie wiem. — Oddychał z coraz większym trudem. Do pokoju wszedł Gabriel. Zostawił gdzieś kurtkę i miał teraz na sobie tylko obcisły, czarny podkoszulek, skórzane spodnie i buty. — Nie miałby jaj, aby załatwić Jasona i resztę.

— Czy to prawda, George? Nie masz jaj? — Raina delikatnie przesunęła palcami po jego kroczu. Pazury wpiły się w dżinsy, nie rozdzierając jednak materiału.

— Błagam, nie rób mi krzywdy...

Raina nachyliła się ku jego twarzy. Pazury sprawiały, że George musiał stanąć na palcach, w przeciwnym razie zostałyby skaleczone. — Jesteś żaloszny. Wbiła pazury w dżinsy, rozrywając materiał.

George zemdlał. Raina szybko cofnęła dłonie, aby go nie zranić.

Wyrwała niemal idealny krąg materiału. Przez dziurę w spodniach było widać białe gatki.

Gabriel uklęknął przy ciele, miękko balansując na palcach stóp. — Ten człowiek nie porwał Jasona.

— Szkoda — wycedziła Raina. Rzeczywiście szkoda. Ktoś porwał ośmioro, nie siedmioro zmiennokształtnych. Ósma była Peggy Smitz. Jej zabójca leżał na podłodze z wyrwanym ze spodni rozporkiem. Kto był sprawcą zniknięcia tych lykantropów? I po co miałby to robić? Po co ich porwano?

Wtem coś mi zaświtało. Nag został oskórowany żywcem. Gdyby nie był nagiem, lecz lykantropem, czarownik mógłby użyć jego skóry, aby stać się wężem. To jeden ze sposobów, w jaki można zostać lykantropem, bez wynikających z tego tytułu bolesnych obciążeń.

Nie podlegasz wówczas wpływowi księżyca.

— O co chodzi, Anito? — spytała Ronnie.

— Muszę pojechać do szpitala i porozmawiać z kimś. — Po co? — Jedno moje spojrzenie wystarczyło, aby Ronnie



# rzuciła: — W porzą *RS*dku, wezwę gliny. Ale ja poprowadzę.

— Cholera. — Unios łąm wzrok i ujrzałam nadjeżdżający samochód. To był a zielona mazda. Znałam ten wóz.

— Może ktoś mnie podwiezie. — Otworzyłam drzwi i wyszłam na chodnik, machają c. Samochód zwolnił, po czym zatrzymał się obok auta Ronnie.

Po naciśnięciu guzika rozległ się szum i boczna szyba została opuszczona. Kierowcą był Edward, oczy miał ukryte za szklami ciemnych okularów.

— Śledzę Rainę od wielu dni. Jak mnie zauważyłaś?

— Łut szczęścia. Uśmiechnął się.

— Farciara z ciebie.

— Chciałabym, żebyś gdzieś mnie podrzucił.

— A co z Rainą i jej małym kolesiem w skórze? Już miałam powiedzieć, że to Gabriel był drugim lykantropem w „zabójczym” filmie, ale gdybym to zrobiła, natychmiast wszedłby do domu i go zabił. A już na pewno nie zechciałby podwieźć mnie do szpitala. Rozumiecie, priorytety.

— Możemy podrzucić ich do domu lub będą zmuszeni wziąć taksówkę.

— Taksówka — rzucił Edward.

— Popieram.

Edward zatrzymał wóz przy końcu ulicy. Raina i Gabriel zostali przymuszeni przeze mnie do zamówienia taksówki, która miała odebrać ich spod sąsiedniego domu. Nie chcieli gadać z policją. Kto by przypuszczał. George Smitz doszedł do siebie, a Raina przekonała go, aby przyznał się glinom do zabójstwa żony. Przeprosiłam Ronnie, że tak ją zostawiam, i ruszyłam wzdłuż ulicy w stronę samochodu Edwarda. Wybierałam się do szpitala, na rozmowę z nagiem. Miałam tylko nadzieję, że wci aż był przytomny.

## Rozdział trzydziesty piaty

P

Przed wejściem do pokoju naga stała policjantka w mundurze. Edward został w samochodzie. Bądź co bądź, był poszukiwany przez policję. Minus pracy z policją i Edwardem polegał na tym, że nie zawsze można było współpracować z nimi równocześnie.

Policjantka była niska, jasnowłosa, z kucykiem. Przy drzwiach stało krzesło, ale funkcjonariuszka utrzymywała postawę zasadniczą, z jedną ręką na kolbie pistoletu. Gdy podeszłam bliżej, przyjrzała mi się uważnie i podejrzliwie.

Lekko skinęła głową.

— Anita Blake? — Taa.

— Mogę zobaczyć

koszule i rzeczowo. Musia zgrywają twardzieli. Starsi gliniarze też by mnie legitymowali, ale w znacznie bardziej przyjaznej atmosferze.

Pokazałam jej plastikowy identyfikator. Ten, który na miejscu zbrodni przypinam do ubrania. Nie jest to policyjna blacha, ale bywa przydatny.

Wzięła go do ręki i przyglądała mu się przez dłuższą chwilę.

# Już miałam ją zapyta<sup>RS</sup>ć, jak jej poszły ostatnie egzaminy, ale

odpuściłam sobie. Lepiej nie wkurzać gliny na służbie. Zwłaszcza gdy chodzi o drobnostki.

Wreszcie oddała mi identyfikator. Oczy miała niebieskie i lodowate jak niebo zimą. Zgrywała naprawdę twardą. Zapewne każdego ranka ćwiczyła to spojrzenie przed lustrem.

— Przy przesłuchaniu pacjenta musi być obecny funkcjonariusz policji. Gdy pani zadzwoniła i powiedziała, że chce z nim mówić, skontaktowałam się z sierżantem Storrem. Już tu jedzie. jakiś dokument tożsamości? — spytała

— I a być nowa. Tylko nowicjusze są tak oschli i — Jak długo będę musiała czekać?

— Nie wiem.

— Proszę posłuchać, zaginął człowiek, nawet najkrótsza zwłoka  
może kosztować go życie.

Nareszcie zdołałam wzbudzić jej zainteresowanie.

— Sierżant Storr nic nie mówił o żadnym zaginionym. Cholera. Zapomniałam, że gliny nie wiedziały o zaginionych

zmiennokształtnych.

— Widzę, że kwestia czasu nie robi na pani większego

wrażenia. Może powtórzę, że w grę wchodzi ludzkie życie? Jej wzrok z lodowatego stał się znużony.

Była pod wrażeniem. — Sierżant Storr wyraził się bardzo konkretnie. Chce być

obecny podczas pani rozmowy z tym pacjentem.

— Czy aby na pewno rozmawiała pani z sierżantem Storrem, a nie z detektywem Zerbrowskim?

To byłoby w jego stylu — popsuć mi szyki, aby mnie

zdenerwować. Kto jak kto, ale on mógłby wyciąć mi taki numer. — Wiem, z kim rozmawiałam, panno Blake.

— Nie twierdzę, że nie. Tyle tylko, że wspomniany detektyw Zerbrowski mógłby zdenerwować się faktem, że przyznano mi

# nieograniczony dost<sup>RS</sup>p do... ee... świadka.

— Rozmawiałam z sierżantem i wiem, co mi powiedział. Nie wejdzie tam pani, dopóki sierżant nie zjawi się w szpitalu. Takie mam rozkazy.

Już chciałam powiedzieć coś nieprzyjemnego, ale zmitygowałam się. Funkcjonariuszka Kirlin miała rację. Otrzymała konkretne rozkazy i nie zamierza ich łamać ani choćby nagiąć. Spojrzałam na jej plakietkę.

— W porządku, funkcjonariuszko Kirlin. Zaczekam za rogiem, w poczekalni dla pacjentów. Odwróciłam się i odeszłam, zanim z moich ust padł nieco mniej sympatyczny komentarz. Miałam ochotę wykorzystać moje uprawnienia i wedrzeć się na siłę do tego pokoju. Tyle że tak naprawdę nie miałam żadnych uprawnień. To jeden z tych dni, kiedy w bolesny sposób uświadamia mi się, że jestem cywilem. Nie lubiłam tego.

Usiadłam na wielobarwnej sofie, za którą stały żywe rośliny w doniczkach. Było ich tak wiele, że tworzyły iluzję ścian dzielących poczekalnię na trzy mniejsze pomieszczenia. Złudzenie intymności, jeśli tego było ci trzeba. Na jednej ze ścian wysoko umieszczono odbiornik telewizyjny. Nikt nie pokwapił się, by go włączyć. Wokoło panowała cisza. Słychać było tylko łagodny szum grzejników. Nie znosiłam oczekiwania. Jason zniknął. Czy jeszcze żył? A jeżeli tak, jak długo jeszcze pozostanie przy życiu? Jak długo Dolph każe mi czekać?

Dolph wyłonił się zza rogu. Chwała Bogu, zjawił się błyskawicznie. Wstałam.

— Funkcjonariuszka Kirlin powiedziała, że wspomniałaś jej coś o jakiejś zaginionej osobie. Czyżbyś coś przede mną ukrywała?

— Tak, choć nie z własnej woli. Miałam klienta, który nie chciał zgłosić się na policję. Próbowałam ich przekonać... — Wzruszyłam ramionami. — Tylko dlatego, że to ja mam rację, a nie oni, nie mogą wyjawiać tajemnic bez uprzedniego konsultowania tego z nimi.

— Animatorów nie obowiązuje tajemnica zawodowa, jak ta między adwokatem i jego klientem. Gdy pytam, czy masz jakieś informacje, powinna mi je natychmiast przekazać.

Byłam zbyt niewyspana, aby dłużej to ciągnąć.

— Bo co? Zmarszczył brwi.

# — Bo możesz trafi*RS*ć za kratki pod zarzutem utrudniania

ś ledztwa.

— W porządku, chodźmy już — rzekłam.

— Nie przeginaj, Anito.

— Posłuchaj, Dolph, gdy tylko otrzymam zgodę, natychmiast ci

o wszystkim opowiem. Być może i tak powiem ci wszystko, bo tamci okażą się skończonymi głupcami, ale groźbami nic ze mnie nie wyciągniesz.

Wciągnął powietrze przez nos i powoli wypuścił ustami. — W porządku, a teraz chodźmy odwiedzić naszego świadka.

Spodobało mi się, że wciąż określał naga mianem „naszego” świadka.

— Tak, chodźmy.

Dolph zaprosił mnie na korytarz. W milczeniu ruszyliśmy w stronę izolatki. Ta cisza bardzo mi odpowiadała. Nie chciałam wypełnić jej niezobowiązującą rozmową czy oskarżeniami.

Drzwi otworzył lekarz w białym kitlu, ze stetoskopem zwieszającym się z szyi jak boa. Funkcjonariuszka Kirilin wciąż czujnie trwała na posterunku. Rzuciła mi najlepsze ze swych wystudiowanych, bezlitosnych spojrzeń. Musiała jeszcze nad tym popracować. Tyle że jak jest się niewysoką blondynką, w dodatku policjantką, trzeba przynajmniej zgrywać twardą.

— Może mówić, ale bardzo krótko. Cud, że w ogóle żyje, a co dopiero mówi. Będę obecny przy przesłuchaniu. W razie gdyby pacjent zaczął się denerwować czy pogorszyłby się jego stan, przerwę rozmowę.

— W porządku, doktorze Wilburn. Pacjent nie jest podejrzanym, a jedynie ofiarą i świadkiem. Nie chcemy, by stała mu się krzywda.

Lekarz, choć nie do końca przekonany, wrócił do sali i przytrzymał drzwi.

Dolph szedł tuż za mną. Czulałam za sobą jego obecność. Była jak niewzruszona potęga. Zrozumiałam, dlaczego doktor niepokoił się o zdrowie pacjenta. Ba się, że Dolph mógł coś mu zrobić. I nic dziw

# nego. Dolph, jeśli chciaRSŁ, mógł sprawiać wrażenie niegroźnego. Inna

sprawa, że w ogóle si nie starał.

Nagle żał na łóżku, w śród płataniny rurek i przewodów. Jego skóra odrastała. Widać było splachetki świeżych tkanek, ale proces, choć bolesny i powolny, bez wątpienia postępował. Pacjent wciąż wyglądał, jakby ugotowano go żywcem, ale jego stan najwyraźniej się poprawiał.

Poruszył oczami, aby na nas spojrzeć. Lekko przekrzywił głowę, by móc nas lepiej widzieć.

— Panie Javad, pamięta pan sierżanta Storra. Przyprowadził kogoś, aby z panem porozmawiać.

— Ta kobieta... — powiedział. Mówił cicho, zbolalym głosem. Przełknął ślinę i zaczął raz jeszcze.

— Ta kobieta była nad rzeką. Podeszłam bliżej.

— Tak. Byłam nad rzeką.

— Pomogłaś mi.

— Próbowałam. Dolph postąpił naprzód.

— Panie Javad, czy mógłby nam pan powiedzieć, kto tak pana urządził?

— Czarownicy — odparł nag.

— Powiedział pan: „czarownicy”? — zapytał Dolph.

— Tak.

Dolph spojrział na mnie. Nie musiał nic mówić. To była moja działka.

— Javad, czy rozpoznał pan tych czarowników?

— dociekałam. — Zna pan ich nazwiska? Ponownie przełknął ślinę, z większym trudem.

— Nie.

— Gdzie to się stało? Zamknął oczy.

— Czy wie pan, gdzie był, gdy pana... oskórowano?

— Zostałem odurzony.

— Kto pana odurzył?

— Kobieta... jej oczy...

— Co z jej oczami?

— Ocean. Musia am nachylić się nad nim, aby to usłyszeć.

Mówił coraz ciszej. Nagle jego oczy rozwarły się szeroko.

— Oczy, ocean. — Wydał z siebie gardłowy odgłos, jakby tłumil

# cisnący się na usta krzyk. *RS*

Podszed ł lekarz. Osluchał pacjenta, dotykając zmasakrowanego ciała najdelikatniej, jak mógł. Nawet te dotknięcia sprawiały, że chory niemal wił się z bólu. Lekarz wcisnął przycisk przy łóżku.

— Pora podać panu Javadowi leki. Proszę je przynieść.

Natychmiast.

— Nie — zaoponował Javad. Schwycił mnie za rękę. Aż jęknął z bólu, ale nie puścił. Odniosłam wrażenie, że dotykam połcia ciepłego, surowego mięsa.

— Nie pierwszy.

— Nie pierwszy? Nie rozumiem.

— Inni.

— Zrobili to również innym?

— Tak. Powstrzymaj ich.

— Zrobię to. Obiecuję. Osunął się ciężko na łóżko, ale nie przestał się ruszać. Za bardzo cierpiał. Każdy ruch wywoływał męki, jednak on z powodu bólu nie mógł znieruchomieć.

Zjawi ła się pielęgniarka w różowym fartuchu i ze strzykawką w dłoni. Wbiła igłę w kroplówkę. Po chwili pacjent zaczął się uspokajać. Jego powieki zatrzepotały i opadły. Zasnął, a mnie zrobiło się trochę lżej na sercu. Trudno było znieść widok podobnych katuszy, nawet będąc tylko postronnym świadkiem.

— Obudzi się i znów będziemy musieli podać mu środki przeciwbólowe. Nigdy dotąd nie widziałem, aby ktoś po czymś takim wolno, bo wolno, ale jednak wracał do zdrowia. Lecz to, że jego organizm się regeneruje, nie oznacza, że pacjent nie odczuwa przy tym bólu.

# Dolph odprowadzi *RS* mnie na bok.

— O co chodził o z tymi oczami i innymi?

— Nie wiem. — To była połowiczna prawda. Nie wiedziałam, co miał na myśli, mówił o oczach, ale domyślałam się, że wzmianka o innych dotyczyła zaginionych zmiennokształtnych.

Do pokoju wszedł Zerbrowski. Skinął na Dolpha. Wyszli razem z sali. Pielęgniarka i lekarz zajęli się nagiem. Nikt nie poprosił mnie na korytarz, ale w tej sytuacji uznałam, że to zrozumiałe. Nie dzieliłam się z nimi posiadanymi informacjami, czemu więc miałyby być na odwrót?

Drzwi otworzyły się i Dolph poprosił mnie. Poszliśmy. Funkcjonariuszki Kirlin nie było na posterunku. Zapewne Storr odprawił ją na pewien czas.

— Nie mamy sprawy zaginięcia, w którą byłabyś zamieszana — rzekł Dolph.

— Kazałeś Zerbrowskiemu, aby mnie sprawdził? Dolph tylko na mnie spojrzał. Wzrok miał beznamiętny i pusty, typowy dla gliniarzy.

— Z wyjątkiem sprawy Domingi Salvador — dodał Zerbrowski.

— Anita stwierdziła, że nie wie, co się stało z panią Salvador — przypomniał Dolph. Wciąż przeszywał mnie wzrokiem. Wychodziło mu to lepiej niż policjantce Kirlin.

Poczułam się nieswojo. Dominga Salvador nie żyła. Wiedziałam, bo byłam przy tym obecna. W przenośni można by powiedzieć, że to ja przyłożyłam jej gnata do głowy i pociągnęłam za spust. Dolph podejrzewał, że miałam coś wspólnego z jej zaginięciem, ale nie mógł tego udowodnić, a na dodatek to była bardzo zła kobieta. Gdyby udało się udowodnić choćby niektóre z jej ciemnych sprawek, automatycznie skazano by ją na karę śmierci. Prawo nie przepada za czarownicami, podobnie jak za wampirami. Do jej zabicia wykorzystałam zombi. Za to, co zrobiłam, zasłużyłabym sobie na krzesło elektryczne.

Rozległ się brzęk numer. Nie znał

— Mam pilną sprawę. Muszę znaleźć aparat telefoniczny.

Oddaliłam się, zanim Dolph zdążył powiedzieć coś więcej. Tak było bezpieczniej.

Pozwolono mi skorzystać z aparatu w pokoju pielęgniarek. To miło z ich strony. Richard odebrał już po pierwszym sygnale.

— Anito?



# — No, co? *RS*

- Jestem w szkole. Louie nie pojawił się na porannych zajęciach. Zniżył głos tak bardzo, że musiałam zatkać sobie jedno ucho, aby go słyszeć.
- Dziś jest pełnia księżyca. Nie odpuściłby sobie zajęć. To wzbudza podejrzenia.
- Czemu z tym do mnie dzwonisz?
- Czekam na wiadomość z twojego pagera. Chwała Bogu. Sprawdziłam am go, ale nie musiałam tego nikomu mówić.
- Mówił mi, że miał spotkać się z twoją przyjaciółką, pisarką Elvirą jak jej tam.
- Elvirą Drew? — gdy wymówiłam jej nazwisko, przypomniałam sobie jej oczy. Zielononiebieskie jak woda w oceanie. Cholera.
- Chyba tak.
- Kiedy miał się z nią widzieć?
- Dziś rano.
- I spotkał się z nią?
- Nie wiem. Jestem w pracy. Nie byłem jeszcze u niego.
- Obawiasz się, że coś mu się stało, prawda?
- Tak.
- Nie ja ustawiłam to spotkanie. Zadzwoń do pracy i sprawdź, kto się tym zajął. Będiesz pod tym numerem?
- Muszę wracać do klasy. Ale skontaktuję się z tobą, jak tylko będę mógł.
- Dobra. Zadzwoń, gdy tylko się czegoś dowiem.
- Muszę iść — rzucił.
- Zaczekaj, my ę, że wiem, co się stało z tymi zaginionymi zmiennokształtnymi.
- Co?

# — Gliny prowadzRSą właśnie śledztwo. Na razie nie mogę jeszcze

nic powiedzieć, ale gdybym mogła wspomnieć im o tych zaginionych zmiennokształtnych, być może odnaleźlibyśmy szybciej Louiego i Jasona.

— Marcus zakazał o tym mówić?

— Tak.

Milczał przez chwilę.

— Powiedz im. Biorę na siebie odpowiedzialność.

— Świetnie. Dam ci znać, jak tylko czegoś się dowiem. Przerwałam połączenie. Dopiero gdy usłyszałam sygnał,

zorientowałam się, że nie powiedziałam: „Kocham cię”. A niech to.

Zadzwoeniłam do pracy. Odebrała Mary. Nie czekałam, aż skończy powitanie.

— Połącz mnie z Bertem.

— Wszystko w porządku?

— Zrób to.

Nie próbowała oponować. Punkt dla niej.

— Anito, mam nadzieję, że to coś naprawdę ważnego. Mam teraz klienta.

— Czy rozmawiałeś dzisiaj z kimś o szczurołakach? Umówiłeś spotkanie?

— Owszem, tak.

W żołądku zaległa mi lodowata gula.

— Kiedy i gdzie ustawiłeś to spotkanie?

— Dziś rano, około szóstej. Pan Fane chciał mieć to z głowy jeszcze przed pracą.

— Gdzie?

— W jej domu.

— Podaj mi adres.

— Co się stało?

— Myślę, że Elvira Drew mogła zastawić pułapkę, aby go porwać i zabić.

— Żartujesz, prawda?

— Adres, Bert. Podał mi.

# — Mogę nie zjawi<sup>RS</sup>ć się dziś wieczorem w pracy.

— Anito...

— Oszczędź sobie, Bert. Jeśli on zginie, to tylko z naszej winy. — W porządku. Ju ż dobrze. Rób, co musisz. Rozłączyłam się.

Chyba po raz pierwszy Bert ugi ął się pod moim naciskiem. Gdybym nie wiedziała, że jego myśli zaprzętała teraz perspektywa procesów sądowych, byłabym pod znacznie większym wrażeniem. Wróciłam do naszej małej gromadki. Nikt z nikim nie rozmawiał.

— W ostatnim czasie w tej okolicy zaginęło siedmioro zmiennokształtnych.

— O czym ty mówisz? — spytał Dolph. Pokręciłam głową.

— Słuchaj. — Opowiedziałam mu wszystko o zaginięciach. Zakończyłam stwierdzeniem:

— Zniknęło dwóch kolejnych zmiennokształtnych. Myślę, że ten, kto oskórował naga, sądził, że ma do czynienia z lykantropem. Magia sprawia, że po zdjęciu skóry ze zmiennokształtnego czarownik lub czarownica jest w stanie stać się lykantropem, jednak bez wynikających z tego tytułu obciążeń. Taki człowiek zyskuje wszystkie korzyści związane ze zmiennokształtnością — wzmożoną siłę, szybkość i tym podobne... ale nie podlega wpływom pełni księżyca.

— Dlaczego z nagiem się nie udało? — spytał Zerbrowski.

— Jest nieśmiertelny. Ceremonia zdjęcia skóry musi zakończyć się śmiercią zmiennokształtnego.

— Wiemy już, dlaczego to robią. Teraz pytanie brzmi, gdzie możemy ich znaleźć — rzucił Dolph.

— Mam adres — dodałam.

— Skąd?

— Wyjaśnię po drodze. Zaklęcia nie zaczną działać wcześniej niż po zmroku, ale nie możemy ryzykować, że tak długo pozostawią ich przy życiu. Na pewno będą się martwić, iż nag wróci do zdrowia na tyle, by mówić.

# — Po tym, co widzia*RS* łem ubiegłej nocy, nie przejmowałbym się

nim zbytnio — wtrą Zerbrovski.

— Nie jesteś czarownikiem — odparłam. Wyruszyliśmy w drogę. Żałowałam, że nie ma z nami Edwarda. Gdyby przyszło nam stawić czoła o gromadce czarowników i kilku zmiennokształtnym w noc pełni księżyca, dobrze byłoby, gdyby był przy mnie Edward. Tyle tylko, że jakoś trudno mi to było sobie wyobrazić. Pewnych rzeczy nie da się ze sobą pogodzić. Dolph i Zerbrovski nie byli najemnikami, lecz glinami z krwi i kości. Najpierw dawali przestępcom możliwość dobrowolnego poddania się, a dopiero potem, jeśli ten sposób zawiódł, używali wobec nich broni. Elvira Drew żywcem obdarła naga ze skóry. Nie byłam pewna, czy chcę dać jej szansę, aby się poddała. I nie byłam pewna, czy ujdziemy z tego z życiem.

## *Rozdział trzydziesty szósty*

D

Dom Elviry Drew, w ąska, piętrowa budowla, był oddzielony od drogi gęstym pasmem zarośli i drzew. Dopiero z podjazdu można było zobaczyć podwórze. Otaczały je drzewa, jakby ktoś postawił tu ten dom i do reszty o nim zapomniał.

Za naszym wozem na podjazd wjechał radiowóz. Dolph zaparkował za jasnozielonym grand amem. Ten wóz pasował kolorem do jej oczu.

Na podwórzu stała tablica z napisem NA SPRZEDAŻ. Druga leżała na ziemi, czekając na wbicie. Zapewne zostanie umieszczona przy drodze.

W samochodzie zauważyłam dwie torby z ciuchami. Na tylnym siedzeniu piętrzył się kartonowe pudła. Ktoś chciał się stąd zmyć, i to szybko.

— Jeśli to morderczynie, dlaczego miałyby podać swój prawdziwy adres? — zapytał Zerbrovski.

— Sprawdzamy naszych klientów. Muszą podać swój aktualny adres lub w jakiś inny sposób udowodnić tożsamość. Żądamy więcej dowodów tożsamości niż większość banków.

— Po co?

— Bo od czasu do czasu trafiają się nam świry. Albo reporterzy z brukowców. Musimy wiedzieć, z kim mamy do czynienia. Założę

# się, że próbowała zapRSacić gotówką, bez okazania dokumentu, a gdy

poproszono ją o dwa inne, okazało się, że nie jest na to przygotowana.

Dolph ruszył w stronę drzwi frontowych. Pomaszerowaliśmy za nim jak oddział wojska. Wśród mundurowych była funkcjonariuszka Kirlin. Towarzyszył jej starszy, szpakowaty mężczyzna z brzuszkiem. Założę się, że nie był to tylko mięsień piwny. Facet miał wyraz twarzy starego wygi.

Dolph zapukał do drzwi. Cisza. Zastukał mocniej. Drzwi zadygotały. Otworzyła Elvira. Miała przewiązany w talii jasnozielony szlafrok. Makijaż był wciąż doskonały. Lakier do paznokci dobrany odcieniem do szlafroka. Długie blond włosy szesała do tyłu i przewiązała wstążką o jeden ton ciemniejszą niż szlafrok. Jej oczy płonęły zielonym ogniem.

Dolph wymamrotał:

- Oczy jak ocean.
- Przepraszam, ale o co chodzi?
- Czy możemy wejść, pani Drew?
- Po co?

Nie było czasu na zdobycie nakazu. Dolph nie był pewien, czy z tym, co mieliśmy, zdołalibyśmy go uzyskać. Kolor czyichś oczu to kiepski materiał dowodowy.

Wyjrzałam zza Dolpha i rzuciłam:

- Witam, pani Drew. Chcielibyśmy zadać pani kilka pytań w sprawie Louisa Fane'a.
- Nie wiedziałam, że współpracuje pani z policją, panno Blake.

Uśmiechnęła się, ja również. Czy Louie tu był?

A może grała na zw okę, podczas gdy ktoś gdzieś tam właśnie go mordował? Cholera. Gdyby nie było tu glin, wyjęłabym broń i weszłabym do środka. Przestrzeganie prawa ma swoje minusy.

# — Prowadzimy *RS*ledztwo w sprawie zaginięcia pana Fane'a.

Pani widzia ła go ostatnia.

— Ojej. — Nie odst ąpiła od drzwi.

— Czy możemy wejść i zadać kilka pytań? — odezwał się Dolph. — Cóż, nie wiem, co mogłabym państwu powiedzieć. Pan Fane

nie przyszed ł na spotkanie. Nie widziałam się z nim.

Stała jak uśmiechnięta, smukła ściana.

— Chcielibyśmy wejść i rozejrzeć się trochę, panno Drew, tak na wszelki wypadek.

— Macie nakaz? Dolph spojrział na nią.

— Nie, panno Drew, nie mamy. Uśmiechnęła się olśniewająco. — Wobec tego przykro mi, ale nie mogę państwa wpuścić. Złapałam ją z przodu za szlafrok i pociągnęłam tak mocno, że zorientowa łam się, iż nie nosiła stanika.

— Albo zejdziesz nam z drogi, albo sami cię usuniemy. Dolph zacisnął rękę na moim ramieniu.

— Bardzo mi przykro, panno Drew. Panna Blake bywa nadmiernie zapalczywa — wycedzi ł przez zęby.

— Dolph...

— Puść ją, Anito, ale już.

Spojrziałam w jej niezwykle oczy. Wciąż się uśmiechała, ale teraz dostrzeg łam coś jeszcze. Strach.

— Jeśli on umrze, ty również.

— Nie skazuje się nikogo na śmierć jedynie na podstawie podejrzenia — powiedziała.

— Nie miałam na myśli legalnej egzekucji.

Jej oczy rozszerzyły się. Dolph szarpnął mnie za ramię i

sprowadzi ł po schodach na podjazd. Zerbrowski tymczasem przeproszał za moje *faux pas*.

— Co ty wyprawiasz, do diabła? — zapytał Dolph.

— On tam jest. Wiem na pewno.

— Nic nie wiesz. Zajmę się zdobyciem nakazu. Dopóki go nie uzyskamy, dopóki sama nas nie wpuści albo ktoś z nas nie usłyszy, jak Louie wzywa pomocy, nie będziemy mogli wejść do środka. Takie jest prawo.

— Prawo jest do kitu.

# — Może, ale baRS co bądź jesteśmy policjantami. Jeśli my nie

będziemy przestrzega prawa, to kto?

Otuli łam się ramionami, wpijając palce w łokcie. Gdybym tego nie zrobiła, podbiegłabym i dała Elvirze Drew po pysku. Louie był w środku i znalazł się tam z mojej winy.

— Idź na spacer, Anito, ochłoń trochę. Spojrzałam na niego. Mógł kazać, bym zczekała w samochodzie, ale nie zrobił tego. Staralam się go przejrzeć, jednak jego oblicze pozostawało nieprzeniknione.

— Spacer, tak, to dobra myśl.

Ruszyłam w stronę drzew. Nikt mnie nie zatrzymał.

Dolph nie przywołał mnie do siebie. Musiał się domyślać, co zrobić. Pomaszerowałam w stronę smętnych, nagich drzew. Topniejący śnieg sypał na moją głowę i twarz.

Sz łam tak długo, dopóki nie straciłam ich z oczu. Zimą zasięg wzroku powiększa się o kilkanaście metrów, ale dotarłam dostatecznie daleko, by zrealizować swoje zamierzenia. Miałam pewien plan i przyszedł czas, aby go wprowadzić w życie.

Ruszy łam na tyły domu. Topniejący śnieg przemoczył moje nike. Liście tworzyły pod stopami rozmiękły kobierzec. Miałam dwa pistolety i dwa noże. Ten, którego nie oddała mi Gretchen, zastąpiłam nowym. Wykonano dla mnie aż cztery takie noże. Trudno znaleźć nóż z dostatecznie dużą zawartością srebra, by można nim zabijać potwory i by równocześnie był wystarczająco ostry i mocny.

Tyle że nie mogłam nikogo zabić. Miałam dostać się do środka, odnaleźć Louiego i zacząć wzywać pomocy. Jeśli ktoś w domu zacząłby wołać o ratunek, policja mogłaby wejść do środka. Takie były zasady. Gdyby Dolph nie obawiał się, że mogą zabić Louiego, nie pozwoliliby mi tego zrobić. Niezależnie, czy ktoś jest gliną, czy nie, na pewno ciężko byłoby mu pogodzić się z myślą, że ma czekać bezczynnie, podczas gdy tuż obok potencjalni podejrzani mogą właśnie mordować kolejną ofiarę.

Przykucn ęłam obok drzewa za domem. Tylne drzwi prowadziły na zabudowany ganek. Drugie, przeszkłone, wiodły do wnętrza budynku, były też trzecie, z boku. Większość domów w St. Louis ma piwnice. W niektórych starszych domach wejście do piwnicy

# znajduje się na zewnRStrz. Dodajmy do tego mały ganek i nowe,

nieduże drzwi. Gdybym chciała kogoś ukryć, wybrałabym piwnicę. Jeśli okaże się, że to tylko składzik, nie wejść do środka.

Zlustrowałam okna na piętrze. Zastłony były zaciągnięte. Jeśli nawet z góry ktoś mnie obserwował, nie zauważyłam nikogo. Miejmy nadzieję, że ten ktoś, gdyby nawet był, nie dostrzeże mnie.

Przemknęłam przez otwartą przestrzeń, nie dobywając broni. To byli czarownicy. Najogólniej rzecz biorąc, czarownicy nie strzelają do ludzi. Czarownicy, ci prawdziwi, nie przejawiają większej skłonności do przemocy. Wikanie nie są zwolennikami składania ofiar z ludzi. Tyle że słowo „czarownik” może być rozumiane wielorako. Niektórzy z tych ludzi potrafią być naprawdę przerażający, ale rzadko używają broni palnej.

Uklękałam przy siatkowych drzwiach prowadzących na ganek. Uniosłam dłoń do klamki, nie dotykając jej jednak. Żadnego ciepła, żadnego... niech to, nie potrafiłam tego nazwać. Klamka nie była obłożona żadnym zaklęciem. Nawet dobrzy czarownicy nakładają niekiedy zaklęcia na drzwi wejściowe; czar ma ich ostrzec w razie próby włamania czy jakichś innych nieprzewidzianych zdarzeń. Powiedzmy, że włamujesz się, ale niczego nie kradniesz. Czar przylgnie do ciebie, dzięki czemu czarownik i jego przyjaciele będą cię mogli odnaleźć. Źli czarownicy mogą obłożyć wejścia znacznie paskudniejszymi czarami. Jako że już ustaliliśmy, z jakim rodzajem czarowników mamy tu do czynienia, zalecana była szczególna ostrożność.

Wsunęłam czubek no. Chwila wyteż było wtargnięcia, ale w mnie za to? Zapewne nie. Gdyby jednak Elvira zmusiła mnie, abym rozwaliła ją bez świadków, mógłby przestać traktować mnie pobłażliwie.

Podeszłam do drugich drzwi. Do tych, które — jak przypuszczałam — prowadziły do piwnicy. Przesunęłam przed nimi dłoń i poczułam to. Zaklęcie. Nie jestem czarownicą. Nie znam się



# na usuwaniu zaklęć *RS*. Umiem je tylko wyczuwać. To wszystko. A... i

jeszcze jedno. Potrafi ę je przełamywać. Potrzeba do tego strumienia czystej energii skierowanej na zaklęty obszar. Wystarczy w tym celu przywołać moc pozwalającą mi ożywić umarłych i schwycić za klamkę. Przypomina to trochę wymierzenie kopniaka w drzwi, za którymi nie wiadomo co się znajduje. Pewnego razu może się okazać, że dostaniesz prosto w twarz ze śrutówki. Ża w szparę przy drzwiach.

onej manipulacji i stanęły otworem. Jak dotąd nie łamanie na pewno. Czy Dolph aresztowałby

Problem polega ł na tym, że nawet gdyby udało mi się przełamać zaklęcie, ten, kto je nałóżył, zorientuje się, że zostało zniweczone. Dobry czarownik wyczułby nawet kumulację mocy, zanim jeszcze dotknę dłonią klamki. Jeśli Louie był za tymi drzwiami, to świetnie. Wejdę do środka i zadbam o niego, dopóki nie nadciągnie kawaleria. Jeżeli jednak był w innym pomieszczeniu, tamci mogą wpaść w panikę i zabić go.

Wi ększość czarowników to w większym lub mniejszym stopniu czciciele natury. Gdyby to byli wikanie, obszar rytualny powinien znajdować się gdzieś na zewnątrz. Tym jednak mogła wystarczyć ciemność i nieduże pomieszczenie.

Gdyby to zale żało ode mnie, ukryłabym Louiego możliwie jak najbliżej obszaru rytualnego. Zagrywałam w ciemno. Jeśli się pomyłę i zabiją Louiego... Nie. Po co od razu myśleć o najgorszym.

Jeszcze nie zmierzcha ło. Było popołudnie. Promienie zimowego słońca, mimo że wątłe i słabe, sprawiały, że dzień, choć szary, wydawał się pogodny. Moje zdolności ujawniają się dopiero po zmierzchu. Wyczuwam umarłych i niektóre inne istoty także za dnia, ale mam wtedy znacznie ograniczone możliwości. Gdy robiłam to ostatnio, było ciemno. Do magii podchodę jak do wszystkiego innego. Bezpośrednio, wprost i bez zahamowań. Na siłę. Teraz zastanawiałam się jedynie nad tym, czy moje moce były większe niż osoby, która nałóżyła ten czar. Innymi słowy — czy w razie czego wytrzymam lanie, jakie otrzymam.

# Czy to sprawdzał *RS*ę także za dnia? Wkrótce się przekonamy.

Pytanie brzmi 1 o: czy czar rzucono tylko na klamkę? Może. Niezależnie od zaklęcia, ja przekreśliłabym także zasuwkę. Na wszelki wypadek.

Wyj ęłam browninga i cofnęłam się. Najlepsze są proste metody. Skoncentrowałam się na miejscu obok zamka, lecz nie na samym zamku. Oczekałam, aż przestało dla mnie istnieć wszystko inne prócz tego kawałka drewna. W uszach czułam pulsowanie krwi. Kopnęłam z całej siły. Drzwi zadygotały, ale nie otworzyły się. Jeszcze dwa kopniaki i drewno pękło. Zamek ustąpił.

Nie było błysku światła. Gdyby ktoś mnie obserwował, zobaczyłby jedynie, że zostaję odrzucona do tyłu. Ciało mnie swędziło, jakbym włożyła palce do kontaktu.

Usłyszałam kroki w domu. Podczołgałam się do otwartych drzwi. Złapałam barierkę i podciągnęłam się do pionu. Podmuch chłodnego powietrza omiółł moją twarz. Zaczęłam schodzić po schodach, choć nawet jeszcze nie upewniłam się, że w ogóle mogę chodzić. Musiałam znaleźć Louiego, zanim dopadnie mnie Elvira. Gdybym nie znalazła dowodów, mogłaby kazać mnie aresztować za włamanie.

— Louie, jesteś tam?

W mroku poniżej coś się poruszyło. Wydawało się, że to coś dużego.

— Louie?

U szczytu schodów stanęła Elvira. Światło płynące od wejścia otaczało ją niczym aureola.

— Panno Blake, nalegam, aby natychmiast opuściła pani mój dom.

Od czaru, którym obłożono zamek, wciąż świerzbiała mnie skóra. Tylko dlatego, że przytrzymałam się barierki, wciąż jeszcze stałam na nogach.

# — To ty nałoży*RS* zakłęcie na drzwiach?

— Tak.

— Jesteś dobra.

— Najwyraźniej niewystarczająco. A teraz stanowczo nalegam, abyś wróciła na górę i natychmiast wyszła z tego domu.

Z ciemności dobiegł cichy warkot. Nie brzmiał jak odgłos szczura i z całą pewnością nie przypominał ludzkiego.

— Wyjdź stamtąd, gdziekolwiek jesteś — rzuciłam.

Warkot stał się głębszy i wyraźniej się przybliżał. W bladym paśmie światła przemknęło coś wielkiego i kudłatego. Wystarczył mi rzut oka. Zawsze mogłam powiedzieć, że wydawało mi się, iż był to Louie. Oparłam się o barierkę i zaczęłam krzyczeć. Na całe gardło wzywałam pomocy. Dałam z siebie wszystko.

Elvira obejrzała się za siebie. Usłyszałam odległe wołania policji wpadającej do domu przez drzwi frontowe.

— Niech cię diabli.

— Gadaj sobie — mruknęłam.

— Jeszcze pogadamy, bądź pewna.

— Spadaj.

Wbiegła do domu, nie próbowała wydostać się na zewnątrz. Czyżbym się pomyliła? Czy Louie przez cały czas był w domu, a tu na dole znajdował się całkiem inny kudłacz? Może Jason?

— Jason?

Coś podeszło do schodów i w słabym świetle spojrzało w górę. To był pies. Wielki, kudłaty pies wielkości kuca, ale nie zmiennokształtny.

— Cholera.

Zwierzak znów na mnie warknął. Podniosłam się i zaczęłam wspinać się po schodach. Nie chciałam krzywdzić psa, o ile tylko mogłam tego uniknąć. Gdzie był Dolph? Powinien już tu dotrzeć.

Pies nie próbował mnie zatrzymać. Najwyraźniej miał jedynie bronić piwnicy. Było mi to na rękę.

— Dobry piesek.

Wycofałam się przytrzymałam klamkę Ciężar zwierzęcia zablokował przymknięte przede mną drzwi.

Powoli otworzył

niemal w całości bia

am tylne wejście. Kuchnia była długa, wąska i a. Z głębi domu dochodziły głosy. Rozległ się narastający głuchy warkot. Dźwięk sprawił, że zjeżyły mi się włoski na karku.

— Nikomu nie musi si

# — Fakt — przyzna*RS*

nikomu nic si ę nie stanie.

— Nie możemy.

Dotarłam do korytarza i schodów wiodących od kuchni do pokoju,

skąd dochodziły głosy. Zerknęłam w stronę schodów — pusto. Ruszyłam dalej, w stronę głosów.

Znów rozległ się warkot. Tym razem głośniejszy i wyraźniejszy.

do sforsowanych drzwi. Zamknęłam je i . Pies wyrznął w nie z potężnym hukiem.

ę stać krzywda — rzekł Dolph. ła Elvira. — Wyjdźcie stąd natychmiast, a Dolph krzyknął:

— Anito, chodź tu szybko!

Drgnęłam mimowolnie. Nie mógł mnie jeszcze zobaczyć. W

przej ściu do pokoju nie było drzwi. Uklęłam na jedno kolano i wyjrzałam zza załomu. Elvira stała naprzeciw gliniarzy. U jej boku warował olbrzymi wilk. Gdybym nie przyjrzała mu się uważniej, mogłabym wziąć go za ogromnego psa. Dobra przykrywka. Sąsiedzi również z łatwością mogli pomylić tego wilka z psem.

Drugim zwierzęciem był lampart. Czarny lampart, wielki i groźny. Zwierz zapędził Zerbrowskiego w kąt. Stojąc na czterech łapach, drapieżnik sięgał Zerbrowskiemu do pasa. Był wielki jak cholera. Jezu.

— Jesteś Louie Fane czy Jason? — zapytał Dolph.

Zdałam sobie sprawę, że zwrócił się z tym pytaniem do zmiennokształtnych. Nie powiedziałam mu jakiego rodzaju lykantropem był Louie, a Jason był wilkiem. Ten wilk to mógł być Jason. Tyle że nie wiedziałam, z jakiej racji miałby pomagać Elvirze. Może nie musiałam wiedzieć.

Wstałam i wyszłam zza rogu. Może zrobiłam to nazbyt gwałtownie. A może wielki kot po prostu się znecierpliwiał. Lampart rzucił się na Zerbrowskiego. Pistolet policjanta wypalił.

# Wilk skoczył w mojąRS stronę. Wszystko rozgrywało się jakby w

zwolnionym tempie. Miałam całą wieczność, aby złożyć się do strzału i pociągnąć za spust. Wszystkie pistolety w pomieszczeniu plunęły ogniem. Wilk padł z kulą z mego pistoletu w czaszce. Nie byłam pewna, kto jeszcze zdołał go trafić.

Gdy przebrzmiał o echo palby, ciszę przeszły wrzaski Zerbrowskiego. Lampart dopadł go i zaatakował pazurami.

Dolph wypalił raz jeszcze, po czym rzucił pistolet na podłogę i skoczył na wielkiego kota. Lampart, zaatakowany, zwrócił się przeciw nowemu napastnikowi, chłoszcząc łapami uzbrojonymi w długie pazury. Dolph krzyknął, ale nie zrezygnował.

— Na ziemię, Dolph. przygwoźdź go! — zawołałam.

Sierżant Storr próbował odsłonić mi cel, ale wielki kot rzucił się na niego i po chwili obaj znaleźli się na podłodze. Podeszłam bliżej, trzymając pistolet oburącz. Gliniarz i wielki zwierz tarzali się dziko po podłodze. Gdybym trafiła Dolpha, zabiłabym go równie skutecznie jak choćby jedno celne uderzenie pazurzastej łapy lamparta.

Uklękłam przy nich i przytknęłam lufę do ciepłego, pokrytego futrem cielska. Pazury chlasnęły mnie po ręce, ale dwukrotnie ściągnęłam spust. Zwierz osunął się ciężko na podłogę, targnęły nim gwałtowne konwulsje i skonał.

Dolph, zamrugawszy powiekami, spojrzał na mnie. Miał rozplątany policzek. Ale żył. Podniosłam się z podłogi. Zdrętwiała mi lewa ręka, czyli że rana będzie bolała jak cholera. Gdy minie odrętwienie, chciałabym znaleźć się pod opieką lekarzy.

Zerbrowski leżał na wznak. Wokoło było pełno krwi. Osunęłam się obok niego na kolana. Położyłam browninga na podłodze i przyłożyłam dłoń do szyi Zerbrowskiego, usiłując wyczuć tętno. Było nitkowate, ale wyczuwalne. Miałam ochotę zapłakać z ulgi, ale nie było na to czasu. Na podbrzuszu Zerbrowskiego rozlewała się ciemna kałuża krwi. Rozchyliłam poły jego płaszcza i prawie na niego wymiotowałam

omal nie wyprułam

wnętrznosci.

am. Czy skwitowałyby to śmiechem? Wielki kot mu flaków. Z szarpanego otworu wyzierały kłęby

Chciałam zdjąć kurtkę i przyłożyć ją, zwiniętą, do rany, ale lewa

# ręka odmówiła mi pos*RS*uszeństwa.

— Niech mi kto pomoże. — Bez odpowiedzi. Policjantka Kirlin zakuła w kajdanki Elvir ę Drew. Jej zielony szlafrok rozchylił się na dobre, potwierdzając moje wcześniejsze przypuszczenia, że nic nie miała pod spodem. Szlochała w głos, oplakując zabitych współników.

— Czy on żyje? — spytał Dolph.

— Tak.

— Wezwałem karetkę — rzekł mundurowy.

— Chodź tu i pomóż mi, trzeba powstrzymać krwawienie.

Spojrzał na mnie bezczelnie, ale ani on, ani Kirlin nie pokwapili się, by do mnie podejść.

— Co się, kurwa, z wami dzieje? Pomóżcie mi.

— Nie chcemy tego złapać.

— Tego?

— No, tego paskudztwa — wyjaśnił mundurowy.

Podpełzłam do lamparta. Nawet po śmierci wydawał się olbrzymi. Prawie trzy razy większy od zwykłego wielkiego kota. Pogmerałam przy jego brzuchu i znalazłam zatrzask.

Nie guzik, nie pasek, ale właśnie zatrzask łączący spreparowane futro. Pod nim było nagie ludzkie ciało. Rozchyliłam poły futra, aby mundurowi mogli je zobaczyć.

— To zmiennokształtni, lecz nie lykantropy. Dokonują przemiany dzięki magii. Nie mogą nikogo zarazić, nawet będąc w zwierzęcej postaci. Podejdz tu wreszcie, parszywy tchórze.

— Anito, pohamuj się — odezwał się Dolph. Jego głos wydawał się tak dziwny i odległy, że usłuchałam.

Mężczyzna zdjął kurtkę i położył ją na Zerbowskim. Następnie ostrożnie, jakby nie do końca ufał moim zapewnieniom, że krew jest nieszkodliwa, docisnął kurtkę do rany.

— Odsuń się od niego. — Naparłam na kurtkę całym ciężarem, przytrzymując wnętrzności w ciele Zerbowskiego. Poruszyły się pod moim naciskiem jak żywe; wilgotne, śliskie i przeraźliwie gorące.

# — Kiedy, u licha, za *RS* łatwiesz wreszcie srebrne naboje dla swoich

ludzi?

Dolph odpowiedział niemal ze śmiechem.

— Mam nadzieję że wkrótce.

Może udałoby mi się załatwić dla nich parę paczek naboji na

Gwiazdkę. Boże, błagam Cię, spraw, byśmy wszyscy doczekali najbliższych świąt.

Spojrzałam na blade oblicze Zerbrowskiego. Podczas szamotaniny spadły mu okulary. Rozejrzałam się, ale nigdzie ich nie dostrzegłam. Znalezienie ich wydało mi się szczególnie ważne. Klęczałam w kałuży krwi i ryczałam jak bóbr, bo nie mogłam znaleźć tych cholernych okularów.

## *Rozdział trzydziesty siódmy*

*Z*

Zerbrowski został jakoś pozszywany. Lekarze nie chcieli powiedzieć nic konkretnego. Działali asekuracyjnie. Nie chcieli wypowiadać się na temat jego stanu. Dolph także był w szpitalu. Nie było z nim tak źle, ale musiał spędzić tam dzień lub dwa. Zanim go zabrali, Zerbrowski nie odzyskał przytomności.

Czekałam. W którymś momencie tego wyczekiwania zjawiła się jego żona, Katie.

To było w sumie nasze drugie spotkanie. Była niską kobietą o gęstych, ciemnych włosach związanych w koński ogon. Bez odrobiny makijażu wyglądała wręcz urzekająco. Nie potrafiłam zrozumieć, w jaki sposób Zerbrowskiemu udało się ją zdobyć.

Podeszła do mnie, jej ciemne oczy przepełniał strach. Ścisnęła torebkę niczym tarczę, palce wpijały się w skórę.

— Gdzie on jest? — spytała wysokim, zdyszczonym głosem małej dziewczynki. W takich sytuacjach głos zawsze brzmi jednakowo.

Zanim zdążyłam co powiedzieć, zza wahadłowych drzwi na końcu korytarza wyonił się lekarz. Katie spojrzała na niego. Cała krew odpłynęła z jej twarzy.

# Wstałam i podesz<sup>RS</sup>am, by stanąć tuż przy niej. Patrzyła na

zbliżającego się lekarza, jakby był potworem z jej najgorszego koszmaru. Zapewne to porównanie było trafniejsze, niż mogłam sobie tego życzyć.

— Pani Zerbrowski? — zapytał lekarz. Skinęła głową. Dłonie, w których ścisnęła torebkę, wyraźnie zbieleły i dygotały z napięcia.

— Stan pani męża jest stabilny. Rokowania są pomyślne. Wyjdzie z tego.

Jednak Bóg istnieje.

Katie westchnęła cichutko i ugięły się pod nią kolana. Złapałam ją i podtrzymałam. Łąca się przez rękę. Nie mogła ważyć więcej niż czterdzieści pięć kilogramów.

— Mamy tu mały pokój, gdyby zechciała pani... — Spojrzał na mnie, po czym wzruszył ramionami.

Wzięłam Katie Zerbrowski na rękę, złapałam równowagę i rzuciłam:

— Prowadź pan.

Zostawiłam Katie siedzącą u boku męża. Trzymał ją za rękę, jakby wiedział, że jest przy nim. Może faktycznie wiedział. Zjawiała się też Lucille, żona Dolpha, gotowa służyć Katie duchowym wsparciem, gdyby stało się coś złego. Spoglądając na blade oblicze

Zerbrowskiego, modliłam się w duchu, aby nic złego już się więcej nie wydarzyło.

Chciałam zaczekać, aż Zerbrowski się obudzi, ale lekarz uprzedził mnie, że może to nastąpić dopiero jutro. Nie wytrzymałabym tyle bez snu. Nowe szwy sprawiły, że moja blizna po oparzeniu w kształcie krzyża wydaje się krzywa. Ślady pazurów skręcają w bok, omijając wzdłuż bliznowatej tkanki w zgięciu łokcia.

Dźwigając Katie, załatwiłam sobie parę szwów i przez bandażę zaczęła przesączać się krew. Lekarz który operował Zerbrowskiego, osobiście założył mi nowe. Uważnie przyglądał się bliznom.

Bolała mnie ręka i zabandażowano mi ją od nadgarstka po łokieć. Ale wszyscy wyszliś my z tego cało. Żyjemy. Ekstra!

Taksówka o całkiem znośnej porze podwiozła mnie pod apartamentowiec, gdzie mieszkałam. Louie został nafaszerowany prochami i związany w piwnicy. Elvira przyznała się do zabrania skór wilkołaka, lampartolaka i próby oskórowania naga. Jasona nie było w domu. Zaprzeczyła, jakoby go w ogóle widziała. Po co jej



# druga skóra wilkoł *RS*aka? Chciała dla siebie skóry szcurołaka, tak

przynajmniej twierdziła. Zapytana, dla kogo miała być skóra węża, odparła, że dla niej. A więc w całą tę aferę była zamieszana jeszcze co najmniej jedna osoba, której nie chciała wydać.

Była wiedźmą i wykorzystywała czary do zabijania. To automatycznie równało się wyrokowi śmierci. Po uzyskaniu wyroku skazującego egzekucja zostanie wykonana w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. Żadnych apelacji. Żadnego ulaskawienia. Śmierć i już. Adwokaci starali się nakłonić ją, by przyznała się również do zabicia pozostałych zmiennokształtnych. Gdyby wzięła na siebie winę za ich zaginięcie, mogłoby to wpłynąć na zmianę wyroku. Byłaby wówczas wiedźmą morderczynią. Co prawda, zmiana wyroku w takim przypadku jest mało prawdopodobna, cuda się zdarzają. Nieczęsto, ale jednak się zdarzają. Choć może nie w tym przypadku.

Richard siedział pod drzwiami mojego mieszkania. Nie spodziewałam się go, bądź co bądź, była to noc pełni, i w ogóle. Nagrałam mu na automatyczną sekretarkę wiadomość o odnalezieniu Louiego i że nic mu się nie stało.

Policja starała się wyciszyć sprawę, zwłaszcza zachować w tajemnicy sekretną tożsamość Louiego. Miałam nadzieję, że im się uda. Grunt, że żył. Rakarze zabrali psa.

— Odebrałem twoją wiadomość — stwierdził. — Dzięki za uratowanie Louiego.

Wsunęłam klucz do zamka.

— Nie ma za co.

— Nie znaleźliśmy Jasona. Naprawdę uważasz, że porwali go ci czarownicy?

Otworzyłam zamek. Richard wszedł za mną i zamknął drzwi.

— Nie wiem. Mnie też to martwi. Gdyby ona porwała Jasona, powinniśmy go byli tam odnaleźć.

Wilk, już po zdjęciu skóry, okazał się nieznaną mi kobietą.

Weszłam do sypialni, jakbym była sama. Richard podążył moim śladem. Czułam się lekko, bezcielesnie i jakby trochę nierealnie. Rozcięli mi rękaw kurtki i swetra. Próbowałam ocalić kurtkę, ale

# chyba raczej mogłam jRSą spisać na straty. Rozcięli mi również pasek

pochewki na nó ż, którą miałam na przedramieniu. Wsunęłam ją wraz z nożem do kieszeni kurtki. Dlaczego na ostrym dyżurze muszą od razu wszystko kroić?

Podszed ł i stanął za mną, ale tak, by mnie nie dotknąć, jego dłonie zawisły w powietrzu tuż nad moim ramieniem.

— Nie mówiłaś, że coś ci się stało. Zadzwonił telefon. Odebrałam bez zastanowienia.

— Anita Blake? — zapytał męski głos.

— Tak.

— Mówi Williams, przyrodnik z Audubon Center.

Przesłuchałem kilka taśm z odgłosami sów, które nagrałem w nocy. Na jednej z nich, mógłbym przysiąc, zostały zarejestrowane głosy hien. Wspomniałem o tym policji, ale chyba nie rozumieli wagi tego nagrania. Czy rozumie pani, co może oznaczać zew hieny rozbrzmiewający pośród nocy?

— Że gdzieś w okolicy grasuje hienolak — odparłam.

— Otóż to. Ja też tak pomyślałem.

Nikt mu nie powiedział, że zabójcą był najprawdopodobniej wilkołak. Ale jeden z zaginionych zmiennokształtnych był hieną. Może Elvira naprawdę nie wiedziała, co się stało z pozostałymi zaginionymi lykantropami.

— Wspomniał pan, że powiadomił o tym policję.

— Owszem, tak właśnie zrobiłem.

— Komu pan o tym powiedział?

— Skontaktowa em się z biurem szeryfa Titusa.

— Z kim pan rozmawiał?

— Z Aikensenem.

# — Jest pan pewien, *RS* że przekazał pańską informację Titusowi?

— Nie, ale dlaczego miałoby ją przed nim zataić? Właśnie, dlaczego.

— Ktoś dzwoni do drzwi — oznajmił. — Może pani chwilę zaczekać?

— Chyba nie powinien pan...

— Zaraz wracam.

— Williams, Williams, nie otwieraj drzwi! — darłam się.

Ale po drugiej stronie już nie było nikogo. Usłyszałam jego kroki. Skrzypnięcie otwieranych drzwi. Odgłos zdziwienia. I inne, znacznie cięższe stąpanie.

Ktoś podniósł słuchawkę. Słyszałam oddech. Ale ani jednego słowa.

— Odezwij się do mnie, sukinsynu. Oddech stał się głośniejszy.

— Jeśli coś mu zrobisz, Aikensen, utnę ci wacka, nadzieję na nóż i zmuszę, abyś go połknął.

Zaśmiał się i odłożył słuchawkę. Nigdy nie zdołałabym udowodnić w sądzie, że to on znajdował się wtedy na drugim końcu łącza.

— Cholera, cholera, cholera.

— Co się stało?

Zadzwoiłam na informację, aby zdobyć numer wydziału policji w Willoton. Wcisnęłam guzik, który wybrał ten numer automatycznie, za niższą opłatą.

— Anito, co się stało?

Uciszyłam go ruchem ręki, niech chwilę zaczeka. Odebrała kobieta.

— Zastępca szeryfa, Holmes?

To nie była ona. Przekonawszy dyspozytorkę, że chodzi o sprawę życia lub śmierci, uzyskałam wreszcie połączenie z szefem Garrowayem. Nie objechałam dyspozytorki. Chyba zarobiłam za to dobrych parę punktów.

Opowiedziałam Garrowayowi skróconą wersję wydarzeń.

— Nie wierzę, że Aikensen mógłby być zamieszany w coś takiego, ale poślę tam radiowóz.

— Dzięki.

— Czemu po prostu nie zadzwoniłaś pod 911? — zapytał Richard.

— Wezwano by tutejsze gliny. Aikensen mógłby wyłgać się, że sam przyjął zgłoszenie.

# Z trudem zrzuciłRSam z siebie pociachaną kurtkę. Richard pomógł

mi przy jej zdejmowaniu. Sama bym sobie nie poradzi ła. Kiedy się jej wreszcie pozbyłam, uświadomiłam sobie, że nie mam co na siebie włożyć. W dwa dni zniszczyłam dwie kurtki. Narzuciłam na siebie ostatnią, jaka mi została. Była purpurowa, długa i ciepła. Miałam ją na sobie zaledwie dwa razy. Ostatnio nosiłam ją na Boże Narodzenie. Czerwoną kurtkę widać nawet nocą. Gdybym musiała się do kogoś podkraść, będę musiała ją zdjąć.

Richard pomógł mi się ubrać. Wciąż bolała mnie lewa ręka. — Chodźmy po Jasona — powiedział. Spojrzałam na niego. — Nigdzie nie pójdziesz. Twoje miejsce jest tam, gdzie

wszystkich wilko łaków w okresie pełni księżyca.

— Nie możesz sama nawet włożyć kurtki. Jak sobie poradzisz z prowadzeniem auta?

Miał rację.

— To może być dla ciebie niebezpieczne — stwierdziłam. — Jestem dojrzałym wilkołakiem, a dziś w nocy mamy pełnię

księżyca. Chyba dam sobie radę. — Miał dziwnie mętny wzrok, jakby słyszał głosy, których ja nie byłam w stanie wychwycić. — W porządku. Ruszajmy, ale najpierw musimy ocalić

Williamsa. Sądzę, że zmiennokształtni są blisko jego domu, choć nie wiem, gdzie konkretnie.

Stał przede mną w swoim długim płaszczu. Miał na sobie biały podkoszulek, dzinsy z dziurą na jednym kolanie i buty tak zniszczone, że wolę o nich nawet nie wspominać.

— Czemu ubrałeś się jak łachmaniarz?

— Podczas przemiany ubranie, które mam na sobie, z reguły się niszczy. Dlatego w taki dzień nakładam na siebie byle co. Jesteś gotowa?

— Tak.

— To chodźmy — rzucił. Było w nim coś dziwnego. Jakaś trudna do uchwycenia zmiana. Osobliwe, pełne napięcia wyczekiwanie, jak cisza przed burzą lub chwila, zanim z przepełnionego kubka zacznie wylewać się woda. Gdy spojrzałam w jego brązowe oczy, w ich głębi coś się poruszyło. Jakby gdzieś za

# gałkami ocznymi przemknęła mroczny cień. Gdzieś tam, w głębi ciał

się kosmaty stwór czekający na dogodny moment, gdy będzie się mógł wydostać.

I nagle zrozumiałam, czym było to doznanie, które przez moment wyczułam. To pragnienie, niepohamowany zapach. Przez brązowe oczy Richarda wyjrzała tkwiąca w nim bestia i z napięciem wyczekiwała na dalszy rozwój wypadków.

Cóż mogę powiedzieć? Ruszyliśmy w drogę.

## *Rozdział trzydziesty ósmy*

E

Edward opierał się o mego dżipa, ramiona skrzyżował na piersiach, z jego ust wypływała biała mgiełka oddechu. O zmierzchu temperatura spadła o dwadzieścia stopni. Znowu

było mroźno. Woda w kałużach zamarzła. Pod stopami chrzęścił śnieg.

— Co tu robisz, Edwardzie?

— Miałem zajrzeć do twego mieszkania, gdy zauważyłem, że wychodzisz.

— Czego chcesz?

— Włączyć się do gry — odparł. Spojrzałam na niego.

— Tak po prostu. Nie wiesz, w co jestem wplątana, ale chcesz się w to wmieszać.

— Dzięki twojemu towarzystwu będę miał okazję zabić parę osób.

Smutne, ale prawdziwe.

— Nie mam czasu na dyskusję. Wsiadaj. Wślizgnął się na tylne siedzenie.

# — Nawiasem mówiRS ąc, kogo mamy dziś sprzątnąć? — zapytał

Edward.

Richard uruchomi silnik. Zapięłam pas.

— Zastanówmy si ę. Mamy glinę renegata i kogoś, kto porwał siódemk ę zmiennokszta łtnych — odrzekłam.

— To nie robota czarowników?

— Nie do końca.

— Myślisz, że zdołam zabić dziś jakiegoś lykantropa? — Chyba dra znił się w ten sposób z Richardem.

— Zastanawiałem się nad tym, kto mógł załatwić ich wszystkich bez walki — powiedział nieurazony jednak Richard. — To musiał być ktoś, komu ufali.

— A komu mogli ufać? — spytałam.

— Jednemu z nas — odparł.

— O rany — mruknął Edward. — A więc jednak mamy dziś w karcie lykantropa.

Richard nie próbował go poprawiać. Skoro on tego nie zrobił, to i ja również.

## Rozdział trzydziesty dziewiąty

W

Williams leżał skulony na boku. Dostał z bliskiej odległości w samo serce. Dwie kule. I po doktoracie.

W dłoni ścisnął kaliber 357 magnum. Mogłam się założyć, że miał na skórze proch, jakby naprawdę sam wystrzelił z tej broni.

Zastępcza szeryfa Holmes i jej partner, którego nazwiska nie zapamiętałam, leżeli na śniegu martwi. Kula z magnum niemal zupełnie pozbawiła policjantkę piersi. Elfie oblicze zwiotczało i nie było już tak ładne. Ze wzrokiem utkwionym w niebo nie wyglądała, jakby spała. Wyglądała na trupa.

Jej partner stracił prawie całą twarz. Leżał w śniegu, a krew i mózg mieszały się z białym puchem. Policjant wciąż trzymał w ręku pistolet.

Holmes tak że zdołał wyjąć broń. Choć niewiele to jej pomogło. Wątpiłam, aby jedno z nich zastrzeliło Williamsa, ale mogłam założyć się o miesiąc pensję, że kule pochodziły z pistoletu któregoś z nich.

Uklękałam na śniegu.

— Cholera — wycedziłam.

Richard stanął przy Williamsie. Wpatrywał się weń, jakby chciał go zapamiętać.

# — Samuel nie miaRSł broni. Nie znosił polowania.

— Znałeś go?

— Pamiętaj, że jestem z Audubon.

Skinęłam głowę. Wszystko wydawało się nierzeczywiste.

Zaaran żowane. Czy zdoła się z tego wywinąć? Nie.

— On nie żyje — rzekłam półgłosem. Edward podszedł i stanął obok mnie.

— Kto nie żyje?

— Aikensen. Wciąż chodzi i mówi, ale jest już trupem. Tylko że jeszcze o tym nie wie.

— Gdzie go znajdziemy? — dociekał Edward. Dobre pytanie.

Nie miałam na nie równie dobrej odpowiedzi.

Mój pager zapiszczał, a ja krzyknęłam. Takie sytuacje są zwykle bardzo żenujące. Serce zakołatało mi w piersi, kiedy spoglądałam na numer.

Nie rozpoznałam go. Kto to mógł być i co było tak ważne, że wymagało wezwania mnie o tak późnej porze? Zostawiłam numer pagera w szpitalu. Ich numeru także nie znałam. Musiałam oddzwonić. A także zawiadomić szefa Garrowaya, że jego podwładni wpadli w zasadzkę. Mogłam skorzystać z telefonu w domu Williamsa.

Ruszyłam w stronę budynku. Edward podążył za mną. Dopiero na ganku zorientowałam się, że nie ma z nami Richarda.

Odwróciłam się. Klęczał przy Williamsie. W pierwszej chwili pomyślałam, że się modli, ale zaraz zauważyłam, że dotykał zalanego krwią śniegu. Czy naprawdę chciałam wiedzieć? Tak.

Wróciłam do niego. Edward został na ganku. Nawet się nie odezwał. Punkt dla niego.

— Wszystko w porządku, Richardzie? — głupie pytanie, zważywszy na to, że klęczał przy zwłokach przyjaciela. Nic innego jednak nie przyszło mi do głowy. Bo niby o co miałabym zapytać? Jego dłoń zacisnęła się na okrwawionym śniegu, krusząc go.

Pokręciłam głowę. Myślałam, że to tylko smutek albo gniew, dopóki nie spostrzegłam potu na jego twarzy.



# Uniósł głowę. MiaRS zamknięte oczy. Na niebie wisiał srebrzysty,

jasny księżyc w pełni. Pomimo że tak daleko od miasta, było jasno jak w dzień. Po niebie płynęły chmury posrebrzone blaskiem księżyca.

— Richardzie?

— Znałem go, Anito. Chodziliśmy razem obserwować ptaki. Rozmawialiśmy o jego doktoracie. Znałem go, a teraz mogę jedynie myśleć o zapachu jego krwi i o tym, że wciąż jest ciepły.

Spojrzał na mnie. Miał smutek w oczach, ale przede wszystkim krył się w nich mrok. Z jego oczu wзираła bestia.

Odwrociłam się. Nie byłam w stanie wytrzymać jego spojrzenia.

— Muszę oddzwonić. Nie pozjadaj materiałów dowodowych.

Ruszyłam w stronę domu. To była zbyt długa noc.

Zadzwoniłam z aparatu w kuchni. Najpierw do Garrowaya, aby opowiedzieć mu o tym, co zastałam. Gdy tylko odzyskał mowę, wyrzucił z siebie kilka przekleństw i powiedział, że sam się tu pofatyguje. Zapewne zastanawiał się, czy gdyby zjawił się osobiście, sprawy potoczyłyby się inaczej. Niełatwo być przełożonym.

Przerwałam połączenie i wybrałam numer z pagera.

— Halo.

— Mówi Anita Blake. Ten numer wyświetlił się na moim pagerze.

— Anito, to ja, Kaspar Gunderson. Człowiek-labędź.

— Witaj, Kasparze, co się stało?

— Masz dziwny głos. Smutny. Coś się stało?

— I to sporo. Czemu mnie wezwałeś?

— Znalazłem Jasona. Wyprężyłam się jak struna.

— Żartujesz.

— Nie. Znalazłem go. Jest u mnie. Próbowałem skontaktować się z Richardem. Wiesz, gdzie mógłbym go znaleźć?

— Jest ze mną.

— Doskonale — ucieszył się. — Czy mógłby przyjechać i przejąć Jasona, zanim się przemieni?

— Tak, chyba tak, ale dlaczego?

— Jestem tylko ptakiem, Anito. Nie drapieżcą. Nie zdołam

# zapanować nad niedoRSwiadczonym wilkołakiem.

— W porządku, powiem mu. Jaki jest twój adres?

— Richard wie. Muszę wracać do Jasona, jakoś go uspokoić. Jeżeli straci nad sobą kontrolę, zanim zjawi się Richard, będę musiał się gdzieś ukryć. Gdybym zatem nie odpowiadał na dzwonek do drzwi, zrozumiecie, co się wydarzyło.

— Czy coś ci grozi z jego strony?

— Pospieszcie się. — Odłożył słuchawkę.

Richard wszedł do środka. Stał w drzwiach, rozanielony, jakby

upajał się dźwiękami muzyki, którą tylko on mógł usłyszeć. — Richardzie?

Na dźwięk mego głosu powoli, jak w zwolnionym tempie odwrócił

głowę. Jego oczy miały barwę bursztynu, były żółtozłociste. — Jezus, Maria — wyszeptałam.

Nie odwrócił wzroku. Zamrugał do mnie tymi nowymi oczami. — Co się stało?

— Dzwonił Kaspar. Znalazł Jasona. Próbował się z tobą

skontaktować. Twierdzi, że gdy Jason się zmieni, nie zdoła nad nim zapanować.

— Jason da sobie radę — wycedził. — Wszystko z nim w porządku? — zabrzmiało jak pytanie.

— Tak, a z tobą?

— Nie, niedługo będę musiał odbyć przemianę albo zadecyduje o tym księżyc.

Nie do końca zrozumiałam, o co chodzi, ale mógł mi to wytłumaczyć w samochodzie.

— Niech Edward prowadzi, na wypadek gdyby księżyc zadecydował, że to powinno się stać podczas jazdy w dół zbocza szosą numer 44.

# — Niezła myśl *RSI*, ale dom Kaspara znajduje się niemal na samym

szczycie góry — poprawi ł mnie.

— To znaczy?

— Kaspar mieszka na górze. Prawie na samym końcu tej drogi. — Świetnie, no to ruszamy.

— Będziesz musiała zostawić tam mnie i Jasona — dorzucił. — Dlaczego?

— Dopilnuję, aby nie zrobił nikomu krzywdy, jednak, tak czy

owak, będzie musiał zapolować. Pójdę z nim na łowy. W lesie jest sporo jeleni.

Spojrzałam na niego. To wciąż był ten sam Richard. Mój ukochany, ale... Jego oczy miały barwę bursztynu i stanowiły zdumiewający kontrast w porównaniu z ciemną twarzą.

— Nie zmienisz się w samochodzie, prawda? — zapytałam.

— Nie. Nigdy nie naraziłbym twego życia. W pełni panuję nad moją bestią. To właśnie oznacza bycie samcem alfa.

— Nie martwiłam się, że mógłbyś mnie pożreć — zaproponowałam. — Po prostu nie chciałam, abyś zapaskudził całą tapicerkę tym ohydny śluzem.

Uśmiechnął się. Ucieszyłoby mnie to, gdyby jego zęby nie wydawały się bardziej spiczaste niż zazwyczaj.

Chryste Panie.

## Rozdział czterdziesty

D

Dom Kaspara Gundersona zbudowano z kamienia, a w każdym razie był nimi oszalowany. Ściany tworzyły jasne kawałki granitu. Do tego białe ozdobniki i dach z

jasnoszarych gontów. Drzwi tak że były białe. Budowla, choć schludna i elegancka, wciąż sprawiała wrażenie rustykalnej. Stała na płaskim wierzchołku góry. Droga kończyła się przy domu. Można go było objechać, i tyle.

Richard nacisnął dzwonek. Kaspar otworzył drzwi. Na nasz widok aż odetchnął z ulgą. — Richard, Bogu dzięki. Jak dotąd udało mu się pozostać w ludzkiej postaci, ale wątpię, by długo tak wytrzymał.

Weszliśmy do środka i w salonie zobaczyliśmy dwóch siedzących tam dziwnych mężczyzn. Facet po lewej był niski, ciemnowłosy i nosił

jasnowłosy, z rudaw  
wnętrza. Cały salon by  
krzesła, ściany.

okulary w drucianych oprawkach. Drugi był wyższy, bródką. Tylko oni nie pasowali do wystroju urządzony na białą — dywan, kanapa, dwa

Poczułam się jak we wnętrzu śniegowej kuli. Kaspar miał gust zbliżony do mojego. Najwyższy czas, abym pomyślała o wymianie mebli.

# — Kto to? — spyta *RS!* Richard. — Nie są od nas.

— No jasne — rozległ się głos Titusa. W drzwiach prowadzących do kuchni stanął szeryf z pistoletem w dłoni.

— Niech nikt się nie rusza — wycedził z silnym południowym akcentem.

Aikensen wyłonił się zza drugich drzwi, prowadzących w głąb domu. W ręku trzymał kolejny wielki rewolwer.

— Kupujesz je na tuziny? — spytałam.

— Spodobały mi się twoje pogróżki przez telefon. Podniecają mnie.

Mimowolnie postąpiłam krok naprzód.

— Proszę — rzekł Aikensen. Wymierzył rewolwer w moją pierś.

Titus celował w Richarda. Dwaj siedzący mężczyźni także wyjęli broń. Zapowiadała się wystrzałowa impreza.

Edward z tyłu za mną zastygł w bezruchu. Nieomal czułam, jak rozważa kolejne scenariusze możliwego rozwoju wydarzeń. Za naszymi plecami rozległ się szcęk przeładowywanego karabinu z zamkiem ryglowym. Wszyscy drgnęliśmy nerwowo, nawet Edward.

W drzwiach stał jeszcze jeden mężczyzna. Jego siwe włosy były mocno przerzedzone. Siwowłosy trzymał oburącz karabin wymierzony w głowę Edwarda. Gdyby nacisnął spust, pozostałości z niej zmieściłyby się w małej, papierowej torebce.

— Łapy do góry, wszyscy.

Unieśliśmy ręce. Co innego mogliśmy zrobić?

— Złączcie palce dłoni na potylicy — rozkazał Titus.

Edward i ja zrobili śmy to w miarę sprawnie. Richard okazał się wolniejszy.

— Jazda, wilczku, albo rozwalę cię na miejscu i kto wie, czy przy okazji także twoja ma

Richard wypełnił

a przyjaciółeczka nie zarobi paru kulek. polecenie.

— Co się dzieje, Kasparze?

Kaspar siedział na kanapie, a raczej rozwalił się na niej. Sprawiał wrażenie zadowolonego, był wesoły jak szczygiełek... a raczej łabędź.

# — Ci panowie zapRŚlacili fortunę, aby zapolować na lykantropy.

Zapewniam im ofiary oraz miejsce do polowania.

— Titus i Aikensen dopilnowują, aby nikt się o tym nie dowiedział, prawda? — domyśliłam się

— Mówiłem, że też trochę poluję, panno Blake — wtrącił Titus.

— Ten zabity mężczyzna to jeden z waszych myśliwych?

Zamrugnął nerwowo, ale nie odwrócił wzroku.

— Tak. Był jednym z łowców, panno Blake. Spojrzałam na dwóch mężczyzn z dobytą bronią.

Nie odwróciłam się, by zerknąć na siwowłosego przy drzwiach.

— Wszyscy trzej uważacie, że polowanie na zmiennokształtnych to coś, za co warto dać się zabić?

Ciemnowłosy spojrzał na mnie zza szkieł okrągłych okularów. Wzrok miał pewny, spokojny. Jeśli nawet czuł się niezręcznie, mierząc do człowieka, starannie to maskował.

Brodacz rozglądał się dokoła, nie zatrzymując jednak wzroku na niczym konkretnym. Nie bawił się najlepiej. To było widać.

— Dlaczego ty i Aikensen nie posprzątałście tego bałaganu, zanim Holmes i jej partner zauważyli ciało?

— Ścigaliśmy wilkołaka — odparł Aikensen.

— Kasparze, jesteśmy tacy sami, powinniśmy stać po jednej stronie — rzekł Richard.

— Nie — zaprzeczył Kaspar. Wstał. — Wcale nie. Nie jestem lykantropem. Moja przypadłość nie została odziedziczona po przodkach. Zostałem przeklęty przez czarownicę tak dawno temu, że nawet nie pamiętam, kiedy to było.

— I mielibyśmy cię z tego powodu żałować? — zapytałam.

— Nie. W gruncie rzeczy nie widzę powodu, dla którego miałbym się wam tł umaczyć. Oboje byliście wobec mnie uprzejmi. Chyba mam z tego powodu wyrzuty sumienia. — Wzruszył ramionami. — To będzie nasze ostatnie polowanie. Ostatnie wielkie łowy.

— Mogłabym chyba zrozumieć, gdybyś zamordował Rainę i

# Gabriela — powiedziaRSam. — Ale co ci zrobiły złego te lykantropy,

do śmierci których si przyczyniłeś?

— Kiedy czarownica powiedziała mi, co zrobiła, z początku sądziłem, że to tylko wyjdzie mi na dobre. Chciałem stać się wielką, groźną bestią. A tymczasem ona przemieniła mnie w... to. Rozłożył szeroko ręce.

— Zabijasz je, bo są tym, czym ty chciałeś się stać — ciągnęłam. Uśmiechnął się pod nosem.

— Zazdrość, Anito, niepohamowana zazdrość. To gorzkie i bolesne doznanie.

Już miałam nazwać go parszywym łajdakiem, ale i tak nic by to nie dało. Siedmioro ludzi zginęło, bo tej łajdzie nie podobało się, że był ptakiem.

— Czarownica powinna była cię zabić. I to powoli.

— Chciała dać mi lekcję, nauczyć mnie pokory i sprawić, abym się przed nią ukorzył.

— Ja nie mam w sobie wiele pokory. I raczej nie korzę się przed nikim — odparłam. — Wolę zemstę.

— Gdybym nie miał pewności, że jeszcze tej nocy umrzesz, mogłoby mnie to zmartwić.

— To się martw — mruknęłam.

— Gdzie Jason? — spytał Richard.

— Zabierzemy cię do niego, prawda, chłopcy? — rzekł Titus. Edward nie odezwał się słowem. Nie byłam pewna, o czym myślał,

ale miałam nadzieję, że nie sięgnie po broń. Gdyby to zrobił, większość z obecnych tu osób zginęłaby w ciągu kilku następnych sekund. W tym nasza trójka.

— Obszukaj ich, Aikensen.

Aikensen uśmiechnął się. Włożył swój wielki rewolwer do kabury.

Zostawał tym samym jeden rewolwer, dwa automaty i wielkokalibrowy karabin. Choć tworzyliśmy z Edwardem drużynę marzeń, nawet my nie byliśmy wszechmocni.

Obszukał Richarda od góry do dołu, zrobił to szybko. Doskonale się bawił, dopóki nie spojrzał Richardowi w oczy. Na widok wilczych

# ślepi wyraźnie poblada*RS* . To dobrze, że się zdenerwował.

Kopni ęciem rozsun ął mi szerzej nogi. Łypnęłam na niego spode łba. Jego dłonie zawis ły w powietrzu na wysokości moich piersi; nie stąd zwykle rozpoczynało się przeszukanie.

— Jeśli zamiast szukać broni, zaczniesz mnie obmacywać, sięgnę po spluwę i spróbuję rozwalić was wszystkich, choćbym miała to przypłacić życiem.

— Aikensen, traktuj pannę Blake jak na kobietę przystało. Żadnych macanek. Aikensen osunął się przede mną na kolana. Przesunął dłoń nad moimi piersiami, niemal dotykając sutków. Trzasnęłam go łokciem w nos. Buchnęła krew. Zaczął więc się po ziemi, przykładając dłonie do zgruchotanego nosa.

Ciemnowłosa mężczyzna wstał. Przez cały czas we mnie celował. Refleksy światła w szklach okularów sprawiały, że nie widziałam jego oczu.

— Spokój wszyscy — wycedził Titus. — Aikensen chyba sobie na to zasłużył.

Aikensen podniósł się z podłogi. Dolna część jego twarzy była zakrwawiona. Sięgnął po broń.

— Jeśli wyjmiesz gnata, sam cię rozwalę — ostrzegł Titus.

Aikensen oddychał szybko i płytko przez usta. Pod jego nosem, gdy próbował przezeń oddychać, pojawiały się bąbelki krwi. Bez wątplenia był złamany. To nie to samo co wyprucie mu flaków, ale na początek wystarczy. Nie oderwał ręki od rewolweru, ale i nie wyjął go z kabury. Przez dłuższą chwilę nie podnosił się z klęczek. Po jego oczach widać było, że toczył poważną walkę wewnętrzną. Tak bardzo chciał mnie zastrzelić, że prawie był gotów zaryzykować. Świetnie. Niech spróbuje. Tylko na to czekałam.

— Aikensen — rzekł półgłosem Titus. Mówił spokojnie i z powagą, jakby czuł, że tamten jest blisko wybuchu. — Ja nie żartuję. Nie igraj ze mną. Ostrzegam cię, chłopcze.

Aikensen podniósł się z ziemi, spluwając krwią, która zalewała mu usta.

— Umrzesz jeszcze dzisiaj — zwrócił się do mnie.

— Może, ale nie z twojej ręki — sprostowałam.



# — Panno Blake, by~~RS~~łbym rad, gdyby przestała pani drażnić się z

Aikensenem cho ćby na chwilę, abym mógł go od pani odciągnąć. — Zawsze z przyjemnością współpracuję z policją — odparłam. Titus zaśmiał się. Sukinsyn.

— Cóż, panno Blake, przestępcy lepiej płacą.

— Idź do diabła.

— Po co tak się unosić? — Włożył pistolet do kabury. — A teraz

chcia łbym jedynie panią obszukać, nic więcej. Jeśli będzie pani stawiać opór, będę zmuszony kogoś z was zastrzelić na dowód, że nie żartujemy. Chyba nie chce pani stracić swego ukochanego. Albo milczącego przyjaciela.

Uśmiechnął się. Dobry, stary szeryf Titus. Dusza człowiek. Jezu.

Znalaz ł oba pistolety, po czym obszukał mnie ponownie. Chyba się skrzywiłam, bo zapytał:

— Co z pani ręką, panno Blake?

— Pomagałam policji przy innej sprawie.

— Pozwolili cywilowi, aby się narażał? Aby została pani ranna?

— Sierżant Storr i detektyw Zerbrowski są w szpitalu. Zostali ranni podczas wykonywania działań służbowych.

Jego jowialną twarz wykrzywił dziwny grymas. Jakby poczucie winy.

— Bohaterowie w większości umierają przedwcześnie, panno Blake. Proszę o tym nie zapominać.

— Przestępcy również giną, Titusie.

Podciągnął rękaw mojej czerwonej kurtki i wy dobył nóż. Potrzymał go w dłoni, sprawdził wyważenie.

— Robiony na zamówienie? Skinęłam głową.

— Umiem doceni dobry sprzęt.

— Zatrzymaj go. Odbiorę później. Zachichotał.

— Masz ikrę, dziewczyno. Bez dwóch zdań.

— A ty jesteś pieprzonym tchórzem. Uśmiech zniknął z jego twarzy.

— To niedobry zwyczaj, gdy ktoś zawsze chce mieć ostatnie

# słowo. Bywa denerwuj*RS*ący.

— I o to chodzi.

Podszed ł do Edwarda. Co jak co, ale musiałam Titusowi przyznać, że był piekielnie skrupulatny. Odebrał Edwardowi dwa automaty, derringera i nóż wielkości szabli. Nie mam pojęcia, gdzie Edward go ukrywał.

— Za kogo wy się uważacie, u licha? Za pieprzony oddział kawalerii?

Edward milczał. Skoro on potrafił nabrać wody w usta, to ja także. Mieli zbyt wiele broni palnej, abyśmy mogli zaryzykować rozjuszenie jednego z nich i próbę bezpośredniego starcia. Trzeba było obmyślić inną taktykę.

— Teraz zejdziemy na dół — oznajmił Titus.

— Chcemy, abyście wszyscy wzięli udział w naszym polowaniu. Wypuścimy was do lasu. Jeśli zdołacie nam umknąć, puścimy was wolno. Jeśli dotrzecie na policję, będziecie nas mogli zadenuncjować. Jeżeli spróbowujecie jakichś sztuczek, zanim was puścimy, zabijemy wszystkich. Rozumiemy się?

Spojrzeliliśmy na niego bez słowa.

— Nie słyszę.

— Nie jestem głucha, słyszałam, co powiedziałeś — odparłam.

— A ty, blondasie?

— Ja też — przyznał Edward.

— A ty, wilczku, słyszałeś, co mówiłem?

— Nie nazywaj mnie tak — warknął Richard. Nie wydawał się wystraszony. I dobrze.

Jeśli umrzemy, przynajmniej odważnie i z honorem. To powinno nielecho wkurzyć naszych wrogów.

# — Czy możemy juRSz opuścić ręce? — spytałam.

— Nie — odpar Titus.

Poczu łam tę pe pulsowanie w lewej ręce. Jeśli to najboleśniejsza rzecz, jaka mi się przytrafi tej nocy, będę szczerze zachwycona.

Aikensen ruszył pierwszy. Za nim Richard i ciemnowłosa, wpatrujący się ze spokojem w jego plecy. Potem brodac, ja, Titus, Edward i siwowłosa z karabinem. Na końcu Kaspar. Zrobił się prawdziwy pochód.

Schody prowadzi y do znajdującej się pod domem naturalnej jaskini. Miała jakieś dziesięć na dwadzieścia metrów, a sklepienie znajdowało się na wysokości ponad czterech metrów. W przeciwległej ścianie widniało wejście do tunelu. Oświetlenie elektryczne kąpało całe wnętrze jaskini w surowym, żółtym blasku.

W granitowe ściany wpuszczono dwie klatki. W jednej z nich leżał zwinięty w kłębek Jason. Nie poruszył się, gdy wmaszerowaliśmy do środka.

— Coście z nim zrobili? — spytał Richard.

— Próbowaliśmy skłonić go, aby się dla nas zmienił — odparł Titus. — Nasz Ptasiek stwierdził, że będzie łatwą ofiarą.

Kaspar sprawiał wrażenie zasmuconego. Trudno powiedzieć, czy humor odebrała mu wzmianka o Ptaśku, czy upór Jasona.

— Zmieni się dla nas.

— To ty tak twierdzisz — burknął siwowłosa. Kaspar łypnął na niego spode łba.

Aikensen otworzył pustą klatkę. Wciąż krwawił z nosa. Przyłożył do niego plik chusteczek higienicznych, lecz nie na wiele się to zdało. Chustki nabiegły czerwienią.

— Właż do środka, wilczku — rzucił Titus. Richard zawahał się.

— Panie Carmichael, młodziaka, jeśli łaska. Ciemnowłosa wyjął zza pasa dziewiątkę i dwudziestkę dwójkę. Wycelował w skulonego Jasona.

— I tak mieliśmy wpakować mu kulkę. Aby w ten drastyczny sposób skłonić go do przemiany. Skoro nie chciał tego zrobić po dobroci... A teraz do klatki, ale już.

Richard ani drgnął. Carmichael wsunął pistolet między pręty klatki i wycelował.

# — Nie — rzekł *RS* Richard. — Zrobię to. — Wszedł do klatki.

— Teraz ty, blondasku.

Edward nie oponował. Po prostu wszedł do środka. Nie sądziłam, że tak spokojnie to zniesie. Aikensen zatrzasnął drzwi. Zamknął je na klucz, po czym podszedł do drugiej klatki. Nie otworzył jej. Czekał z mokrymi chustkami przyciśniętymi do nosa. Kropla krwi skapnęła na podłogę.

— Ty będziesz dzielić klatkę z naszym młodym przyjacielem.

Richard zacisnął dłonie na prętach klatki.

— Nie możesz jej tam umieścić. Gdy on się zmieni, będzie się musiał pożywić.

— W przemianie pomocne są dwie rzeczy — rzekł Kaspar. — Seks i krew. Zobaczymy, jak bardzo Jason lubi twoją przyjaciółkę. — Nie rób tego, Kaspar.

— Za późno — odburknął.

Jeśli wejdziesz do klatki, zostaniesz pożarta żywcem. To jeden z pięciu sposobów na odejście z tego świata, których wolałabym uniknąć. Nie. Nic mnie nie zmusi, abym tam weszła. Będą mnie musieli wcześniej zastrzelić. Już ja się o to postaram.

— Aikensen otworzy klatkę, a pani, panno Blake, wejdzie do klatki.

— Nie — rzekłam stanowczo. Titus spojrzał na mnie.

— Jeśli pani tego nie zrobi, pan Fienstien panią zastrzeli, prawda, panie Fienstien?

Brodacz o niepewnym spojrzeniu wycelował we mnie swoją dziewiątkę. To była beretta, niezła broń, jeśli nie upierasz się przy amerykańskich pistoletach. Wylot lufy wydawał się mroczny i złowrogi. Przynajmniej z mojej perspektywy.

— W porządku, niech mnie rozwali.

— My nie żartujemy, panno Blake.

— Ja również. Mam do wyboru pożarcie żywcem albo kulkę. Wybieram kulkę.

— Panie Carmichael, proszę wymierzyć swoją broń w pannę Blake.

Carmichael zrobi

— Możemy pani

to.

zranić, strzelić pani w nogę, a następnie wepchnąć panią do klatki.

Spojrzałam mu w oczy i zorientowałam się, że nie żartował. Nie chciałam wejść do tej klatki, ale nie uśmiechało mi się też zarobić jednej lub kilku kul w nogi.

# — Liczę do pięć*RS*ciu, panno Blake, po czym Carmichael zrani

panią, a następnie zostanie pani siłą wepchnięta do klatki. Jeden... dwa... trzy... cztery...

— W porządku, niech cię wszyscy diabli. Otwórz te cholerne drzwi.

Aikensen zrobił to. Weszłam do środka. Drzwi zatrzasnęły się za mną z hukiem. Stałam przy wejściu. Jason dygotał jak w gorączce, ale poza tym w ogóle się nie ruszał.

Mężczyźni na zewnątrz wydawali się rozczarowani.

— Zapłaciliśmy sporą sumkę, aby zapolować na wilkołaka — rzekł siwowłoso. — Jak dotąd nie spełniłeś naszych oczekiwań.

— Panowie, mamy całą noc. On nie będzie w sta-nie opierać się w nieskończoność tak łakomemu kaskowi — odparł Kaspar.

Nie lubię być nazywana łakomym kaskiem.

— Zanim tu dotarliśmy, zadzwoniłam do Garrowaya. Powiedziałam mu, że jego funkcjonariusze wpadli w pułapkę. I że był w to zamieszany Aikensen.

— Kłamiesz. Spojrzałam Titusowi prosto w oczy.

— Tak ci się zdaje?

— Może powinniśmy po prostu rozwalić was wszystkich i uciec stąd jak najszybciej, panno Blake?

— A oddacie tym panom ich pieniądze?

— Titusie, chcemy zapolować. — Trzej uzbrojeni mężczyźni nie zamierzali spasować przed realizacją swych drogich pragnień.

— Gliny nie wiedzą, że jest w to wszystko zamieszany nasz ptaszek — powiedzia Carmichael, ten z dwudziestką dwójką. — Mógłby zostać na górze. W razie gdyby zjawili się gliniarze i zaczęli wypytywać, mógłby ich spławić paroma gładkimi kłamstwami.

Titus otarł dłonie o spodnie. Spocone dłonie? Nerwy? Miejmy nadzieję, że tak.

— Do nikogo nie dzwoniła. Błefuje — rzucił Aikensen.

— Niech on się wreszcie zmieni — rzekł Carmichael.

— W ogóle nie zwraca na nią uwagi — zauważył siwowłoso.

— Cierpliwości, panowie.

# — Sam stwierdzi*R*Seś, że nie mamy wiele czasu.

— Ty jesteś ekspertem, Kasparze. Wymyśl coś. Kaspar uśmiechnął się, patrząc na coś za moimi plecami.

— Myślę, że już nie będziemy musieli długo czekać.

Powoli odwróciłam się i spojrzałam na Jasona.

Wciąż leżał na podłodze zwinięty w kłębek, ale był zwrócony twarzą do mnie. Jednym płynnym ruchem znalazł się na czworakach. Spojrzał na mnie, a potem na mężczyzn przy klatce.

— Nie zrobię tego. Nie przemienię się dla was. — głos miał zmęczony, lecz normalny. Ludzki.

— Długo się trzymasz, Jasonie — mruknął Kaspar. — Jednak księżyc już wschodzi. Poczuj jej strach, Jasonie. Poczuj zapach jej ciała. Wiem, że jej pragniesz.

— Nie! — Odchylił głowę, wsparty na dłoniach i stopach. Pokręcił głową twarzą niemal dotykał kamiennego podłoża. — Nie. — Uniósł głowę. — Nie zrobię z siebie widowiska jak jakiś cyrkowy dziwoląg.

— Czy uważasz, że gdybyśmy zapewnili Jasonowi i pannie Blake trochę prywatności, mogłoby to dopomóc w przemianie? — zapytał Titus.

— Możliwe — odparł Kaspar. — Chyba nie lubi robić niczego na pokaz.

— Zostawimy was teraz samych, panno Blake. Jeśli po naszym powrocie nie będzie już pani wśród żywych... no cóż, miło było panią poznać.

— Nie mogę powiedzieć tego samego o tobie, Titusie.

— Nie ma jak szczerłość. Zawsze ceniłem ją w ludziach. Żegnam, panno Blake.

# — Obyś szczęł*RS*a w piekle, suko — rzucił na pożegnanie

Aikensen.

— Przypomnisz sobie o mnie za każdym razem, gdy będziesz spoglądał w lustro, Aikensen.

Uniósł dłoń do nosa. Nawet lekkie dotknięcie sprawiało mu ból.

Łypnął na mnie gniewnie, ale ciężko jest zgrywać twardziela, przytulając do twarzy garść zakrwawionych chusteczek. — Mam nadzieję, że będziesz zdychać powoli — dodał. — I nawzajem — odparłam.

— Kasparze, proszę — odezwał się Richard. — Nie musisz tego robić. Zmienię się dla was. Pozwolę, abyście zapolowali na mnie.

Tylko wypuść stamtąd Anitę.

Mężczyźni przystanęli i spojrzeli na niego.

— Nie pomagaj mi, Richardzie.

— Zapewnię wam łowy, jakich dotąd nigdy nie mieliście. —

Stanął przy kracie, zaciskając dłonie na prętach. — Wiesz, że mogę to zrobić, Kasparze. Powiedz im.

Kaspar przyglądał mu się przez dłuższą chwilę. Pokręcił głową. — Myślę, że zabiłbyś ich wszystkich.

— Obiecuję, że tego nie zrobię.

— O czym ty mówisz, Richardzie? — zapytałam.

Zignorował mnie.

— Proszę, Kasparze.

— Musisz ją bardzo kochać.

Richard tylko na niego patrzył.

— Niezależnie od tego, co zrobisz, Richardzie, i tak mnie nie wypuszczą — przekonywałam.

Nie słuchał mnie.

— Richardzie! — zawołałam.

— Przykro mi — rzekł Kaspar. — Ufam ci, Richardzie, ale... cóż, nie ufam twojej bestii.

— Daj spokój, tracimy tylko czas. Garroway nie wie, gdzie ma szukać, ale może tutaj trafić. Zostawmy ich teraz samych — powiedział Titus.

Wyszli, prowadzeni przez korpulentnego szeryfa. Kaspar wszedł na schody ostatni.

— Wołałbym, aby w tych klatkach byli Gabriel i Raina.

Naprawdę bardzo mi przykro. — to rzekłszy, łabędziołak zniknął w kamiennym tunelu.

— **RS**Kasparze, nie zostawiaj nas tak.

## Kasparze! — Jaskinia

rozbrzmiała echem krzyków Richarda.

Pozosta ły bez odpowiedzi. Byliśmy sami. Odwróciłam się, słysząc szuranie. Jason znów był na kłęczkach. Za jego niebieskimi oczami coś się poruszyło, coś złego i niehumanicznego. Nie byłam w klatce sama i — co gorsza — grożące mi śmiertelne niebezpieczeństwo narastało z każdą chwilą. — Nie ma jak szczerść. Zawsze cenilem ją w ludziach. Żegnaj, panno Blake.

— Obyś szczeła w piekle, suko — rzucił na pożegnanie

Aikensen.

— Przypomnisz sobie o mnie za każdym razem, gdy będziesz spoglądał w lustro, Aikensen.

Uniósł dłoń do nosa. Nawet lekkie dotknięcie sprawiało mu ból.

Łypnął na mnie gniewnie, ale ciężko jest zgrywać twardego, przytulając do twarzy garść zakrwawionych chusteczek. — Mam nadzieję, że będziesz zdychać powoli — dodał. — I nawzajem — odparłam.

— Kasparze, proszę — odezwał się Richard. — Nie musisz tego robić. Zmienię się dla was. Pozwolę, abyście zapolowali na mnie.

Tylko wypuść stamtąd Anitę.

Mężczyźni przystanęli i spojrzeli na niego.

— Nie pomagaj mi, Richardzie.

— Zapewnię wam łowy, jakich dotąd nigdy nie mieliście. —

Staął przy kracie, zaciskając dłonie na prętach. — Wiesz, że mogę to zrobić, Kasparze. Powiedz im.

Kaspar przygląda — Myślę, że zabi — Obiecuję, że ły mu się przez dłuższą chwilę. Pokręcił głową. byś ich wszystkich.

e tego nie zrobię.

— O czym ty mówisz, Richardzie? — zapytałam.

Zignorował mnie.

— Proszę, Kasparze.

— Musisz ją bardzo kochać.

Richard tylko na niego patrzył.

— Niezależnie od tego, co zrobisz, Richardzie, i tak mnie nie wypuszczą — przekonywałam.



# Nie słuchał mnie. *RS*

— Richardzie! — zawołałam.

— Przykro mi — rzekł Kaspar. — Ufam ci, Richardzie, ale... cóż, nie ufam twojej bestii.

— Daj spokój, tracimy tylko czas. Garroway nie wie, gdzie ma szukać, ale może tutaj trafić. Zostawmy ich teraz samych — powiedział Titus.

Wyszli, prowadzeni przez korpulentnego szeryfa. Kaspar wszedł na schody ostatni.

— Wolałbym, aby w tych klatkach byli Gabriel i Raina. Naprawdę bardzo mi przykro. — to rzekłszy, łabędziełak zniknął w kamiennym tunelu.

— Kasparze, nie zostawiaj nas tak. Kasparze! — Jaskinia rozbrzmiała echem krzyków Richarda.

Pozostały bez odpowiedzi. Byliśmy sami. Odwróciłam się, słysząc szuranie. Jason znów był na kłęczkach. Za jego niebieskimi oczami coś się poruszyło, coś złego i nieludzkiego. Nie byłam w klatce sama i — co gorsza — grożące mi śmiertelne niebezpieczeństwo narastało z każdą chwilą.

## Rozdział czterdziesty pierwszy

J

ason popęłzył nieznacznie w moją stronę, po czym zatrzymał się.

— Nie, nie, nie. — Każde słowo brzmiało jak jęk. Głowa opadła mu do przodu. Żółte włosy zasłoniły twarz, nie były jednak dość długie, by dotknąć ziemi. Miał na sobie przydużą niebieską koszulę i dzinsy. Rzeczy, których nie byłoby mu szkoda, gdyby musiał się w nich przemienić.

— Anito — rzekł Richard.

Przesun ęłam się i stanęłam tak, by widzieć drugą klatkę, nie tracąc z oczu Jasona.

Richard wyciągnął do mnie rękę pomiędzy prętami klatki. Zupełnie jakby mógł pokonać w ten sposób dzielącą nas przestrzeń i przyciągnąć mnie do siebie.

Edward popęłzył ku drzwiom i zaczął wodzić dłońmi po zamku. Z wnętrza klatki nie widział frontu zamka. Przyłgnął policzkiem do krat i zamknął oczy. Gdy są nieprzydatne, bywają zawadą.

# Odchylił się do ty *RSu* i wyjął z kieszeni nieduży skórzany futerał.

Otworzył go, wewnątrz znajdowało się kilka małych narzędzi. Z tej odległości nie widziałam ich wyraźnie, ale wiedziałam, czym były. Edward zamierzał otworzyć zamek wytrychem.

Noc zapowiadała się optymistycznie.

Edward oparł się o pręty klatki z rękami po obu stronach zamka, w dłoniach ścisnął wytrychy. Miał zamknięte oczy, twarz pozbawioną wyrazu, dłońmi wykonywał delikatne, badawcze ruchy.

Z piersi Jasona dobył się cichy dźwięk. Chłopak zaczął czołgać się w moją stronę, wolno, jakby z ociąganiem. Uniósł głowę do góry. Oczy wciąż miał niebieskie, ale puste, bez życia. Patrzył na mnie, jakby mógł wejrzeć w głąb mojego ciała, dostrzec serce tłukące mi się w piersi i poczuć zapach krwi płynącej w żyłach. To nie było ludzkie spojrzenie.

— Jasonie — rzekł Richard. — Trzymaj się. Za kilka minut będziemy wolni. Tylko się trzymaj.

Jason nie zareagował. Chyba go nie słyszał.

Uznałam, że kilka minut to wariant nazbyt optymistyczny, ale cóż, jeśli Jason zdoła w to uwierzyć, ja także.

Jason przyczołgał się do mnie. Przywarłam plecami do prętów klatki.

— Jak ci idzie z tym zamkiem, Edwardzie?

— Nie są to narzędzia, które wybrałbym do sforsowania takich drzwi, ale dam radę.

W sposobie, w jaki Jason zbliżał się do mnie, było coś dziwnego, jakby miał mięśnie w miejscach, gdzie nie powinno ich być.

— Pospiesz się, Edwardzie.

Nie odpowiedział. Nie musiałam patrzeć, by wiedzieć, że mocował się z zamkiem. Wierzyłam, że zdoła otworzyć drzwi. Wciąż się przesuwalam, by zachować stały dystans między sobą a wilkołakiem. Edward otworzył drzwi, ale czy zdąży na czas? Oto jest pytanie.

Jakiś dźwięk od strony wejścia sprawił, że obejrzałam się przez ramię. Do jaskini wszedł Carmichael. W ręku trzymał dziewiątkę. Uśmiechnął się. Nie widziałam go jeszcze tak radosnego.

Edward zignorował go, manipulując przy zamku, jakby w ogóle nie zauważył uzbrojonego mężczyzny.

# Carmichael uniós *RS* pistolet i wymierzył w Edwarda.

— Odsuń się od zamka, ale już. — Przeładował broń. Zrobiło się gorąco.

— Nie potrzebujemy cię żywego. Przestań... gmerać... przy... zamku.

Z każdym słowem postępował krok naprzód.

Edward spojrzał na niego. Oblicze wciąż miał pozbawione wyrazu, jakby całe skupienie ulokował w swoich dłoniach i nie zważał na wymierzoną w siebie broń.

— Rzuć wytrychy. Jak najdalej od siebie. W tej chwili!

Edward popatrzył na mężczyznę. Jego wyraz twarzy pozostawał niezmienny, ale odrzucił dwa niewielkie narzędzia.

— Wyjmij z kieszeni futerał z narzędziami i ciśnij poza klatkę. Nawet nie próbuj zaprzeczać, że go masz. Skoro miałeś te dwa, musisz mieć ich więcej.

Zastanawiałam się, jaki zawód mógł wykonywać na co dzień Carmichael. Na pewno nie było to nic miłego. Bo niby skąd wiedziałby, jakie narzędzia wchodzi w skład zestawu małego włamywacza?

— To pierwsze i ostatnie ostrzeżenie — wycedził Carmichael. — Wyrzuć sprzęt albo naciśnę spust.

Mam dość tego cholernego bajzlu.

Edward wyrzucił nieduży, wąski futerał. Pokrowiec z cichym plaśnięciem spadł na kamienie.

Carmichael nie podszedł, by go podnieść. Etui było poza naszym zasięgiem. I tylko to się liczyło.

Ruszył tyłem w stronę schodów, nie spuszczać nas z oczu. Poświęcił też odrobinę uwagi mnie oraz Jasonowi. Coś podobnego.

— Nasz mały wilkołak się obudził. Miałem nadzieję, że tak będzie.

Z gardła Jasona dobiegł cichy, urywany warkot. Carmichael zaśmiał się chrapliwie.

— Chciałem zobaczyć, jak się zmienia. Dobrze, że tu zajrzałem.

— Jezu, jak się cieszę — mruknęłam. Podszedł nieco bliżej, ale wciąż pozostawał poza naszym zasięgiem. Gapił się na Jasona.

— Nigdy nie widziałem, jak oni się zmieniają.

— Wypuść mnie, popatrzymy razem.

# — A czemu? Zap*RS*aciłem, aby ujrzeć całe widowisko.

W jego oczach błyszczały gorączkowe iskierki wyczekiwania. Był podniecony jak dzieciak, który znalazł prezenty pod choinką. Cholera.

Gard łowy warkot sprawił, że ponownie przeniosłam wzrok na Jasona. Kucał skulony, z głową wtuloną w ramiona. Na dźwięk warczenia dobywającego się spod jego ludzkich warg zjeżyły mi się włoski na karku.

Nie patrzył na mnie.

— On chyba warczy na ciebie, Carmichael.

— Ale to nie ja siedzę w klatce — zauważył. Miał rację. — Jason, nie złość się na niego — rzekł Richard. — Gniew

podsyca bestię. Nie możesz sobie pozwolić na wściekłość. — głos Richarda był cichy, niemal kojący. Starał się uspokoić Jasona, a ściślej rzecz biorąc, nie dopuścić do jego przemiany w wilkołaka.

— Przeciwnie, wilku — rzucił Carmichael. — Wyrzuć z siebie całą złość, cały gniew. Utnę ci łeb i powieszę na ścianie.

— Po śmierci powróci do ludzkiej postaci — wtrąciłam.

— Wiem — odparł Carmichael. Jezu.

— Gdy gliny znajdą u ciebie kolekcję ludzkich głów, mogą zacząć coś podejrzewać.

— Mam sporo trofeów, których policja nigdy nie powinna odnaleźć — stwierdził.

— Czym się zajmujesz na co dzień?

— Tym i owym.

Pokręciłam głową. Chyba nie zdołam nic z niego wycisnąć.

Jason podczołgał się do krat, niezdarnie, jak ociężała małpa. Mimo to w jego ruchach było coś zwodniczego, prawie spodziewałam się ujrzeć, jak płynnym ruchem — ni stąd, ni zowąd — wybija się w powietrze.

# — Jasonie, uspokój siRS ę — rzekł Richard.

— No dalej, chł opcze, spróbuj szczęścia. Rzuć się na kratę, a ja pociągnę spust.

Patrzyłam, jak Jason napr ęża mięśnie i daje susa, by rozplaszczyc się na kracie. Przywar do prętów, przekładając między nimi ręce. Wyciągnął je najdalej, jak mógł. Przez chwilę Carmichael stał niezdecydowany, jakby obawiał się, że tamten przeciśnie się pomiędzy prętami klatki, ale zaraz wybuchnął śmiechem.

— Zastrzel mnie — powiedział Jason. Jego głos był tak gardłowy, że prawie niezrozumiały. — Zastrzel mnie.

— Raczej nie — zaproponował Carmichael. Jason chwycił rękami pręty i osunął się na kolana, przyciskając czoło do kraty. Oddech miał przyspieszony jak po długim biegu. Gdyby był człowiekiem, wszedłby w hiperwentylację i zemdłał. Powoli, bardzo powoli odwrócił głowę, jakby nie chciał tego robić. Starał się zmusić Carmichaela, aby go rozwalił. Wolał śmierć niż zwrócenie się przeciwko mnie. To szlachetne z jego strony. Dzięki temu zarobił u mnie sporo punktów.

Spojrzał na mnie, a jego oblicze przepelnione było niepohamowanym pragnieniem. Nie był to seks ani głód, ani oba równocześnie. Nie rozumiałam tego, co zawierało się w jego wzroku, i nie chciałam zrozumieć.

Podpełzł w moją stronę. Cofnęłam się, trochę zbyt nerwowo.

— Nie uciekaj — zawołał Richard. — To go podnieca.

Spojrzałam w obce oczy Jasona i z trudem zdołałam ustać w miejscu. Sięgnęłam dłońmi za siebie i mocno schwyciłam się kraty. Już nie uciekałam. To nie było wskazane.

Jason zatrzymał się równocześnie ze mną. Przykucnął tuż poza moim zasięgiem. Położył jedną dłoń na ziemi i zaczął czołgać się do mnie. Powoli, ale nadal się zbliżał, choć najwyraźniej wcale tego nie chciał.

— Jeszcze jakie łyskotliwe pomysły? — zapytałam.

— Nie uciekaj. Nie walcz. To pobudza. Staraj się zachować spokój. Pohamuj strach. Lęk jest bardzo podniecający.

# — Mówisz z własnego doświadczenia? — spytałam.

— Tak.

Chciałam się odwrócić, zobaczyć twarz Richarda, ale nie mogłam. Nie odrywałam wzroku od zbliżającego się wilkołaka. Lykantrop w drugiej klatce potrafi sam o siebie zadbać.

Jason uklęknął u moich stóp jak warujący pies. Uniósł głowę i spojrzał na mnie. W jego oczach pojawiła się plamka zieleni. Nowa barwa rozmywała dawny błękit. Kolory zawirowały. Po chwili jego oczy miały nową barwę świeżej trawy, soczystej zieleni i już nie przypominały ludzkich.

Jąknęłam w głos. Nie mogłam się powstrzymać. Zbliżył się do mnie, obwąchując powietrze wokół. Koniuszkami palców dotknął mojej nogi. Drgnęłam. Westchnął przeciągle i otarł się policzkiem o moją nogę. W kafejce U Lunatyków zrobił znacznie więcej, ale wtedy jego oczy wciąż wyglądały na ludzkie. A ja byłam uzbrojona. W tej chwili oddałabym prawie wszystko za pistolet.

Jason schwycił mnie za skraj kurtki, kurczowo wpijając palce w materiał. Zamierzał mnie przewrócić. Nic z tego. Ten numer nie przejdzie.

Zrzuciłam kurtkę z ramion. Jason zwał ją ze mnie. Odstąpiłam na bok. Jason oburącz przycisnął moją kurtkę do twarzy. Turlał się po ziemi, przyciskając zwiniętą w kulę kurtkę jak pies bawiący się padliną. Upajał się zapachem.

Podniósł się na kolana. Ruszył w moją stronę z płynną gracją, która piekielnie mnie drażniła. Ludzie nie pełzają tak miękko i dostojnie. Zaczęłam się cofać, wolno, bez paniki. Tyle że nie chciałam, aby znowu mnie dotknął. Przyspieszał, każdy kolejny ruch był potwornie precyzyjny. Zielone oczy wpatrywały się we mnie, jakby prócz mnie na świecie nie było nikogo.

Zaczęłam cofać się szybciej. On również zwiększył tempo. — Błagam, Anito, nie uciekaj — powiedział Richard. Walnęłam plecami o naroże klatki. Jęknęłam cicho z bólu. Jason dwoma miękkimi ruchami zbliżył się do mnie. Dotknął dłońmi moich nóg. Zdusiłam w sobie krzyk. Coś ścisnęło mnie w gardle. Nie mogłam oddychać. — Anito, zwalcz w sobie strach. Uspokój się, spróbuj się wyciszyć.

# — Sam się *RS*, kurwa, wycisz. — miałam panikę w głosie.

Jason wetknął palce za mój pasek. Naparł ciałem na moje nogi, przyszpilając mnie do kraty. Jęknęłam i zaraz tego pożałowałam. Jeśli to miało się stać, trudno, ale nie odejdę, skomląc na klęczkach.

Wsłuchując się w dudnienie krwi w uszach, zaczęłam oddychać powoli i miarowo. Patrząc w dzikie, zielone oczy, ponownie uczyłam się oddychania.

Jason przycisnął policzek do mego biodra, dłońmi przesuwając po mojej talii. Serce podeszło mi do gardła, lecz zmusiłam je, by wróciło na swoje miejsce. Skoncentrowałam się i w końcu mój puls zaczął zwalniać. To rodzaj koncentracji, który pozwala ci opanować nowy rzut w dzudo. Albo ożywiać umarłych.

Kiedy Jason uniósł głowę i znów na mnie spojrzał, odpowiedziałam spojrzeniem pełnym niewzruszonego spokoju. Czułam, że moja twarz jest beznamiętna i pusta. Nie byłam pewna, jak długo wytrzymam, ale zamierzałam dać z siebie wszystko.

Wsunął mi palce pod sweter, zaczął dotykać moich pleców. Przełknęłam ślinę i serce znów mi zabiło szybciej. Próbowałam spowolnić jego rytm, skupić się, ale on dotykał mnie rękami w talii, muskał nagą skórę. Palce odnalazły krzywiznę żeber i zaczęły pisać się ku górze. Schwyciłam go za nadgarstki, powstrzymując przed dotknięciem moich piersi.

Gdy się podniósł, nie oderwałam dłoni od jego rąk. Kiedy wstał, nie wyjmując rąk spod mojego swetra, odsłonił mi cały brzuch. Widok nagiej skóry spodobał się Jasonowi. Znów uklęknął, nie uwalniając się z mojego uścisku. Poczulałam na skórze brzucha jego gorący oddech. Wysunął język i polizał mnie obok pępka. Jego wargi delikatnie, pieszczotliwie musnęły moją skórę.

Usłyszałam, że oddycha z coraz większym trudem. Wtulił twarz w mój miękki brzuch. Wci aż mnie lizał, jego usta dotykały mnie coraz brutalniej. Skubnął moją skórę zębami. Skuliłam się, bynajmniej nie z bólu. Zacisnął pod moim swetrem dłonie w pięści, jego ramiona drgały spazmatycznie. Nie chciałam puścić jego nadgarstków, ale teraz pragnęłam jedynie znaleźć się jak najdalej od niego.

— Czy on chce mnie pożreć, czy raczej...

— Przelecieć — dokończył Carmichael. Prawie o nim



# zapomniałam. Nie naleRSzy zapominać o facecie ze spluwą. Może stało

się tak, bo rozumiałam, że nie stanowi dla mnie zagrożenia. Prawdziwe niebezpieczeństwo kuliło się u moich stóp.

— Jason jest jednym z nas zaledwie od paru miesięcy. Gdyby zdołał przekierować swoją energię z brutalnej przemocy na seks, powinnaś to jakoś wykorzystać. Na twoim miejscu starałbym się trzymać go z dala od zabójczych stref.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Trzymaj go z dala od swego brzucha i gardła. Spojrzałam na Jasona. On także popatrzył na mnie, wywracając oczami. W zielonych ślepiach pojawiła się ciemność, mrok, w którym można było utonąć.

Wyci ągnęłam rękę Jasona spod swego swetra. Nasze dłonie złączyły się, palce splotły. Zaczął tulić się do mego brzucha, przywierając twarzą do swetra, który ponownie przesłonił moje ciało. Trzymając go za rękę, zmusiłam go, aby podniósł się z ziemi.

Uniós ł rękę do góry, a ja, chcąc nie chcąc, musiałam zrobić to samo, po czym pchnął mnie na kraty. Z trudem zwalczyłam w sobie pragnienie stawienia mu oporu, wyrwania mu się, podjęcia walki. Sprzeciw był podniecający, a tego chciałam uniknąć.

Byli śmy niemal tego samego wzrostu. Nasze oczy dzieliła odległość zaledwie kilkunastu centymetrów. Jego usta rozchyliły się, dostrzegłam błysk kłów. Jezu.

Potar ł swoim policzkiem o mój. Przesunął wargami po mojej żuchwie. Odwróciłam głowę, aby nie dotknął mojej szyi. Nie chciałam, by poczuł moją tętnicę szyjną. Nabrał głęboko powietrza i musnął moje usta wargami. Przywarł do mego ciała tak mocno, że poczułam, iż cieszy si z mojej bliskości i obecności. A w każdym razie reagowało na ni jego ciało. Wtulił mi twarz we włosy i stał tak, przywierając do mnie, a nasze dłonie dotykały prętów klatki.

Czu łam na żuchwie puls Jasona, nieomal dotykałam jego szyi. Oddychał bardzo szybko, zbyt szybko, pierś mu się unosiła i opadała nerwowo, jakby to wszystko było czymś więcej niż grą wstępną. Czy

# w rezultacie stanę siRS dla niego przystawką?

Poczu łam na skórze przep ływ mocy, ale nie wyszła od Jasona. Doświadczyłam jej ju kiedyś. Czy to widowisko podnieciło Richarda? Czy moja śmierć będzie równie ekscytująca jak tej kobiety na filmie?

— Ona jest moja, Jasonie — rzekł Richard nieco zduszonym głosem. Był bliski przemiany. Jason zaskomlał. Nie potrafię tego nazwać inaczej.

Moc Richarda rozeszła się dokoła jak grzmot, zataczając coraz szersze kręgi.

— Odejdź od niej, Jasonie, już! — wybuchnął. Ale nie stracił nad sobą panowania, to miała być jedynie pogróżka.

Poczułam, że Jason pokręcił głową, nie odsuwając jej od moich włosów. Zacisnął mocno palce na moich dłoniach. Zrobił to z taką siłą, aż jęknęłam. To był błąd.

Nagle puścił moje dłonie, zrobił to tak niespodziewanie, że gdyby nie przyszpilał mnie do klatki, chybabym upadła.

Odsunął się raptownie i wtedy omal się nie przewróciłam. Objął mnie na wysokości ud i dźwignął w górę zbyt szybko, abym mogła temu zapobiec, nawet gdybym była w stanie to zrobić. Pchnął mnie tak, że rąbnęłam plecami o pręty klatki. Zostaną mi po tym sińce, ale przynajmniej wciąż żyłam.

Przytrzymał mnie jedną ręką, drugą zadarł mi sweter do góry. Opuściłam go zdecydowanym ruchem. Jason warknął głucho i cisnął mnie na podłogę. Rąbnęłam w kamienne podłoże z taką siłą, że na parę chwil straciłam ochotę do walki. Jason rozdarł na mnie sweter, jakby był z papieru, odsłaniając mi cały brzuch. Następnie uniósł głowę i zawył, ale skowyt, który dobył się z jego ust, nie był już ani trochę ludzki. Gdybym miała choć trochę powietrza w płucach, zaczęłabym krzycze

# — Jason, nie! — gRSos już nie był ludzki. Moc Richarda zalała

wnętrze klatki tak gąfala, że można by w niej utonąć. Jason walczył, jakby moc by a gęstsza od powietrza. Chłostał rękami na prawo i lewo, a ja dostrzegłam, że jego palce miały zamiast paznokci pazury.

— Cofnij się — rozległ się ledwie rozpoznawalny warkot.

Jason wyszczerzył kły, kłapiąc szczękami, lecz nie ja byłam obiektem jego gniewu. Stoczył się ze mnie i z głośnym warczeniem odpełził po kamiennej posadzce.

Leżałam na wznak, obawiając się poruszyć. Bałam się, że mój choćby najdrobniejszy ruch przeważy szalę i skłoni go, by dokończył, co rozpoczął.

— Cholera — powiedział Carmichael. — Zaraz wracam, a ptaszek niech lepiej wymyśli sposób, by zmusić jednego z was do przemiany.

To rzekłszy, odszedł, pozostawiając nas w ciszy wypełnionej coraz donośniejszym warkotem. Zrozumiałam, że istotą w klatce obok mnie już nie był Jason.

Powoli podniosłam się na łokciach. Jason nie próbował mnie pożreć. Richard wciąż stał przy prętach klatki, ale jego oblicze się wydłużyło. Twarz zmieniła się w wilczy pysk. Gęste, brązowe włosy były dłuższe niż kiedykolwiek. Zdawały się spływać w dół jego pleców, jakby wyrastały z kręgosłupa. Trzymał się swego człowieczeństwa równie kurczowo, jak tonący brzytwy. Ale jego chwyt słabł z każdą chwilą.

Edward stał w kompletnym bezruchu przy drzwiach klatki. Nie próbował uciekać, gdy Richard zaczął przerażać. Ale Edward zawsze miał stalowe nerwy.

## Rozdział czterdziesty drugi

T

itus wszed ł do środka pierwszy.

— Bardzo mnie wszyscy rozczarowaliście. Carmichael mówi, że już ci niewiele brakowało, ale nagle wtrącił się ten tutaj.

Kaspar patrzył na Richarda, jakby nigdy wcześniej go nie widział. Może nigdy dotąd nie widział pół człowieka, pół wilka, ale coś w jego spojrzeniu mówiło, że nie o to chodzi.

— Marcus nie byłby w stanie tego dokonać.

— Jason nie chciał jej skrzywdzić — tłumaczył Richard. — Pragnął tego, co właściwe.

— No dobra, ptaszku — warknął Carmichael. — Co dalej? Wciąż siedział

przeciwległą ścianą

przód i w tył. Z jego gard

am na kamiennej podłodze. Jason kulił się pod i opasawszy kolana ramionami, kołysał się w ła dobywało się ciche skomlenie. — Niewiele mu brakuje — ocenił Kaspar. — Krew sprawi, że

przekroczy granicę

samec alfa nie zdoł

. Gdy zostanie przelana świeża krew, nawet a go opanować.

Treść tych słów nie natchnęła mnie optymizmem.

— Panno Blake, zechce pani podejść do kraty, bardzo proszę. Odwróciłam się, aby równocześnie obserwować jęczącego

# wilkołaka i uzbrojon<sup>RS</sup> czeredę za kratą.

— Po co?

— Albo to pani robi, albo Carmichael wpakuje pani kulkę.

Proszę mnie nie zmuszać, abym znów zaczął odliczać, panno Blake. — Chyba nie mam ochoty podejść do tych krat. Titus wyjął czterdziestkę piątkę i podszedł do drugiej klatki.

Edward usiadł.

Spojrzał na mnie z przeciwnego końca pomieszczenia, a ja zrozumiałam, że jeśli zdołamy się stąd wydostać, oni wszyscy, cała ta banda zginie. Richard nadal stał przy kracie, zaciskając palce na prętach.

Titus spojrzał na zwierzęce oblicze Richarda i cichutko zagwizdał. — Boże. — Wycelował pistolet w tors Richarda.

— W magazynku tej broni znajdują się srebrne naboje, panno Blake. Jeśli zawiadomiła pani Garrowaya, to znaczy, że nie zdążymy zrealizować dwóch polowań. Garroway nie wie, że jest pani tutaj, zatem mamy trochę czasu, ale na pewno nie całą noc. Poza tym uważam, że ten wilkołak mógłby okazać się nazbyt niebezpieczny.

Jeśli więc w dalszym ciągu będzie mnie pani wkurzać, zabiję go. Odnalazłam spojrzenie nowych, zmienionych oczu Richarda. — Nie rób tego. I tak nas zabiją — warknął tak groźnym gardłowym głosem, że ciarki przeszły mi po plecach.

Naprawdę zamierzali nas pozabijać. Mimo to nie mogłam stać i czekać bezczynnie, musiałam coś zrobić, aby odwlec nieuchronne.

Podeszłam do kraty.

— Co teraz?

Titus wciąż mierzył w pierś Richarda.

— Proszę przełożyć ręce pomiędzy prętami. Chciałam zaoponować, ale nie mogłam pozwolić, aby Richard zapłacił śmiercią za mój opór i brak chęci do współpracy. To nie było tego warte.

Włożyłam ręce między pręty, odwracając się tym samym plecami do wilkołaka. Niedobrze.

— Panowie, złapcie ją za nadgarstki. Zacisnęłam dłonie w pięści, ale nie cofnęłam rąk.

Zrobię, co będzie trzeba. Tak postanowiłam.

Carmichael ujął mnie za lewy nadgarstek. Brodaty Fienstien schwycił prawy. Fienstien nie trzymał mnie zbyt mocno. Mogłabym mu się

ę

wyrwać

ć

, ale Carmichael ścisnął niczym stalowe imadło. Spojrzałam mu w oczy i nie dostrzegłam wyrzutów sumienia. Ale Fienstien zaczął mięknąć.

Siwow łośy ze strzelbą stał pośrodku pomieszczenia, dystansując się od wszystkiego. Carmichael najwyraźniej nie zamierzał odpuścić. Chciał zabawić się na całego.

Podszedł Titus i zaczął odwijać bandaż z mojej ręki. Zwalczyłam w sobie chęć spytania, co zamierza. Zaczynałam się

domyślać. Miałam tylko nadzieję, że się mylę.

— Ile ma pani założonych szwów, panno Blake? Nie myliłam się.

— Nie wiem. Przestałam liczyć przy dwudziestu. — Upuścił bandaż na ziemię. Wyjął mój własny nóż i uniósł do światła. Ostrze rozbłysło srebrzyście. Nie ma to jak właściwa oprawa artystyczna każdego numeru.

Przycisnęłam czoło do prętów klatki i wzięłam głęboki oddech. — Zamierzam ponownie otworzyć niektóre z ran. Poprzecinać szwy.

— Tak też myślałam — mruknęłam.

— I co? Żadnego oporu?

— Rób swoje.

Nagle tuż obok pojawił się Aikensen.

— Pozwól, że ja to zrobię. Chciałbym upuścić jej trochę krwi.

Jest mi to winna.

Titus spojrzał, jakby oczekiwał mojego przyzwolenia. Posłałam mu najlepsze tępe spojrzenie.

Podał nóż Aikensenowi.

# Aikensen skierowa *RS* nóż ku jednemu ze szwów na moim

nadgarstku. Zmartwia am. Nie wiedziałam, co robić. Wolałam nie patrzeć. To raczej nie by ło wskazane. Ale nie patrzeć było jeszcze gorzej. Nie chciałam b agać, aby tego nie robili. To wydawało mi się upokarzają ce i jak przypuszczam, nie zdałoby się na wiele. Są takie noce, kiedy żaden wybór nie wydaje się satysfakcjonujący.

Przeci ął pierwszy szew. Poczułam, jak pęka, ale — co zdumiewające — wcale tak bardzo nie bolało. Odwróciłam wzrok. Ciach, ciach, ciach i po szwach. Dam radę. Wytrzymam.

— Potrzebujemy krwi — rzekł Carmichael. Spojrzałam w chwili, gdy Aikensen zatapiał czubek ostrza noża w ranie. Zamierzał otworzyć ranę i robił to powoli. Będzie bolało. Kątem oka dostrzegłam Edwarda w drugiej klatce. Wstał. Patrzył na mnie. Próbował mi coś powiedzieć. Wskazywał oczami na prawo. Siwowłosy oddalił się od zamieszania pod klatką.

Stan ął bardzo blisko drugiej. Najwyraźniej był w stanie wpakować komuś kulkę, ale nie znosił tortur.

Edward spojrzał na mnie. Wydawało mi się, że wiem, o co mu chodzi. Miałam taką nadzieję.

Nóż wbił mi się w skórę. Jęknęłam. Ból był ostry i natychmiastowy, jak w przypadku wszystkich płytkich ran, ale ten zapewne potrwa znacznie dłużej. Krew gęstą strużką spływała po mojej skórze. Aikensen wbił ostrze nieco głębiej. W tej samej chwili z całej siły opuściłam obie ręce. Fienstien nie zdołał mnie utrzymać. Wyciągnął rękę, usiłując ponownie schwycić mnie za nadgarstki. Carmichael wzmógł uścisk na mojej drugiej ręce. Nie byłam w stanie się uwolnić, ale mogłam osunąć się na ziemię i tak machać ręką, aby Aikensen nie mógł już bardziej pociąć mnie nożem.

Zaczęłam krzyczeć i stawiać zaciekły opór. Jeśli Edward potrzebował odwrócenia uwagi, postaram się mu to zapewnić.

— Jedna kobieta w klatce, a wy we trzech nie umiecie jej okiełznać.

# Titus podszedł bli*R*Sej. Złapał mnie za lewą rękę, podczas gdy

Carmichael ścisnął mój nadgarstek. Prawą rękę zdołałam wciągnąć na powrót do klatki.

Fienstien stał przy klatce, najwyraźniej nie wiedząc, co ma robić. Jeśli jesteś gotów słono zapłacić za możliwość polowania na potwory, powiniene być bardziej bezwzględny, brutalny i okrutny. Jego kabura z bronią znalazła się tuż przy prętach klatki.

Krzyczałam raz po raz, szarpiąc się, by uwolnić lewą rękę. Titus objął ją oburącz i przycisnął do swego ciała. Od uścisku Carmichaela na pewno będę miała siniaki na nadgarstku. W końcu zdołali mnie unieruchomić. Aikensen przyłożył nóż do otwartej rany i zaczął ciąć.

Fienstien pochylił się, jakby chciał pomóc. Krzyknęłam i przycisnęłam się do kraty. Nie wyciągnęłam jego pistoletu z kabury. Schwyciłam tylko za kolbę, wykręciłam kaburę z bronią ku górze i pociągnęłam za spust. Kula trafiła go w brzuch. Runął do tyłu. W jaskini rozległo się echo drugiego wystrzału.

Głowa Carmichaela eksplodowała kaskadą krwi, strzępów mózgu i odłamków kości, ochlapując kapelusz Titusa.

Edward stał z karabinem uniesionym do ramienia. Siwowłosa leżał bezwładnie tuż obok klatki. Jego głowa była wykręcona pod dziwnym kątem. Richard klęczał przy ciele. Czy to on go zabił?

Z tyłu, za mną rozległ się jakiś dźwięk. Cichy, gardłowy warkot. Titus wyjął broń. Wciąż przytrzymywał mnie za rękę. Fienstien wiał się na ziemi. Nie mogłam dosięgnąć jego pistoletu. Za daleko.

Za moimi plecami rozległ się przeciągły warkot. Coś się poruszyło. Jason wrócił do gry. Pięknie.

Titus szarpnął mnie za rękę, omal nie wyrywając mi ramienia ze stawu. Przyłożył mi do policzka lufę czterdziestki piątki. Była zimna.

— Odłóż karabin albo pociągnę za spust. Czuję na twarzy dotyk krat i chłodnej broni. Nie mogłam się odwrócić, ale słyszałam, że coś pełźnie w moją stronę.

— Zmienił się? — zapytałam.

— Jeszcze nie — odparł Richard.

Edward w dalszym ciągu trzymał broń uniesioną; mierzył w



# Titusa. Aikensen stoj<sup>R</sup>Scy z okrwawionym nożem zamarł w bezruchu.

— Rzuć broń , blondasku, i to już, albo ona zginie.

— Edwardzie.

— Anito — powiedzia ł. Jego głos brzmiał zwyczajnie. Oboje wiedzieli śmy, że mógł rozwalić Titusa, ale gdyby Titus w ostatnim konwulsyjnym skurczu mi ęśni pociągnął za spust, ja także bym zginęła. Ech, te ciągł e wybory.

— Zrób to — rzek łam.

Poci ągnął za spust. Titus osunął się na kratę. Krew obryzgała moją twarz. Coś gęstszego od krwi spłynęło mi po policzku. Oddychałam płytko i nerwowo. Titus zwiotczał przy prętach klatki, ale wciąż nie wypuścił broni z ręki.

— Otwórz jej klatkę — nakazał Edward.

Coś dotknęło mojej nogi. Drgnęłam i odwróciłam się gwałtownie.

Jason schwyci ł mnie za krwawiące ramię. Miał niesamowitą siłę. Mógłby zmiażdżyć mi nadgarstek. Pochylił głowę i zaczął łapczywie spijać krew, jak kot śmietanę.

— Otwórz jej klatkę albo ty również zginiesz. Aikensen nawet nie drgnął.

Jason lizał moją rękę. Językiem pieścił ranę. Bolało, ale nie krzyknęłam. Żadnych odgłosów. Żadnego oporu. I tak spisał się nieźle, że nie rzucił się na mnie, kiedy walczyłam z tymi oprychami przy klatce.

Wszakże cierpliwość wilkołaków ma swoje granice.

— Zrób to! Ale już! — wrzasnął Edward. Aikensen drgnął, po czym podbiegł do drzwi klatki.

Upuścił przy nich nóż i zaczął manipulować przy zamku.

Jason wgryzł się w moje ramię, na razie leciutko. Jęknęłam. Nie mogłam się powstrzymać. Richard krzyknął, to był donośny, nieartykułowany dźwięk.

Jason odsunął się ode mnie.

— Uciekaj — rzucił.

Nachylił się nad ka łuzą krwi na podłodze i zaczął chłeptać. Głos

# miął zduszony, gard*RS*owy, nieludzki.

— Uciekaj.

Aikensen otworzył drzwi. Zaczęłam wycofywać się tyłem. Jason odchylił głowę do tyłu, uniósł wzrok i zawył.

— Uciekaj!

Zerwawszy się na równe nogi, zaczęłam uciekać. Gdy wybiegłam na zewnątrz, Aikensen zatrzasnął drzwi klatki. Jason wił się po podłodze. Miotają nim konwulsje. Z ust ciekła piana. Dłonie zaciskały się spazmatycznie, chwytając powietrze. Widziałam wcześniej przemianę, ale nigdy dotąd nie byłam świadkiem równie gwałtownej transformacji. Przypominała atak padaczki albo konanie człowieka otrutego strychniną.

Wilk, który wyłonił się z jego ciała, miał postać niemal finalną, jak cykada uwalniająca się z powłoki larwy. Człowiek-wilk podbiegł do krat. Wysunął przez nie pazurzaste łapy, usiłując nas pochwycić. Cofnęliśmy się oboje. Z kłapiących wilczych szczęk kapłała piana. Obnażył kły i zawarczał. Wiedziałam, że gdyby mnie dopadł, zabiłby i pożarł bez chwili wahania. Tym właśnie się stał.

Aikensen patrzył na wilkołaka. Uklękałam i podniosłam upuszczony nóż.

— Aikensen?

Odwrócił się do mnie, wciąż zdezorientowany i pobladły.

— Czy z dziką rozkoszą wpakowałeś policjantce Holmes kulę w pierś?

Spojrzał na mnie, marszcząc brwi.

— Wypuściłem cię. Zrobiłem, co kazał. Podeszłam do niego.

— Pamiętasz, co powiedziałam, że z tobą zrobię, jeśli skrzywdzisz Williamsa?

Spojrzał na mnie.

— Pamiętam.

— To dobrze. — Wbiłam mu nóż w krocze. Zatopiłam ostrze aż po rękojeść. Krew pociekła mi po rękę. Spojrzał na mnie, oczy mu się przeskliły.

— Zawsze dotrzymuję obietnic — dokończyłam. Upadł, a to sprawiło, że pociągnęłam nóż w górę, rozpruwając mu całe podbrzusze. Zamknął oczy, a ja wyjęłam nóż z rany. Otarłam ostrze o jego kurtkę i wyjęłam klucze ze zwiótczalej dłoni mężczyzny. Edward zawiesił sobie karabin na ramieniu. Richard patrzył, jakby widział mnie po raz pierwszy. Nawet w zmienionej postaci mierziło go to, co robiłam.

Otworzyłam drzwi ich klatki. Edward wyszedł. Richard też, ale nie spuszczał ze mnie wzroku.

# — Nie musiała *RS* go zabijać — stwierdził. Mogłam spodziewać

si ę takiego komentarza. Był w typie Richarda.

Edward i ja staliśmy, patrząc na wilkołaka alfa.

— Owszem, musiałam.

— Zabijamy jedynie z konieczności, nie dla przyjemności ani by si ę tym napawać — rzekł Richard.

— Ty może nie — odparłam. — Reszta stada mogłaby mieć w tej kwestii inne zdanie.

— Policja pewnie już tu jedzie — stwierdził Edward. — Lepiej, żeby cię tu nie zastali.

Richard spojrzał na bestię szalejącą w sąsiedniej klatce. — Daj mi klucze. Wyprowadzę Jasona przez tunel. Czuję zapach roślinności na zewnątrz.

Podaliśmy mu klucze. Koniuszki jego palców musnęły moją dłoń. Zaciśnął palce na kluczach.

— Nie powstrzymam tego długo. Idźcie. Spojrzałam w dziwne, bursztynowe oczy. Edward dotknął mego ramienia.

— Musimy iść.

Usłyszałam syreny. Pewnie słyszeli strzały.

— Uważaj na siebie — powiedziałam.

— Będę uważał.

Pozwoliłam, by Edward poprowadził mnie schodami na górę.

Richard osunął się na ziemię, ukrywając twarz w dłoniach. Po chwili uniósł głowę, a kości jego czaszki zaczęły się wydłużać. Cała twarz smukła, jakby formowano ją z gliny.

Potknęłam się na schodach. Gdyby nie pomocna dłoń Edwarda, am się i oboje z Edwardem zaczęliśmy wbiegać łam się przez ramię, nie zobaczyłam już Riupadłabym. Odwróci po schodach. Gdy obejrza

charda. Nie było go.

Edward na schodach upu ścił karabin. Drzwi frontowe poddały się z hukiem i do domu wpadli policjanci. Dopiero wtedy uświadomiłam sobie, że Kaspar zniknął.

## Rozdział czterdziesty trzeci

A

ni Edward, ani ja nie trafili śmy za kratki, choć policja odnalazła ludzi, których zabiliśmy. Wszyscy uznali, że cudem uszliśmy z życiem. Ludzie byli pod wrażeniem.

Edward zaskoczy ł mnie, pokazując dowód tożsamości na nazwisko Teda Forreстера, łowcy nagród. Wyrżnięcie w pień bandy kłusowników polujących na lykantropy podbudowało reputację łowców nagród w ogóle, a reputację Teda Forreстера w szczególności. Ja też dzięki tej sprawie ponownie znalazłam się w światłach jupiterów. Znow miałam dobrą prasę, Bert nie posiadał się ze szczęścia.

Zapyta łam Edwarda, czy Forrester to jego prawdziwe nazwisko. Tylko się uśmiechn<sup>ał</sup>. Dolph wyszedł ze szpitala na Gwiazdkę. Zerbrowski musiał poleżeć trochę dłużej. Kupiłam dla obu po paczce srebrnych naboι.

To przecież tylko pieniądze. Są po to, by je wydawać. Poza tym nie

# chciałam, żeby który*RS* z nich do końca życia był przykuty do

szpitalnego łóżka.

Po raz ostatni odwiedziłam kafejkę U Lunatyków. Marcus powiedział mi, że Alfred sam, z własnej inicjatywy zabił tę dziewczynę. Gabriel nie wiedział, co się stanie, ale gdy już umarła, nie mogła się zmarnować. Lykantropy są z natury praktyczne. Z tego samego powodu Raina zajęła się rozprawianiem filmu. Nie uwierzyłam im. Nie do końca. To bardzo wygodne — zrzucić winę na nieboszczyka. Mimo to nic nie powiedziałam Edwardowi. Poinformowałam Gabriela i Rainę, że jeśli jeszcze kiedyś w moje ręce trafi kaseta z „zabójczym” filmem, będą mogli pożegnać się ze swoimi tyłkami. Naśle na nich Edwarda. Ale tego już im nie uświadomiłam.

Kupiłam Richardowi złoty krzyżyk i wymogłam na nim obietnicę, że będzie go nosił. Od niego otrzymałam pluszowego pingwinka, który po naciśnięciu brzuszka wygrywał kolędy, a do tego torebkę pingwinkówżelków i małe, aksamitne pudełeczko jak na pierścionek. Serce podeszło mi do gardła. Wewnątrz nie było pierścionka, jedynie bilecik o treści: „Na dotrzymane obietnice”.

Od Jean-Claude'a dostałam rzeźbę przedstawiającą szklane pingwinki na lodowej krze. Była piękna i droga. Wolałabym dostać coś takiego od Richarda. Co można kupić na Gwiazdkę Mistrzowi Miasta? Beczulkę krwi? Postawiłam na starą kameę. Będzie się pięknie prezentować pod szyją, na tle koronek ozdobiących jego koszule.

Któregoś lutowego dnia otrzymałam paczkę od Edwarda. Wewnątrz znajdowała się łabędzia skóra. Na bileciku widniała krótka informacja. „Znalazłem czarownika, który zdjął z niego kłatwę”. Wyjęłam upierzoną skórę z pudełka i na ziemię sfrunął drugi bilecik. Jego treść brzmiała następująco: „Marcus mi zapłacił”. Powinnam była się domyślić, że znajdzie sposób, aby wyciągnąć zyski z zabójstwa, które z chęcią popełniłby za darmo.

Richard nie rozumie, dlaczego zabiłam Aikensena. Próbowałam mu wyjaśnić, ale stwierdził, że zabiłam człowieka, bo to obiecałam, zanadto traci pychę. Ale nie chodziło o pychę ani o dumę. Zrobiłam to dla Williamsa, który nie dokończy już swego doktoratu i nigdy więcej nie będzie mógł obserwować ulubionych sów. Dla Holmes, która nigdy nie zostanie pierwszą kobietą komendantem policji. Dla wszystkich ludzi, których zabił i których pozbawił szansy na dalsze życie. Skoro oni jej nie mieli, on również. Zabójstwo Aikensena nie spędza mi snu z powiek. Może to powinno mnie

**niepokoić bardziej ni*RS* fakt, że go zabiłam —  
to, że nie odczuwałam z**

tego powodu najmniejszych wyrzutów sumienia. Nie.

Oprawiłam łabędzią skórę w estetyczne ramki i umieściłam za szkłem. Powiesiłam ją w pokoju. Pasuje do mojego łóżka. Richardowi się nie podoba. Mnie bardzo.